

WALKA O WŁADZĘ,
INTRYGĘ
I MORDERSTWA
W RODZINIE
CESARZA AUGUSTA

JA, KLAUDIUSZ

ROBERT GRAVES

Kaligrafia

Robert Graves

Ja, Klaudiusz

Przełożył Stefan Essmanowski

Tytuł oryginału: I, Claudius

Data wydania oryginalnego - 1934

... Dzieje których obraz ulegał wszelkiego rodzaju zniekształceniom nie tylko z winy współczesnych, lecz i z żyjących w późniejszych okresach. Albowiem doniosłe zdarzenia zawsze spowija mgła wątpliwości i niejasności. Jedni najbliższe plotki poczytują za prawdę, inni fakty podają za zmyślenia, a potomni przejaskrawiają poglądy jednych i drugich.

Tacyt

OD AUTORA

Jednostka monetarna, którą posługują się w niniejszej książce Rzymianie, to „sztuka złota”, czyli aureus - moneta o wartości stu sesterców albo dwudziestu pięciu srebrnych denarów („sztuk srebra”). Mila jest milą rzymską, mniej więcej o trzydzieści kroków krótszą od angielskiej. Daty na marginesach dla ułatwienia podano według kalendarza gregoriańskiego. Kalendarz grecki, którym posługuje się Klaudiusz, liczył lata od pierwszej olimpiady, czyli od 776 r. p.n.e. Dla ułatwienia zastosowano również najnowsze nazewnictwo geograficzne. I tak, zamiast Galii Transalpejskiej mamy Francję, obejmującą mniej więcej to samo terytorium, a w niej konsekwentnie miasta Nimes, Boulogne i Lyon, a nie ich starożytne odpowiedniki, nie znane szerszemu ogółowi. Podobnie, jeśli chodzi o imiona, autor posługuje się ich najprostszymi i najbardziej popularnymi formami, na przykład Liwiusz zamiast Titus Livius, Cymbelin zamiast Cynobellinus, Marek Antoniusz zamiast Marcus Antonius.

Często autor napotykał trudności usiłując znaleźć odpowiedniki terminów wojskowych, prawniczych i technicznych. Spróbuję zilustrować je na przykładzie wyrazu „włócznia” (ang. assegai). Otóż jeden z Czytelników zakwestionował poprawność użycia przeze mnie wyrazu ”włócznia” jako odpowiednika germańskiej framea albo pfriem, proponując w zamian ”oszczep” (ang. javelin). Nie stosuję się do jego rady, „oszczep” bowiem to dla mnie odpowiednik pilum, czyli broni, w którą wyposażono karną piechotę rzymską.

Ponadto ”włócznia” kojarzy się z czymś bardziej barbarzyńskim. Wyraz ”włócznia” istnieje w języku angielskim od trzystu lat, a w dziewiętnastym wieku znów stał się aktualny dzięki wojnom burskim. Framei o długim drzewcu zakończonym żelaznym grotem używano według Tacyty zarówno jako broni drzewcowej, jak i siecznej. Podobnie wyglądały włócznie wojowników zuluskich, z którymi Germanie z czasów Klaudiusza mieli, jeśli chodzi o poziom rozwoju, wiele wspólnego. W starciach wręcz owa framea była poręczna, natomiast w walkach toczonych w lesie - absolutnie niewygodna, jak

twierdzi Tacyt, a więc Germanie radzili sobie prawdopodobnie tak jak później Zulusi, to znaczy, łamali długie drzewce framei, kiedy dochodziło do bezpośrednich starć wśród drzew. Rzadko jednak sytuacja zmuszała Germanów do tego, woleli bowiem stosować technikę podjazdową.

Swetoniusz w *Żywotach cesarów* twierdzi, że historia napisana przez Klaudiusza jest raczej "niedorzeczna" niż "chropawa". Jeżeli natomiast pewne fragmenty niniejszej książki brzmią nie tylko niedorzecznie, lecz także trochę chropawo, jeżeli zdania mają ciężką budowę, a dygresje zaskakują Czytelnika w nieprzewidzianych miejscach, styl całości nie odbiega od stylu literackiego mowy wygłoszonej przez Klaudiusza po łacinie na temat praw obywatelskich Eduów. Mowę tę, do dziś zachowaną we fragmentach, gęsto przetykają chropawe zdania, co można poniekąd zrozumieć, gdyż jest to prawdopodobnie dokładna transkrypcja oficjalnego zapisu stenograficznego słów wygłoszonych przez Klaudiusza do senatu, drobiazgowej improwizacji zmęczonego człowieka, który pomagał sobie sporządzonymi pobieżnie notatkami. Ja, Klaudiusz to książka napisana językiem potocznym, jako że greka - Klaudiusz napisał swoją historię w tym języku - ma w istocie daleko mniej oficjalny charakter aniżeli łacina. Niedawno odkryty list Klaudiusza do aleksandryjczyków - mógł go jednak po części sporządzić cesarski sekretarz - czyta się o wiele łatwiej niż mowę o prawach Eduów.

R. G. przełożyła Halina Ciepłińska

ROZDZIAŁ I

41 r.n.e.

Ja, Tyberiusz Klaudiusz Druzus Neron Germanik, i tak dalej, i tak dalej - oszczędzę wam już reszty moich tytułów - który tak niedawno jeszcze znany byłem przyjaciółom, krewnym i znajomym jako Klaudiusz Idiota, Klaudiusz Jąkała, Klau-Klau-Klaudiusz, a w najlepszym razie jako "biedny stryjek Klodzio", przystępuję dziś do napisania dziwnej historii mego życia. Zacznę od najwcześniejszego dzieciństwa i kolejno rok po roku przedstawię wszystkie zdarzenia aż do momentu, kiedy niespodziewanym zrządzeniem losu znalazłem się w owej "złotej klatce", w której tkwię po dziś dzień.

Nie będzie to bynajmniej moja pierwsza książka. Praca literacka, a ściślej mówiąc historiograficzna, była jedynym zajęciem, jakiemu z zamiłowaniem oddawałem się przez trzydzieści pięć lat z górą. Już we wczesnej młodości rozpocząłem studia pod kierunkiem najwybitniejszych w Rzymie historyków. Niech się więc czytelnicy moi nie dziwią, że w pisaniu osiągnąłem pewną wprawę.

Zaznaczyć muszę, że książkę tę pisze istotnie sam Klaudiusz, nie żaden z jego sekretarzy ani zawodowych biografów, którym wybitni mężowie zwykli dyktować swe wspomnienia w nadziei, że wytworność stylu pokryje błahość przedmiotu, a pochlebstwo przysłoni wady charakteru. Przysięgam na wszystkich bogów, że tym razem jestem swym własnym biografem i sekretarzem, a pisząc własnoręcznie, jakiejż nagrody za pochlebstwo mógłbym się spodziewać od samego siebie? Użyłem wyrażenia "tym razem", gdyż jest to już druga z rzędu moja autobiografia. Poprzednia było to ośmiotomowe dzieło przeznaczone dla archiwum miasta i - powiedzmy, szczerze - dość nudne. Napisałem je na publiczny użytek i nie przykładam do niego wielkiej wagi. Zresztą, prawdę mówiąc, byłem w tym czasie, to jest przed dwoma laty,

zaprzątnięty innymi sprawami. Większą część pierwszych czterech tomów podyktowałem mojemu sekretarzowi; poza koniecznymi poprawkami stylistycznymi, usunięciem sprzeczności lub powtarzających się zdań nie pozwoliłem mu na żadne zmiany.

Całą drugą część i przynajmniej kilka rozdziałów pierwszej napisał sam na podstawie dostarczonego przeze mnie materiału. Sekretarz ten, niewolnik grecki, którego na cześć wielkiego historyka nazwałem Polibiuszem, doszedł do takiej wprawy w naśladowaniu mego stylu, że kiedy dzieło zostało ukończone, nie sposób było odróżnić, których ustępów ja jestem autorem, a których on.

Było to, jak już powiedziałem, dzieło dość nudne. Nie mogłem wówczas pozwolić sobie na krytykę mego wujecznego dziadka, cesarza Augusta, ani jego trzeciej i ostatniej żony, a mojej babki, Liwii. Oboje zostali urzędowo zaliczeni w poczet bóstw, a ja piastowałem urząd kapłana, do którego obowiązków należała piecza nad ich kultem.

Wprawdzie mogłem poddać surowej krytyce niegodziwe rządy dwóch następnych cesarzy, lecz pohamowałem się w imię przyzwoitości. Nie wydawało mi się sprawiedliwe przemilczanie działalności Liwii i postępków Augusta dokonanych pod wpływem tej niezwykłej i - raz wreszcie powiedzmy otwarcie - potwornej kobiety, a równocześnie wyjawianie całej prawdy o ich następcach tylko dlatego, że względem nich nie krępowały mnie obowiązki kapłańskie.

Owa książka przedstawiała więc tylko suche, bezsporne fakty. I tak na przykład pisząc, że taki a taki ożenił się z córką takiego to a takiego, piastującego takie to a takie wysokie urzędy, pomijałem polityczne motywy małżeństwa i zakulisowe przetargi, które odbywały się między dwiema rodzinami. Innym razem wzmiankując, że ktoś umarł po zjedzeniu porcji afrykańskich fig, nie wspominałem ani o rodzaju użytej w tym wypadku trucizny, ani o osobistościach, którym śmierć ta była na rękę; chyba że okoliczności te ujawniono w wyroku sądowym. Aczkolwiek nie kłamałem, nie

mówiłem też prawdy w takiej rozciągłości, jak to obecnie zamierzam uczynić.

Właśnie dzisiaj, chcąc odświeżyć sobie w pamięci pewne konkretne daty, przeglądałem tę pierwszą autobiografię w Bibliotece Apollina na Palatynie.

Przeczytałem kilka rozdziałów i choć na podstawie stylu gotów bym przysiąc, że jestem ich autorem, nie mogłem sobie przypomnieć, czy rzeczywiście sam je napisałem lub podyktowałem.

Jeżeli wyszły spod pióra Polibiusza, w takim razie człowiek ten miał niezwykle, cudowny talent naśladownictwa (przyznaję jednak, że mógł się opierać na innych moich dziełach historycznych). Lecz jeśli ja jestem ich autorem, to doprawdy pamięć służy mi gorzej, niż głoszą moi nieprzyjaciele.

Przeczytawszy powyższe słowa zdałem sobie oczywiście sprawą z tego, że muszą one raczej potęgować niż rozpraszać wątpliwości, jakie budzi po pierwsze, autorstwo tej książki, po drugie, moja niezależność historyka, po trzecie, wiarogodność opisanych faktów. Mimo to nie zamierzam ich skreślić. Piszę tak, jak czuję, a może czytelnik w miarę rozwijającego się opowiadania tym łatwiej uwierzy, że nic nie ukrywam, nawet faktów, które by mnie mogły skompromitować.

Książka niniejsza pisana jest dla zaufanego grona czytelników. Zapytacie może, kogo mam na myśli. Potomność. Ale nie prawników ani praprawników, lecz potomność znacznie odleglejszą. Pomimo to nie tracę nadziei, że wam, przyszli moi czytelnicy, o sto pokoleń młodszy ode mnie, będę się wydawał równie współczesny, jak mnie się wydawali Herodot czy Tukidydes. A teraz wyjaśnię jeszcze, co mnie skłoniło do szukania czytelników w tak dalekiej przyszłości.

Przed osiemnastu blisko laty udałem się do Kume, żeby odwiedzić Sybillę przebywającą w pieczarze na górze Gaurus. Znajduje się tam zawsze jakaś wieszczka nosząca to imię, gdyż kiedy umrze jedna, miejsce jej zajmuje wykształcona przez nią adeptka. Nie wszystkie jednak Sybille są równie sławne. Wiele z nich przez długie lata służby ani razu nie otrzymało daru jasnowidzenia.

Inne znów, choć prorokują, natchnienie czerpią raczej od Bachusa niż od Apolla, stąd też pijackie brednie w niemałym stopniu przyczyniły się do podważenia autorytetu wyroczni. Poprzedniczki Deifoby, której rady zasięgał często August, i żyjącej jeszcze sławnej Amaltei przedstawiały się na przestrzeni trzystu lat bardzo nieszczególnie. Wizyta moja u Sybilli przypadła na mroźny dzień grudniowy.

Pieczara wieszczki znajduje się poza niewielką grecką świątynią Apolla i Artemidy. Nad portykiem świątyni widnieje stary połączony fryz przedstawiający historię Tezeusza i zabitego przezeń w labiryncie Minotaura. Według legendy fryz ma być dziełem Dedala. Jest to oczywisty nonsens! Dedal żył co najmniej przed jedenastu wiekami, a fryz w najlepszym razie liczy pięćset lat. Zanim wolno było mi stanąć przed Sybillą, musiałem złożyć na ofiarę Apollowi byczka, a Artemidzie owcę.

Pieczara, wykuta w litej skale, robi przygnębiające wrażenie. Do jej wnętrza prowadzi stromy, kręty, ciemny, rojący się od nietoperzy korytarz. Czołgając się na czworakach, dotkliwie podrapany, dotarłem wreszcie do właściwej siedziby Sybilli. Na pierwszy rzut oka wieszczka wydała mi się podobniejsza do małpy niż do kobiety. Siedziała w zawieszanej u stropu klatce ubrana w czerwone szaty; w wąskiej smudze czerwonego światła, które nie wiadomo skąd przedostawało się do pieczary, krwawo połyskiwały jej oczy, a bezzębne usta wykrzywiały się szpetnym uśmiechem. W powietrzu czułem wyraźnie trupią woń.

Wreszcie udało mi się wygłosić przygotowane już uprzednio pozdrowienie. Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że mam przed sobą mumię Deifoby, poprzedniej Sybilli, która zmarła nagle w sto dziesiątym roku życia i teraz, zabalsamowana, dotrzymywała według zwyczaju towarzystwa swej następczyni.

Umieszczone między rozwartymi powiekami kawałki posrebrzanego szkła do złudzenia naśladowały żywe, błyszczące oczy.

Tych kilka minut, które stałem przed Deifobą dygocąc i nadając swej twarzy jak najuprzejmiejszy wyraz, wydało mi się całą wiecznością. Wreszcie ukazała się żywa Sybilla, Amaltea, kobieta dość jeszcze młoda. Zgasło czerwone światło i mrok pochłonął Deifobę.

Ktoś, prawdopodobnie adeptka, przesłonił czerwoną szybę. Równocześnie pieczarę przeszył promień białego światła i w mroku zajaśniała Amaltea siedząca na tronie z kości słoniowej.

Siedziała równie nieruchomo jak Deifobą, tylko oczy miała zamknięte. Na jej pięknej twarzy o wysokim czole malował się wyraz podobny do tego, jaki nieraz spotykamy u obłąkanych.

Mimo przebrania wieszczka mnie poznała, prawdopodobnie po jękaniu się. Jako dziecko silnie cierpiałem na tę wadę. Później, idąc za wskazaniem retorów, nauczyłem się panować nad językiem, przynajmniej podczas publicznych występów. W życiu prywatnym, zwłaszcza jeśli ktoś zagadnie mnie znienacka, zaczynam się znowu jąkać, choć nie tak bardzo jak dawniej. Zdarzyło mi się to właśnie w Kumę. Kiedy zobaczyłem Amalteę, kolana pod mną zadygotały i nie mogłem przebrnąć poza pierwszą zgłoskę.

- O Syb... Syb... Syb... Syb... Syb... - wyjąkałem.

Otworzyła oczy, zmarszczyła z dezaprobatą czoło i zaczęła mnie przedrzeźniać:

- O Klau... Klau... Klau...

Zawstydzony usiłowałem sobie przypomnieć, w jakiej właściwie przybyłem sprawie.

- Sybillo - rzekłem wreszcie z niemałym wysiłkiem - chcę cię zapytać o losy Rzymu i własne.

Wyraz jej twarzy zaczął z wolna ulegać zmianie. Dyszała ciężko, a ciałem jej raz po raz wstrząsały gwałtowne skurcze. Ogarniała ją święta moc wieszczby. Nagle zaszumiało, jakby gwałtowny wicher wionął przez podziemne korytarze; drzwi zatrzasnęły się z hukiem, jakieś skrzydła musnęły mnie po

twarży, światło zgasło, a przez usta Sybilli greckim wierszem przemówił głos boga:

Jęczy pod klątwy punickiej brzemieniem.

Dusi się sznurem od sakwy ze złotem, Nim siły zbierze, upadnie niemocny.

Za życia w ustach czerw muszy się lęgnie, Robactwo toczy za życia źrenice, Nikt nie spostrzeże, gdy przyjdzie dzień śmierci.

Zarzuciwszy ręce na głowę, Sybilla ciągnęła dalej:

Za dziesięć lat i dni pięćdziesiąt trzy Klau-Klau otrzyma, czego każdy pragnie, Lecz czego sam bynajmniej nie pożąda.

Pochlebcy wtedy otoczą go rojem, A on się będzie jękał, stękał, chromał i ślina będzie mu po brodzie ciekła.

Lecz w dziewiętnaście wieków po swej śmierci, Kiedy na zawsze wreszcie oniemieje, Klau-Klau-Klaudiusz przemówi wyraźnie.

I zaśmiał się bóg przez jej usta dźwięcznym a groźnym głosem: "Ho! ho! ho!"

Pokłoniłem się wówczas nisko i pędem ruszyłem ku wyjściu. Tam potknąłem się o pierwszy z brzegu stopień i runąłem w dół po wyszczerbionych schodach, tłukąc sobie boleśnie głowę i kolana. Ścigało mnie echo potężnego śmiechu.

Dziś, jako doświadczony augur, fachowy historyk i kapłan, który dzięki wprowadzonemu przez Augusta zwyczajowi miał sposobność zapoznać się bliżej z księgami sybillińskimi, mogę dać wyjaśnienie powyższych wierszy, i to wyjaśnienie do pewnego stopnia autorytatywne.

Tak więc słowa o "klątwie punickiej" odnoszą się niewątpliwie do zburzenia Kartaginy. Za czyn ten klątwa bogów ciążyła długo na narodzie rzymskim.

Zawarliśmy z Kartaginą pokój i na wielkie bóstwa Rzymu - wśród nich także na Apolla - przysięgliśmy jej przyjaźń i opiekę. Lecz szybkość, z jaką

miasto dźwigało się po klęskach drugiej wojny punickiej, wzbudziła w Rzymie zawiść, Podstępnie doprowadziliśmy do trzeciej wojny.

Kartagina została zburzona, mieszkańcy - wycięci w pień, orne pola posypane solą. Na skutek tej wojny, "sznur od sakwy" zacisnął się wokół naszej własnej szyi. Gorączka złota opanowała Rzym, z chwilą gdy zniszczywszy groźną rywalkę w dziedzinie handlu, stał się sam bezspornym panem wszystkich bogactw Morza Śródziemnego. Za bogactwem przyszły gnuśność, chciwość, okrucieństwo, nieuczciwość, tchórzostwo, zniewieściałość i wiele innych nie znanych dawniej wad.

O darze, którego pożąдали wszyscy z wyjątkiem mnie, dowiedcie się we właściwym miejscu. Otrzymałem go dokładnie w dziesięć lat i pięćdziesiąt trzy dni po wyroczni.

Długo nie mogłem zrozumieć ostatniej zwrotki. Obecnie widzę w niej przepowiednię napisania tej książki. Ukończywszy ją, utrwaliłem rękopis w specjalnym płynie, zapieczętuję w ołowianej puszcze i zakopię gdzieś głęboko w ziemi. Pewnego dnia potomni odnajdą go i przeczytają. Jeżeli domysł mój jest słuszny, nastąpi to za jakieś tysiąc dziewięćset lat.

Wszyscy współcześni mi pisarze, których dzieła przetrwają do owej chwili, będą wtedy robili wrażenie jakałów nie umiejących jasno wyrazić swej myśli; wszyscy oni bowiem pisali tylko dla współczesności i ostrożnie dobierali słów ukrywających właściwy sens. Moja książka natomiast przemówi śmiało i otwarcie. Po namyśle dochodzę do przekonania, że będzie lepiej, jeśli rękopisu nie umieszczę w puszcze, lecz po prostu byle gdzie go porzucę. Jako historyk, wiem z doświadczenia, że więcej dokumentów ocalało dzięki przypadkowi niż dzięki staraniom. To Apollo obwieścił prorocstwo, niechże się więc zaopiekuje rękopisem. Jak widzicie, piszę po grecku, przypuszczam bowiem, że język ten zawsze będzie dźwignął prym w literaturze światowej. Natomiast łacina ulegnie prawdopodobnie wraz z Rzymem zagładzie przepowiedzianej przez Sybillę. Zresztą grecki jest przecież ojczystą mową Apolla.

Co się tyczy nazwisk i dat - te ostatnie umieszczam na marginesie - postanowiłem być szczególnie dokładny. Swego czasu pracowałem nad dwoma kompilacyjnymi dziełami z dziejów Etrurii i Kartaginy. Jeszcze dziś otrząsam się na wspomnienie godzin strawionych na odgadywaniu, w którym roku mógł mieć miejsce taki a taki fakt lub kogo właściwie miał na myśli autor wymieniając pewne nazwisko. Zdarzało się bowiem nie tylko, że to samo imię nosił kolejno ojciec, syn, wnuk i prawnuk, lecz że tak samo zwał się nawet ktoś zupełnie obcy. W książce mej występuje na przykład kilku Druzusów: mój ojciec, ja sam, mój syn, mój brat przyrodni, a wreszcie mój - bratanek. Toteż za każdym razem zaznaczę, o którego z nich w danym wypadku chodzi. Od razu też powiem, że wychowawca mój, Marek Porcjusz Katon, nie jest identyczny ani z Markiem Porcjuszem Katonem, cenzorem i głównym sprawcą trzeciej wojny punickiej, ani z jego synem, słynnym prawnikiem, ani z jego wnukiem, konsulem, ani z prawnukiem, przeciwnikiem Juliusza Cezara, ani z praprawnikiem, który padł w bitwie pod Filippi. Był to praprawnuk noszący to samo imię - co wszyscy wyżej wymienieni. Poza tym nie odznaczył się niczym godnym uwagi; nie piastował żadnych urzędów i na żadne zresztą nie zasługiwał. Surowy, pedantyczny, a przy tym mocno ograniczony, nadawał się w najlepszym razie na bakałarza w szkółce elementarnej.

August zrobił go moim wychowawcą, a następnie nauczycielem gromadki chłopców, potomków rzymskiego patrycjatu i dynastycznych rodów cudzoziemskich.

Chcąc ustalić chronologię opisanych poniżej wypadków podam od razu datę moich urodzin. Zdarzenie to miało miejsce w roku 774 po założeniu Rzymu, a w 767 licząc od pierwszej Olimpiady. Był to dwudziesty rok panowania cesarza Augusta, o którym pamięć prawdopodobnie nie zaginie nawet po dziewiętnastu wiekach.

10 r. p.n.e.

Zanim zakończę ten wstępny rozdział, muszę dodać jeszcze kilka słów o

Sybilla i jej prorocत्वach. Wspomniałem już poprzednio, że w Kumę po śmierci jednej Sybilli miejsce jej zajmuje następna, lecz nie wszystkie są równie słynne. Szczególnie sławna była Demofile, której radził się Eneasza przed zejściem do podziemi, a w późniejszych czasach Herofile. Ta ostatnia, jak głosi legenda, stanęła pewnego dnia przed obliczem Tarkwiniusza i zaproponowała mu nabycie zbioru przepowiedni. Królowi jednak cena wydała się zbyt wysoka. Wtedy wieszczka spaliła część ksiąg, a za pozostałe zażądała tej samej olbrzymiej sumy. Kiedy król odmówił, Sybilla postąpiła jak poprzednio. Za trzecim wreszcie razem zaciekawiony Tarkwiniusz nabył resztę ksiąg, za wymienioną pierwotnie sumę.

Zbiór Herofili ma dwojaki charakter, częściowo są to przepowiednie groźnej lub pomyślnej przyszłości, częściowo wskazówki dotyczące ofiar, jakie należy złożyć, kiedy ukażą się niezwykle znaki i zjawiska. Z biegiem czasu do pierwotnego zbioru dodawano ważniejsze i znajdujące potwierdzenie przepowiednie udzielane osobom prywatnym. Kiedy zachodziły niezwykle zjawiska lub na Rzym spadały wielkie klęski, specjaliści kapłani na zlecenie senatu szukali rady w księgach sybillińskich. I zawsze ją znajdowali. Dwukrotnie część zbioru przepowiedni spłonęła do szczytu i została z pamięci odtworzona przez kapłanów. Pamięć ta jednak w wielu wypadkach okazała się bardzo zawodna. Dlatego też August postanowił ustalić autorytatywny tekst ksiąg, odrzucając wszystko, co było niewątpliwą interpolacją albo nie natchnioną przez bogów rekonstrukcją. Kazał też zniszczyć nieautoryzowane, prywatne zbiory przepowiedni sybillińskich i inne Księgi wieszczbiarskie, które udało mu się skonfiskować.

Uległo w ten sposób zagładzie z górą dwa tysiące egzemplarzy. Po ustaleniu tekstu zamknął księgi sybillińskie w skrytce pod statuą Apolla, w świątyni, którą wznosił ku czci tego boga na Palatynie obok swego pałacu. W pewien czas po śmierci Augusta wpadł w moje ręce ciekawy unikat, pochodzący z prywatnej biblioteki cesarza. Książka ta nosiła tytuł:

Kurioza sybillińskie - wybór wyroczni częściowo zaliczonych do tekstu oficjalnego, częściowo, jako nieautentyczne, odrzuconych przez kapłanów Apolla. Wiersze były przepisane własnoręcznie przez Augusta; ten pięknie wykaligrafowany tekst zawierał też charakterystyczne błędy.

Początkowo cesarz pisał nieortograficznie przez prostą nieznamość reguł, później przez ambicję, by okazać się oryginalnym. Większość tych wierszy nie miała nic wspólnego z Sybillą; autorami ich byli różni nieodpowiedni ludzie, którzy chcieli bądź to uświetnić siebie samych lub swój ród, bądź też rzucić klątwę na rywali, i w tym celu zmyślając własne proroctwa podszywali się pod autorstwo boga. Zauważyłem, że ród klaudyjski ma na sumieniu sporo tych fałszerstw. Znalazłem wszakże jedną czy dwie przepowiednie, których archaiczny język wskazywał na dawne pochodzenie. Zdawały się wyrazem prawdziwego wieszczego natchnienia, a treść ich była tak niepokojąca, że najwidoczniej August, którego słowo było dla kapłanów Apolla rozkazem, zaprotestował przeciw włączeniu ich do oficjalnego tekstu. Wprawdzie książeczki tej od dawna już nie mam u siebie, ale pamiętam słowo w słowo najważniejszą z tych - prawdopodobnie autentycznych - przepowiedni.

Napisana była po grecku i - jak większość najdawniejszych wieszczb - przełożona żywcem na język łaciński. Brzmiała następująco:

Kiedy wiek minie od punickiej klątwy,
Rzym się ukorzy przed czuprynym mężem,
Ten mąż czupryny o rzadkiej czuprynie
Będzie kobietom mężem, mężom żoną.
Koń jego palce będzie miał miast kopyt.
Śmierć jego z ręki syna, co nie-synem,
Śmierć nie wśród walki.
Czupryny drugi, co owładnie państwem,
Będzie synem-niesynem swego poprzednika.
A głowę bujne skryją mu kędziory.

Rzym z ceglanego zrobi marmurowym,
Ujmie go w pęta, chociaż niewidoczne,
I umrze z ręki żony, co nie-żoną, Z radością syna-niesyna.
Czupryny trzeci, co owładnie państwem,
Będzie synem-niesynem swego poprzednika.
A ulepiony będzie z posoki i błota,
Ten mąż czupryny o rzadkiej czuprynie
Rzymowi klęski i triumfy zyska,
A śmierci jego będzie rad syn-niesyn.
Zginie od pierza.
Czupryny czwarty, co owładnie państwem,
Będzie synem-niesynem swego poprzednika.
Ten mąż czupryny o rzadkiej czuprynie
Błudniertwo da Rzymowi i truciznę.
Umrze kopnięty przez starego konia.
Na którym dzieckiem jeździł.
Czupryny piąty, co owładnie państwem,
Owładnie państwem pomimo swej woli.
Będzie idiotą, którym każdy gardzi.
A głowę bujne skryją mu kędziory.
Nakarmi wodą Rzym i w zimie chlebem,
A umrze z ręki żony, co nie-żoną,
Z radością syna-niesyna.
Czupryny szósty, co owładnie państwem,
Będzie synem-niesynem swego poprzednika.
Rzym odeń weźmie grajków, grozę, pożar,
Na jego rękach krewnych krew czerwona,
A czuprynego zbraknie mu następcy.
Krew z jego grobu wytryśnie.

Widocznie dla Augusta było całkiem jasne, że pierwszym z "czuprynych", czyli Cezarów (gdyż słowo caesaries oznacza czuprynę), był jego cioteczny dziad, Juliusz, który go adoptował. Juliusz miał łysinę i głośny był z rozpusty, jaką uprawiał z osobnikami obojga płci; powszechnie też było wiadomo, że jego rumak bojowy ma palce zamiast kopyt.

Juliusz, który wyszedł cało z niejednej krwawej bitwy, w końcu został zamordowany w senacie przez Brutusa. Brutus zaś uchodził powszechnie za jego naturalnego syna. "I ty, synu!" - zawołał Juliusz ujrawszy go ze sztyletem w dłoni.

O klątwie punickiej pisałem już poprzednio. W drugim z Cezarów rozpoznał August niewątpliwie samego siebie. Pod koniec życia chełpił się przecież wzniesionymi budowlami i świątyniami i twierdził, że zastawszy Rzym ceglanym, zostawia go marmurowym. W słowach tych kryła się równocześnie aluzja do politycznego dzieła Augusta, jakim było utrwalenie potęgi cesarstwa. Przepowiednia dotycząca jego śmierci musiała mu się natomiast wydać niezrozumiała lub po prostu mylna; jakieś skrupuły jednak powstrzymały go od jej zniszczenia. Kto był trzecim, kto czwartym i piątym "czuprynym", dowiemy się obszerniej z niniejszej historii. A byłbym doprawdy idiotą, gdybym, stwierdzając dokładność, z jaką dotychczas przepowiednia ta sprawdzała się we wszystkich szczegółach, nie rozpoznał szóstego "czuprynego" ; ze względu na Rzym cieszą się, że tnie nastąpi już po nim siódmy.

ROZDZIAŁ II

Ojca nie przypominam sobie wcale. Umarł, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem.

Później jako młodzieniec korzystałem z każdej sposobności, żeby zebrać jak najwięcej szczegółów dotyczących jego życia i charakteru. Wypytywałem o nie wszystkich, którzy go znali - senatorów, żołnierzy, niewolników. Marzyłem, że pierwszą moją pracą historyczną będzie biografia ojca. Już nawet zacząłem ją pisać, lecz zakaz mojej babki Liwii położył przedwcześnie kres rozpoczętemu dziełu. Pomimo to w dalszym ciągu zbierałem materiały w nadziei, że przyjdzie dzień, w którym będę mógł pracę swą podjąć na nowo. Dzień taki rzeczywiście nadszedł i właśnie niedawno ukończyłem tę biografię, ale opublikowanie jej wydaje mi się bezcelowe. Jest to książka tak na wskroś republikańska, że z chwilą kiedy dowie się o niej moja obecna żona Agryppinilla, każe ona zniszczyć wszystkie egzemplarze, a kopiści, którzy książkę przepisywali, drogo zapłacą za moją niedyskrecję. Będą się mogli uważać za szczęśliwych, jeśli nie każe połamać im rąk i poobcinać palców. Byłoby to całkiem w guście Agryppinilli. Och, jak ta kobieta mnie nienawidzi!

Na nikim w życiu nie wzorowałem się bardziej niż właśnie na ojcu - z wyjątkiem chyba mego brata Germanika. Wszyscy jednak twierdzą, że Germanik był pod każdym względem żywym wizerunkiem ojca; ta sama twarz i postawa (wyjąwszy cienkie nogi), te same przymioty ducha: odwaga, rozum, szlachetność. Toteż obaj w mych myślach zlewają się w jedną postać.

Rozpoczynając niniejszą opowieść od wspomnień dzieciństwa, nie chciałbym cofać się w przeszłość dalej niż do mych rodziców. Nie cierpię genealogii i historii rodzin. Trudno mi jednak nie poświęcić więcej miejsca babce Liwii (spośród czworga moich dziadków tylko ona jeszcze żyła, gdy się urodziłem). Jest ona, niestety, główną postacią pierwszej części tej historii, a

wielu jej postępków nie można by było zrozumieć, gdybym nie opowiedział o jej młodych latach.

Rozwiódłszy się z moim dziadkiem Liwia wyszła po raz drugi za mąż, za cesarza Augusta. Po śmierci mego ojca stała się faktyczną głową rodu; usunęła na drugi plan moją matkę, Antonię, stryja Tyberiusza - oficjalną głowę rodziny - a nawet samego Augusta, którego moźnej opiece ojciec mój w testamencie polecił swoje dzieci.

Liwia, podobnie jak mój dziadek, pochodziła z rodu Klaudiuszów, jednego z najstarszych rodów rzymskich. Sędziwi ludzie jeszcze pamiętają balladę ludową, którą o nim śpiewano. Według jej refrenu kłaudyjskie drzewo rodzi dwa gatunki owoców: słodkie jabłka i cierpkie płonki; tych ostatnich więcej niż jabłek. Do płonek ballada zalicza Appiusza Klaudiusza Pysznego, którego zamach na cześć i wolność dziewicy Wirginii wywołał oburzenie w całym Rzymie; Klaudiusza Druzusa, który za czasów republiki chciał zostać królem italskim, i Klaudiusza Pięknego. Ten, gdy święte kury nie chciały dziobać ziarna, wrzucił je do morza ze słowami: "Kiedy nie chcą jeść, to niech piją!"

Bezpośrednio po tym przegrał wielką bitwę morską. Za słodkie jabłka poeta uważa Appiusza Ślepego, który odradził Rzymianom niebezpieczny związek z królem Pyrrusem, Klaudiusza Kloca, który wypędził Kartagińczyków z Sycylii, i Klaudiusza Nerona (co w sabińskim dialekcie oznacza:

Mężnego), który Hazdrubalowi przebywającemu w Hiszpanii przeszkodził w połączeniu się z bratem, wielkim Hannibalem. Ci trzej byli to ludzie uczciwi, a równocześnie śmiali i mądrzy.

Ballada mówi też o kobietach z rodu kłaudyjskiego. I tu również jest więcej płonek niż jabłek.

Dziadek mój był jednym z najlepszych Klaudiuszów. Doszedłszy do przekonania, że tylko Juliusz Cezar jest człowiekiem zdolnym w owych ciężkich czasach zapewnić Rzymowi spokój i bezpieczeństwo, wstąpił do partii

cezariańskiej i walczył dzielnie w kampanii egipskiej. W pewnym momencie jednak zaczął podejrzewać, że Juliusz dąży do jedynowładztwa. Nie chcąc stać się narzędziem ambitnych planów imperatora, a nie mogąc otwarcie z nim zerwać, postarał się o urząd kapłana i wyjechał do Francji, gdzie zakładał kolonie weteranów wojskowych. Kiedy zamordowano Cezara, wrócił do Rzymu i wystąpił ze śmiałym wnioskiem o uczczenie zabójców tyrana. Naraził się tym młodemu Oktawianowi, adoptowanemu synowi Cezara, a późniejszemu Augustowi, i sprzymierzonemu z nim wielkiemu Markowi Antoniuszowi. Musiał więc co rychlej uciekać z Rzymu.

41 r. p.n.e.

W okresie późniejszych walk domowych łączył się to z jedną, to znów z drugą partią, zależnie od tego, po czyjej stronie widział słuszość. Towarzyszył młodemu Pompejuszowi, to znowu z bratem Marka Antoniusza walczył przeciwko Augustowi pod Peruzją w Etrurii.

Przekonał się jednak wreszcie, że August, chociaż zemstę nad mordercami swego przybranego ojca uważał za święty obowiązek, w gruncie rzeczy nie był tyranem i dążył do przywrócenia dawnych swobód. Przeszedł więc na jego stronę i Wiraż z żoną Liwia i synem Tyberiuszem, liczącym podówczas dwa lata, przeniósł się do Rzymu. Odtąd nie brał już udziału w trwającej dalej wojnie domowej, zadowalając się wypełnianiem obowiązków kapłańskich.

Babka Liwia należała do gatunku najgorszych Klaudiuszów. Może wcielił się w nią duch owej Klaudii, siostry Klaudiusza Pięknego, którą oskarżono o obrazę narodu rzymskiego. Opowiadają, że gdy pewnego razu pojazd jej musiał się zatrzymać w zatłoczonej ulicy, zawołała:

- Co za szkoda, że nie żyje mój brat! On potrafił torować sobie drogę w tłumie.

Batem!

Przechodzący przypadkiem trybun ludowy przerwał jej z oburzeniem i

przypomniał, jak przez bezbożność tego brata zginęła cała flota rzymska.

- Tym większa szkoda, że nie żyje - odparowała. - Utraciłby może niejedną jeszcze flotę i przy bożej pomocy przerzedziłby trochę tę przeklętą hałastrę. Ty, jak widzę - dorzuciła

- jesteś trybunem i cieszysz się przywilejem nietykalności, ale nie zapominaj, że my, Klaudiusze, już kilku trybunom dobrze przetrzepaliśmy skórę nie patrząc na ich nietykalność.

W podobny sposób wyrażała się Liwia o ludzie rzymskim. "Wszystko to hołota i niewolnicy - mawiała. - Rzeczpospolita była zawsze oszustwem. W rzeczywistości Rzym potrzebuje króla" Tak przynajmniej oświadczyła pewnego razu memu dziadkowi, zapewniając go, że przyjdzie moment, kiedy Marek Antoniusz, Oktawian (czyli późniejszy August) i Lepidus (bogaty, acz ślamazarny), którzy w trójkę rządząli wówczas całym państwem rzymskim, zaczną się między sobą swarzyć; wtedy on, jeśli tylko potrafi zręcznie wykorzystać swoje stanowisko najwyższego kapłana i opinię nieskazitelnego człowieka, jaką cieszył się we wszystkich stronnictwach, może sięgnąć po koronę. Dziadek spochmurniał i zagroził babce rozwodem, jeśli kiedykolwiek jeszcze wystąpi z podobną propozycją. Dawniej w małżeństwie rzymskim mąż mógł usunąć żonę z domu nie podając przyczyny do publicznej wiadomości. Zwracał wtedy posag, ale zatrzymywał dzieci. Babka więc zamilkła i pozornie ustąpiła, ale od tej chwili miłość między nimi wygasła. A Liwia poza plecami męża rozpoczęła natychmiast zabiegi w celu usidlenia Augusta.

Nie było to przedsięwzięcie zbyt trudne. August był młody i zapalczywy, a Liwia doskonale przestudiowała jego upodobania. Zresztą jak ogólnie twierdzono, była jedną z trzech najpiękniejszych w owym czasie kobiet. Wybrała Augusta, gdyż sądziła, że lepiej posłuży jej ambitnym planom niż Marek Antoniusz, nie mówiąc już o Lepidusie, z którym w ogóle nikt się nie liczył. Wiedziała dobrze, że August nie cofnie się przed niczym dla osiągnięcia celu - świadczyły o tym najlepiej proskrypcje sprzed dwu lat: zginęło wtedy dwa

tysiące rycerzy i trzystu senatorów. Kiedy już była pewna swego wpływu na Augusta, nakłoniła go do rozwiedzenia się ze Skrybonią, kobietą starszą, którą poślubił ze względów politycznych. Doniosła mu o romansie Skrybonii z bliskim przyjacielem mego dziadka.

August uwierzył łatwo i nie pytał o szczegóły. Rozwiódł się z Bogu ducha winną Skrybonią tego samego dnia, kiedy powiła mu córkę Julię. Gdy tylko dziecko przyszło na świat, kazał je zabrać matce i oddać na wychowanie żonie jednego ze swych wyzwolenców. Wtedy Liwia, która miała wówczas siedemnaście lat, o dziewięć mniej od Augusta, przyszła do mego dziadka i oświadczyła:

- Teraz się ze inną rozwiedz. Od pięciu miesięcy chodzę brzemienna, a nie ty jesteś ojcem dziecka. Ślubowałam, że nie będę mieć więcej dzieci z tchórzem - i dotrzymałam przysięgi.

Dziecko, o czym dziadek nie wiedział, było legalne. Ale ponieważ zawsze polegał na słowie żony, więc i tym razem jej uwierzył. Nie dając poznać po sobie uczuć, jakie - nim niewątpliwie miały, odrzekł krótko:

- Powiedz swojemu uwodzicielowi, żeby przyszedł do mnie. Załatwimy sprawę w cztery oczy.

Ku wielkiemu zdumieniu dziadka okazało się, że uwodzicielem jest August, którego uważał za swego przyjaciela. Nie czynił mu żadnych wyrzutów. Może pomyślał, że wina leży po stronie Liwii, która starała się usidlić nie dość odpornego na jej niezwykłą piękność młodzieńca, a może podejrzewał, że przyjaciel w głębi duszy wciąż żywi do niego urazę za ów wniosek w senacie o uczczenie zabójców Juliusza Cezara. Powiedział krótko:

- Jeżeli kochasz tę kobietę i chcesz z nią zawrzeć uczciwe małżeństwo, weź ją.

Chodzi mi tylko o to, żeby uniknąć skandalu.

August przysiągł uroczyście, że natychmiast ożeni się z Liwia i nie porzuci jej, póki mu będzie wierna. Wtedy dziadek się rozwiódł. Słyszałem, że

w całej tej historii dopatrywał się kary bogów za to, że swego czasu na Sycylii za radą żony uzbroił niewolników do walki przeciw obywatelom rzymskim. Zresztą Liwia pochodziła z tej samej co on rodziny Klaudiuszów, chciał więc i z tego powodu oszczędzić jej publicznej hańby. Ślub odbył się w parę tygodni później. Dziadek wziął udział w uroczystości; zachowywał się tak jak ojciec wydający za mąż córkę i śpiewał wraz z innymi hymn weselny. Na pewno nie uczynił tego z obawy przed Augustem. Kiedy pomyślę, jak bardzo kochał Liwie i jak przez swoją szlachetność naraził się na podejrzenie o tchórzostwo i stręczycielstwo, jestem pełen podziwu dla niego.

Liwia jednak nie potrafiła ocenić tej szlachetności; czuła się upokorzona i dotknięta tak spokojnym załatwieniem sprawy i tak obojętnym odstąpieniem jej, jakby była martwym przedmiotem niewielkiej wartości.

W trzy miesiące po ślubie przyszedł na świat mój ojciec. Przy tej sposobności Liwia poróżniła się z siostrą Augusta, a żoną Marka Antoniusza, Oktawią. Przyczyną śmiertelnej obrazy stał się grecki epigramat. Wierszyk ten słał rodziców, którym po trzech miesiącach rodzą się dzieci, zaznaczając równocześnie, że dawniej szczęście takie było udziałem jedynie kotek i suk. Jeżeli Oktawią była rzeczywiście autorką tego wiersza, to Liwia z góry i z nawiązką odpłaciła szwagierce. Autorstwo to jednak wydaje mi się mało prawdopodobne.

Oktawią sama, wychodząc za Marka Antoniusza, była brzemienna z pierwszego męża, który umarł, a przecież w myśl przysłowia: "Kulawy nie wyśmiewa się z kulawego" Poza tym małżeństwo Oktawii było zawarte ze względów politycznych i zalegalizował je specjalny dekret senatu. Nie odegrały w nim roli ani namiętność, ani osobiste ambicje.

Jeżeli kolegium kapłańskie uznało ważność związku Augusta z Liwią, stało się to głównie dzięki temu, że mój dziadek i August byli kapłanami a godność najwyższego kapłana sprawował Lepidus, który spełniał każde żądanie cesarza.

Gdy tylko Liwia przestała karmić syna, August odesłał go do domu mego dziadka, gdzie chował się razem ze swym o cztery lata starszym bratem Tyberiuszem.

Dziadek nie powierzył dzieci opiece preceptora, jak to było ogólnie w zwyczaju, lecz sam zajął się ich wychowaniem. Systematycznie wpajał w chłopców nienawiść do tyranii i miłość do dawnych ideałów sprawiedliwości, wolności, cnoty. Choć dom dziadka stał na Palatynie, tuż obok pałacu Augusta, i obaj chłopcy codziennie odwiedzali matkę, Liwia długo nie mogła przeboleć, że nie ma wpływu na wychowanie synów. Kiedy zaś dowiedziała się, jakie zasady wpaja w nich ojciec, oburzenie jej nie miało granic. Wkrótce potem dziadek mój umarł niespodzianie w czasie uczty, którą urządził dla kilku swych przyjaciół.

Wprawdzie krążyły pogłoski, że został otruty, ale ponieważ wśród gości znajdowali się August z Liwią, sprawę zatuszowano. W testamencie dziadek mianował Augusta opiekunem swych synów. Mowę pogrzebową wygłosił stryj mój Tyberiusz, liczący wówczas dziewięć lat.

August był serdecznie przywiązany do swej siostry Oktawii, toteż bardzo się zmartwił wiadomością, że Antoniusz, który zaraz po ślubie wyruszył na wojnę z Fartami, zatrzymał się po drodze w Egipcie i odnowił stosunki z Kleopatrą. Jeszcze bardziej zmartwił go krótki list, który Oktawia otrzymała od męża w następnym roku, kiedy wyjechała, aby dostarczyć mu posiłków w ludziach i pieniądzech. List doszedł w pół drogi. Antoniusz pisał w chłodnym tonie, rozkazując Oktawii natychmiast wrócić do domu i zająć się gospodarstwem; pieniądze jednak i ludzi przyjął. Liwia skrycie ucieszyła się tym zajściem. O ile bowiem Oktawia usilnie starała się załagodzić wszystkie spory między Augustem i Antoniuszem, o tyle ona nie szczędziła trudów, aby stwarzać między nimi nieporozumienia i budzić zawiść. Po powrocie Oktawii Liwia nalegała na męża, żeby zaproponował siostrze zamieszkanie u nich na stałe.

Oktawia jednak nie skorzystała z zaproszenia. Z jednej strony nie bardzo

widać wierzyła w życzliwość Liwii, z drugiej nie chciała stwarzać pozorów, że się czymkolwiek przyczyniła do wybuchu wojny, która wisiała już w powietrzu. Wreszcie Antoniusz, skuszony przez Kleopatę, posłał Oktawii list rozwodowy i wypowiedział Augustowi wojnę. Była to ostatnia z wojen domowych, pojedynków na śmierć i życie pomiędzy dwoma pozostałymi przy życiu ludźmi po - jeśli mogę użyć tej przenośni - walce orężnej wszystkich przeciwko wszystkim na arenie światowego teatru. Lepidus oczywiście żył jeszcze, ale uwięziony, bezbronny i nie posiadający nic poza imieniem, zmuszony był upaść do nóg Augusta i prosić o darowanie życia. Młody Pompejusz, drugi i ostatni człowiek o pewnym znaczeniu, którego flota przez długi czas rządziła Morzem Śródziemnym, został teraz pobity przez Augusta, a uwięziony i skazany na śmierć przez Antoniusza.

31 r. p.n.e.

Pojedynek między dwoma dawnymi triumwirami i sojusznikami trwał krótko.

Antoniusz został w bitwie morskiej pod Akcjum pobity na głowę i uciekł do Aleksandrii, gdzie odebrał sobie życie. Kleopatra poszła w jego ślady. August stał się panem podbitych przez Antoniusza ziem na Wschodzie i jedynym władcą rzymskiego imperium.

Marzenia Liwii się ziściły. Oktawia poświęciła się wychowaniu dzieci Antoniusza, a opieką swą otoczyła nie tylko jego syna z pierwszego małżeństwa, ale dziewczynkę i dwóch chłopców, których miał z Kleopatą. Cała czwórka chowała się razem z dwiema jej własnymi córkami; jedna z nich Antonia Młodsza, została później moją matką. Szlachetne postępowanie Oktawii wzbudzało w Rzymie ogólny podziw.

August rządził światem, a Liwia rządziła Augustem. Wypada mi wytłumaczyć, na czym polegał jej potężny wpływ. Dziwiono się ogólnie, że małżeństwo to pozostało bezdzietne, choć babka moja udowodniła swą płodność, a August, poza córką Julią, o której legalnym pochodzeniu nie ma

powodu wątpić, miał jeszcze, jak mówiono, czworo nieślubnych dzieci. Wiedzano też o jego gorącym przywiązaniu do mojej babki.

Tym trudniej uwierzyć w prawdę tego, co powiem. Otóż małżeństwo to nigdy nie zostało faktycznie spełnione. August, który w stosunkach z innymi kobietami składał dostateczne dowody męskiej siły, przy Liwii okazywał się zupełnym imponentem. Fakt ten da się wytłumaczyć jedynie przyczyną natury psychicznej. Wprawdzie wypadki po śmierci Cezara zmusiły Augusta do okrucieństwa, a nawet do wiarołomstwa, był w gruncie rzeczy człowiekiem pobożnym. Świadomość, że małżeństwo z Liwią sprzeniewierza się prawom boskim, stwarzała psychiczne hamulce upośledzające sprawność fizyczną.

Co do Liwii, chciała ona widzieć w Augustynie nie tyle kochanka, co narzędzie swych ambicji. Toteż nie martwiła się zbyt impotencją męża. Zwłaszcza gdy doszła do przekonania, że może użyć jej jako środka do podporządkowania jego woli swym zamierzeniom. Taktyka Liwii polegała na robieniu Augustowi nieustannych wyrzutów.

Wymawiała mu, że ją uwiódł i zmusił do porzucenia męża, którego gorąco kochała.

Jej - twierdziła - zawrócił głowę zapewnieniami namiętnej miłości, a Klaudiuszowi groził skrycie procesem o zdradę stanu. (Były to oczywiście insynuacje wyssane z palca.) i jakież ją spotkało rozczarowanie! - narzekała. Ten namiętny kochanek w ogóle nie jest mężczyzną.

Pierwszy lepszy smolarz lub niewolnik więcej ma w sobie dziarskości. Przecież sam dobrze wie, że Julia nie jest jego córką!

- Ty potrafisz tylko czulić się, cackać, całować i przewracać oczami jak śpiewający eunuch - szydziła.

Na próżno August zaklinał się, że z innymi kobietami dokazuje wyczynów godnych Herkulesa. Liwia albo udawała, że mu nie wierzy, albo zasypywała go gradem wyrzutów, że trwoni z innymi to, czego jej odmawia. Żeby nie nastroić powodu do plotek, udała pewnego razu, że zaszła w ciążę i

poroniła. Wstyd i nie zaspokojona namiętność sprawiały, że August był mocniej przywiązany do żony, niż gdyby małżeńskie pragnienia udawało się co noc zaspokoić albo gdyby mu urodziła tuzin dorodnych dzieci. Zresztą Liwia czuwała troskliwie nad zdrowiem i wygodą męża; dochowywała mu też niewątpliwie wierności, gdyż jedyną jej namiętnością była żądza, władzy. August wdzięczny za opiekę, którą nad nim roztaczała, pozwalał jej kierować sobą we wszystkich publicznych i prywatnych sprawach.

Starzy urzędnicy pałacowi opowiadali mi poufnie, że August, od czasu jak ożenił się z moją babką, nie spojrzął nawet na inną kobietę. Pomimo to w Rzymie krążyły pogłoski o romansach, które nawiązywał z żonami i córkami dygnitarzy. Po śmierci Augusta Liwia, chcąc wytłumaczyć wpływ, jaki nań wywierała, dała do zrozumienia, że jeśli mąż jej ulegał, to nie tylko dlatego, że zawsze była mu wierna, ale i dlatego, że nigdy nie przeszkadzała jego przelotnym, romansom. Osobiście jestem skłonny wierzyć, że sama rozpuszczała skandaliczne pogłoski, ażeby później mieć pretekst do robienia mu wyrzutów.

Na wypadek gdyby ktoś wątpił o autentyczności moich słów, gotów jestem wskazać źródła, skąd czerpię te ciekawe wiadomości. Historię o rozwodzie opowiedziała mi sama Liwia w ostatnim roku swego życia. O impotencji Augusta słyszałem od niejkiej Bryzeidy, garderobianej mojej matki, która poprzednio była służebną Liwii. Ponieważ miała wtedy zaledwie siedem lat, więc pozwolono jej przysłuchiwać się pewnej rozmowie, niezrozumiałej, jak przypuszczano, dla tak małego dziecka.

Jestem głęboko przekonany, że opowiadanie moje zgodne jest z prawdą, będę więc ciągnął je przynajmniej dopóty, dopóki ktoś inny nie powiąże z sobą faktów w odmienny, lecz nie mniej przekonujący sposób. Zwłaszcza że słowa Sybilli o "żonie-nieżonie" zdają się potwierdzać moje przypuszczenia.

Pisząc ten ustęp z zamiarem oczyszczenia pamięci Augusta nie powinienem pominąć jednego faktu. Opowiem go niezwłocznie, wierząc

mocno, że "uczciwość popłaca".

Otóż babka moja Liwia wpadła na bardzo chytry pomysł, dzięki któremu jeszcze bardziej umocniła swój wpływ na męża. Kiedy widziała, że namiętność nie pozwala Augustowi sypiać, podsuwała mu same piękne dziewczęta. Odbywało się to z zachowaniem wszystkich pozorów i bardzo dyskretnie. Dziewczęta, które osobiście wybierała spośród syryjskich niewolnic - August przepadał za Syryjkami - były wieczorem wpuszczane do sypialni cesarza.

Zanim weszły, słychać było krótkie pukanie do drzwi i szcęk łańcucha. Wczesnym rankiem wywabiał je ten sam sygnał. Przez całą noc nie odzywały się ani jednym słowem, robiły wrażenie sukutoów przychodzących we śnie. Liwia nigdy ani przed taką nocą, ani potem nie robiła do niej najlżejszej aluzji, nie dawała też poznać po sobie zazdrości, o którą ją August, jako żonę, musiał posądzać. Dyskrecja, z jaką postępowała, i wierność, której mu dochowała mimo to, że wobec niej okazywał się impotentem, były dla Augusta najlepszym dowodem jej prawdziwej miłości. Można by wprawdzie wysunąć zastrzeżenie, że August ze względu na swoje stanowisko mógł mieć najpiękniejsze kobiety świata, wolne czy niewolne, zamężne czy niezamężne, i nie potrzebował wcale udziału Liwii, aby zaspokoić swe żądze. To prawda.

Lecz jest również prawdą, że jak sam - choć prawdopodobnie w innym sensie - powiedział, od czasu małżeństwa z Liwia nie wziął do ust kęska, którego by mu ona nie podała.

Liwia nie miała więc powodu być zazdrosną o kobiety, z wyjątkiem jednej, swej szwagierki Oktawii, której piękność budziła tyleż zachwyty, co przymioty charakteru.

Odczuwała specjalną, nie pozbawioną złośliwości radość w okazywaniu jej współczucia z powodu niewierności Antoniusza. Równocześnie starała się wmówić w Oktawie, że to ona sama jest winna, że ubiera się zbyt skromnie i zachowuje się zbyt powściągliwie.

Marek Antoniusz - tłumaczyła - to człowiek bardzo zmysłowy; jeśli

kobieta chce go utrzymać przy sobie, nie może hołdować surowym obyczajom matrony rzymskiej; powinna przejąć cokolwiek z miłosnego kunsztu i wyrafinowanych sposobów, jakimi posługują się wschodnie kurtyzany.

- Weź choć w setnej części przykład z Kleopatry. Spójrz! Ta Egipcjanka, brzydsza i starsza od ciebie o osiem, dziewięć lat, wie, jak podniecać jego zmysły. A mężczyźni tego typu co Antoniusz, prawdziwi mężczyźni, przekładają rzeczy osobliwe nad powszednie. Wolą robaczywe kwargle poza domem niż świeżutkie gomółki w domu - zakończyła sentencjonalnie.

- Możesz sobie schować te kwargle odburknęła gniewnie Oktawia.

Liwia ubierała się strojnie i bogato i używała najkosztowniejszych azjatyckich pachnideł, otoczeniu swemu jednak nie pozwalała na żadne zbytki i chełpiła się tym, że w domu jej panuje staroświecki obyczaj rzymski. Pożywienie proste, lecz obfite, systematyczne przestrzeganie obrzędów kultu domowego, żadnych ciepłych kąpielii po posiłku, stałe zajęcie dla każdego - to były zasady Liwii. Słowo "każdy" dotyczyło nie tylko niewolników i wyzwolenców, lecz i członków rodziny. I tak od biednej małej Julii wymagała, żeby dawała innym przykład pracowitości. Dziewczynka ta miała rzeczywiście ciężkie życie.

Codziennie dostawała porcję wełny do przędzenia, z której potem tkala i szyła suknie. Aby podołać tej robocie, musiała wstawać ze swego twardego łóżka o świcie, a w zimowych miesiącach nawet przed świtem. Ponieważ zaś Liwia była zwolenniczką takiego samego wykształcenia dla dziewcząt jak dla chłopców, więc pasierbica jej prócz wszystkich innych obowiązków musiała wyuczyć się na pamięć całej Iliady i Odysei.

Julia na żądanie Liwii musiała też prowadzić szczegółowy dziennik, w którym notowała, co robiła, jakie książki czytała, o czym rozmawiała i tak dalej. Było to dla dziewczynki bardzo uciążliwe. Kiedy wyrosła na piękną pannę, nie wolno jej było zawierać znajomości z mężczyznami. Kiedyś w Bajach pewien młodzieniec starego rodu i nieposzlakowanej opinii, syn konsula, okazał się na

tyle śmiały, że pod jakimś zręcznie wymyślonym pretekstem zbliżył się do Julii, kiedy ta w towarzystwie matrony odbywała swój półgodzinny spacer nad morzem. Liwia, która zazdrościła Julii jej urody i miłości Augusta, napisała do młodzieńca list, zapowiadając mu w surowych słowach, że może się nawet nie ubiegać o publiczne urzędy; nie otrzyma żadnej godności za rządów tego, którego córkę naraził swą poufałością na obmowy. Pasierbicy zaś zakazała za karę spacerów poza obrębem willi. W tym czasie Julia zupełnie wyłysiała. Nie ręczę, czy nie maczała w tym palców Liwia.

Nie jest to całkiem wykluczone, choć z drugiej strony łysienie było cechą charakterystyczną w rodzinie Cezara. August wynalazł egipskiego perukarza, mistrza w swoim zawodzie, a ten zrobił Julii sploty, jakich oko ludzkie nie widziało. Wyglądała teraz jeszcze piękniej niż poprzednio, chociaż natura nie dała jej bujnych włosów. Opowiadano, że nie była to zwykła peruka, lecz skalp zdarty z głowy jakiejś niemieckiej księżniczki i dokładnie przystosowany do wymiarów czaszki Julii. Smarowanie skalpu od czasu do czasu specjalną maścią miało zapobiegać jego obumarciu. Osobiście jednak uważam to opowiadanie za bajkę.

Wszyscy w Rzymie wiedzieli, że Liwia krótko trzyma Augusta i że cesarz, jeśli się nie boi żony, to w każdym razie za wszelką cenę stara się uniknąć z nią zwady.

Pewnego dnia, jako cenzor, zwrócił uwagę kilku bogatym Rzymianom, że żony ich nadmiernie się stroją w klejnoty.

- Taki zbytek w stroju nie przystoi kobiecie - oświadczył. - Obowiązkiem męża jest go powściągnąć u żony. - W tym miejscu uniesiony niefortunnym zapalem krasomówczym dodał: - Mnie samemu nieraz wypada skarcić żonę z tego powodu.

Zganieni z zadowoleniem przyjęli to oświadczenie.

- Auguście - prosili - powiedz nam, w jakich słowach karcisz Liwie, żebyśmy się mogli na tobie wzorować.

August stał zakłopotany i zaniepokojony.

- Nie zrozumieliście mnie - rzekł. - Nie powiedziałem, że miałem kiedy powód karcić Liwie. Wiecie dobrze, że jest ona wzorem cnotliwej matrony. Ale bez wątplenia nie zawahałbym się wyłajac ją, gdyby zapomniawszy o swej godności, ubrała się tak jak żona niejednego z was i wyglądała niby aleksandryjska tancerka, którą dziwny kaprys losu uczynił armeńską królową wdową.

Tego samego wieczoru Liwia postawiła Augusta w kłopotliwej sytuacji. Zjawiała się bowiem przy kolacji w najwspanialszym stroju, jaki kiedykolwiek miała, a do którego natchnieniem była jedna z królewskich toalet Kleopatry. Cesarz wyszedł z tej osobliwej sytuacji obronną ręką - podziękował żonie za dowcipną i aktualną parodię wady, którą potępił z rana.

Liwia zmądrzała od owego czasu, gdy namawiała mego dziadka do włożenia na głowę diademu i obwołania się królem. Tytuł królewski był wciąż znienawidzony w Rzymie od panowania niepopularnej dynastii Tarkwiniuszów, której według legendy kres położył Brutus Pierwszy (nazywam go tak dla odróżnienia od Brutusa Drugiego, zabójcy Cezara).

Wygnał rodzinę królewską z Rzymu i został obrany jednym z dwu pierwszych konsulów Rzeczypospolitej Rzymskiej. Obecnie Liwia rozumiała, że August może zrezygnować z tytułu, byleby dzierżył w swym ręku istotną władzę królewską. Idąc za radami żony połączył on w swej osobie wszystkie najważniejsze godności rzymskie. Był konsulem, a jeśli odstępował ten urząd zaufanemu przyjacielowi, obejmował w zamian dyktaturę, która, choć nominalnie stała na równi z konsulatem, w praktyce dawała władzę nad nim i nad wszystkimi innymi urządami. August dzierżył też w swoim ręku zarząd prowincji, których namiestników mógł mianować wedle uznania; był naczelnym dowódcą armii; miał prawo robienia nowych zaciągów, zawierania pokoju i wypowiedzania wojny. W Rzymie ofiarowano mu dożywotnią godność trybuna ludowego. Dzięki temu stał się nietykalny i mógł uchylać rozporządzenia innych

urzędników, podczas gdy do jego własnych nikt nie miał prawa się mieszać.

Tytuł imperatora, który dawniej oznaczał tylko naczelnego wodza, a dopiero ostatnio zaczął być używany na określenie jedynowładcy, przyznał też innym zasłużonym wodzom. Był również cenzorem, co zapewniało mu wpływ na dwa stany: senatorski i rycerski. Pod pretekstem niemoralnego prowadzenia się mógł wykreślić każdego z listy senatorów lub rycerzy, pozbawić go urzędu i przywilejów. Ten dowód niełaski odczuwano bardzo boleśnie.

Zarządzał też skarbem państwa. Wprawdzie był obowiązany do składania sprawozdań, lecz nie znalazł się śmiałek, który by ich przedłożenia zażądał. Wiedzano ogólnie, że rozgraniczenie skarbu i prywatnej szkatuły było bardzo płynne.

Tak więc skupiał w swym ręku naczelne dowództwo armii, władzę prawodawczą, gdyż uległy senat uchwalał każdy wniosek cesarza, zarząd finansów i dozór nad obyczajnością, a osoba jego była nietykalna. Miał też prawo skazania w trybie doraźnym każdego obywatela, prostego chłopca czy senatora, na śmierć lub dożywotnie wygnanie.

Ostatnio przyjął godność najwyższego kapłana, co dawało mu rozstrzygający głos we wszystkich sprawach religijnych. Senat był gotów przyznać mu każdy tytuł z wyjątkiem tytułu króla, obawiano się bowiem narazić ludowi.

August miał ochotę przyjąć imię Romulusa. Lecz Liwia przekonała go, że przyjęcie imienia należącego ongiś do króla jest krokiem bardzo ryzykownym i może narazić go na zarzut bluźnierstwa, gdyż Romulusa zaliczono w poczet bóstw opiekuńczych Rzymu.

W rzeczywistości jednak uważała, że tytuł taki byłby zbyt skromny. Romulus bowiem był właściwie zwykłym dowódcą bandy rozbójników i nie należał do najwyższych bogów.

Tak więc za radą żony dał do zrozumienia senatowi, że miły byłby mu tytuł Augusta, a senat uczynił zadość życzeniu władcy. Słowo augustus łączyło

się z wyobrażeniem jakiegoś prawie boskiego majestatu; w porównaniu z nim pospolity tytuł króla był po prostu niczym.

Iluż bowiem zwykłych królów składało haracz Augustowi! Ilu, zakutychem w łańcuchy, szło za rydwanem triumfatora! Czyż nawet wielki król dalekich Indii zasłyszawszy o potędze Augusta nie przysłał posłów do Rzymu z prośbą o pomoc i przyjaźń? Przywieźli wtedy z sobą wspaniałe dary, kosztowne materie jedwabne i koronki, rubiny, szmaragdy, sardonyksy, tygrysie oczka, nie widziane jeszcze w Europie; wraz z nimi przyjechał bezręki chłopiec, Hermes, który pokazywał niezwykle sztuczki nogami. Czyż August nie położył kresu dynastii egipskiej, której początki sięgały pięciu wieków przed założeniem Rzymu? I jakież znaki nie towarzyszyły temu wielkiemu przewrotowi historycznemu? Czyż nie ukazywały się na niebie ogniste tarcze, czy nie padały krwawe deszcze? Czy na głównej ulicy Aleksandrii nie pojawił się olbrzymi wąż i czyż nie zasyczał głośno? Czy nie ukazały się duchy zmarłych faraonów?

Czy posągi ich nie marszczyły groźnie brwi? Czy w Memfis święty byk Apis nie zaryczał boleśnie, a potem się nie rozplakał? Wszystko to utwierdzało Liwie w jej przekonaniach.

Kobiety przeważnie zakreślają dość skromne granice swym ambicjom; rzadko która odważy się na śmielsze plany. Dla Liwii jednak nie istniały żadne granice. Na to, co u każdej innej kobiety wydawałoby się szaleństwem, ona porywała się z zimną krwią i wyrachowaniem. Nawet ja, który miałem tyle sposobności ją obserwować, dopiero z czasem nauczyłem się odgadywać, do jakiego właściwie celu dąży. A i wtedy zdarzało się, że gdy ostatecznie odkrywała karty, wprawiała mnie w zdumienie. Może jednak będzie właściwiej opowiedzieć wypadki w porządku historycznym, nie zatrzymując się na razie nad skrytymi motywami postępowania Liwii.

Za radą żony August wymógł na senacie wprowadzenie kultu dwóch nowych bóstw, a mianowicie: bogini Romy, symbolu niewieściej duszy rzymskiego imperium, i półboga Juliusa, herosa wojennego, który był

apoteozowanym Juliuszem Cezarem. (Cześć boską oddawano Cezarowi na Wschodzie jeszcze za życia; fakt, że się temu nie sprzeciwił, był jednym z powodów, dla których go zamordowano.) August rozumiał doskonale, że łączność religijna silniej wiąże prowincje z Rzymem niż strach lub wdzięczność. Zdarzało się nieraz, że rodowity Rzymianin, po dłuższym pobycie w Egipcie lub Azji Mniejszej, zaczynał czcić tamtejsze bóstwa, a zapominał o swoich, które stawały się dla niego tylko pustym dźwiękiem.

Z drugiej strony w Rzymie uznawano rozliczne religie podbitych ludów, a w samym centrum miasta wznosiły się wspaniałe świątynie, na przykład Izydy lub Cybeli, przeznaczone zaiste nie tylko dla cudzoziemców. Wydawało się więc słuszne, aby Rzym, odwzajemniając się, ofiarował podbitym ludom swoje własne bóstwa. Roma i Julius były właśnie przeznaczone dla obywateli rzymskich zamieszkujących prowincje i miały im przypominać o ich pochodzeniu.

Następnie Liwia postarała się o to, że do stolicy przybyły delegacje miast nie posiadających pełnego prawa obywatelskiego z prośbą, aby i im pozwolono czcić oficjalnie któreś z bóstw rzymskich. August za radą Liwii półzartem oświadczył senatowi, że nie można odmawiać biedakom jakiegoś skromnego boga, choć oczywiście nie zasługują na bóstwa najwyższe, jak Roma i Julius. Wtedy powstał Mecenas, minister, z którym August poprzednio już omawiał projekt przyjęcia imienia Romulusa, i rzekł:

- Dajmy im więc boga, który będzie czuwał nad nimi. Dajmy im Augusta.

August udał zmieszanie, ale przyznał, że wniosek Mecenasa jest rozsądny.

Rozpoczął od tego, że na Wschodzie oddawanie czci boskiej władcom jest ogólnie przyjęte i państwo rzymskie mogłoby z tego zwyczaju wyciągnąć dla siebie korzyść. Oczywiście, niemożliwością jest wprowadzenie kultu całego senatu in corpore i wystawienie w każdym mieście sześciuset przybytków. Uniknąć tego można w ten sposób, że senat będzie czczony w osobie swego

przedstawiciela, którym byłby tak zwany pierwszy senator, czyli on sam.

Każdemu z senatorów pochlebiało to, że będzie jedną sześćsetną częścią bóstwa, i wniosek Mecenasa przeszedł bez przeszkód, a wkrótce w Azji Mniejszej powstały przybytki Augusta. Kult rozszerzał się początkowo w prowincjach pogranicznych, które były pod bezpośrednią władzą cesarza, nie wprowadzano go natomiast do prowincji bliższych, zarządzanych nominalnie przez senat, ani do samego Rzymu.

August aprobował zarówno wychowawcze metody Liwii w stosunku do Julii, jak i jej zarządzenia gospodarcze. Sam miał bardzo skromne upodobania. Odznaczał się tak niewrażliwym podniebieniem, że nie potrafił odróżnić smaku świeżej oliwy od zjełczałych resztek tłuszczu, jaki się otrzymywało przepuszcivszy oliwki trzeci raz przez prasę. Odzież nosił tkaną w domu.

Chociaż Liwia była wcielonym potworem, trzeba sprawiedliwie przyznać, że gdyby nie jej niestrudzona działalność, August nigdy nie dokonałby tak olbrzymiego dzieła, jakim było przywrócenie państwu rzymskiemu, po tylu klęskach wojen domowych, spokoju i równowagi. August pracował czternaście godzin na dobę. Liwia, jak mówiono, dwadzieścia cztery. Nie tylko zarządzała całym wielkim gospodarstwem domowym, ale na równi z mężem zajmowała się wszystkimi sprawami państwa. Tomów trzeba by na to, żeby spisać same tylko reformy, jakie przeprowadzili wspólnie w dziedzinie ustawodawstwa, stosunków społecznych, administracji, religii, wojska! Nie mówię już o robotach publicznych, które podejmowali, o świątyniach, które podnieśli ze zniszczenia, o koloniach, które założyli.

Pomimo to niejednen z wybitnych mężów starszej generacji nie mógł zapomnieć, że ta wspaniała odbudowa państwa opłacona została krwią przeciwników politycznych bądź zabitych na polu walki, bądź skrytobójczo wymordowanych, bądź skazanych na śmierć.

Gdyby absolutyzm Augusta i Liwii nie krył się pod maską tradycyjnych rzymskich swobód, nigdy ich władza nie byłaby się tak długo utrzymała. Lecz

mimo to nie zabrakło kandydatów na Brutusa, którzy czterokrotnie w ciągu życia Augusta próbowali zorganizować przeciw niemu spisek.

ROZDZIAŁ III

Imię "Liwia" pozostaje w etymologicznym związku z łacińskim słowem oznaczającym złośliwość. Babka moja była doskonałą aktorką: okazywała na zewnątrz tylko to, co chciała okazać. Podziwiano więc jej nienaganne prowadzenie się, bystrość umysłu i wytworność manier. W rzeczywistości nikt jej nie lubił. Złośliwość może nakazać respekt, ale nie sympatię. Spokojni, lecz przeciętni ludzie w dziwny sposób odczuwali w obecności Liwii swą własną mierność duchową i umysłową.

Proszę wybaczyć, że tyle piszę o tej postaci. Ale jak tego uniknąć? Jak wszystkie uczciwe rzymskie historie, tak i ta pisana jest wedle recepty "od jajek do jabłek" *.[* Czyli od początku do końca, jako że Rzymianie podawali do stołu najpierw jajka, na ostatku owoce, zwłaszcza jabłka. Stąd powiedzenie: ab ovo usque ad mala.] Osobiście wolę tę rzymską, niczego nie pomijającą dokładność niż metodę Homera i w ogóle Greków, albowiem zaczynają oni od razu od środka, a później, zależnie od tego, co im strzeli do głowy, cofają się lub wybiegają naprzód. Nieraz przychodziło mi na myśl, aby dla tych współrodaków, którzy nie mają szczęścia znać języka greckiego, napisać łacińską prozą historię trojańską.

Zacząłbym od jajka, z którego wykluła się Helena, a skończyłbym na jabłkach podanych na deser podczas uczty wyprawionej przez Odyseusza po powrocie do domu i pokonaniu zalotników. Wypadki, pomijane przez Homera lub zbywane kilku słowami, uzupełniłbym naturalnie według późniejszych poetów lub wcześniej żyjącego Daresa. Opowiadanie jego, choć pełne poetyckiej fantazji wydaje mi się wiarygodniejsze niż Homera. Dares bowiem brał osobiście udział w wojnie najpierw po stronie trojańskiej, a następnie greckiej.

Oglądałem kiedyś starą cedrową szkatułę pochodzącą, zdaje się, i z

północnej Syrii.

Kiedy ją otworzyłem, zobaczyłem na wewnętrznej stronie dziwny obraz z napisem: „Królowa Trucizna”. Twarz alegorycznej postaci przedstawiającej truciznę, choć namalowana przed stu z górą laty, do złudzenia przypominała twarz Liwii. W związku z tym wypada mi opowiedzieć o Marcellusie, synu Oktawii z poprzedniego małżeństwa. August był bardzo do niego przywiązany; adoptował go, obdarzył urzędem bardzo poważnym jak na młody wiek chłopca i ożenił z córką swą Julią. Ogólnie sądzono w Rzymie, że uczyni Marcellusa swym następcą. Liwia nie sprzeciwiała się adopcji. Przeciwnie, zdawało się, że przyjęła ten fakt ze szczerym zadowoleniem i okazując Marcellusowi jak największą życzliwość, starała się pozyskać jego sympatię i zaufanie. Serdeczność jej uczuć w tym wypadku zdawała się nie ulegać najmniejszej wątpliwości. Ona to nakłoniła Augusta, by obdarzał siostrzeńca coraz to większymi godnościami, a Marcellus, wiedząc o tym, okazywał Liwii należną wdzięczność.

Nieliczni tylko i co bystrzejsi domyślali się, że istotnym motywem takiego postępowania Liwii jest chęć obudzenia zazdrości w Agryppie. Agryppa był w Rzymie najwybitniejszym po Auguście człowiekiem. Pochodził wprawdzie z niskiego rodu, lecz był najstarszym przyjacielem cesarza i wodzem chlubiącym się największą liczbą zwycięstw na lądzie i na morzu. Jak dotąd Liwia dokładała wszelkich starań, żeby stosunki między Augustem i Agryppą układały się jak najlepiej. Był to człowiek ambitny, ale do pewnego tylko stopnia: nigdy by nie rywalizował z Augustem, którego uwielbiał.

Wystarczało mu, że był najzaufanym ministrem cesarza. Ponadto był szczególnie drażliwy na punkcie swego pochodzenia; drażliwość tę Liwia, występująca jako wielka pani z patrycjuszowskiego rodu, potrafiła zawsze odpowiednio wykorzystać. Wartość, jaką Agryppa przedstawiał dla Augusta i Liwii, nie polegała jednak wyłącznie na jego zasługach, jego lojalności i popularności, jaką się cieszył wśród ludu i w senacie. Liwia potrafiła tak

pokierować opinią, że Agryppa uchodził ogólnie za poręczyciela demokratycznych dążeń Augusta. Kiedy po zwycięstwie nad Antoniuszem odbyła się w senacie owa sławna, z góry ukartowana debata między Augustem a jego dwoma przyjaciółmi, Mecenasem i Agryppą, Agryppa odradzał Augustowi przyjęcie ofiarowywanej mu władzy; w końcu, ustępując wobec argumentów Mecenasów i entuzjastycznych próśb senatu, oświadczył, że tylko pod tym warunkiem zostanie Augustowi wierny, jeśli ten pożytecznego zwierzchnictwa nie zmieni w tyrańską samowolę.

Odtąd uchodził za demokratę i puklerz republikańskich swobód przeciwko ewentualnym zakusom tyranii. Co zaaprobował Agryppa, miało aprobatę całego ludu. Ci więc, którzy się domyślali motywów postępowania Liwii, uważali, że budząc w Agryppie zazdrość o Marcellusa, prowadzi grę bardzo niebezpieczną. Toteż śledzili wypadki z największym napięciem. Być może uczucia Liwii do Marcellusa były udane i w rzeczywistości dążyła do tego, żeby go usunął podjudzony przez nią Agryppa. Krążyły pogłoski, jakoby ktoś z rodziny Agryppy ofiarował się wszcząć sprzeczkę z Marcellusem i zabić go, ale Agryppa, choć trawiony zazdrością, był zbyt uczciwy, żeby przyjąć podobnie nikczemną propozycję.

Jak ogólnie przypuszczano, August uczynił Marcellusa swym głównym spadkobiercą po to, żeby przekazać mu nie tylko swe niezmierne bogactwa, ale i państwo.

Wiedziano zaś, że Agryppa, choć był Augustowi zupełnie oddany i nie żałował, że go poparł w decydującym momencie, jako dobry patriota nie zgodziłby się nigdy na monarchię dziedziczną.

Lecz Marcellus cieszył się obecnie nie mniejszą popularnością niż Agryppa i niejednen z dobrze urodzonych i zajmujących pewne stanowiska młodych ludzi, dla których kwestia: monarchia czy republika, była zagadnieniem czysto akademickim, starał się o względy Marcellusa jako następcy Augusta. Z tej ogólnej gotowości akceptowania monarchistycznej

formy rządu Liwia zdawała się zasadniczo zadowolona, oświadczyła jednak prywatnie, że w razie - od czego niech bogi chronią - śmierci lub niezdolności Augusta do rządów, kierownictwo spraw państwowych do chwili powzięcia przez senat ostatecznej uchwały musi być powierzone bardziej doświadczonym rękom niż Marcellusa. Ale Marcellus był do tego stopnia ulubieńcem Augusta, że choć zazwyczaj opinia Liwii stawała się później edyktem cesarskim, tym razem nie przywiązywano wagi do jej słów i coraz więcej osób zabiegało o jego względy.

23 r. p.n.e.

Przenikliwi obserwatorzy zadawali sobie pytanie, jak Liwia wybrnie z tej sytuacji, lecz szczęście zdawało się jej sprzyjać. Lekkie zaziębienie, jakiego nabawił się August, nabrało niespodzianie poważnego charakteru: towarzyszyła mu gorączka i wymioty.

A choć Liwia własnoręcznie przygotowywała mężowi posiłki, osłabiony żołądek nie trawił niczego.

August z dnia na dzień coraz bardziej opadał z sił i wreszcie poczuł, że zbliża się śmierć.

Nieraz zwracano się do niego z prośbą o wskazanie następcy, lecz dotychczas zawsze odmawiał. Lękał się politycznych konsekwencji takiego kroku myśl o śmierci napełniała go głęboką odrazą. Teraz jednak poczuł, że obowiązkiem jego jest mianować następcę, i zasięgnął w tej sprawie rady Liwii. Oświadczył, że choroba odebrała mu jasność myśli, więc gotów jest zastosować się do rady, której mu udzieli. Kiedy zgodził się na zaproponowaną przez nią kandydaturę, Liwia posłała po drugiego konsula, wyższych urzędników, wybitniejszych senatorów i przedstawicieli rycerstwa. Zgromadzili się wszyscy przy łożu konającego. August, zbyt osłabiony, by mówić, wręczył tylko konsulowi wykaz sił zbrojnych państwa i sprawozdanie skarbowe; następnie skinął na Agryppę i oddał mu swój sygnet. W ten sposób chciał zaznaczyć, że ma po nim objąć władzę, lecz w ścisłym współdziałaniu z konsulami. Była to

wielka niespodzianka, wszyscy bowiem sądzili, że wybór padnie na Marcellusa.

Zaledwie August dokonał tego aktu, zaczął powracać do zdrowia w cudowny po prostu sposób; gorączka nagle spadła, a żołądek znów zaczął przyjmować pokarm.

Uzdrowienie to przypisano jednak nie tyle staraniom Liwii, która przez cały czas choroby pielęgnowała męża, ile niejakiemu Muzie. Był to lekarz mający nieszkodliwego zresztą bzika na punkcie zimnych okładów i zimnych odwarów. August z wdzięczności za wyleczenie ofiarował mu tyle złota, ile sam ważył, a senat podwoił nagrodę. Ponadto Muza, chociaż był wyzwolencem, otrzymał tytuł rycerski, co dało mu prawo noszenia złotego pierścienia i ubiegania się o urzędy publiczne. Dziwniejsze natomiast wydaje się uchwalenie przy tej sposobności przez senat dekretu, mocą którego wszyscy lekarze zostali zwolnieni od podatków.

Decyzja Augusta była dla Marcellusa ciosem niezmiernie bolesnym. Miał on wtedy zaledwie dwadzieścia lat i względy, jakimi darzył go wuj, wyrobiły w młodzieńcu przesadne mniemanie o własnych zdolnościach i politycznym znaczeniu. Pałając żądzą odwetu pozwolił sobie kiedyś podczas uczy na grubiańskie zachowanie wobec Agryppy. Ten z trudem się pohamował. Fakt jednak, że nie wyciągnął z tego zachowania żadnych konsekwencji, kazał przypuszczać zwolennikom Marcellusa, że Agryppa po prostu się go boi. Zaczęli nawet opowiadać, że jeśli August w ciągu roku czy dwóch nie zmieni swojej decyzji, Marcellus posunie się do zamachu stanu. Ponieważ Marcellus nie usiłował pohamować zapędów swoich stronników, rozzuchwalali się coraz bardziej i coraz częściej dochodziło do awantur między nimi a partią Agryppy. Agryppa, dumny z tytułu najwyższych urzędów, które piastował, z tytułu bitew, które wygrał, był w najwyższym stopniu poirytowany bezczelnością "tego smarkacza", jak zwykł nazywać Marcellusa. Poirytowany i równocześnie zaniepokojony. Zajścia bowiem, które miały miejsce, mogłyby wskazywać, że między nim a Marcellusem toczy się walka o to, który z nich po śmierci

Augusta włoży na palec pierścień cesarski. Walka taka wydawała mu się wysoce niewłaściwa i za wszelką cenę chciał uniknąć podejrzeń, że dobrowolnie bierze w niej udział. Postanowił więc cały ciężar odpowiedzialności zwalić na Marcellusa, który pierwszy rozpoczął kroki agresywne, i w tym celu powziął decyzję opuszczenia Rzymu.

Zgłosił się więc do Augusta i poprosił o nominację na namiestnika Syrii. Kiedy August spytał o powód tak nieoczekiwanej prośby, odparł, że widzi możliwość zawarcia z królem Partów korzystnej umowy. Chce go mianowicie nakłonić, żeby w zamian za syna, który jako zakładnik bawił na dworze Augusta, zwrócił Rzymowi orły pułkowe i jeńców wziętych do niewoli w wojnie przed trzydziestu laty. O kłótni z Marcellusem nie wspomniał ani słowa.

Augustowi ta kłótnia bardzo już dokuczyła; uczucie tyloletniej przyjaźni dla Agryppy walczyło z pełną pobłażliwością miłością ojcowską, jaką czuł dla Marcellusa. Nie zdobył się nawet na należyłą ocenę szlachetności przyjaciela, gdyż tym samym musiałby się przyznać do własnej słabości. Toteż nie napomknął ani słowem o tej sprawie, przyznał, że istotnie byłoby rzeczą bardzo ważną odzyskać orły i jeńców, jeśli jeszcze któryś z nich żyje, i zapytał Agryppę, kiedy ma zamiar wyruszyć. Ten, zaskoczony zachowaniem Augusta, nie zrozumiał motywów, które nim kierowały. Przypuszczał, że cesarz chce się go pozbyć i daje wiarę pogłoskom o rywalizacji z Marcellusem. Podziękował więc za pozwolenie, w chłodnych słowach zapewnił o swej lojalności i przyjaźni i oświadczył, że gotów jest odpłynąć następnego dnia.

Nie udał się jednak do Syrii. Dopłynął tylko do wyspy Lesbos i stamtąd wysłał swego zastępcę, aby objął zarząd prowincji. Agryppa wiedział, że pobyt na Lesbos będzie uważany za rodzaj wygnania, na które się naraził z powodu Marcellusa. Gdyby zaś udał się do Syrii, stworzyłby pozory przeciw samemu sobie. Przeciwnicy nie omieszkiliby rozgłosić, że wyjechał na Wschód, aby tam zebrać armię i wyruszyć z nią na Rzym. Równocześnie pochlebiał sobie, że August nie obejdzie się długo bez jego pomocy, gdyż był święcie przekonany,

że Marcellus zamierza siłą zagarnąć władzę. Wyspa Lesbos znajdowała się stosunkowo niedaleko Rzymu. Agryppa, pamiętając o swej urzędowej misji, wysłał do króla partyjskich posłów, nie miał jednak nadziei załatwić sprawy od ręki. Zawarcie korzystnego układu ze wschodnim władcą wymaga dużo czasu i dużo cierpliwości.

Marcellusa obrano edylem; był to jego pierwszy publiczny urząd i młodzieniec skorzystał z tej sposobności, aby urządzać wspaniałe igrzyska. Nie tylko kazał rozpiąć nad teatrem zasłony chroniące widzów od słońca i deszczu, a wnętrza przystroił bogatymi oponami, lecz cały Rynek przemienił w olbrzymi różnobarwny namiot. Widok, zwłaszcza w promieniach przeświecającego przez zasłony słońca, był rzeczywiście wspaniały.

Na te draperie i zasłony poszły niewiarygodne ilości czerwonych, żółtych i zielonych tkanin, które po zakończeniu igrzysk pocięto w kawałki i rozdano obywatelom na ubranie i pościel. Z

Afryki sprowadzono wielką ilość dzikich zwierząt, zwłaszcza lwów; odbyła się też walka między pięćdziesięcioma jeńcami germańskimi a tyłuż czarnymi wojownikami z Maroka.

August i Oktawia hojnie dopomogli Marcellusowi w pokryciu wydatków. Kiedy Oktawia pojawiła się w uroczystym pochodzie, przywitano ją tak hucznymi oklaskami, że Liwia z trudem powstrzymała łzy gniewu i zazdrości.

W dwa dni później Marcellus zachorował, a objawy choroby były takie same jak podczas ostatniej choroby Augusta. Posłano więc po Muzę. Stał się on niezmiernie sławny i bogaty, za zwykłą wizytę żądał tysiąc sztuk złota i bardzo się cenił. W tych wszystkich wypadkach, gdy pacjenci nie byli poważnie chorzy, samo jego nazwisko wystarczało do natychmiastowego ich wyleczenia. Rosła wiara w zimne okłady i odwary, których recepty lekarz trzymał w ścisłej tajemnicy i nie chciał zdradzić nikomu. Zaufanie Augusta do niego było tak wielkie, że nie przejmował się chorobą Marcellusa ani nie kazał przerwać igrzysk.

Pomimo jednak nieustrudzonej opieki Liwii i najzimniejszych okładów i napojów, jakie przepisywał Muza, Marcellus umarł. Rozpacz Augusta i Oktawii była nie do opisania; wypadek ten okrył żałobą całe państwo. Wielu jednak trzeźwo patrzących ludzi nie uważało śmierci Marcellusa za stratę. Ich zdaniem po śmierci Augusta Marcellus usiłowałby zostać jego następcą, co doprowadziłoby do wojny domowej między nim a Agryppą. Obecnie zaś jedynym ewentualnym następcą był Agryppa. Rozumując w ten sposób, zapomniano o Liwii niezłomnie dążącej do tego - niepoprawny Klaudiuszu, przecież obiecałeś mówić o postępkach Liwii, a nie ich motywach - żeby po śmierci Augusta w dalszym ciągu rządzić państwem przy pomocy mego ojca i Tyberiusza, który miał nominalnie sprawować władzę.

Dlatego też starała się, aby August adoptował obu jej synów.

Śmierć Marcellusa umożliwiła Tyberiuszowi małżeństwo z Julią i wszystko ułożyłoby się po myśli Liwii, gdyby w Rzymie nie wybuchły niebezpieczne zamieszki polityczne.

Pospólstwo zaczęło się domagać przywrócenia republiki. Kiedy Liwia usiłowała ze schodów pałacowych przemówić do tłumu, obrzucono ją błotem i zgniłymi jajkami. August w tym czasie wyruszył właśnie w towarzystwie Mecenasa na objazd wschodnich prowincji.

Wieść o rozruchach dotarła do niego w Atenach. Liwia w krótkich, pośpiesznych słowach donosiła, że trudno sobie wyobrazić gorszą sytuację niż obecna; za wszelką więc cenę należy uzyskać pomoc Agryppy. August natychmiast wezwał starego druha do siebie. Zaklinając go na dawną przyjaźń, prosił, aby wrócił do Rzymu i podtrzymał zachwianą wiarę w demokratyczność rządów. Lecz Agryppa zbyt długo żywił urazę, żeby z wdzięcznością pospieszyć na wezwanie. Przez trzy lata August napisał do niego tylko trzy listy, i to w tonie ściśle oficjalnym. A czyż nie powinien go być odwołać zaraz po śmierci Marcellusa?

Dlaczego ma teraz pomagać Augustowi? W rzeczywistości wszystkiemu

była winna Liwia, która fałszywie oceniła sytuację polityczną i przedwcześnie porzuciła Agryppę.

Dała nawet Augustowi do zrozumienia, że Agryppa, choć bawi na Lesbos, zna więcej szczegółów dotyczących tajemniczej choroby Marcellusa niż ktokolwiek inny. Podobno też, jak mówiła, wiadomością o śmierci zdawał się nie tyle zaskoczony, co ucieszony.

Agryppa stawiając się przed Augustem oświadczył, że zbyt długo bawił z dala od Rzymu, stracił kontakt z kołami politycznymi stolicy i nie czuje się na siłach podjąć powierzonymu zadaniu. August zląkł się, że jeśli Agryppa w tym nastroju przybędzie do Rzymu, to gotów wystąpić raczej w roli bojownika o wolność ludu niż poplecznika cesarskich rządów. Wyraziwszy więc w uprzejmych słowach swój żal, zawiązał czym prędzej Mecenasa. Ten, zapytany o radę, prosił, żeby mu wolno było w imieniu Augusta rozmówić się z Agryppą w cztery oczy. W czasie tej rozmowy miał wy badać, na jakich warunkach generał zgodziłby się spełnić żądanie cesarza. August zaklął Mecenasa na wszystkich bogów, aby zrobił to tak prędko, "jak gotuje się szparag" (ulubione wyrażenie cesarza).[* Dla zrozumienia tego osobliwego porównania wiedzieć trzeba, że August używał w mowie potocznej dziwacznych zwrotów. Chcąc określić szybkość, z jaką coś się odbywa, mawiał:

„Szybciej niż się gotują szparagi” Swetoniusz, Boski August, r. 87.]
Wtedy Mecenasa wziął Agryppę na stronę i powiedział:

- No, śmiało i otwarcie, stary druho, powiedz, czego żadasz. Rozumiem cię.

Sądzisz, że stała ci się krzywda, ale wierz mi, August miał też prawo sądzić, że jest nie mniej skrzywdzony przez ciebie. Czyż nie widzisz, że go krzywdzisz brakiem otwartości?

Obraża to zarówno jego poczucie sprawiedliwości, jak i jego przyjaźń do ciebie. Gdybyś był powiedział otwarcie, że stronnictwo Marcellusa stawia cię w bardzo dwuznacznej sytuacji, a sam Marcellus obraził cię - o czym August,

przysięgam, do dziś dnia nic nie wie - byłby zrobił wszystko, co możliwe, aby to naprawić. Jeśli mam mówić szczerze, zachowałeś się jak rozkapryszony dzieciak, August zaś potraktował cię jak pobłażliwy ojciec.

Powiadasz, że pisał do ciebie oziębłe listy? A czyż twoje były bardziej serdeczne? A jakże ty się z nim pożegnałeś? Chcę doprowadzić do zgody między wami, gdyż jeśli rozłam ten trwać będzie dłużej, wszystkim nam grozi ruina. Obaj kochacie się serdecznie, jak przystało dwóm największym Rzymianom. August oświadczył mi, że jeśli pomówisz z nim otwarcie, gotów jest odnowić dawną przyjaźń, a nawet uczynić ją jeszcze bardziej zażyłą.

- Tak powiedział?

- To jego własne słowa. Czy mogę mu opowiedzieć, jak ci przykro, żeś go obraził?

Czy mogę wytłumaczyć, że wszystko polegało na nieporozumieniu? Że opuściłeś Rzym myśląc, że August zauważył obelgę, jaką wtedy na uczenie rzucił pod twoim adresem Marcellus? Czy mogę oświadczyć, że pragniesz, aby dawne błędy poszły w niepamięć, i liczysz, że przyjaciel wyjdzie w pół drogi na twoje spotkanie?

A na to Agryppa:

- Sprytny z ciebie człowiek i dobry przyjaciel, Mecenasie. Idź, powiedz Augustowi, że jestem na jego rozkazy.

- Powiem mu to z największą przyjemnością - odparł Mecenas. - I dodam od siebie, że nie byłoby roztropnie powierzać ci teraz misji przywrócenia w Rzymie porządku, nie dając równocześnie jakiegoś poważnego dowodu osobistego zaufania.

Udał się następnie do Augusta i oświadczył:

- Ugłaskałem go już zupełnie; zrobi wszystko, czego żądasz. Ale tak jak dziecko, zazdrosne o miłość ojca do innych dzieci, chce mieć dowód, że go rzeczywiście kochasz.

Doszedłem do przekonania, że jedyna rzecz, która by mu dała pełną

satysfakcję, to małżeństwo z Julią.

August musiał decydować się szybko. Przypomniał sobie, że stosunki między Agryppą i jego żoną, siostrą Marcellusa, były od czasu rywalizacji obu mocno naprężone i że Agryppę posądzono o romans z Julią. Rad by był zasięgnąć rady Liwii, ale nie mógł zwlekać; jeśli jeszcze tym razem zrazi sobie Agryppę, nigdy już nie zyska jego pomocy.

Liwia napisała w liście: "za wszelką cenę" - miał więc pełną swobodę działania. Kazał wezwać Agryppę i wtedy odbyła się uroczysta scena pojednania, której świadkiem był Mecenas.

August powiedział, że jeśli Agryppą zechce ożenić się z Julią, będzie to dla niego dowodem, że przyjaźń, którą ceni ponad wszystkie inne, zostaje oparta na bezpiecznej podstawie. Agryppą rozplakał się z radości i prosił o przebaczenie dawnych błędów. Zapewnił, że postara się być godnym okazanej mu przez Augusta serdeczności i wspaniałomyślności.

Po powrocie do Rzymu, dokąd przybył razem z Augustem, bezzwłocznie rozwiódł się i poślubił Julię. Małżeństwo to było przez ogół przyjęte bardzo przychylnie, a uroczystości weselne odbyły się z takim przepychem i rozrzutnością, że zapomniano o wszystkich politycznych pretensjach. Autorytet Augusta wzrósł dzięki pomyślnemu zakończeniu rokowań, jakie Agryppą prowadził o zwrot pułkowych orłów rzymskich. Zostały one oddane Tyberiuszowi, jako reprezentantowi cesarza. A trzeba pamiętać, że orły te były droższe rzymskiemu sercu niż marmurowe posągi bóstw. Powróciło też kilku jeńców, ale po trzydziestodwuletniej niewoli nie było powodu cieszyć się z ich powrotu, jakby to był jakiś sukces. Większość zresztą wolała pozostać w kraju Fartów, gdzie zagospodarowali się i pożenili z autochtonkami.

Babka Liwia nie była wcale zachwycona załatwieniem sprawy z Agryppą; jedyną pociechą było dokuczenie Oktawii, której córka zostawała na lodzie. Lecz Oktawia nie dała po sobie poznać, jak bardzo obeszła ją sprawa rozwodu. Jeszcze przez dziewięć lat musiano korzystać z usług Agryppy. A gdy okazał się

już zbyteczny, zmarł nagle w swej willi na wsi.

August bawił w tym czasie w Grecji, nie przeprowadzono więc badania zwłok. Po zmarłym pozostała gromadka dzieci, trzech chłopców i dwie dziewczynki - naturalni spadkobiercy Augusta na wypadek jego śmierci. Niełatwo było teraz Liwii obejść ich roszczenia na rzecz własnych synów.

Sytuację ułatwiła sama Julia. Zakochała się bowiem w Tyberiuszu i prosiła Augusta o interwencję, grożąc, że jeśli nie skłoni pasierba do ożenienia się z nią, popełni samobójstwo.

Wobec tej groźby August ustąpił, a Tyberiusz, choć sama myśl małżeństwa z Julią była mu obmierzła, nie śmiał przeciwstawić się cesarzowi. Poślubił ją więc, rozwiódłszy się ze swą poprzednią żoną, Wipsanią, córką Agryppy z pierwszego małżeństwa, którą kochał namiętnie.

Kiedy po rozwodzie spotkał ją przypadkiem na ulicy, przystanął i długo patrzył za odchodzącą z tak beznadziejną tęsknotą w oczach, że August usłyszawszy o tym wypadku polecił, aby ze względu na obyczajność przedsięwzięto środki mające zapobiec podobnym spotkaniom w przyszłości. W obu domach wyznaczono więc specjalnych wartowników, którzy mieli czuwać nad tym, żeby eks-małżonkowie przypadkiem się nie spotkali.

Niedługo potem Wipsanią wyszła za mąż za ambitnego młodego szlachcica, niejakiego Gallusa. Muszę też, póki pamiętam, wspomnieć w tym miejscu o małżeństwie moich rodziców. Ojciec ożenił się z Antonią, młodszą córką Marka Antoniusza i Oktawii, w tym samym roku, w którym przypadła choroba Augusta i śmierć Marcellusa.

Stryj Tyberiusz był jednym ze złych Klaudiuszów. Ponury, skryty i okrutny, tylko wobec trojga ludzi powściągał swe złe skłonności. Pierwszym z nich był mój ojciec, jeden z najlepszych Klaudiuszów, pogodny, otwarty, szlachetny, drugim August, człowiek uczciwy, wesoły, serdeczny, który nie lubił Tyberiusza, ale ze względu na matkę traktował go zawsze bardzo dobrze; trzecią była Wipsania. Wpływ mego ojca ustał, a w każdym razie osłabł, z

chwila gdy obaj bracia doszli do wieku, kiedy rozpoczęli służbę wojskową, zwłaszcza że odbywali ją na dwóch przeciwległych krańcach imperium. Potem przyszedł rozwód z Wipsanią, a następnie ostygły stosunki z Augustem, urażonym źle maskowaną niechęcią Tyberiusza do Julii. Stryj mój, pozbawiony dodatniego wpływu tych trojga, stawał się coraz gorszy.

W tym miejscu wypada mi opisać jego powierzchowność. Był to wysoki mężczyzna o ciemnych włosach i jasnej cerze; rozrosły i barczysty, a tak silny, że gniótł w rękach orzechy, a twarde, niedojrzałe jabłko przebijał palcem na wylot. Gdyby nie pewna ociężałość ruchów, byłby niewątpliwie mistrzem walki na pięści. Pewnego razu, trenując z jednym z przyjaciół bez rękawic pięściarskich zaopatrzonych w ołowiane ciężarki, gołą ręką zadał cios tak potężny, że strzaskał przeciwnikowi czaszkę. Idąc wysuwał stale głowę naprzód, a oczy miał zawsze opuszczone; można by go nawet nazwać przystojnym, gdyby twarzy nie szpeciło mnóstwo pryszczycy; ponadto miał zbyt wyłupiaste oczy i zawsze był nachmurzony.

Jeżeli posągi przedstawiają go jako nieprzeciętnie pięknego mężczyznę, to tylko dlatego, że rzeźbiarze pomijali wspomniane wady. Mówił mało i tak wolno, że w rozmowie z nim zawsze miało się ochotę skończyć za niego zdanie i odpowiedzieć mu równie wolno.

Lecz kiedy występował publicznie, potrafił nadać swym słowom szczególną sugestywność.

Prędko wyłysiał i tylko z tyłu czaszki pozostało mu trochę włosów, których nie strzygł, według zwyczaju dawnych patrycjuszów. Nigdy nie chorował.

Choć w społeczeństwie rzymskim Tyberiusz nie cieszył się popularnością, był doskonałym wodzem. Wskrzesił w wojsku dawną surową dyscyplinę, ale ponieważ w czasie kampanii nie oszczędzał się, rzadko sypiał w namiocie, a jadł i pił to samo co każdy szeregowiec i zawsze pierwszy szedł na czele oddziału do ataku, więc żołnierze woleli służyć pod nim niż pod innym

dowódcą, może bardziej dobrodusznym i wyrozumiałym, ale nie wzbudzającym takiego zaufania. Tyberiusz nigdy się nie uśmiechnął do swych żołnierzy, nigdy ich nie pochwalił, często przemęczał marszami i pracą.

- Niech mnie nienawidzą, byleby słuchali - zwykł był mówić.

Pułkowników i niższych oficerów trzymał równie krótko jak szeregowców, nie było więc skarg na faworyzowanie przez niego kogokolwiek. Zresztą służba pod Tyberiuszem przynosiła pokaźne zyski. Zazwyczaj pozwalał żołnierzom plądrować i łupić nieprzyjacielskie miasta i obozy. Walczył zwycięsko w Armenii, w kraju Partów, Niemczech, Hiszpanii, Dalmacji, w Alpach i Francji.

Ojciec mój, jak powiedziałem, należał do najlepszych Klaudiuszów. Był równie silny jak jego brat, ale wygląd miał o wiele sympatyczniejszy, a jako wódz mógł się pochlubić nie mniejszymi sukcesami. Wszystkich żołnierzy traktował jak obywateli rzymskich, a więc zasadniczo bez względu na rangę i wykształcenie jako równych sobie. Nie cierpiał kar; wydał rozkaz, że, o ile to tylko możliwe, wszystkie wykroczenia przeciw dyscyplinie mają być sądzone przez towarzyszy obwinionego, którzy powinni sami dbać o dobre imię plutonu czy kompanii. Nie wolno im było tylko skazać na śmierć lub taką karę cielesną, która by czyniła winnego niezdolnym do pełnienia służby wojskowej. Jeżeli uważali, że wykroczenie przekracza ich kompetencję, powinni się zwrócić do dowódcy pułku; zasadniczo jednak życzył sobie, żeby załatwiali te sprawy między sobą. Kapitanowie, za zezwoleniem właściwego pułkownika, mogli skazać szeregowca na chłostę, ale tylko w takich wypadkach, jak tchórzostwo okazane w czasie bitwy lub okradzenie towarzysza, przestępstwa świadczące niewątpliwie o nikczemności charakteru, usprawiedliwiającej karę. Wychłostanemu nie wolno już było wracać do oddziału, przenoszono go do taborów lub do służby kancelaryjnej, co było uważane za pewnego rodzaju degradację. Żołnierz, który wyrok towarzyszy lub kapitana uważał za niesprawiedliwy, mógł się odwołać do naczelnego wodza. Było jednak mało

prawdopodobne, aby tego rodzaju wyroki w praktyce wymagały rewizji. Te metody dawały wyniki wprost cudowne, ojciec mój bowiem był sam uosobieniem cnót żołnierskich i potrafił natchnąć swych podkomendnych takim duchem, do jakiego inni dowódcy nie uważali ich nawet za zdolnych. Łatwo jednak zrozumieć, jak niebezpieczna stawała się sytuacja, gdy oddziały w ten sposób traktowane dostawały później innego wodza. Raz rozbudzone poczucie niezależności trudno odebrać. Zawsze też dochodziło do zamieszek, gdy oddziały służące pod komendą ojca dostawały się później pod komendę mego stryja. I odwrotnie, żołnierze służący pod Tyberiuszem do dyscypliny mego ojca odnosili się z niechęcią i podejrzliwością.

Przywykli bowiem wzajemnie osłaniać swoje występki i chęlić się sprytnym unikaniem kary. A ponieważ w wojsku Tyberiusza chłosta spotykała żołnierza za byle drobiazg, za to na przykład, że nie pytany śmiał się odezwać do oficera lub pozwolił sobie na zbytnią otwartość, więc blizny po razach uważano raczej za zaszczytną niż hańbiącą oznakę.

Największe zwycięstwa odniósł mój ojciec w Alpach, Francji, Niderlandach, a przede wszystkim w Niemczech, gdzie imię jego, jak sądzę, nigdy nie będzie zapomniane.

Zawsze można go było znaleźć w największym wirze walki. Ambicją jego było dokonać czynu, który w historii rzymskiej zdarzył się dwa razy tylko - zabić własnoręcznie dowódcę sił przeciwnych i zedrzeć z niego zbroję. Kilkakrotnie był już bliski celu swych marzeń, ale zawsze zdobycz wymykała mu się z rąk. Albo przeciwnik uciekał z pola bitwy, albo poddawał się, albo wreszcie w zadaniu śmiertelnego ciosu ubiegał go któryś z żołnierzy.

Weterani, kiedy opowiadali mi o ojcu, aż zachłystywali się z zachwytu.

- Och, serce rosło - mówili - gdy się patrzyło, jak wasz ojciec na swym czarnym koniu w odmęcie nieubłaganej walki bawił się w ciuciubabkę z niemieckimi wodzami.

Czasem musiał i dziesięciu z przybocznej świty powalić, nim dobił się do

znaku pułkowego a tymczasem ptaszek już wyfrunął.

Z największą zaś dumą wspominali, że służyli pod wodzem, który jako pierwszy Rzymianin przemaszerował wzdłuż całego Renu od Szwajcarii do Morza Północnego.

ROZDZIAŁ IV

Dziadek mój, jak już wspomniałem, starał się rozbudzić w swych synach przede wszystkim umiłowanie wolności. Słowa jego nauk zapadły głęboko w duszę mego ojca. Już jako mały chłopiec posprzeczał się ze starszym o pięć lat Marcellusem, któremu August nadał tytuł "przywódcy młodzieży".** [* Princeps iuventutis - najznakomitszy z młodzieży; tytuł noszony przez następcę tronu.] Tytuł ten, jak twierdził mój ojciec, został nadany tylko na czas tak zwanej "Zabawy trojańskiej" (zawodów na Polu Marsowym między konnymi oddziałami synów rycerzy i senatorów) i nie uprawniał Marcellusa do sprawowania nad chłopcami władzy sądowniczej, jaką sobie od tego czasu przywłaszczył; on, Druzus, jest wolnym obywatelem rzymskim i nigdy nie ścierpi podobnej tyranii. Przypomniawszy też, że stroną przeciwną w czasie zabawy dowodził Tyberiusz i że Tyberiuszowi właśnie przypadło w udziale zwycięstwo. W końcu wyzwiał Marcellusa na pojedynek. August ubawił się tą historią serdecznie i długi czas nie nazywał mego ojca inaczej jak "wolnym obywatelem rzymskim".

Ojciec nie lubił przebywać w Rzymie i ilekroć przyjechał do Stolicy, pragnął jak najprędzej wyrwać się z powrotem do obozu. Zbyt irytowały go mnożące się z każdym rokiem objawy służalczości i płaszczenia się przed Augustem. Pewnego roku, kiedy August z Tyberiuszem bawili we Francji, musiał, jako jeden z wyższych urzędników, dłuższy czas spędzić w Rzymie. Miał wtedy sposobność aż do obrzydzenia napatrzeć się rozpanoszonemu karierowiczostwu i politycznym intrygom. Doszedł wreszcie do przekonania, jak mi to opowiadał po latach jeden z jego przyjaciół, że więcej starorzzymskiego umiłowania wolności można znaleźć wśród prostych żołnierzy niż w całym stanie senatorskim. W tym też sensie, krótko przed śmiercią, napisał do Tyberiusza. List wysłany z obozu w środkowych Niemczech, gdzie ojciec wtedy

przebywał, tchnął wielką goryczą.

„Niczego bardziej nie pragnąłem - pisał - jak tego, by August poszedł za przykładem dyktatora Sulli. Ten, pokonawszy i zmusiwszy do uległości przeciwników, osiągnął wprawdzie w Rzymie nieograniczoną władzę, lecz zatrzymał ją w swych rękach, tylko do chwili uporządkowania spraw państwa. Dokonawszy tego, zrzekł się wszystkich zaszczytów i żył jako człowiek prywatny. Zresztą August sam niejednokrotnie oświadczał, że zamierza podobnie postąpić. Niechże więc nie zwleka, aby nie było za późno. Szeregi dawnego rycerstwa mocno się przerzedziły; proskrypcje i wojna domowa zabrały co śmielszych i uczciwszych. Niedobitki mieszały się z tłumem nowych rycerzy - jeśli można ich tak nazwać

- a sposób, w jaki jedni i drudzy odnoszą się do cesarskiej pary, coraz bardziej przypomina stosunek niewolników do panów. Niedługo Rzym gotów zapomnieć o prawdziwej wolności i ulec tyranii równie barbarzyńskiej i despotycznej jak ta, pod którą jęczą państwa Wschodu.

Nie dlatego - pisał dalej - odbyłem tyle uciążliwych kampanii pod naczelnym dowództwem Augusta, aby przyspieszyć nadejście takiej klęski. August był mi drugim ojcem, ale ani miłość, ani głęboki podziw, jaki dlań żywię, nie mogą mnie powstrzymać od powiedzenia tego, co czuję”

Następnie zapytywał Tyberiusza, co sądzi o tym, by we dwóch spróbowali nakłonić, a w razie potrzeby nawet zmusić Augusta do ustąpienia.

„Jeśli się zgodzi, będę go tysiąc razy więcej kochał i podziwiał. Musimy jednak pamiętać, że największą przeszkodą w urzeczywistnieniu tych planów będzie, niestety, nasza własna matka. Jest to kobieta żądna władzy, która zaspokojenie swych wygórowanych ambicji znajduje w skrytym wywieraniu wpływu na rządy.”

Nieszczęście chciało, że kiedy wprowadzono kuriera, Tyberiusz znajdował się właśnie w towarzystwie Augusta i Liwii.

- Poczta od waszego szlachetnego brata - zawołał posłaniec oddając

pakiet.

Tyberiusz, nie przypuszczając, że list może zawierać wiadomości, które powinny pozostać tajemnicą dla cesarskiej pary, poprosił o pozwolenie przeczytania go.

- Proszę bardzo - rzekł August. - Ale przeczytaj go nam na głos - i oddaliwszy skinieniem ręki służbę, dorzucił: - No, nie traćmy czasu! Ciekaw jestem, jakie tam nowe odniósł zwycięstwa. Zresztą zawsze z przyjemnością czytam listy Druzusa.

Doskonale włada piórem i pisze znacznie bardziej zajmująco niż ty, Tyberiuszu. No, nie gniewaj się za to porównanie i czytaj, a prędko.

Tyberiusz usłuchał wezwania, ale już po kilku słowach utknął i spąsował. Chciał przeskoczyć niebezpieczny ustęp, ale nie było to łatwe, gdyż stanowił on trzy czwarte listu.

Dopiero w zakończeniu ojciec przeszedł na inne tematy: skarżył się na bóle głowy będące następstwem otrzymanej rany, opowiadał o trudnościach marszu na Elbę i o dziwnych znakach, jakie się ostatnio pojawiły; noc w noc spadały całe roje gwiazd, w lasach słyhać było głosy przypominające niewieście zawodzenia, a pewnego ranka o świcie dwóch młodzieńców z wyglądu podobnych do bogów, w greckich szatach, przejechało na białych koniach środkiem obozu. Wreszcie Germanka jakaś, wzrostem przewyższająca śmiertelne kobiety, pojawiła się u wejścia do jego namiotu i w greckim języku przestrzegła, aby nie posuwał się dalej, gdyż losy są mu wrogie.

Tyberiusz przeczytał jedno słowo stąd, drugie stamtąd, zająknął się, mruknął, że pismo jest nieczytelne; zaczął czytać dalej, znów urwał i wreszcie przeprosił, że nie może dokończyć.

- Co to znaczy? - zawołał August. - Nie potrafisz listu przeczytać?!

Tyberiusz oprzytomniał trochę.

- Prawdę mówiąc, potrafię, ale list niewart czytania. Widać brat mój nie czuł się całkiem dobrze, gdy go pisał.

August zaniepokoił się.

- Ale chyba nie jest poważnie chory?

Liwia od razu się domyśliła, że w liście musi być coś, co Tyberiusz pragnie ukryć przed nią albo przed Augustem. Udając, że czułość macierzyńska wzięła górę nad zasadami dobrego wychowania, wyrwała Tyberiuszowi list z ręki. Przeczytała go i z wyrazem niesmaku podała Augustowi.

- To sprawa, która tylko ciebie dotyczy - rzekła. - Syn mój okazuje się wprawdzie wyrodkiem, ale nie do mnie należy ukaranie go, lecz do ciebie jako jego opiekuna i głowy państwa.

August zaniepokojony przeczytał list, lecz nieprzyjemnie dotknęły go nie tyle słowa skierowane przeciw niemu, co zdanie mogące obrazić Liwie. W rzeczywistości, pomijając przykre słowo "zmusić", August w głębi duszy podzielał poglądy mego ojca, chociaż oskarżenie wymierzone przeciwko Liwii dotyczyło pośrednio i jego, spotkał go bowiem zarzut, że wbrew własnym przekonaniom ulega wpływom żony. Zachowanie się senatu i urzędników nosiło niewątpliwie cechy upadającego służalstwa. August, podobnie jak mój ojciec, z niechęcią patrzył na to, co się działo, i przed klęską zadaną Antoniuszowi zapowiedział publicznie, że usunie się w zacisze domowe, gdy tylko ostatni wróg państwa zostanie pokonany. A i później w różnych przemówieniach kilkakrotnie napomynał o szczęśliwym dniu, w którym działalność swą będzie mógł uważać za skończoną. Dość miał już polityki i zaszczytów, marzył o tym, żeby wreszcie odpocząć. Do tego babka moja nie chciała za żadną cenę dopuścić. Wciąż tłumaczyła mężowi, że zadanie jego nie jest jeszcze nawet w połowie ukończone i że jeśli ustąpi, w państwie z powrotem zapanuje zupełny rozgardiasz. Przyznawała mężowi, że pracę ma niełatwą, lecz przecież ona pracuje jeszcze ciężiej, a nie może nawet liczyć na bezpośrednią oficjalną rekompensatę. Trzeba nie mieć za grosz zastanowienia - dowodziła - żeby składać urząd i jako prywatny człowiek wystawiać się na niebezpieczeństwo pociągnięcia do odpowiedzialności i na banicję. Należy pamiętać też o skrytej

nienawiści, jaką żywią doń rodziny tych, których kazał zgładzić lub pozbawił zaszczytów. Jako człowiek prywatny będzie przecież musiał zrezygnować ze straży przybocznej i komendy nad armią. Niech więc sprawuje urząd przez następne dziesięć lat, potem może stosunki zmienią się na lepsze.

August ustępował i rządził w dalszym ciągu. Prerogatywy monarsze uchwalano mu na pięć lub częściej na dziesięć lat, a po upływie tego okresu przedłużano na nowe dziesięciolecie.

Kiedy August skończył czytać nieszczęsny list, Liwia spojrzała na niego groźnie.

- No i co? - spytała.

- Skłonny jestem zgodzić się z Tyberiuszem - odparł łagodnie. - Młodzieniec pisząc ten list musiał być chory. To skutki przemęczenia. Zwróciłaś uwagę na ostatni ustęp, w którym wspomina o następstwach otrzymanej w głowę rany i o zjawach, które widział? To właśnie najlepszy dowód. Druzus potrzebuje wypoczynku. Wśród okropności wojny musiał się widać załamać - on, taki szlachetny. Puszcze niemieckie nie są odpowiednim miejscem dla ludzi psychicznie wyczerpanych. Nieprawda, Tyberiuszu? Wystarczy dłuższy czas słuchać ciągłego wycia wilków, żeby nerwy poszły w strzępy. Co byście powiedzieli na to, gdybym go odwołał teraz do Rzymu? Kiedy tak przetrzepał skórę Niemcom, że nieprędko zapomną tą nauczki. Z przyjemnością zobaczę go znowu. Tak, koniecznie musimy go tu sprowadzić.

Przecież miło ci będzie zobaczyć syna, Liwio, nieprawdaż?

Lecz Liwia nie dała odpowiedzi. Wciąż chmurna zwróciła się do Tyberiusza:

- A co ty o tym sądzisz?

Mój stryj okazał się lepszym politykiem od Augusta i lepiej znał swoją matkę.

- Mój brat jest niewątpliwie chory - odparł - lecz nawet choroba nie usprawiedliwia tak sprzecznego z synowskimi uczuciami postępowania i tak

szalonych pomysłów.

Zgadzam się z tym, żeby go wezwać do Rzymu, ale przede wszystkim w tym celu, aby mu wykazać całą potworność podobnych insynuacji rzucanych na kobietę tak skromną, tak oddaną swoim synom jak nasza matka. Tyle troskliwości, tyle samozaparcia nieczęsto się spotyka. Oburza mnie też lekkomyślność Druzusa. List podobnej treści wysłać kurierem przez nieprzyjacielski kraj! I co za dziecinny argument z tym Sullą. Wszyscy doskonale wiedzą, że gdy tylko Sulla złożył władzę, wojna domowa wybuchła na nowo i reformy jego zostały obalone.

Odpowiedź, jak widzimy, była bardzo sprytna, a surowość, z jaką osądził postępowanie mego ojca, nie całkiem udana, gdyż w rzeczywistości był zirytowany na brata, który postawił go w tak kłopotliwej sytuacji.

Liwie szczególnie rozjątrzyła pobłażliwość, z jaką August - do tego w obecności Tyberiusza - potraktował wyrządzoną jej zniewagę. Nie omieszkała z tego powodu czynić mężowi cierpkich wymówek. Nie mniejszym gniewem zapalała przeciwko memu ojcu.

Istniało bowiem niemałe prawdopodobieństwo, że powróciwszy do Rzymu potrafi przeprowadzić swój plan i skłonić Augusta do złożenia władzy. Zdawała też sobie sprawę z tego, że choćby zapewniła Tyberiuszowi następstwo w rządach po Augustacie, nie uda się jej rządzić za pośrednictwem starszego syna, dopóki mój ojciec, cieszący się w Rzymie ogromną popularnością i mający za sobą wszystkie pułki na Zachodzie, będzie popierał dążność do przywrócenia dawnych swobód republikańskich. Władza, dla której osiągnięcia nie żałowała tylu ofiar, miłsza była Liwii niż życie i honor. Potrafiła jednak ukryć swe uczucia. Pozornie zgodziła się z Augustem, że ojciec mój musi być po prostu chory. Sąd Tyberiusza - powiedziała - wydaje się jej zbyt surowy. W każdym razie jednak należy wezwać Druzusa do Rzymu. W końcu podziękowała Augustowi, że tak szlachetnie starał się pomniejszyć winę jej syna, i dodała, że bezzwłocznie pošle biedakowi przez swego własnego zaufanego lekarza porcję

ciemierzycy z tesalskiej Ancyry; jest to bowiem świetne lekarstwo na choroby umysłowe.

Lekarz wyruszył nazajutrz w towarzystwie kuriera wiozącego list Augusta. Cesarz gratulował serdecznie odniesionych zwycięstw, wyrażał współczucie z powodu rany i zezwalał na powrót do Rzymu w słowach, które równały się rozkazowi.

Ojciec odpisał w kilka dni później, dziękując za okazaną mu łaskawość.

Zapewniał, że wyruszy z powrotem, gdy tylko pozwoli mu na to stan zdrowia, w przeddzień bowiem otrzymania listu miał wypadek: w pełnym galopie spadł z konia i stłukł sobie nogę o kamień.

Dziękował też matce za troskliwość, za ciemierzycę i lekarza, z którego pomocy od razu skorzystał. Wyraził jednak obawę, czy nawet przy fachowej opiece uda się uniknąć komplikacji, jakimi zdaje się grozić rana. Kończąc oświadczył, że wprawdzie wolałby pozostać na swym stanowisku, ale życzenie Augusta jest dla niego rozkazem, wyruszy więc do Rzymu, gdy tylko poczuje się lepiej. W tej chwili znajduje się w obozie w Turyngii.

Na wieść o tym Tyberiusz, który z Augustem i Liwią bawił w Pawii, prosił, żeby wolno mu było pielęgnować brata w chorobie. August zgodził się i stryj mój z niewielką eskortą ruszył co koń wyskoczy, wybierając najkrótszą drogę przez Alpy. Miał przed sobą pięćset mil, lecz wiedział, że na postojach dostanie wszędzie świeże konie, a jeśli ze zmęczenia nie będzie się już mógł utrzymać w siodle, każe zaprząć powóz i prześpi się w nim nie przerywając jazdy. Przy sprzyjającej pogodzie przebył Alpy i znalazł się w Szwajcarii, skąd ruszył gościńcem reńskim, zatrzymując się tylko, by zjeść coś gorącego.

Dotarł w ten sposób do miejscowości Mannheim. Tu przeprowił się przez rzekę i pośpieszył dalej w kierunku północno-wschodnim. Jechał teraz przez kraj wrogi, gdzie nie było już bitych gościńców. Pierwsza eskorta dawno pozostała w tyle, a druga, którą zabrał z Mannheim, nie mogła za nim nadążyć. Opowiadają, że po dwóch dobach podróży miał za sobą blisko sto mil drogi.

Zdażył wprawdzie na czas i zastał brata przy życiu, ale nie zdołał go już wyrwać śmierci. Noga aż do biodra była zgangrenowana. Ojciec, choć konający, miał jeszcze tyle przytomności umysłu, że kazał powitać stryja z honorami wojskowymi należnymi dowódcy armii. Bracia uściskali się, a ojciec zapytał:

9 r. p.n.e.

- Czy czytała mój list?

- Pierwej ode mnie - mruknął Tyberiusz. A na to ojciec:

- Rzym ma surową matkę, a Lucjusz i Gajusz niebezpieczną macochę.*[Trawestacja charakterystyki Liwii, podanej przez Tacyta: "Złowroga dla Rzeczypospolitej matka, złowroga dla domu Cezarów macocha." Roczniki, ks. I, r. 10.]

To były jego ostatnie słowa.

Całą tę historię słyszałem od Greka z Kos, niejakiego Ksenofonta, który w tym czasie dopiero rozpoczynał swoją karierę lekarską. Pełnił przy moim ojcu obowiązki chirurga sztabowego i był bardzo niezadowolony, że przysłany przez babkę lekarz zastąpił go przy chorym. Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, że Gajusz i Lucjusz byli to synowie Julii i Agryppy, we wczesnym dzieciństwie adoptowani przez Augusta. Trzeci natomiast, zwany Postumem, czyli Pogrobowcem, gdyż przyszedł na świat już po śmierci Agryppy, nie został adoptowany i nosił nazwisko swego ojca.

Obóz, w którym umarł mój ojciec, otrzymał nazwę Przeklętego; zwłoki przeniesiono do zimowej kwatery w Moguncji, a w kondukcie pogrzebowym szła cała armia z Tyberiuszem jako głównym żałobnikiem na czele. Żołnierze chcieli spalić ciało w Moguncji, ale Tyberiusz przewiózł je do Rzymu i kazał wznieść olbrzymi stos na Polu Marsowym.

Mowę pogrzebową wygłosił sam August. Między innymi powiedział:

- Oby bogowie nieśmiertelni zechcieli synów moich, Gajusza i Lucjusza, obdarzyć równie wielką szlachetnością i cnotą jak zmarłego Druzusa, a mnie samemu dali tak honorową śmierć jak jemu.

Liwia nie wiedziała, do jakiego stopnia może ufać Tyberiuszowi.

Od czasu kiedy wrócił z ciałem mego ojca, jego serdeczność względem matki wydawała się sztuczna i wymuszona, a kiedy August mówił, że pragnąłby mieć podobną śmierć, na twarzy Tyberiusza pojawił się przelotny uśmiezek. Stryj mój, który od dawna już podejrzewał, że ojciec jego nie umarł śmiercią naturalną, postanowił teraz w niczym się nie sprzeciwiać woli Liwii. Jadając tak często przy cesarskim stole, był zupełnie zdany na łaskę i niełaskę matki. Ze wszystkich sił więc starał się pozyskać jej względy. Liwia odgadywała myśli syna i nie cieszył jej taki obrót rzeczy. Tyberiusz był jedynym, który podejrzewał ją o trucicielstwo, ale niewątpliwie, myślała, zachowa te podejrzewania dla siebie. O skandalu wywołanym przez rozwód i powtórne małżeństwo z Augustem dawno zapomniano i Liwia uchodziła w stolicy za wzór cnót niewieścich w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Senat uchwalił, że wystawi jej posągi na czterech placach miasta, i wynalazł fikcyjny powód, aby zaliczyć ją do "matek trojga dzieci". Wydane przez Augusta ustawy, zwłaszcza w dziedzinie prawa spadkowego, przyznawały specjalne przywileje matkom mającym więcej niż dwoje dzieci. I tak na przykład kobiety niezamężne lub bezdzietne nie mogły dziedziczyć, a działy ich przypadły siostrze obdarzonej liczniejszym potomstwem.

Ależ z ciebie gaduła, Klaudiuszu! Ledwie kawałek brakuje - do końca czwartego zwoju tej autobiografii, a tyś jeszcze nie wspomniał o miejscu swego urodzenia.

Zanotuj je zaraz, bo tak postępując nie dojedziesz nigdy nawet do połowy swojej historii.

Napisz:

Urodziłem się w Lyonie we Francji pierwszego sierpnia, rok przed śmiercią ojca.

Tak. Byłem siódmym z kolei dzieckiem, ale ponieważ matka moja zawsze towarzyszyła ojcu we wszystkich wyprawach wojennych, maleństwa

przeważnie nie wytrzymały trudów obozowego życia. Pozostało nas tylko troje: ja, Germanik, starszy ode mnie o pięć lat, i Liwilla, starsza o rok. Oboje odziedziczyli po ojcu żelazne zdrowie, czego się nie da powiedzieć o mnie. W ciągu dwóch pierwszych lat życia byłem trzy razy bliski śmierci i gdyby nie zgon ojca, z powodu którego zamieszkaliśmy na stałe w Rzymie, historia niniejsza wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zostałaby nigdy napisana.

ROZDZIAŁ V

W Rzymie mieszkaliśmy w wielkim domu należącym dawniej do mego dziadka, który zapisał go Liwii. Dom stał na Palatynie tuż obok pałacu Augusta i zbudowanej przez niego świątyni Apolla, gdzie mieściła się biblioteka. U stóp Palatynu rozciągał się Rynek. Poniżej najbardziej stromego zbocza wzgórza stała świątynia bliźniaczych bóstw, Kastora i Polluksa: był to stary budynek, wzniesiony pierwotnie z drewna i cegły; w szesnaście lat później Tyberiusz zbudował na tym miejscu wspaniały marmurowy gmach, którego wnętrze kazał wymalować, wyzlócić i urządzić tak okazale, że bardziej przypominało buduar jakiejś bogatej patrycjuszki niż świątynię. Przypuszczam, że skłoniła go do tego Liwia, chcąc, aby pozyskał względy Augusta. Tyberiusz bowiem nie odznaczał się wcale religijnością i był wielkim sknerą.

Na wzgórzu powietrze było zdrowsze niż w dole nad rzeką. Większość zbudowanych tu domów należała do senatorów. Byłem w dzieciństwie bardzo wątpliwy i lekarze mówili zawsze: "Co za pole do popisu dla chorób!" Życie zawdzięczam może tylko temu, że choroby nie mogły dojść między sobą do zgody, której ma przypaść w udziale zaszczyt zabrania mnie ze świata. Przede wszystkim urodziłem się przedwcześnie, bo w siódmym miesiącu, a pokarm mamki najwyraźniej mi nie służył i dostałem jakiejś złośliwej wysypki; następnie przyszła malaria i odra, po której ogłuchłem lekko na jedno ucho; dalej przeszedłem szkarlatynę, czerwonkę i paraliż dziecięcy, po którym została mi pamiątka w postaci jednej krótszej nogi.

Wychorowawszy się tyle, byłem tak słaby, że nie mogłem ani biegać, ani odbywać dalszych spacerów; podróżowałem przeważnie w lektyce. Pozostałością po tych chorobach jest też ostry ból w okolicach żołądka; chwyta mnie on często po jedzeniu, a bywa tak silny, że dwa czy trzy razy w życiu, gdyby przyjaciele nie chwycili mnie w porę za ręce, byłbym wbił sobie

chwycony ze stołu nóż w samo miejsce udręki. Cierpienie to nazywają "kolką sercową" ; podobno tylko przy kamieniach nerkowych bóle są jeszcze silniejsze. Powinienem być więc rad, że przynajmniej tej choroby nie doświadczyłem.

Można by przypuszczać, że matka moja, Antonia, kobieta piękna i szlachetna, wychowana bardzo cnotliwie przez babkę Oktawie, kochająca męża całym sercem, odnosiła się do mnie ze szczególną troskliwością; że mnie właśnie, swoje najmłodsze, a do tego chorowite dziecko, bardziej od innych rozpieszczała. Nic podobnego. Ograniczała się ściśle tylko do wypełniania swych obowiązków. Traktowała mnie raczej z niechęcią niż z miłością.

Irytowała ją moja chorowitość, ale nie był to jedyny powód. Ciąża, której następstwem było moje przyjście na świat, dała się jej szczególnie we znaki, a poród był tak ciężki, że cudem tylko ocalała i przez szereg lat nie mogła przyjść do siebie. Urodziłem się za wcześnie wskutek wypadku, który miał miejsce podczas uroczystości na cześć Augusta w Lyonie, gdzie mój ojciec bawił jako namiestnik trzech prowincji francuskich. August przybył tam na otwarcie świątyni Romy i swojej własnej. Jakiś szalony niewolnik sycylijski, który usługiwał przy uczcie, wyciągnął nagle sztylet i zaczął nim wymachiwać tuż nad karkiem ojca. Z wyjątkiem matki nikt nie zwrócił uwagi na dziwaczne zachowanie niewątpliwego szaleńca.

Antonia miała tyle przytomności umysłu, że nie spuszczać wzroku z oczu niewolnika uśmiechnęła się do niego, jakby prosząc, żeby odłożył sztylet. Szalenciec na chwilę się zawahał, a tymczasem dwaj inni służący, idąc za wzrokiem pani, zorientowali się w sytuacji i zdążyli w porę rozbroić towarzysza. Wtedy dopiero matka zemdląła i tego samego jeszcze dnia przyszły pierwsze bóle porodowe. Może w związku z tym wypadkiem odczuwam paniczny lęk przed skrytobójcami; mówią, że taki przedporodowy wstrząs odbija się na dziecku. Lecz czyż trzeba uciekać się do takich tłumaczeń? Małoż to członków cesarskiej rodziny zmarło nienaturalną śmiercią?

Ponieważ byłem dzieckiem niezwykle uczuciowym, zachowanie matki

bolało mnie bardzo. Od siostry Liwilli, pięknej, ale okrutnej, próżnej i pysznej dziewczyny, słyszałem, że matka nazywała mnie "złowróbnym potworkiem", przy którego urodzeniu należało zajrzeć do ksiąg sybillińskich; mówiła też, że natura odrzuciła mnie jako zaczęty, a nieudany projekt, chybiony już w samym pomysle. Pochwalała mądrość starych Rzymian, którzy chorowite niemowlęta porzucali na nagiej skale na pastwę dzikich zwierząt. Może tak bezwzględnie matka się nie wyrażała, tylko Liwilla na podstawie jednego czy drugiego ostrzejszego słowa - siedmiomiesięczne dzieci są doprawdy mało zachwycające - dofantazjowała resztę.

W każdym razie wiem na pewno, że kiedyś matka, zirytowana na któregoś z senatorów z powodu głupiego, jej zdaniem, wniosku, z jakim wystąpił, zawołała: "Ależ tego człowieka trzeba usunąć! Przecież to skończony osioł! A i osioł byłby się mądrzej zachował. Nie! On jest tak głupi, jak... jak mój syn Klaudiusz."

Ulubieńcem matki był Germanik. Był on zresztą ulubieńcem wszystkich. Lecz nie zazdrościłem mu miłości i podziwu, jakie sobie wszędzie zyskiwał; przeciwnie, cieszyłem się jego powodzeniem. Germanik współczuł mi i robił wszystko, co było w jego mocy, żeby mi uczynić życie znośniejszym. Starszych zapewniał zawsze, że mam z natury dobre serce i potrafię się odwdzińczyć za dobre i życzliwe traktowanie. Chciał w ten sposób powiedzieć, że surowość napawa mnie tylko lękiem i czyni jeszcze bardziej słabowitym. I miał rację.

Nerwowe drganie rąk, rzucanie głową, jąkanie się, złe trawienie, nieustanne ślinienie się - wszystko to zawdzięczam atmosferze strachu, w jakiej mnie gwoli karności chowano. Kiedy Germanik wstawiał się za mną, matka moja śmiała się tylko pobłaźliwie i mówiła:

„Jesteś szlachetnym chłopcem, ale poszukaj sobie godniejszego przedmiotu dla nadmiaru twych uczuć!” A babka Liwia dorzucała: "To niedorzeczność, Germaniku, co mówisz.

Jeżeli Klaudiusz okaże się karny, będziemy odnosić się do niego z

łagodnością, na jaką zasłuży.

Stawiasz sprawę na głowie.”

Babka rzadko odzywała się do mnie, a czyniła to zawsze z pewną pogardą i odwracała wtedy oczy. Najczęściej mówiła tylko: ”Wyjdź, dziecko, z tego pokoju, bo ja tu chcę zostać.”

Jeżeli miała mnie wyłajać, nie czyniła tego nigdy ustnie, lecz przysyłała krótki, w sztywnym tonie utrzymany list. Na przykład: ”Do wiadomości cesarzowej Liwii doszło, że mały Klaudiusz tracił dziś czas, wałęsając się po Bibliotece Apolla. Klaudiusz może korzystać z dostarczanych mu przez nauczyciela podręczników i nie powinien zabierać się do poważnych książek w bibliotece. Zwłaszcza, że przeszkadza przy tym ludziom, którzy naprawdę studiują.

Na przyszłość niech się podobne wybryki nie powtarzają.”

August, chociaż nigdy mnie nie prześladował, podobnie jak Liwia nie lubił, żebym znajdował się w tym co on pokoju. Zresztą przepadał za chłopcami (sam do końca życia pozostał dużym chłopcem), ale tylko takimi, którzy się dobrze prezentowali, jak mój brat Germanik i jego wnukowie, Gajusz i Lucjusz. Mówił o nich: ”te małe, dzielne draby”, i miał na swoim dworze w charakterze zakładników całą gromadę synów zaprzyjaźnionych z Rzymem królów i naczelników plemion z Francji, Niemiec, kraju Fartów, Afryki, Syrii.

Chowali się oni razem z jego własnymi wnukami i synami przedniejszych senatorów w kolegium dla chłopców, dokąd cesarz często przychodził bawić się w klasy, w lisa i w kamyki. Do ulubieńców jego należeli ciemnoskórzy chłopcy z Afryki, Syrii i Partowie; lubił też tych, którzy rozmawiali z nim tak swobodnie jak z równym sobie. Raz tylko spróbował opanować swą niechęć do mnie i przypuścił mnie wraz ze swymi ulubieńcami do przeciągania liny. Lecz wysiłek był dla mnie zbyt wielki - jękałem się i zachowywałem jak niespełna rozumu. Odtąd już nigdy nie powtórzył próby. Nie cierpiał karłów, ułomnych i zdeformowanych, twierdząc, że przynoszą nieszczęście i należy ich usuwać

sprzed oczu. Nie odczuwałem nigdy takiej nienawiści do Augusta, jak do babki, gdyż jego niechęć do mnie pozbawiona była złośliwości i starał się nad nią zapanować. A w rzeczywistości musiałem być małym potworkiem, wyrodkiem po tak okazałym ojcu i tak pięknej, postawnej matce.

August sam był dorodnym mężczyzną, choć trochę zbyt niskiego wzrostu. Miał kędzierzawe włosy, które dopiero w późnym wieku przyprószyła siwizna, błyszczące oczy i pogodny wyraz twarzy; trzymał się zawsze prosto, a ruchy jego cechowała wytworność.

Raz, pamiętam, usłyszałem przypadkiem epigramat ułożony przez Augusta po grecku na temat mojej osoby. August chciał się nim popisać wobec Atenodora z Tarsu, stoickiego filozofa, którego jasny, głęboki sąd bardzo cenił. Miałem wtedy siedem lat i bawiłem się przy basenie w ogrodzie mojej matki, po którym przechadzali się obaj mężowie. Nie pamiętam już dosłownie tego epigramatu, ale treść jego brzmiała mniej więcej następująco:

„Antonia hołduje staroświeckim poglądom: nie chce kupić za drogie pieniądze małpki od wschodniego kupca. Dlaczego? Woli urodzić ją sama.” Atenodor pomyślał chwilę i odparł w tym samym rytmie: ”Antonia nie tylko nie kupuje małpki od kupca ze Wschodu, ale nie chce nawet udzielić pieśczoć i łakoci małemu synkowi swego szlachetnego męża.” August odwrócił głowę zawstydzony. Muszę objaśnić, że ani August, ani Atenodor, któremu przedstawiono mnie jako upośledzonego na umyśle, nie odgadli, że zrozumiałem ich rozmowę.

Atenodor więc, przyciągnąwszy mnie do siebie, spytał żartobliwie po łacinie:

- A cóż myśli o tym młody Tyberiusz Klaudiusz?

Ponieważ Atenodor, który był roslym, barczystym mężczyzną, wydawał mi się bezpieczną ochroną przed Augustem, nabrałem śmiałości i nie zająknąwszy się odrzekłem po grecku:

- Moja matka, Antonia, nie rozpieszca mnie wprawdzie, ale kazała mnie

uczyć greckiego kobiecie, która nauczył tego języka sam Apollo.

W ten sposób chciałem dać do poznania, że zrozumiałem, o czym poprzednio mówili.

Kobieta, o której wspomniałem, była kapłanką Apolla na jednej z wysp greckich.

Porwana przez piratów, została sprzedana do lupanaru w Tyrze. Wprawdzie udało się jej zbiec stamtąd, ale jako prostytutka nie mogła już powrócić do świątyni. Matka moja, poznawszy się na jej zdolnościach, przyjęła ją jako nauczycielkę. Mówiąc, że uczył ją sam Apollo, powtórzyłem po prostu jej własne słowa, ale ponieważ Apollo był bogiem nauki i poezji, zdanie to wypadło dowcipniej, niż zamierzałem. August stanął zdumiony, a Atenodor rzekł:

- Dobrze powiedziane, Klaudiuszku; małpki nie rozumieją po grecku, nieprawdaż?

- Nie - potwierdziłem. - A poza tym mają długie ogony i kradną jabłka ze stołu.

August przyciągnął mnie wtedy do siebie i zaczął żywo wypytywać, ale odwaga już mnie opuściła i jąkałem się jeszcze bardziej niż zwykle. Od tego czasu Atenodor był moim przyjacielem.

O Augustcie i Atenodorze opowiadają pewną historię, która dobrze świadczy o nich obu. Pewnego razu Atenodor zwrócił uwagę Augustowi, że przyjmując tyle osób nie przedsięwzię żadnych prawie środków ostrożności; skończy się na tym, mówił, że któregoś dnia dostanie sztyletem między żebra. August odpowiedział, że podobne przypuszczenie jest niedorzecznością. Nazajutrz doniesiono cesarzowi, że przybyła jego siostra Oktawia i chce mu złożyć kondolencje, w ten dzień bowiem wypadała rocznica śmierci ich ojca.

August kazał wpuścić siostrę. Oktawia zmożona nieuleczalną chorobą - działo się to na rok przed jej śmiercią - nie mogła już chodzić i noszono ją w lektyce. Kiedy wniesiono lektykę, nagle zza jej firanek wyskoczył Atenodor z

mieczem w rękę i oparł jego ostrze o pierś cesarza. August nie pogniewał się wcale - przeciwnie, podziękował Atenodorowi i przyznał, że nie miał racji, tak lekko traktując jego przestrożę.

Muszę tutaj wspomnieć o pewnym wydarzeniu z czasów mojego dzieciństwa. Było to w lecie. Skończyłem właśnie osiem lat i matka wraz z nami trojgiem wybrała się w odwiedziny do mojej ciotki Julii, która mieszkała w pięknej willi w Ancjum, tuż nad brzegiem morza. Pewnego popołudnia około godziny szóstej przechadzaliśmy się po winnicy, gdzie było chłodno i przewiewnie. Ciotka Julia została w domu; poszedł z nami tylko syn Tyberiusza, Tyberiusz Druzus, zwany później Kastorem, i dzieci Julii, Postum i Agryppina.

Nagle usłyszeliśmy w górze donośne krakanie. Podniósłszy wzrok ujrzeliśmy walczące orły.

W powietrzu fruwały wydarte pióra. Usiłowaliśmy je chwycić. Germanikowi i Tyberiuszowi udało się złapać po piórze, które wetknęli sobie we włosy. Pióro Kastora było niewielkie, Germanikowi za to dostało się wspaniałe, duże, z ogona. Obydwa były pokrwawione, a krople bryznęły na twarz Postuma i na suknie Liwilli i Agryppiny. Nagle spadła z góry jakaś ciemna masa. Sam nie wiem dlaczego, rozpostarłem togę i schwyciłem to "coś", co okazało się małym wilczkiem, poranionym i ledwie żywym ze strachu. Orły chciały odebrać mi zdobycz, ale zdołałem już wilczka schować, a kiedy wszyscy zaczęliśmy krzyczeć i ciskać w ptaki patykami, te zakręciły się niepewnie w powietrzu i kracząc odleciały. Nie wiedziałem, co robić. Wcale nie miałem ochoty zatrzymać wilczka i byłbym go może oddał Liwilli, która chciała mi odebrać zdobycz, lecz matka moja nagle spoważniała i rzekła:

- Klaudiusz złapał wilka, więc do niego należy.

A zwracając się do pewnego starszego augura, który nam towarzyszył, spytała:

- Powiedz, co wróży takie zdarzenie?

- Skąd ja to mogę wiedzieć? - odparł. - Może mieć bardzo wielkie

znaczenie, może nie mieć żadnego. Kto wie?...

- Nie obawiaj się niczego - uspokoiła go matka - i powiedz, co można z tego wyróżnić.

- W takim razie, jeśli łaska, odeślij dzieci - rzekł.

Nie wiem, czy dał jej to wyjaśnienie, jakie po przeczytaniu tego dzieła wydaje się jedynie prawdziwe i konieczne. Pamiętam tylko tyle, że kiedy odeszliśmy kilka kroków, Liwilla podkradłszy się pod szpaler róż podслуchała coś z rozmowy, bo nagle wybuchnęła śmiechem.

- O, nieszczęśliwy Rzym, gdy będzie miał takiego opiekuna! Mam nadzieję, że nie dożyję tego!

Augur zwrócił się do niej i rzekł grożąc palcem:

- Bezwstydna dziewczyno! Bogowie wysłuchają twego życzenia, a wtedy będziesz go żałować.

- Zamknę cię samą w pokoju i nie dostaniesz nic jeść - dodała matka, a gdy przypominam sobie teraz te słowa, widzę, że były wypowiedziane w złą godzinę.

Liwilli do końca pobytu na wsi nie wolno było opuścić domu. Dokuczała mi za to w przeróżny, bardzo sprytny, a zawsze niezwykle dotkliwy sposób. Nie mogła nam jednak powtórzyć słów augura, gdyż musiała przysiąc na Westę i bogów domowych, że za życia tych, którzy byli świadkami zdarzenia, nigdy nie zrobi do niego nawet najlżejszej aluzji. Tę przysięgę złożyliśmy też my wszyscy. Ponieważ od szeregu lat jestem jedynym żyjącym z tego grona, nie obowiązuje mnie dłużej milczenie. Przez pewien czas po tym wypadku, jak zauważyłem, matka przyglądała mi się z zainteresowaniem, a nawet z szacunkiem, nie traktowała mnie jednak lepiej niż przedtem.

Nie uczęszczałem do szkoły, ponieważ jako kulawy nie mogłem brać udziału w ćwiczeniach gimnastycznych, które stanowiły główny punkt programu; ponadto z powodu ciągłych chorób byłem mocno opóźniony w nauce, a częściowa głuchota i jąkanie się stanowiły też bardzo poważne

przeszkody. Rzadko więc przebywałem w towarzystwie równych mi wiekiem i urodzeniem chłopców i bawiłem się przeważnie z synami naszych niewolników. Dwaj z nich, Kallon i Pallas, obaj greckiego pochodzenia, zostali później moimi sekretarzami; im powierzałem sprawy największej wagi. Kallon był ojcem dwóch innych moich sekretarzy, Narcyza i Polibiusza. Sporo czasu spędzałem też w towarzystwie służebnych mojej matki i słuchałem, jak przędąc, czesząc lub tkając wełnę gawędziły ze sobą.

Wiele z nich, tak jak moja preceptorka, posiadało gruntowne wykształcenie. W towarzystwie tych kobiet czułem się, wyznam szczerze, lepiej niż w niejednym towarzystwie męskim, w którym się później obracałem; były to niewiasty o szerokim poglądzie na świat, roztropne, skromne i uprzejme.

O opiekunie moim, Marku Porcjuszu Katonie, wspomniałem już poprzednio.

Wyobrażał on sobie; że jest żywym wcieleniem owej rzymskiej cnoty, która zdobiła cały szereg jego przodków. Jak większość głupich ludzi, nie mogących się chlubić niczym innym, chlubił się zawsze swym pochodzeniem. Szczególnie dumny był z Katona Cenzora, który dla mnie był bodaj najwstrętniejszą postacią w dziejach Rzymu. Nie cierpiałem go zwłaszcza jako propagatora "dawnej cnoty", która dzięki niemu stała się w mniemaniu szerokiego ogółu jednoznaczna z pedanterią i nieokrzesanym grubiaństwem. Jego samochwalcza książka służyła mi za podręcznik do nauki języka łacińskiego. Opis wojny prowadzonej w Hiszpanii, gdzie zburzył więcej miast, niż spędził dni, wstrząsnął mną. Nieludzkość Katona budziła we mnie ogromną nienawiść, której nie mógł pohamować nawet podziw dla jego militarnych talentów i patriotyzmu. Poeta Wergiliusz powiedział, że przeznaczeniem Rzymu jest rządzić, „oszczędzać pokonanych i ujarzmić pysznych. Katon niewątpliwie pokonywał pysznych, ale nie zawsze w uczciwej walce. Często uciekał się do sprytnej intrygi i wykorzystywał wewnętrzne waśnie plemion hiszpańskich. Kiedy chodziło o usunięcie niebezpiecznego przeciwnika, nie wahał się nawet

używać do tego celu najemnych zbirów. O oszczędzaniu pokonanych trudno mówić: Katon kazał wyrzynać w pień całe tłumy bezbronnych, nawet wtedy, kiedy mu się poddawali; z dumą wspomina, że setki Hiszpanów wolało popełnić wraz z rodzinami samobójstwo niż zakosztować rzymskiego odwetu. Czyż można wobec tego się dziwić, że poskromione szczepy chwyciły znowu za oręż, gdy tylko udało im się go zdobyć, że zarzewie buntu tliło się nieustannie? Katon pragnął dwóch rzeczy: łupów i triumfu. Dla uzyskania tego ostatniego trzeba było położyć trupem pewną liczbę nieprzyjaciół

- zdaje mi się, że w tym czasie wymagano pięciu tysięcy. Istotnie, nie można mu zarzucić - jak to on czynił względem swoich rywali - że pretendował do triumfu nie mogąc się wykazać dość obfitym żniwem śmierci.

Mania triumfów była prawdziwym przekleństwem dla Rzymu. Ileż to niepotrzebnych wojen stoczono jedynie dlatego, że wodzowie pragnęli w blasku chwały i w wieńcu na głowie przejechać ulicami Rzymu, prowadząc za sobą zakutych w kajdany jeńców i olbrzymie platformy wyładowane spiętrzonymi łupami! August zdawał sobie z tego sprawę; za radą Agryppy wydał dekret postanawiający, że na przyszłość mogą odbywać triumf tylko członkowie rodziny cesarskiej. Dekret ten, ogłoszony w roku mojego przyścia na świat, uważano za wyraz zawiści, jaką August żywił w stosunku do swoich generałów; w tym czasie bowiem przestał brać bezpośredni udział w kampaniach, a żaden z członków rodziny nie osiągnął jeszcze wieku uprawniającego do triumfu. W rzeczywistości August nie życzył sobie dalszych podbojów i liczył na to, że wodzowie, nie kuszeni nadzieją triumfów, będą mniej skłonni do prowokowania pogranicznych plemion. Zgodził się jednak, żeby ci, którzy zasługiwali wedle dawnego zwyczaju na triumf, otrzymywali "odznaki triumfalne", jak haftowane szaty i wieniec, i by posagi ich ustawiano w publicznych miejscach; uważał, że powinno to być wystarczającą zachętą dla dobrego żołnierza. Triumfy, jak twierdził, odbijają się ujemnie na karności armii. Żołnierze zazwyczaj piją wtedy na umór i dzień kończy się na rozbijaniu szynków, podpalaniu składów

oliwy i gwałceniu kobiet; jednym słowem, żołdactwo hula jak w zdobytym mieście. Triumf jednego z mych siostrzeńców, o którym niedługo opowiem, kosztował życie czterystu żołnierzy i blisko czterech tysięcy osób cywilnych; poza tym w dzielnicy nierządnic spłonęło do szczytu pięć wielkich domów czynszowych, a trzysta szynków zostało splądrowanych, nie licząc już pomniejszych szkód.

Lecz mówiłem o Katonie Cenzorze. Na jego traktacie o uprawie roli i gospodarstwie uczyłem się czytać. Ilekroć się na jakimś słowie potknąłem, dostawałem raz w lewe ucho, drugi raz w prawe. W lewe za głupotę, w prawe za to, że śmiałem obrazić dostojnego Katona.

Pamiętam jeden ustęp, w którym doskonale odzwierciedlała się cała marność charakteru tego starego draba: "Gospodarz - pisał - powinien sprzedać swoje stare woły i spracowane sztuki bydła, wszystkie niewytrzymałe owce oraz ich wełnę i skóry; powinien sprzedać stare wozy i stare narzędzia, starych i chorych niewolników, wszystko, co jest zużyte i nieużyteczne."

Kiedy gospodarzyłem w moim niewielkim majątku pod Kapuą, przestrzegałem zasady, żeby zwierząt, które przepracowały już swoje lata, używać do lżejszych robót, a starsze trzymałem na łaskawym chlebie, kiedy zaś doszły do tego wieku, że stają się już tylko ciężarem, kazałem je zabijać. Uważałem, że uwłaczałoby mojej godności, gdybym takiego czworonożnego domownika sprzedał za parę groszy jakiemuś wieśniakowi, który w ciężkiej pracy wyprze ze zwierzęcia ostatni dech. Niewolników zdrowych czy chorych, młodych czy starych traktowałem zawsze po ludzku i otrzymywałem w zamian dowody największego przywiązania i poświęcenia. Rzadko zawodziłem się na nich, gdy jednak nadużyli mojej wspaniałości, byłem bezlitosny. Z pewnością niewolnicy Katona nierzadko udawali chorobę w nadziei, że zostaną sprzedani bardziej ludzkiemu panu, i myślę, że nie mógł na ich uczciwość liczyć tak, jak ja na moich. Niedorzecznością jest traktować niewolników jak bydło. Są nie tylko inteligentniejsi od bydła, lecz potrafią przez umyślne niedbalstwo i

głupotę narobić w jednym tygodniu więcej szkody, niż wynosi cena, za którą ich kupiono.

Katon chełpił się, że nigdy nie zapłacił za niewolnika więcej jak kilkadziesiąt aureusów; wystarczał mu pierwszy lepszy zezowaty drab, jeśli tylko miał w porządku zęby i mięśnie.

Nie mam pojęcia, skąd się brali kupcy na te okazy piękności, kiedy je chciał później sprzedać.

Mój wychowawca był rzekomo całkiem podobny do swego przodka i z wyglądu - ryży, zielonooki, potężnie zbudowany, o chrapliwym głosie - i z charakteru.

Przypuszczam, że terroryzował swoich sąsiadów, aby kupowali od niego starzyznę za tę samą cenę co rzeczy nowe.

Mój serdeczny przyjaciel Postum, starszy ode mnie o niecałe dwa lata, opowiadał, że w jakiejś współczesnej książce przedstawiono starego Katona jako sknerę parającego się nieczystymi interesami. Istotnie, była tam jakaś niejasna sprawa ze sprzedażą okrętów i Katon uniknął kompromitacji tylko dzięki temu, że jako sprzedawcę podstawił jednego ze swych wyzwolenców. Jako cenzor, niby to występował w obronie dobrych obyczajów, w rzeczywistości jednak, jak się zdaje, załatwiał pod tą pokrywką szereg osobistych porachunków. Raz skreślił z listy senatorów pewnego człowieka, gdyż ten "uchybił godności rzymskiej". Pocałował mianowicie w dzień i w obecności córki swoją żonę! Kiedy przyjaciel usuniętego, także senator, zakwestionował słuszność tej decyzji i zapytał Katona, czy nigdy poza łożnicą małżeńską nie uściskał swej żony, Katon gorąco zaprzeczył.

- Nigdy! - zawołał.

- Naprawdę nigdy?

Katon zastanowił się.

- Owszem, przyznaję, że zdarzyło się to parę lat temu. W czasie burzy żona przestraszona grzmotami przytuliła się do mnie. Na szczęście nikogo nie

było w pokoju.

Przysięgam jednak, że nieprędka uczyni to po raz drugi.

W ten sposób chciał dać do zrozumienia, że odpowiednio surowo skarcił żonę za brak dostojności, ale senator udał niedomyślnego.

- Gorąco ci współczuję - rzekł. - Kobiety są często oziębłe w stosunku do brzydkich mężów, choćby nawet byli wzorem cnót i zajmowali wysokie stanowiska. No, ale nie traćmy nadziei: może dobry Jowisz nie każe czekać zbyt długo na nową burzę z grzmotami.

Katon zapamiętał go sobie; był to jego daleki krewny. W rok później odczytywał listę senatorów zapytując każdego, czy jest żonaty. Obowiązywało wtenczas prawo, później zniesione, że każdy z senatorów ma mieć żonę. Z kolei Katon zwrócił się do swego krewniaka i wedle uświęconej formuły zapytał chrapliwym głosem:

- Zali posiadasz małżonkę wedle sumienia i uczciwości, odpowiedz!

Zapytany poczuł się bardzo nieswojo. Żartując na temat Katona i jego żony nie wiedział jeszcze, że oziębłość własnej małżonki skłoni go niebawem do rozwodu.

Chciał teraz udobruchać Katona i obrócić dowcip przeciw samemu sobie.

- Owszem - rzekł - mam żonę, ale jej nie posiadam, a za jej uczciwość nie ręcę.

Cenzor usunął go wtedy z senatu za brak szacunku.

A któż, jak nie ten sam stary Katon, ściągnął na Rzym klątwę punicką? Ilekroć go w jakiegokolwiek sprawie zapytywano, w senacie o zdanie, kończył nieodmiennie:

- Takie jest moje w tej materii zdanie, ale oprócz tego sędzę, że należy zburzyć Kartaginę,*[* Słynne: Ceterum censeo Carthaginem delendam esse.] która zagraża wiecznym niebezpieczeństwem Rzymowi.

Tyle razy powracał do tego "wiecznego niebezpieczeństwa", że wreszcie powstała na tym punkcie zbiorowa psychoza i Rzymianie, zerwawszy

zaprzysiężone najuroczyściej układy, zburzyli Kartaginę doszczętnie.

Wbrew pierwotnym zamiarom rozpisałem się obszerniej o starym Katonie, lecz łączy się on w mym umyśle z upadkiem Rzymu, za co w równej mierze ponosi odpowiedzialność jak ludzie, których "niemęski zbytek" osłabił - jego zdaniem - siły państwa.

Nierozerwalnie wiąże się też ze wspomnieniem mego dzieciństwa spędzonego pod kierunkiem tego muła, jego praprawnuka. Jestem dziś starym człowiekiem i wychowawca mój nie żyje od lat pięćdziesięciu, ale serce moje wciąż jeszcze wzbiera gniewem i nienawiścią, gdy o nim myślę.

Germanik wstawiał się za mną wobec starszych, ale czynił to zawsze w grzeczny sposób - drogą perswazji. Postum był gotów walczyć jak lew w mej obronie. Nie bał się nikogo. Nawet babce Liwii miał odwagę mówić prawdę w oczy. Ponieważ był ulubieńcem Augusta, Liwia udawała, że ją bawi ta, jak ją nazywała, chłopięca porywczosć.

Pewnego razu

- miałem wtedy lat dwanaście - przechodził obok pokoju, w którym Katon miał ze mną lekcję.

Słyszając odgłosy uderzeń i moje błagania o litość, wpadł do pokoju.

- Natychmiast przestań go bić! - krzyknął z pasją.

Katon spojrział na niego ze zdziwieniem i irytacją i trzepnął mnie z taką siłą, że spadłem z krzesła.

- Kto nie może bić osła, bije siodło - zacytował Postura znane rzymskie przysłowie.

- Cóż ma znaczyć to zuchwalstwo?! - ryknął Katon.

- To znaczy, że wyobrażasz sobie, iż wszyscy sprzysięgli się przeciwko tobie i nie dopuszczają cię do piastowania urzędów, na jakie zasługujesz; odbijasz więc sobie tę krzywdę na Klaudiuszu. To poniżające być jego wychowawcą, prawda?

Postum chciał umyślnie podrażnić Katona, aby ten stracił panowanie nad

sobą. I dopiął swego. Katon, nie dostrzegając pułapki, wyrzucił z siebie cały stek przekleństw.

- Nie tak to bywało - krzyczał - za czasów mojego wielkiego przodka, którego pamięć znieważa ten zasmarkany jąkała! Niechby wtedy dziecko spróbowało zapomnieć o czci należnej starszym! Ale i starsi potrafili wymagać karności i ciężką mieli rękę.

Nie to co dzisiaj, w tych zdegenerowanych czasach, kiedy ludzie na naczelnych w Rzymie stanowiskach pozwalają pierwszemu lepszemu durnemu zawszańcowi (miał na myśli Postuma) albo takiemu zasmarkanemu matołkowi, kuternodze...

- A więc miałem rację - przerwał mu Postum z uśmiechem, który nie wróżył nic dobrego. - A więc miałem rację. Degenerat August uwłacza pamięci wielkiego cenzora, powierzając jego potomkowi obowiązki wychowawcy w swej zdegenerowanej rodzinie.

Przypuszczam, że poinformowałaś cesarzową Liwie o swoich poglądach?

Katon omal sobie języka nie odgryzł z przerażenia. Jeżeli Liwia dowie się o tych słowach, będzie to jego koniec. Zawsze przecież dotychczas wyrażał najgłębszą wdzięczność za zaszczyt, jakim jest dla niego powierzenie mu opieki nad wnukiem cesarzowej, nie mówiąc już o zwrocie majątku rodzinnego, skonfiskowanego po bitwie pod Filippi, gdzie zginął jego ojciec walcząc przeciwko Augustowi. Katon był dostatecznie sprytny i tchórzliwy, żeby zrozumieć przestrozę; od tej chwili udręki moje zmniejszyły się znacznie. W trzy miesiące później rozstaliśmy się ku wielkiej mojej radości. Katon został bowiem kierownikiem kolegium, do którego uczęszczał Postum.

Postum był niezwykle silnym chłopcem. Nie miał jeszcze czternastu lat, a już potrafił zgiąć na kolanie sztabę żelazną grubości kciuka. Widziałem też, jak chodził dokoła boiska dźwigając na ramionach dwóch chłopców, podczas gdy dwaj inni stali mu na dłoniach, a piąty wisiał z tyłu na karku. Nie grzeszył pilnością, ale pod względem inteligencji stał o całe niebo wyżej od Katona, a w

dwóch ostatnich latach nauki chłopcy wybrali go swym przywódcą. Był

„królem” zabaw szkolnych (dziwna rzecz, jak to słowo w języku uczniowskim długo się utrzymało) i cieszył się wielkim mirem wśród kolegów. On też wydawał bezpośrednie rozkazy chłopcom, toteż Katon chcąc, żeby jego zarządzenia były należycie wykonywane, traktował Postuma z wielką uprzejmością.

Liwia poleciła dostarczać sobie półroczne sprawozdania o chłopcach, zaznaczając, że jeśli znajdzie coś, co by mogło zainteresować Augusta, sama go o tym poinformuje. Katon domyślił się, że sprawozdania mają być poufne, chyba że otrzyma wskazówkę, aby takiego to a takiego chłopca pochwalić lub zganić. Wiele małżeństw układano, kiedy chłopcy uczęszczali jeszcze do szkoły, i sprawozdania mogły posłużyć Liwii jako argument za lub przeciwko zamierzonemu związkowi. Małżeństwa w arystokratycznych rodzinach rzymskich musiały zyskać zgodę Augusta, jako najwyższego kapłana, i większa ich część była układana przez Liwie. Pewnego razu Liwia wizytowała kolegium. Postum siedząc w fotelu wydawał właśnie ”królewskie” dekrety. Katon zauważył, że Liwia na ten widok zmarszczyła czoło. To ośmieliło go do napisania w najbliższym sprawozdaniu: ”Mając jak zawsze na względzie przede wszystkim prawdę, zmuszony jestem z wielką przykrością donieść, że Agryppa Postumus wykazuje skłonności do okrucieństwa, panowania nad innymi i niekarności.” Po tym fakcie Liwia zaczęła okazywać Katonowi tyle łaskawości, że następne jego sprawozdanie utrzymane było w jeszcze ostrzejszym tonie. Sprawozdań tych nie pokazała jednak Augustowi, lecz przezornie schowała; a Postum nic o nich nie wiedział.

Pod ”rządami” Postuma przeżyłem najszcześniejsze dwa lata mojej młodości, a nawet mogę powiedzieć, że życia. Wydał rozkaz, żeby pozwolono mi bawić się z chłopcami, choć nie uczęszczałem do kolegium, i zapowiedział, że każdą obrazę lub wyrządzoną mi krzywdę będzie uważał za wyrządzoną jemu samemu. Brałem więc udział we wszystkich grach i zabawach, o ile

pozwalalo mi na to zdrowie. Tylko podczas wizyt Augusta lub Liwii, którzy odwiedzali szkołę, kryłem się w jakimś kącie. Zamiast Katona miałem teraz za nauczyciela poczciwego staruszka Atenodora, który w sześć miesięcy nauczył mnie więcej niż Katon w ciągu lat sześciu. Nigdy mnie nie uderzył i traktował zawsze z największą cierpliwością.

Zachęcał mnie do nauki mówiąc, że moja ułomność powinna być ostrogą dla mego umysłu.

Przecież Wulkan, patron biegłych w swym fachu rzemieślników, był również kulawy.

A jeśli chodzi o jąkanie się, to jąkał się od urodzenia najslawniejszy mówca wszystkich czasów, Demostenes, dzięki usilnej i wytrwałej pracy pozbył się jednak tej wady.

Atenodor stosował tę samą metodę co Demostenes. Kazał mi deklamować z ustami pełnymi kamyków; zajęty pokonywaniem tej przeszkody zapomniałem o jąkaniu się. Wtedy kazał mi usuwać kolejno po jednym kamyku, aż wreszcie żaden nie został w ustach, a ja ku własnemu zdziwieniu mówiłem, tak dobrze jak wszyscy inni. Ale tylko gdy deklamowałem; w zwykłej rozmowie jąkałem się w dalszym ciągu. Moja poprawna deklamacja miała być na razie utrzymana w tajemnicy.

- Pewnego dnia - mówił - zadeklamujesz przed Augustem, Kerkopithekionie. Ale musimy jeszcze trochę popracować.

„Kerkopithekion” znaczy po grecku małpka, ale wiedziałem, że w stosunku do mnie używa tej nazwy w pieszczotliwym znaczeniu, i byłem z niej dumny. Kiedy przypadkiem postąpiłem nie tak, jak trzeba, zwykł był mówić; „Tyberiuszu Klaudiuszu Druzusie Neronie Germaniku, pamiętaj, kim jesteś i co czynisz!” Mając takich przyjaciół, jak Postum, Atenodor i Germanik, stopniowo nabierałem wiary we własne siły.

2 r n.e.

Zaraz na pierwszej lekcji Atenodor zapowiedział, że nie zamierza uczyć

mnie faktów, ale należytego ich rozumienia. O samych bowiem zdarzeniach mogę bez trudu zaczerpnąć wiadomości skądinąd. Jakoś wkrótce potem odbyła się wielka parada na Polu Marsowym. W

Niemczech wybuchła wojna i odchodzące na front nowo zaciężne pułki defilowały przed cesarzem. Uroczystość ta, której się przyglądałem, wywarła na mnie tak wielkie wrażenie, że tego dnia nie mogłem się żadną miarą skupić podczas lekcji. Wreszcie Atenodor, dobrotliwie jak zawsze, zapytał o przyczynę tego roztargnienia.

- Ano, to trudno - rzekł z uśmiechem, gdy mu opowiedziałem o paradzie.
- Skoro takie na tobie wywarła wrażenie, to oczywiście nie możesz dziś rozkoszować się pięknem Hezjoda.

Wobec tego niech Hezjod zaczeka do jutra. Ostatecznie, jeśli czekał siedem czy więcej wieków, to nie pogniewa się chyba o jeden dzień. A teraz wyobraź sobie, że mnie od pięciu lat nie ma w Rzymie, że wróciłem do Tarsu, a ty chcesz mi w liście opisać wrażenia z dzisiejszej uroczystości na Polu Marsowym. Weź tabliczki i zabierz się do pracy.

Będzie to dobre ćwiczenie, a równocześnie zajmiesz czymś pożytecznym te twoje niespokojne ręce.

Z radością zacząłem ryc w wosku. Gdy skończyłem, przeczytaliśmy razem list i zabraliśmy się do poprawiania jego ortografii i kompozycji. Musiałem przyznać, że napisałem równocześnie za mało i za dużo i że w złym porządku opowiedziałem zdarzenia.

Ustęp o lamentujących kobietach i o tłumie, który zebrany na moście wiwatował na cześć wyruszającej kolumny, powinien być znaleźć się nie na początku listu, lecz na końcu. Nie potrzebowałem zaznaczać, że jazda miała konie, gdyż jest to samo przez się zrozumiałe.

Niepotrzebnie dwa razy wspomniałem o potknięciu się konia Augusta; przecież koń potknął się tylko raz. A opowiadanie Postuma w powrotnej drodze o obrzędach żydowskich było wprawdzie interesujące, lecz odbiegało od tematu,

gdyż rekruci byli przecież Italczykami, a nie Żydami. Zresztą, mieszkaniec Tarsu ma więcej sposobności poznać obyczaje żydowskie niż ktoś stale przebywający w Rzymie. Z drugiej zaś strony pominąłem wiele rzeczy, o których byłby się chętnie dowiedział, na przykład ilu rekrutów brało udział w paradzie, jak byli wyszkoleni, do którego garnizonu wysłani, czy się cieszyli, czy byli zmartwieni, że muszą wyruszyć na wojnę; co powiedział August przemawiając do nich, i tym podobne.

W trzy dni później Atenodor kazał mi opisać kłótnię pomiędzy majtkiem a handlarzem starzyzną, której świadkami byliśmy tego dnia przechodząc przez targ.

Zadanie to wypadło znacznie lepiej. Atenodor uczył mnie przede wszystkim należytego komponowania najpierw prac pisemnych, następnie wygłaszanych ustnie opowiadań, a wreszcie zwykłej rozmowy, jaką z nim prowadziłem. Zadawał sobie ze mną nieskończenie wiele trudu, zwracał uwagę na każdą niedokładność, każdą niewłaściwość wyrażenia, każdą usterkę stylistyczną.

W ten sposób powoli stawałem się coraz mniej roztargniony.

Usiłował też zainteresować mnie zagadnieniami filozoficznymi, lecz gdy zauważył, że nie mam w tym kierunku skłonności, ograniczył się tylko do ogólnie obowiązującego w tej dziedzinie programu. Pierwszy też obudził we mnie zamiłowanie do historii. Miał w swej bibliotece pierwszych dwadzieścia tomów Dziejów rzymskich Liwiusza, które mi dał do czytania jako przykład jasnego stylu i zajmującego ujęcia. Dziełem tym byłem zachwycony i Atenodor przyrzekł mi, że jak tylko oduczę się jąkać, poznam osobiście jego przyjaciela Liwiusza. Słowa tego dotrzymał. W sześć miesięcy później zabrał mnie do Biblioteki Apolla i przedstawił tam brodatemu, przygarbionemu nieco jegomościowi pod sześćdziesiątkę, o żółtawej cerze i śmiejących się oczach, który miał zwyczaj wyrażać się bardzo ściśle. Był to Liwiusz. Przywitał mnie serdecznie, jako syna człowieka szczerze przez niego podziwianego.

W tym czasie był dopiero w połowie dzieła, które, obliczone na sto pięćdziesiąt tomów, zawierało dzieje Rzymu od najwcześniejszych, legendarnych czasów aż do śmierci mego ojca. Ojciec umarł przed dwunastu laty i wtedy to właśnie Liwiusz zaczął wydawać swe dzieło, po pięć ksiąg rocznie. W ostatnim tomie doszedł do roku urodzin Juliusza Cezara.

Kiedy staruszek zaczął wieszować mi nauczyciela, Atenodor wtrącił, że mu sownie wynagradzam ponoszone trudy. Ośmielony pochwałą przyznałem, że wiele rozkoszy dostarcza mi lektura Dziejów rzymskich, które Atenodor polecił mi jako wzór stylu. Każdy z nas był zadowolony, a najbardziej Liwiusz.

- Czy chcesz być historykiem, młodzieńcze? - zapytał.

- Rad bym zasłużyć sobie na to zaszczytne miano - odrzekłem, choć w rzeczywistości nigdy dotąd nie pomyślałem o tym na serio.

Wtedy zaczął mnie zachęcać, żebym napisał biografię ojca, i ofiarował się wskazać najpewniejsze źródła do tej pracy. Bardzo mi pochlebila ta propozycja i oświadczyłem, że zaraz jutro przystąpię do pisania. Na to Liwiusz wytłumaczył mi, że pisanie to ostatni etap pracy historyka; że przede wszystkim muszę zebrać materiał i zaostrzyć pióro.

- Atenodor ma ostry nóż - zażartował - możesz sobie od niego pożyczyć.

Atenodor był to postawny starzec o czarnych, budzących sympatię oczach, orlim nosie i najwspanialszej brodzie, jaką kiedykolwiek w moim życiu widziałem. Spływała w falach aż po pas, a była biała jak łabędzi puch. Nie jest to poetycka przenośnia z mej strony, gdyż nie należę do historyków piszących w pseudoepickim stylu. Broda była rzeczywiście biała jak łabędź. Na sadzawkach w ogrodach Salustiusza trzymano oswojone łabędzie i pewnego razu, pływając łodzią, karmiliśmy je z Atenodorem. Kiedy Atenodor przechylił się za burtę, zwróciłem uwagę, że brodę ma tego samego koloru co łabędzie pióra. Podczas rozmowy miał zwyczaj gładzić ją z wolna i miarowo; temu głaskaniu, jak twierdził, zawdzięcza ona swą okazałą długość, z palców bowiem sypią się niedostrzegalne ziarna ognia, które są pokarmem dla włosów. Był to jeden z

tych dowcipów, jakie opowiadali stoicy na temat filozoficznych spekulacji epikurejczyków.

Wzmianka o brodzie Atenodora przywodzi mi na myśli Sulpicjusza, który, kiedy miałem trzynaście lat, zaczął z polecenia Liwii udzielać mi specjalnych lekcji historii.

Sulpicjusz miał najwstrętniejszą brodę, jaką kiedykolwiek w życiu oglądałem; była biała, ale białością śniegu na ulicach Rzymu z chwilą nastania odwilży - brudnoszare pasma mieszały się z żółtymi. Poza tym Sulpicjusz ciągle ją mierzwił kręcąc w palcach, a w razie silniejszego zdenerwowania koniec jej żuł w ustach. Liwia wybrała go na mego nauczyciela prawdopodobnie dlatego, że uchodził za najnudniejszego człowieka w całym Rzymie; miała więc nadzieję, że obrzydzi mi moje historiograficzne ambicje. Nie przeliczyła się w swoich rachubach. Sulpicjusz potrafił w genialny sposób najbardziej zajmujące rzeczy przeobrażać w płaskie i śmiertelnie nudne. Lecz nawet on nie zdołał osłabić moich zamiłowań.

Na jego korzyść trzeba powiedzieć, że miał fenomenalną pamięć do szczegółów. Jeżeli mi na przykład potrzeba było takich niepowszednich wiadomości, jak prawo sukcesyjne plemion alpejskich, z którymi walczył mój ojciec, albo gdybym chciał poznać znaczenie i etymologię ich barbarzyńskich okrzyków wojennych, Sulpicjusz powiedziałby mi na pewno, który z autorów w którym dziele pisał na ten temat i w której sali bibliotecznej, w której skrzynce, na której półce znajduje się to dzieło. Nie miał zmysłu krytycznego i pisał źle; jeden fakt zaciemniał drugi jak kwiaty na nie pielęgnowanej grządce. Okazał się jednak nieocenionym pomocnikiem i nauczyłem się korzystać z jego usług, gdy przestał już być moim nauczycielem. Pracował dla mnie aż do samej śmierci, która nastąpiła prawie trzydzieści lat później. Umarł w osiemdziesiątym siódmym roku życia, zachowując do ostatniej chwili niezrównaną pamięć i brodę równie niezdecydowaną w kolorze, skąpą i zmierzwioną jak za mych chłopięcych czasów.

ROZDZIAŁ VI

Muszę się teraz cofnąć kilka lat wstecz i opowiedzieć o stryju Tyberiuszu, którego losy wpłynęły w niemałym stopniu na koleje mego życia. Sytuacja stryja była nie do pozazdroszczenia; musiał być wbrew własnej woli ciągle na widoku publicznym - to jako konsul, to jako głównodowodzący na którymś z frontów lub nadzwyczajny naczelnik prowincji. Pragnął zaś przede wszystkim żyć w spokoju i ukryciu. Nie dbał o zaszczyty, gdyż przyznawano mu je nie jako człowiekowi, który działa na własną rękę i z pełnym poczuciem, odpowiedzialności, ale - wedle jego własnych słów wypowiedzianych do mego ojca - jako chłopcu na posyłki cesarskiej pary. Do tego jako reprezentant rodziny cesarskiej, szpiegowany na każdym kroku przez Liwie, musiał i w prywatnym życiu szczególnie dbać o reputację. Będąc z natury, jak już powiedziałem, podejrzliwy, zazdrosny, zamknięty w sobie i ponury, niewiele miał przyjaciół, a i to byli raczej pieczeniarze wieszający się u pańskiej klamki niż prawdziwi przyjaciele; traktował ich też z cyniczną wzgardą, na jaką zasłużyli.

Stosunki z Julią stawały się w ciągu pięcioletniego ich pożycia coraz gorsze.

Przyszędł na świat syn, ale wkrótce umarł i wtedy Tyberiusz przestał z żoną dzielić łóżko.

Trzy miał po temu przyczyny. Po pierwsze: Julia, teraz już kobieta w średnim wieku, zaczęła tracić smukłość linii, a Tyberiusz miał skłonność do nierozwiniętych kobiet o chłopięcych kształtach, i taka na przykład Wipsania wyglądała jak patyk. Po drugie: Julia była niezwykle namiętna i dostawała histerycznych ataków, kiedy odmawiał jej żądaniom. Po trzecie: stwierdził, że gdy przestał z nią współżyć, wyszukiwała sobie kochanków, aby się na nim zemścić i zyskać to, czego jej odmawiał. Niestety, nie miał żadnych dowodów

jej zdrady, pomijając świadectwo niewolników, a to nie wystarczało, żeby August zgodził się na udzielenie rozwodu swojej ukochanej córce. Nie chcąc zaś zwierzyć się Liwii, której nie ufał i której nie cierpiał, wolał znosić upokorzenie w milczeniu. Przychodziło mu na myśl, że najlepiej byłoby wyjechać z Rzymu, Julia wtedy stałaby się mniej ostrożna i August sam wpadłby na trop jej wiarołomstwa. Wyjechać jednak mógłby tylko w tym wypadku, gdyby na jednej z granic państwa wybuchła jakaś nowa wojna, o tyle poważna, żeby go wysłano w charakterze głównodowodzącego. Ale o żadnej wojnie nie było słyhać; zresztą miał już wojowania po uszy. Objął w zastępstwie mego ojca komendę nad armią "niemiecką" (Julia uparła się towarzyszyć mu nad Ren) i był w Rzymie dopiero od paru miesięcy.

Przez cały ten czas musiał harować jak niewolnik, August bowiem polecił mu zbadać administrację warsztatów i warunki pracy w najuboższej dzielnicy Rzymu. Było to zadanie i ciężkie, i niemiłe. Pewnego dnia, kiedy w pokoju nie było nikogo prócz Liwii, wybuchnął:

- O matko! Żeby być wolnym choć na kilka miesięcy! To życie jest nie do zniesienia!

Liwia nie odpowiedziała nic i wyniośle opuściła pokój, zostawiając Tyberiusza przestraszonego własną otwartością. Tego samego dnia jednak zawołała go do siebie i oświadczyła, że jest gotowa wystarać się dla niego u Augusta o urlop. Tyberiusz był zaskoczony. Nie domyślał się, że postąpiła w ten sposób, ponieważ z jednej strony chciała go względem siebie zobowiązać, z drugiej wiedziała o romansach Julii i wpadła na pomysł tej samej co on pułapki. Najważniejszym jednak motywem był wzgląd na napięte stosunki, jakie panowały między Tyberiuszem a jego dwoma dorastającymi pasierbami, Gajuszem i Lucjuszem.

Gajusz, który w gruncie rzeczy nie był złym chłopcem (podobnie zresztą jak Lucjusz), zdołał do pewnego stopnia zająć w sercu Augusta miejsce przypadające przedtem Marcellusowi. August mimo przestróg Liwii rozpuścił

obu wnuków jak dziadowskie bicze.

Należy się dziwić, że przy takim wychowaniu nie stali się oni jeszcze gorsi, niż byli.

Zachowywali się bezczelnie wobec starszych, zwłaszcza wobec tych, o których wiedzieli, że nie cieszą się sympatią Augusta, i okazywali skłonność do ekstrawaganckiego życia. Kiedy Liwia spostrzegła, że wszelkie usiłowania mające na celu powściągnięcie nepotyzmu Augusta są daremne, zmieniła taktykę i zaczęła sama zachęcać cesarza do jeszcze większego faworyzowania wnuków. Spodziewała się, że w ten sposób pozyska ich zaufanie.

Liczyła też, że jeśli w swym zarozumiałstwie posuną się o krok dalej, stracą resztę zdrowego rozsądku i pokuszą się o władzę monarszą. Miała zaś doskonale zorganizowaną służbę szpiegowską i wiedziała, że wiadomość o tego rodzaju spisku otrzyma dość wcześnie, aby obydwu kazać aresztować. Namawiała też Augusta, żeby kazał wybrać Gajusza konsulem na cztery lata z góry, kiedy chłopiec miał zaledwie piętnaście lat, a najmłodszy wiek, w jakim można było legalnie piastować konsulat, ustalony został przez Sullę na czterdzieści trzy lata, przy czym uprzednio należało piastować trzy różne, coraz wyższe urzędy. Później ten sam zaszczyt przypadł w udziale Lucjuszowi. Liwia namówiła Augusta, żeby przedstawił senatowi wnuków jako Przywódców Młodzieży. Tytuł ten otrzymali nie z racji specjalnej okazji, jak Marcellus; dawał im on stałe stanowisko zwierzchnicze nad rówieśnikami. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że August zamierza uczynić Gajusza swoim następcą. Cóż dziwnego, że jak poprzednio zauszniccy Marcellusa usiłowali przeciwstawić niedoświadczone siły swego przywódcy administracyjnym i wojskowym zasługom Agryppy, tak teraz arystokratyczni młodzieńcy wysuwali syna tegoż Agryppy przeciw Tyberiuszowi, cieszącemu się już pewną reputacją. Liwia chciała, żeby Tyberiusz poszedł za przykładem Agryppy. Jeśliby bowiem teraz, otoczony aureolą tyłu zwycięstw i urzędów, opuścił Rzym i zamieszkał na którejś z wysp greckich, pozostawiając wolne pole dla politycznych popisów

Gajusza i Lucjusza, wywołałoby to o wiele lepsze wrażenie i pozyskało mu wśród ludu znacznie więcej sympatii, niż gdyby pozostał i prowadził walkę z rywalami. Ta historyczna paralela byłaby jeszcze ściślejsza, gdyby Gajusz i Lucjusz pod nieobecność Tyberiusza zmarli i August potrzebował pomocy pasierba. Liwia przyrzekła więc Tyberiuszowi wystarać się u Augusta o pozwolenie opuszczenia Rzymu na czas nieograniczony i złożenia wszystkich piastowanych urzędów.

Miał jednak dostać tytuł honorowego trybuna ludu, który by go zabezpieczył przed zamachem na życie ze strony Gajusza, gdyby ten chciał w tak definitywny sposób pozbyć się rywala.

Nie tak łatwo jednak było dotrzymać obietnicy. Tyberiusz był najpracowitszym z ministrów i najzdolniejszym z wodzów Augusta, toteż starzejący się cesarz przez długi czas nie chciał nawet słyszeć o udzieleniu mu urlopu. Tyberiusz udawał chorego i podkreślał, że wyjazd będzie bardzo na rękę Gajuszowi i Lucjuszowi, z którymi, przyznawał, stosunki jego nie są najlepsze. Lecz August wszystkie argumenty puszczał mimo uszu. Gajusz i Lucjusz, twierdził, to chłopcy nie posiadający dotąd żadnego doświadczenia militarnego ani administracyjnego i na nie mu się nie przydadzą, jeśli w stolicy, na prowincji czy na granicach państwa wybuchną jakieś zamieszki. Cesarz chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że w razie tego rodzaju przykrych niespodzianek może liczyć tylko na pomoc Tyberiusza; irytowało go jednak, że musiał się do tego przyznać. Odmówił prośbie pasierba i oświadczył, że nie chce słuchać żadnych argumentów. Kiedy tym sposobem nie dało się osiągnąć celu, Tyberiusz udał się do Julii i z rozmyślną brutalnością oświadczył, że małżeństwo ich stało się zupełną farsą, wobec czego nie myśli ani chwili dłużej przebywać z nią pod jednym dachem. Jeśli chce, niech pójdzie do Augusta i poskarży się, jak ją traktuje ten mąż brutal; niech powie, że jedyne jej marzenie to rozwód. August wprawdzie ze względów rodzinnych niewątpliwie nie zgodzi się na rozwiązanie małżeństwa, ale prawdopodobnie wypędzi go z Rzymu. A on

woli raczej pójść na wygnanie niż żyć z nią dłużej.

Julia zapomniała o swej dawnej miłości do Tyberiusza. Za dużo wycierpiała. Nie tylko, ilekroć byli razem, traktował ją z największą pogardą, ale zaczął już wtedy potajemnie uprawiać te rozpustne praktyki, które go tak zohydziły w oczach wszystkich przyzwoitych ludzi, i wieści o tym dotarły do Julii; poszła więc za radą męża, lecz przedstawiła sprawę Augustowi znacznie jaskrawiej, niż spodziewał się tego Tyberiusz; próżność bowiem kazała mu wierzyć, że mimo wszystko jeszcze go kocha. August, który zawsze z trudem tłumił swą niechęć do Tyberiusza jako do zięcia - co ośmieliło stronnictwo Gajusza - wybuchnął teraz gniewem. Biegając po komnacie, obrzucał pasierba przezwiskami, jakie mu ślina na język przyniosła. Nie przeszkadzało mu to wypomnieć i Julii, że sama jest winna swemu rozczarowaniu; przecież ją swego czasu przestrzegał przed charakterem Tyberiusza. Pomimo całej miłości i współczucia dla córki nie mógł jednak rozwiązać małżeństwa.

Rozwieść pasierba i córkę, których związek posiadał takie znaczenie polityczne... Nie, to było wykluczone. Liwia będzie tego samego zdania, nie ulega wątpliwości.

Wobec tego Julia prosiła, żeby przynajmniej wysłał gdzieś męża na rok czy dwa; niech ją setki mil rozdziela od niego. Na to August ostatecznie się zgodził i w parę dni później Tyberiusz był w drodze na Rodos, którą to wyspę już uprzednio upatrzył sobie jako idealne miejsce wygnania. August na usilne nalegania Liwii nadał pasierbowi godność trybuna, oświadczając równocześnie, że nie sprawi mu to przykrości, jeśli go więcej nie zobaczy na oczy.

Tylko główni aktorzy tego interesującego dramatu wiedzieli, dlaczego Tyberiusz opuścił Rzym, a niechęć Augusta do ujawnienia istotnych przyczyn Liwia wyzyskała na korzyść syna. Opowiadała "w zaufaniu" swym przyjaciółom, że Tyberiusz postanowił się usunąć na znak protestu przeciw skandalicznemu zachowaniu się partii Gajusza i Lucjusza.

Dodawała, że August stał właściwie początkowo po stronie pasierba; nie

chciał się zgodzić na jego ustąpienie i przyrzekał mu utemperować napastników. Tyberiusz jednak oświadczył stanowczo, że nie chce zaognić stosunków z synami swej żony, i dla zademonstrowania swej niezmiennej pod tym względem woli przez cztery dni nie brał nic w usta. Aby nadać temu opowiadaniu pozory prawdy, Liwia towarzyszyła synowi do portu w Ostii i na odjezdnym błagała go w imieniu Augusta i własnym, by zastanowił się jeszcze nad swą decyzją.

Postarała się też o to, żeby członkowie jej najbliższej rodziny - syn Tyberiusza Kastor, moja matka, Germanik, Liwilla i ja - odprowadzili go razem z nią i dołączając swoje prośby do jej próśb, spotęgowali przygnębiający nastrój sceny pożegnania. Julia nie zjawiała się, a nieobecność jej była na rękę Liwii, która pragnęła wywołać wrażenie, że synowa stoi po stronie synów przeciw własnemu mężowi. Cała ta scena była śmieszna, ale doskonale wyreżyserowana. Moja matka zagrała świetnie swą rolę; troje starszych dzieci, starannie uprzednio wyuczonych, wygłosiło swoje kwestie jakby prosto z serca. Tylko ja stałem onieśmielony i otumaniony, aż Liwia uszczypnęła mnie z całej siły; wtedy rozplakałem się w głos, co było najudatniejszym efektem. Miałem wówczas cztery lata, a kończyłem dwanaście, kiedy poważna zmiana sytuacji politycznej sprawiła, że August, choć niechętnie, przyzwał mego stryja do Rzymu.

Co do Julii, to zasługuje ona na znacznie większą sympatię, niż sobie w rzeczywistości zyskała. Była to, moim zdaniem, w gruncie rzeczy całkiem przyzwoita, dobra kobieta; może tylko trochę zanadto lubiła rozrywki i silne podniety. Jako jedyna kobieta spośród moich krewnych miała dla mnie niekiedy dobre słowo. Nie wierzę też, żeby podczas małżeństwa swego z Agryppą dopuściła się wiarołomstwa, jak to jej zarzucano przed laty. W każdym razie trójka dzieci, które z nim miała, była uderzająco podobna do ojca.

Prawda, moim zdaniem, wygląda tak: będąc wdową zakochała się w Tyberiuszu i jak wspomniałem, nakłoniła Augusta, żeby ją wydał za niego za mąż. Tyberiusz, wściekły, że musi się rozwieść z ukochaną żoną Wipsanią,

traktował Julię bardzo ozięble. Wtedy ta wpadła na nierozsądny pomysł poradzenia się Liwii, której się wprawdzie bała, ale do której miała zaufanie. Liwia dała jej napój miłosny, mówiąc, że jeśli go będzie używała, mąż nie zdoła się jej oprzeć. Musi jednak pić ten płyn raz na miesiąc podczas pełni księżyca i odmawiać przy tym pewne modlitwy do Wenus. Niech jednak czyni to w tajemnicy, bo napój straci swoją moc i poważnie jej zaszkodzi. Napój, który przewrotna Liwia dała synowej, był w rzeczywistości wyciągiem z pokruszonych much hiszpańskich. Podniecał on do tego stopnia zmysłowe pożądania, że Julia zachowywała się jak szalona. (Wyjaśnię później, skąd się tego wszystkiego dowiedziałem.) Nienasycona namiętność, jaką w niej wbrew wrodzonej skromności wywoływał ten środek, rozbudziła wprawdzie na krótki czas pożądliwość Tyberiusza, niebawem jednak żona obrzydła mu do cna i wzdragał się utrzymywać z nią w dalszym ciągu stosunki. Przypuszczam, że Julia zaczęła nałogowo używać zdradzieckiego napoju, a to zmuszało ją do zaspokajania wzmożonego popędu w cudzołożnych stosunkach.

Nawiązywała je z pierwszym lepszym dworskim galantem dającym jakie takie gwarancje dyskrecji. Tak prawdopodobnie radziła sobie w Rzymie. W Niemczech czy we Francji uwodziła ochotników z osobistej świty Tyberiusza, a nawet niewolników germańskich. Jeśli się wahali, groziła, że oskarży ich o nieprzystojne propozycje i każe zachłostać na śmierć.

Ponieważ wyglądała wtedy jeszcze wcale ponętnie, wahania nie trwały długo.

Po wygnaniu Tyberiusza Julia stała się mniej ostrożna i wkrótce cały Rzym wiedział o jej romansach. Liwia nigdy nie wspomniała o nich Augustowi, była bowiem pewna, że we właściwym czasie dowie się prawdy z innych ust. Ale zaślepiona miłość Augusta do córki stała się wprost przysłowiowa i nikt nie miał odwagi choć słowem napomknąć o wybrykach Julii. Po pewnym czasie uważano ogólnie, że niemożliwe jest, by August o niczym nie wiedział, i jego pobłażliwość stanowi wskazówkę, że lepiej o tych rzeczach nie mówić.

Nocne orgie, jakie urządzała Julia na Rynku i na samej mównicy, były przedmiotem ogólnego zgorszenia, lecz dopiero po czterech latach wieść o nich dotarła do Augusta.

Dowiedział się o wszystkim nie od kogo innego, jak od synów Julii, Gajusza i Lucjusza. Pewnego razu obaj stanęli przed nim i z oburzeniem zapytali, jak długo jeszcze zamierza tolerować hańbę własną i swoich wnuków. Rozumieją wprawdzie, że wzgląd na dobre imię rodziny każe mu być pobłażliwym dla matki, lecz wszystko przecież ma swoje granice. Czyż mają czekać, aż ich obdarzy rodzeństwem - bękartami po różnych ojcach? Czy dopiero wtedy przyjmie do oficjalnej wiadomości jej szaleństwo?

August słuchał ze zgrozą. Przez dłuższy czas nie mógł wymówić słowa, poruszał tylko bezdźwięcznie wargami, z trudem łapiąc powietrze. Kiedy wreszcie był w stanie przemówić, zduszonym głosem kazał, zawołać Liwie. Obaj młodzieńcy powtórzyli w jej obecności swoje opowiadanie. Cesarzowa wybuchnęła płaczem. Jej największym zmartwieniem w ciągu ostatnich trzech lat, żaliła się, był upór, z jakim August zamykał oczy na prawdę. Kilkakrotnie już była zdecydowana wszystko mu opowiedzieć, ale za każdym razem całkiem jasno widziała, że nie życzy sobie słyszeć na ten temat ani słowa.

- Byłam pewna, że wiesz o wszystkim i że sprawa ta jest tak bolesna, że nie chcesz o niej mówić nawet ze mną - zakończyła.

August płakał zakrywszy twarz dłońmi. W odpowiedzi na insynuacje Liwii wymamrotał wśród łez, że nigdy nie słyszał najmniejszej plotki, że nie powstał w nim nawet cień podejrzenia, że wierzył święcie, iż córka jego jest najcnotliwszą kobietą w Rzymie.

- Z jakiego więc powodu Tyberiusz udałby się na wygnanie? - spytała. - Z zamiłowania do samotnego życia może, co? Nie, opuścił Rzym dlatego, że nie czuł się na siłach poskromić ekscesów swej żony, a zgnębiło go do reszty przekonanie, że August im pobłaża - tak przynajmniej sądził. A ponieważ nie chciał cię prosić o pozwolenie na rozwód, aby nie wzbudzić jeszcze większej

nienawiści synów Julii, Gajusza i Lucjusza, nie miał innej drogi wyjścia, jak z godnością wycofać się w zacisze.

Ta historia o Tyberiuszu dobiła jeszcze Augusta. Zarzuciwszy na głowę skraj togi znalazł po omacku drzwi na korytarz prowadzący do sypialni. Zamknął się w niej i przez cztery dni nikt, nawet Liwia, nie oglądał jego twarzy. Przez cały ten czas nie wziął do ust kęsa strawy ani kropli napoju, nie zdrzemnął się nawet na moment i - co było najwymowniejszym dowodem bólu - nie golił się. Wreszcie pociągnął za sznur zwisający z otworu przebitego w murze i w apartamentach Liwii zadźwięczał nagle srebrny dzwoneczek. Liwia przybrawszy najserdeczniejszy wyraz twarzy przybiegła co rychlej; August, jakby nie ufał własnemu głosowi, napisał na tabliczce krótkie zdanie po grecku: "Kaź ją wygnąć, tylko nie mów mi dokąd." Potem wręczył Liwii swój sygnet, aby w jego imieniu wysłała list do senatu z żądaniem skazania Julii na banicję. Przy sposobności warto wspomnieć, że sygnetem tym był wielki szmaragd z wyrzeźbioną głową Aleksandra Wielkiego, skradziony z grobowca bohatera wraz z mieczem, pancerzem i innymi drogocennymi przedmiotami, które do niego ongiś należały. Na gwałtowne nalegania Liwii August, choć niechętnie - zdawał sobie bowiem sprawę z zuchwalstwa - zaczął używać sygnetu. Pewnej nocy jednak zobaczył we śnie Aleksandra; gniewny i chmurny przystąpił do niego król macedoński i jednym ciosem miecza odciął palec z sygnetem. Odtąd August używał już swej własnej pieczęci, rubina indyjskiego, na którym słynny złotnik wyrzeźbił Dioskurów; pierścieniem tym posługiwali się później wszyscy następni cesarze.

Liwia list w sprawie wygnania Julii zredagowała w tonie bardzo ostrym.

Naśladowała przy tym styl Augusta, co nie było rzeczą trudną, gdyż poświęcał on zawsze wytworność na rzecz jasności. Tak na przykład nie wahał się użyć tego samego słowa po kilkakroć w jednym ustępie. Miał też skłonność do przyczepiania czasownikom nadmiaru przedrostków.

Liwia nie pokazała listu Augustowi, lecz posłała go od razu do senatu.

Opisała występki Julii dokładnie, by cesarz nie mógł już później zmienić decyzji i zażądać od senatu uchylenia wyroku. Równocześnie upiekła przy jednym ogniu kilka pieczeni, wymieniając jako kochanków Julii trzech czy czterech ludzi, których pragnęła zniszczyć.

Między nimi był mój wuj Julus, syn Antoniusza, któremu ze względu na Oktawie August okazywał dużą życzliwość i którego mianował konsulem. Liwia, wymieniając go w liście, z emfazą podkreślała niewdzięczność, jaką okazał swemu dobroczyńcy, i dała do zrozumienia, że dążył wraz z Julią do zagarnięcia najwyższej władzy. Julus popełnił samobójstwo.

Przypuszczam, że zarzut spiskowania był bezpodstawny, ale wuj mój, jako jedyny pozostały przy życiu syn Antoniusza, eks-konsul i mąż siostry Marcellusa, wydawał się niebezpieczny.

Przecież lud w okresach niezadowolenia z Augusta wyrażał często żal, że to nie Antoniusz wygrał bitwę pod Akcjum. Senat stosując się do życzenia cesarza skazał Julię na wygnanie. Tę samą karę ponieśli i inni oskarżeni.

W tydzień później August zapytał Liwie, czy "pewien dekret" został uchwalony.

(Nie wymawiał już bowiem imienia córki i unikał pośrednich nawet wzmianek na jej temat, choć niewątpliwie myślał o niej bez przerwy.) Liwia odpowiedziała, że "pewna osoba" została skazana na dożywotnie wygnanie na wyspę i jest już w drodze na miejsce przeznaczenia.

Wiadomość ta przygnębiła cesarza jeszcze bardziej; liczył widocznie, że córka uczyni jedyną rzecz, którą jej honor nakazywał, to znaczy, odbierze sobie życie. Liwia wspomniała, że Febe, pokojowa i powiernica Julii, powiesiła się na wieść o banicji swej pani. August westchnął:

- O bogowie! Czemuż nie jestem ojcem Febe?!

Publiczne swoje wystąpienia odłożył na dalsze dwa tygodnie. Pamiętam dobrze ten okropny miesiąc. Na rozkaz Liwii my, dzieci, musieliśmy wszyscy nosić żałobę; nie wolno nam było bawić się ani hałasować, ani zaśmiać się

nawet. Kiedyśmy znowu zobaczyli Augusta, wyglądał o dziesięć lat starzej; a miesiące minęły, zanim zjawił się na boisku kolegium i powrócił do swych rannych ćwiczeń, które polegały na szybkim spacerze wokół terenów pałacowych, a następnie na biegu z niewysokimi przeszkodami.

Tyberiusz bezzwłocznie otrzymał od matki wiadomość o losie Julii. Na żądanie Liwii napisał dwa czy trzy listy do Augusta, w których prosił go, żeby za jego przykładem przebaczył córce, dodając, że wprawdzie jako żona postąpiła niegodnie, życzy sobie jednak, żeby zachowała na własność wszystko, co jej kiedykolwiek ofiarował. August na listy nie odpowiedział. Był głęboko przekonany, że za moralny upadek Julii ponosi odpowiedzialność sam Tyberiusz, który od początku małżeństwa nie tylko traktował ją z nieludzką obojętnością, lecz własnym swym życiem dał jej przykład rozpusty. Toteż ani myślał odwoływać zięcia z wygnania; nie chciał mu nawet przedłużyć nominacji na trybuna, kiedy roczna kadencja się skończyła.

Istnieje pewna żołnierska pieśń ułożona w rytmie marsza, w swoistym, tragicomicznym, obozowym stylu. Śpiewały ją wiele lat później legiony stacjonujące w Niemczech. W balladzie tej jest mowa o "trzech zmartwieniach cesarza Augusta": o śmierci Marcellusa, o hańbie Julii i o stracie orłów Warusa. To ostatnie było najboleśniej, bo każdy orzeł kosztował życie całego legionu najdzielniejszych żołnierzy rzymskich. Pieśń opłakuje nieszczęśliwy los siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego pułku, które Niemcy podstępnie wyciągnęli na moczary i wycięli w pień. Kiedy wieść o tej klęsce doszła do Augusta, nieszczęśliwy władca zaczął tłuc głową o mur.

Cesarz August o mur bije głową
I jak groch mu z oczu lecą łzy.
„O Warusie! Zwróć mi, generale,
Moje orły, moje orły trzy!”
Cesarz August przewraca się w łóżu,
Spać nie może - pościel w strzępy drze.

„O Warusie! Zwróć mi, generale,
Moje pułki, zwróć mi pułki me!”*

[*Słynne: Vare, redde legiones! Swetoniusz, Boski August, r. 23.]

Z dalszych wierszy wynika, że już nigdy nie sformował nowych pułków noszących te same cyfry co trzy wycięte przez Niemców. Przysiągł, że życie Marcellusa i cześć Julii są niczym w porównaniu z życiem i czią jego żołnierzy i że nie zazna więcej spoczynku ”niż pchła w piecu”, dopóki nie odzyska i nie złoży bezpiecznie na Kapitolu trzech orłów. Chociaż od tej pory w niejednej bitwie rozniesiono Niemców, orłów nie można było w żaden sposób odnaleźć - tak je ci tchórze przemyślnie schowali. Żołnierska pieśń, jak widzimy, pomniejszała zmartwienie Augusta, którego przyczyną była Julia, osobiście jednak sądzą, że każdej godzinie strapienia po stracie orłów odpowiadał miesiąc rozpaczy po utracie córki.

August nie chciał nawet wiedzieć, dokąd została zesłana, ciągle bowiem przenosiłby się tam myślą, aż pewnego dnia uległby pokusie i wsiadłszy na statek pojechał ją odwiedzić.

Nic więc nie przeszkadzało Liwii w wymyślnej zemście. Nie pozwoliła Julii używać wina, kosmetyków, wytwornych sukien; pilnowali jej rzezańcy i starcy. Wszelkie wizyty były zakazane. Julia dostawała codziennie określoną ilość wełny do sprzedania jak za swych dziewczęcych czasów. Wyspa leżała naprzeciw wybrzeża kampańskiego. Był to niewielki skrawek ziemi, a Liwia, chcąc bardziej dokuczyć synowej, utrzymywała rok za rokiem bez zmiany tych samych strażników; naturalnie ludzie ci przeklinali ją za swe wygnanie na małej i niezdrowej wysepce. Jednej tylko osobie to smutne zdarzenie przyniosło pewną pociechę.

Tą osobą była matka Julii, Skrybonia, z którą August, jak pamiętamy, rozwiódł się chcąc poślubić Liwie. Skrybonia przez szereg lat żyła w odosobnieniu. Teraz - jako zupełna już staruszka - stanęła śmiało przed

Augustem i poprosiła, żeby wolno jej było podzielić los córki, którą skradł jej, zaledwie przysła na świat; z daleka musiała kochać swe dziecko, a teraz, gdy cały świat jest przeciw Julii, ona pokaże, co znaczy prawdziwa miłość matczyna.

Nie godzi się bezwzględnie potępiać nieszczęśliwej kobiety, nie miała zaiste łatwego życia.

Liwia, obecna przy tej rozmowie, roześmiała się wzgardliwie, lecz w głębi duszy nie było jej pewno przyjemnie. August, opanowując wzruszenie, skinął głową na znak, że pozwala Skrybonii wyjechać do córki.

W pięć lat później, w dzień urodzin Julii, cesarz zapytał nagle:

- Czy to wielka wyspa?

- Jaka wyspa? - zdziwiła się Liwia.

- No, wyspa... wyspa, na której żyje pewna nieszczęśliwa kobieta.

- Ach, kilka minut drogi spacerem od brzegu do brzegu - odparła Liwia z pozorną niedbałością.

- Kilka minut drogi! Żartujesz chyba? - wykrzyknął August, który przypuszczał, że córka przebywa na jednej z wielkich wysp, jak Cypr, Lesbos czy Kreta.

- Jak się nazywa ta wyspa? - dorzucił po chwili.

- Pandataria.

- Co?! To pustkowie? Przecież to okrucieństwo! Pięć lat na Pandatarii!

Liwia spojrzała na męża surowo i rzekła:

- Mam wrażenie, że chciałbyś ją widzieć z powrotem w Rzymie...

August podszedł do ściany. Wisiała tam mapa Italii wyryta na cienkiej złotej blasze; miasta oznaczone były drogimi kamieniami. Cesarz, nie mogąc wydobyć głosu, wskazał tylko na Reggio, piękne miasto greckie nad Cieśniną Mesyńską.

Wysłano więc Julię do Reggio, gdzie miała więcej swobody i wolno jej było nawet przyjmować gości. Odwiedzający ją musieli jednak osobiście prosić

Liwie o pozwolenie i wyjaśniać cel swojej wizyty. Otrzymywali wtedy paszport z dokładnym opisem ich wyglądu i wyliczeniem wszystkich znaków szczególnych. Niewiele osób miało ochotę poddawać się tym formalnościom. Kiedy Agryppina, córka Julii, prosiła o pozwolenie odwiedzenia matki, Liwia odmówiła pod pozorem, że nie może wystawiać na niebezpieczeństwo moralności Agryppiny. Julię obowiązywał w dalszym ciągu bardzo surowy regulamin i od śmierci matki, która umarła na malarię, nie miała przy sobie żadnej życzliwej duszy.

Parę razy August przechadzając się po ulicach Rzymu słyszał okrzyki:

- Sprowadź córkę! Dość się już nacierpiała! Sprowadź córkę!

Demonstracje te były dla Augusta bardzo bolesne. Pewnego dnia kazał towarzyszącej mu eskorcie schwytać w tłumie dwóch najgłośniej krzyczących. Przyprowadzonych napomniął surowo, dodając, że Jowisz niechybnie srogo ukarze ich głupotę i sprawi, że będą oszukani i zniesławieni przez własne żony czy córki. Zajścia te jednak były nie tyle wyrazem litości dla Julii, co nienawiści do Liwii, którą wszyscy słusznie potępiali za okrutne obchodzenie się z pasierbicą i tak podstępne postawienie sprawy, że duma nie pozwalała cesarzowi na okazanie pobłażliwości.

Tyberiuszowi zaś powodziło się przez rok czy dwa wcale nie najgorzej na wielkiej i pięknej wyspie Rodos. Klimat był tam doskonały, jedzenie dobre; miał dużo czasu na swoje literackie studia. Jego proza grecka była całkiem znośna, oprócz tego napisał kilka frywolnych elegii greckich na wzór Euforiona i Parteniusza. Wiele czasu spędzał na przyjacielskich dyskusjach z profesorami uniwersytetu rodyjskiego. Zabawiał się też chętnie studiowaniem mitologii i opracował olbrzymią tablicę genealogiczną w kształcie koła, którego szprychy wybiegały od naszego protoplasty, ojca czasu, Chaosu, i gubiły się na średnicy w gęstwie imion nimf, królów i bohaterów. Opracowując tę tablicę lubił wprowadzać w zakłopotanie znawców mitologii takimi pytaniami, jak na przykład:

„Jak się nazywała babka Hektora ze strony matki?” albo: ”Czy Chimera miała męskie potomstwo?”

Dzięki tej tablicy, która obecnie znajduje się w moim posiadaniu, Kaligula w szereg lat później mógł wygłosić swój słynny dowcip i powiedzieć o Auguście: ”O tak, to był mój stryjeczny dziadek. Pozostawał do mnie w tym samym stopniu pokrewieństwa, co pies Cerber do Apolla.” Jak teraz widzę, Kaligula popełnił błąd. Stryjecznym dziadkiem Apolla był potwór Tyfon, który według jednych autorów był ojcem, według innych dziadkiem Cerbera.

Ale w samym początku drzewa genealogicznego stosunki kazirodzce wprowadzają taki zamęt, że nie ręczę, czy Kaligula nie miał racji.

Jako trybun ludowy Tyberiusz cieszył się wśród Rodyjczyków wielkim poważaniem.

Ci, którzy udawali się na stanowiska na Wschód lub powracali stamtąd, nie omieszkali nigdy zboczyć z drogi, aby złożyć mu oficjalną wizytę. Tyberiusz zawsze jednak podkreślał, że jest prywatnym człowiekiem, i wymawiał się od wszystkich zaszczytów, którymi chciano go uczcić. I tak na przykład zrezygnował z przybocznej straży liktorów. Raz tylko skorzystał z przysługującej mu jako trybunowi władzy sądowniczej: polecił uwięzić i skazał w trybie doraźnym na miesiąc galer pewnego młodego Greka, bo ten w czasie dysputy gramatycznej, toczonej pod przewodnictwem Tyberiusza, próbował się przeciwstawić jego decyzji. Dzięki konnej jeździe, którą uprawiał, i ćwiczeniom w gimnazjonie utrzymywał się w doskonałej formie. Z Rzymem pozostawał w stałym kontakcie, Liwia bowiem co miesiąc donosiła mu o wszystkich wydarzeniach. Oprócz domu w stolicy wyspy, nabył niewielką willę podmiejską, wzniesioną na wysokim cyplu, skąd był widok na morze. Do willi tej wiodła ukryta ścieżka wśród skał; tędy zaufany wyzwoleniec, człek herkulesowej siły, przyprowadzał podejrzanych osobników - prostytutki, wróżbitów, magików, z którymi Tyberiusz zazwyczaj spędzał wieczory. Opowiadano, że niejeden z tych gości, jeśli nie przypadł gospodarzowi do gustu,

potykał się w powrotnej drodze o kamień i spadał nagle ze znacznej wysokości do morza.

Wspomniałem już, że kiedy trybunat Tyberiusza skończył się po pięciu latach, August nie przedłużył mu kadencji. Łatwo zrozumieć, że Tyberiusz znalazł się w bardzo niemiłej sytuacji, gdyż jako człowiek nie cieszył się na Rodos sympatią. Rodyjczycy widząc go pozbawionego eskorty liktorów, władzy urzędowej i osobistej nietykalności zaczęli odnosić się do niego najpierw z poufałością, a potem z lekceważeniem. Tak na przykład pewien słynny profesor filozofii, Grek z pochodzenia, na którego wykłady Tyberiusz chciał uczęszczać, odparł, że na razie nie ma wolnego miejsca, ale niech się zgłosi za siedem dni, może wtedy da się coś zrobić. Od Liwii przyszły wieści, że Gajusz został wysłany na Wschód jako wielkorządca Azji Mniejszej. Ale choć z Chios, gdzie się znajdował, było niedaleko do Rodos, Gajusz wbrew nadziejom Tyberiusza nie złożył mu wizyty. Podobno, jak doniósł mu jeden z przyjaciół, uwierzył kursującym po Rzymie pogłoskom, jakoby on z Liwią przygotowywali rewoltę wojskową. Na publicznej uczcie, kiedy wino uderzyło już do głów, ktoś z orszaku Gajusza ofiarował się nawet popłynąć na Rodos i przywieźć stamtąd głowę

„banity”. Lecz Gajusz odparł, że nie obawia się wygnania, niechże więc zachowa swoją bezwartościową głowę na bezwartościowym karku. Tyberiusz przełknął obelgę i wyruszył natychmiast na Chios, aby pogodzić się z pasierbem. Odnosił się do niego z taką uniżonością, że zaczęto snuć różne domysły. Tyberiusz, najznacniejszy w Rzymie po Auguście człowiek, nadskakujący wyrostkowi, synowi swojej zhańbionej żony! Gajusz przyjął ojczyrna chłodno, ale ambicja jego była mile połączona. Tyberiusz prosił, żeby nie przywiązywał wagi do pogłosek, gdyż są równie bezpodstawne, jak złośliwe. Zapewnił, że nie myśli o karierze politycznej, z której zrezygnował właśnie ze względu na Gajusza i jego brata.

Wszystko, czego pragnie, to spędzić resztę życia w spokoju i zaciszu, co

przekłada nad najwyższe zaszczyty.

Gajuszowi pochlebiało, że może okazać się wspaniałomyślny. Zgodził się przesłać do Rzymu list, w którym Tyberiusz prosił Augusta o pozwolenie powrotu, a od siebie dołączył pismo popierające tę prośbę. Tyberiusz pisał, że opuścił Rzym tylko dlatego, aby nie stać się zawadą dla Gajusza i Lucjusza, swych pasierbów, lecz obecnie, kiedy już dorośli i zyskali pewną pozycję, nie widzi żadnej przeszkody, dla której nie mógłby żyć spokojnie w Rzymie; dodał, że ma już dość Rodos i pragnie znów zobaczyć przyjaciół i krewnych.

August odpowiedział tylko Gajuszowi; pisał, że Tyberiusz, mimo gorących prośb przyjaciół i krewnych, opuścił stolicę wtedy, kiedy państwo potrzebowało jego pracy, nie może więc teraz sam decydować o swym powrocie. Wiadomość o tym liście rozeszła się wkrótce szeroko i niepokój Tyberiusza wzrósł jeszcze bardziej. Doszło też do niego, że ludność w Nimes we Francji obaliła posągi wzniesione na pamiątkę jego zwycięstw. Usunął się więc z miasta i zamieszkał w małym domku w ustronnej części wyspy, z rzadka odwiedzając tylko swą willę na cyplu. Zaniechał ćwiczeń fizycznych i zaniedbał się nawet w wyglądzie zewnętrznym; golił się rzadko, chodził w szlafroku i pantoflach. Wreszcie napisał potajemnie list do Liwii, przedstawiając jej całą groźbę sytuacji. Zaręczał, że jeśli uda się jej uzyskać dla niego pozwolenie powrotu, będzie jej do końca życia we wszystkim posłuszny. Dodał, że zwraca się do niej nie jako do pełnej poświęcenia matki, ale jako do ważnego, choć nieoficjalnego, sternika nawy państwowej.

Tego właśnie pragnęła Liwia. Dlatego nie starała się wcześniej nakłonić Augusta do przywołania Tyberiusza. Pragnęła, żeby miał tak dosyć beczynności i lekceważącego traktowania ze strony ogółu, jak poprzednio miał dość pracy i zaszczytów. W odpowiedzi przesłała krótką wiadomość, że list doszedł i że propozycję jego uważa za dobry interes. W kilka miesięcy później w Marsylii, podczas podróży do Hiszpanii, zmarł w tajemniczy sposób Lucjusz, a nim August otrząsnął się po tym ciosie, Liwia rozpoczęła akcję; skarżyła się,

że w ostatnich latach dotkliwie dawał jej się we znaki brak pomocy kochanego syna Tyberiusza; nie śmiała tylko dotąd prosić o jego powrót. Niewątpliwie postąpił on źle, lecz dostał wystarczającą nauzkę, a jego listy tchną największym przywiązaniem i lojalnością w stosunku do Augusta. Gajusz, który poparł prośbę o pozwolenie powrotu, potrzebuje teraz po śmierci brata zaufanego współpracownika.

2 r. n.e.

Pewnego wieczoru wróżbita imieniem Trazyl, z pochodzenia Arab zawitał do willi na cyplu nadmorskim. Gościł tam już dwa czy trzy razy i przepowiednie jego były bardzo pomyślne, lecz żadna z nich się dotąd nie spełniła. Tyberiusz zaczął się sceptycznie odnosić do jego wróżb i zapowiedział swojemu wyzwolńcowi, że jeśli tym razem Trazyl nie zadowoli go w pełni, to winien potknąć się wracając skalną ścieżką. Kiedy zjawił się wróżbita, Tyberiusz powitał go pytaniem:

- Cóż mi wróżą gwiazdy na dzień dzisiejszy?

Trazyl usiadł i zaczął kawałkiem węgla kreślić na kamiennym stole skomplikowane wyliczenia astrologiczne. Wreszcie obwieścił:

- Układ gwiazd jest niezwykle pomyślny. Krytyczny okres twojego życia, panie, ma się ku końcowi. Odtąd czeka cię już sama pomyślność.

- Doskonale - rzekł sucho Tyberiusz. - A jakież jest twoje własne przeznaczenie?

Trazyl zabrał się znowu do obliczeń, a kiedy skończył, miał w oczach wyraz udanego lub prawdziwego przerażenia.

- O nieba! - zawołał. - Grozi mi wielkie niebezpieczeństwo w powietrzu i w wodzie.

- Czy można go uniknąć? - badał Tyberiusz.

- Trudno mi na to odpowiedzieć. Jeżeli zdołam przeżyć najbliższych dwanaście godzin, los mój będzie, w odpowiednim, rzecz jasna, stosunku, równie szczęśliwy jak twój.

Ale układ prawie wszystkich złowróźbnych planet zdaje się mi grozić nieuniknionym nieszczęściem. Jedna tylko Wenus może mnie ocalić.

- Cóżżeś to o niej niedawno mówił? Powtórz! Już zapomniałem.

- Wenus zbliża się w stronę Niedźwiadka, pod którą to konstelacją urodziłeś się, panie; zwiastuje to niebywale szczęśliwą przemianę w twym życiu. Na podstawie tego niezmiernie ważnego ruchu pozwolę sobie wnioskować, że wkrótce będziesz przyjęty do rodu julijskiego, który, o czym nie trzeba chyba przypominać, wywodzi się od Wenus, matki Eneasza. O Tyberiuszu, mój skromny los jest dziwnie związany z twym wspaniałym przeznaczeniem. Jeżeli do jutra przed świtem otrzymasz dobre nowiny, będzie to znaczyło, że mam przed sobą tyle szczęśliwych lat co ty.

Siedzieli w portyku przed domem i nagle mysikrólik czy jakiś inny mały ptaszek wskoczył Trazyłowi na kolana i przekrzywiwszy główkę zaczął śpiewać.

- Dzięki ci, braciszku - rzekł Trazył do ptaka. - Już był najwyższy czas! - A zwracając się do Tyberiusza dodał: - Bogom najwyższym dzięki! Ptak powiada, że na okręcie wiozą dobre dla ciebie nowiny. Niebezpieczeństwo minęło. Jestem ocalony!

Tyberiusz zerwał się na równe nogi, uściskał Trazyła i wyznał mu, jakie miał względem niego zamiary. Rzeczywiście do portu zawinął okręt wiozący cesarską pocztę.

August donosząc o śmierci Lucjusza pisał, że w tych warunkach godzi się na powrót Tyberiusza do Rzymu, chociaż na razie tylko w charakterze człowieka prywatnego.

Co się tyczy Gajusza, Augustowi zależało bardzo na tym, żeby młodzieniec nie natknął się na trudności, do których nie był przygotowany, i pragnął, żeby w czasie jego wielkorządztwa panował na Wschodzie spokój. Na nieszczęście król armeński zbuntował się, a władca Partów groził połączeniem swych sił z buntownikiem. Chociaż Gajusz w czasie pokoju okazał się zdolnym

administratorem, August nie bardzo wierzył, że da sobie radę z tak poważną wojną. Niestety, sam był za stary, żeby osobiście kierować operacjami na froncie, a poza tym wiele spraw wymagało jego obecności w Rzymie. Nie mógł również posłać kogoś, kto by przejął od Gajusza komendę nad armią wschodnią, gdyż Gajusz był konsulem, a nie należało mu dawać tego urzędu, jeśli z góry było wiadomo, że nie jest zdolny do dowodzenia armią. Pozostało więc utrzymać Gajusza na jego stanowisku i pocieszać się, że wszystko wypadnie pomyślnie.

Z początku dopisywało Gajuszowi szczęście. Niebezpieczeństwo ze strony Armenii zostało zażegnane; sąsiadujące od wschodu koczownicze plemiona najechały kraj i król odpierając ten najazd padł w jednej z potyczek. Partowie usłyszawszy o śmierci sprzymierzeńca i o wielkiej armii, którą zebrał Gajusz, rozpoczęli układy ku wielkiej uldze Augusta. Kiedy jednak cesarz powołał na tron armeński Meda, nominacja ta wydała się magnatom armeńskim niemożliwa do przyjęcia, a kiedy Gajusz rozpuścił nadkontyngentowe legiony jako zbyteczne, wojna wybuchła znowu. Gajusz zebrał armię i wkroczył do Armenii, gdzie w kilka miesięcy później został podstępnie zraniony przez jednego z nieprzyjacielskich wodzów, z którym prowadził układy. Rana nie była jednak groźna. Gajusz nie troszczył się więc o nią i pomyślnie doprowadził wojnę do końca. Lecz widać źle był leczony i stan jego zdrowia, pogarszający się poza tym od dwu lat bez widocznej przyczyny, zaczął teraz budzić poważne obawy. Gajusz stał się całkiem niezdolny do jakiegokolwiek pracy umysłowej.

Wreszcie napisał do Augusta z prośbą, żeby mu zezwolił wycofać się z publicznego życia.

Cesarz się zgodził, choć z przykrością. Młodzieniec jednak zmarł w drodze powrotnej. Tak więc z synów Julii pozostał tylko piętnastoletni Postum, a stosunki Tyberiusza z Augustem uległy tak znacznej poprawie, że jak przepowiedział Trazył, cesarz przyjął go do rodu julijskiego, a wraz z nim adoptował i Postuma jako swego syna i spadkobiercę.

Na Wschodzie na pewien czas zapanował spokój, ale kiedy wojna która wybuchła znów w Niemczech (wspomniałem o niej w związku z moim wypracowaniem dla Atenodora), przybrała poważny obrót August powierzył Tyberiuszowi dowództwo armii i mianował go na lat dziesięć trybunem, co było dowodem, że znów obdarzył go zaufaniem. Kampania należała do najcięższych, lecz Tyberiusz prowadził ją z dawną zręcznością i energią.

Liwia nalegała na niego aby pomimo wojny odwiedzał Rzym możliwie najczęściej, nie powinien bowiem tracić kontaktu z politycznym życiem stolicy.

Tyberiusz

ROZDZIAŁ VII

1 r. p.n.e.

Aby zaznajomić czytelników z moim stryjem Tyberiuszem, musiałem cofnąć się kilka lat wstecz. Następnie przedstawiając fakty w ich chronologicznej kolejności, aż do momentu adoptowania stryja przez Augusta, wyprzedziłem zdarzenia własnego życia. Teraz więc postaram się opowiedzieć wydarzenia, które miały miejsce pomiędzy dziewiątym a szesnastym rokiem mojego życia. Przeważnie są to wspomnienia dotyczące zaręczyn i małżeństw zawieranych przez moich towarzyszy z możliwych domów rzymskich. Germanik pierwszy doszedł do pełnoletności. Przepisowy wiek, to jest czternaście lat, osiągnął już trzydziestego września, ale zgodnie ze zwyczajem uroczystość odbyła się dopiero w marcu.

Wczesnym rankiem Germanik wyruszył z naszego domu na Palatynie. Po raz ostatni ubrany był w obramowane purpurą chłopięce szaty; skronie otaczał mu wieniec. Przodem biegła gromada rozspiewanych dzieci sypiących kwiaty, potem szedł sam solenizant w otoczeniu swych przyjaciół, synów nobilów, a za nimi olbrzymi tłum ludzi w kolejności zależnej od stanu i osobistego znaczenia. Cały ten tłum skierował się w stronę Rynku, gdzie Germanik, powitany gromkimi wiwatami, wygłosił krótkie przemówienie. Następnie pochód ruszył w górę, na Kapitol. Tu oczekiwali go August i Liwia. W świątyni Jowisza Gromowładcy Germanik złożył w ofierze białego byka i po raz pierwszy przywdział biały strój męski. Ku memu wielkiemu rozczarowaniu nie pozwolono mi wziąć udziału w uroczystości.

Odległość była zbyt duża, żebym mógł ją przebyć pieszo, a towarzyszenie pochodowi w lektyce zrobiłoby złe wrażenie. Asystowałem więc tylko przy poświęceniu bogom domowym szat chłopięcych i rozrzucaniu ze stopni domu słodyczy i monet między zebrany tłum.

W rok później Germanik się ożenił. August nie szczędził trudów, aby przez odpowiednie ustawy zachęcać mężczyzn pochodzących z wyższych sfer do zawierania małżeństw. Olbrzymie imperium potrzebowało większej liczby urzędników i wyższych oficerów, niż ich mogły dostarczyć możnowładztwo i rycerstwo, choć ich szeregi wciąż zasilali nowi ludzie plebejskiego pochodzenia. Kiedy dobrze urodzeni zaczęli narzekać na wulgarność tych "nowych ludzi", August odpowiadał opryskliwie, że wybiera najbardziej ogładzonych, jakich może znaleźć. "Od was samych zresztą zależy, żeby było inaczej - mówił. - Każdy mężczyzna i każda kobieta z możnego rodu powinni jak najwcześniej wstępować w związki małżeńskie i mieć tyle dzieci, ile się tylko da."

Ciągły spadek liczby urodzin i małżeństw w sferach rządzących stał się istną manią prześladowczą cesarza.

Pewnego razu delegacja stanu rycerskiego, z którego wywodzili się senatorowie, wniosła skargę na surowość praw skierowanych przeciw bezzennym. August kazał całemu stanowi zjawić się na Rynku. Zebranych podzielił na dwie grupy: żonatych i nieżonatych.

Tych ostatnich było dużo więcej. Do każdej z grup cesarz wygłosił oddzielne przemówienie.

Bezzennym dostały się porządne cięgi. Uniesiony gniewem August nazwał ich gromadą zwierząt, bandą rozbójników, a wreszcie w dziwacznej przenośni - mordercami własnego potomstwa. W tym czasie August był już starym człowiekiem, złośliwym i nie znoszącym sprzeciwu, jak każdy, kto przez całe życie wszystkim rządził. Nałajawszy się do woli, zapytał ironicznie, czy przypadkiem nie cierpią na halucynacje; może uroili sobie, że są westalkami.

Ale przecież westalki śpią same, czego nie można bynajmniej o nich powiedzieć. Niech wytłumaczą, jeśli łaska, dlaczego zamiast dzielić łożę z przyzwoitymi kobietami ze swojej sfery, zamiast płodzić z nimi zdrowe dzieci, marnotrawią siły w rozpuście z opasłymi niewolnicami i paskudnymi nierządnicami z Azji czy Grecji. A jeśli wierzyć pogłoskom, jakie i do niego

dotarli, to częściej jeszcze spędzają noce z osobami, o których ohydny zawódzie nie chce nawet wspominać; samo stwierdzenie faktu, że tego rodzaju indywidua przebywają w stolicy, byłoby wyrokiem potępiającym Rzym. Jego zdaniem, ludzie, którzy uchylając się od spełnienia swego społecznego obowiązku pędzą życie w rozpuście, powinni być karani równie okrutnie jak wiarołomne westalki - należałoby żywcem zakopywać ich w ziemi.

Natomiast na cześć żonatych, wśród których i ja wtedy już byłem, August wygłosił wspaniały panegiryk i wyciągał ramiona, jakby nas wszystkich chciał przytulić do piersi.

- Niewielu was widzę - mówił - i nieznaczny odsetek ludności stanowicie. O wiele mniejszy niż wasi towarzysze, którzy nie chcą spełnić naturalnych obowiązków wobec społeczeństwa. Ale tym większa należy wam się pochwała i podwójna wdzięczność.

Okazaliście się bowiem posłuszni moim zaleceniom i spełniliście najważniejszy obowiązek obywatela względem państwa. Pokoleniom ludzi takich jak wy Rzym zawdzięcza swą wielkość. Najpierw była nas, jak wiecie, nieliczna garstka. Ale gdy zaczęliśmy się żenić i płodzić dzieci, staliśmy się narodem, który wkrótce mógł rywalizować z sąsiednimi państwami nie tylko pod względem męstwa swych obywateli, ale i pod względem ich liczebności. Nie wolno nam o tym zapominać! Sami będąc śmiertelni, powinniśmy się tym bardziej starać o nieskończony ciąg przyszłych pokoleń. W nich bowiem odżywając możemy sobie zapewnić nieśmiertelność, która przypadła w udziale tylko szczęśliwym mieszkańcom nieba. Dlatego to pierwszy i największy z bogów, kiedy tworzył rodzaj ludzki, podzielił go na dwie połowy: męską i niewieścią, i każdej z nich kazał tęsknić do drugiej, a połączenie obu pobłogosławił płodnością. W ten sposób pod pewnym przynajmniej względem to, co śmiertelne, stało się nieśmiertelne. Wedle tradycji jedne z bóstw są męskie, a drugie żeńskie, i łącząc się z sobą w małżeńskie stadła tworzą rodziny. Widzicie więc, że nawet wśród istot, które nie potrzebują tej instytucji,

małżeństwo i płodzenie dzieci przyjęło się jako szlachetny zwyczaj.

Na śmiech mi się zbierało, kiedy słuchałem tego przemówienia. Nie dlatego, że wychwalano mnie za to, co uczyniłem wbrew chęci, pod przymusem; w ogóle całe wystąpienie Augusta w tej sprawie trąciło farsą. Przecież dobrze zdawał sobie sprawę, że to nie my wykręcamy się sianem od małżeństwa, ale kobiety. Im to należało przemówić do rozumu.

Pewnego razu przysłuchiwałem się rozmowie dwu wyzwolenic mojej matki.

Dyskutowały one na temat małżeństwa z punktu widzenia współczesnej kobiety z towarzystwa.

- Cóż zyska wyszedłszy za mąż? - mówiła jedna. - Dziś, przy ogólnej swobodzie obyczajów, nikt nie bierze małżeństwa na serio. Znajdzie się może jeszcze kilku staroświeckich mężów traktujących małżeństwo o tyle poważnie, żeby mieć zastrzeżenia w stosunku do dzieci spłodzonych ich własnym żonom przez przyjaciół lub famulusów, i kilka zacofanych kobiet na tyle szanujących męzowskie uczucia, żeby nie zachodzić w ciążę z kim innym. Ale to są wyjątki! Na ogół każda niebrzydka niewiasta może się dziś przespać, z kim ma ochotę. Jeżeli jednak wyjdzie za mąż, a mąż jej, jak to bywa, po pewnym czasie znudzi ją i przyjdzie jej chęćka zabawić się z kim innym, staje jej wtedy na przeszkodzie duma lub zazdrość męża. Pod względem finansowym też na wyjściu za mąż na ogół nic nie zyskuje.

Posag dostaje się w ręce męża albo teścia, który, jeśli żyje, jest głową rodziny. A z reguły trudniej poradzić sobie z mężem lub teściem niż z ojcem lub starszym bratem, ich bowiem słabe strony zna się od dawna. Odpowiedzialność za prowadzenie domu, jaka ciąży na mężatce, też nie należy do przyjemności. A dzieci?...Któż dzisiaj pragnie mieć dzieci? Już na wiele miesięcy przed porodem kobieta czuje się niedobrze, a choć niemowlę od początku karmi mamka, o rozrywkach trudno myśleć, zanim się przyjdzie do siebie po położeniu. A często się zdarza, że już po trzecim dziecku figura jest do niczego. Wystarczy spojrzeć na

piękną Julię, stosującą się posłusznie do życzeń Augusta. Trudno też wymagać od męża, żeby podczas ciąży żony trzymał się z dala od innych kobiet; a dziecku, kiedy przyjdzie na świat, okazuje on naprawdę niewielkie zainteresowanie. Do tego niańki teraz są tak niedbałe, że dzieci często umierają. Niech bogi błogosławią tym mądrym greckim lekarzom, którzy, jeśli sprawa nie posunęła się za daleko, potrafią w ciągu dwóch, trzech dni uwolnić damę od niepożądanego dziecka i nikt o niczym nie wie. Wprawdzie wiele, i to całkiem nowocześnie myślących kobiet ma staroświecką słabość do dzieci, lecz przecież zawsze można sobie kupić i adoptować jakiegoś dzieciaka. Tylu ludzi z dobrych rodzin znajduje się dziś w kłopotach finansowych. August pozwolił rycerzom na zawieranie małżeństw z plebejkami, a nawet z wyzwolenicami. Niewiele to jednak pomogło. Rycerze żenili się nie z miłości ani z chęci posiadania potomstwa, lecz przede wszystkim dla posagu; małżeństwo z wyzwolenicą nie przedstawiało pod tym względem żadnej korzyści. Zresztą - zwłaszcza wśród świeżo nobilitowanych - panowała wyraźna niechęć do żenienia się z kobietami z niższej sfery. Jeżeli chodzi o stare rody nobilów, te tutaj znalezienie odpowiedniej kandydatki napotykało jeszcze większe trudności. Skutkiem ciągłego powinowacenia się możnowładztwa między sobą liczba kobiet, z którymi można było zawrzeć niekazirodcze związki małżeńskie, była dość znacznie ograniczona. Poza tym utrzymała się tutaj ściślejsza forma małżeństwa, pociągająca za sobą większą władzę męża nad żoną. Toteż każda rozsądna niewiasta z możnego rodu dwa razy się zastanowiła, zanim zawarła związek, z którego jedynym sposobem wyswobodzenia się był formalny rozwód, rozwódce jednak niełatwo przychodziło odzyskać z powrotem swój posag.

Poza możnowładztwem już dawno rozpowszechniła się swobodniejsza forma małżeństwa, w którym kobieta mając wszystkie prawa legalnej żony zachowywała osobistą niezależność i możliwość rozporządzania własnym majątkiem, tylko wtedy jednakże, jeśli zastrzegła sobie prawo spędzania trzech

nocy w ciągu roku poza domem męża. W przeciwnym razie mąż zyskiwał na stałe pełne prawa do jej osoby i majątku. Kobiety wolały tę drugą formę małżeństwa z tych samych powodów, z jakich mężczyźni patrzyli na nią krzywym okiem.

Początkowo tego rodzaju związki zawierano tylko w sferach najniższych, z wolna jednak stały się one powszechnie przyjętą formą małżeństwa i tylko moi trzymali się pierwotnego zwyczaju, do którego przetrwania przyczyniły się też względy religijne. Z rodów nobilów bowiem wybierano najwyższych kapłanów, którzy w myśl przepisów musieli być żonaci wedle ściślejszej formy i pochodzić z takichże ścisłych małżeństw. Z czasem wyszukanie odpowiednich kandydatów na urzędy kapłańskie zaczęło natrafiać na coraz większe trudności.

Wreszcie wakansów, które powstały w kolegiach kapłańskich, w ogóle nie można było zapełnić i z sytuacji tej wyjście znaleźli dopiero prawnicy. Kobietom z wyższych sfer pozwolono zawierać małżeństwa wedle ścisłej formy z zastrzeżeniem, że korzystają z wszystkich przywilejów wolnego małżeństwa, a zupełne oddanie siebie i posagu w ręce męża jest tylko symboliczne.

Ale to nastąpiło dopiero później. Na razie August poza grzywnami, jakimi obłożył kawalerów i bezdziejnych, mógł co najwyżej wywierać nacisk na ojców rodzin, aby żenili i wydawali za mąż dzieci w tym wieku, kiedy jeszcze nie zdają sobie one sprawy z doniosłości tego kroku i muszą, chcąc nie chcąc, zastosować się do woli rodzicielskiej. Dla dobrego przykładu wszyscy członkowie rodziny Augusta i Liwii zostali pozaręczani i pożenieni możliwie najwcześniej. August, choć to może brzmi dziwnie, był pradziadkiem w pięćdziesiątym czwartym roku życia, a prapradziadkiem w siedemdziesiątym szóstym. Julia w wieku, w którym mogła jeszcze sama spodziewać się dzieci, miała już z drugiego małżeństwa wnuczkę na wydaniu. W ten sposób pokolenia mieszały się z sobą chronologicznie, a drzewo genealogiczne rodziny cesarskiej mogło pod względem skomplikowania rywalizować z rodowodem bogów olimpijskich. Galimatias powiększały częste adopcje i związki między

krewnymi w stopniu bliższym niż pozwalał zwyczaj i religia

(rodzina cesarska stała już w tym czasie ponad prawem); gmatwały genealogię zwłaszcza małżeństwa wdów, które wychodziły powtórnie za mąż w obrębie tego samego niewielkiego i spowinowaconego już z sobą grona.

Po tych uwagach przejdę do szczegółowszego, możliwie zwięzłego jednak omówienia naszych stosunków rodzinnych.

Wspomniałem już o dzieciach Julii - trzech chłopcach: Gajuszu, Lucjuszu, Postumie, i dwóch córkach: Julilli i Agryppinie; po wygnaniu i wydziedziczeniu matki stali się oni głównymi spadkobiercami Augusta. Następnie szli młodszy członkowie rodziny Liwii, a mianowicie: syn Tyberiusza, Kastor, i jego stryjeczne rodzeństwo: mój brat Germanik, moja siostra Liwilla i ja sam. Należy jeszcze wspomnieć o wnuczce Julii. Julilla w braku odpowiedniego kandydata z rodziny Liwii wyszła za mąż za swego brata ciotecznego, zamożnego senatora Emiliusza (wnuka Skrybonii z pierwszego małżeństwa), i miała z nim córkę Emilię. Małżeństwo Julilli zatruwała Liwia, której zdaniem wnuczka Augusta powinna była wyjść za mąż tylko za jej własnego wnuka. Tymczasem Germanik ożenił się z Agryppiną, przystojną i stateczną dziewczyną, którą już od dawna kochał. Gajusz ożenił się z moją siostrą Liwilla, ale wkrótce zmarł bezpotomnie. Lucjusz, zaręczony z Emilią, nie dożył ślubu.

Po śmierci Lucjusza wyłoniła się kwestia znalezienia odpowiedniego męża dla Emilii.

August chytrze domyślił się, że Liwia upatrzyła już sobie kandydata - w mojej osobie.

Serdecznie przywiązany do prawnuczki, wzdrygał się na myśl, że ma zostać żoną podobnego cherlaka, i postanowił za wszelką cenę przeszkodzić naszemu połączeniu. Tym razem - obiecywał sobie - Liwii nie uda się urzeczywistnić planu."

Zdarzyło się, że wkrótce po śmierci Lucjusza cesarz został zaproszony na

uczczę do jednego ze swoich starych generałów, niejakiego Medullina, którego ród wywodził się od dyktatora Kamilla. Już któryś raz z rzędu napełniono puchary, gdy Medullin nagle przypomniał sobie, że ma coś interesującego do opowiedzenia Augustowi.

Mianowicie jego wnuczka Medullina, do której był bardzo przywiązany, zaczęła w ostatnich czasach wykazywać zdumiewające postępy w nauce literatury. Okazało się, że zawdzięcza je pewnemu młodemu człowiekowi spokrewnionemu z cesarzem. August był mocno zaintrygowany.

- Cóż do licha! - zawołał. - Nic nie wiem o tej historii. Czy to przypadkiem nie jakaś miłosna afera w literackim sosie?

- Coś w tym rodzaju - zachichotał Medullin. - Rozmawiałem z tym młodzieńcem i mimo wszystkich swoich ułomności przypadł mi do serca. Jest to szczery, prawy chłopiec i jak odniosłem wrażenie, nieprzeciętnie wykształcony.

- Chyba nie myślisz o Tyberiuszu Klaudiuszu? - spytał August niedowierzająco.

- Właśnie o nim.

Augustowi nagle zaświtała pewna myśl. Pośpieszniej, niż wypadało, zagadnął:

- Słuchaj no, stary przyjacielu, miałbyś co przeciwko niemu jako mężowi swej wnuczki? Co? Jeżeli się tylko zgodzisz, ja z całą przyjemnością załatwię tę sprawę. Głową rodziny jest wprawdzie młody Germanik, ale on w tego rodzaju sprawach idzie za radą starszych. Nie każda dziewczyna potrafiłaby przezwyciężyć fizyczny wstręt do tego biednego, głuchego i jękającego się kuternogi. Z tego właśnie powodu mamy z Liwia pewne skrupuły i nie wiemy, z kim by go zaręczyć, ale jeśli twoja wnuczka sama, dobrowolnie...

- Sama mi o tym mówiła - potwierdził Medullin - i rozważyła tę sprawę bardzo dokładnie. Powiada, że młody Tyberiusz Klaudiusz jest skromny, prawdomówny i dobry, a dzięki swej ułomności nie pójdzie na wojnę, gdzie by mógł zginąć...

- I nie będzie też mógł biegać za innymi kobietami - zaśmiał się August.

- A jeśli chodzi o głuchotę, to podobno nie dosłyszysz tylko na jedno ucho; co zaś do ogólnego stanu zdrowia...

- Ta dzierlatka na pewno wykombinowała sobie, że jej ukochany nie jest dotknięty kalectwem tego członka, dla którego porządna niewiasta okazuje najwięcej zainteresowania, co? I rzeczywiście, dlaczegóż by nie miał mieć z nią zdrowych dzieci? Żaden koń w Rzymie nie spłodził tylu zwycięzców wyścigów co mój stary, kulawy, dychawiczny Bucefał.

Ale żart na stronę! Dom twój, Medullinie, należy do najznamienitszych i rodzina mojej żony będzie uważała za zaszczyt spowinowacić się z nim. Czy doprawdy zgodziłbyś się na to małżeństwo?

Medullin odrzekł, że dziewczyny nie mogło spotkać nic wspanialszego jak ten niespodziewany zaszczyt skoligacenia się przez takie małżeństwo z samym Augustem.

Medullina była moją pierwszą miłością. Poznaliśmy się przypadkiem w ogrodach Salustiusza, dokąd pewnego popołudnia zabrał mnie na spacer Sulpicjusz, zastępujący chorego Atenodora. Siedziałem na ławce zaczytany, a kiedy w pewnym momencie podniosłem oczy znad książki, niespodziewanie zobaczyłem przed sobą młodą dziewczynę.

Jak wiecie, jestem przygłuchy na jedno ucho i tym się tłumaczy, że nie usłyszałem jej kroków. Toteż w pierwszej chwili o mało nie krzyknąłem, nie tylko z zachwyty nad jej pięknnością, lecz z przestachu. Widząc me przerażenie roześmiała się serdecznie.

Była to smukła dziewczyna o bujnych czarnych lokach, jasnej cerze, ciemnobłękitnych oczach, żywa jak iskra. Przysięgam, że na całym świecie nie znajdzie się druga równie piękna!

- Jak się nazywasz? - spytała uprzejmie.

- Tyberiusz Klaudiusz Druzus Neron Germanik.

- O bogi! Aż tyle? A ja tylko Medullina Kamilla. A ile masz lat?

- Trzynaście - odrzekłem opanowując jąkanie.

- Ja tylko jedenaście, ale pójdę o zakład, że cię prześcignę. Chcesz spróbować?

Dystans do tego cedru i z powrotem.

- Czy masz może rekord w biegu?

- Biję wszystkie dziewczęta w Rzymie. A moich starszych braci także.

- Możesz uważać, że już mnie pobiłaś. Ja wcale nie biegam! Jestem ułomny.

- O biedaku! A jak się tu dostałeś? Przykuśtykałeś całą drogę?

- Nie, Kamillo. Przyniesiono mnie w lektyce jak gnuśnego staruszka.

- Dlaczego mówiąc do mnie używasz przydomku, nie imienia?

- Bo mi się wydaje dla ciebie odpowiedniejszy.

- Skąd ci to przyszło na myśl?

- U Etrusków zwą się tak młode łowczynie - kapłanki Diany. Z imieniem Kamilli wiąże się pojęcie rekordu w biegu.

- Ależ to cudowne! Nigdy o tym nie słyszałam. Teraz wszyscy znajomi muszą mnie nazywać Kamilla.

- A ty mów mi Klaudiusz. To jest właściwe dla mnie imię: oznacza kulawego. W rodzinie nazywają mnie Tyberiuszem, ale Tyber przecież biegnie bystrym nurtem.

Zaśmiała się głośno.

- A co ty robisz, Klaudiuszu, cały dzień, skoro nie możesz biegać z innymi chłopcami?

- Przeważnie czytam i piszę. W tym roku przeczytałem już cały stos książek, a mamy dopiero czerwiec. Ta jest po grecku.

- Ja jeszcze nie umiem po grecku. Znam ledwie alfabet. Dziadek ma ze mną istne utrapienie, powiada, że jestem leniuch. Oczywiście, kiedy ktoś mówi po grecku, to rozumiem; musimy zawsze rozmawiać w tym języku podczas obiadu i przy gościach. A co to za książka?

- Historia wojny peloponeskiej Tukidydesa. Czytam właśnie rozdział, w którym jest mowa o niejakiem Kleonie, z zawodu garbarzu. Wystąpił on na zgromadzeniu ludowym z krytyką generałów, którzy obiegli Spartan na wyspie. Jego zdaniem, generałowie ci zupełnie niesłusznie chełpią się swoim czynem; on na ich miejscu w ciągu dwudziestu dni przyprowadziłby całe wojsko spartańskie w pętach. Zmęczeni gadaniem Kleona Ateńczycy oddali mu wreszcie dowództwo nad armią.

- Co za śmieszny pomysł! No i co się stało?

- Kleon dotrzymał przyrzeczenia. Znalazł sobie doskonałego szefa sztabu i pozwolił mu prowadzić wojnę według jego planu, byleby tylko wygrywał bitwy. A że trafił na człowieka znającego swoje rzemiosło, więc w dwadzieścia dni później przyprowadził do Aten stu dwudziestu Spartan znakomitego rodu.

- Mój wuj Furiusz twierdzi, że najmądrzejszy jest ten, kto potrafi sobie dobrać mądrych ludzi, żeby za niego myśleli. Ale ty musisz być bardzo uczony, Klaudiuszu?

- Powszechnie uchodzę za skończonego głupca, i to tym głupszego, im więcej czytam.

- Na mnie robisz wrażenie całkiem rozumnego chłopca. Umiesz tak pięknie opowiadać.

- Ale się jąkam. Mój język jest też klaudyjski.

- Może to wynika z nerwowości. Pewnie nie znasz zbyt wielu dziewcząt?

- Nie. Zresztą ty pierwsza nie śmiejesz się ze mnie. Czy nie moglibyśmy widywać się od czasu do czasu? Wprawdzie nie nauczysz mnie biegać, ale ja cię mogę nauczyć po grecku.

Masz ochotę?

- Och, świetnie! Ale będziesz mi dawał interesujące książki do nauki, nieprawdaż?

- Jakie tylko zechcesz. Czy lubisz historię?

- Najbardziej lubię poezję. W historii jest strasznie dużo nazw i dat, które

trzeba zapamiętać. Moja starsza siostra przepada za erotykami Parteniusza. Czy czytałeś je?

- Parę utworów. Ale nie lubię tego poety; jest za sztuczny. Ja lubię prawdziwe książki.

- Ja też. Ale czy jest jakiś grecki poeta, który by nie był sztuczny?

- Owszem. Teokryt. Bardzo go lubię. Poproś ciotkę, żeby cię jutro przyprowadziła tutaj o tej samej porze, a ja przyniosę Teokryta i od razu zaczniemy lekcje.

- Ale przyrzekasz, że nie jest nudny?

- Jest bardzo zajmujący.

Od tej pory spotykaliśmy się prawie codziennie w ogrodzie. Czas nam mijał na czytaniu i rozmowie. Sulpicjusz musiał przyrzec, że nikomu nie powie o tych spotkaniach; bałem się bowiem, żeby Liwia ich nie zakazała. Pewnego dnia dowiedziałem się od Kamilli, że jestem najsympatyczniejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkała, i że woli mnie od wszystkich przyjaciół swych braci. Zapewniłem ją o nie mniejszej z mej strony sympatii. Ucieszyła się tym ogromnie i nieśmiało się pocałowaliśmy. Spytała następnie, czy jest możliwe, żebyśmy się pobrali. Dziadek uczyni wszystko, co ona zechce.

Kiedyś przyprowadzi go do ogrodu i zapozna ze mną; lecz czy zgodzi się mój ojciec?

Wiadomość, że jestem sierotą i że wszystko zależy od Augusta i Liwii, zasmuciła Kamillę.

Dotychczas niewiele rozmawialiśmy o stosunkach rodzinnych. O Liwii nie słyszała nigdy od nikogo dobrego słowa. Pocieszyłem ją, że nie jest wykluczone, iż cesarzowa zgodzi się na nasz związek; tak mnie bowiem nie cierpi, że trudno przypuścić, aby się troszczyła o to, co robię, bylebym tylko nie przynosił jej wstydu.

Medullin był to dziarski, czcigodny starzec. Interesował się historią, dzięki czemu rozmowa między nami potoczyła się całkiem gładko. Jako

sztabowy oficer brał udział w pierwszej kampanii mojego ojca i opowiedział mi mnóstwo anegdot; wiele z nich zanotowałem, żeby wpleść w jego biografię. Pewnego dnia rozmawialiśmy o przodku Kamilli, Kamillusie, i Medullin zapytał, który z czynów dyktatora uważam za najgodniejszy podziwu.

- Chyba nauczkę, jaką podczas oblężenia Faleriów dał owemu nikczemnemu wychowawcy falijskiemu, który powierzone jego opiece dzieci wyprowadził podstępnie do obozu Rzymian. Zrozpaczeni rodzice dla ocalenia synów byliby się zgodzili na wszystkie warunki Kamillusa. Ale dyktator nie chciał korzystać z tak nikczemnej usługi. Na jego rozkaz żołnierze rzymscy zdarli z nauczyciela szaty i skrępowali mu do tyłu ręce. Wtedy Kamillus, rozdawszy dzieciom różgi i kańczugi, polecił im zapędzić zdrajcę z powrotem do domu. Czyż to nie był wspaniały gest?

Opowiadając tę historię wyobrażałem sobie Katona jako owego nauczyciela, a Postuma i siebie jako chłopców falijskich. Tak więc entuzjazm dla Kamillusa tłumaczył się osobistymi przeżyciami. Niemniej jednak Medullin zdawał się całkiem zadowolony z mej odpowiedzi.

Germanik, któremu opowiedziałem o miłości do Kamilli, udzielił z radością pozwolenia na nasze zaręczyny; stryj Tyberiusz nie miał żadnych zastrzeżeń, a babka Liwia, jak zwykle, nie dała po sobie poznać niezadowolenia i powinszowała Augustowi, że tak szybko wziął od Medullina słowo. "Musiał być chyba pijany zgadzając się na to małżeństwo - mruknęła - mimo że rzeczywiście posag Kamilli jest mały, a małżeństwo to przyniesie wielki zaszczyt rodzinie Medullina. Ród jego nie miał w ciągu ostatnich kilku pokoleń wielkiego znaczenia."

3 r. n.e.

Wszystko zostało już przygotowane do zaręczyn i ceremonia miała się odbyć w najbliższy szczęśliwy dzień. Na punkcie dni my, Rzymianie, jesteśmy szczególnie przesądni; nikomu by na przykład nie przyszło do głowy stoczyć bitwę, ożenić się lub kupić dom szesnastego lipca, to jest w datę klęski nad Alią.

Kiedy dowiedziałem się od Germanika o dniu zaręczyn, ledwie mogłem własnemu szczęściu uwierzyć. Wciąż bałem się, że każą mi się ożenić z Emilią, złośliwą, afektowaną dziewczyną, która ilekroć była u nas z wizytą - a to zdarzało się dość często - dokuczała mi i wyśmiewała się ze mnie za przykładem mej siostry Liwilli. Liwia, nie będąc pewna, czy wobec większego zgromadzenia się nie skompromituję, nalegała, aby uroczystość odbyła się w możliwie szczupłym gronie. Żądanie to było mi osobiście na rękę, gdyż nie cierpię pompy. Ostatecznie rada rodzinna zdecydowała, że udział w obrzędzie ślubnym wezmą tylko konieczni świadkowie. Na ofiarę miał zostać złożony kozioł, z którego wnętrzości zwyczaj kazał odczytać wróżby. O ich wynik mogłem się nie obawiać. August zapowiedział, że sam wystąpi w roli kapłana; byłem więc pewny, że wyczyta wszystko, co najpomyślniejsze. Po wróżbach następowało podpisanie intercyzy ślubnej. Potem narzeczeni podawali sobie ręce i wymieniali pocałunek. Na zakończenie Kamilla miała otrzymać jeszcze ode mnie złoty pierścień i powrócić do domu swego dziadka bez śpiewów i orszaku.

Jeszcze teraz na wspomnienie owego dnia czuję, jak serce ściska mi się bólem. W wieńcu na głowie, w bielutkiej todze, zdenerwowany, stałem wraz z Germanikiem przy domowym ołtarzu i czekałem na Kamillę. Spóźniała się. Bardzo się spóźniała.

Świadkowie zaczęli się niecierpliwic i sarkać. Co za grubiaństwo ze strony starego Medullina, żeby w takim momencie tak długo kazać czekać. Wreszcie odźwierny oznajmił wuja Kamilli, Furiusza. Wszedł z poszarzałą twarzą, w żałobnym stroju. Przeprósiwszy w kilku słowach zebranych i Augusta za swe późne przybycie i złowrózby wygląd, rzekł:

- Stało się wielkie nieszczęście. Siostrzenica moja nie żyje.
- Nie żyje?! - zawołał August. - Ależ to chyba żarty! Przed pół godziną mieliśmy wiadomość, że jest już w drodze.
- Została otruta. Na wieść o zaręczynach zebrał się przed domem, jak

zwykle w takich wypadkach, tłum gapiów. Kiedy Kamilla wyszła przed bramę, obstały ją kobiety i jedna przez drugą zaczęły podziwiać urodę narzeczonej. W pewnym momencie usłyszałem jej krzyk, ale nie zwróciliśmy na to specjalnej uwagi. Myślałem, że po prostu ktoś jej nadepnął na nogę. Kamilla wsiadła do lektyki i ruszyliśmy. Nie doszliśmy jednak jeszcze do końca ulicy, kiedy moja żona, siedząca obok Kamilli, zauważyła, że siostrzenica nagle zbladła.

Myślała, że może się czegoś przeleżała. "Och, ciociu - szepnęła dziewczyna - ta kobieta ukłuła mnie szpilką w ramię i czuję, że zaraz zemdleję."

To były jej ostatnie słowa. W kilka minut później nie żyła. Zmieniwszy tylko szaty przybiegłem tu, jak mogłem najprędzej. Chciejcie wybaczyć...

Wybuchnąłem histerycznym płaczem. Matka, zirytowana tym niemęskim zachowaniem, kazała jednemu z wyzwolenców wyprowadzić mnie. Wiele dni przeleżałem w nerwowej gorączce, nie śpiąc ani nie jedząc. Gdyby nie opieka, jaką mnie otoczył poczciwy Postum, byłbym pewnie postradał zmysły na zawsze. Mordercy nie znaleziono i nikt nie mógł się domyślić, co ją skłoniło do popełnienia tej zbrodni. W kilka dni później Liwia oświadczyła Augustowi na podstawie wiarogodnych doniesień, że w tłumie znajdowała się pewna Greczynka mająca jakieś nieuzasadnione pretensje do wuja Kamilli; widać w ten ohydny sposób postanowiła się zemścić.

Kiedy przyszedłem do siebie - to znaczy, nie czułem się gorzej niż zwykle - Liwia zaczęła się uzalać, że śmierć młodej Medulliny tak fatalnie pokrzyżowała wszystkie plany.

- Obawiam się teraz - mówiła do Augusta - że narzeczoną mego nieponętnego wnuka będzie musiała zostać biedna Emilia. Wszyscy się dziwią, że już dawno tak się nie stało.

Jak zazwyczaj Liwia dopięła swego. W kilka tygodni później zaręczono mnie z Emilią. Ceremonia odbyła się bez przeszkód, gdyż smutek po śmierci Kamilli zobojętnił mnie na wszystko. Emilia, kiedy się zjawiała, miała oczy czerwone od łez, które jej wycisnął nie smutek, lecz wściekłość.

Postum tymczasem zakochał się, biedaczysko, w mej siostrze Liwilli. Widywał ją teraz często, gdyż wyszedłszy za mąż za Gajusza przeniosła się do pałacu i po śmierci męża nadal tam mieszkała. Spodziewano się, że Postum się z nią ożeni i odnowi w ten sposób węzły pokrewieństwa między obiema rodzinami, zerwane przez śmierć jego brata.

Liwilli pochlebiała ta wielka miłość. Flirtowała z nim nieustannie, lecz nie kochała go.

Wybór jej padł na Kastora, pięknego, ale okrutnego i zepsutego młodzieńca, który był jakby dla niej stworzony. Przypadkiem odkryłem istniejący pomiędzy Liwillą a Kastorem stosunek i gryzłem się, tym bardziej że Postum zupełnie się nie domyślał, co to za ziółko z mojej siostry, a ja nie śmiałem mu nic powiedzieć. Ilekroć byliśmy w trójkę, Liwillą okazywała mi wiele czułości, co wzruszało Postuma, a irytowało mnie. Wiedziałem, że jak zostaniemy we dwoje, zacznie mi znowu dogryzać. Liwia zwietrzyła romans wnuczki z Kastorem i roztoczyła nad obojgiem czujny dozór. Pewnej nocy przekupiona służąca Liwilli przybiegła z wiadomością, że Kastor przez balkon dostał się do pokoju jej pani. Liwia co rychlej kazała pałacowej warcie stanąć na straży pod balkonem, a sama pośpieszyła do mojej siostry. Liwillą dopiero po dobrej minucie otworzyła babce drzwi. Zasnęła tak mocno, tłumaczyła się, że nie dosłyszała pukania od razu. Liwia weszła do pokoju i bez trudu znalazła Kastora ukrytego za kotarą.

Wtedy dała obojgu do zrozumienia, że gdyby August dowiedział się o ich romansie, nie uniknęliby wygnania. Pod pewnymi jednak warunkami ona jest gotowa zachować milczenie, a nawet pomóc im w zawarciu związku małżeńskiego. I rzeczywiście musiała widać odpowiednio wpłynąć na Augusta, gdyż w krótki czas później Postum ku wielkiemu swemu zmartwieniu został zaręczony z moją cioteczną siostrą Domicją, a Liwillą wyszła za Kastora.

W tym samym roku Tyberiusz i Postum zostali adoptowani przez Augusta.

4 r. n.e.

Za dalsze przeszkody na drodze urzeczywistnienia swych planów Liwia uważała Julillę i jej męża Emiliusza. Jakże się więc musiała ucieszyć, gdy otrzymała wiadomość, że Emiliusz wraz z wnukiem Pompejusza Wielkiego, Korneliuszem, zawiązali spisek mający na celu odebranie Augustowi władzy i podzielenie urzędów, które piastował, między siebie i kilku byłych konsulów. Brali także pod uwagę Tyberiusza. Na razie jednak nie zdołali się jeszcze upewnić co do jego zapatrywań. Spisek zresztą nie powiódł się zupełnie, gdyż pierwszy z byłych konsulów, do którego inicjatorzy się zwrócili, odpowiedział krótko, że nie chce z tą sprawą mieć nic wspólnego. August nie ukarał winnych ani śmiercią, ani wygnaniem. Fakt, że tak mało znaleźli zwolenników, był najlepszym dowodem, jak silna jest jego pozycja. Mógł więc sobie pozwolić na przebaczenie; dowodziło ono tym bardziej jego siły. Wezwał tylko spiskowców do pałacu i palnął im kazanie na temat ich własnej głupoty i niewdzięczności. Korneliusz padł cesarzowi do nóg i w przesadnie służalczy sposób zaczął dziękować za tyle okazanej mu łaskawości. August, udobruchany, prosił go już tylko, aby w przyszłości okazywał więcej rozsądku. Przecież on - tłumaczył - nie jest tyranem, przeciw któremu spisek stanowi jedyną broń; nie trzeba też łaski jego okupywać uniżonością. Jest po prostu urzędnikiem Rzeczypospolitej Rzymskiej i dla utrzymania w państwie porządku udzielono mu czasowo szerokich pełnomocnictw. Korneliusz - mówił - uległ widać namowom Emiliusza, który musiał mu w fałszywym świetle przedstawić sytuację polityczną.

Najlepszym lekarstwem na to zaślepienie będzie, jeżeli Korneliusz obejmie w przyszłym roku konsulat. Podzieli ten zaszczyt z nim samym, Augustem, co chyba w zupełności zadowoli jego ambicje. Przecież nie ma w państwie wyższego urzędu niż konsulat. (W teorii było to prawdą.)

Emiliusz, zbyt dumny, żeby się upokorzyć, wysłuchał cesarza stojąc. August oświadczył, że spodziewał się po nim, jako powinowatym, więcej

lojalności, a jako po byłym konsulu więcej rozsądku. Ostatecznie pozbawił go wszystkich urzędów i odznaczeń.

Zabawna strona tej historii polegała na tym, że Liwia pobłażliwość Augusta przypisała swoim zasługom. Rzekomo, używając całej swojej kobiecej łagodności, ubłagała go o łaskę dla spiskowców. Za jego zgodą ogłosiła też pismo pod tytułem Nocna debata o sile i łagodności. Pismo to, pełne poufnych aluzji, opowiada, jak pewnego wieczoru cesarz zdenerwowany i zmartwiony nie może zasnąć. Wreszcie na nalegania żony wyznaje, że dręczy go tak sprawa Emiliusza i Korneliusza, i oboje zaczynają się zastanawiać nad najwłaściwszym sposobem postąpienia ze spiskowcami. August zasadniczo nie chciałby ich skazać na śmierć. Obawia się jednak, że łagodność zostanie mu poczytana za tchórzostwo i zachęci innych do knucia spisków.

„Wierz mi, najdroższa, że nie ma nic przykrzejszego niż konieczność karania innych” - kończy swe wywody cesarz.

A na to Liwia:

„Masz zupełną rację i dlatego radzę ci, to jest radziłabym, jeśli byś był łaskaw przyjąć moją radę i nie uważał za niewłaściwe, że ja, kobieta, pozwalam sobie podać ci jakąś myśl, na co nie odważyłby się nikt z twych najserdeczniejszych przyjaciół...”

A August:

„Mów śmiało!”

„Powiem otwarcie, gdyż twoja zła czy dobra dola jest moją dolą, a dopóki twoje stanowisko jest pewne, i ja mam pewien udział w rządach; jeśli zaś tobie zdarzy się - niech bogowie uchronią! - jakieś nieszczęście, to i na mnie ono spadnie...”

Doradza mu następnie, żeby przebaczył spiskowcom.

„Łagodne słowa uśmierzają gniew, a szorstkie budzą go nawet w łagodnym człowieku; przebaczenie zmiękczy najtwardsze serce; kara uczyni twarde najpokorniejsze...”

Naturalnie nie chcę przez to powiedzieć, żebyś oszczędzał wszystkich zbrodniarzy. Zdarzają się ludzie tak nieuleczalnie źli i przewrotni, że szkoda dla nich każdego dobrego słowa. Tego rodzaju ludzie powinni być od razu usuwani, tak jak się wycina rakowaty guz z ciała. Lecz jeśli chodzi o błędy popełniane mniej czy bardziej świadomie, wynikające z głupoty lub nieporozumienia, należy ograniczyć się do nagany lub możliwie najłagodniejszej kary.

Spróbuj tej metody na początek w stosunku do tych dwóch winowajców.”

W zakończeniu August wyraża się z uznaniem o rozumie żony i postanawia pójść za jej radą. Przekonała go w zupełności.

Warto podkreślić zapewnienie, jakie daje Liwia, że rządy jej skończą się ze śmiercią Augusta, i słowa o ”ludziach tak nieuleczalnie przewrotnych, że szkoda dla nich każdego dobrego słowa”. O tak! Moja babka była niezwykle przebiegła.

Po wykryciu spisku Liwia wytłumaczyła Augustowi, że moje małżeństwo z Emilią nie może dojść do skutku. Emiliusz musi w całej pełni odczuć niełaskę cesarską.

August czym prędzej przyznał żonie pełną rację. W głębi duszy współczuł Emilii, gorzko bowiem się użalała przed nim, że każą jej za mnie wyjść za mąż. Liwia nie potrzebowała się już teraz obawiać Julilli, którą August podejrzewał o udział w planach męża. Odkładając ostateczne załatwienie tej sprawy na później, na razie postanowiła spłacić dług wdzięczności zaciągnięty u swej przyjaciółki Urgulanii. Kobieta ta, o której dotychczas nie wspominałem, jest jedną z najmniej sympatycznych postaci niniejszej historii.

ROZDZIAŁ VIII

Urgulania była jedyną powiernicą Liwii. Obydwie kobiety łączyły więzy interesu i przyjaźni. Kiedy Urgulania straciła podczas wojny domowej męża, który był stronnikiem Pompejusza, Liwia - wówczas jeszcze żona mego dziadka - ochroniła ją wraz z dzieckiem przed brutalnością żołdaków Augusta. Po powtórny zamążpójściu Liwia nakłoniła męża, żeby zwrócił Urgulanii skonfiskowany majątek i zaprosił ją do swego domu, gdzie była traktowana jak członek rodziny. Dzięki wpływom Liwii, której arcykapłan Lepid niczego nie potrafił odmówić, Urgulania została mianowana czymś w rodzaju przełożonej religijnego bractwa obejmującego wszystkie kobiety wyższych sfer rzymskich. Zaraz wyjaśnię to bliżej.

Corocznie z początkiem grudnia mężatki pod przewodnictwem westalek brały udział w uroczystościach ku czci Dobrej Bogini*.[* Bona Dea - staroitalska bogini płodności czczona przez kobiety rzymskie.] Od skrupulatnego wykonania wszystkich związanych z tym świętem obrzędów zależała pomyślność Rzymu na okres dalszych dwunastu miesięcy. Żadnemu mężczyźnie pod karą śmierci nie wolno było swą obecnością sprofanować tych misteriów.

Liwia żyła z westalkami na bardzo dobrej stopie, odbudowała bowiem ich przybytek i wspaniale urządziła go wewnątrz, a następnie dla samych kapłanek uzyskała za pośrednictwem Augusta wiele przywilejów od senatu. Bez trudu więc przekonała przełożoną westalek, że czystość obyczajów niektórych kobiet biorących udział w owym święcie nie jest bez zastrzeżeń. Nie wiadomo - mówiła - czy to nie ich rozpasanie wzbudziło gniew Dobrej Bogini i ściągnęło na Rzym nieszczęścia podczas wojny domowej. Następnie wysunęła projekt, żeby pod uroczystą przysięgą przyrzec kobietom, że te, które uczciwie przyznają się do winy, nie będą publicznie narażone na wstyd i żaden mężczyzna o tym się

nie dowie.

Wtedy prędeż będzie się można spodziewać, że w obrzędzie wezmą udział tylko niewiasty o nienagannych obyczajach, i gniew bogini prędeż da się ułagodzić.

Przełożona westalek, kobieta bardzo religijna, chętnie dała posłuch słowom cesarzowej, nie miała jednak odwagi wprowadzać innowacji na własną odpowiedzialność.

Liwia opowiedziała, że we śnie zjawiła się jej Dobra Bogini i sama wydała to polecenie, dodała też, że ponieważ w sprawach miłosnych westalki nie mają doświadczenia, więc stanowisko matki spowiedniczki powinna objąć jakaś wdowa. Westalka miała jeszcze pewne wątpliwości, czy za grzechy ma być naznaczona pokuta. Na szczęście, jak się okazało, i o tym pamiętała Dobra Bogini. Owszem, spowiedniczce przysługuje prawo do naznaczania pokuty, lecz oczywiście w najściślejszej tajemnicy. Przełożona westalek będzie tylko zawiadomiona, że taka to a taka kobieta nie może danego roku wziąć udziału w misteriach.

Kapłanka nie miała już dalszych zastrzeżeń, wzdragała się tylko z wysunięciem kandydatki na urząd spowiedniczki, nie wiedząc, kogo by sobie Liwia życzyła. Cesarzowa uważała, że najodpowiedniej będzie, jeśli spowiedniczkę mianuje arcykapłan Lepid. O ile przełożona westalek nie ma nic przeciwko temu, ona sama zwróci się do Lepida z prośbą o wskazanie właściwej osoby. Oczywiście arcykapłan nie omieszka ubłagać wpierw Dobrej Bogini, aby mu dała natchnienie potrzebne do dokonania trafnego wyboru. W ten sposób wybrana została Urgulania, przy czym Liwia ani Augustowi, ani Lepidowi nie wspomniała nic o uprawnieniach związanych z tym nowym stanowiskiem. Napomknęła tylko, że ma to być jakby doradczyni westalki w sprawach moralności, ”gdyż ta biedaczka nie ma najmniejszego pojęcia o rzeczach tego świata”.

Uroczystość ku czci Dobrej Bogini odbywała się zwykle w domu jednego

z konsulów, a ostatnio w pałacu Augusta, jako najwyższego urzędnika. Była to okoliczność dla Urgulanii bardzo wygodna. Jeden ze swoich pokoiów urządziła tak, żeby panujący w nim nastrój grozy i tajemniczości czynił wyznania bardziej szczerymi. Tutaj penitentki składały przede wszystkim przysięgę, że powiedzą całą prawdę. Po wyznaniu grzechów zatrzymywały się w bocznej komnacie czekając na wyznaczenie pokuty, nad którą Urgulania, jak twierdziła, musi się zastanowić w samotności. W istocie zasięgała przez ten czas rady Liwii, która ukryta za kotarą przysłuchiwała się spowiedzi. Obydwie kobiety bawiły się przy tej ceremonii doskonale, a Liwia zyskiwała całe mnóstwo cennych wiadomości.

Jako matka spowiedniczka pozostająca na służbie Dobrej Bogini, Urgulania uważała, że znajduje się ponad prawem. Opowiem później, jak pozwana przed sąd przez pewnego senatora, któremu była winna znaczną sumę pieniędzy, odmówiła stawienia się, a Liwia, chcąc uniknąć skandalu, zapłaciła dług za przyjaciółkę. Innym razem, kiedy sąd senatorski wezwał ją w charakterze świadka, Urgulania, nie chcąc się dostać w krzyżowy ogień pytań, znalazła jakąś wymówkę i musiano posłać do niej do domu specjalnego urzędnika, aby odebrał zeznania na piśmie. Była to wstrętna starucha, o brodzie jakby rozłupanej i włosach uczernionych kopciem (z siwizną widoczną tuż przy skórze); dożyła późnego wieku.

Jej syn Sylwan piastował niedawno konsulat i był jednym z tych, których Emiliusz usiłował wciągnąć do spisku. Sylwan opowiedział o wszystkim matce, ta pospieszyła z nowiną do Liwii, a babka moja przyrzekła ją wynagrodzić za cenną wiadomość i ożenić mnie z córką Sylwana, Urgulanillą. Oznaczało to spokrewnienie z rodziną cesarską. Urgulania, która posiadała zaufanie Liwii, wiedziała, że następcą Augusta będzie nie najbliższy jego spadkobierca Postum, ale mój stryj Tyberiusz. Tym większy był zaszczyt wydania za mnie wnuczki.

Nigdy dotąd nie widziałem Urgulanilli. Zresztą nikt inny też jej nie widział.

Wiedzieliśmy tylko, że mieszka u ciotki w Herkulanum, gdzie stara

Urgulania miała willę na zboczach Wezuwiusza, ale nigdy nie przyjeżdża do Rzymu, nawet w odwiedziny do matki.

Wywnioskowaliśmy więc, że musi być bardzo wątłego zdrowia. Lecz kiedy Liwia w jednym z tych krótkich a zjadliwych listów doniosła mi, że rada rodzinna postanowiła ożenić mnie z córką Sylwana Plaucjusza i że małżeństwo to ze względu na mój stan zdrowia jest odpowiedniejsze od poprzednio planowanych, zacząłem podejrzewać, że z Urgulanillą musi być coś bardzo nie w porządku. "To już nie wątłe zdrowie, ale coś gorszego - myślałem. - Może zajęcza warga albo wielki ognipiór na pół twarzy? Coś, wskutek czego w ogóle nie można było jej pokazywać. Może jest kulawa jak ja?" Wolałem o tym nie myśleć. A może była to miła, ładna dziewczyna, na której otoczenie się nie poznało? Wspólna dola by nas połączyła. Naturalnie nie umywa się do Kamilli, ale może lepiej z nią się ożenić niż z Emilią.

Wybrano dzień naszych zaręczyn. Starłem się dowiedzieć czegoś o Urgulanilli od Germanika, ale on również nic nie wiedział i widziałem, że jest trochę zażenowany; zgodził się bowiem na małżeństwo nie zebrawszy przedtem dokładnych wiadomości o narzeczonej.

Był bardzo szczęśliwy z Agryppiną i życzył mi podobnego szczęścia. Wreszcie dzień zaręczyn nadszedł i znów w wieńcu na głowie, w bielutkiej todze oczekiwałem przed ołtarzem domowym.

- Do trzech razy sztuka - odezwał się Germanik. - Jestem pewny, że tym razem szczęście ci dopisze. Będzie na pewno miła, ładna, serdeczna; w sam raz dla ciebie.

Los spletał mi w życiu niejednego przykrego figla, ale ten, zdaje się, był najprzykrzejszy i najzłośliwszy. Urgulanillą, krótko mówiąc, spełniała wszelkie oczekiwania związane z jej imieniem, które po łacinie brzmiałoby Herkulanilla. Był to dosłownie młody Herkules żeńskiego rodzaju. Chociaż miała dopiero piętnaście lat, mierzyła dobrze przeszło sześć stóp, a wszystko wskazywało, że na tej cyfrze się nie zatrzyma.

Odpowiednio do wzrostu była tęga i masywna. Tak wielkich nóg i rąk nie widziałem w życiu u żadnego ludzkiego stworzenia, wyjąwszy pewnego olbrzyma partyjskiego, który w kilka lat później maszerował przez ulice Rzymu jako zakładnik podczas jakiegoś triumfu. Rysy twarzy miała regularne, choć grube, i wiecznie była nachmurzona. Trzymała się pochyło i mówiła wolno jak mój stryj Tyberiusz, do którego zresztą była kubek w kubek podobna.

Opowiadano sobie nawet, że jest jego córką. Nie posiadała wykształcenia ani inteligencji, ani wytwornych manier, ani żadnych zalet, które by ją czyniły sympatyczniejszą. To dziwne, ale pierwsza myśl, jaka mi przemknęła przez głowę, kiedy ją ujrzałem, była: "Ta kobieta jest zdolna do morderstwa. - A potem: - Postaram się, aby nie odczuła wstrętu, jaki we mnie budzi, i nie dam powodu do nienawiści. Bo jeśli mnie znienawidzi, moje życie niewarte będzie złamanego szeląga."

Jestem niezłym aktorem, więc choć uroczysty nastrój mąciły chichoty i śmiechy asystujących przy obrzędzie osób, Urgulanillą nie mogła mieć do mnie najmniejszej pretensji.

Po skończonej ceremonii Liwia zawezwała nas oboje do siebie. Była w towarzystwie Urgulanii. Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim z gości i stanęliśmy oboje przed tymi dwiema kobietami: ja dygocący ze zdenerwowania i masywna Urgulanillą, na której twarzy nie malowało się żadne uczucie, rozwierająca i zaciskająca na przemian pięści, złośliwe staruchy odrzucając uroczyste miny wybuchnęły niepowstrzymanym śmiechem. Nigdy przedtem nie słyszałem żadnej z nich śmiejącej się w podobny sposób, toteż się przeraziłem.

Nie był to uczciwy, zdrowy śmiech, lecz jakiś spazmatyczny skrzek, niby dwóch starych pijanych nierządnic, które przypatrują się krzyżowaniu skazańca.

- Och, wy dwa cuda - wykrztusiła wreszcie Liwia ocierając oczy. - Czegóż bym nie dała, żeby oglądać was razem w łóżku w noc poślubną! To będzie najkomiczniejsza scena od czasu Deukaliona i potopu.

- A cóż to takiego śmiesznego zdarzyło się wtedy? - spytała Urgulania.

- Jak to, nie wiesz? Bogowie spuścili na ziemię potop i wygubili wszelkie żywe stworzenie z wyjątkiem Deukaliona, jego rodziny i kilku zwierząt, które schroniły się na szczyty górskie. Czyś nie czytała Potopu Arystofanesa? To moja ulubiona komedia.

Scena przedstawia górę Parnas, na której się zebrały ocalałe zwierzęta, niestety po jednej tylko sztuce z każdego gatunku. Ażeby więc na nowo zapełnić ziemię, muszą się parzyć między sobą pomimo wszelkich skrupułów i trudności. I tak Deukalion zaręczył wielbłąda ze słonicą.

- Wielbłąda ze słonicą! Dobry kawał! - zarechotała Urgulania. - Spójrz no na Tyberiusza Klaudiusza: skóra i kości, potem długa szyja i równie długa twarz o głupkowatym wyrazie. A teraz te kłocowate nogi, obwisłe uszy i małe, świńskie oczka Urgulanilli... Cha!

Cha! Cha! Cha! I jakiego doczekali się potomstwa! Żyrafy, co? Cha! Cha! Cha!

Cha!

- O tym komedia już nie mówi. Na scenie zjawia się Iryda i obwieszcza, że na Atlasie schroniła się druga grupa zwierząt. Tak to w ostatnim momencie do weseliska nie dochodzi.

- Czy wielbłąd był bardzo tym rozczarowany?

- O, bardzo.

- A słonica?

- Nadąsała się.

- Czy na pożegnanie się pocałowali?

- O tym Arystofanes nic nie mówi. Lecz jestem pewna, że tak. Chodźcie tu bliżej, zwierzaki. No, pocałować mi się!

Ja uśmiechnąłem się głupkowato, Urgulanilla się nachmurzyła.

- Pocałować się, mówię - powtórzyła Liwia tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu.

Pocałowaliśmy się więc i obydwie staruchy zaczęły znów histerycznie

rechotać.

Kiedy opuszczaliśmy pokój, szepnąłem do Urgulanilli:

- Przepraszam, to nie moja wina.

Nie odpowiedziała nic, tylko nachmurzyła się jeszcze bardziej niż przedtem.

Ślub miał się odbyć dopiero za rok, rodzina bowiem postanowiła upełnoletnić mnie nie pierwej, niż będę liczył piętnaście i pół roku. Przez ten czas dużo mogło się zdarzyć. Och, gdybyż tylko Iryda chciała się pojawić!

Nie pojawiła się jednak. Postura też miał podobne kłopoty. Był już pełnoletni i za parę miesięcy Domicja miała osiągnąć wiek potrzebny do zawarcia małżeństwa, a on, biedak, ciągle kochał się w Liwilli, choć ta już wyszła za męża. Lecz zanim dokończę historię Postuma, opowiem wpierw o moim spotkaniu z "Ostatnim Rzymianinem".

ROZDZIAŁ IX

Nazywał się Pollion, a spotkaliśmy się w tydzień po moich zaręczynach z Urgulanillą.

Siedziałem nad jakąś książką w Bibliotece Apolla, kiedy zauważyłem wchodzącego Liwiusza, a z nim żwawego staruszka w stroju senatorskim. Kiedy mnie mijali, dosłyszałem, jak Liwiusz mówi:

- Zdaje się, że musimy pożegnać się z nadzieją znalezienia go, chyba... Ależ oto właśnie i Sulpicjusz. Jeżeli kto będzie wiedział, to tylko on. Dzień dobry, Sulpicjusz.

Chciałem cię poprosić o wyświadczenie przysługi mnie i mojemu przyjacielowi Azyniuszowi Pollionowi. Szukamy pewnego komentarza do Taktyki wojskowej Polibiusza; autorem tego komentarza jest Grek Polemokles. Pamiętam, że widziałem tutaj tę książkę, ale w katalogu jej nie ma, a bibliotekarze są do niczego.

Sulpicjusz żuł przez chwilę brodę, wreszcie odrzekł:

- Błędnie podałeś nazwisko. Autor nazywał się Polemokrates i nie był Grekiem, lecz Żydem. Pamiętam, że widziałem ją przed piętnastu laty na czwartej półce od okna z prawej strony, tam z tyłu. Miała na sobie kartkę Rozprawa o taktyce. Poczekajcie chwilę, to jej poszukam. Przypuszczam, że nikt jej od tamtej pory nie ruszał.

- Jak się masz, przyjacielu? - zwrócił się Liwiusz do mnie. - Czy znasz sławnego Azyniusza Polliona?

Pozdrowiłem staruszka, a on spytał:

- Cóż tam czytasz, chłopcze? Pójdę o zakład, że jakieś głupstwa. Widać to po twojej zawstydzonej twarzy. Młodzież teraz nie czyta nic innego. Stawiam dziesięć sztuk złota - zwrócił się do Liwiusza - że to jest jakaś przeklęta Ars amatoria* [* O sztuce kochania, utwór poetycki Owidiusza.] lub idiotyczna

sielanka, albo coś w tym guście.

- Przyjmę zakład - odparł Liwiusz. - Młody Klaudiusz nie zalicza się do tego typu młodzieży, o której wspominasz. No, Klaudiuszu, kto z nas wygrał?

- Mmmiło jest mi stwierdzić, żeś przegrał, ppanie - rzekłem do Polliona.

- Co takiego? - zapytał Pollion z gniewem. - Miło ci, żeś przegrał? To w ten sposób mówi się do starszego człowieka, i do senatora!

- Nie chciałem cię obrazić - rzekłem. - Miło mi, żeś przegrał. Nie chciałem, ażeby tę książkę nazywano głupstwem. Jest to twoja własna historia wojny domowej[* Azyniusz Pollion był autorem dzieła *Historiae* w 17 księgach, przedstawiającego drugą wojnę domową od 6 - r. p.n.e. począwszy.] i jeśli mi wolno wyrazić o niej swe zdanie, bardzo dobra książka.

Wyraz twarzy Polliona od razu uległ zmianie. Z uśmiechem zadowolenia sięgnął do sakiewki i wyjąwszy kilka sztuk monet, chciał je wcisnąć Liwiuszowi. Liwiusz, który żyjąc z Pollionem na przyjacielskiej stopie wiecznie z nim wojował, udawał, że nie chce przyjąć pieniędzy.

- Nie mogę, mój drogi, doprawdy nie mogę - mówił z niby to poważną miną. - Wygrałeś. Dzisiejsi młodzi chłopcy rzeczywiście czytają największe głupstwa pod słońcem.

Nie, nie, nie ma mowy. Przegrałem. Proszę cię, oto dziesięć sztuk złota. Płacę z całą przyjemnością.

Pollion zwrócił się do mnie.

- Nie wiem, kim jesteś, mój młodzieńcze, ale widzę, że masz olej w głowie. Czy czytałeś dzieło mego przyjaciela Liwiusza? Odwołuję się do twego sądu, powiedz, czy nie jest to jeszcze gorsza książka od mojej?

- W każdym razie łatwiej się ją czyta - rzekłem z uśmiechem.

- Łatwiej, hm? A to dlaczego?

- Bo starożytnym Rzymianom każe się tak zachowywać i przemawiać, jakby żyli dzisiaj.

Pollion był zachwycony tą odpowiedzią.

- Ale cię dostał, Liwiuszu! Ugodzonyś w najslabsze miejsce. Rzymianom sprzed siedmiu wieków przypisujesz motywy, którymi kierują się współcześni ludzie; każesz im przemawiać i postępować jak naszym rówieśnikom. To się bardzo miło czyta, nie przeczę, ale to nie jest historia.

W tym miejscu pozwolę sobie przerwać i powiedzieć parę słów o Pollionie najtęższej moze głowie epoki, nie wyłączając Augusta. Miał wtedy pod osiemdziesiątkę, lecz był w pełni władz umysłowych, a zdrowia mógłby mu pozazdrościć sześćdziesięcioletni mężczyzna.

Razem z Cezarem przekroczył Rubikon i walczył z nim wspólnie przeciw Pompejuszowi; potem służył pod moim dziadkiem Antoniuszem aż do chwili rozłamu z Augustem; następnie był konsulem, namiestnikiem w Hiszpanii za rzeką Ebro i w Lombardii; odbył triumf po zwycięstwie na Półwyspie Bałkańskim; przyjaźnił się przez pewien czas z Cynceronem, dopóki mu się on nie znudził, i patronował poetom: Wergilemu i Horacemu. Poza tym był wybitnym mówcą i pisywał tragedie. Więcej jednak talentu wykazywał jako historyk, trudno mu bowiem było wrodzoną skłonność do ścisłości i autentyczności pogodzić z konwencją dramaturgii i retoryki. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży łupów zdobytych w wojnie bałkańskiej założył w Rzymie pierwszą bibliotekę publiczną. Obecnie istniały jeszcze dwie inne: ta, w której właśnie się znajdowaliśmy, i druga, imienia mej babki Oktawii;

Pollionowska była jednak najlepiej zorganizowana, jeżeli chodzi o potrzeby czytelników.

Właśnie nadszedł Sulpicjusz niosąc żadaną książkę i obaj przyjaciele, podziękowawszy mu, powrócili do przerwanej rozmowy.

- Najgorsze u Polliona jest to - mówił Liwiusz - że kiedy pisze historię, uważa, iż musi powściągnąć wszystkie delikatniejsze, poetyczniejsze uczucia, i każe swoim bohaterom zachowywać się z tępą sumiennością oraz przemawiać, jakby nie znali żadnych zasad retoryki.

- Poezja poezją - odpowiedział Pollion - retoryka retoryką, a historia historią; nie można wszystkiego mieszać ze sobą.

- Nie można? Owszem, można. Czy chodzi ci o to, że korzystam w historii z tematów epickich, które należą do poezji, lub każę mym generałom wygłaszać mowy przed bitwą, co jest przywilejem retoryki?

- Nie inaczej. Historia powinna być wiernym obrazem tego, co się zdarzyło, powinna opowiadać, jak ludzie żyli i umierali, co czynili i mówili. Epickość zaciemnia ten obraz. A co do twoich mów przed bitwą, to arcydzieła retoryki, lecz diablo niehistoryczne.

Nie tylko nie znajdują żadnego potwierdzenia w źródłach, lecz w ogóle są nieprawdopodobne.

Niewielu jest ludzi, którzy by słyszeli tyle mów obozowych, co ja. A choć generałowie, którzy je wygłaszali, zwłaszcza taki Cezar lub Antoniusz, cieszyli się opinią świetnych mówców, zbyt dobrymi byli dowódcami, aby przemawiać do żołnierzy w ten sam sposób, co z mównicy na Rynku. Żaden z nich nie wygłaszał mowy, tylko po prostu mówił. Jakżeż wyglądało takie przemówienie Cezara przed bitwą pod Farsalos? Może nas prosił, abyśmy wspomnieli nasze żony i dzieci, święte chramy Rzymu i chwałę dawnych bojów? Nic podobnego! Wlazł na pniak ściętej pinii trzymając w jednym ręku olbrzymią rzodkiew, w drugim kawał twardego żołnierskiego chleba i pogryzając żartował. Nie były to wytworne dowcipy, ale kawały co się zowie, opowiadane z najpoważniejszą w świecie miną. Przypominał, jak to cnotliwe życie Pompejusza porównywano z jego rozpustą. A co przy tym wyprawiał z tą rzodkwią!

Pękaliśmy ze śmiechu. Pamiętam tłustą anegdotę opowiadającą, w jaki sposób Pompejusz uzyskał przydomek "Wielkiego". Ach, ta rzodkiew! A potem drugą jeszcze tłuszcieszą o tym, jak sam Cezar stracił włosy na bazarze w Aleksandrii. Opowiedziałbym wam dokładniej, gdyby nie ten chłopiec; ale i tak nie uchwycilibyście całej pointy, bo nie wychowaliście się w obozie Cezara. O mającej nastąpić bitwie ani słowa. Dopiero pod sam koniec zawołał:

„Biedny ten Pompejusz! Porwać się na Juliusza Cezara i jego ludzi! Z motyką na słońce!”

- Ale nic z tego nie opowiedziałeś w swej historii - zauważył Liwiusz.

- W wydaniu przeznaczonym dla publiczności nic, rzeczywiście. Musiałbym chyba zwariować. Ale jeśli masz ochotę pożyczyć sobie prywatne suplementy, to właśnie niedawno je ukończyłem i znajdziesz tam wszystko. Ale może nie będzie ci się chciało w tym szperać, więc opowiem wam resztę. Cezar, jak wiecie, był świetnym aktorem, zagrał tedy Pompejusza, który mając przebić się mieczem - och, tym razem posłużył się rzodkwią z odgryzionym czubkiem - wygłasza przed śmiercią mowę. Jako Pompejusz naurągał bogom nieśmiertelnym za to, że zawsze pozwalają występkom odnosić zwycięstwo nad cnotami. Wszyscy pękali ze śmiechu. A Cezar jak nie huknie: ”Co, może nieprawda? I Pompejusz czasem nie łąze. Może zaprzeczycie, skurwysyny?!” I nadjedzoną rzodkiew cisnął między żołnierzy.

Trzeba było słyszeć, jak ryczeli. Nie, takich żołnierzy, jak miał Cezar, nie było i nie będzie. Czy pamiętacie tę piosenkę, którą śpiewali podczas jego triumfu nad Francuzami?

Wiedziemy z sobą do dom łysego rypałę, Rzymianie, żony wasze trzymajcie pod kluczem!* [* Swetoniusz, Boski Juliusz, r. 51.]

- Ależ, mój drogi - przerwał Liwiusz - przecież nie dyskutujemy teraz na temat moralności Cezara, lecz właściwego ujęcia materiału przez historyka.

- Masz rację. Nasz roztropny młody przyjaciel ocenił twoją metodę krytycznie, jednocześnie chwając przystępność dzieła. Powiedz no, chłopcze, jakie jeszcze zarzuty możesz wysunąć przeciw znamienitemu Liwiuszowi?

- Nie wbijaj mnie, panie, w dumę. Jeśli chodzi o dzieło Liwiusza, wzbudza ono we mnie wielki podziw.

- Bez wykrętów, chłopcze, bez wykrętów! Czyś nie przyłapał go kiedy na jakiejś nieściskości? Wyglądasz mi na takiego, który sporo rzeczy przeczytał.

- Nie śmiałybym...

- Śmiało, śmiało! Coś się tam znajdzie.

- No więc, rzeczywiście, przyznaję, jedna rzecz mnie zastanowiła. W historii z Larsem Porsenną. Według Liwiusza, Porsennie w zajęciu Rzymu przeszkodził najpierw bohaterski czyn Horacego na moście, a następnie zdumiewająca pogarda dla niebezpieczeństw i śmierci, jaką okazał Scewola. Liwiusz pisze, że schwytany po nieudanym zamachu na Porsennę Scewola wsunął rękę w ogień na ołtarzu i zapewnił, że trzystu młodzieńców rzymskich, równie zdecydowanych na wszystko jak on, przysięgło zgładzić Porsennę. Wtedy Lars zawarł pokój. Tymczasem ja, zwiedzając labirynt w Kluzjum, gdzie jest pochowany Lars Porsenną, widziałem fryz przedstawiający Rzymian wychodzących z bram miasta i zginających karki pod jarzmem; obok stoi kapłan etruski i nożycami obcina senatorom brody. A nawet Dionizjusz z Halikarnasu, historyk bardzo życzliwie usposobiony dla Rzymu, twierdzi, że senat uchwalił dla Porsenny tron z kości słoniowej, berło, złotą koronę i triumfalne szaty. To może mieć tylko takie znaczenie, że oddali mu hołd jako suwerennemu władcy. A więc może jednak pomimo Horacego i Scewoli Lars zdobył Rzym? A Aruns, kapłan w Kapui, o którym mówią, że jest ostatnim człowiekiem umiejącym czytać etruskie inskrypcje, opowiadał mi zeszłego lata, że wedle kronik Etrurii nie Brutus wypędził Tarkwiniuszów z Rzymu, lecz Porsenną. A Brutus i Kolatin, dwaj pierwsi konsulowie, mieli być tylko poborcami miejskimi, którzy zbierali dla Porsenny daninę.

Liwiusz rozgniewał się naprawdę.

- Nie spodziewałem się tego po tobie, Klaudiuszu. Czyż już tak nic nie masz szacunku dla tradycji, że wierzysz kłamstwom wymyślonym przez naszych dawnych nieprzyjaciół, którzy by pragnęli pomniejszyć wielkość Rzymu?

- Ja tylko chciałem spytać, jak to było naprawdę - rzekłem potulnie.

- No, Liwiuszu - odezwał się Pollion. - Powiedz temu młodemu badaczowi, jak to było naprawdę.

- Innym razem - odmruknął Liwiusz. - Wracajmy teraz do tematu: jak należy pisać historię, Klaudiuszu, ty masz w tym kierunku ambicje; powiedz nam, którego z nas dwóch starych wybrałbyś za wzór.

- Stawiacie chłopca w strasznie trudnym położeniu, wy stare zazdrośniki - wtrącił Sulpicjusz. - Cóż on może odpowiedzieć?

- Żaden z nas nie obrazi się za prawdę - oświadczył Pollion.

Spojrzałem na jednego, a potem na drugiego, i wreszcie powiedziałem:

- Myślę, że wybrałbym Polliona. Jestem pewien, że nigdy nie zdobędę się na tak wytworny styl jak Liwiusz. Toteż postaram się jak najlepiej naśladować dokładność i sumienność Polliona.

Liwiusz zamruczał coś na to i zabierał się do wyjścia, ale Pollion go zatrzymał i pokrywając, jak mógł najlepiej, własne zadowolenie rzekł:

- Ależ, Liwiuszu, przecież nie będziesz mi zazdrościł jednego młodego wyznawcy, ty, co ich zastępy masz na całym świecie. Czyś słyszał kiedy, chłopcze - zwrócił się do mnie - o starcu z Kadyksu? Nie, nie, to nic nieprzyzwoitego, to raczej smutna historia.

Stary człowiek przyszedł z Kadyksu do Rzymu, żeby zobaczyć... Nie świątynie ani teatry, ani posągi, ani ludzi, ani sklepy, ani kurię. Przyszedł zobaczyć jednego człowieka. Czy może tego, którego głowa widnieje na monetach? Nie. Kogoś jeszcze znakomitszego. Przyszedł zobaczyć nie kogo innego, jak naszego przyjaciela Liwiusza, którego dzieła umiał bodaj na pamięć.

Zobaczył go, pozdrowił i nie zatrzymując się wrócił do Kadyksu, gdzie zaraz po przybyciu umarł. Zabiły go rozczarowanie i daleka podróż.

- W każdym razie moi czytelnicy są przynajmniej autentycznymi czytelnikami - bronił się Liwiusz. - Czy wiesz, chłopcze, jak Pollion zdobył rozgłos? Zaraz ci opowiem. Pollion jest bogaty, ma piękny, obszerny dom i wyjątkowo dobrego kucharza. Zaprasza do siebie mnóstwo literatów na obiad, zastawia stół najprzedniejszymi potrawami, a potem niby tak przypadkiem bierze do ręki ostatni tom swojej historii."Panowie - powiada skromnie -

napisałem kilka rozdziałów, co do których mam pewne wątpliwości. Mimo wszelkich wysiłków z mej strony wymagają one jeszcze ostatniego wygładzenia i mam nadzieję, że mi w tym pomożecie. Jeśli łaska więc...” - I zaczyna czytać. Nikt go nie słucha.

Każdy ma kałdun wypchany i myśli: ”Ale ten kucharz to istny geniusz. Merlany w ostrym sosie i te tłuste kwiczoły nadziewane, i ten dzik z truflami. Gdzie to ja ostatni raz tak smacznie jadłem? Ach, to wtedy, jak nam Pollion czytał swoje dzieło. Znów idzie niewolnik z winem.

Świetne wino cypryjskie! Pollion ma rację: nie ma w handlu lepszego wina greckiego.” A tymczasem Pollion czyta; czyta gładko, głos ma miły niby kapłan odprawiający letnim wieczorem nabożeństwo, i od czasu do czasu zapytuje skromnie: ”Czy tak dobrze, jak się wam wydaje?”

A goście, myśląc znów o kwiczołach albo o ciasteczkach, w głos: ”Świetnie, wybornie, Pollionie!” Od czasu do czasu przerwie i zapyta: ”Jakiego by należało użyć słowa? Czy mam powiedzieć, że wysłannicy wróciwszy nakłonili, czy że podburzyli plemię do powstania? A może będzie lepiej powiedzieć, że sytuacja, jak ją przedstawili, wpłynęła na decyzję powstania? W tej chwili sędzę, że zdali oni zupełnie bezstronnie sprawę z tego, co widzieli.”

A z sof leci pomruk: ”Wpłynęła, Pollionie. Napisz: wpłynęła!” „Dziękuję wam, przyjaciele, to bardzo ładnie z waszej strony. Chłopcze, mój nóż i pióro! Jeżeli pozwolicie, od razu zmienię to zdanie.” Potem wydaje książkę i każdemu z biesiadników posyła egzemplarz.

Kiedy w łaźni spotykają się ze znajomymi, mówią: ”Świetna książka! Czy już ją czytałeś?”

Pollion to największy historyk naszej epoki; mimo to, jeśli chodzi o drobiazgi stylistyczne, nie pogardzi radą człowieka znającego się na rzeczy. O, patrz, to słowo ”wpłynęła” ja mu zaproponowałem.”

- Masz rację - rzekł Pollion. - Mój kucharz jest za dobry. Następnym razem pożyczę od ciebie kucharza i parę tuzinów flaszek tego, co nazywasz

falerno. Spotkam się wtedy z uczciwą krytyką.

- Panowie, panowie - błagalnym głosem zaczął Sulpicjusz - tylko bez osobistych wycieczek.

Liwiusz zbierał się do wyjścia, ale Pollion, spojrzawszy ze złośliwym uśmiechem na ustępującego przeciwnika, odezwał się umyślnie głośno:

- Porządny człowiek z tego Liwiusza. Jedno w nim tylko mi przeszkadza. Cierpi na padewską chorobę.

Te słowa zatrzymały odchodzącego.

- Co tam znów z Padwą? Nie lubię, jak obgadują to miasto.

Pollion zwrócił się do mnie:

- Jak wiesz, Liwiusz tam się urodził. Leży ta dziura gdzieś w północnych prowincjach.

Są tam sławne cieplice o szczególnych własnościach. Padewczyka możesz zawsze poznać.

Kąpią się w wodzie owego źródła albo ją piją - jak słyszałem, obie rzeczy czynią równocześnie - i dzięki temu wierzą w to, w co wierzyć mają ochotę, a wierzą tak mocno, że potrafią innych zmusić do tej wiary. Dzięki temu wyroby ich zyskały u kupców taki rozgłos.

Koce i kobierce przez nich wyrabiane nie są lepsze niż gdzie indziej, a raczej nawet gorsze, ponieważ tamtejsze owce mają żółte i grube runo; dla padewczyków jednak jest ono miękkie i białe jak puch. I potrafili wmówić to wszystkim.

- Żółte runo! - zawołałem uderzając w żartobliwy ton Polliona. - Ale to coś wyjątkowego. Skąd się wzięły takie owce?

- Skąd? Piją wodę z cieplic, w których jest siarka. Wszyscy padewczycy są żółci.

Spójrz no na Liwiusza.

Właśnie zbliżał się do nas wolnym krokiem.

- Dobry żart tyńfa wart, Pollionie - rzekł. - Ale jest poważniejsza sprawa:

jak należy pisać historię? Możliwe, że popełniłem błędy. Jakiż historyk jest od nich wolny?

W każdym razie nie fałszowałem faktów świadomie. Tego mi nie możesz zarzucić. W relacji swojej z radością zawarłem wszystkie legendy z pierwszych kronik, jeśli odpowiadały mojej idei wielkości starożytnego Rzymu. Może nie zgadzała się z prawdą w szczegółach, ale zgodna z nią była w zasadniczym duchu. Jeśli spotkałem dwie wersje dotyczące tego samego zdarzenia, wybierałem tę, która bardziej odpowiadała mej idei. Czyż może miałem grzebać po etruskich cmentarzach w poszukiwaniu trzeciej wersji, która by sprzeciwiała się obu poprzednim? Jakiż by z tego był pożytek?

- Służyłoby to sprawie prawdy - rzekł uprzejmym tonem Pollion. - Czyż to nic nie znaczy?

- A jeśli gwoli prawdy wypadłoby stwierdzić, że nasi czcigodni przodkowie byli tchórzami, kłamcami i zdrajcami? Cóż wtedy?

- Niech mnie wyręczy w odpowiedzi ten młodzieniec, który właśnie rozpoczyna życie.

No, odpowiedz, chłopcze!

Nie namyślając się wiele odpowiedziałem:

- Liwiusz rozpoczyna swoje dzieło od biadania nad zepsuciem współczesnej epoki i zapowiada, że przedstawi stopniowe zanikanie dawnych cnót w miarę wzrastającego dzięki podbojom dobrobytu. Przyznaje się, że ze szczególną satysfakcją pisze pierwsze rozdziały książki, gdyż może wtedy zamknąć oczy na zepsucie panujące dzisiaj. Ale czy czyniąc w ten sposób nie zamyka ich przypadkiem na zepsucie dawnej epoki?

- A zatem? - spytał Liwiusz mrużąc oczy.

- A zatem... zatem może nie ma istotnej różnicy między dawnym a naszym zepsuciem.

Może to tylko kwestia zapatrywań i okoliczności.

- Brawo, chłopcze! padewczyk nie wmówił w ciebie, że jego siarkowane

owce są białe jak śnieg.

Sytuacja stawała się kłopotliwa.

- Żadnego autora nie czytam z taką przyjemnością jak Liwiusza - powtórzyłem.

- Tak? - Pollion uśmiechnął się ironicznie. - Właśnie to samo powiedział starzec z Kadyksu. Ale tak jak starzec z Kadyksu jesteś teraz trochę rozczarowany, co?

Lars Porsenna i Scewola, i Brutus, i całe to towarzystwo stoją ci trochę kością w gardle?

- Nie jestem bynajmniej rozczarowany. Nie przyszło mi to wpierw do głowy, lecz widzę teraz, że można dwojako pojmować zadania historyka: albo nakłaniać ludzi do cnoty, albo zachęcać ich do prawdy. Liwiusz obrał pierwszą drogę, ty, panie, drugą.

Może jednak nie wykluczają się one wzajemnie.

- Ależ, chłopcze, z ciebie urodzony retor! - śmiał się Pollion.

Sulpicjusz, który, jak to było jego zwyczajem, gdy się denerwował albo niecierpliwił, stał na jednej nodze, a podkurczając drugą, oburącz splątywał i rozplątywał brodę, odezwał się teraz:

- Tak, Liwiuszowi nigdy nie zabraknie czytelników. Ludzie lubią, kiedy pisarz w zajmujący sposób nakłania ich "do starożytnej cnoty", zwłaszcza gdy im się równocześnie mówi, że współczesna cywilizacja uczyniła osiągnięcie tej cnoty niedościgłym ideałem. Ale ludzie, którzy mówią tylko prawdę i nie potrafią nic innego powiedzieć, owi

„karawaniarze rozbierający zwłoki historii”, jak ich zwie Katul w epigramie pod adresem Polliona, ludzie, którzy opowiadają tylko to, co się rzeczywiście zdarzyło, ci mogą pozyskać sobie audytorium jedynie wtedy, jeśli posiadają dobrego kucharza i pełną piwnicę cypryjskiego wina.

Liwiusz rozgniewał się naprawdę.

- To wszystko jest pusta gadanina - rzekł zwracając się do Polliona. - Ten

młody Klaudiusz uchodzi w rodzinie i wśród znajomych za niespełna rozumu; do dziś dnia nie zgadzałem się z tym ogólnym sądem. Teraz widzę, że to uczeń w sam raz dla ciebie. Pod kierunkiem Sulpicjusza udoskonali się jeszcze w tępocie. Nie ma w całym Rzymie nauczyciela, który by przyczyniał się do większego otępienia niż Sulpicjusz.

I jak Part w odwrocie wyrzucił jeszcze jeden pocisk:

- Et apud Apollinem istum Pollionis Pollinctorem diutissime polleat. - Na grecki nie można przetłumaczyć tej gry wyrazów; dosłownie znaczy to: Niech mu się długo dobrze wiedzie pod opieką Apolla Karawaniarza, patrona Polliona.

Z tymi słowy, sapiąc z gniewu, wyszedł, a Pollion, spoglądając za nim z uśmiechem, zawołał:

- Quod certe pollicitur Pollio: Pollucibiliter pollebit puer, co znaczy: Pollion przyrzeka z całą pewnością: Chłopcu będzie się wiodło doskonale.

Kiedy Sulpicjusz poszedł szukać jakiejś książki i zostaliśmy tylko we dwóch, Pollion zapytał:

- Ale właściwie kim jesteś, chłopcze? Jeżeli się nie mylę, nazywasz się Klaudiusz.

Pochodzisz więc z dobrej rodziny, ale poza tym nic nie wiem o tobie.

- Nazywam się Tyberiusz Klaudiusz Druzus Neron Germanik.

- Na Jowisza! Więc Liwiusz mówił prawdę. Uchodzisz za niespełna rozumu.

- Tak. Moja rodzina wstydzi się mnie, ponieważ się jąkam, kuleję i wciąż choruję; toteż mało przebywam wśród ludzi.

- Ale niespełna rozumu?! Jesteś jednym z najbystrzejszych młodzieńców, jakich spotkałem.

- Pan jest bardzo uprzejmy.

- Bynajmniej. Aleś dopiekł Liwiuszowi tą historią o Porsennie! Na jego sumienności jako historyka zupełnie nie można polegać, ot co! Stale go na tym przyłapuję.

Pewnego razu spytałem, czy miał te same kłopoty co ja ze znalezieniem brązowych tablic w Państwowym Archiwum, gdzie panuje zupełny bałagan. A on na to: "Nie, nie miałem żadnego kłopotu."

Okazało się, że nawet tam nie był, by potwierdzić choć jeden jedyny fakt. Ale powiedz mi, co cię skłoniło do czytania mojej historii?

- Czytałem twoje opowiadanie o oblężeniu Peruzji. Brał w nim udział mój dziadek, pierwszy mąż Liwii. Interesuję się tym okresem, ponieważ zbieram materiały do biografii mojego ojca. Atenodor polecił mi twą książkę; powiada, że jest uczciwie napisana. Poprzedni mój wychowawca, Marek Porcjusz Katon, mówił, że to zbiór kłamstw, więc tym bardziej ufam Atenodorowi.

- O tak! Katonowi książka ta się nie podobała. Katonowie walczyli po przeciwnej stronie. Współdziałałem w wypędzeniu jego dziadka z Sycylii. Ale po raz pierwszy spotykam tak młodego historyka. Historia to zabawa starych ludzi. A kiedy myślisz odnosić triumfy na polu bitwy jak twój ojciec i dziadek?

- Może na starość. Pollion zaśmiał się głośno.

- Nie widzę powodu, dla którego historyk, co całe życie prześlęczał nad studiowaniem taktyki wojskowej, nie miałby być zwycięskim wodzem; zwłaszcza gdyby mu nie brakło odwagi i dobrych żołnierzy...

- I dobrego szefa sztabu - dorzuciłem przypomniawszy sobie Kleona.

- I dobrego szefa sztabu, niewątpliwie; mógłby wtedy sam nie władać mieczem i tarczą.

Zdobyłem się na odwagę i spytałem Polliona, dlaczego zwą go "Ostatnim Rzymianinem". Uśmiechnął się na to pytanie i odparł:

- Ten przydomek nadał mi August. Było to w czasie wojny z twoim dziadkiem Antoniuszem. August zaproponował mi, abym przyłączył się do niego. Spytałem wtedy, za kogo mnie ma, bo przecież Antoniusz należał do moich najlepszych przyjaciół.

„Azyniuszu Pollionie - rzekł na to August - myślę, że jesteś ostatnim z Rzymian i niesłusznie nadano ten tytuł marnemu skrytobójcy Kasjuszowi.” „A

czyż to wina - odrzekłem - że jestem ostatnim z Rzymian? I czyż będzie wina, jeśli po pokonaniu Antoniusza nie stanie w Rzymie nikogo, kto by śmiał w twojej obecności mówić z podniesioną głową?” „Nie moja to będzie wina, Azyniuszu - usprawiedliwił się August. - Nie ja Antoniuszowi, ale on mnie wydał wojnę.

Zwyciężywszy go, przywrócę ustrój republikański.” A ja na to: ”Jeśli szlachetna Liwia nie założy swego weta.”

Przy tych słowach staruszek wziął mnie za ramię i mówił dalej:

- A przy sposobności coś ci powiem, Klaudiuszu. Posłuchaj. Stary już, bardzo stary ze mnie człowiek, a choć wyglądam dziarsko, wiem, że koniec niedaleki. Za trzy dni umrę.

Wiem o tym. Lecz właśnie w takich dniach człowiek ma momenty jasnowidzenia.

Słuchaj!

Czy chcesz spędzić długi, pracowity żywot i przy końcu osiągnąć wielkie zaszczyty?

- Owszem.

- A więc utykaj przesadnie, umyślnie jękaj się, udawaj chorego jak najczęściej, a przy wszystkich oficjalnych i półoficjalnych wystąpieniach zamyślaj się gapiowato, trząś głową, przebieraj nerwowo palcami. Gdybyś tak jasno patrzył na świat jak ja, zrozumiałbyś, że to jedyna droga, aby żyć bezpiecznie i na koniec dojść do sławy.

- Mam sobie wziąć za przykład historię pierwszego Brutusa, tak jak ją, choć niezgodnie z prawdą, przedstawił Liwiusz? - spytałem. - Brutus właśnie udawał głupiego, aby móc łatwiej przywrócić ludowi wolność.

- Co takiego?! Wolność ludu?! Wierzysz w to? Myślałem, że ten frazes nie jest już znany młodszemu pokoleniu.

- Mój dziadek i mój ojciec wierzyli w nią.

- Tak - przerwał ostro Pollion. - Wierzyli i dlatego umarli.

- To znaczy?...

- To znaczy, że dlatego zostali otruci.

- Otruci! Przez kogo?

- Hm. Nie tak głośno, chłopcze. Nie chcę wymieniać nazwisk. Ale dam ci dowód, że nie powtarzam bezpodstawnych plotek. Piszesz teraz biografię swego ojca, co?

- Tak jest.

- A więc zobaczysz, że kiedy dojdiesz do pewnego momentu, zabronią ci kontynuować pracę. A osoba, która wyda zakaz...

W tej chwili właśnie przyczłapał Sulpicjusz i interesująca rozmowa się przerwała.

Dopiero przy pożegnaniu Pollion odciągnął mnie na bok i szepnął do ucha:

- Bywaj zdrow, chłopcze. A tą wolnością ludu nie zawracaj sobie głowy! Nie czas na nią jeszcze. Musi być znacznie gorzej, zanim może być lepiej.

A potem odezwał się głośno:

- I jeszcze jedno. Kiedy umrę, a czytając moją historię znajdziesz w niej niezgodność z prawdziwym stanem rzeczy, to upoważniam cię - i napiszę to w testamencie - do poprawienia błędów w uzupełnieniach. Postaraj się utrzymać dzieło na poziomie ostatnich badań. Przeszarżałe książki zdadzą się tylko do owijania ryb.

Odpowiedziałem, że wielki to będzie zaszczyt dla mnie.

W trzy dni później Pollion zmarł. W testamencie zapisał mi zbiór dzieł z wczesnej historii Rzymu; niestety, nie otrzymałem go. Stryj Tyberiusz powiedział, że na pewno zaszła pomyłka i książki są przeznaczone dla niego; nazywamy się przecież całkiem podobnie.

Klauzulę upoważniającą mnie do czynienia poprawek uważali wszyscy za żart; dotrzymałem jednak obietnicy danej Pollionowi, choć mogłem to uczynić dopiero w dwadzieścia lat później. Doszedłem do przekonania, że w

charakterystyce Cyncerona Pollion okazał się zbyt surowy. Przedstawił go bowiem nie tylko jako chwiejnego, próżnego i tchórzliwego człowieka, którą to opinię podzielałem, ale jako zdrajcę, co uważałem za stosowne sprostować. Pollion opierał się w tym wypadku na korespondencji Cyncerona sfalszowanej - jak mogłem tego dowieść - przez Klaudiusza Pięknego. Klaudiusz chciał się w ten sposób zemścić na wielkim mówcy. Kiedy bowiem oskarżono go o to, że w przebraniu flecistki uczestniczył w obrzędzie ku czci Dobrej Bogini, Cynceron świadczył w sądzie przeciw niemu.

Ów Klaudiusz to jeszcze jeden ze złych Klaudiuszów.

ROZDZIAŁ X

6 r. n.e.

Przed moim dojściem do pełnoletności August polecił Tyberiuszowi, aby adoptował Germanika, który w ten sposób z rodu klaudyjskiego przeszedł do julijskiego, a ja stałem się głową starszej gałęzi Klaudiuszów. Miałem teraz niezaprzeczone prawo dysponowania ruchomym i nieruchomym majątkiem odziedziczonym po ojcu. Zostałem też opiekunem matki, która nie wyszła po raz drugi za mąż. Opieka ta widocznie ją upokarzała, gdyż traktowała mnie jeszcze bardziej surowo niż poprzednio, mimo że teraz wszystkie kontrakty musiały być podpisywane przeze mnie i ja spełniałem obowiązki kapłana domowych obrzędów religijnych.

Uroczystość mego dojścia do pełnoletności stanowiła ciekawy kontrast z tą, którą urządono kiedyś Germanikowi. O północy przywdziałem męską togę, zanesiono mnie w lektyce na Kapitol i złożyłem tam ofiarę. Nie towarzyszył mi żaden orszak; po powrocie poszedłem prosto do łóżka. Germanik i Postum byliby niewątpliwie wzięli udział w obrzędzie, lecz Liwia, której zależało, aby ten uroczysty dzień mojego życia minął dla ogółu niepostrzeżenie, urządziła właśnie przyjęcie na Palatynie i obydwaj moi przyjaciele nie mogli się na nim nie stawić.

Podobnie wyglądał mój ślub z Urgulanillą. Wiedziało o nim bardzo niewiele osób, resztę zawiadomiono dopiero następnego dnia. Ceremonia odbyła się ściśle według zwyczaju.

A więc Urgulanillą miała szafranowe trzewiki i płomienisty welon; dokonano auspicji, zjedliśmy święty placek, siedzieliśmy na stołkach pokrytych owczym runem; odprawiłem obrządek libacji, narzeczona namaściła drzwi domu, rzucono trzy monety, a potem ofiarowałem Urgulanilli wodę i ogień. Wszystko odbyło się przepisowo, prócz tego, że nie towarzyszył nam orszak z

poходniami i że obrzędu dokonano niedbale, z pośpiechem i niechęcią.

Panuje w Rzymie zwyczaj, że panna młoda nie wchodzi sama do mężowskiego domu, lecz wnoszą ją na rękach krewni pana młodego, aby się przypadkiem nie potknęła na progu.

Obydwaj Klaudiusze, którym przypadło to zadanie, byli to ludzie starsi i siły ich w żaden sposób nie dorównywały wadze panny młodej. Jeden z nich pośliznął się na marmurze i Urgulanilla klapnęła ciężko na ziemię, pociągając za sobą obydwu poczciwców.

Wszyscy troje zwalili się na kupę. Trudno o gorszy omen w dzień ślubu. A jednak nie można powiedzieć, żeby małżeństwo nasze okazało się nieszczęśliwe. Byliśmy sobie wzajemnie zbyt obojętni, aby można było mówić o nieszczęściu. Początkowo sypialiśmy razem, bo tak niby wymagał zwyczaj; od czasu do czasu mieliśmy nawet z sobą stosunek (moje pierwsze doświadczenia seksualne), nie tyle z potrzeby uczucia czy zmysłów, lecz sądziliśmy, że to należy do obowiązków małżeńskich. Okazywałem jej pełny szacunek i jak największą uprzejmość, spotykając się wzajem z zupełną obojętnością, co i tak było wiele, jak na kobietę o jej charakterze. W trzy miesiące po ślubie Urgulanilla zaszła w ciążę i urodziła mi syna Druzylla, dla którego w żaden sposób nie mogłem się zdobyć na ojcowskie uczucia.

Po mojej siostrze Liwilli odziedziczył złośliwość, a resztę cech charakteru wziął po bracie Urgulanilli, Plaucjuszu. O tym Plaucjuszu, którego August postawił mi za wzór obyczajów i postępowania, opowiem później.

Zanim August i Liwia powzięli jakąś decyzję w sprawach rodzinnych czy państwowych, mieli zwyczaj systematycznego spisywania wszystkich motywów, które wpłynęły na powzięcie danej decyzji. Działo się to zazwyczaj w formie listów, które wymieniali między sobą. Z olbrzymiej masy korespondencji, jaka pozostała po ich śmierci, przepisałem kilka listów rzucających światło na stosunek Augusta do mnie.

Pierwszy z nich jest datowany na trzy lata przed moim ślubem.

„Kochana Liwio!

Pragnę zanotować dziwny wypadek, jaki mi się dzisiaj zdarzył. Nie wiem doprawdy, jak go sobie wytłumaczyć. Rozmawiając z Atenodorem, rzekłem w pewnym momencie:

„Obawiam się, że opieka nad młodym Tyberiuszem Klaudiuszem zbyt cię męczy. Ten chłopiec z dnia na dzień robi coraz gorsze wrażenie, staje się coraz bardziej nerwowy, a coraz mniej zdolny.” Atenodor był jednak odmiennego zdania.”Nie sądź go zbyt ostro - odrzekł. - Chłopiec bardzo silnie odczuwa niezadowolenie i lekceważenie, z jakim spotyka się w rodzinie. Nie jest jednak niezdolny i - wierz mi lub nie - z prawdziwą przyjemnością przebywam w jego towarzystwie. Czy słyszałeś kiedy, jak deklamuje?” - „Deklamuje?!” - zawołałem ze śmiechem.”Tak, deklamuje - powtórzył Atenodor. - Jeśli pozwolisz, urządzimy próbę. Podaj jakiś temat do przemówienia i przyjdź za pół godziny; usłyszysz, co potrafi. Ale ukryj się za kotarą, inaczej nie będzie to nic godnego usłyszenia.”

Zaproponowałem jako temat podboje rzymskie w Niemczech. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony jak w pół godziny później, kiedy ukryty za kotarą przysłuchiwałem się deklamacji Klaudiusza. Na pamięć zna wszystkie fakty; zasadnicze punkty planu obmyślił doskonale, szczegóły rozwinął odpowiednio do całości i przedstawił w należyтым związku, a co więcej - zupełnie panuje nad głosem; nie zająknął się ani razu. Niech mnie pioruny biją, jeśli nie słuchałem z prawdziwą przyjemnością i zainteresowaniem. Ale jak chłopiec, który w codziennym życiu nie potrafi się wysłowić, może w tak krótkim czasie przygotować i zaraz potem wygłosić tak rozumny i w naukowym stylu utrzymany referat, to przechodzi moje pojęcie. Wymknąłem się po cichu, zapowiedziawszy Atenodorowi, aby nic nie wspominał o mej obecności ani o moim zdumieniu; uważam jednak za właściwe podzielić się z tobą tą wiadomością i zaproponować, żebyśmy może w przyszłości pozwalali mu czasem jadać razem z nami wieczerzę, jeśli nie ma większej liczby gości, pod

tym warunkiem, że będzie miał usta zamknięte na kłódkę, a uszy szeroko otwarte. Jeżeli pomimo wszystko istnieje szansa - w co jestem skłonny uwierzyć

- że wyrośnie na normalnego człowieka, to należałoby go stopniowo przyzwyczajając do obcowania z ludźmi jego stanu. Nie możemy go przecież ciągle trzymać w zamknięciu, w towarzystwie samych nauczycieli i wyzwolenców. Prawdę mówiąc, sądy o stanie jego umysłu są bardzo rozbieżne. Stryj Tyberiusz, matka Antonia, siostra Liwilla uważają go za skończonego idiotę. Z drugiej zaś strony Atenodor, Sulpicjusz, Postum, Germanik przysięgają, że kiedy chce, jest równie rozsądny jak my wszyscy, tylko łatwo się denerwuje.

Co do mnie, to jak już powiedziałem, nie mogę Sobie na ten temat wyrobić żadnego zdecydowanego zdania.

August”

Na to Liwia odpisała:

„Kochany Auguście!

Zdumienie, jakie cię ogarnęło, kiedy skryty za kotarą przysłuchiwałeś się deklamacji, nie było większe ani mniejsze niż to, którego doświadczyliśmy oboje podczas audiencji udzielonej posłowi indyjskiemu. Wśród darów przysłanych nam przez jego władcę znajdowała się złota klatka. Czy przypominasz sobie, jak poseł zdjął z niej jedwabną chustę i po raz pierwszy w życiu ujrzyliśmy papugę, ptaka o szkarłatnym podgardlu i szmaragdowych piórach, która wykrzyknęła: ”Witaj, Cezarze, Ojczyźnie!” Na takie zdanie potrafi się zdobyć i małe dziecko, które dopiero niedawno zaczęło gaworzyć, ale osłupiliśmy słysząc, że wykrzykuje je ptak. A przecież żaden rozsądny człowiek nie będzie wychwalał rozumu papugi za to, że w odpowiednim momencie wypowiedziała odpowiednie słowa. Nie wiedziała bowiem zupełnie, co znaczą. Na uznanie zasługuje tylko człowiek, który z niezmordowaną cierpliwością wytresował papugę. Wiesz przecież dobrze, że kiedy indziej ptak ten wtrąca się do rozmowy, wykrzykując takie nonsensy, że musimy zakrywać

klatkę. Podobnie ma się sprawa z Klaudiuszem. Choć, nawiasem mówiąc, porównanie z mym wnukiem to wątpliwy komplement dla tak niezwykle pięknego ptaka jak papuga. Przemówienia, któremu się przysłuchiwałeś, nauczył się niewątpliwie na pamięć. Ostatecznie podboje rzymskie w Niemczech to temat mocno oklepany i Atenodor mógł mu kazać wyuczyć się słowo w słowo z pół tuzina wzorowych deklamacji. Nie sądzę, że nie ucieszyłam się wiadomością, którą mi zakomunikowałeś. Przeciwnie, sprawiła mi niemałą radość. Okazuje się bowiem, że można tego chłopca wytresować, a to znaczy, że potrafi wyuczyć się tego, co potrzebne do ślubu.

Natomiast twój pomysł, żeby bywał u nas na wieczerzy, wydaje mi się wprost śmieszny. Ja absolutnie nie będę jadać w tym samym co on pokoju; dostałabym chyba niestrawności.

Do zapewnień o tym, że pod względem umysłowym jest on zupełnie normalny, trzeba się odnieść z pewną dozą krytycyzmu. Germanik jako mały chłopiec przysiągł konającemu ojcu, że będzie się opiekował swym bratem. Znasz szlachetność Germanika? Chcąc za wszelką cenę dotrzymać przysięgi, stara się w jak najlepszym świetle przedstawić Klaudiusza i nie traci nadziei na możliwość jego rozwoju. Całkiem jasne jest też, dlaczego Atenodor i Sulpicjusz usiłują traktować go jako pojętnego ucznia; obydwaj są przez nas dobrze płatni, a z racji swych obowiązków mogą się kręcić po pałacu i uchodzić za prywatnych doradców. Co się tyczy Postuma, to, jak przypominasz sobie, już przed paru miesiącami skarżyłam ci się, że nie mogę zupełnie zrozumieć tego chłopca. Moim zdaniem, śmierć postąpiła bardzo złośliwie zabierając dwóch jego wybitnie zdolnych braci, a oszczędzając jego samego.

Znajduje on specjalną przyjemność w oponowaniu starszym przy każdej sposobności i wszczynaniu z nimi dyskusji na tematy, które w ogóle nie ulegają dyskusji. Doprowadza tym człowieka nieraz do zupełnej rozpacz, a czyni to, zdaje się, w tym celu, aby podkreślić ważność swego stanowiska jako twego jedyne go pozostałego przy życiu wnuka. Z tych właśnie powodów lubi

występować w roli obrońcy małego Klaudiusza. Ostatnio zachowanie jego było już zupełnie bezczelne. Napomknęłam coś, że dla takiego ucznia jak Klaudiusz szkoda tylko trudu Sulpicjusza, a Postum na to, że jego zdaniem, Klaudiusz ma więcej rozumu niż wielu najbliższych krewnych. Była to wyraźna aluzja do mojej osoby. Ale to już jest inna sprawa.

W tej chwili chodzi o Klaudiusza. Otóż nie mogę, powtarzam raz jeszcze, nie mogę jadać w obecności tego chłopca, który wzbudza we mnie odrazę fizyczną, co mam nadzieję, zechcesz uszanować.

Liwia”

W rok później, kiedy Liwia bawiła na wsi, August wysłał do niej list, w którym pisał:

„... Co się tyczy młodego Klaudiusza, to korzystając z twojego wyjazdu spróbuję go zapraszać codziennie na wieczerzę. Przyznaję, że jego obecność jest mi niemiła, ale nie uważam za wskazane, żeby jadał sam z Atenodorem i Sulpicjuszem jako jedynymi towarzyszami. Rozmowy, jakie z nimi prowadzi, mają charakter zbyt książkowy, a choć obydwaj są bardzo przyzwoitymi ludźmi, nie jest to jednak ideał towarzystwa dla chłopca w jego wieku i jego pochodzenia. Pragnąłbym serdecznie, żeby znalazł sobie jakiegoś młodzieńca z dobrego rodu, który by mógł być mu przykładem, jak ma się zachować, jak się ubrać i tak dalej. Jednak przy jego nieśmiałości i nieufności to projekt nierealny. Wprawdzie uwielbia Germanika, ale niższość swoją w stosunku do niego odczuwa tak wyraźnie, że nie ma odwagi naśladować go, podobnie jak ja na przykład nie miałbym odwagi chodzić w lwiej skórze z maczugą w ręku i udawać Herkulesa. Jest to doprawdy nieszczęśliwy chłopak, który jeśli nie wybiega myślą gdzieś w przestrzeń, daje w ważnych sprawach dowody prawdziwej szlachetności serca...”

Interesujący również jest trzeci list, napisany wkrótce po moim ślubie, kiedy zostałem właśnie mianowany kapłanem Marsa.

„Kochana Liwio!

Zgodnie z twym życzeniem Tyberiusz i ja zastanawialiśmy się, co zrobić z młodym Klaudiuszem, kiedy przyjdą igrzyska ku czci Marsa. Klaudiusz jest teraz pełnoletni i otrzymał miejsce w kolegium kapłanów Marsa. Wielki więc czas zdecydować o jego przyszłości.

Myślę, że podzielasz moje zdanie. Mam wrażenie, że pod względem umysłowym i fizycznym nie można mu zarzucić nic takiego, co by go dyskredytowało jako członka naszej rodziny - przecież w przeciwnym razie nie byłbym adoptował Tyberiusza i Germanika, pozwalając Klaudiuszowi zostać głową starszej gałęzi rodu. Wobec tego trzeba się chłopcem zająć i dać mu te same możliwości kariery co Germanikowi. Nie wykluczam zresztą z mej strony omyłki; jego ostatnie postępy nie są zachwycające. Jeżeli jednak zdecydujemy, że ułomności fizyczne Klaudiusza idą w parze z nieuleczalnym upośledzeniem umysłowym, nie powinniśmy dawać sposobności złośliwym do natrząsania się z nas i z niego.

Musimy prędko i ostatecznie powziąć decyzję w tej sprawie, chociażby z tego tylko względu, żeby nie zastanawiać się za każdym razem, czy może sprawować takie lub inne obowiązki, do których jest powołany z racji swego pochodzenia.

W tej chwili wyłania się kwestia, co z nim zrobić w czasie igrzysk. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zajął się urządzeniem biesiady dla kapłanów, pod warunkiem, że będzie we wszystkim posłuszny wskazówkom swego szwagra, młodego Plaucjusza Sylwana, i zrobi tylko to, co tamten mu poleci. Mógłby się w ten sposób niemało nauczyć i nie ma powodu, dla którego miałby się czuć urażony, jeżeli tylko skorzysta z nauki.

Naturalnie o tym, żeby siedział ze mną i świętym posągiem w łoży przewodniczącego, nie ma mowy. Cały teatr miałby zwrócone na nas oczy i najmniejsza niewłaściwość w zachowaniu dałaby pole do gadaniny.

Druga sprawa pozostaje w związku ze Świętem Łatyńskim. Germanik w towarzystwie konsulów udaje się na Wzgórza Albańskie, aby tam złożyć ofiarę,

i o ile mi wiadomo, Klaudiusz chce się wybrać wraz z bratem. Nie wiem, czy można być pewnym, że znowu nie strzeli jakiegoś głupstwa. Germanik zajęty ceremonią nie będzie mógł na niego uważać.

Ludzie będą ciekawi, w jakim właściwie charakterze występuje, i zasypią nas pytaniami, dlaczego na czas trwania uroczystości nie został mianowany prefektem miasta w zastępstwie nieobecnych urzędników. Jak sobie zapewne przypominasz, była to przecież pierwsza godność, którą z okazji tego święta powierzaliśmy kolejno Gajuszowi, Lucjuszowi, Germanikowi, Kastorowi i Postumowi, gdy tylko doszli do pełnoletności, aby spróbowali swych sił. Najlepiej, jeśli ogłosimy, że jest chory, gdyż oczywiście o spełnianiu przezeń obowiązków prefekta mowy być nie może.

Nie mam nic przeciwko temu, żebyś pokazała ten list Antonii. Zapewnij ją też, że w ten czy w inny sposób w najbliższym czasie poweźmiemy decyzję w sprawie jej syna.

Rozumiem, że pozostawanie pod jego opieką musi być dla niej bardzo niemiłe.

August o urządzonej przeze mnie uczcie kapłańskiej nie mam do zanotowania nic godnego uwagi, chyba tylko to, że po raz pierwszy wtedy wystąpiłem w charakterze oficjalnym.

Zresztą załatwiał za mnie wszystko Plaucjusz, człowiek próżny i arbitralny. Nie zadał sobie nawet trudu wyjaśnić mi, w jakim porządku mają być podawane potrawy ani komu jakie miejsce przy stole wypada; w ogóle nie chciał ze mną na ten temat mówić. Wyuczył mnie tylko pewnych obrzędowych gestów i zdań, które miałem wygłaszać podczas powitania kapłanów i później w różnych momentach uczty.

- Poza tym ani pary z ust - dodał.

Czułem się więc bardzo skrępowany, gdyż niejednokrotnie mogłem z powodzeniem wziąć udział w rozmowie, a moje milczenie i uległość Plaucjuszowi zrobiły całkiem złe wrażenie. Samych igrzysk już nie oglądałem.

Przypominacie sobie pewne niezycziwe uwagi Liwii na temat Postuma. Z biegiem czasu było ich coraz więcej. August, który początkowo usiłował stawać w obronie wnuka, stopniowo coraz bardziej tracił doń serce. Myślę, że Liwia musiała dużo więcej mówić Augustowi o Postumie ponad to, czego dowiadujemy się z ich korespondencji, inaczej Postum nie utraciłby tak łatwo łask Augusta. Pewnych faktów jednak dowiadujemy się i z listów. A więc Liwia donosi Augustowi, że Tyberiusz uskarża się na lekceważący stosunek Postura a do Akademii Rodyjskiej. Następnie, że Katon zarzuca mu zły wpływ na młodszych uczniów, których namawia do nieposłuszeństwa. Liwia przytacza Augustowi poufne raporty Katona, dodając, że długo trzymała je w tajemnicy, gdyż miała nadzieję, że Postum się poprawi. Potem czyni pełne troski wzmianki o jego gderliwym i ponurym usposobieniu - było to w tym czasie, gdy Postum przeżywał rozczarowanie do Liwilli i smutek po śmierci swego brata Gajusza. Kiedy Postum dochodzi do pełnoletności, Liwia podsuwa Augustowi myśl, żeby jeszcze przez lat kilka nie oddawać Postumowi spuścizny po ojcu, gdyż „mogłoby to sprzyjać jeszcze większemu zepsuciu niż to, w jakim obecnie żyje”. Gdy Postum zaczyna służbę wojskową wraz ze swymi rówieśnikami, zostaje zwykłym porucznikiem gwardii; nie udziela mu się żadnych specjalnych zaszczytów, które dotychczas przyznawane były i Gajuszowi, i Lucjuszowi. Zdaniem samego Augusta tak będzie najlepiej ze względu na wybujałą ambicję Postuma: trudno dopuścić, żeby powstała podobnie nieprzyjemna sytuacja jak wtedy, kiedy młodzi patrycjusze popierali Marcellusa przeciwko Agryppie albo Gajusza przeciwko Tyberiuszowi. Wkrótce potem czytamy, jak źle Postum to przyjmuje. Mówi Augustowi, że nie zależy mu na honorach dla nich samych, ale odmówienie mu zaszczytów zostało mylnie pojęte przez jego znajomych, w których opinii jest on źle widziany na Palatynie.

Potem następują wzmianki większej wagi. Postum robi awanturę Plaucjuszowi i wrzuca go do sadzawki w obecności kilku patrycjuszy i ich służących. Co więcej, żaden z nich nie chce powiedzieć Liwii, o co poszło.

Kiedy August wzywa go, aby się wytłumaczył, nie okazuje wcale skruchy i upiera się, że Plaucjusz zasługuje sobie na tę kąpiel zwracając się do niego w obraźliwy sposób. Jednocześnie skarży się Augustowi na niesprawiedliwą zwłokę w przekazaniu mu spuścizny po ojcu. Natychmiast Liwia udziela mu nagany z powodu jego opryskliwego zachowania w stosunku do niej. "Skąd ten jad?" - pyta. Postum z uśmiechem odpowiada: "Być może, dosypałaś mi czegoś do zupy." Kiedy każe mu wytłumaczyć ten dziwny żart, uśmiecha się jeszcze bezczelniej i odpowiada: "Dosypywanie czegoś do zupy to wypróbowany sposób każdej macochy."

Wkrótce potem August otrzymuje od generała, pod którego rozkazami służy Postum, raport, że młodzieniec unika towarzystwa innych oficerów i spędza cały swój wolny czas łowiąc ryby w morzu. Z tego powodu zyskuje sobie przezwisko Neptuna.

Moje obowiązki związane ze stanowiskiem kapłana Marsa nie były trudne.

Plaucjusz, który był również kapłanem Marsa, miał polecenie obserwować mnie, ilekroć wypadało jakieś nabożeństwo. Zaczynałem go nienawidzić. Obrażliwa uwaga, za którą Postum wrzucił go do sadzawki, była tylko jedną z wielu. Nazywał mnie Lemurem i utrzymywał, że jedynie lojalność względem Augusta i Liwii nie pozwalała mu na to, aby plunąć mi w twarz, ilekroć zadam któreś z moich niedorzecznych pytań.

ROZDZIAŁ XI

5 r. n.e.

Na rok przed moim dojściem do pełnoletności i ślubem Rzym przeżywał ciężkie chwile. Południową Italię nawiedziło kilkakrotne trzęsienie ziemi i sporo miast legło w gruzach. Sucha wiosna wróżyła kiepski urodzaj w całym kraju, a tuż przed samymi zniwami gwałtowne ulewy zniszczyły tę resztę zboża, którą miano nadzieję zebrać.

Skutkiem deszczów przyszła gwałtowna powódź. Woda zerwała most na Tybrze i zalała niżej położone dzielnice miasta, gdzie przez cały tydzień komunikacja odbywała się za pomocą łódek.

Ponieważ urodzaje w poprzednich latach nie dopisywały, spichrze państwowe stały puste i głód zagrażał Italii. August wysłał więc do Egiptu i innych krajów komisarzy, którym udało się zakupić - wprawdzie za bardzo wysoką cenę - pewną ilość zboża, lecz transport ten nie wystarczał na pokrycie zapotrzebowania. Zimą w przeludnionej stolicy - liczba mieszkańców podwoiła się w ciągu ostatnich dwudziestu lat - zapanował wielki niedostatek.

Port w Ostii podczas zimy był niebezpieczny i całymi tygodniami nie można było wyładować statków z ładunkiem zboża zakupionego na Wschodzie. August czynił wszystko, żeby zmniejszyć klęskę głodu. Tym, którzy nie mieli w Rzymie własnego domu i rodziny, kazał opuścić miasto i zamieszkać w odległości nie mniejszej niż sto mil; mianował radę żywnościową złożoną z byłych konsulów i zakazał urządzania publicznych uczt nawet w dniu swych urodzin. Znaczną ilość zboża sprowadził na własny koszt i rozdawał najbardziej potrzebującym. Jak zwykle, niedostatek pociągnął za sobą zamieszki. Podczas zamieszek zdarzały się podpalenia. Po nocach bandy wygłodzonych nędzarzy z dzielnicy biedoty plądrowały i podpalały sklepy, a pożar ogarniał całe ulice. August zorganizował brygadę straży nocnej, podzieloną na siedem kohort, i

okazała się ona tak użyteczna, że trzymano ją odtąd na stałe. Mimo wszystko rozruchy spowodowały olbrzymie szkody.

Wprowadzenie nowych podatków na wojnę w Niemczech przepełniło miarę niezadowolenia i lud zaczął głośno przebąkiwać o rewolucji. Nieznani sprawcy przybijali nocą na drzwiach budynków publicznych odezwy pełne pogroźek pod adresem rządu. Opowiadano sobie, że spisek zatoczył szerokie kręgi, a senat wyznaczył nagrodę dla tych, którzy się przyczynią do ujęcia przywódców buntu. Wiele ludzi skuszonych nagrodą zaczęło denuncjować swoich sąsiadów i zamęt szerzył się coraz większy. W rzeczywistości spisku żadnego nie było, tylko wszyscy mówili o nim z utęsknieniem. Wreszcie zaczęło nadchodzić zboże z Egiptu, gdzie żniwa wypadają znacznie wcześniej niż u nas, i nastąpiło ogólne odprężenie.

Wśród tych, których na czas głodu usunięto z Rzymu, znajdowali się między innymi gladiatorzy. Nie stanowili licznej grupy, lecz August obawiał się, że w razie jakiejś rewolty mogliby odegrać niebezpieczną rolę. Była to bowiem gromada straceńców zdecydowanych na wszystko. Wśród nich znajdowali się ludzie z dobrych rodzin, sprzedani za długi.

Właściciele pozwalali im występować jako gladiatorom, aby w ten sposób mogli sobie zebrać sumę potrzebną na wykup. Jeżeli czasem potomek jakiegoś starego rodu zabrnął w długi nie z własnej winy, lecz przez młodzieńczą lekkomyślność, ratowała go wtedy zazwyczaj nawet dalsza rodzina, a nierzadko interweniował sam August, pokrywając zobowiązania z własnej szkatuły. Na arenę szli tylko ci, którym widać nie warto już było pomagać. Byli to ludzie nie mający nic do stracenia, a że z natury rzeczy przewodzili w Związku Gladiatorów, więc tym większe było niebezpieczeństwo wzniesienia przez nich zbrojnego powstania.

Kiedy sytuacja się poprawiła, wezwano gladiatorów z powrotem, a chcąc udobruchać lud postanowiono urządzić igrzyska na wielką skalę. Miały się one odbyć ku czci naszego ojca, dlatego nominalnie urządzaliśmy je obaj z

Germanikiem. Liwia, przypominając Rzymowi o wielkich czynach Druzusa, chciała w ten sposób zwrócić uwagę na Germanika, który był kropla w kroplę podobny do ojca. Bratu mojemu tym bardziej zależało na popularności, że w najbliższym czasie miał wyruszyć do Niemiec do swego stryja Tyberiusza, równie znakomitego jak ojciec wojownika, i pomagać mu w nowych podbojach. Matka i Liwia pokryły wprawdzie część kosztów związanych z urządzeniem igrzysk, ale główny ciężar spadł na mnie i na Germanika. Ponieważ zaś, zdaniem rodziny, Germanik ze względu na swoje stanowisko potrzebował więcej pieniędzy ode mnie, więc matka sądziła, że będzie sprawiedliwiej, jeżeli dwie trzecie wydatków wezmę na siebie. Z radością zastosowałem się do jej życzenia, gotów zawsze dla brata uczynić wszystko, co tylko w mojej mocy.

Gdy jednak później sprawdzałem rachunki, zdrętwiałem na widok sumy, jaką pochłonęły igrzyska.

Prawdę mówiąc zupełnie nie liczyliśmy się z pieniędzmi; oprócz zwykłych kosztów, jakie pociągają za sobą walki gladiatorów i sprowadzenie dzikich zwierząt, moc pieniędzy rozrzuciliśmy między lud.

W uroczystym pochodzie do amfiteatru jechaliśmy -. mocą specjalnej uchwały senatu

- na starym bojowym rydwaniu mego ojca. Najpierw złożyliśmy obiadę ku jego pamięci u grobowca Augusta, który cesarz zbudował dla siebie, ale pochowano tam też prochy Marcellusa i Druzusa. Stamtąd wróciliśmy Drogą Appijską, przejeżdżając pod olbrzymim łukiem triumfalnym wzniesionym ku czci ojca; posąg jego na szczycie łuku był z okazji uroczystości uwieńczony wawrzynem. Ponieważ dzień był wietrzny, lekarze nie pozwolili mi wyjść bez płaszcza. Jedynym człowiekiem, który ukazał się na igrzyskach w tym samym co ja stroju, był August. Bardzo wrażliwy na zmiany temperatury, nosił w zimie co najmniej cztery tuniki, ciepłą kamizelkę, a na to wszystko gruby wełniany płaszcz. Igrzyskom przewodniczył Germanik, siedząc w środku między cesarzem a mną. Kilku widzów zwróciło uwagę, że obaj z Augustem jesteśmy

podobnie ubrani. Wzięto to zaraz za omen i przypominano sobie przy tej sposobności, że urodziłem się pierwszego dnia miesiąca nazwanego imieniem cesarza, właśnie wtedy, gdy poświęcał w Lyonie ołtarz wzniesiony ku swojej czci. W loży prezydjalnej siedziała oprócz nas Liwia. Zazwyczaj zajmowała miejsce obok westalek.

Mężczyźni bowiem i kobiety siadywali oddzielnie. Tym razem zrobiono dla niej zaszczytny wyjątek jako dla matki Druzusa.

Po raz pierwszy w życiu miałem oglądać walki gladiatorów. Nic dziwnego, że byłem bardzo przejęty tym zdarzeniem, zwłaszcza że występowałem nie tylko jako widz, lecz jako współprzewodniczący. Właściwie funkcje te, równie dostojnie jak sprawnie, spełniał Germanik; ilekroć jednak zaszła potrzeba rozstrzygnięcia jakiejś wątpliwości, nie omieszkał mnie nigdy, przynajmniej dla formy, zapytać o zdanie. Na szczęście walki należały do najlepszych, jakie kiedykolwiek oglądał amfiteatr. Wprawdzie trudno mi było należycie ocenić ich poziom, gdyż biorąc pierwszy raz udział w takim widowisku nie posiadałem żadnej skali porównawczej, nie ustępowały jednak igrzyskom, które widywałem później - a oglądałem ich z górą tysiąc.

Liwii zależało na tym, żeby Germanik pozyskał sobie popularność, nie szczędziła więc kosztów i zaangażowała co najlepszych gladiatorów. Zawodowi szermierze przeważnie bardzo dbają o całość swej skóry i w walce wzajemnie się oszczędzają. Zręczne finty, parady, ciosy, blask i szcęk oręża, wszystko to robi wrażenie homeryckich bojów, a w rzeczywistości jest nieszkodliwym popisem zręczności szermierzy; w podobny sposób w ludowych komediach niewolnicy okładają się maczugami. Wyjątkowo tylko któregoś z przeciwników ponosiła czasem wrodzona krewkość albo chęć załatwienia osobistych porachunków z przeciwnikiem. Wtedy walka stawała się bardziej emocjonująca. Tym razem Liwia wezwała zarząd Związku Gladiatorów i oświadczyła, że nie myśli na darmo wydawać pieniędzy; dość już było markowanych spotkań poprzedniego lata; jeżeli podczas obecnych igrzysk powtórzy się choć raz coś

podobnego, związek zostanie rozwiązany. Wobec takiego postawienia sprawy zarząd zawiadomił swych członków, że tym razem nie ma mowy o żadnych uprzejmościach na arenie, nie stosujących się do tego rozporządzenia usunie się ze związku.

W pierwszych sześciu spotkaniach jeden z szermierzy zginął na miejscu, drugi został tak ciężko ranny, że umarł jeszcze tego samego dnia; trzeciemu wreszcie odrąbano tuż przy samym barku rękę, w której trzymał tarczę, co wywołało wśród widzów ryk śmiechu.

W trzech następnych spotkaniach za każdym razem jeden z przeciwników został rozbrojony, lecz po tak dzielnym oporze, że kiedy zwracał się do nas o darowanie mu życia, mogliśmy z Germanikiem śmiało podnieść kciuk do góry na znak łaski; widzowie za każdym razem aprobowali naszą decyzję. Jeden ze zwycięzców był jeszcze przed rokiem czy dwoma laty bogatym rycerzem. We wszystkich spotkaniach przeciwnicy używali odmiennej broni.

Walczono więc mieczem przeciw włóczni lub przeciw toporowi, albo włócznią przeciw maczudze. W siódmym spotkaniu jeden z walczących wystąpił uzbrojony w zwykły żołnierski miecz i starą, okrągłą tarczę obitą brązową blachą, drugi miał trójzab i przytwierdzoną do krótkiego kija sieć. Pierwszy był to gwardzista, skazany niedawno na śmierć za to, że po pijanemu uderzył kapitana. Wyrok śmierci zamieniono mu później na walkę z sieciarzem, dobrze płatnym zawodowcem z Tesalii, który walcząc trójzębem i siecią w ciągu ostatnich pięciu lat - jak mi opowiadał Germanik - zabił przeszło dwudziestu przeciwników.

Sympatia moja była po stronie żołnierza, który, blady, niepewnym krokiem wyszedł na arenę. Przebywał widać wiele dni w ciemnicy i teraz raziło go jaskrawe światło dnia. Po jego stronie opowiedziała się też kompania, w której służył, tym bardziej że kapitan, którego uderzył, uchodził za ostatniego łajdaka. Gdy żołnierze zobaczyli swego towarzysza, powitali go gromkimi okrzykami i poczęli wołać, żeby nie przyniósł wstydu kompanii. Widać to

przyjęcie dodało mu otuchy, bo wyprostował się i odkrzyknął wesoło:

- Nic się nie martwcie, chłopcy. Zrobię, co się da!

Wśród żołnierzy nosił on przezwisko Karpia; ta okoliczność wystarczyła, żeby mu zjednać sympatię większości widzów, chociaż na ogół gwardziści nie cieszyli się popularnością. Ale co to byłby za wspaniały kawał, gdyby "karp" zabił "rybaka"!

A mieć za sobą widownię to połowa wygranej dla człowieka, który walczy o swoje życie. Tuż za żołnierzem wkroczył na arenę sieciarz. Był to szczupły, muskularny mężczyzna o długich rękach i nogach. Za cały ubiór służyła mu skórzana tunika i okrągła czapka z grubej skóry.

Miał pewną siebie minę, doskonały humor i wesoło odpowiadał na żarty, które rzucali mu widzowie z pierwszych rzędów. Czekąca go przecież potyczka z amatorem, a Liwia przyrzekła mu za występ tysiąc sztuk złota i pięćset dodatkowych, jeśli walka będzie zajmująca.

Obydwaj szermierze spotkali się przed naszą lożą i powitali najpierw parę cesarską, a potem Germanika i mnie, jako przewodniczących. Wygłosili przy tym przyjętą formułę:

„Idący na śmierć pozdrawiają was.” * [*Ave, Caesar, morituri te salutant. Swetoniusz. Boski Klaudiusz, r. 21.] Odpowiedzieliśmy na ich pozdrowienie wyciągnięciem ręki, a Germanik szepnął do Augusta:

- Ależ ten Karp to jeden z weteranów mojego ojca! Poznają go doskonale.

W

Niemczech dostał wieniec za to, że pierwszy wdarł się na palisadę nieprzyjacielskiego obozu.

Obudziło to zainteresowanie Augusta.

- Chwałaż bogom - rzekł. - Spotkanie będzie niezłe. Lecz jeśli to weteran twego ojca, to sieciarz musi być o dziesięć lat młodszy, a w tej walce lata odgrywają dużą rolę.

W tej chwili Germanik dał znak, zagrały trąby i walka się rozpoczęła.

Karp stał w miejscu, a Tesalczyk tańczył wokół niego. Żołnierz nie był taki głupi, żeby tracić siły na uganianie się za swym lekko uzbrojonym przeciwnikiem.

Sieczarz daremnie usiłował drwinami wyprowadzić przeciwnika z równowagi. Raz tylko, gdy zbliżył się na odległość ramienia, Karp zaatakował go, a szybkość, z jaką przeszedł do ofensywy, zyskała mu huczne oklaski widowni. Tesalczyk jednak w czas uskoczył przed ciosem.

Wkrótce walka się ożywiła. Tesalczyk raz po raz, to z góry, to z dołu dźgał swym długim trójzębem, lecz Karp z łatwością parował ciosy, nie spuszczając równocześnie z oka obciążonej ołowianymi kulami sieci, którą Tesalczyk trzymał w lewej ręce.

- Piękny popis! - szepnęła Liwia do Augusta. - To najlepszy sieczarz w całym Rzymie.

Patrz, jak się bawi z żołnierzem. Już by dawno mógł go omotać siecią i dobić, ale umyślnie przedłuża walkę.

- Tak - odpowiedział August. - Z żołnierzem jest kiepsko. Ha, nie powinien był zaglądać do kieliszka.

Zaledwie wyrzekł te słowa, kiedy Karp, podbiwszy trójzęb, runął na przeciwnika i rozciął mu z boku skórzaną tunikę. Tesalczyk błyskawicznie uskoczył, a równocześnie sieć śmignęła Karpia przez twarz. Jakimś nieszczęśliwym trafem jedna z ołowianych kulek, uderzywszy go w oko, na moment oślepiła. Przystanął, a Tesalczyk wykorzystując sytuację wytrącił mu miecz z ręki. Karp skoczył po broń, lecz przeciwnik go uprzedził i podbiegłszy do bariery, podał miecz jakiemuś bogatemu obywatelowi siedzącemu w pierwszym rzędzie miejsc zarezerwowanych dla rycerzy. Następnie powrócił do miłej zabawy drażnienia się z bezbronnym przeciwnikiem. Sieć gwizdała Karpowi koło głowy, a trójzęb kłuł raz tu, raz tam. Karp jednak nie tracił ducha i raz nawet o mało nie wyrwał Tesalczykowi trójzęba.

Sieczarz parł teraz przeciwnika w kierunku naszej łoży, chcąc go pod nią

jak najefektowniej uśmiercić.

- Dość tego - zdecydowała Liwia. - Dość tej zabawy. Teraz powinien już skończyć.

Tesalczyk nie potrzebował zachęty. Równocześnie zawinął siatkę koło głowy Karpia i trójzębem wymierzył cios w brzuch przeciwnika. Nagle amfiteatr aż zatrzęsł się od krzyku.

Karp chwycił siatkę prawą ręką, uskoczył w tył i z całej siły uderzył z dołu w drzewce trójzęba, o stopę lub dwie od ręki przeciwnika. Broń śmignęła Tesalczykowi ponad głową, zawirowała w powietrzu i dygocząc utkwiała w drzewie bariery. Sieciarz stał chwilę osłupiały, następnie, pozostawiając sieć przeciwnikowi, skoczył po trójzab. Ale Karp był już przy nim i ostrym guzem tarczy uderzył Tesalczyka między żebra. Ten z jękiem padł na kolana. Karp, który od siły uderzenia aż się zatoczył, już odzyskał równowagę i z całym rozmachem grzmotnął sieciarza tarczą w kark.

- Ubił go jak królika! - zawołał August. - Nic podobnego w życiu nie widziałem.

A może ty widziała - zwrócił się do Liwii - co? Ubił go! Słowo daję, zatłukł go na śmierć!

Tesalczyk rzeczywiście już nie żył. Przypuszczałem, że Liwia będzie niezadowolona z takiego wyniku walki, ale powiedziała tylko:

- Dobrze mu tak. Oto jak się wychodzi na lekceważeniu przeciwnika. Zawiódł mnie.

Ale przynajmniej oszczędziłam pięćset sztuk złota. To też coś warte.

Kulminacyjnym punktem tego popołudnia była walka między dwoma należącymi do dwóch wrogich sobie plemion zakładnikami niemieckimi, którzy dobrowolnie się zgłosili, żeby stoczyć na arenie śmiertelny pojedynek. Nie był to popis szermierczej zręczności, lecz barbarzyńska rąbanina. Walczyli miecz przeciwko toporowi i mieli obaj wąskie, bogato zdobione tarcze na lewym ramieniu. Walka była o tyle interesująca, że zwykli wojownicy niemieccy

posługują się tylko dzirytem o cienkim drzewcu i wąskim grocie. Topór o szerokim ostrzu i długi miecz wskazywały na wysoką godność walczących. Jeden z nich, płowy olbrzym, uporał się w krótkim czasie z przeciwnikiem, masakrując powalonego w okropny sposób, zanim mu wreszcie strzaskał kark uderzeniem topora. Na oklaski publiczności odpowiedział łamanym językiem, przeplatając rzymską gwarę żołnierską niemieckimi wyrazami. Dowiedzieliśmy się, że jest sławnym wojownikiem w swej ojczyźnie, że zabił w bitwie sześciu Rzymian, wśród nich jednego oficera, a zakładnikiem został tylko przez zawistnego stryja, który jest naczelnikiem plemienia. Teraz wyzywa każdego Rzymianina rycerskiego stanu, aby się z nim zmierzył z mieczem w rękę, gdyż chce dopełnić szczęśliwej siódemki.

Pierwszy wskoczył na arenę młody oficer sztabowy z dobrej, ale podupadłej rodziny, nazwiskiem Kasjusz Cherea. Podbiegł do naszej łoży i prosił o pozwolenie przyjęcia wyzwania. Ojciec jego, wyjaśnił, zginął w Niemczech, walcząc pod dowództwem tego znamienitego generała, ku którego czci urządzono dzisiejsze igrzyska; w dowód miłości synowskiej pragnąłby poświęcić tego samochwała ceniom ojca. Kasjusz był znany jako dobry szermierz. Często widywałem go na Polu Marsowym. Germanik spytał najpierw Augusta, a następnie mnie o zdanie; kiedy cesarz wyraził zgodę, a ja mruknąłem coś w tym samym sensie, polecił Kasjuszowi przywdziać zbroję. Oficer udał się do ubieralni i wrócił za chwilę w zbroi Karpia i z jego mieczem, które sobie pożyczył na pomyślną wróżbę.

Walka, jaka teraz się toczyła na arenie, przewyższała wszystko, co nam pokazali zawodowi szermierze. Niemiec zadawał potężne ciosy swoim wielkim mieczem, lecz Kasjusz parował je tarczą, a równocześnie usiłował ugodzić przeciwnika w nie osłonięte miejsca; ten jednak był równie zwinny jak silny i Kasjusz pod nawałą ciosów dwukrotnie aż przyklął.

Tłum zamarł w milczeniu jak podczas uroczystego nabożeństwa; w amfiteatrze słyhać było tylko szcęk mieczy i głucho dudnienie tarcz.

- Obawiam się, że nie da rady Niemcowi - odezwał się półgłosem August.
- Szkoda, żeśmy pozwolili na tę walkę. Jeżeli Kasjusz zginie, wiadomość o jego śmierci wywoła na froncie bardzo niedobre wrażenie.

Wtem Kasjusz pośliznął się w kałuży krwi i upadł na wznak. Niemiec stanął nad nim okrakiem i... poczułem szum w uszach, czarne płatki zaczęły mi latać przed oczyma.

Zemdlałem. Pierwszy raz w życiu widziałem zabijanych ludzi. Wywarło to na mnie wielkie wrażenie. Szczególnie zdenerwowałem się podczas walki Karpia z Tesalczykiem; gorąco bowiem pragnąłem zwycięstwa żołnierza. A teraz jeszcze ten pojedynek, w którym zdawało mi się, że ja sam biorę udział, że rozpaczliwie walczę o życie przeciw Niemcowi; tego wszystkiego było za wiele na moje siły. Tak więc nie widziałem już, jak w ostatniej chwili Kasjusz się poderwał, kiedy przekłuty miecz miał mu strzaskać czaszkę, jak z błyskawiczną szybkością walnął Niemca guzem tarczy w łędźwie, przeokołkował w bok i w jednym mgnieniu oka wbił przeciwnikowi miecz pod pachę. Kasjusz wyszedł więc z tej walki zwycięsko i w historii, którą opowiadam, jeszcze nie raz odegra poważną rolę. Na zemdlenie moje w pierwszej chwili nikt nie zwrócił uwagi, zajęto się mną dopiero wtedy, gdy sam zacząłem już wracać do przytomności. Posadzono mnie z powrotem na miejsce i przetrwałem jakoś do końca widowiska. Gdyby mnie wyniesiono wcześniej, byłoby to kompromitacją dla całej rodziny.

Następnego dnia igrzyska odbywały się dalej, lecz już nie siedziałem na widowni.

Ogłoszono, że jestem chory. W ten sposób ominął mnie jeden z ciekawszych spektakli cyrkowych: walka nosorożca ze słoniem indyjskim, jak wiadomo znacznie większym od afrykańskiego. Znamcy stawiali na nosorożca, który choć o wiele mniejszy, ma grubszą skórę niż słoń. Spodziewano się, że za pomocą długiego i ostrego rogu, wyrastającego mu z nosa, prędko się upora z przeciwnikiem. Podobno w Afryce słonie nauczyły się unikać miejsc

zamieszkanym przez nosorożce, które na swoich terytoriach są bezspornymi panami. Ten indyjski słoń jednak - jak opowiadał mi później Postum - nie okazał najmniejszego niepokoju ani obawy na widok nosorożca. Każdy atak odpychał kłami, a kiedy przeciwnik rej terował w popłochu, biegł za nim szybko, choć niezgrabnie. Gdy zrozumiał, że kły nie potrafią przebić grubego pancerza skóry, postanowił uciec się do podstępów. Któryś z posługaczy zostawił przypadkiem na arenie miotłę z cierniowych gałązek. Słoń podniósł ją trąbą i przy następnym ataku cisnął nosorożcowi prosto w pysk. W ten sposób oślepił go na jedno oko, a potem, powtórzywszy ten sam manewr - na drugie. Rozwścieczony bólem nosorożec biegał po całej arenie w pogoni za przeciwnikiem, wreszcie runął wprost na drewnianą barierę, przełamał ją i wyrzucił nosem o marmurowe ogrodzenie znajdujące się za drewnianym. Przy tym utracił sobie róg i padł ogłuszony siłą uderzenia. Wtedy przytruchtał słoń z rozdziawionym jakby od śmiechu pyskiem i rozszerzywszy wpierw wyłom w ogrodzeniu, zaczął deptać po czaszce powalonego wroga, aż rozgniół ją na miazgę. Dokonawszy krwawego dzieła pokiwał głową w takt muzyki i spokojnie odszedł. Podbiegł wtedy indyjski poganiacz z wielką misą smakołyków, które kolos zaczął połykać, podczas gdy amfiteatr trząsał się od oklasków.

Następnie słoń pomógł poganiaczowi wdrapać się po trąbie na swój grzbiet i podreptał w stronę łoża Augusta. Przed łożem zatrąbił donośnie salut cesarski i ukląkł na oba kolana. Lecz całego tego przedstawienia, jak już wspominałem, nie było mi dane oglądać.

Tego wieczoru Liwia pisała do Augusta:

„Kochany Auguście!

Niemęskie zachowanie Klaudiusza na wczorajszych uroczystościach ku czci jego ojca było nad wyraz niestosowne i kompromitujące. Nie mówię o tym ciągłym potrząsaniu głową i drganiu rąk, ale zemdleć na widok dwu walczących ludzi!... Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Teraz możemy

już definitywnie zdecydować, że nie nadaje się on do żadnych wystąpień publicznych. Może co najwyżej piastować jakiś urząd kapłański; zwłaszcza że trzeba w jakiś sposób zapłacić wakanse w kolegiach. Plaucjuszowi udało się go wytresować w zakresie obowiązków kapłańskich. Tak więc musimy Klaudiusza zaksięgować po stronie strat; przydać się chyba może do płodzenia dzieci; słyszę, że w stosunku do Urgulanilli wywiązał się z małżeńskich obowiązków. Dopóki jednak nie zobaczę tego dziecka na własne oczy, nie zaryzykuję złamanego szeląga, czy nie będzie to przypadkiem potworek podobny do ojca.

Antonia znalazła dzisiaj w pokoju Klaudiusza notatnik zawierający zbiór materiałów historycznych do biografii Druzusa i dokładnie opracowany już wstęp, który ci przesyłam.

Jak zauważysz, Klaudiusz ku chwale swego ojca specjalnie zaakcentował jedną słabostkę jego intelektu - Druzus był na jednym punkcie dotknięty zupełną ślepotą: nie dostrzegał upływu czasu; łudził się, że we współczesnym Rzymie, tej największej od panowania Aleksandra monarchii, można przywrócić ustrój z epoki, kiedy byliśmy miasteczkiem toczącym walki z sąsiednimi miasteczkami. Wystarczy wspomnieć, że gdy po śmierci Aleksandra żaden z jego wodzów nie okazał się dość silny, by objąć po nim najwyższą władzę, imperium dosłownie się rozleciało. Ale nie mam zamiaru wypisywać ci banałów o historii Rzymu.

Atenodor i Sulpicjusz, z którymi na ten temat konferowałam, zapewniali mnie, że po raz pierwszy widzą ten wstęp, a zawarte w nim myśli uważają z gruntu za fałszywe. Jak obaj przysięgli, nigdy mu nie poddawali tego rodzaju przewrotnych idei.

Przypuszczają, że zaczerpnął je z jakichś starych ksiąg. Moim zdaniem, to raczej dziedziczne obciążenie.

Przypominasz sobie, że jego dziadek miał na tym samym punkcie ćwieka? Cóż innego mógł więc odziedziczyć Klaudiusz? Oczywiście nie wziął po nim żadnej z zalet ciała czy charakteru. Chwała bogom, mamy jeszcze Tyberiusza i Germanika! O ile mi wiadomo, ich głów nie czepiają się żadne

republikańskie mrzonki.

Naturalnie zakazałam Klaudiuszowi dalszej pracy nad biografią; powiedziałam mu, że kto uwłacza pamięci swego ojca, mdlejąc podczas urządzonych na jego cześć igrzysk, ten nie potrafi należycie wywiązać się z zadania biografą. Może znajdziesz mu jakieś inne zajęcie literackie?

Liwia”

Odkąd dowiedziałem się od Polliona, że mój dziadek i ojciec zostali otruci, myśl o tym nie przestawała zaprzętać mej głowy. Nie mogłem rozstrzygnąć, czy było to tylko bajanie staruszka, któremu wiek przyćmił umysł, czy żarty, czy prawda. Komu poza Augustem tak bardzo zależało na utrzymaniu monarchii, żeby otruił męża pochodzącego ze znakomitego rodu tylko dlatego, że wierzył w wyższość form republikańskich? Nie mogło mi się jednak pomieścić w głowie, żeby August był mordercą. Trucizna to broń ludzi nikczemnych, broń niewolników; August nigdy by się do niej nie zniżył. Poza tym nie był hipokrytą, a przecież ilekroć była mowa o moim ojcu, odzywał się o nim z całym uznaniem i sympatią.

Przejrzałem dwa czy trzy dzieła o dziejach współczesnych; o śmierci ojca nie znalazłem w nich jednak żadnych szczegółów, których bym nie znał z opowiadań Germanika.

Dopiero na parę dni przed igrzyskami wdałem się przypadkiem w rozmowę z naszym odźwiernym, dawniejszym ordynansem mego ojca Druzusa, którego imię w tym czasie było na ustach wszystkich. Ponieważ weterani Druzusa chodzili wówczas w blasku jego sławy, więc nic dziwnego, że nasz odźwierny, zacne człeczysko, podpił sobie trochę nad miarę.

Kazałem mu opowiedzieć wszystko, co tylko wiedział o śmierci mego ojca.

- Czy nie krążyły przypadkiem pogłoski, że upadek z konia nie był istotną przyczyną jego śmierci? - spytałem.

- Nikomu innemu bym tego nie powtórzył - rzekł po chwili. - Ale tobie

można zawierzyć. Jesteś jego synem, a nie było człowieka, który by jemu nie zaufał!

Ano, różnie sobie ludzie o tej śmierci szeptali na ucho, a nie były to zwykle obozowe plotki, o nie! Głowę dałbym w zastaw, że został otruty. Pewna osoba, której imienia nie wymieniam, bo go się i bez tego łatwo domyślić, z zawiścią patrzyła na zwycięstwa twojego ojca i odwołała go do Rzymu. To nie żadne gadanie, nie żadne plotki, to wszystko historia. Rozkaz przyszedł wtedy, kiedy generał złamał był sobie nogę. Nic to wielkiego i wszystko poszłoby jak najlepiej, ale razem z posłańcem przybył z Rzymu i doktor z trucizną w tobołku.

Kto wysłał tego draba? Ano, ta sama osoba, co list. Dwa i dwa jest cztery. To jasne, nie?

My, ordynansi, chcieliśmy doktora na miejscu utrupić, ale udało mu się pod specjalną eskortą wrócić do Rzymu.

Kiedy przeczytałem list babki Liwii zakazujący mi kontynuowania biografii ojca, chaos, jaki miałem w głowie, wzmógł się jeszcze. Chyba Pollion nie miał na myśli mojej babki jako morderczyni męża, a potem syna? To było nie do pomyślenia. Jakież mieć mogła po temu przyczyny? Jednak po dokładniejszym zastanowieniu doszedłem do przekonania, że prędzej można było posądzić o zbrodnię Liwie niż Augusta.

Tego lata Tyberiusz potrzebował ludzi na wojnę we wschodnich Niemczech i ogłoszono brankę w Dalmacji, gdzie panował ostatnio zupełny spokój i mieszkańcy podporządkowywali się chętnie rozporządzeniom Rzymu. Wkrótce po brance zdarzyło się, że przybył w tamte strony, jak co roku, poborca podatkowy. Wprawdzie sumy, które ściągał, nie były wyższe od określonych w dekrete Augusty, ale przekraczały płatnicze możliwości kraju. Podniosły się głośne protesty. Poborca skorzystał wtedy z przysługującego mu prawa i we wsiach, które nie mogły zapłacić podatku, zarekwirował co ładniejsze dzieci, aby je sprzedać jako niewolników. Ojcowie, przeważnie dopiero co wzięci do wojska, podnieśli wielki krzyk. Cały kontyngent rekrutów zbuntował się i

pozabijał rzymskich oficerów. Jedno z plemion bośniackich przyszło buntownikom na pomoc i wkrótce całe wschodnie pogranicze od Macedonii do Alp stanęło w płomieniu wojny. Na szczęście Tyberiuszowi udało się zawrzeć pokój z Niemcami - i to na ich własną propozycję - mógł więc wyruszyć przeciw buntownikom. Dalmatyńczycy unikali decydującej bitwy. Podzieleni na niewielkie oddziały, woleli prowadzić walkę podjazdową. Trzeba przyznać, że w niej celowali. Byli lekko uzbrojeni, znali doskonale okolicę, więc z nadejściem zimy odważyli się nawet wtargnąć do Macedonii. August siedząc w stolicy nie zdawał sobie sprawy z trudności, z jakimi musiał walczyć Tyberiusz; podejrzewał, że dla jakichś osobistych celów, których przejrzeć nie mógł, umyślnie przewleka wojnę. Postanowił więc pchnąć na Bałkany nową armię, a dowództwo jej powierzyć Germanikowi; liczył, że w ten sposób da Tyberiuszowi większy bodziec do działania.

Germanik, który miał wtedy dwadzieścia trzy lata, objął dopiero co - pięć lat przed przepisowym terminem - swój pierwszy urząd. Nominacja na dowódcę armii była więc prawdziwą niespodzianką. Przypuszczano ogólnie, że otrzyma ją Postum. Postum nie piastował żadnego urzędu, miał tylko rangę pułkownika i zajęty był ćwiczeniem rekrutów na Polu Marsowym. Był wprawdzie o trzy lata młodszy od Germanika, ale przecież jego brat Gajusz w dziewiętnastym roku życia otrzymał namiestnictwo w Azji, a w rok potem został konsulem. Postum w opinii ogółu uchodził za nie mniej zdolnego niż Gajusz, a w każdym razie był jedynym żyjącym wnukiem Augusta.

Kiedy usłyszałem o nominacji, zanim jeszcze została ogłoszona publicznie, ucieszyłem się odznaczeniem Germanika, ale równocześnie zrobiło mi się przykro na myśl o zawodzie, jaki spotkał Postuma. Poszedłem go odwiedzić i u wejścia spotkałem się z bratem.

Postum przywitał nas obu serdecznie i powinszował Germanikowi nominacji.

- Właśnie w tej sprawie przychodzę do ciebie - rzekł Germanik. - Jestem

dumny i szczęśliwy, że wybór padł na moją osobę, lecz odznaczenie to traci dla mnie wartość, z chwilą gdy jest połączone z twoją krzywdą. Jesteś nie gorszym żołnierzem ode mnie, a jako spadkobierca Augusta powinieneś otrzymać dowództwo tej armii. Jeżeli pozwolisz, udam się zaraz do cesarza i zrezygnuję na twoją korzyść. Zwrócę uwagę, że wyróżnienie mnie, a pominięcie ciebie wywoła niewątpliwie fałszywe komentarze. Jeszcze nie za późno na zmianę decyzji.

- Jesteś doprawdy szlachetny i wspaniałomyślny, mój drogi - odpowiedział Postum.

- I dlatego będę mówił otwarcie. Masz rację, że ludzie zrozumieją twoją nominację jako dowód niełaski w stosunku do mnie. Tym bardziej, że nic nie stoi na przeszkodzie wysłaniu mnie, ty natomiast będziesz musiał przerwać urzędowanie w Rzymie. Lecz wierz mi, że rozczarowanie zostało sownie wynagrodzone tym jeszcze jednym dowodem przyjaźni, jaki mi dałeś przed chwilą. Życzę ci z całego serca szybkiego powrotu i wszelkich możliwych sukcesów.

- Jeśli mi wolno zabrać w tej sprawie głos - wtrąciłem - to, moim zdaniem, August postąpił z większym namysłem, niż wam się obu wydaje. Z pewnych słów matki, które dziś przypadkiem mnie doszły, wywnioskowałem, że cesarz podejrzewa Tyberiusza o rozmyślne przewlekanie wojny. Jeżeliby teraz, po tym, co zaszło swego czasu między moim stryjem a bratem Postuma, Postum został wysłany na czele nowej armii, Tyberiusz mógłby powziąć jakieś podejrzenia i czuć się urażony. Gotów przypuścić, że mu nasyłają szpiega i rywala w jednej osobie. Jeżeli natomiast przybędzie Germanik, który jest jego adoptowanym synem, będzie to wyglądało po prostu na przysłanie posiłków. Postum więc musi poczekać na inną sposobność, która niewątpliwie wkrótce się nadarzy.

Ta nowa interpretacja, czyniąca zadość miłości własnej obu, bardzo im się spodobała i rozstaliśmy się po przyjacielsku.

Tej samej nocy tuż przed świtem, kiedy siedziałem w swym pokoju nad historią naszej rodziny, usłyszałem jakieś ciche wołanie i zaraz potem szelest na balkonie.

Podszedłem do drzwi balkonowych i spostrzegłem ponad poręczą najpierw czyjaś głowę, a potem ramię.

Jakiś człowiek w stroju wojskowym przełożył nogi i wskoczył na balkon. W przerażeniu stałem jak wryty. Pierwsza myśl, jaka przemknęła mi przez głowę, to: "Liwia nasłała na mnie mordercę." Miałem już krzyczeć o pomoc, kiedy przybysz odezwał się zniżając głos:

- Tss, to ja, Postum.

- Aleś mnie przestraszył - odetchnąłem z ulgą. - Co ci przyszło do głowy o tej porze wdrapywać się do mnie przez balkon jak włamywacz? Co się stało? Masz krew na twarzy i ubranie w strzępach!

- Przyszedłem powiedzieć ci do widzenia, Klaudiuszu.

- Nie rozumiem. Czy August zmienił zamiar? Nominacja przecież już została opublikowana.

- Daj mi się napić. Mam straszne pragnienie. Nie, nie idę na front. Wysyłają mnie łowić ryby.

- Dajże spokój zagadkom. Tu masz wino. Pij szybko i powiedz, co się stało. Dokąd wyruszasz na ryby?

- Ach, na niewielką wysepkę. Mam wrażenie, że nie zadali sobie jeszcze trudu z jej wyszukaniem.

- Co chcesz przez to?... - Serce we mnie zamarło i zakręciło mi się w głowie.

- Tak. Jestem skazany na wygnanie jak moja biedna matka.

- Ale dlaczego? Jaką zbrodnię popełniłeś?

- Taką, o której nie można oficjalnie zawiadomić senatu. Przypuszczam, że określą to zdaniem: "Do gruntu zepsuty i nie dający żadnej rękojmi poprawy." Czy pamiętasz Nocną dysputę?

- Czyżby moja babka?...

- Słuchaj uważnie, Klaudiuszu. Czas ucieka. Zostałem uwięziony, lecz udało mi się powalić dwóch ludzi z eskorty i zwać. Postawiono na nogi całą gwardię pałacową.

Obsadzono wszystkie wyjścia. Wiedzą, że jestem w pałacu, i przetrząsną każdy kąt. Czuję, że powinienem zobaczyć się z tobą; chciałem, żebyś wiedział prawdę i nie wierzył zarzutom, jakie przeciw mnie wysuną. I chciałem też, żebyś powiedział wszystko Germanikowi.

Pozdrów go serdecznie ode mnie i powtórz słowo w słowo, co teraz usłyszysz. Nie dbam o to, co inni będą o mnie myśleć, chcę tylko, żebyście ty i Germanik wiedzieli prawdę i nie myśleli o mnie źle.

- Mów, przysięgam ci, że nie uronię ani słowa z tego, co usłyszę.

- A więc słuchaj! Wiesz, że ostatnio August zaczął być dla mnie niełaskaw. Nie wiedziałem początkowo, co się stało, lecz wkrótce domyśliłem się, że to Liwia podburza cesarza przeciwko mnie. W zdumiewający sposób ulega on jej wpływom. Pomyśleć tylko, że żyje z tą kobietą prawie pięćdziesiąt lat i każde jej słowo bierze za dobrą monetę. Ale nie tylko Liwia robiła te intrygi, i Liwilla maczała w tym palce.

- Liwilla? Och, jakie to dla mnie bolesne!

- Tak. I Liwilla. Wiesz, jak gorąco ją kochałem i ile z jej powodu wycierpiałem.

Kiedyś przed rokiem napomknąłeś coś, że nie jest warta mojej zgryzoty.

Pamiętasz, jak się oburzyłem; przez wiele dni nie chciałem z tobą rozmawiać. Dzisiaj żałuję tego, wybacz mi, Klaudiuszu. Ale wiesz, co to znaczy nie odwzajemniona miłość. Nie wspomniałem ci nic, że przed wyjściem za Kastora Liwilla przyznała mi się, iż małżeństwo to jest na niej wymuszone przez Liwie i że w rzeczywistości kocha tylko mnie. Uwierzyłem. Dlaczego nie miałem wierzyć? Żywiłem skrycie nadzieję, że pewnego dnia Kastorowi przydarzy się jakieś nieszczęście i że będziemy mogli się pobrać. Myśl o tym

nie opuszczała mnie dniem i nocą.

Dziś po południu, w niedługi czas po naszym spotkaniu, siedziałem z Liwillą i Kastorem w altanie nad stawem. Kastor zaczął mi dogryzać. Jak orientuję się w tej chwili, wszystko to było starannie wyreżyserowane.”Więc woleli Germanika od ciebie, co?” - spytał ironicznie.

Wy tłumaczyłem, że zarządzenie to uważam za krok bardzo mądry i nawet złożyłem już życzenia Germanikowi.”A więc ma już twoją miłościwą aprobatę - kpił w dalszym ciągu. - Ale nawiasem mówiąc, czy wciąż jeszcze liczysz na to, że odziedziczysz po dziadku cesarską władzę?” Ze względu na Liwillę pohamowałem się i odrzekłem spokojnie, iż nie uważam za właściwe rozmawiać na ten temat, dopóki August żyje i cieszy się zdrowiem.

„Dlaczego jednak tak cię to interesuje? - spytałem z ironią. - Czy może zamierzasz ze mną rywalizować?” Zaśmiał się urągliwie.”Gdybym rzeczywiście myślał o czymś podobnym, miałbym niewątpliwie większe od ciebie szansę osiągnięcia celu. Zazwyczaj osiągam wszystko, czego pragnę. A to, widzisz, dzięki temu, że posiadam trochę sprytu.

Rękę Liwilli też zdobyłem dzięki sprytowi. Jeszcze dzisiaj śmiech mnie ogarnia na wspomnienie, jak łatwo przekonałem Augusta, że byłbyś dla niej zupełnie niestosownym mężem. Może dzięki sprytowi osiągnę i inne rzeczy, jeśli mi będzie na nich zależało. Któż wie?”

Krew mi uderzyła do głowy.”Czy to znaczy, żeś mnie oczernił przed Augustem?” - spytałem.

„Dlaczegoż bym nie miał tego uczynić? Zależało mi na Liwilli i dostałem ją.” Na to zwróciłem się do niej:

„Czyś wiedziała coś o tym?” Z udanym oburzeniem zakłęła się, że niczego się nawet nie domyślała, lecz, jej zdaniem, po Kastorze można się wszystkiego spodziewać.

Wycisnęła nawet przy tych słowach kilka łez. Kastor, dodała, jest zepsuty do szpiku kości i nikt nawet nie przypuszcza, ile przez niego wycierpiała.

Wołałaby śmierć niż takie życie.

- Tak - wtrąciłem. - To jest wypróbowany sposób. Łzy ma zawsze na zawołanie.

Każdego potrafi nimi zwieść. Gdybym ci był opowiedział wszystko, co o niej wiem, byłbyś mnie może na pewien czas znienawidził, ale uniknąłbyś wszystkich tych przykrości. No, ale co się działo dalej?

- Wieczorem zawiadomiła mnie przez jedną z pokojówek, że Kastor spędzi prawdopodobnie całą noc jak zwykle na hulance. Jeżeli więc krótko po północy zobaczę w jej oknie światło, będzie to znaczyło, że mogę przyjść. Okno poniżej oświetlonego będzie otwarte, tamtędy mogę się dostać nie zwracając niczyjej uwagi. Ma mi coś bardzo ważnego do powiedzenia. Serce waliło mi jak młotem. To "coś ważnego" mogło oznaczać jedną tylko rzecz. Kilka godzin przeczekałem w parku, wreszcie w oknie Liwilli zabłyśło na moment światło. Znalazłem otwarte okno i wdrapałem się przez nie do środka. Tu czekała już na mnie pokojówka, za którą poszedłem na górę. Wytłumaczyła mi, że chcąc się dostać do jej pani, muszę się wspinać z balkonu na balkon aż do okna pokoju Liwilli. W ten sposób uniknę spotkania z wartą stojącą u drzwi. Liwilla czekała na mnie w szlafrocuku, z rozpuszczonymi włosami, diabelnie piękna. Zaczęła się skarżyć na brutalność Kastora. Kiedy usłyszała dziś, w jak podstępny sposób został jej mężem, oświadczyła, że nie poczuwa się do żadnych małżeńskich obowiązków; wtedy ten brutal postąpił z nią jak dzika bestia...

Zarzuciła mi ramiona na szyję. Chwyciłem ją na ręce, zaniósłem na łóżko. Namiętność zaćmiła mi umysł...

Nagle zaczęła krzyczeć i okładać mnie pięściami. Myślałem, że oszalała, i zakryłem jej ręką usta. Wyrwała się przewracając stolik z lampką i kryształowym wazonem."Na pomoc! Na pomoc!" - krzyczała z całych sił. Wtem wyłamane drzwi padły z hukiem i do pokoju wtargnęła straż pałacowa z pochodniami w ręku. Na jej czele, zgadnij kto?

- Kastor?

- Nie. Liwia. Zaprowadziła nas oboje do Augusta. U cesarza był już Kastor, choć Liwilla zapewniała mnie, że tej nocy będzie ucztował na drugim końcu miasta.

August kazał odejść straży, a Liwia, która dotychczas nie odezwała się prawie słowem, napadła na mnie gwałtownie. Opowiedziała, że za radą Augusta miała mi prywatnie oznajmić o zarzutach wysuniętych przeciw mnie przez Emilię i spytać, co mam do powiedzenia na swoją obronę.

- Emilia? Co za Emilia?

- Moja siostrzenica.

- A cóż ta może mieć przeciw tobie? - zapytałem.

- Nic. Po prostu tylko należała do spisku. Otóż Liwia nie zastawszy mnie w domu, jak opowiadała, zaczęła się wypytywać, gdzie mogę być, i któryś z wartowników powiedział, że widziano mnie w południowej części parku, siedzącego pod gruszą. Posłała więc żołnierza, żeby mnie sprowadził. Żołnierz wróciwszy oświadczył, że w oznaczonym miejscu nie widział nikogo, ale uważa za swój obowiązek donieść, że po stronie, gdzie jest zegar słoneczny, widział człowieka, który wdrapywał się z balkonu na balkon. Liwia wiedziała, kto mieszka w tej części pałacu, i była bardzo zaniepokojona. Na szczęście przybyła w porę.

Usłyszała wołanie Liwilli o pomoc i wezwała straż, która wywaliwszy drzwi, oderwała napastnika od „przerażonej na wpół nagiej kobiety”. Okazało się, że tym napastnikiem byłem ja; wdrapałem się przez balkon do pokoju Liwilli i niewiele już brakowało, żebym był ją zgwałcił.

Przyprowadziła mnie tutaj bezzwłocznie, a również i Liwille jako świadka.

Podczas tego opowiadania ta bezwstydnica Liwilla szlochała zakrywszy twarz dłońmi. Szlafrok jej był w strzępach - musiała go widać sama podrzeć. August nazwał mnie bestią, satyrem, a wreszcie spytał, czy przypadkiem nie oszalałem. Nie mogłem się wyprzeć ani swej bytności w sypialni, ani

erotycznego charakteru tej wizyty. Odpowiedziałem, że przybyłem wezwany, i chciałem przedstawić wszystko od początku, lecz Liwilla nie dopuściła mnie do głosu.

„Kłamie, kłamie, kłamie! - zaczęła krzyczeć. - Wszystko nieprawda! Spałam, kiedy wlaź przez okno i usiłował mnie zgwałcić.” „Przypuszczam - wtrąciła Liwia - że twoja siostrzenica Emilia też cię zaprosiła w tym celu, żebyś ją zgwałcił. Cieszysz się, jak widzę, wielkim powodzeniem wśród młodych kobiet. Co?” Było to bardzo chytre posunięcie. Musiałem na razie dać spokój Liwilli i wytłumaczyć się z nowego oskarżenia. Odpowiedziałem, że poprzedniego wieczoru byłem na kolacji u swej siostry Julilli, gdzie po raz pierwszy od jakiegoś pół roku widziałem Emilię. Nic mam pojęcia, przy jakiej to sposobności miałem ją zaatakować.

Okazało się, że August był doskonale o tej sprawie poinformowany. Zamach mój na cnotę siostrzenicy miał mieć miejsce po kolacji, kiedy rodzice na krótki czas zostawili nas samych, zaalarmowani wiadomością o włamaniu się do mieszkania złodziei. Tylko szybki powrót Julilli i Emiliusza udaremnił moje nieczne zamiary. Historia ta wydała mi się tak absurdalna, że nie powstrzymałem się od śmiechu. August wpadł w jeszcze większą wściekłość. Chwytał stołek z kości słoniowej i omal nim we mnie nie cisnął.

- Nie rozumiem - wtrąciłem. - Czy rzeczywiście włamali się złodzieje?

- Był to fałszywy alarm. Emilia i ja zostaliśmy wskutek tego na kilka minut sami, ale rozmowie naszej nic nie można było zarzucić; zresztą, przysłuchiwała się jej wychowawczyni. Rozmawialiśmy o drzewach owocowych i o zarazach niszczących sady; za chwilę wróciła Julilla z Emiliuszem. Alarm okazał się fałszywy. Ręczę, że żadne z nich nie działało w porozumieniu z Liwią; nienawidzą jej oboje. Musiała więc to urządzić sama Emilia. Zacząłem sobie na gwałt przypominać, o co mogła mieć do mnie pretensje.

Do niczego się nie poczuwałem. Nagle przejaśniło mi się w głowie. Julilla

opowiadała mi niedawno, że skrytym marzeniem Emilii jest wyjść za mąż za Appiusza Sylana.

Znasz tego elegancika?

- Tak. Ale jeszcze nie rozumiem...

- Bardzo proste. Toteż zwróciwszy się do Liwii spytałem: "Nagrodą Emilii za to kłamstwo ma być małżeństwo z Sylanem, czy nie tak? A co dostanie Liwilla? Czyś może przyrzekła otruć jej dotychczasowego męża i znaleźć drugiego, piękniejszego?"

Zaledwie wspomniałem o truciznie, spostrzegłem, że już po mnie. Postanowiłem więc wykorzystać sposobność i powiedzieć wszystko, co wiem. Spytałem Liwie, w jaki sposób otruła mego ojca i moich braci i czy woli trucizny powoli działające, czy takie, które zabijają błyskawicznie.

Przecież ona ich otruła, Klaudiuszu, nieprawdaż? Jestem głęboko o tym przekonany.

- Śmiałaś ją w ten sposób zapytać? Przypuszczenie twoje jest zresztą bardzo prawdopodobne. Myślę, że otruła też mojego ojca i dziadka. I wątpię, żeby to były jedyne jej ofiary, ale nie mam dowodów.

- I ja ich nie mam. Ale to była prawdziwa satysfakcja rzucić jej w twarz takie oskarżenie. Ryczałem przy tym z całych sił, tak że chyba mnie z pół pałacu słyszało. Liwia wybiegła z pokoju i zawołała straż. Liwilla stała uśmiechnięta. Skoczyłem jej do gardła, ale Kastor zasłonił żonę. Złamałem mu rękę i wybiłem dwa przednie zęby. Nie chciałem jednak szamotać się z żołnierzami. To byłoby niegodne. Zresztą byli uzbrojeni. Dwóch z nich chwyciło mnie za ramiona, August zaś ciskał na moją głowę istne gromy. Krzyczał, że wygna mnie na całe życie na najbardziej samotną wyspę i że tylko jego wyrodna córka mogła go obdarzyć tak wyrodnym wnukiem. Powiedziałem mu na to, że jedynie z imienia jest cesarzem Rzymu, bo pierwsza lepsza niewolnica pijanego rajfura cieszy się większą swobodą niż on, ale może kiedyś otworzą mu się oczy na potworne zbrodnie i oszustwa jego ohydnej żony."W każdym razie - zakończyłem - moja

miłość i moja lojalność wobec ciebie, dziadku, są niezmiennie.”

Na piętrze pod nami słyhać było krzyki i nawoływania.

- Nie chcę cię kompromitować, Klaudiuszu odezwał się Postum. - Nie powinni mnie znaleźć w twoim pokoju. Gdybym miał teraz miecz, nie wahałbym się go użyć.

Lepiej zginąć w walce niż gnić na jakiejś wyspie.

- Spokojnie, Postumie, spokojnie. Cierpliwości, a przyjdzie twoja godzina.

Przyrzekam ci, że przyjdzie. Kiedy Germanik dowie się o wszystkim, nie spocznie, dopóki cię nie oswobodzi. I na mnie możesz też liczyć. Jeśli zaś zginiesz, ucieszysz tylko Liwie.

- Ani ty, ani Germanik nie zdołacie obalić dowodów świadczących przeciw mnie.

Narobicie tylko samym sobie kłopotu.

- Przyjdzie godzina, powtarzam. Liwii zbyt już długo wszystko idzie jak z płatka.

Stanie się nieostrożna. Pośliznie się niedługo. W przeciwnym razie nie byłaby człowiekiem.

- Doprawdy, nie wiem, czy ona jest człowiekiem.

- A czy nie myślisz, że August, raz przejrzawszy jej grę, postąpi z nią równie bezlitośnie jak z twoją matką?

- Wpierw zostanie otruty.

- Germanik i ja postaramy się temu zapobiec. Ostrzeżemy go. Nie rozpaczaj, Postumie. Wszystko się dobrze skończy. Będę pisał do ciebie, jak często będę mógł, i będę przysyłał ci książki. Nie boję się Liwii. Jeżeli nie dostaniesz ode mnie listów, to znaczy, że zatrzymuje się korespondencję. Patrz więc pilnie na każdą siódmą stronę książki, którą otrzymasz ode mnie. Znajdziesz tam wiadomość napisaną mlekiem. Posługują się tym fortelem Egipcjanie. Pismo pozostaje niewidzialne, dopóki go nie ogrzejesz nad ogniem.

Słyszysz? Trzaśnięto drzwiami. Są już w końcu drugiego korytarza. Musisz uciekać.

Łzy miał w oczach. Uściskał mnie serdecznie bez słowa i wybiegł na balkon.

Przełożył nogę przez balustradę, skinął mi jeszcze raz ręką na pożegnanie i zsunął się po winnej latorośli, tą samą drogą, którą przybył. Słyszałem jego szybkie kroki w parku, a w chwilę potem krzyki i nawoływania straży.

7 r. n.e.

Z następnych tygodni nie zachowałem żadnego wspomnienia. Byłem znów chory. Tak ciężko chory, że mówiono o mojej śmierci. Kiedy zacząłem przychodzić do siebie, Germanik wojował już na froncie, a Postum został wydziedziczony i skazany na dożywotnie wygnanie.

Na miejsce pobytu wybrano dlań Planazję. Wyspa ta leżała o dwanaście mil od Elby na drodze do Korsyki i za ludzkiej pamięci nie była nigdy zamieszkana. Znajdowały się tam przedhistoryczne chaty z kamienia, które przerobiono na mieszkania dla Postuma i straży.

Planazja przypominała kształtem nieregularny trójkąt, którego najdłuższy bok wynosił pięć mil. Była skalista, bezdrzewna i tylko w lecie zjawiali się na niej rybacy z Elby, którzy zakładali tam przynęty na homary. August jednak zabronił im zbliżać się do wybrzeży w obawie, że Postum może którego przekupić i umknąć.

Jedynym spadkobiercą Augusta był teraz Tyberiusz, po nim reprezentował ród Germanik i Kastor. Był to ród Liwii.

ROZDZIAŁ XII

Gdybym miał opowiedzieć o zdarzeniach następnych dwudziestu pięciu lat ograniczając się tylko do tego, co dotyczyło moich własnych czynności, nie zajęłoby to wiele miejsca i znudziło czytelnika. Dalszy ciąg mojej autobiografii, w której sam zaczynam odgrywać ważniejszą rolę, dopiero wtedy będzie całkowicie zrozumiała, jeśli teraz kontynuować będę historię Liwii, Tyberiusza, Germanika, Postuma, Kastora, Liwilli i pozostałych osób. Obiecuję wam, że nie będzie to bynajmniej nudne.

Po wyruszeniu Germanika na front i po wygnaniu Postuma z przyjaciół moich został tylko Atenodor. Lecz i on wkrótce mnie opuścił i powrócił do rodzinnego Tarsu.

Nie robiłem mu wymówek, gdyż wyjechał na skutek natarczywych próśb swych siostrzeńców, którzy błagali go, aby pomógł im wyswobodzić miasto od tyrańskich rządów tamtejszego namiestnika. Człowiek ten, pisali, tak chytrze wkradł się w łaski boga Augusta, że dopiero świadectwo Atenodora, cieszącego się pełnym zaufaniem tego boga, może zadecydować o usunięciu okrutnika. Atenodorowi udało się uwolnić miasto od namiestnika-krwiopijcy, lecz wbrew pierwotnym zamiarom nie mógł powrócić do Rzymu. Obydwaj siostrzeńcy pragnęli zreformować administrację miasta i oprzeć ją na nowych podstawach. Pomoc Atenodora była niezbędna. August, któremu przesłał dokładne sprawozdanie ze swej działalności, podziękował mu listownie i w dowód łaski i zaufania, jakie doń żywił, zwolnił Tars na pięć lat od podatków. Zaczny staruszek umarł w dwa lata później, w osiemdziesiątym trzecim roku życia. Aż do jego śmierci regularnie korespondowaliśmy ze sobą. Tars ustanowił ku jego czci doroczną uroczystość, podczas której znamienitsi obywatele odczytywali kolejno całą Krótką historię Tarsu Atenodora, zaczynając o świcie, a kończąc po zachodzie słońca.

Germanik pisywał do mnie od czasu do czasu; listy jego były równie krótkie, jak serdeczne. Jako urodzony żołnierz nie miał czasu na korespondowanie z rodziną.

Przerwy między jedną bitwą a drugą poświęcał poznawaniu swych oficerów i szeregowców, badaniu warunków, w jakich żyją, podnoszeniu ich wartości bojowej i zbieraniu informacji o rozmieszczeniu wojsk i planach nieprzyjaciela. Był on jednym z najsumienniejszych dowódców, jacy kiedykolwiek służyli w armii rzymskiej, a kochano go jeszcze więcej niż naszego ojca. Czuję się bardzo dumny, gdy w jednym z listów poprosił mnie o możliwie szybkie przygotowanie mu wyciągu ze wszystkich, jakie tylko znajdę w bibliotekach, wiarogodnych relacji o obyczajach ludów bałkańskich, z którymi walczy, o ich liczebności, geograficznym położeniu ich miast, taktyce wojskowej i tradycyjnych fortelach, stosowanych zwłaszcza w wojnie podjazdowej. Na miejscu nie może dostać wiarogodnych informacji;

Tyberiusz jest w najwyższym stopniu nieuczynny.

Przy pomocy Sulpicjusza i kilku zawodowych szperaczy i kopistów udało mi się w ciągu miesiąca, pracując dniem i nocą, zebrać materiał, o jaki chodziło, i wysłać mu kopię.

Jeszcze większą dumą wezbrało me serce, gdy w niedługi czas potem napisał do mnie z prośbą o przygotowanie dwudziestu egzemplarzy tej książki na użytek oficerów sztabowych, zdołał się bowiem przekonać o jej wielkiej wartości. Każdy rozdział - donosił - jest napisany jasno i metodycznie; szczególnie dużo zawdzięcza ustępom omawiającym tajemne pozaplemienne związki wojskowe, bo raczej przeciw tym związkom prowadzi się wojnę niż przeciw samym plemionom; duże usługi oddał mu też zbiór wiadomości dotyczących świętych drzew i krzaków - odmiennych u różnych plemion - pod których opiekuńczym cieniem mają zwyczaj zakopywać zapasy zboża, pieniędzy i broni, kiedy przychodzi im nagle opuścić wioskę. Przynależał w końcu, że opowie Augustowi i Tyberiuszowi o mojej cennej pomocy.

Szerszej publiczności książka ta pozostała nie znana. Może obawiano się, że gdyby nieprzyjaciel dowiedział się o jej istnieniu, zmieniłby taktykę wojowania, gdy tymczasem przypuszczał, że wiadomości dostarczali miejscowi zdrajcy. August wynagrodził mnie nieoficjalnie nominacją na zwolnione stanowisko w kolegium augurskim, lecz widziałem wyraźnie, że całą zasługę przypisuje Sulpicjuszowi, który nie napisał ani słowa, znalazł mi tylko kilka książek. Jednym z moich głównych źródeł było dzieło Polliona, którego opis kampanii dalmatyńskiej świadczył o świetnej znajomości strategii i wybitnej inteligencji. A chociaż podane w nim szczegóły dotyczyły stosunków sprzed blisko pięćdziesięciu lat, Germanik miał więcej korzyści z mych wypisów niż z niejednej współczesnej monografii wojennej. Żalowałem, że Pollion nie może już słyszeć jego pochwał. Kiedy opowiedziałem o nich Liwiuszowi, odparł niechętnie, że nigdy nie odmawiał Pollionowi talentu jako autorowi fachowych dzieł strategicznych, odmawiał mu tylko tytułu historyka w wyższym znaczeniu.

Muszę dodać, że gdybym wykazał więcej taktu, August byłby niewątpliwie poświęcił mi zaszczytną wzmiankę w mowie do senatu wygłoszonej po zakończeniu wojny. Ale miejsca, w których nawiązywałem do jego kampanii bałkańskiej, były mniej liczne, niżby mogły być, gdyby jego opis był równie dokładny jak Polliona albo gdyby urzędowi historycy mniej byli zajęci schlebaniem cesarzowi, a bardziej rzeczowi i bezstronni w ocenie jego sukcesów i porażek. Niewiele też materiału mogłem wyciągnąć z tych panegiryków i Augustowi czytającemu moją książkę musiało się wydawać, że został usunięty w cień. Był święcie przekonany, że wszystkie wojenne sukcesy Rzym ma do zawdzięczenia jego osobie.

Dlatego też dwa ostatnie okresy kampanii spędził na północno-wschodnim pograniczu Italii, aby być możliwie blisko terenu wojny. Stamtąd jako naczelny wódz armii rzymskiej wysyłał bez przerwy Tyberiuszowi mało przydatne wskazówki.

Pracowałem wówczas nad historią udziału mego dziadka w wojnie

domowej.

Napisałem jednak zaledwie dwie księgi, gdy Liwia znów mnie powstrzymała.

Oświadczyła, że równie mało nadaję się do opracowania tego tematu jak do monografii o ojcu, a poza tym postąpiłem niegodziwie, zabierając się do tej pracy bez jej wiedzy. Jeśli chcę w pożyteczny sposób zatrudnić swe pióro, to powinienem wybrać temat mniej drażliwy. Co do niej, zaproponowałaby na przykład: "Reformy religijne Augusta od czasu pacyfikacji".

Nie był to przedmiot, do którego bym się palił, ale ponieważ nikt go dotąd nie opracował szczegółowo, zabrałem się chętnie do roboty. Reformy, jakie August przeprowadził na polu religijnym, były bez wyjątku jedna lepsza od drugiej. Wskrzesał kilka dawnych kolegów kapłańskich, zbudował i wyposażył osiemdziesiąt dwie nowe świątynie w Rzymie i w okolicy, odrestaurował wiele starych, chylących się do upadku; dla wygody przybyszów z prowincji wprowadził wiele cudzoziemskich kultów; przywrócił dawne ciekawe obrzędy i uroczystości, o których stopniowo zapomniano w burzliwym czasie wojen domowych poprzedniego półwiecza. Zabrałem się sumiennie do roboty i przegląd reform uzupełniłem w sześć lat później, doprowadzając go prawie do samej śmierci Augusta. Dzieło obejmowało czterdzieści jeden ksiąg, każda przeciętnie po pięć tysięcy słów; wiele jednak miejsca zajmowały in extenso cytowane dekryty, listy personalne kapłanów, zestawienia darów ofiarowanych świątyniom, i tym podobne. Największą wartość przedstawiała księga pierwsza, omawiająca pierwotny rytuał rzymski. Najwięcej też sprawiła mi trudności, gdyż rytualne reformy Augusta opierały się na wynikach badań specjalnych komisji, które nie wywiązywały się dość sumiennie ze swego zadania. Najwidoczniej wśród członków komisji nie było zawodowych paleografów; niejednokrotnie bezsensownie odczytane starożytne formuły wprowadzono do nowej liturgii. Bez gruntownej znajomości języka etruskiego i sabińskiego nie można zrozumieć najstarszych hymnów religijnych. Toteż niemało czasu

musiałem poświęcić studiom obu tych języków. W tym czasie żyło jeszcze na wsi kilku ludzi mówiących w domu tylko po sabińsku. Dwóch z nich ściągnąłem do Rzymu, żeby Pallasowi, który teraz był moim sekretarzem, dopomogli w ułożeniu krótkiego słownika sabińskiego. Zostali za to dobrze wynagrodzeni. Kallona, drugiego z moich sekretarzy, wysłałem do Kapui, do Arunsa, owego kapłana, którego informacje o Larsie Porsennie tak ubawiły Polliona, a zirytowały Liwiusza.

Razem z Arunsem miał on ułożyć słownik języka etruskiego. Dzięki tym dwóm słownikom, które później rozszerzyłem i wydałem, udało mi się z niemałym zadowoleniem wyjaśnić kilka niezrozumiałych problemów dawnego kultu religijnego w Rzymie. Lecz, nauczony już doświadczeniem, unikałem wszelkich aluzji do wykształcenia i bystrości Augusta.

O wojnie bałkańskiej nie będę się dłużej rozpisywał. Dodam tylko, że pomimo mądrej taktyki Tyberiusza, pomimo dzielnej pomocy, jaką znalazł w moim szwagrze Sylwanie, i wspaniałych wyczynów Germanika wojna ciągnęła się trzy lata. Wreszcie cały kraj zamienił się w pustynię; kobiety i mężczyźni walczyli nadzwyczaj zaciekle i dopiero wtedy uznali się za pobitych, kiedy więcej niż połowa ludności zginęła od miecza, ognia, głodu i chorób.

Przywódcy powstańców stanęli przed Tyberiuszem, aby układać się o pokój, a stryj mój zaczął ich dokładnie wypytywać, dlaczego tak pochopnie chwycili za broń i stawiali potem tak rozpaczliwy opór.

- Wina jest po waszej stronie. Jako stróży waszych trzód przysyłacie nie pasterzy ani psy owczarskie, ale wilki - odparł wódz powstańców zwany Bato.

Nie było to całkiem zgodne z prawdą. August sam dokonywał wyboru namiestników prowincji pogranicznych, płacił im z własnej szkatuły i baczył pilnie, żeby ani grosz z danin, które pobierali w imieniu cesarza, nie pozostał w ich własnej kieszeni. Podatki były płacone bezpośrednio namiestnikom, a nie, jak dawniej, wydzierzawiane niesumiennym towarzystwom opłat. Ludzie wysyłani przez Augusta nie byli nigdy wilkami, jak to się często zdarzało za

czasów republiki, kiedy jedyną troską namiestników była suma, jaką się dało wycisnąć z prowincji. Wśród obecnych znajdowało się wielu dobrych owczarków, a nawet kilku uczciwych pasterzy. Lecz czasem się zdarzało, że sam August, nie zorientowany należycie w lokalnych stosunkach, naznaczał zbyt wysoki podatek, nie licząc się na przykład z kiepskim urodzajem danego roku, z pomorem bydła lub trzęsieniem ziemi.

Namiestnicy zaś, zamiast odwołać się do Rzymu i postawić wniosek o zmniejszenie podatku, wyciskali wszystko do grosza, ryzykując nawet wybuch powstania. Niewielu z nich interesowało się ludnością, którą miało rządzić. Namiestnik osiedlał się w zromanizowanej stolicy prowincji, gdzie były piękne domy, teatry, świątynie, łaźnie, rynki, i nie pomyślał nawet, żeby kiedy odwiedzić dalsze strony kraju. W rzeczywistości rządzili delegaci i delegaci delegatów. A te najmniejsze pieski biurokratyczne najbardziej dawały się we znaki ludności.

Prawdopodobnie ich miał na myśli Bato mówiąc o wilkach, choć lepszym określeniem byłyby ”wszy”.

Nie ulega wątpliwości, że za rządów Augusta prowincjom powodziło się lepiej niż za czasów republiki i że prowincje wewnętrzne, podlegające senatowi, ani w połowie nie były tak dobrze administrowane jak pograniczne, gdzie mianował sam August. Porównanie obydwu systemów administracji prowincjonalnej było jednym z nielicznych argumentów, które dało się wysunąć przeciw ustrojowi republikańskiemu. Argument ten zresztą opierał się na nie udowodnionej hipotezie, że przeciętnie poziom moralny ludzi stojących na kierowniczych stanowiskach w republice jest niższy niż poziom urzędników podległych absolutnemu monarsze. Wynikałaby też z tego fałszywa zasada, że administracja prowincji jest ważniejsza od tego, co się dzieje w stolicy. Zalecać ustrój monarchistyczny dlatego, że zapewnia on większy dobrobyt prowincjom, to - moim zdaniem - pozwolić ojcu, żeby własne dzieci traktował jak niewolników, pod warunkiem, że w stosunku do niewolników okaże roztropną

ogłędność.

9 r. n.e.

W nagrodę za ukończenie tej kosztownej i wyczerpującej wojny senat uchwalił dekret, na podstawie którego August i Tyberiusz mieli odbyć uroczysty triumf.

Przypominam, że prawo do właściwego triumfu mieli tylko August i członkowie jego rodziny. Innych wodzów wynagradzano "odznakami triumfalnymi". Toteż Germanik, choć z rodu Cezarów, otrzymał tylko te odznaki. August był tak wdzięczny Tyberiuszowi za pomyślne ukończenie wojny, że nie chciał go sobie zrazić dając Germanikowi tę samą nagrodę co jemu.

Równocześnie Germanik awansował i na wiele lat przed ustawowym wiekiem został konsulem.

Kastor, choć nie brał udziału w wojnie, otrzymał zaszczytny przywilej uczestniczenia w obradach senatu, którego jeszcze nie był członkiem, a poza tym też awansował.

W Rzymie ludność wyczekiwała triumfu w wielkim podnieceniu. Triumf oznaczał rozdawanie zboża i pieniędzy, igrzyska i wiele innych przyjemności. Tym razem jednak spotkał wszystkich wielki zawód. Na miesiąc przed triumfem zdarzył się złowróżbny wypadek: piorun uderzył w świątynię boga wojny na Polu Marsowym i zniszczył ją prawie doszczętnie; w kilka dni później nadeszły wieści z Niemiec, że Rzymianie ponieśli tam najcięższą klęskę, jaka zdarzyła się od czasów bitwy pod Karrhe, a nawet i nad Alią, [* Pod Karrhe w Mezopotamii ponieśli Rzymianie w 53 r. p.n.e. klęskę od Partów; nad rzeką Alią w 39 - r. p.n.e. - od Galów.] blisko czterysta lat temu. Trzy pułki zostały wycięte w pień i wszystkie rzymskie zdobycze na wschód od Renu stracono w jednym dniu. Zdawało się, że nic nie powstrzyma Niemców od przekroczenia rzeki i spustoszenia trzech ludnych, bogatych prowincji francuskich.

Wspomniałem już, jak piorunujące wrażenie wywarła na Auguście

wiadomość o klęsce. Ugiął się pod jej brzemieniem nie tylko dlatego, że jako ten, któremu senat i naród rzymski powierzył ochronę pogranicza, był urzędowo odpowiedzialny za nie, ale poczuwał się też do odpowiedzialności moralnej. Klęska była skutkiem jego nierozwagi, chęci zbyt pospiesznego narzucenia cywilizacji barbarzyńcom. Niemcy podbici przez mojego ojca powoli przyjmowali kulturę rzymską. Nauczyli się od nas używania monety, odbywania regularnych targów, budowania i urządzania domów jak w krajach cywilizowanych, a nawet odbywania wieców, które nie kończyły się, jak dawniej, krwawymi rozprawami.

Nosili nazwę sprzymierzeńców i gdyby im pozwolono stopniowo zapomnieć o dawnych barbarzyńskich zwyczajach, gdyby garnizony rzymskie broniły ich od nie ucywilizowanych jeszcze sąsiednich plemion, a im samym pozwolono cieszyć się tym dobrobytem, jaki im dawała spokojna prowincja, byłiby prawdopodobnie w ciągu kilku czy paru nawet generacji stali się ludem tak pokojowo usposobionym i tak uległym jak prowansalscy Francuzi. Lecz mój krewniak Warus, którego August, mianował namiestnikiem Niemiec za Renem, zaczął tamtejszą ludność traktować nie jako sprzymierzeńców, lecz jako podbite plemię; z natury rozpustny, nie liczył się zupełnie z surową obyczajnością Niemców, którzy niezwykle wielką wagę przywiązują do cnoty swych kobiet, Kiedy August, chcąc napęłnić skarb opróżniony przez wojnę bałkańską, nałożył nowe podatki między innymi i na Niemcy za Renem, informacji o zdolności płatniczej kraju udzielał mu Warus i z nadmiernej gorliwości podał sumę zbyt wysoką.

W obozie Warusa było dwóch naczelników niemieckich, którzy mówili płynnie po łacinie i robili wrażenie zupełnie zromanizowanych. Zwali się Herman i Zygmyrt.

Herman dowodził w poprzedniej wojnie posiłkowymi oddziałami niemieckimi i lojalność jego była poza wszelkim podejrzeniem. Mieszkał pewien czas w Rzymie i ostatnio został przyjęty do stanu rycerskiego. Obydwaj

Niemcy pozostawali z Warusem w najserdeczniejszych stosunkach i często bywali zapraszani przezeń na uczyty. Zapewniali go, że ich rodacy są nie mniej lojalni względem Rzymu i wdzięczni za dobrodziejstwa jego kultury. W rzeczywistości porozumiewali się tajemnie z opozycyjnie usposobionymi naczelnikami plemion, którym tłumaczyli, że jeszcze nie nadszedł czas zbrojnej rozprawy z Rzymem, należy więc na razie z zachowaniem wszelkich pozorów jak największej uległości płacić naznaczone podatki.

Niedługo jednak oni sami dadzą sygnał do ogólnego powstania.

Herman - co znaczy "wojownik" - i Zygmirt, właściwie Segimerusz, co znaczy

„radość zwycięstwa” - zdołali całkiem zbałamucić Warusa, który chytrą nie dorównywał im zupełnie. Na próżno oficerowie sztabowi ostrzegali go nieustannie, że poprawność zachowania się Niemców w ostatnich miesiącach nie wydaje się naturalna, że niewątpliwie knują coś złego i pragną uśpić jego czujność. Lecz Warus tylko śmiał się z ostrzeżeń.

Twierdził, że Niemcy są zbyt głupi, że nie potrafiliby obmyślić podobnie chytrego planu, a tym bardziej nie wygadać się z nim przed czasem. Ich uległość wynika po prostu z tchórzostwa. Im mocniej się Niemca trzyma za łeb, tym większy budzi się w nim szacunek.

Póki szczęście mu w wojnie dopisuje, jest pełen buty, kiedy raz weźmie w skórę, kładzie się jak pies na brzuchu, skomlać o łaskę, i jak pies idzie już potem przy nodze.

Warus nie chciał słuchać nawet tych wodzów niemieckich, którzy nienawidząc Hermana, a domyślając się jego planów, przychodzili z ostrzeżeniem. Zamiast skoncentrować swoje siły, jak powinien był uczynić w kraju nie całkiem jeszcze podbitym, podzielił je na małe oddziały.

Na potajemne zarządzenie Hermana i Zygmirta dalej położone gminy wysłały do Warusa delegację z prośbą o pomoc wojskową przeciw bandytom i eskortę dla karawan kupieckich ciągnących z Francji. Potem wybuchło

powstanie na wschodnich krańcach prowincji. Poborcę podatków i jego orszak wymordowano. Warus zebrał siły, jakie miał pod ręką, i wyruszył z ekspedycją karną. Z początku towarzyszyli mu Herman i Zygmirt, ale w drodze poprosili o zwolnienie. Chcą, jak mówili, zebrać swoich wojowników i przyjść mu w razie potrzeby z pomocą, kiedy tylko zażąda. W rzeczywistości wojownicy ci znajdowali się o parę dni marszu w zasadzce przy drodze, która miał ciągnąć Warus. Uzyskawszy pozwolenie Herman i Zygmirt dali gminom, o których była mowa wyżej, rozkaz, aby napadły i wyrznęły w pień oddziały Rzymian, wysłane przez Warusa dla obrony przed rzekomymi bandytami.

Z rzezi tej rzeczywiście żywa noga nie uszła, tak że Warus, który zresztą stracił kontakt z główną kwaterą, nie miał pojęcia o tym, co się stało. Wojsko przedzierało się teraz leśnymi ścieżkami, a wódz nie pomyślał o wysłaniu straży przedniej ani wywiadowców, ani o zabezpieczeniu boków. Cała armia - w tym spora liczba niezbrojnych - maszerowała bezładną gromadą, beztrosko, jakby znajdowała się o pięćdziesiąt mil od Rzymu.

Posuwano się z wolna, gdyż trzeba było torować drogę w gąszczu i budować mosty, po których mógłby przejechać tabor. Nieprzyjaciel skorzystał z tej zwłoki i liczne plemiona przyłączyły się do oddziału czekającego w zasadzce. Pogoda nagle się popsuła; przez całą dobę deszcz lał jak z cebra, nasiąkłe wodą skórzane tarcze żołnierzy byłyby w razie walki większą przeszkodą niż obroną, a przemokłe cięciwy łuków stały się niezdatne do użytku. Ludzie z trudem stąpali po oślizłym gruncie, wozy co chwila grzęzły w błocie. Odległość pomiędzy czołem kolumny a ostatnimi jej szeregami zwiększała się z każdą chwilą. Nagle z pobliskiego pagórka wystrzelił słup dymu. Był to umówiony sygnał. Z przodu, z tyłu, z obu boków Niemcy zaatakowali wojsko rzymskie. W otwartej walce nie był to groźny nieprzyjaciel i Warus niewiele przesadził mówiąc o niemieckim tchórzostwie. Początkowo zaatakowali tylko rozproszonych maruderów i tabor. Obawiali się jednak starcia wręcz i z ukrycia zasypywali Rzymian chmurą dzirytów i strzał, cofając się

zaraz w głąb lasu, jeśli tylko któryś z żołnierzy krzyknął głośniejsze i potrząsnął mieczem. Pomimo to Rzymianie ponieśli poważne straty. Oddziały pod dowództwem Hermana, Zygmyrta i innych naczelników zbudowały naprędce ze zdobytych wozów i ściętych drzew barykady. Żołnierze z tylnych szeregów, nie chcąc zrywać łączności z głównymi siłami, zrezygnowali ze zdobywania barykad i zostawiając nieprzyjacielowi na łup nawet te wozy, które jeszcze były w ich posiadaniu, pośpieszyli naprzód, aby dogonić oddalających się towarzyszy.

Pułk maszerujący na przedzie doszedł tymczasem do wzgórza Słabo zadrzewionego po niedawnym pożarze lasu i uformowawszy się tam, czekał na resztę sił. Miał jeszcze z sobą cały swój tabor i stracił zaledwie paręset ludzi. Straty dwu innych pułków były o wiele cięższe. Żołnierze odbiwszy się od swoich kompanii utworzyli nowe oddziały w sile od pięćdziesięciu do dwustu ludzi. Każdy z tych oddziałów formował na własną rękę straż przednią, tylną i flanki. Ze względu na gęste podszycie lasu i błotnisty teren straże boczne posuwały się bardzo powoli i często traciły łączność ze Swymi jednostkami; ze straży przednich dużo ludzi padało przy zdobywaniu barykad, a tylne nieprzyjaciół wciąż zasypywał gradem dzirytów. Przy wieczornym raporcie Warus stwierdził, że prawie trzecia część ludzi padła lub się zabłąkała. Następnego dnia udało mu się przebić przez nieprzyjaciół i wydobyć na odkrytą przestrzeń. Utracił jednak przy tym resztę taboru. Żywności brakło i po trzech dniach musiał znowu wkroczyć w puszcę. Straty drugiego dnia były znacznie mniejsze, gdyż spora liczba wrogów była zajęta plądrowaniem wozów i grabieżą, ale przy raporcie trzeciego dnia stawiła się ledwie jedna czwarta żołnierzy. Czwartego dnia Warus wciąż jeszcze posuwał się naprzód, gdyż upór nie pozwalał mu uznać się za pobitego i zrezygnować z pierwotnego celu wyprawy. Stan pogody po chwilowym przejaśnieniu znowu się pogorszył, a Niemcy, przyzwyczajeni do ulew, poczynali sobie coraz zuchwalej, w miarę jak słabł opór.

Sztab znalazł się w bezpośrednim niebezpieczeństwie.

Około południa Warus widząc, że wszystko stracone, a nie chcąc wpaść żywy w ręce nieprzyjaciół, przebił się mieczem. Wielu wyższych oficerów i żołnierzy poszło za jego przykładem. Jeden tylko człowiek nie stracił głowy w ogólnym zamieszaniu - był to ten sam Kasjusz Cherea, o którego walce w amfiteatrze już pisałem. Dowodził on strażą tylną złożoną z sabaudzkich górali, którzy w lasach czuli się o wiele lepiej niż inni. Kiedy jeden ze zbiegów doniósł, że Warus nie żyje, że orły pułkowe wpadły w ręce wroga, a z głównego korpusu nie pozostało przy życiu nawet trzystu ludzi, Kasjusz postanowił ocalić z pogromu, co się jeszcze ocalić dało. Zawrócił więc z drogi i niespodziewanym atakiem przebił się przez nieprzyjaciela. Szaleńcza jego odwaga, którą do pewnego stopnia zdołał natchnąć swych ludzi, zaimponowała Niemcom. Dali więc spokój garstce śmiazków i pobiegli dalej szukać łatwiejszych triumfów. Po ośmiu dniach marszu przez kraj nieprzyjacielski Kasjusz dotarł wreszcie do fortu, który przed niespełna trzema tygodniami opuścił. Ze stu dwudziestu swoich podkomendnych na rozkaz odwrotu przyprowadził osiemdziesięciu. Ocalał też znak kompanii. Był to może najpiękniejszy czyn żołnierski w historii wojennej nowych czasów.

Trudno odmalować panikę, jaka powstała w Rzymie, kiedy wiadomości o klęsce znalazły oficjalne potwierdzenie. Ludzie zaczęli pakować rzeczy na wozy, jakby Niemcy stali już u bram miasta. Obawy nie były zresztą nieuzasadnione. Straty w wojnie bałkańskiej poniesiono tak ciężkie, że prawie wszystkie rezerwy wysłano z Italii na Wschód. August zupełnie tracił głowę, nie wiedząc, skąd wydstać armię, która by pod dowództwem Tyberiusza ruszyła nad Ren strzec przyczółków mostowych nie opanowanych jeszcze przez Niemców. Z obywateli rzymskich zdolnych do noszenia broni niewielu stawiało się dobrowolnie na apel; uważano, że ruszyć przeciwko Niemcom to tyle, co pójść na pewną śmierć. August ogłosił wtedy drugie wezwanie i zagroził, że z tych, którzy w ciągu trzech dni nie stawią się do wojska, co piąty człowiek

będzie pozbawiony wolności i majątku. Kiedy i to niewiele pomogło, kazał osądzić kilku dla przykładu, a resztę wcielić siłą do szeregów. Niejeden z tych strachajłów okazał się później dzielnym żołnierzem. Powołał też starsze roczniki i zaciągnął pewną liczbę weteranów, którzy wysłużyli pełne szesnaście lat. Dołączył jeszcze pułk czy dwa złożone z wyzwoleńców, którzy formalnie nie mieli prawa służyć w oddziałach rzymskich.

(Chociaż kiedy Germanik prowadził Tyberiuszowi posiłki na Bałkany, składały się one przeważnie z wyzwoleńców.) Tak w niedługim czasie zorganizował wcale imponującą armię i wysyłał ją stopniowo na północ, jak tylko uzbrojono i wyekwipowano kolejną kompanię.

Smutkiem i wstydem nappełniała mnie myśl, że w tej decydującej o losach Rzymu godzinie ja, niezdolny do noszenia broni, nie mogę osłaniać go własną pierśią.

Udałem się do Augusta i prosiłem, żeby mnie wysłał na front w takim charakterze, na jaki pozwalają moje fizyczne ułomności. Proponowałem, że wyruszę do Tyberiusza jako oficer wywiadu, że będę odbierał i zestawiał raporty o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, przesłuchiwał jeńców, robił mapy i układał specjalne instrukcje dla szpiegów. Kiedy propozycja ta nie została przyjęta, zgłosiłem swą kandydaturę na kwatermistrza armii Tyberiusza. Przyjmowałbym nadchodzące z Rzymu wojska i dopilnowywał ich rozmieszczenia na miejscu. August okazał zadowolenie z mojej gotowości i obiecał porozmawiać z Tyberiuszem. Lecz i z tego nic nie wyszło.

Możliwe, że stryj uważał, iż nie nadaję się do pełnienia żadnych obowiązków, a może nie na rękę była mu ta propozycja, kiedy jego własny syn Kastor zadekował się na tyłach i nakłonił Augusta, żeby go wysłał do południowej Italii, gdzie przeprowadzał pobór.

Pocieszałem się tylko tym, że w podobnej jak ja sytuacji znalazł się Germanik. Zgłosił się on do służby frontowej, ale August ze względu na popularność, jaką się mój brat cieszył, zatrzymał go w Rzymie na wypadek

zamieszek, które mogły wybuchnąć z chwilą opuszczenia miasta przez wojska.

Niemcy tymczasem urządzali polowanie na dezertorów z armii Warusa i całe gromady ich palili żywcem w wiklinowych klatkach na ofiarę swym leśnym bogom.

Nielicznych zatrzymali w niewoli. (Kilku z nich później rodziny wykupiły za olbrzymie sumy, ale August zakazał im wstępu na italską ziemię.) W ręce nieprzyjaciół wpadły też znaczne zapasy wina, wyprawiali więc nieskończone orgie pijackie, w czasie których wybuchały krwawe spory o prawo pierwszeństwa do sławy i Łupu. Dużo czasu upłynęło, nim powrócili do działań wojennych i zrozumieli, na jak niewielki opór się natkną, jeśli pomaszerują w stronę Renu.

Kiedy już im wino wywietrzało z głowy, zaatakowali słabo bronione forty nadgraniczne.

Jeden po drugim zdobyli je i złupili. Jeden tylko z fortów stawiał im należyty opór; dowodził nim Kasjusz. Niemcy zajęliby go bez trudu, gdyż załoga była nieliczna, ale Hermana i Zygmyrta nie było w pobliżu, a nikt inny nie znał się na sztuce oblężniczej: katapultach, balistach, sapach i wieżach oblężniczych. Kasjusz miał w fortecy pod dostatkiem łuków i strzał i nauczył wszystkich, nawet kobiety i niewolników, obchodzić się z bronią. Odparł zwycięsko kilka zaciekłych szturmów na bramę, a na murach trzymał stale kotły z gorącą wodą, gotów przywitać ukropem każdego, kto by próbował wdrapać się po drabinie.

Niemcy tak byli zajęci zdobywaniem tej twierdzy, w której spodziewali się znaleźć bogaty łup, że nie spieszyli się zająć przyczółków mostowych bronionych przez szczupłe załogi.

Tymczasem nadeszły wieści o zbliżaniu się Tyberiusza na czele nowej armii.

Herman od razu zebrał swoje siły postanawiając zająć mosty przed przyjściem Tyberiusza.

Przy forcie, o którym wiadomo, że nie ma większych zapasów żywności, pozostawiono jeden z oddziałów na straży. Kasjusz, zwietrzywszy sytuację, postanowił opuścić fort, póki pora.

Pewnej burzliwej nocy wyszedł z całym garnizonem i minął już dwie linie czat nieprzyjacielskich, kiedy płacz jednego z dzieci, które zabrał z sobą, zaalarmował nieprzyjaciela. Przy trzeciej linii doszło do walki wręcz i gdyby Niemcom nie spieszyło się przede wszystkim do złupienia miasta, oddział Kasjusza byłby wybity do nogi.

Udało mu się jednak przedrzeć, a w pół godziny później trębacze fałszywym sygnałem wprowadzili wroga w błąd. Niemcy myśląc, że nadciąga pomoc rzymska, zaniechali pościgu. Ponieważ wiatr wiał od wschodu, na najbliższym przyczółku mostowym usłyszano głos trąb i wysłano oddział żołnierzy, pod którego osłoną załoga, nie niepokojona już więcej, wkrótce nadciągnęła. W dwa dni później Kasjusz odparł zwycięsko szturm Zygmurta na most; tymczasem zdołały nadejść przednie straże Tyberiusza. Sytuacja była uratowana.

Koniec roku upamiętnił się zesłaniem Julilli na Tremere, niewielką wyspę naprzeciw Apulii. Podobnie jak jej matka, Julilla oskarżona została o przygodne stosunki z pierwszym lepszym, kto się nadarzył. Istotną przyczyną jednak było to, że zaszła w ciążę.

Gdyby urodziła chłopca, byłby to prawnuk Augusta nie spokrewniony z Liwią. A cesarzowa nie chciała teraz ryzykować. Wprawdzie Julilla miała już jednego syna, ale był to delikatny, bojaźliwy, słabo rozwinięty chłopiec, którego można było nie brać w rachubę.

Kmiliusz sam dostarczył Liwii powodu do oskarżenia. Posprzeczał się z żoną i w obecności córki oskarżył ją, że chce mu narzucić dziecko, które poczęła z kim innym. Jako kochanka wymienił Decyma z możnego rodu Sylanów. Emilia, która posiadając dość sprytu orientowała się, że jej życie zależy od dobrych stosunków z Liwią, udała się wprost do cesarzowej i

opowiedziała rozmowę rodziców. Liwia kazała jej powtórzyć opowiadanie w obecności Augusta.

Ten zawezwał Emilmsza i spytał, ile jest prawdy w pogłoskach, jakoby nie był ojcem mającego przyjść na świat dziecka. Emiliusz nie domyślając się, że to córka mogła zdradzić matkę i jego samego, zląkł się, że romans z Decymem, o który podejrzewał Julillę, stał się już przedmiotem ogólnego skandalu, podtrzymał więc oskarżenie ugruntowane bardziej na zazdrości niż faktach. Z chwilą kiedy dziecko się urodziło, August kazał je wynieść w góry i tam porzucić. Decym udał się dobrowolnie na wygnanie, a za nim wielu innych mężczyzn oskarżonych o to, że swego czasu byli kochankami Julilli; należał do nich poeta Owidiusz, z którego August zrobił kozła ofiarnego za to, i wiele lat przedtem napisał Sztukę kochania. Ten to poemat, zdaniem cesarza, miał zdemoralizować wnuczkę, polecił więc spalić wszystkie jego kopie.

ROZDZIAŁ XIII

August ukończył lat siedemdziesiąt. Aż do tej pory nikt go nie uważał za starca.

Lecz ostatnie przejścia rodzinne i kłopoty państwowe dokonały w nim dużej zmiany. Nie panował już nad sobą jak dawniej i coraz trudniej przychodziło mu okazywać zwykłą uprzejmość względem odwiedzających go osób. Pod koniec oficjalnych przyjęć zdradzał coraz częściej wyraźne zniecierpliwienie. Stał się opryskliwy nawet w stosunku do Liwii.

Pracował jednak zawsze z tą samą sumiennością i przyjął przedłużenie władzy na dalszych lat dziesięć. Wiele jednak obowiązków, których dawniej nie odstąpiłby nikomu, spełniali teraz za niego Tyberiusz i Germanik, o ile bawili w stolicy. Liwia pracowała też intensywniej niż kiedykolwiek. Podczas wojny bałkańskiej, kiedy August opuścił Rzym, ona, posiadając duplikat pieczęci, załatwiała wszystkie sprawy. Między kwaterą cesarską a pałacem kursowali nieustannie konni posłańcy.

August coraz bardziej godził się z myślą, że władzę obejmie po nim Tyberiusz.

Przypuszczał, że przy pomocy Liwii i na wytkniętej przez niego samego drodze pasierb potrafi rozumnie pokierować państwem, lecz równocześnie pochlebiał sobie, że kraj odczuje boleśnie śmierć Ojca Ojczyzny*[* Pater patriae - tytuł honorowy nadawany za szczególne zasługi względem ojczyzny.] i że o wieku augustowskim będą mówić kiedyś jak o złotej epoce króla Numa.*[* Numa Pompiliusz - drugi król Rzymu.] Pomimo znamienych zasług, jakie położył dla Rzymu, Tyberiusz nie cieszył się popularnością i nie zachodziło najmniejsze prawdopodobieństwo, żeby miał ją pozyskać wstąpiwszy na tron. Pewną satysfakcją był dla Augusta fakt, że Germanik, przez adopcję brat Kastora, jako starszy od niego był prawnym następcą Tyberiusza i że synowie

Germanika, Druzus i Nero, byli jego własnymi prawnukami. Miał więc nadzieję, że choć losy okazały się niełaskawe dla wnuków, ród jego znów dojdzie do władzy w osobach prawnuków. August bowiem, jak większość ludzi, nie pamiętał już, że Rzym jest republiką, i stał na stanowisku, iż czterdzieści lat ciężkiej i wyczerpującej służby państwowej daje mu prawo wyznaczenia swych następców w trzecim nawet pokoleniu.

W obawie przed zausznikami Liwii, którzy mogli przejąć listy, ani słowem nie doniosłem bawiącemu w Dalmacji Germanikowi o losie Postuma. Dopiero gdy wrócił z wojny, opowiedziałem mu całą historię. Zmartwił się bardzo i nie wiedział, komu ma właściwie wierzyć. Germanik bowiem, o czym zapomniałem wspomnieć, nie lubił bez całkiem konkretnych dowodów o nikim źle myśleć, przeciwnie - był gotów każdemu przypisać najszlachetniejsze motywy postępowania. Na tej naiwności zresztą dobrze wychodził. Wielu ludziom, którzy się z nim stykali, pochlebiała dobra opinia, jaką miał o nich, i w postępowaniu z nim starali się do niej dostosować. Gdyby był wpadł w ręce jakiegoś zdecydowanego łajdaka, szlachetność ta mogłaby się okazać zgubna, lecz jeśli w człowieku tkwiły choćby zalążki dobrego, Germanik potrafił je zawsze wydobyć na światło dzienne.

Przeto i teraz oświadczył mi, że nie bardzo może uwierzyć w taką podłość Liwii i Emilii, choć w ostatnich czasach rzeczywiście rozczarował się do siostry. Dorzucił też, że nie wyjaśniam w dostateczny sposób motywów, jakie mogły tymi dwiema kobietami kierować, a mieszam do tego babkę Liwie, co jest po prostu śmieszne."Któż by śmiał posądzać ją o podżeganie do podobnej podłości!" - zawołał oburzony. Z równym powodzeniem można by przypuścić, że Dobra Bogini zatruwa miejskie studnie. Zapytałem na to, czy rzeczywiście wierzy, że w ciągu dwóch następujących po sobie nocy Postum chciał dopuścić się gwałtu, i to w tak idiotyczny sposób, lub czy przypuszcza, że Postum kłamał wobec Augusta i wobec mnie. Nie odpowiedział na to nic. Zawsze kochał Postuma i miał do niego pełne zaufanie.

Wykorzystując chwilową przewagę skłoniłem brata do złożenia przysięgi na cienie naszego ojca, że z chwilą kiedy znajdzie najmniejszy dowód niewinności Postuma, opowie Augustowi wszystko, co ode mnie usłyszał, i przekona go, żeby odwołał Postuma z wygnania, a ukarał oszczerców tak, jak na to zasłużyli.

11 r. n.e.

W Niemczech nie działo się nic interesującego. Tyberiusz obsadził wszystkie mosty, ale nie próbował przekroczyć Renu. Nie miał jeszcze zaufania do swej armii, której należytym zorganizowaniem był teraz pilnie zajęty. Niemcy ze swej strony nie kusili się o przejście rzeki. August zniecierpliwiony nalegał, aby Tyberiusz nie zwlekając wyruszył pomścić Warusa i odzyskać orły. Stryj mój zapewniał, że niczego goręcej nie pragnie, ale wojsko nie jest jeszcze należycie przygotowane do rozpoczęcia działań. Ponieważ Germanikowi kończył się właśnie okres administrowania, August wysłał go znowu na front, tym razem niemiecki, co zmusiło Tyberiusza do energiczniejszego działania. Stryj mój nie był w rzeczywistości ani tchórzliwy, ani gnuśny, lecz niezwykle ostrożny. Na nalegania cesarza przekroczył wreszcie Ren i zagarnął część utraconego kraju Niemcy jednak unikali decydującej bitwy. Tyberiusz z Germanikiem w obawie przed zasadzką nie posunęli się głębiej, puścili tylko z dymem kilka niemieckich wsi nad Renem i urządzali manifestacyjne przeglądy wojsk. W paru zwycięskich potyczkach wzięto do niewoli kilkuset jeńców. Jesienią armia cofnęła się z powrotem za Ren, a gdy wiosną odbył się w Rzymie wciąż odkładany triumf nad Dalmatyńczykami, połączono z nim drugi, z okazji ostatniej wyprawy niemieckiej, aby w ten sposób przywrócić poderwane zaufanie. Muszę tu oddać sprawiedliwość Tyberiuszowi i wspomnieć o szlachetnym jego postępku, do którego nakłonił go zresztą Germanik Po odbytych triumfie Tyberiusz zwrócił wolność wziętemu do niewoli wodzowi powstańców Bacie kroczącemu za rydwanem zwycięzcy. Obdarzył go ponadto hojnie pieniędzmi i osadził w Rawennie, gdzie były buntownik pędził wcale

wygodne życie. Prawdę mówiąc, zasłużył sobie na te względy, bo po rycersku pozwolił wydostać się Tyberiuszowi z wąwozu, do którego zwabił go z większą częścią armii.

Germanik był teraz konsulem i August napisał list polecający go senatowi, a senat Tyberiuszowi. Postępując w ten sposób, a nie na odwrót, chciał zaznaczyć, że Tyberiusza uważa za swego następcę władającego senatem, a równocześnie nie musiał wypisywać na jego cześć pochwał, którymi chciał wyróżnić tylko Germanika.

Agryppina towarzyszyła mężowi we wszystkich wyprawach wojennych, tak jak ongiś moja matka ojcu. Czyniła to przede wszystkim z miłości, ale również dlatego, aby w razie pozostania w Rzymie nie być narażoną na fałszywe oskarżenie o cudzołóstwo; któż by przeniknął istotne plany Liwii? Agryppina była typem starodawnej matrony, jakiej dziś już się nie spotyka - dzielna, śmiała, skromna, przemyślna, pobożna, płodna i obyczajna.

Urodziła już czworo dzieci, a miała wydać na świat jeszcze całą piątkę.

Wprawdzie Liwia w dalszym ciągu nie chciała mnie widzieć przy swym stole, wprawdzie w uczuciach matki mojej nie zaszła żadna zmiana w stosunku do mnie, lecz Germanik korzystał z każdej sposobności, aby wprowadzić mnie w patrycjuszowskie koła swoich znajomych. Ze względu na niego okazywano mi pewien szacunek, ale ponieważ wiadano, że w rodzinie uchodzę za upośledzonego, a Tyberiusz opinię tę podziela, nikt nie starał się podtrzymywać ze mną znajomości.

Za radą Germanika zaprosiłem do siebie kilka wybitnych osobistości ze świata literackiego, aby urządzić czytanie swojej ostatniej pracy historycznej. Do czytania wybrałem księgę, która kosztowała mnie szczególnie dużo pracy i powinna była treścią swą zainteresować słuchaczy. Omówiłem w niej formuły używane przez kapłanów egipskich w czasie ablucji, uzupełniając każdą łacińskim przekładem, i wyjaśniłem w ten sposób znaczenie niejednego z naszych obrzędów oczyszczających, których pierwotny sens został w ciągu

stuleci przykryty pyłem niepamięci. Dałem najpierw tę pracę Germanikowi, a on po przeczytaniu pokazał ją matce i Liwii i wspaniałomyślnie ofiarował mi swą pomoc przy próbnym czytaniu. Powiodło się ono doskonale. Brat wieszował mi zarówno pracy, jak jej wygłoszenia. Musiał też o niej na lewo i prawo wszystkim z uznaniem opowiadać, bo komnata, w której miał się odbyć mój występ, była szczelnie wypełniona słuchaczami.

Brakowało wprowadzić Augusta i Liwii, lecz przyszła moja matka, Germanik i Liwilla. Byłem w doskonałym usposobieniu i nic a nic nie zdenerwowany. Idąc za radą Germanika pokrzepiłem się przed czytaniem kubkiem wina.

Na wypadek przybycia Augusta i Liwii ustawiono dla nich dwa wspaniałe fotele, te same, których zawsze używali odwiedzając nasz dom. Kiedy już wszyscy pozajmowali swoje miejsca i zamknięto drzwi, przystąpiłem do czytania. Szło mi świetnie.

Pamiętałem wciąż, żeby czytać nie za wolno ani nie za prędko, nie za cicho ani nie za głośno, i audytorium, które niewiele się po mnie spodziewało, zaczynało wbrew woli okazywać coraz większe zainteresowanie. Lecz trzeba było nieszczęśliwego trafu! Nagle zapukano głośno do drzwi, a gdy nikt nie kwapił się otworzyć, pukanie się powtórzyło. Zaszczekały rygle i do komnaty wtoczył się największy grubas, jakiego widziałem w życiu. Ubrany był w szatę stanu rycerskiego, a w ręku niósł bogato haftowaną poduszkę. Przerwałem lekturę, gdyż doszedłem właśnie do szczególnie trudnego i ważnego rozdziału, a nikt ronię nie słuchał - wszystkie oczy zwróciły się ku grubasowi. Przybysz tymczasem dojrzał wśród zgromadzonych Liwiusza i przywitał go śpiewnym akcentem - jak się później dowiedziałem, mówią tak w okolicach Padwy - a następnie pozdrowił resztę zebranych, co tu i ówdzie wywołało stłumione śmiechy. Ani na Germanika jako konsula, ani na moją matkę i na mnie jako gospodarzy nie zwrócił specjalnej uwagi. Obejrzał się wkoło szukając miejsca i spostrzegł fotel Augusta. Lecz po chwilowym namyśle wydał mu się widać zbyt

ciasny, bo zajął miejsce Liwii. Położył sobie najpierw na fotelu poduszkę, a następnie zebrawszy koło kolan tunikę siadł pochrząkując. Oczywiście fotel, antyk, który pochodził ze złupionych w pałacu Kleopatry mebli i był bardzo delikatnej roboty, z trzaskiem załamał się pod grubasem.

Wszyscy z wyjątkiem Germanika, Liwiusza, mojej matki i kilku poważniejszych osób gruchnęli głośnym śmiechem. Wreszcie grubas podźwignął się z podłogi i stanął stękając, klnąc i pocierając potłuczone miejsca, aż jeden z wyzwolenców wyprowadził go z sali i znów zapanowała cisza. Przystąpiłem do kontynuowania lektury, ale dostałem ataku histerycznego śmiechu. Może niepotrzebnie piłem wino, a może utkwiał mi w pamięci wyraz twarzy grubasa w chwili, kiedy krzesło się pod nim załamało - wyrazu tego nikt poza mną nie mógł dojrzeć, gdyż siedział w pierwszym rzędzie - dość na tym, że nie potrafiłem skupić uwagi na etruskich obrządkach oczyszczających. Najpierw słuchacze podzielali moją wesołość i śmiali się razem ze mną, ale kiedy przebrnąwszy z trudem przez następny rozdział zerknąłem przypadkiem w stronę uszkodzonego fotela, który z powrotem ustawiono na złamanych nogach, znowu wybuchnąłem śmiechem, zaczęło to już irytować słuchaczy. Wreszcie ku niemałej, jak widziałem, uldze Germanika udało mi się zapanować nad sobą i powrócić do czytania. Nagle drzwi otworzyły się i w progu stanął... August z Liwią. Przeszli dostojnie między rzędami krzeseł, zdążając do swoich miejsc. August już się usadowił i Liwia miała właśnie zamiar pójść za jego przykładem, kiedy spostrzegła, że coś jest nie w porządku z jej fotelem.

- A któż to siedział na moim miejscu? - zapytała donośnie.

Germanik pośpieszył z wyjaśnieniem, ale Liwia nie dała sobie nic wytłumaczyć.

Obrażona opuściła salę. August niezadowolony wyszedł za nią. Czyż można mieć do mnie pretensje o to, że z dalszego ciągu lektury zrobiłem groch z kapustą?

W nieszczęsnym fotelu skrył się widać złośliwy bóg Momus. W pięć

minut potem nogi się rozjechały i przeklęty mebel znów się zawalił, a złota głowa lwa odpadła od poręczy, potoczyła się po podłodze i wpadła mi pod prawą nogę, którą właśnie lekko uniosłem.

Urwałem znowu w pół zdania i ni stąd, ni zowąd zacząłem chichotać jak szalony.

Przybiegł do mnie Germanik i błagał, żebym się uspokoił. Nie mogłem wykrztusić ani słowa, podniosłem tylko lwią główkę i wskazałem bezradnie na fotel. Pierwszy raz wtedy w moim życiu Germanik zirytował się na mnie. Widok jego zagniewanej twarzy wstrząsnął mną tak silnie, że od razu odzyskałem przytomność. Straciłem już jednak pewność siebie i zacząłem się tak jąkać, że ogólne wrażenie, jakie wynieśli słuchacze, było fatalne. Germanik starał się ratować sytuację. Zabrał więc głos i dziękując mi za zapoznanie słuchaczy z tak interesującą pracą, wyraził żal, że przerwał ją w połowie fatalny przypadek, skutkiem którego Ojciec Ojczyzny i Dostojna Liwia nie raczyli pozostać na sali.

- Miejmy jednak nadzieję - zakończył - że innego dnia pod lepszymi auspicjami będzie nam dane wysłuchać dalszego ciągu tej niezwykle wartościowej i interesującej książki.

Doprawdy, chyba nie ma i nie było na świecie tak dobrego brata i tak szlachetnego człowieka jak Germanik. Od tej pory jednak już nigdy nie urządziłem spotkań autorskich.

Pewnego dnia Germanik zjawił się u mnie bardzo przygnębiony. Przez długą chwilę milczał, wreszcie zdecydował się opowiedzieć mi, co zaszło.

- Rozmawiałem dziś z rana z Emiliuszem - rozpoczął - i w pewnym momencie zgadało się coś o tym biedaku Postumie. Emiliusz pierwszy poruszył ten temat, pytając mnie, pozornie przynajmniej bez żadnej podstępnej myśli, czy nie wiem przypadkiem, o co właściwie oskarżono Postuma. Słyszał wprawdzie, że podobno chodziło o usiłowanie gwałtu wobec dwóch kobiet wysokiego rodu, lecz nikt dokładnie nie wiedział, co to za kobiety.

Patrzałem mu uważnie w oczy, kiedy to opowiadał, i odniosłem wrażenie, że nie gra komedii.

Oświadczyłem, że gotów jestem powiedzieć wszystko, co wiem, ale pod warunkiem, że ani słowo z naszej rozmowy nie dojdzie do osób trzecich. Kiedy usłyszał, że to jego własna córka oskarżyła Postuma o napaść, i to do tego rzekomo dokonaną w ich własnym domu, osłupiał i nie chciał wierzyć. Zaperzył się mocno i twierdził, że dama do towarzystwa Emilii była cały czas z nimi. Chciał od razu pójść do córki i spytać, czy to wszystko prawda, a jeśli tak, to dlaczego dopiero teraz o tym słyszy. Powstrzymałem go jednak od tego zamiaru, przypominając o obietnicy milczenia. Nie miałem zaufania do Emilii.

Zaproponowałem, że spróbujemy obaj wybadać damę do towarzystwa, ale tak, żeby niczego nie podejrzewała.

Emiliusz kazał ją zaraz wezwać, a kiedy przyszła, zapytał, o czym rozmawiał Postum z jego córką podczas ostatniej wizyty, wtedy gdy na wieść o włamaniu się złodziei on sam z żoną zerwali się od stołu. Kobieta spojrzała ze zdziwieniem. "Czy przypadkiem nie o drzewach owocowych?" - dopomogłem jej pamięci. "A tak, naturalnie! Mówili o chorobach drzew owocowych" - potwierdziła z całą pewnością. Czy poruszali jeszcze jakieś inne tematy? Nie, nie zdaje się jej. Przypomina sobie tylko, że Postum nadmieniał o nowych greckich metodach zwalczania choroby zwanej "czarną zarazą". Przysłuchiwała się temu ze szczególnym zainteresowaniem, gdyż zna się na sadownictwie. Nie. Z pokoju nie wyszła nawet na chwilę.

Na razie musiało nam to wystarczyć. Teraz udałem się do Kastora i mimochodem, wspomniałem o Postumie. Żeby nie budzić żadnych podejrzeń, ułożyłem naprędce bajeczkę o srebrach stołowych, które rzekomo pożyczyłem Postumowi i które podczas mojej bytności w Dalmacji miały zostać sprzedane wraz z innymi rzeczami wygnańca po konfiskacie jego majątku. Kastor udzielił mi informacji, w jaki sposób mogą je odzyskać, i zaczęliśmy rozmawiać o banicji Postuma. Jestem przekonany, że nie brał udziału w intrydze.

- A więc zgadzasz się teraz, że to była intryga? - zapytałem z ożywieniem.

- Niestety, tak. Nie widzę innego wyjaśnienia tej afery. Głowę jednak daję, że Kastor jest niewinny. Przyznał się, że poduszczony przez Liwillę, umyślnie zaczął, dogryzać Postumowi, kiedy się spotkali w ogrodzie. Ale to tylko dlatego, że drażniły go umizgi Postuma do żony. Dorzucił, że może postępowanie jego nie było taktowne, ale nie czuje żadnej skruchy z tego powodu. W ogóle śmieszna byłaby wszelka skrucha w stosunku do tego wariata, który taką zniewagę wyrządził Liwilli, a jego samego poważnie poturbował.

- Zatem on wierzy, że Postum rzeczywiście targnął się na Liwillę?

- Tak jest. I nie wyprowadziłem go z błędu. Nie chciałem, żeby Liwilla wiedziała coś o naszych podejrzeniach. Od razu bowiem dowiedziałaby się o nich Liwia.

- Germaniku, czy wierzysz teraz, że całą tą intrygą kierowała ręka Liwii?

Nie odpowiedział mi nic.

- Czy pójdziesz teraz do Augusta?

- Dałem ci przecież słowo. A ja zawsze dotrzymuję słowa.

- Kiedy chcesz iść do niego?

- Zaraz.

Nigdy się nie dowiedziałem, co zostało powiedziane podczas tej rozmowy, i nigdy się nie dowiem. Lecz przy kolacji Germanik wyglądał o wiele weselej, a z półsłówek, jakimi zbywał moje zapytania, wywnioskowałem, że August mu uwierzył, lecz zobowiązał do utrzymania całej rozmowy w tajemnicy. O skutkach dowiedziałem się znacznie później.

Otóż August zawiadomił mieszkańców Korsyki, że niebawem przybędzie, aby osobiście zbadać sprawę pirackich napaści na ich wybrzeża, na co skarżyli się od długiego czasu.

Po drodze miał zamiar wstąpić do Marsylii i poświęcić tam nowo wybudowaną świątynię. Jakoż wkrótce wyruszył, ale po drodze zatrzymał się dwa dni na Elbie.

Pierwszego dnia zarządził całkowitą zmianę straży strzegącej Postuma na Planazji. Kiedy rozkaz wykonano, popłynął nocą w największej tajemnicy na wysepkę. Użył w tym celu łódki rybackiej, a zabrał z sobą tylko dwóch ludzi: Fabiusza Maksyma, który był jego serdecznym przyjacielem, i niejakiego Klemensa, ongiś niewolnika Postuma, bardzo podobnego do swego pana. Klemens, jak słyszałem, miał być naturalnym synem Agryppy. Szczęście im sprzyjało, gdyż zaraz po przybiciu do brzegu natknęli się na Postuma. Zastawiał sieci na ryby i z daleka dojrzawszy w świetle księżyca żagiel, podszedł zobaczyć, kto przybywa. August widząc, że Postum jest sam, odrzucił płaszcz, którym zakrywał sobie twarz.

- Wybacz mi, synu! - zawołał wyciągając ramiona.

Postum ucałował rękę cesarza. Następnie obydwaj, zostawiając Fabiusza i Klemensa na straży, odeszli kawałek. O czym z sobą przez ten czas rozmawiali, nikt nie wie, ale kiedy wrócili, August ocierał oczy. Następnie Postum i Klemens zamienili z sobą odzież i imiona; pierwszy popłynął z Augustem i Fabiuszem z powrotem na Elbę, a drugi został i miał odgrywać rolę Postuma, dopóki nie nadejdzie rozkaz uwolnienia go. Miało się to stać niebawem, zapewniał cesarz. Obiecał też Klemensowi wolność i sporą sumę pieniędzy, jeżeli spisze się dzielnie w swej nowej roli. Miał przez kilka najbliższych dni udawać chorego, a poprzednio już zapuścił brodę i włosy, tak żeby nikt nie domyślił się podstępu.

Było to tym łatwiejsze, że nowa straż zaledwie przez parę minut widziała Postuma.

Liwia domyśliła się, że August knuje coś poza jej plecami. Znała jego niechęć do podróży okrętem i wiedziała, że jeśli to tylko było możliwe, podróżował zawsze lądem, choćby mu nawet przyszło znacznie nadłożyć drogi. Oczywiście na Korsykę nie można było dostać się inaczej jak okrętem, ale sprawa z korsarzami nie przedstawiała się tak groźnie, żeby nie wystarczało wysłać Kastora lub jednego z licznych urzędników, który by w imieniu cesarza

przeprowadził badania na miejscu. Liwia zaczęła więc szukać informacji i dowiedziała się, że August, wylądowawszy na Elbie, kazał zmienić straż strzegącą Postuma i w nocy w małej łódce wypłynął na połów mątew, zabierając z sobą tylko Fabiusza i jednego niewolnika.

Fabiusz był żonaty z niejaką Marcją, poczciwa, ale strasznie łatwowierną kobieciną, przed którą, jak wiadano, nie miał żadnych sekretów. Liwia dotychczas nie interesowała się Marcją zupełnie. Nagle nawiązała z nią stosunki. Pewnego dnia, kiedy już, jak sądziła, pozyskała sobie pełne zaufanie nowej przyjaciółki, spytała raptem:

- Powiedz mi, kochana, czy August był bardzo wzruszony, kiedy po tylu latach znowu spotkał się z Postumem? On ma bardziej miękkie serce, niż chce to po sobie okazać.

Ponieważ Fabiusz ostrzegł Marcję, żeby nikomu słowem nie wspomniała o wycieczce na Planazję, jeśli nie chce ściągnąć na niego nieszczęścia, posłuszna kobiecina początkowo nie chciała nic powiedzieć.

- Nie wiedziałam, że jesteś taka ostrożna! - zaśmiała się Liwia. - Przypominasz mi tego wartownika, który w czasie kampanii dalmatyńskiej nie chciał wpuścić do obozu Tyberiusza, gdyż ten zapomniał hasła. "Jak rozkaz, to rozkaz, generale" - upierał się idiota.

Czyż nie wiesz, kochanie, że ani August przede mną, ani ja przez Augustem nie mamy żadnych sekretów? No, ale jak uważasz...

Wtedy Marcją przepaszając cesarzową opowiedziała, że August wciąż ocierał łzy.

- Oczywiście - przyznała Liwia. - Ale wiesz co? Może będzie lepiej, jeśli o naszej rozmowie nie wspomnisz nic Fabiuszowi. August nie lubi, żeby wiadano, jak wielkie ma do mnie zaufanie... Przypuszczam - dorzuciła po chwili - że Fabiusz powtórzył ci też, jak to było z tym niewolnikiem.

Liwia rzuciła to pytanie na chybił trafił. Możliwe, że niewolnik nie odgrywał żadnej szczególnej roli, ale cóż szkodziło zapytać?

- Fabiusz mówił mi, że niewolnik był bardzo podobny do Postuma, tylko trochę niższy.

- Tak, że strażnicy mogli nie odróżnić jednego od drugiego?

- Fabiusz mówił, że na pewno nie zauważą różnicy. Klemens najeżdżał do domowników Postuma, więc łatwo mu było naśladować pana, zwłaszcza że straż została dzień przedtem zmieniona.

Teraz pozostawało Liwii tylko się dowiedzieć, gdzie przebywa Postum.

Podejrzewała, że ukrywa się pod imieniem Klemensa. Przypuszczała, że August zamierza przywrócić go do łaski, a nawet z pominięciem Tyberiusza uczynić swoim następcą, aby w ten sposób naprawić wyrządzoną krzywdę. Odkryła więc część prawdy Tyberiuszowi i ostrzegła go przed ewentualnym niebezpieczeństwem.

Na Bałkanach znowu wybuchły zamieszki i August zamierzał wysłać tam pasierba, zanim sprawa przybierze poważniejszy obrót. Germanik bawił we Francji, gdzie zbierał daninę; Kastor miał wyruszyć do Niemiec. Cesarz konferował teraz często z Fabiuszem i Liwia wywnioskowała, że ten ostatni odgrywa rolę pośrednika między Augustem a Postumem. August prawdopodobnie - rozumowała - przygotował teren, zechce niespodziewanie wprowadzić Postuma do senatu. Zażąda unieważnienia dekretu o banicji i postawi kandydaturę swego wnuka na konsula w miejsce Tyberiusza. Powrót Postuma stanowi dla niej poważne niebezpieczeństwo. Przecież to on oskarżył ją o otrucie swego ojca i braci i August niewątpliwie nie przywróciłby go do łaski, gdyby zarzuty te uważał za bezpodstawne. Najlepszym swym szpiegom kazała śledzić Fabiusza w nadziei, że ten ich naprowadzi na trop niewolnika Klemensa. Ich wszystkie wysiłki spełzły jednak na niczym.

Na wszelki wypadek postanowiła nie czekając dłużej usunąć niewygodnego świadka.

Pewnej nocy, kiedy zdążył do pałacu, napadły na niego zamaskowane zbiry. Fabiusz otrzymawszy dwanaście ran sztyletem wyzionął ducha -

mordercy umknęli bez śladu. Podczas pogrzebu zdarzyła się rzecz skandaliczna. Marcją rzuciła się na zwłoki i z płaczem zaczęła błagać o przebaczenie, wołając, że ona jest winna śmierci męża, że zabiła go przez brak zastanowienia i nieposłuszeństwo. Nikt jednak się nie domyślał, co chce przez to powiedzieć, i skłaniano się ku przypuszczeniu, że z bólu straciła zmysły.

14 r.n.e.

Liwia poleciła Tyberiuszowi utrzymywać z sobą w czasie podróży na Bałkany stałą łączność i posuwać się jak najwolniej. Możliwe, że lada moment przyzwie go do Rzymu.

August, który odprowadził pasierba aż do Neapolu, wracał teraz bez pośpiechu wzdłuż wybrzeży. Nagle rozchorował się na żołądek. Liwia ofiarowała się przyrzadzać mu sama pokarmy, ale cesarz podziękował, twierdząc, że to przejściowe niedomaganie i sam sobie da z nim radę. We własnej podróźnej apteczce wyszukał silny środek na przeczyszczenie, zażył go i cały następny dzień przepościł. Wręcz zabronił Liwii troszczyć się o swoje zdrowie, oświadczając, że ona i bez tego ma dosyć kłopotów; z uśmiechem odsunął przyniesione mu jedzenie, zadowalając się kęsem chleba z ogólnego stołu i wodą z tego samego dzbanka, z którego Liwia nalała wpierw kubek dla siebie. Do tego zjadł jeszcze parę fig własnoręcznie zerwanych z drzewa. Na pozór w jego stosunku do Liwii i Liwii do niego nic się nie zmieniło, ale każde z nich czytało w myślach drugiego.

Pomimo wszystkich środków ostrożności August czuł się coraz gorzej i pod Nolą musiał przerwać podróż. Liwia bezzwłocznie wysłała do Tyberiusza list wzywający go do powrotu. Kiedy Tyberiusz przybył, powiedziano mu, że cesarz już kona i co chwila dopytuje się o niego. Już pożegnał się z kilku byłymi konsulami, którzy na wieść o chorobie przybyli pośpiesznie z Rzymu. August posługując się zwrotem używanym zwykle przez aktorów na koniec występu, zapytał ich z uśmiechem, czy dobrze odegrał swą rolę. A gdy ci śmiejąc się również, choć niejeden miał łzy w oczach, odparli, że trudno lepiej zagrać,

dodał:

- A więc pożegnajcie mnie oklaskami!*[Comoedia finita, plaudite! - miały to być ostatnie słowa Augusta. Por. Swetoniusz, Boski August, r. 99.]

Tyberiusz spędził u łóżka cesarza trzy godziny, po czym wyszedł i złamanym głosem oświadczył, że Ojciec Ojczyzny oddał przed chwilą ducha w ramionach Liwii. W ostatnich swych słowach przesyła pozdrowienie dla niego, dla senatu i dla całego narodu.

- Bogom niech będą dzięki, że pozwolili mi zdążyć na czas i mogłem zamknąć powieki mego ojca i mego dobrodzieja - zakończył.

W rzeczywistości jednak August umarł już poprzedniego dnia; Liwia zataiła śmierć, wydając co parę godzin na przemian pomyślne i niepomyślne biuletyny o stanie zdrowia cesarza. Dziwnym zbiegiem okoliczności umarł w tym samym pokoju, w którym przed siedemdziesięciu pięciu laty skonał jego ojciec.

Pamiętam dobrze chwilę, kiedy otrzymałem wiadomość o zgonie Augusta. Było to dwudziestego sierpnia. Siedząc do późna w nocy nad pracą, zasnęłam tego rana; w lecie było mi zawsze łatwiej pracować w nocy i sypiać w dzień. Zbudzili mnie dwaj starzy rycerze, którzy przeproszając, że przerywają wypoczynek, oświadczyli, iż zmusza ich do tego zdarzenie najwyższej wagi. August nie żyje i stan rycerski na nadzwyczajnym zebraniu wybrał mnie swym delegatem do senatu. Miałem poprosić, aby zezwolono przedstawicielom rycerstwa zanieść na własnych barkach mary z ciałem cesarza do stolicy. Nie rozbudzony jeszcze całkiem, zacząłem krzyczeć współprzycie:

- Trucizna jest królową! Trucizna jest królową!

Delegaci spojrzeli po sobie z niepokojem. Ja już jednak ocknąłem się i przeprosiłem ich za swoje zachowanie, tłumacząc, że miałem zły sen i wykrzykuję usłyszane w nim słowa.

Następnie poprosiłem, żeby powtórzyli swoje poselstwo. Gdy uczynili zadość memu żądaniu, podziękowałem za zaszczyt, jakim mnie obdarzyli i

obiecałem wywiązać się jak najlepiej z włożonego na me barki zadania. Prawdę mówiąc, reprezentowanie stanu rycerskiego nie było żadnym zaszczytem. Rycerzem zostawał każdy wolno urodzony, nieposzlakowanej opinii obywatel, o ile posiadał odpowiedniej wysokości majątek. Ze względu na moje koligacje nawet przy bardzo przeciętnych uzdolnieniach mógłbym być, podobnie jak mój rówieśnik Kastor, poważnym członkiem senatu. Obecny wybór zawdzięczałem temu, że jeden jedyny z całej rodziny cesarskiej należałem wciąż jeszcze do niższego stanu i że obdarzenie mnie tym zaszczytem nie budziło wśród rycerstwa zawiści. W ten sposób po raz pierwszy brałem udział w posiedzeniu senatu i wygłosiłem przemówienie. Przy tym ani się nie zająknąłem, ani nie utknąłem w poszukiwaniu jakiegoś wyrazu - jednym słowem nie skompromitowałem się niczym.

ROZDZIAŁ XIV

Wprawdzie wiadomo było, że August w ostatnich czasach coraz bardziej podupada na siłach i niewiele życia mu zostało, lecz Rzym z początku nie mógł się oswoić z myślą, że cesarz już nie żyje. Nie będzie to czczym frazesem, jeśli powiem, że czuł się jak małe dziecko po niespodziewanej śmierci ojca. Bez względu na to, jakim człowiekiem jest ojciec, tchórzem czy odważnym, sprawiedliwym czy niesprawiedliwym, szlachetnym czy podłym, jest przede wszystkim ojcem, którego w gruncie rzeczy nie zastąpi żaden stryj ani starszy brat. Rządy Augusta trwały bardzo długo i niejeden człowiek dziś w dojrzałym wieku pamiętał je z czasów najwcześniejszego dzieciństwa. Nic dziwnego więc, że senat się zastanawiał, czyby nie rozszerzyć na stolicę kultu boskiego, jaki oddawały cesarzowi prowincje.

Jedynym senatorem, który miał pod tym względem zastrzeżenia, był Gallus, syn Polliona. Tyberiusz nienawidził go z całego serca, Gallus bowiem nie tylko ożenił się z jego pierwszą żoną, ukochaną Wipsanią, ale uchodził nawet za ojca Kastora i nie troszczył się wcale o zdementowanie tych pogłosek. Ponadto miał niezwykle cięty dowcip i nieraz dał się memu stryjowi we znaki. Gallus, kiedy usłyszał wniosek o wprowadzeniu do stolicy kultu Augusta, zapytał, czy zauważono jakieś znaki każące przypuszczać, że zmarły cesarz został przyjęty do grona niebian nie tylko na podstawie rekomendacji swych śmiertelnych przyjaciół i wielbicieli.

W senacie zapanowało kłopotliwe milczenie. Wreszcie dźwignął się z wolna Tyberiusz.

- Przed stu dniami - rzekł - jak pamiętacie, piorun uderzył w cokół, na którym znajduje się posąg mego ojca Augusta. Z wykutego na cokole napisu uległa zniszczeniu pierwsza litera. Pozostało AESAR AUGUSTUS. Cóż oznacza zniszczona litera C? Cyfrę sto.

A słowo AESAR? O tym zaraz się dowiedziecie. Aesar po etrusku znaczy - bóg. Wynika z tego, że w sto dni po uderzeniu piorunu August zostanie w Rzymie bogiem. Czyż można się domagać wyraźniejszej wróżby?

Chociaż całą tę interpretację Tyberiusz później przypisał sobie, w rzeczywistości ja pierwszy wskazałem na znaczenie słowa AESAR, gdyż byłem jedynym w Rzymie człowiekiem znającym język etruski. Na nowy sens napisu zwróciłem najpierw uwagę mojej matki. Odburknęła na to, że tylko w mojej głowie mogą się wylęgać podobne brednie.

Pomimo to jednak słowa moje wywarły widać na niej wrażenie i musiała je powtórzyć Tyberiuszowi. Tylko ona mogła to zrobić, gdyż poza tym nie mówiłem o moim odkryciu nikomu.

Gallus zapytał, dlaczego Jowisz wyraził swą wolę po etrusku, a nie po grecku lub łacinie. Czy może ktoś pod przysięgą zeznać, że widział inne, bardziej przekonujące wróżby? Można uchwalać nowe bóstwa dla półdzikich Azjatów, ale dostojny senat powinien się dobrze zastanowić, zanim kulturalnym obywatelom każe oddawać boską cześć jednemu z ich grona, choćby nawet bardzo zasłużonemu.

Gallus, apelując w ten sposób do rzymskiej dumy i rzymskiego zdrowego rozsądku, byłby może udaremnił wniosek, gdyby nie jeden z wyższych urzędników, niejaki Attyk. Ten uroczyście zapewnił zebranych, że na własne oczy widział, jak duch Augusta uleciał ku niebu. Gdy mianowicie stos ze zwłokami cesarza zaczął już płonąć, nadpłynął nagle obłok, August zaś wstąpiwszy na niego uniósł się w górę. W podobny sposób mieli wedle tradycji być wzięci do nieba Romulus i Herkules. Na zakończenie Attyk ofiarował się prawdziwość swych słów poprzeć przysięgą na wszystkie bóstwa Rzymu.

Przemówienie powitano gromkimi oklaskami, a Tyberiusz z triumfującym uśmiechem spytał Gallusa, czy ma jeszcze coś do powiedzenia. Gallus nie dał za wygraną; zabrawszy głos przypomniał zebrany drugą, równie dawnych czasów sięgającą wersję o śmierci i zniknięciu Romulusa. Wersję ową

- mówił - cytują najpoważniejsi historycy równorzędnie z drugą, o której mówił jego czcigodny i prawdomówny przyjaciel Attyk. Wedle niej Romulus miał być tak znienawidzony z powodu tyrańskich rządów, jakie sprawował nad wolnym narodem, że pewnego dnia senatorowie, korzystając z nagle powstałej mgły, zamordowali i poćwiartowali króla, a kawałki ciała wynieśli ukryte pod odzieniem.

- A jak to było z Herkulesem? - wyrwał się ktoś nagle.

- Tyberiusz w swojej wspaniałej mowie pogrzebowej - zaczął Gallus - wskazał na nietrafność porównywania Augusta z Herkulesem.”Herkules - że przypomnę własne słowa mówcy - walczył w dzieciństwie z węzami, jako dojrzały mąż z jeleniem, dzikiem i lwem, ale czynił to wbrew swojej woli, na rozkaz. August natomiast walczył z ludźmi z własnej woli; i tak dalej, i tak dalej. Moim jednak zdaniem, porównaniu sprzeciwiają się jeszcze bardziej okoliczności, w jakich umarł Herkules.”

Powiedziawszy to usiadł. Aluzja zrozumiała była dla każdego, kto tylko chwilę się zastanowił. Wedle legendy Herkules umarł otruty przez żonę.

Wniosek o deifikację Augusta przeszedł. Wzniesiono mu przybytki w Rzymie i sąsiednich miastach. Sprawowanie kultu powierzono specjalnie powołanym kapłanom, na których czele, jako arcykapłanka, stanęła Liwia. W tym samym czasie senat przyznał jej tytuł Julii i Augusty. Attyk dostał od Liwii dziesięć tysięcy aureusów i nominację na kapłana Augusta, przy czym zwolniono go nawet od wysokiej opłaty, jaką trzeba było wkupić się do kolegium. Ja również zostałem jednym z kapłanów, ale jako wnuk Liwii musiałem zapłacić za ten zaszczyt sumę znacznie wyższą niż ktokolwiek inny. Nikt nie śmiał zapytać, czy oprócz Attyka widział ktoś jeszcze wniebowstąpienie Augusta. Krążyła anegdota, że w nocy przed pogrzebem Liwia kazała na szczycie stosu ukryć klatkę z orłem. Od drzwiczek klatki przeprowadzono niewidoczny dla otoczenia sznurek tak, żeby z chwilą podpalenia stosu można było jednym pociągnięciem otworzyć klatkę i wypuścić

orła. Ulatujący ptak byłby wzięty za ducha Augusta. Niestety, cud się nie powiódł. Drzwiczki stawily nieprzewidziany opór. Oficer, któremu powierzono misję wypuszczenia orła, zamiast poświęcić ptaka na skryte całopalenie, wdrapał się na stos i otworzył klatkę. Liwii nie pozostawało nic innego, jak nadać temu wypadkowi znaczenie symbolicznego obrzędu, dokonanego na jej polecenie.

Nie będę opisywał pogrzebu Augusta, choć równie wspaniałego nie widziano dotąd w Rzymie. Najwyższy czas, żebym zaczął streszczać się i pomijać rzeczy nieistotne.

Już zapełniłem trzynaście lub więcej rolek doskonałego papirusu - którego zapas niedawno zakupiłem w tej nowej wytwórni - a nie ma jeszcze nawet jednej trzeciej zamierzonego dzieła.

Nie mogę jednak nie wspomnieć o testamencie, którego otwarcia oczekiwano z niebywałym zaciekawieniem i niecierpliwością. Ale nikt chyba nie czekał z tak bijącym sercem jak ja.

Dlaczego, zaraz wyjaśnię.

Na jakiś miesiąc przed śmiercią August, złożony wizytę mojej matce, która po ciężkiej i długiej chorobie zaczęła właśnie wracać do zdrowia, zjawił się nagle w moim gabinecie. Na dany znak świta zostawiła nas samych i cesarz wdał się ze mną w rozmowę.

Nie patrzył mi przy tym w oczy i miałem wrażenie, że przyszedł w jakimś specjalnym interesie, do którego niesporo mu było od razu przystąpić. Jednym słowem zachowywał się tak, jakbym to ja był Augustem, a on Klaudiuszem. Wziął jedną z moich prac, przeczytał kawałek i rzekł z uznaniem:

- Doskonały styl. Kiedy zamierzasz skończyć?

Dowiedziawszy się, że książka ma być gotowa za miesiąc, pogratulował mi i przyrzekł na własny koszt urządzić publiczną lekturę tego dzieła i do wysłuchania go zaprosić swych przyjaciół. Otworzyłem szeroko oczy, ale cesarz, nie zwracając uwagi na moje zdumienie, zaczął doradzać mi po

przyjacielsku, żebym zrezygnował z czytania osobiście; zawodowy recytator potrafi lepiej wywiązać się z tego zadania, autorowie występując publicznie mają zawsze tremę. Nawet stary Pollion przyznał się kiedyś, że jest w tych wypadkach bardzo podenerwowany.

Podziękowałem jak najserdeczniej i powiedziałem, że niewątpliwie zawodowy recytator lepiej da sobie radę ode mnie, o ile tylko książka rzeczywiście zasługuje na taki zaszczyt...

Wtedy August wyciągając rękę zapytał nagle:

- Klaudiuszu, czy masz żal do mnie?

Cóż miałem na to powiedzieć? Łzy mi nabiegły do oczu i z trudem wybełkotałem, że go wielce poważam; że nie wyrządził mi nigdy żadnej krzywdy, z powodu której mógłbym mieć żal do niego.

- Ale z drugiej strony niewiele uczyniłem, żeby pozyskać twą miłość - rzekł z westchnieniem. - Poczekaj jeszcze kilka miesięcy, a mam nadzieję, że zasłużę na twą miłość i wdzięczność. Germanik dużo mi o tobie opowiadał. Podobno trzem rzeczom nie sprzeniewierzasz się nigdy: przyjaciołom, Rzymowi i prawdzie. Byłbym dumny, gdyby Germanik mógł to samo o mnie powiedzieć.

- Miłość Germanika do ciebie równa się prawie ubóstwieniu. Wspominał mi o tym nie raz.

Twarz Augusta się rozjaśniła.

- Możesz na to przysiąc? Jestem bardzo szczęśliwy. Tak więc, mój Klaudiuszu, łączy nas teraz silny węzeł - dobra opinia Germanika o nas obu. Widzisz, przyszedłem tu dziś, żeby ci powiedzieć: przez wiele lat postępowałem z tobą niesprawiedliwie; ale zobaczysz, że od dzisiaj się zmienię. - Zacytował następnie po grecku: - "Kto cię zranił, winien cię uleczyć" - i uściskał mnie serdecznie.

Już na odchodnym dorzucił odwracając głowę:

- Byłem dziś u westalek, żeby poczynić kilka ważnych zmian w pewnym dokumencie pozostającym pod ich opieką. A ponieważ pośrednio przyczyniłeś

się do tych zmian, więc postarałem się, żeby zapewniły ci zaszczytniejsze niż dotychczas stanowisko. Ale ani słowa nikomu!

- Będę milczał jak grób, możesz mi uwierzyć.

Jedną rzecz tylko mógł mieć na myśli. Uwierzył w prawdę słów Postuma, opowiedzianych przeze mnie Germanikowi, i w testamencie, złożonym pod opieką westalek, przywracał wnukowi prawa spadkobiercy; a pamiętał też i o wynagrodzeniu mojej lojalności.

Nie wiedziałem wtedy naturalnie o wizycie Augusta na Planazji, ale w skrytości ducha spodziewałem się, że Postum zostanie sprowadzony z należnymi mu honorami.

Spotkał mnie zawód. Ponieważ istnienie nowego testamentu August utrzymywał w ścisłej tajemnicy, nie wiedział o nim nikt z wyjątkiem świadków, którymi byli Fabiusz Maksym i paru dziecienniałych ze starości kapłanów. Łatwo więc było dokument ten usunąć na rzecz innego, spisane przed sześciu laty, a wydziedziczającego Postuma.

Testament rozpoczynał się od słów:

„Wobec tego, że okrutne losy pozbawiły mnie synów, Gajusza i Lucjusza, wolą mą jest obecnie, aby dziedzicem dwóch trzecich mego majątku stał się przede wszystkim Tyberiusz Klaudiusz Nero Cezar; dalej wolą mą jest, aby dziedziczką pozostałej jednej trzeciej majątku, również w pierwszym rzędzie, stała się ukochana żona moja Liwia, o ile senat mając na uwadze jej zasługi dla państwa pozwoli łaskawie na dziedziczenie w tym stosunku, który przekracza dział wdowy, należny jej wedle prawa.”

W drugiej kolejności, to znaczy na wypadek śmierci lub niezdolności do dziedziczenia głównych spadkobierców, prawa ich przechodziły na wnuków i prawnuków cesarza z linii julijskiej, z wyłączeniem tych, którzy by podpadli infamii. W ten sposób wydziedziczony został Postum. Pozostawali więc: Germanik, jako adoptowany syn Tyberiusza i mąż Agryppiny; Agryppina i jej dzieci; Kastor, Liwilla i ich dzieci. Kastor miał dziedziczyć w jednej trzeciej, a

Germanik i jego rodzina w dwóch trzecich. W trzeciej kolejności testament wymieniał różnych senatorów i dalekich krewnych, wymienienie to jednak miało charakter raczej łaski cesarskiej, gdyż prawdopodobieństwo przejścia spadku na nich było prawie żadne. Trudno sobie wyobrazić, żeby August liczył się z wymarciem tylu spadkobierców pierwszego i drugiego stopnia. Spadkobiercy trzeciego stopnia zostali podzieleni na trzy kategorie. Dziesięciu najbardziej uprzywilejowanych miało dziedziczyć wspólnie połowę majątku. Następnym pięćdziesięciu jedną trzecią, a wreszcie pięćdziesięciu ostatnich jedną szóstą. Ostatnie nazwisko w tej ostatniej grupie ostatniego rzędu brzmiało:

Tyberiusz Klaudiusz Druzus Neron Germanik, co oznaczało po prostu Klau-Klau-Klaudiusza albo Klaudiusza Idiotę, albo - jak zwykły mnie wołać dzieci Germanika - biednego stryjka Klodzia. O Julii ani Julilli nie było żadnej wzmianki z wyjątkiem zastrzeżenia, żeby popiołów ich, kiedy umrą, nie umieszczano w mauzoleum obok urny z popiołami cesarza.

Augustowi w ciągu ostatnich dwudziestu lat wielu z przyjaciół, których przeżył, przekazywało znaczne legaty, sięgające w ogólnej sumie przynajmniej stu czterdziestu milionów w złocie. Choć cesarz prowadził życie niezwykle skromne, wydawał jednak takie sumy na świątynie i budowle publiczne, na podarki dla ludu i igrzyska, na wojny

(w razie braku pieniędzy w skarbie) i różne inne potrzeby państwa, że z tych stu czterdziestu milionów oraz pokaźnej liczby prywatnych dochodów z różnych źródeł pozostało tylko piętnaście; z tego część zaledwie w gotówce. Nie liczę tutaj pokaźnej, bo dwu milionów aureusów sięgającej sumy, która znajdowała się w workach w podziemiach Kapitolu, a była przeznaczona na drobne legaty dla sprzymierzonych władców, senatorów, rycerzy i ludu rzymskiego. Poza tym istniał jeszcze specjalny fundusz na pogrzeb. Wszyscy byli zaskoczeni szczupłością pozostawionego majątku i zaczęły krążyć różne pogłoski, aż dopiero publiczne ogłoszenie rachunków Augusta wykazało, że egzekutorzy nie dopuścili się żadnego nadużycia. Obywatele byli w wysokim

stopniu niezadowoleni ze skromnych legatów, jakie im przypadły. Podczas urzązonego na koszt państwa przedstawienia ku czci Augusta doszło w teatrze do buntu. Senat okazał takie sknerstwo, że jeden z aktorów, któremu ofiarowano zbyt niską gażę, nie chciał wystąpić. O niezadowoleniu w armii opowiem później.

Teraz przede wszystkim parę słów o Tyberiuszu.

August uczynił Tyberiusza współrządcą i swoim spadkobiercą, nie mógł mu jednak przekazać w spadku monarchii - a przynajmniej nie mógł uczynić tego całkiem otwarcie.

Mógł go tylko polecić senatowi, do którego wracała teraz władza, jaką sprawował.

Senat, niechętny Tyberiuszowi, wcale nie pragnął go widzieć cesarzem, ale Germanik, któremu woleliby oddać naczelną władzę, bawił poza Rzymem. Zresztą, pretensje Tyberiusza nie były nieuzasadnione i nie można było przejść nad nimi do porządku dziennego.

Kiedy więc konsulowie wystąpili z wnioskiem, aby poprosić Tyberiusza, "by zechciał kontynuować dzieło Augusta, nikt nie wysunął innej kandydatury i nie zaprotestował przeciw wnioskowi konsulów. Tyberiusz wzdragał się przed przyjęciem władzy, podkreślając z jednej strony ogrom odpowiedzialności, jaką chcą go obarczyć, z drugiej wrodzoną skromność.

Tylko bóg August - oświadczył - potrafił udźwignąć podobny ciężar. Co się tyczy jego, uważa za najwłaściwsze podzielić obowiązki spełniane przez Augusta między trzech mężów.

W ten sposób na każdego spadnie tylko część odpowiedzialności.

Senatorowie, zabiegający skwapliwie o łaski nowego władcy, nie dali się przekonać.

Institucja triumwiratu - twierdzili - została w ubiegłym stuleciu kilkakrotnie wypróbowana; okazało się wreszcie, że tylko jedynowładztwo zdolne jest uchronić państwo od klęsk wojny domowej. Tu nastąpiła scena

bardzo niesmaczna. Senatorowie z udanym płaczem zaczęli obejmować Tyberiusza za kolana i błagać, żeby nie odmawiał ich prośbie.

Tyberiusz położył wreszcie kres tej komedii, oświadczając, że nie uchyla się bezwzględnie od ciężaru, nie czuje się jednak na siłach przyjąć go w całości. Nie jest już przecież młodym człowiekiem - tłumaczył - ma pięćdziesiąt sześć lat i wzrok mu już nie dopisuje. Weźmie jednak na siebie ten dział, który mu zechcą powierzyć.

Mówił to wszystko w tym celu, żeby nie można mu było później zarzucić, iż gwałtem pchał się do władzy. Chodziło też o to, żeby Germanik i Postum (gdziekolwiek ten ostatni mógł się podziwiać) odnieśli wrażenie, że stanowisko Tyberiusza w stolicy jest bardzo silne.

Obawiał się zwłaszcza Germanika, który w armii cieszył się znacznie większą niż on popularnością. Nie przypuszczał wprawdzie, żeby bratanek pokusił się o władzę z egoistycznych pobudek, lecz obawiał się, że gdyby doszła go wiadomość o unieważnieniu pierwszego testamentu, mógłby zabiegać o przywrócenie Postumowi praw spadkobiercy lub nawet utworzyć nowy triumwirat, złożony z Tyberiusza, Germanika i Postuma.

Agryppina była bardzo przywiązana do brata, a Germanik słuchał rad żony jak ongiś August Liwii.

Tyberiusz rozumiał doskonale, że gdyby Germanik pomaszerował na Rzym, senat in corpore wyszedłby naprzeciw powitać go uroczyście. A wtedy dzięki swej obecnej skromności, mógłby przynajmniej ocalić głowę i żyć w zaciszu jako człowiek prywatny, ale cieszący się ogólnym szacunkiem.

Senat domyślił się, że Tyberiuszowi w gruncie rzeczy zależy na władzy, którą odsuwał gestem skromności, i już chciał powtórzyć prośby, kiedy zabrał głos Gallus i zapytał prosto z mostu:

- No więc dobrze, Tyberiuszu, a jaki dział władzy chcesz objąć?

Tyberiusz nie spodziewał się tak otwartego postawienia sprawy i zmieszany milczał przez chwilę. Wreszcie odparł:

- Nie może ten sam człowiek dzielić i wybierać równocześnie, a gdyby to nawet było możliwe, nie licowałoby z wrodzoną mi skromnością wybierać albo odrzucać pewien dział spraw państwowych, z chwilą kiedy, jak powiedziałem, uniknąłbym chętnie przyjęcia całego ciężaru.

Gallus, wykorzystując swoją przewagę, napierał:

- Władzę można podzielić tylko w ten sposób: najpierw Rzym i cała Italia, potem armia, a wreszcie prowincje. Co z tych trzech rzeczy wybierasz?

Widząc, że Tyberiusz milczy, ciągnął dalej:

- Dobrze. Wiedziałem, że nie otrzymam odpowiedzi. Dlatego też pytałem. Milcząc przyznajesz, że wprowadzenie podziału w system rządów zorganizowanych i scentralizowanych przez jednostkę, która sobie wszystko podporządkowała, jest nonsensem.

Albo musimy wrócić do ustroju republikańskiego, albo kontynuować monarchię. Jak się okazuje, senat skłania się ku monarchii, szkoda więc czasu na rozprawianie o triumwiratach.

Ofiarowano ci władzę królewską - bierz ją lub nie.

Wtedy wstał inny z senatorów, przyjaciel Gallusa.

- Jako trybun masz prawo zgłoszenia weta przeciw wnioskowi konsulów ofiarujących ci władzę monarszą. Jeżeli więc rzeczywiście nie chcesz jej przyjąć, powinienes był już pół godziny temu zgłosić formalny sprzeciw.

Tak więc Tyberiusz musiał przeprosić senat oświadczając, że zbyt nagły i niespodziewany wniosek konsulów zaskoczył go; prosi o udzielenie mu czasu do namysłu.

Senat zgodził się, a Tyberiusz pozwolił na następnych sesjach przyznawać sobie jeden po drugim cały szereg sprawowanych przez Augusta urzędów. Poza korespondencją z obcymi monarchami nie używał jednak tytułu Augusta, choć przeszedł on na niego w drodze dziedzictwa. Udaremniał też wszystkie próby uchwalenia mu czci boskiej. Jeszcze jedna przyczyna mogła tłumaczyć tę ostrożność. Liwia chełpiła się publicznie, że władzę monarszą Tyberiusz

otrzymał od niej w podarunku. Chciała w ten sposób nie tylko umocnić własną pozycję jako wdowy po Auguście, lecz przestrzec Tyberiusza, że w razie gdyby jej zbrodnie wyszły na jaw, będzie uważany za współnika, gdyż największą z nich odniósł korzyść.

Tyberiusz pragnąc ukryć, ile jej zawdzięcza, pospieszył stworzyć pozory narzucenia mu władzy przez senat.

Senat rozpływał się w pochlebstwach dla Liwii i pragnął uczcić ją w nie praktykowany dotychczas sposób. Lecz Liwia, jako kobieta, nie mogła być obecna na posiedzeniach senatu i prawnie pozostawała pod opieką Tyberiusza, który był obecnie głową rodu julijskiego. Tyberiusz jednak, odmawiając przyjęcia tytułu Ojca Ojczyzny, nie przyjął równocześnie w imieniu Liwii ofiarowanego jej tytułu Matki Ojczyzny. Nie pozwalała jej na to

- tłumaczył - wrodzona skromność. Chociaż w tym wypadku zdecydował na własną rękę, zasadniczo obawiał się matki i był od niej całkowicie zależny. Tylko ona bowiem mogła go wtajemniczyć w arkana rządów. A nie chodziło bynajmniej o brak rutyny ze strony Tyberiusza, chociaż i pod tym względem Liwia miała przewagę nad synem. W posiadaniu jej znajdował się zbiór tajnych dokumentów zawierających dane o wybitniejszych członkach obydwu stanów - senatorskiego i rycerskiego - a również o znaczniejszych kobietach; dalej, sekretne raporty rozmaitego rodzaju, prywatna korespondencja, jaką August prowadził ze sprzymierzonymi władcami i ich krewnymi; kopie ważnych listów przejętych w drodze, a po odpisaniu przesłanych dalej pod właściwym adresem, i tak dalej. Wszystkie te pierwszorzędnej wagi akta spisane były szyfrem, do którego klucz posiadała tylko Liwia. Bez jej pomocy Tyberiusz nie odczytałby ani słowa. Ale wiedział też, że i ona jest całkiem zależna od niego. Tak więc istniał pomiędzy obojgiem milczący układ wzajemnej pomocy.

Liwia nawet podziękowała synowi, że nie przyjął ofiarowanego jej tytułu, oświadczając, że postąpił zupełnie właściwie. Ze swej strony Tyberiusz zapewnił matkę, że jak tylko stanowisko ich będzie pewniejsze, każe uchwalić

przyznanie jej tytułów, jakich tylko zapragnie.

Na dowód swych dobrych chęci kazał na dokumentach państwowych umieszczać jej imię obok swego.

Ona znowu w dowód zaufania ofiarowała mu klucz urzędowego szyfru. Był to jednak inny szyfr, nie ten, którym spisane były akta tajnej kartoteki. Tajemnica tamtego - twierdziła - zesłała do grobu razem z Augustem.

A teraz przejdźmy do Germanika. Bawił właśnie w Lyonie, gdy doszła doń wieść o śmierci Augusta, jego ostatniej woli i objęciu rządów przez Tyberiusza. Uważał za swój obowiązek stanąć lojalnie po stronie nowego władcy. Był bratankiem i adoptowanym synem Tyberiusza, a choć nie łączyły ich gorętsze uczucia, potrafili doskonale z sobą współpracować i ani w domu, ani w czasie wypraw nie dochodziło między nimi do żadnych starć.

Germanik nie domyślał się, że Tyberiusz brał udział w intrydze, która spowodowała banicję Postuma.

Nie wiedział też nic o ukryciu drugiego testamentu i sądził, że Postum wciąż jeszcze bawi na Planazji, gdyż August z wyjątkiem Fabiusza nie wspomniał nikomu o swej bytności na wyspie i podstawieniu Klemensa na miejsce więźnia. Germanik postanowił powrócić do Rzymu jak najprędzej i otwarcie omówić z Tyberiuszem sprawę Postuma. Miał zamiar powtórzyć słowa Augusta, który prywatnie zapewnił go, że zamierza przywrócić Postuma do łask, z chwilą gdy będzie mógł przedstawić senatowi dowody niewinności wnuka.

Ponieważ tylko śmierć uniemożliwiła cesarzowi wykonanie zamiaru, obowiązkiem następcy jest spełnić wolę zmarłego. Germanik postanowił, że zażąda natychmiastowego ulaskawienia Postuma, zwrócenia mu skonfiskowanego majątku, odznaczenia jakimś wyższym urzędem, a następnie będzie nastawał na usunięcie od spraw państwa Liwii, jako tej, której machinacje spowodowały niesprawiedliwy wyrok. Zanim jednak zdołał postanowienie swe wprowadzić w czyn, dostał wiadomość z Moguncji, że w armii nadreńskiej wybuchła rewolta, a kiedy spieszył ją stłumić, przyszły wieści

o śmierci Postuma. Został zabity przez kapitana straży, który działał podobno w myśl instrukcji Augusta. Miał tajne zlecenie, aby z chwilą śmierci cesarza zgładzić jego wnuka. Wiadomość o tej egzekucji spadła jak grom na Germanika. Nie miał jednak czasu myśleć teraz o niczym innym poza rewoltą.

Możecie być pewni, że niemniej boleśnie odczuł śmierć Postuma biedny Klaudiusz, zwłaszcza że biedny Klaudiusz miał w tym okresie aż nadto wolnego czasu do rozmyślań i nieraz dobrze się natrudził, nim sobie wynalazł jakie zajęcie. Nikt nie potrafi siedzieć nad historycznym dziełem dłużej niż pięć do sześciu godzin dziennie, zwłaszcza jeżeli niewielkie istnieją widoki, że dzieło znajdzie czytelników. Byłem więc wydany na pastwę najczarniejszych myśli. Skądże miałem wiedzieć, że zabitym był Klemens, nie Postum, i że nie tylko morderstwa nie dokonano na rozkaz Augusta, lecz Liwia i Tyberiusz również byli w tym wypadku niewinni?

Cała odpowiedzialność za zamordowanie Klemensa spada na starego rycerza nazwiskiem Kryspus, właściciela ogrodów Salustiusza i bliskiego przyjaciela Augusta. Kiedy w Rzymie rozeszła się wieść o śmierci cesarza, Kryspus, nie pytając o zdanie Liwii i Tyberiusza, bawiących w Noli, wysłał bezzwłocznie do kapitana straży na Planazji rozkaz zgładzenia Postuma. Do rozkazu dołączył pieczęć Tyberiusza. Duplikat jej posiadał od czasów wojny bałkańskiej, kiedy stryj, spiesząc na front, upoważnił go do zawarcia w jego imieniu kilku umów handlowych, których osobiście nie mógł już załatwić. Kryspus w obawie, że Tyberiusz dowiedziawszy się o samowolnym użyciu pieczęci, wpadnie w gniew

(choćby dla zachowania pozorów), szukając wsparcia udał się do Liwii i wyjaśnił jej motywy swego postępowania. Miało rzekomo dojść do jego uszu, że wśród oficerów gwardii powstał spisek: postanowili uwolnić Julię i Postuma i oddać oboje pod opiekę Germanika stojącego na czele pułków w Kolonii, a następnie wraz z nim pomaszerować na stolicę.

Tyberiusz, kiedy się dowiedział, do czego posłużono się jego nazwiskiem,

wpadł rzeczywiście we wściekłość, ale Liwia postanowiła skorzystać z okazji i rozgłosiła wiadomość o śmierci Postuma. Kryspusowi nie wytoczono śledztwa, a senat został zawiadomiony, że Postum zakończył życie z rozkazu swego boskiego dziadka.

Doskonale to świadczy o mądrej przezorności Augusta. Przewidział on bowiem, że kiedy umrze, nieokiełznany młodzieniec sięgnie po najwyższą władzę. Spisek wykryty przez Kryspusa dowodzi, że obawy nie były płonne.

W rzeczywistości Kryspus nie myślał ani o pozyskaniu sobie względów Tyberiusza czy Liwii, ani o przeszkodzeniu wojnie domowej. Pomścił osobistą zniewagę. Będąc równie gnuśny, jak bogaty, chełpił się pewnego razu, że nigdy się nie ubiegał o urzędy i wystarczało mu być prostym rzymskim rycerzem, która to nazwa pochodzi od tego, że członkowie stanu rycerskiego w dawnych czasach służbę wojskową odbywali w konnicy. Postum, słysząc kiedyś te przechwałki, odrzekł:

- Ty zwykłym rzymskim rycerzem, Kryspusie? Wziąłbyś przynajmniej kilka lekcji zwykłej rzymskiej jazdy na koniu.

Tyberiusz dotychczas nie miał wieści o rewolcie, którą wszczęto w armii. Napisał do Germanika przyjacielski list z wyrazami współczucia z powodu śmierci Augusta.

Zaznaczył następnie, że oczy całego Rzymu są teraz skierowane na Germanika i jego brata Kastora; w nich cała nadzieja obrony granic. On sam, Tyberiusz, jest już za stary, żeby wojować po obcych ziemiach, więc senat powierzył mu kierownictwo spraw w Rzymie. Donosząc o śmierci Postuma przyznawał, że jest głęboko wstrząśnięty okolicznościami, w jakich zginął wnuk Augusta, nie może jednak kwestionować mądrości rozkazu cesarza w tej sprawie. O

Kryspusie nie wspomniał ani słowem. Germanik mógł stąd wywnioskować, że na podstawie jakichś jemu nie znanych dowodów August zmienił powtórnie swój sąd o Postumie.

ROZDZIAŁ XV

Rewolta nad Renem świadczyła o solidaryzowaniu się stacjonujących tam pułków z armią bałkańską, w której w tym czasie również wybuchły zamieszki. Rozgoryczenie wojska wywołał testament Augusta polecający wypłacić żołnierzom skromną sumę trzech sztuk złota na głowę, co równało się zaledwie czteromiesięcznemu żołdowi. Przy tej sposobności przypomniano sobie o różnych dawniejszych pretensjach i liczone, że Tyberiusz ze względu na swoją niepewną sytuację zechce zyskać poparcie armii i spełni wysunięte przez nią żądania. Domagano się mianowicie podniesienia żołdu, skrócenia czasu służby do lat szesnastu[* Skrócona za cesarstwa służba wojskowa trwała w legionach lat 20, w jednostkach pomocniczych - 25, a w gwardii cesarskiej - 16.] i złagodzenia dyscypliny. Żołd był niewątpliwie bardzo szczupły; żołnierze musieli uzbroić się i wyekwipować na własny koszt, a ceny poszły w górę. Wobec wyczerpania rezerw zatrzymano pod bronią tysiące wysłużonych żołnierzy, którym już dawno należała się odprawa, a ponadto powołano weteranów zupełnie niezdatnych do pełnienia służby. Oddziały utworzone niedawno z wyzwoleńców okazały się tak kiepskim materiałem bojowym, że Tyberiusz uważał za konieczne wzmocnić dyscyplinę. Do oddziałów tych odkomenderowywał najbardziej

„pieskich”, znanych z surowości dowódców, polecając, żeby nie dawali ludziom chwili wytchnienia i jak najczęściej zaznajamiali ich plecy z prętem winorośli, który był oznaką szarzy owych oficerów.

Na Bałkanach stacjonowały w letnich kwaterach trzy pułki. Kiedy przyszła wiadomość o śmierci Augusta, dowodzący generał zwolnił żołnierzy na trzy dni ze wszystkich zajęć i parad. Ten krótki wypoczynek wystarczył do rozprężenia karności i kiedy znów zarządzono przegląd, żołnierze, zamiast stawić się do apelu, wysłali delegację, która przedłożyła dowódcy wiele żądań.

Generał odrzekł, że nie jest upoważniony do pertraktowania, i ostrzegł przed manifestacją mającą wszelkie pozory buntu.

Żołnierze nie posunęli się wprawdzie do gwałtów, ale odmówili spełnienia rozkazów i zmusili generała, żeby wysłał do Rzymu swego syna i za jego pośrednictwem przedstawił Tyberiuszowi żądania armii. Generał ustąpił i wysłał syna, lecz zamęt wzrósł jeszcze bardziej. Mniej karni zaczęli plądrować kwatery i okoliczne wioski, a gdy generał kazał przywódców aresztować i zamknąć na odwachu, towarzysze uwolnili ich siłą, mordując kapitana, który stawiał opór.

Kapitan ten miał przydomek Stary Daj-Drugi, bo złamawszy jeden kij na grzbiecie któregoś z szeregowców, miał zwyczaj wołać o drugi i trzeci. Kiedy syn generała przybył do Rzymu, Tyberiusz wysłał na pomoc Kastora na czele dwóch batalionów gwardii, szwadronu gwardii konnej i większej części przybocznego batalionu złożonego z Niemców. Z Kastorem, w charakterze jego zastępcy, wyruszył pewien oficer sztabowy, nazwiskiem Sejan, syn komendanta gwardii, jednego z nielicznych przyjaciół Tyberiusza. O tym Sejanie piszę obszerniej w innym miejscu. Kastor wystąpił wobec żołnierzy z godnością i bez trwogi.

Przeczytał im list ojca, w którym Tyberiusz oświadczył, że gdy tylko przyjdzie do siebie po ciężkim ciosie, jakim była dlań śmierć Augusta, zajmie się życzliwie swymi zwycięskimi pułkami, tak mu bliskimi dzięki tylu trudom wojennym wspólnie przeżyтым, i przedstawi ich żądania senatowi. Na razie wysłał im swego syna, aby we własnym zakresie poczynił wszelkie możliwe ustępstwa; reszta musi być pozostawiona decyzji senatu.

Buntownicy uprosili jednego z oficerów, żeby wystąpił w ich imieniu, żaden z żołnierzy bowiem nie chciał podjąć się tej roli w obawie, żeby nie został później ukarany jako jeden z przywódców rebelii. Kastor wysłuchawszy żądań oświadczył z ubolewaniem, że spełnienie ich przekracza jego kompetencje. O tego rodzaju sprawach, jak skrócenie służby do lat szesnastu, zwolnienie

weteranów i podwyższenie żołdu do wysokości pełnego sesterca dziennie, może zadecydować tylko jego ojciec albo senat.

Oświadczenie to przyjęto jak najgorzej. Więc po jakież licho przyjechał - zaczęli krzyczeć żołnierze - jeśli nie może dla nich nic zrobić?! Tyberiusz już nie raz urządził im ten sam kawał. Ilekroć przedstawiali mu jakieś pretensje, zasłaniał się zawsze Augustem i senatem. A cóż to znowu za wielka rzecz ten senat?! Banda bogatych darmozjadów, nicponiów, z których większość skonałaby ze strachu na sam widok nieprzyjacielskiej tarczy lub wyciągniętego miecza. W Kastora i jego świtę zaczęto rzucać kamieniami i sytuacja stawała się groźna. Z odsieczą przyszedł szczęśliwy traf. Tej nocy wypadło właśnie zaćmienie księżyca; zjawisko to na zabobonnych żołnierzach wywarło niebywałe wrażenie.

- Niebo gniewa się na nas, żeśmy się zbuntowali i zabili Starego Daj-Drugiego - szeptali między sobą.

Wśród buntowników była pewna liczba takich, którzy z konieczności tylko przyłączyli się do rewolty, a w głębi duszy pozostali lojalni i pragnęli przywrócenia ładu.

Jeden z nich udał się do Kastora i poradził mu, żeby zebrał przeciwników buntu i porozysłał ich po dwóch lub trzech po całym obozie; niech obejdą wszystkie namioty i spróbują ludziom przemówić do rozsądku. Kastor posłuchał rady i z rana zapanował w obozie całkiem odmienny nastrój.

Wprawdzie syn generała wyjechał powtórnie do Rzymu, wioząc petycję żołnierzy zaopatrzoną w przychylną opinię Kastora, ale dwóch ludzi, którzy, jak się okazało, podżegali innych do buntu, zostało ujętych i publicznie straconych. Egzekucja nie wywołała żadnych protestów, a buntownicy na dowód swojej lojalności dobrowolnie wydali pięciu zabójców oficera. Zdecydowanie jednak w dalszym ciągu odmawiali udziału w ćwiczeniach i pracach, z wyjątkiem najkonieczniejszych, aż do chwili otrzymania odpowiedzi z Rzymu.

Tymczasem nastąpiły długotrwałe ulewy utrudniające porozumiewanie się

żołnierzy z różnych namiotów.

Wzięto to za nowy znak ostrzegawczy niebios i zanim wysłannik miał czas powrócić, bunt został definitywnie poskromiony i pułki pod dowództwem swych oficerów pomaszerowały karnie na leża zimowe.

Rewolta nadreńska miała charakter o wiele poważniejszy. Niemcy rzymskie sięgały teraz na wschodzie do Renu i były podzielone na dwie prowincje: Niemcy Górne i Dolne.

Stolicą Górnych, które rozciągały się aż do Szwajcarii, była Moguncja; Dolnych, sięgających po Skaldę i Sambrę - Kolonia. W każdej z tych prowincji stała armia złożona z czterech pułków, a głównodowodzącym był Germanik. Zamieszki wybuchły w obozie letnim armii dolnoniemieckiej. Pretensje zgłaszano te same co na Bałkanach, ale postawa buntowników była bardziej zuchwała ze względu na większy procent nowo zaciężnych wyzwoleńców z Rzymu. Wyzwoleńcy ci w głębi duszy czuli się jeszcze niewolnikami i byli przyzwyczajeni do znacznie zbytkowniejszego i wygodniejszego życia niż wolno urodzeni obywatele, przeważnie ubodzy wieśniacy, którzy stanowili rdzeń armii. Nigdy nie stali się dobrymi żołnierzami, nie mieli esprit de corps. [poczucia solidarności] W ostatniej kampanii nie były to pułki Germanika, ale Tyberiusza.

Dowodzący armią generał stracił głowę i nie potrafił ukroczyć bezczelności buntowników, których tłum napierał na niego ze skargami i pogrózkami.

Zdenerwowanie dowódcy tylko ich rozzuchwaliło. Napadli na najbardziej znienawidzonych oficerów.

Dwudziestu z nich zatłukli na śmierć ich własnymi prętami z winorośli i ciała wrzucili do Renu; resztę wśród śmiechów i obelg wypędzono z obozu. Jedynym z wyższych oficerów, który śmiało stawił opór temu niebывалemu rozwydrzeniu, był Kasjusz Cherea.

Oblężony przez sporą gromadę rozbastwionych żołnierzy, nie usiłował wymknąć się ani błagać o litość.

Z mieczem w ręku, zadając ciosy na lewo i prawo, przedarł się aż do trybuny stojącej w środku obozu. Było to miejsce święte i wiedział dobrze, że żaden z żołnierzy nie odważy się tam go zaatakować.

Germanik nie posiadał batalionów gwardii do pomocy, na pierwszą wieść jednak o buncie wyruszył do obozu na czele nielicznej świty. Przybył nie jeszcze nie wiedząc o wymordowaniu oficerów. Tłuszcza otoczyła go z wrzaskiem, jak poprzednio swego generała.

Germanik spokojnie oświadczył, że nie będzie z nimi mówił, dopóki nie sformują się w kompanie i bataliony, każdy pod swoim znakiem. Chce wiedzieć, do kogo się zwraca.

Było to niewielkie ustępstwo na rzecz karności, a przy tym buntownicy byli ciekawi, co im powie. Stanąwszy w szyku, poczuli się znów żołnierzami, a choć po wymordowaniu oficerów nie mieli nadziei, żeby Germanik mógł im uwierzyć i przebaczyć, w sercach ich ożył sentyment do mego brata, jakim zresztą darzyła go cała armia. W szeregach było sporo weteranów, którzy w Niemczech pełnili służbę od dwudziestu pięciu i trzydziestu lat. Jeden z nich zawołał nagle:

- Jaki podobny do ojca!

Germanik, chcąc zmusić żołnierzy do większej uwagi, zaczął mówić nie podnosząc głosu. Wspomniawszy o śmierci Augusta, która była wielkim dla wszystkich ciosem, zapewnił jednak od razu, że umierający cesarz pozostawił po sobie niezniszczalne dzieło.

Pozostawił też następcę, który potrafi równie dobrze rządzić, jak wojować; on sam, Germanik, chciałby umieć tak prowadzić wojnę.

- Pamiętacie przecież sławne zwycięstwa mego ojca nad Niemcami. Wielu z was brało w nich udział.

- Nie było na świecie lepszego wodza ani lepszego człowieka - krzyknął któryś z weteranów. - Hura! Dla Germaników, ojca i syna. Hura!

Z właściwą sobie skromnością i prostotą brat mój zupełnie nie

przewidział efektu, jaki wywrą jego słowa. Mówiąc o ojcu miał na myśli Tyberiusza, weterani jednak sądzili, że mówi o swym prawdziwym ojcu, Druzusie; do Tyberiusza też odnosiły się słowa o następcy Augusta, lecz weterani znowu zrozumieli, że ma na myśli samego siebie. Nie dostrzegając tego qui pro quo mówił w dalszym ciągu o harmonii, jaka panuje teraz w Italii, i o lojalności Francuzów, z których kraju właśnie przyjeżdża. Nie może zrozumieć, skąd się wzięło tutaj to rozgoryczenie. Kto ich skrzywdził? Co się stało z kapitanami, pułkownikami, generałami?

Dlaczego nie widzi oficerów na czele ich oddziałów? Czy rzeczywiście jest prawdą, co słyszał, że ich wygnali z obozu?

- Jeszcze kilku z nas zostało przy życiu, Cezarze, i tuła się po okolicy - odezwał się nagle czyjś głos i poprzez szeregi przepchał się Kasjusz Cherea. Szedł utykając z lekka.

Pozdrowiwszy Germanika dodał: - Ale niewiele już nas. Ściągnęli mnie z trybuny i przez cztery dni trzymali związanego w wartowni, bez kęsa chleba. Dopiero przed chwilą jakiś stary żołnierz, pocziwina, uwolnił mnie.

- To ty, Kasjuszu! Z tobą tak postąpili?! Z człowiekiem, który z Teutoburskiego Lasu wyprowadził osiemdziesięciu ludzi, który ocalił most na Renie?

- Przynajmniej darowali mi życie - odparł Kasjusz.

- Czy to prawda? - zwrócił się Germanik do żołnierzy ze zgrozą w głosie.

- Ano, kto wiatr sieje, burzę zbiera - wyrwał się któryś.

Na te słowa powstał w szeregach nieopisany harmider. Żołnierze poczęli zrywać z siebie odzież i ukazywać blizny: na piersiach czysto zagojone, srebrzyste - zaszczytne ślady bojów - i poszarpane, sine ślady chłosty na plecach. Jakiś niedołączny staruszek wybiegł z szeregów i otworzywszy szeroko usta pokazywał palcem bezzębne dziąsła.

- Bez zębów już nie ugryzę twardego żołnierskiego chleba, generale - wołał - i nie na moje lata biegać po górach. Służyłem pod twoim ojcem w jego

pierwszej kampanii alpejskiej, a już wtedy miałem sześć lat wojska za sobą. W tej samej kompanii służy ze mną dwóch moich wnuków. Zwolnij mnie, generale! Dzieckiem małym na moich kolanach się bawiłeś, pamiętasz? A dzisiaj spójrz, generale, rupture mam i muszę po dwadzieścia mil maszerować ze stu funtami na plecach!

- Do szeregu, Pomponiuszu! - zakomenderował Germanik, który poznał starego i zdumiał się widząc go jeszcze w wojsku. - Zapominasz się! Zbadam twoją sprawę później!

Do kroćset! Dajże dobry przykład młodzikom!

Pomponiusz zasalutował i wrócił do szeregu. Germanik wyciągnął rękę, dając znak, że chce mówić dalej, ale zgiełk nie ucichł. Ludzie domagali się żołdu; narzekali na wynajdywanie im niepotrzebnych zajęć, tak że od świtu do capstrzyku nie mają dla siebie wolnej chwili; krzyczeli, że na stare lata w polu przyjdzie im zdychać; to jedyna odprawa, jaką teraz dostają. Germanik nie usiłował mówić, dopóki się nie uspokoili.

Dopiero wtedy zabrał głos znowu.

- W imieniu mego ojca Tyberiusza przyrzekam wam sprawiedliwość zawołał. - Dobro wasze leży mu na sercu nie mniej niż mnie. Zrobi wszystko, co będzie można zrobić nie narażając państwa na niebezpieczeństwo. Ręczę wam za to.

- Precz z Tyberiuszem! - zawołał któryś, a okrzyk ten poniósł się po szeregach przy akompaniamencie gwizdów i miauczenia. Nagle wszyscy zaczęli wołać:

- Niech żyje Germanik! My chcemy Germanika na cesarza! Do Tybru z Tyberiuszem!

Niech żyje Germanik! Germanik cesarzem! Precz z Tyberiuszem! Śmierć tej suce, Liwii! W górę Germanika! Na Rzym, na Rzym! My z tobą! Niech żyje Germanik, syn Germanika!

Niech żyje cesarz Germanik!

Germanik słuchał tej wrzawy osłupiały. Wreszcie zawołał:

- Ludzie! Ludzie! Poszaleliście?! Za kogo mnie macie? Za zdrajcę?

- Ani nam to w głowie, generale - odezwał się jeden z weteranów. - Sam powiedziałeś, że obejmujesz spadek po Auguście. Nie cofajże się teraz!

Wtedy dopiero Germanik pojął, jakie nieporozumienie wywołały jego słowa. Wśród okrzyków: "Niech żyje Germanik!", zeskoczył z trybuny; pobiegł do konia uwiązanego opodal przy słupie; chciał wskoczyć na siodło i uciec z przeklętego obozu. Ale żołnierze dobywszy mieczy zagrodzili mu drogę.

- Puśćcie mnie! Albo, na bogi, przebiję się mieczem!

- Ty jesteś dla nas cesarzem! - krzyczano ze wszystkich stron.

Germanik dobył miecza, ale ktoś go chwycił za ramię. Dla starych wiarusów było jasne, że wódz nie rzuca pogrózek na wiatr, ale niejednen z byłych niewolników myślał, że Germanik odgrywa komedię skromności i cnoty. Któryś ze śmiechem zawołał:

- Weź mój miecz! Jest ostrzejszy od twego.

Stojący obok Pomponiusz spłonął z oburzenia i pięścią na odlew grzmotną dowcipnisią w gębę. Przyjaciele tymczasem uprowadzili Germanika do namiotu generała.

Generał leżał w łóżku półprzytomny ze strachu. Skrył się z głową pod kołdrę i długo trwało, nim zdecydował się wstać i powitać mego brata. Tylko przybocznej straży szwajcarskich najemników zawdzięczali swe życie on i sztabowi oficerowie.

Na gwałt zwołano radę wojenną. Kasjusz powtórzył Germanikowi rozmowę, którą podsłuchał leżąc uwięziony w wartowni. Z tego, co opowiadali sobie buntownicy, wynikało, że mają zamiar wysłać deputację do pułków w Górnych Niemczech, aby zapewnić sobie ich współudział w ogólnej rewolcie wojskowej. Była mowa o tym, że zostawiwszy Ren bez obrony ruszą do Francji. Łupiąc po drodze miasta i porywając kobiety dotrą do południowo-zachodnich połaci kraju, gdzie założą niezależne państwo żołnierskie, oparte o zbocza

Pirenejów. Zanim sparaliżowany przez te rozruchy Rzym będzie mógł pomyśleć o reakcji, zdołają już uczynić swoje państwo niedostępnym.

Germanik postanowił nie zwlekając ani chwili ruszyć do Górnych Niemiec i odebrać od znajdujących się tam pułków przysięgę na wierność Tyberiuszowi. Pułki te służyły pod jego osobistym dowództwem i miał nadzieję, że pozostaną mu wierne, jeśli zjawi się wcześniej niż deputacja buntowników. Wiedział, że i tam panuje niezadowolenie wywołane zbyt niskim żołdem i przedłużeniem lat służby. Za to oficerowie w Górnych Niemczech byli to ludzie przyzwoici, którzy nominacje swe zawdzięczali rzeczywistym żołnierskim zaletom.

Trzeba było jednak przede wszystkim uspokoić buntowników na miejscu. Jedno tylko pozostawało wyjście. Germanik popełnił wtedy pierwszy i ostatni występki w swym życiu - sfalszował list, pochodzący rzekomo od Tyberiusza. W nocy wysłano potajemnie kuriera, który na wykradzionym koniu miał ujechać dwadzieścia mil w kierunku południowo-zachodnim, a następnie zawrócić galopem, podjechać pod generalski namiot i oddać przeznaczoną dla Germanika pocztę. List brzmiał w przybliżeniu tak: Tyberiusz zasłyszawszy o pewnych słusznych pretensjach, jakie zgłaszają pułki w Niemczech, pośpiesza spełnić żądania żołnierzy. Przynajmniej nie tylko dołożyć wszelkich starań, aby jak najrychlej wypłacono zapis Augusta, lecz sumę tę podwoi z własnej kieszeni. Niech to będzie dowodem jego wiary w oddanie żołnierzy. W sprawie podwyższenia żołdu porozumie się z senatem.

Zwolni bezzwłocznie wszystkich żołnierzy mających ponad dwadzieścia lat służby, a ponadto, na podstawie decyzji komisji poborowych, tych, którzy wysłużyli lat szesnaście.

Poza tym ta ostatnia kategoria będzie używana tylko do służby garnizonowej.

Germanik nie umiał kłaniać, nie miał tej wprawy w kłamstwie co jego stryj Tyberiusz, babka Liwia lub siostra Liwilla. Zarówno koń, na którym

przyjechał kurier, został rozpoznany przez właściciela, jak i sam wysłannik, którym był jeden ze sług Germanika.

Zaczęły krążyć pogłoski o sfalszowaniu listu. Tylko weterani upierali się przy jego autentyczności i żądali, aby ich zgodnie z obietnicą zwolniono i wypłacono równocześnie kwotę należną z zapisu Augusta. Germanik odpowiedział, że słowo cesarskie jest święte i że zwolni ich jeszcze tego samego dnia. Prosił jednak, żeby poczekali na pieniądze, które mogą im zostać wypłacone w całości dopiero po powrocie na kwatery zimowe. W kasie obozowej brak bowiem dostatecznego zapasu pieniędzy, żeby można obdzielić wszystkich ludzi. Poleca jednak generałowi oddać na ten cel cały zapas, jakim w danej chwili dysponuje.

Odpowiedź ta nieco uspokoiła wzburzone umysły, chociaż pierwotny zapał, z jakim przyjmowano Germanika, ostygł już. Żołnierze żalili się, że sprawił im zawód; inne o nim mieli wyobrażenie. Nie chodziło im przy tym o sfalszowanie listu, lecz posądzali wodza o bojażń. - Lęka się Tyberiusza - mówili. Porozsyłano przecież patrole, aby odszukały tułających się oficerów, a wysłana do generała delegacja oświadczyła mu, że żołnierze wracają pod jego rozkazy. Ze swojej strony Germanik zapowiedział nieszczęsnemu komendantowi, że jeśli natychmiast nie opanuje roztrzęsionych nerwów, oskarży go przed senatem o tchórzostwo.

Kiedy starsze roczniki zostały z zachowaniem wszelkich obowiązujących przepisów zwolnione i wypłacono żołnierzom sumę, jaką udało się zebrać, Germanik odjechał do Górnych Niemiec. I tu panował nastrój podniecenia. Żołnierze w napięciu oczekiwali nowin o tym, co tam u nich zaszło, ale trzymeni żelazną ręką generała Syliusza, nie wypowiadali jawnie posłuszeństwa. Germanik odczytał sfalszowany list Tyberiusza i kazał złożyć przysięgę na wierność cesarzowi. Rozkaz spełniono bez ociągania się.

W Rzymie wiadomość o buncie wywołała wielkie zaniepokojenie. Już poprzednio surowo krytykowano Tyberiusza, że zamiast sam wyruszyć na

Balkany, aby stłumić bunt, wysłał Kastora, który do tej pory nie przywrócił jeszcze porządku. Obecnie zaczepiano cesarza na ulicy i pytano, dlaczego zbuntowały się te właśnie pułki, którymi sam ongiś dowodził, podczas gdy inne pozostały wierne przysiędze. (Oddziały, którymi w Dalmacji dowodził Germanik, nie zbuntowały się.) Niechże rusza teraz nad Ren pić piwo, którego sam nawarzył - wołano. - Niech nie każe Germanikowi prac swych brudów.

Wobec takich nastrojów Tyberiusz zakomunikował senatowi, że wyrusza osobiście do Niemiec, i rozpoczął z wolna przygotowania do podróży, dobierając ludzi, których chciał z sobą wziąć, i ekwipując niewielką flotę. Tymczasem nastąpiła zima, a wraz z nią niebezpieczna pora dla żeglugi, równocześnie zaś nadeszły pomyślniejsze wieści z Niemiec.

Tyberiusz więc zaniechał podróży, do której bynajmniej się nie palił.

W tym czasie otrzymałem list od Germanika. Błagał mnie, żebym jak najszybciej i w jak najściślejszej tajemnicy podjął z jego majątku dwieście tysięcy i przysłał mu je bezzwłocznie."Od pieniędzy tych - pisał - zależy całość Rzymu." W liście załączał odpowiednią plenipotencję. Zwróciłem się do administratora brata, który oświadczył, że nie uciekając się do sprzedaży nieruchomości może mi dostarczyć tylko połowę żądanej sumy, sprzedaż zaś wywołałaby wśród ludzi plotki, których Germanik chce najwidoczniej za wszelką cenę uniknąć. Wobec tego musiałem o brakującą resztę postarać się sam. Z sześćdziesięciu tysięcy, które pozostały mi w kasie po wkupieniu się do nowego kolegium kapłańskiego, wziąłem pięćdziesiąt. Drugie tyle uzyskałem ze sprzedaży odziedziczonego po ojcu domu w Rzymie - na szczęście miałem już poprzednio amatora - i mniej niezbędnych niewolników. Wybierałem przy tym takich, o których wiedziałem, że nie są specjalnie do mnie przywiązani. W dwa dni po otrzymaniu listu wysłałem żadaną sumę. Matka moja była bardzo niezadowolona, kiedy dowiedziała się o sprzedaży posiadłości. Zobowiązany do milczenia, zmyśliłem naprędce bajeczkę o długach; miałem niby to ostatnio grywać zbyt wysoko, a z małym powodzeniem, w kości; chcąc się odegrać,

straciłem w dwójnasób.

Uwierzyła mi i zyskałem u niej jeszcze jedno przezwisko - "kostera". Lecz myśl, że nie opuściłem w potrzebie Germanika i Rzymu, była szczodłą zapłatą za wszystkie matczyne przycinki.

Rzeczywiście uprawiałem w tym czasie grę w kości, nie przegrywałem jednak ani nie wygrywałem znaczących sum. Grałem dla rozrywki. Ukończywszy historię religijnych reform Augusta, napisałem niewielkie humorystyczne dziełko o kościach, poświęcone boskiemu Augustowi. Chciałem w ten sposób dokuczyć trochę matce. Cytowałem we wstępie list napisany do mego ojca przez Augusta, wielkiego amatora gry w kości. W liście tym cesarz pisał, że niezwykle miło wspomina grę poprzedniej nocy, gdyż nie spotkał w życiu partnera, który by tak ładnie przegrywał jak mój ojciec. Kiedy wyrzuci "psa", protestuje śmiechem przeciw zawistnemu losowi; jeśli przeciwnikowi uda się "Wenera" *,[* Cztery boki sześciennych kości do grania oznaczone były cyframi 1, 3, 4, 6, dwa były puste.

Grano czterema kośćmi. Najlepszy rzut („Wenera”) odkrywał wszystkie możliwe cyfry, najgorszy („pies”) - wszystkie takie same.] cieszy się z dobrego rzutu, jakby on sam go zrobił.

„Wygrać od ciebie - pisał - to prawdziwa przyjemność. W tych słowach kryje się największe uznanie, jakie mogę wyrazić człowiekowi. Zazwyczaj nie cierpię wygrywania, gdyż pozwala mi wejrzeć głębiej w serca moich pozornie najserdeczniejszych przyjaciół. Najlepsi z nich przegrywają do mnie z żalem; uważają za niesprawiedliwość, aby bogowie dodawali temu, który jest cesarzem i panem niezmiernych bogactw. Dlatego, jak zauważyłeś może, stosuję specjalną metodę - kiedy po rundzie rzutów przychodzi do rachunku, popełniam omyłki: albo podaję mniejszą liczbę, niż wyrzuciłem, albo płacę więcej, niż jestem winien. Z wyjątkiem ciebie rzadko się znajdzie tak uczciwy gracz, który by mi na te niedopatrzienia zwrócił uwagę.”

(Chętnie przytoczyłbym dalszy ciąg tego listu, w którym August czynił

wzmiankę o tym, jakim to złym partnerem jest Tyberiusz, ale oczywiście nie mogłem.)

W książce tej wywodziłem w żartobliwy sposób historię gry w kości, cytując wielu nie istniejących autorów i opisując różne fantastyczne sposoby potrząsania kubkiem. Głównie jednak zająłem się kwestią wygrywania i przegrywania i książka nosiła tytuł Jak wygrać w kości?

W innym liście August pisze, że zawsze im bardziej chce przegrać, tym łatwiej wygrywa i chociaż myli się umyślnie na swoją niekorzyść, rzadko wstaje od stołu uboższy.

Obok tego twierdzenia zacytowałem przeciwne, przypisywane przez Polliona memu dziadkowi Antoniuszowi, który twierdził, że im bardziej pragnie wygrać, tym szybciej przegrywa. Z tych zdań wyprowadziłem zasadniczą regułę gry, że wygrywa zawsze ten, któremu najmniej zależy na wygranej, chyba że z jakiejś przyczyny bogowie się nań specjalnie uwzięli. Jediną więc metodą prowadzącą do wygranej jest pielęgnowanie naturalnej chęci przegrania. Pisana w ciężkim, namaszczonej tonie, parodiującym nadęty styl Katona, książka ta, pochlebiam sobie, posiadała sporą dozę humoru; zwłaszcza że zakończyłem ją całkiem paradoksalnie. Zacytowałem stare przysłowie, które temu, kto spotka nieznanego jadącego na łaciatym mule, przyrzeka za każdym razem tysiąc sztuk złota, pod tym jednak warunkiem, że nie pierwszej pomyśli o ogonie muła, aż otrzyma pieniądze.

Myślałem, że parodia ta przypadnie do gustu czytelnikom, którym moje prace historyczne wydawały się ciężko strawne. Niestety. W ogóle nie dopatrzonego się w książce humoru.

Prawdę mówiąc, powinienem był przewidzieć, że ludziom starszej daty, wychowanym na dziełach Katona, natrząsanie się z ich bohatera nie przypadnie do gustu, młodsza zaś generacja, nie czytająca już tego autora wcale, nie pozna się na parodii.

Książka więc nie zajęła nikogo. Uważano ją za pług pomyłonego fantasty,

za dzieło mętne i nudnie poważne.

Potwierdziła tylko pogłoski o moim umysłowym upośledzeniu.

Lecz był to doprawdy kiepski i niesmaczny pomysł zabawiać się pisaniem o grze w kości w tym samym czasie, gdy Germanik z takim niepokojem oczekiwał pieniędzy.

Atenodor, gdyby żył jeszcze, zganiłby mnie surowo.

ROZDZIAŁ XVI

W Bonn spotkał Germanik komisję senatorską wysłaną przez Tyberiusza. Miała ona zbadać na miejscu, czy wieści o buncie nie były przesadzone lub złagodzone.

Przywiozła też z sobą prywatny list cesarza. Tyberiusz potwierdzał w nim obietnice uczynione w jego imieniu z wyjątkiem podwojenia zapisu; rozporządzenie takie bowiem musiałyby dotyczyć całej armii, a nie wyłącznie pułków niemieckich. Następnie cesarz wieszował Germanikowi niewątpliwego sukcesu, ubolewając zarazem, że dla osiągnięcia go trzeba było uciec się do fałszowania listu. Na zakończenie dodawał, że dotrzymanie obietnic zależy od zachowania się żołnierzy. Nie znaczyło to jednak, jak przypuszczał Germanik, że obietnice będą dotrzymane w razie przywrócenia w wojsku dyscypliny, lecz przeciwnie.

Germanik odpisał bezzwłocznie, tłumacząc się z obietnicy podwojenia zapisu; wyjaśnił, że pieniądze zostały wypłacone z jego własnej kieszeni; żołnierze jednak nic o tym nie wiedzą i za swego dobroczyńcę uważają Tyberiusza. W owym sfalszowanym liście było też wyraźnie zaznaczone, że fawor ten spotyka tylko pułki niemieckie i ma stanowić dla nich wynagrodzenie za niedawną zwycięską wyprawę za Ren. Co się tyczy innych obietnic, to weterani mający ponad dwadzieścia lat służby zostali już zwolnieni z wojska, a reszta wysłużonych oczekuje tylko na wypłacenie im zapisu.

Dla Germanika wypłacenie przyrzeczonej żołnierzom sumy było wielkim ciężarem finansowym, toteż pisał do mnie z prośbą, abym nie domagał się zbyt niecierpliwie zwrotu swych stu tysięcy. Odpowiedziałem, że sumy tej nigdy nie uważałem za pożyczkę, lecz za dar, z którego ofiarowania jestem dumny.

Wracajmy jednak do wypadków w Niemczech. Kiedy przybyła komisja, w Bonn znajdowały się dwa pułki na leżach zimowych. Ich powrót pod

komendą generała przedstawiał niewesoły widok; między orłami pułkowymi nieśli worki pieniędzy przywiązane do długich żerdzi. Dwa pozostałe pułki wzdragały się opuścić obóz letni, dopóki nie zostaną im wypłacone obiecane sumy.

Przyjazd senatorów obudził podejrzenia. Zaczęły kursować pogłoski, że komisja ma unieważnić przyznane już ulgi. W pułkach pierwszym i dwudziestym, które stacjonowały w Bonn, znów wybuchł bunt. Część chciała natychmiast wyruszyć do swego nowego królestwa.

O północy gromada rebeliantów wtargnęła do głównej kwatery, gdzie zamknięty w skrzyni znajdował się orzeł dwudziestego pułku. Ściągnąwszy dowódcę z łóżka, zerwali mu z szyi kluczyk, który nosił na złotym łańcuszku, otworzyli skrzynię, wydobyli orła i pomaszerowali przez miasto, nawołując towarzyszy, aby przyłączyli się do nich. W drodze napotkali senatorów, którzy na wieść o rozruchach chcieli się jak najprędzej znaleźć pod opieką Germanika. Żołnierze zasypali ich gradem przekleństw i dobyli mieczy. Widząc to, senatorowie zmienili kierunek i schronili się do głównej kwatery pierwszego pułku, skąd postanowili zabrać ołtarzyk polowy z orłem. Rozbestwieni i pijani żołnierze wpadli za senatorami. Gdyby nie interwencja chorążego, człowieka śmiałego i dobrego rębacza, przewodniczący delegacji zostałby na miejscu z rozbitym czerepem. Zbrodnia taka pociągnęłaby za sobą wyjęcie spod prawa całego pułku i prowincja jak długa i szeroka stanęłaby w ogniu wojny domowej.

Rozruchy trwały całą noc. Szczęściem, pomijając pojedyncze bójkę między pijanymi żołnierzami rywalizujących ze sobą kompanii, nie doszło do poważniejszego rozlewu krwi. Z brzaskiem dnia Germanik kazał otrąbić pobudkę. Żołnierze byli podnieceni i tym zaczepniejsi, że czuli się winni. Onieśmiałą ich jedynie odwaga wodza.

Germanik w towarzystwie przewodniczącego komisji wyszedł na trybunę.

- Bacność! - zakomenderował i ziewnął przeciągle. Przysłaniając usta ręką, przeprosił za to nieuprzejme zachowanie. - Jestem strasznie niewyspany -

oświadczył. - Harce myszy nie pozwoliły mi zmrużyć oka przez całą noc. - Żołnierze przyjęli dowcip wybuchem śmiechu, ale Germanik z powagą ciągnął dalej: - Bogom niech będą dzięki, że wreszcie zesłali dzień. Podobnie przeklętej nocy w życiu nie miałem. Przysniło mi się, że orzeł dwudziestego pułku odleciał. Odetchnąłem zobaczywszy go teraz. Musieliśmy widać obrazić któregoś z bogów i ten za karę zesłał złe duchy, które całą noc hulały po obozie. Was wszystkich omroczył szal i tylko cudem uniknęliście popełnienia zbrodni, jakiej nie notują dotąd kroniki Rzymu. Niewiele brakowało, a bylibyście zabili wysłannika Świętej Romy, wysłannika, który przed mieczami waszymi chciał uratować świętość pułku.

Wyjaśnił następnie, że komisja przybyła w tym celu, aby w imieniu senatu potwierdzić poprzednie obietnice i przekonać się, że zostały one dotrzymane.

- No więc, jakże z tym spadkiem po Auguście? - wyrwał się któryś z żołnierzy i wnet potężny pomruk poszedł po szeregach:

- My chcemy spadku!

Lecz właśnie w tym momencie szczęśliwym jakimś trafem ukazały się pierwsze wozy z pieniędzmi, eskortowane przez oddział jazdy posiłkowej. Skorzystał z tej sposobności Germanik i pod tą samą eskortą odesłał od razu komisję z powrotem do Rzymu.

Potem przystąpił do wypłacenia żołnierzom obiecanych sum. Nie obeszło się przy tym bez zamieszek, gdyż żołnierze chcieli zrabować pieniądze przeznaczone dla innych pułków.

Nazajutrz zapanował jeszcze większy bałagan. Pieniądzy w żołnierskich sakiewkach było pod dostatkiem, zaczęto więc pić na umór i grać w kości. Germanik doszedł do przekonania, że ze względu na bezpieczeństwo Agryppina, która i tym razem towarzyszyła mężowi, musi bezzwłocznie opuścić obóz. Starsi jej synowie, Neron i Druzus, przebywali w Rzymie razem z swoją matką i ze mną; Agryppina - nawiasem mówiąc, znowu brzemienna - miała z

sobą tylko najmłodszego Gajusza. Był to ładny dzieciak, który prędko stał się maskotką całej armii. Psuli go wszyscy na wyścigi. Któryś z żołnierzy sporządził mu miniaturową zbroję wraz z pancerzykiem, mieczem, hełmem i tarczą. Kiedy matka chciała mu włożyć zwykłe ubranie i sandały, zaczynała płakać i prosić, żeby mu dano jego mieczyk i buciki uszyte na wzór żołnierskich. Postawiwszy na swoim, szedł z wizytami po namiotach.

Zwano go też Kaligulą, czyli Bucikiem.

Germanik nastawał, żeby Agryppina opuściła obóz, choć dzielna kobieta przysięgała, że nie boi się niczego i woli raczej umrzeć z mężem niż w bezpiecznym miejscu otrzymać wiadomość, że został zamordowany przez buntowników. Dopiero gdy Germanik zapytał, czy przypuszcza, że Liwia okaże się dobrą matką dla ich osieroconych dzieci, Agryppina uległa woli męża. Wraz z nią wyruszyła cała gromadka żon oficerów z dziećmi. Pieszko, bez służby, w czerni żałobnych szat, zawodząc i lamentując szły z wolna przez cały obóz niby wygnanki uciekające ze zdobytego miasta. Za nimi na jednym zwykłym wozie zaprzężonym w muła jechał cały ich dobytek. Jako przewodnik i obrońca towarzyszył kobietom tylko Kasjusz Cherea. Na karku siedział mu okrakiem Kaligula. Malec wydawał wojownicze okrzyki i wymachiwał mieczykiem, naśladując cięcia i parady, których go nauczyli kawalerzyści. Cały ten pochód opuścił obóz wczesnym rankiem nie zauważony prawie przez nikogo, gdyż przy bramach nie było straży; nikt też nie troszczył się o otrąbienie pobudki i ludzie spali jak susły do dziesiątej i jedenastej godziny. Kilku starszych żołnierzy, którzy z przyzwyczajenia, zbudziwszy się wcześniej, wyszli za obóz nazbierać chrustu na ogień do śniadania, zapytało przechodzące kobiety, dokąd zdążają.

- Do Trewiru! - huknął w odpowiedzi Kasjusz. - Głównodowodzący woli wysłać swą żonę i dzieci pod opiekę niecywilizowanych, ale lojalnych sprzymierzeńców francuskich niż narażać je na śmierć z rąk sławnego pierwszego pułku. Powiedźcie to waszym towarzyszom!

Żołnierze pędem wrócili do obozu i jeden z nich, stary Pomponiusz,

zatrąbił na alarm.

Na dźwięk trąbki ludzie jeszcze w półśnie, zataczając się, zaczęli wybiegać z namiotów z mieczami w ręku.

- Co się stało? - pytał jeden przez drugiego.

- Zabrano go nam! Już go więcej nie zobaczymy! To koniec naszego szczęścia!

- Kogo zabrano? Kogo nie zobaczymy?

- Naszego chłopca, Bucika. Ojciec powiada, że nie może już ufać pierwszemu pułkowi, więc go odesłał do tych przeklętych Francuzów. Bóg wie, co się z nim tam stanie.

Nie znacie Francuzów, co? I matkę posłał razem z synem! Biedna nasza pani! W siódmym miesiącu ciąży, i piechotą idzie taki szmat drogi, jak niewolnica jaka. Chłopcy!

To przecież żona Germanika i córka starego Agryppy, którego nazywaliśmy przyjacielem żołnierzy. I nasz Bucik!

Żołnierze to najdziwaczniejszy rodzaj ludzi: twardzi jak skórzana tarcza, przesądni jak Egipcjanie, a czuli jak sabińska babka dla swych wnuków. W dziesięć minut później dwa tysiące ludzi obiegło namiot Germanika. W nagłym wybuchu pijackiej skruchy i rozczulenia błagali wodza, aby sprowadził z powrotem żonę i ukochanego syna.

Germanik wyszedł błądy z gniewu i odburknął, żeby mu dali święty spokój. Okryli niesławą siebie, jego, Rzym. Nie będzie już im ufał do końca życia. Lepiej by było, gdyby pozwolili mu przebić się, kiedy już miał miecz w ręce.

- Generale! - zaczęli wołać. - Zrobimy wszystko, co zechcesz. Powiedz nam tylko, co mamy czynić. Przysięgamy ci, że nigdy więcej nie podniesiemy buntu. Przebacz nam.

Pójdziemy za tobą na koniec świata, ale oddaj nam naszego żołnierzyka!

- A więc słuchajcie. Złożycie przysięgę na wierność memu ojcu

Tyberiuszowi.

Wydacie tych, którzy zabili oficerów, znieważyli komisję i ukradli orła. Jeżeli spełnicie te warunki, przebaczę wam i będziecie się mogli znów bawić z waszym

„żołnierzykiem”. W żadnym razie jednak żona moja nie może wydać na świat dziecka w obozie, na którym ciąży plama zbrodni. Jeśli jednak nie życzyacie sobie, żebym powierzył Agryppinę opiece, jak ich zwiecie, barbarzyńców, mogę wysłać żonę do Kolonii. A pełne me przebaczenie otrzymacie dopiero wtedy, kiedy krwawe wasze zbrodnie zmyjecie krwawszym jeszcze zwycięstwem nad wrogami ojczyzny, Niemcami.

Kiedy żołnierze przysięgli spełnić wszystkie warunki, Germanik wyprawił posłańca polecając mu dogonić Agryppinę, wyjaśnić, co zaszło, i przywieźć z powrotem Kaligulę.

Żołnierze rozbiegli się po namiotach i zaczęli wzywać towarzyszy, aby razem z nimi uwięzili sprawców buntu. Około stu ludzi ujęto i powleczono przed trybunę, wokół której obydwie pułki utworzyły obszerny czworobok błyszcząca stałą obnażonych mieczy. Obok wzniesiono naprędce prowizoryczny szafot. Jeden z pułkowników kazał obwinionym wstępować kolejno na rusztowanie. Jeżeli towarzysze z tej samej kompanii uznali kogoś winnym, dawał głowę pod miecz. Przez cały czas sądu, trwającego dwie godziny z górą, Germanik siedział milczący, nieruchomy, z założonymi na piersiach rękoma i skamieniałą twarzą. Z setki ludzi zaledwie paru ocalało.

Kiedy ostatnia głowa spadła z karku i ciała wyniesiono, aby je pogrzebać poza obozem, Germanik zaczął kolejno przyzywać każdego z kapitanów przed trybunę i wypytywać szczegółowo o przebieg służby. Jeżeli oficer mógł się wykazać odpowiednimi zasługami i nominację swą zawdzięczał nie tylko samej protekcji, Germanik zasięgał opinii weteranów z kompanii; gdy ci wydawali pochlebne orzeczenie, a dowódca batalionu nie wnosił sprzeciwu, kapitan zostawał zatwierdzony na swym stanowisku. W przeciwnym razie czekała go

degradacja, a Germanik wzywał kompanię, aby wybrała sobie kapitana, który by bardziej zasługiwał na swą szarżę. Następnie podziękował żołnierzom za okazaną pomoc i wezwał do złożenia przysięgi na wierność Tyberiuszowi. Zaledwie ukończono tę uroczystą ceremonię, rozległy się radosne okrzyki. To kurier Germanika wracał galopem, trzymając przed sobą na siodle Kaligulę wydającego piskliwe okrzyki i wymachującego swym dzieciennym mieczykiem.

Germanik uściskał synka i wznosił rękę na znak, że chce jeszcze mówić.

- Zgodnie z instrukcjami Tyberiusza - oświadczył - w obydwu pułkach zostaje zwolnionych tysiąc pięciuset weteranów. Jeżeli jednak któryś z nich chce zyskać jego pełne przebaczenie, które reszta towarzyszy broni będzie wkrótce zdobywać za Renem, mszcząc klęskę Warusa, to jeszcze nie jest za późno. Bardziej dziarskim pozwalam powtórnie zaciągnąć się do służby w ich dawnych kompaniach; zdolni tylko do służby garnizonowej mogą w specjalnie formujących się oddziałach wyruszyć do Tyrolu, poważnie zagrożonego przez zastępy niemieckie.

I czy uwierzycie? Jak jeden mąż zgłosili się wszyscy; z tego połowa do czynnej służby za Renem. Wśród tych ostatnich znalazł się i Pomponiusz. Staruszek zaklinał się teraz, że pomimo bezzębnych dziąseł i ruptury jest równie zdatny do boju jak inni.

Germanik zrobił go swoim ordynansem, a wnuków jego przeniósł do straży przybocznej. W Bonn zapanował zupełny spokój. Żołnierze opowiadali Kaliguli, że to on przywrócił w mgnieniu oka taki ład i że w przyszłości jako wielki imperator będzie odnosił cudowne zwycięstwa. Miało to fatalny wpływ na dziecko, już i tak bardzo popsute.

Trzeba było przywieść jeszcze do opamiętania dwa inne pułki, które przebywały w miejscowości Ksanten. Nawet po wypłaceniu zapisanych im przez Augusta sum zachowały one buntowniczą postawę i ich komendant nie mógł sobie dać rady. Kiedy przyszły wieści o zmianie sytuacji w Bonn, główni sprawcy w obawie o własną skórę zaczęli namawiać towarzyszy do nowych

aktów gwałtu i grabieży. Germanik zawiadomił generała, że bezzwłocznie na czele znaczniejszych sił wyrusza w dół Renu, jeżeli więc w zbuntowanych pułkach pozostali jeszcze uczciwi ludzie, niech jak najrychlej pójdą za przykładem swych towarzyszy z Bonn i ukarzą wicherzycieli - w przeciwnym bowiem razie każe bez sądu wyciąć całą brygadę co do nogi. Generał, zwoławszy na naradę chorążych, nie mających służby oficerów i kilku godnych zaufania weteranów, zakomunikował im tę wiadomość, dodając, że niewiele czasu pozostaje do działania. Germanik może nadciągnąć lada chwila.

Wtajemniczeni przyrzekli uczynić wszystko, co w ich mocy, i dobrawszy sobie jeszcze kilku godnych zaufania ludzi, nocą na dany sygnał zaczęli wpadać do namiotów i mordować rebeliantów. Ci bronili się zaciekle. Niejeden z lojalistów padł trupem, ale ostatecznie wzięli górę nad buntownikami. Liczba zabitych i rannych wynosiła około pięciuset ludzi.

Reszta, zostawiwszy w obozie tylko strażę, ruszyła naprzeciw Germanika, błagając, by ich bezzwłocznie prowadził za Ren, na wroga.

Chociaż lato miało się właściwie ku końcowi, pogoda dopisywała i Germanik przyrzekł uczynić zadość prośbie żołnierzy. Zbudowawszy most pontonowy, przekroczył Ren na czele dwustu tysięcy piechoty, dwudziestu sześciu batalionów sprzymierzeńców i ośmiu szwadronów kawalerii. Agenci wywiadu, których miał na terytorium nieprzyjacielskim, donieśli, że wróg koncentruje siły w okolicy Monastyru, gdzie odbędzie się coroczne święto jesienne ku czci niemieckiego Herkulesa. Do Niemców dotarły już wieści o buncie, gdyż przywódcy zbuntowanych żołnierzy porozumiewali się z Hermanem i doszło nawet do wymiany podarków, toteż nieprzyjaciel oczekuje tylko, aż przejdą pułki zdążające do swego nowego królestwa we Francji. Bezpośrednio potem przekroczy Ren i pomaszeruje wprost na Italię. Germanik wybrał mało używaną drogę leśną i zaskoczył Niemców, którzy, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, zabawiali się wesoło przy piwie. (Jest to napój uzyskiwany ze sfermentowanego soku kielkującego ziarna. Podczas

uroczystości Niemcy piją go bez żadnej miary.)

Germanik podzielił armię na cztery kolumny i spustoszył okolicę w promieniu pięćdziesięciu mil. Wsie puszczał z dymem, a mieszkańców wycinał w pień bez względu na wiek i płeć. W odwrocie natknął się na oddziały sąsiednich plemion, które usiłowały go zatrzymać. Posuwał się naprzód w bojowym szyku, odpierając zwycięsko ataki nieprzyjaciela. Nagle przyszły niepokojące wieści od dwudziestego pułku, który szedł w straży tylnej. Okazało się, że Rzymianom zagrażają od tyłu znaczniejsze siły niemieckie pod dowództwem samego Hermana. Na szczęście zadrzewienie w tym miejscu nie było zbyt gęste i pozwalało swobodnie manewrować oddziałami. Germanik podjechał do najbardziej zagrożonego miejsca i zawołał:

- Dalej, chłopcy! Rozpędźcie tę hałastrę, a wszystko, co między nami zaszło, pójdzie w niepamięć!

Żołnierze bili się jak szaleńcy. Odepchnąwszy Niemców po krwawej rzezi, ścigali ich aż do skraju lasu, za którym rozpościerała się wolna przestrzeń. Germanik dojrzał Hermana i wyzwiał go do walki, ale Herman widząc, że jego ludzie w bezładnej ucieczce szukają ocalenia i że przyjęcie wyzwania równałoby się pewnej śmierci, zawrócił konia i pogalopował za innymi. Germanik, podobnie jak nasz ojciec, nie miał szczęścia do potykania się z nieprzyjacielskimi wodzami, ale podobnie jak tamten odnosił zwycięstwa i do odziedziczonego przydomka "Germanicus" nabył pełne prawa. Odparłszy nieprzyjaciela, poprowadził upojoną zwycięstwem armię z powrotem przez Ren do obozów.

Tyberiusz nigdy nie rozumiał Germanika ani Germanik Tyberiusza. Tyberiusz, jak wspomniałem, należał do złych Klaudiuszów. Zdradzał jednak pewną skłonność do cnoty i w innej, szlachetniejszej epoce mógłby uchodzić za szlachetnego; bądź co bądź, była to nieprzeciętna umysłowość. Epoce jednak daleko było do szlachetności, a serce Tyberiusza stało się twarde, za co odpowiedzialność ponosi przede wszystkim, sami przyznacie, Liwia.

Germanik natomiast był z natury skłonny do dobrego i chociaż nikczemny był wiek, w którym przyszedł na świat, brat mój nie zboczył nigdy z drogi cnoty. Dlatego to odrzucił ofiarowany mu przez niemieckie pułki tron i kazał żołnierzom złożyć przysięgę na wierność Tyberiuszowi. Tyberiusz nie mógł zrozumieć motywów jego postępowania. Doszedł do wniosku, że Germanik jest jeszcze chytrzejszy od niego i prowadzi jakąś bardzo ukrytą grę.

Nie przyszło mu nigdy na myśl najprostsze wyjaśnienie, że Germanik honor stawia ponad wszystko i że wobec Tyberiusza ma obowiązki jako żołnierz i jako adoptowany syn.

Ponieważ Tyberiusz nie tylko nie uraził niczym Germanika, lecz przeciwnie, wysławiał go pod niebiosa za stłumienie rebelii i przyznał mu pełny triumf za bitwę pod Monastyrem, brat mój, który nie podejrzewał cesarza o udział w intrygach Liwii, uważał go za człowieka uczciwego, choć na tyle naiwnego, że nie potrafił przejrzeć planów swej matki.

Postanowił otwarcie pomówić ze stryjcem na ten temat, gdy tylko powróci do Rzymu na swój triumf. Ale nie pomścił jeszcze śmierci Warusa i powrócić mógł dopiero po trzech latach.

Listy, jakie pisywał w tym czasie do Tyberiusza, były utrzymane w tonie należytą serdeczności.

Tyberiusz odpisywał również po przyjacielsku, gdyż myślał, że w ten sposób pobije Germanika jego własną bronią. Obiecał mu zwrócić sumę wydaną na wypłacenie podwójnego zapisu Augusta i tę samą podwyżkę przyznać armii bałkańskiej. Ze względów politycznych wypłacił istotnie bałkańskim pułkom po trzy dodatkowe sztuki złota na żołnierza

- istniało bowiem niebezpieczeństwo nowego buntu. Germanika zaś gorąco przeprosił, że wskutek kłopotów finansowych zwróci mu dług dopiero za kilka miesięcy. Oczywiście brat mój nigdy nie molestował stryja i oczywiście Tyberiusz nigdy nie zwrócił tej sumy. Ja tylko otrzymałem list, w którym Germanik zapytywał, czybym nie mógł zaczekać z owymi stu tysiącami, aż

Tyberiusz odda mu pieniądze. Odpisałem powtórnie, że sumę tę uważam za dar, a nie za pożyczkę.

Wkrótce po wstąpieniu na tron Tyberiusza zwróciłem się do niego pisemnie z prośbą, abym mógł służyć ojczyźnie na jakimś odpowiedzialnym stanowisku. Zazaczyłem zgodnie z prawdą, że w tym celu specjalnie studiowałem prawo i administrację. Tyberiusz odpisał mi, że rzeczywiście uważa za niewłaściwe, aby brat Germanika, a jego bratanek, chodził ubrany jak zwykły rycerz. Z chwilą nominacji na kapłana Augusta niewątpliwie należy mi się szata senatorska; gdybym zaś spróbował nie robić z siebie głupka, postaraliby się, aby mi wolno było przywdziać haftowany strój, jakiego używają teraz konsulowie i byli konsulowie.

Odpowiedziałem, że wolę obowiązki bez odznak niż odznaki bez obowiązków. Za całą odpowiedź otrzymałem czterdzieści sztuk złota z dopiskiem, żebym za te pieniądze kupił sobie zabawek na święto Saturna. Na mocy uchwały senatu wolno mi było używać haftowanej szaty, a gwoli uczczenia Germanika, który odbywał nową zwycięską kampanię w Niemczech, zgłoszono wniosek o przyznanie mi miejsca w senacie pomiędzy ekskonsulami.

Zaprotestował przeciw temu Tyberiusz, twierdząc, że nie jestem zdolny wygłosić mowy nie wystawiając na ciężką próbę cierpliwości dostojnego senatu.

W tym czasie zgłoszono też inny wniosek, przeciw któremu Tyberiusz również założył weto. Agryppina wydała w Kolonii na świat córeczkę. Okazało się później, że Agryppinilla, jak ją nazwano, nie tylko należy do najgorszej odmiany Klaudiuszów, ale pod względem arogancji i występku przewyższa wszystkich swoich przodków. Ponieważ Agryppina przez wiele miesięcy czuła się tak osłabiona, że nie mogła zajmować się Kaligulą, Germanik, kiedy z wiosną przystąpił do działań wojennych, wysłał syna do Rzymu.

Tutaj chłopiec uchodził za narodowego bohatera. Wystarczyło, żeby pokazał się na spacerze z braćmi, a wszędzie witano go owacjami. Początkowo mieszkał u Liwii, ale ponieważ babka nie miała czasu, żeby się chłopcem

należycie zająć, i raz po raz wybuchały kłótnie między Kaligulą a starszymi braćmi, umieszczono go w końcu u nas. Miał wtedy zaledwie trzy lata, ale był nad wiek rozwinięty i bardzo trudny do prowadzenia. Potrafił być miły, ale tylko wtedy, kiedy mu dogadzano, a posłuszny, jeżeli widział stanowczość postępowania.

Moja matka ani mu nie dogadzała, ani nie umiała postępować dość stanowczo. Dopiero pewnego dnia, kiedy napluł na nią, przetrzepała mu skórę co się zowie.

- Ty stara jędzo niemiecka! - krzyczał Kaligula. - Poczekaj, spalę ci ten twój niemiecki dom.

Słowa "Niemiec", "niemiecki" oznaczały w jego pojęciu obelgę. Tego samego popołudnia dostał się po kryjomu do komórki na poddaszu, gdzie znajdowały się różne rupiecie, i podłożył ogień pod kupę starych sienników. Pożar ogarnął wnet całe piętro, a ponieważ dom był stary, o zmurszałym belkowaniu i wypróchniałej podłodze, nie pomógł żaden ratunek, chociaż ludzie od razu ustawili się w kolejkę do basenu i wiadra z wodą, podawane z rąk do rąk, krążyły bez przerwy. Udało mi się uratować wszystkie papiery i trochę mebli. Strat w ludziach nie było z wyjątkiem dwu starych niewolników, którzy zachorowawszy leżeli właśnie w łóżkach. Z domu pozostały tylko nagie ściany i piwnice.

Kaliguli nie ukarano, gdyż pożar napędził mu dosyć strachu i sam omal nie padł ofiarą płomieni. Widząc, jakiego nieszczęścia narobił, schował się pod łóżko i dopiero dym go stamtąd wypędził.

Senat, biorąc pod uwagę, że z domu mego wyszło tylu zasłużonych mężów, chciał go odbudować na koszt państwa. Tyberiusz jednak się nie zgodził. Twierdził, że pożar wybuchł z powodu mego niedbalstwa, a gdybym był zorganizował należyty ratunek, ograniczyłby się do zniszczenia poddasza. Odbudowanie i umeblowanie domu należy do mnie, nie do państwa.

Oświadczenie to przyjęto rzesistymi oklaskami. Uważam, że stryj postąpił

w nieuczciwy i krzywdzący mnie sposób. Aby odbudować dom, musiałem sprzedać ostatnią nieruchomość, jaką posiadałem w stolicy: kompleks domów obok Rynku Bydłęcego i przylegający do nich wielki plac. Germanikowi nigdy nie opowiedziałem o przyczynie pożaru, gdyż czułby się zobowiązany do wynagrodzenia mi strat, a ostatecznie był to wypadek, za który nie można było czynić odpowiedzialnym tak małego dziecka jak Kaligula.

Kiedy wojska Germanika wyruszyły na nową kampanię niemiecką, żołnierze mieli już ułożony dalszy ciąg utworu o trzech kłopotach Augusta. Pamiętam dwie lub trzy strofki tej pieśni i parę luźnych wierszy, przeważnie satyrycznych:

Dał dla wszystkich wór pełen złota, Po sześć sztuk nam wypadnie na łeb.

Więc kupimy, na co ochota, Zamiast co dnia jeść suchy chleb.

August w niebie nektar zapija, Duch Marcella już płynie przez Styks,
Julia przy nim tam się uwija, Jaka wczoraj, taka i dziś.

Nasze orły gdzieś się błakają, Ale my dziś składamy ślub, Że te orły
powrócą do kraju, Na boskiego Augusta grób.

Inna strofka zaczynała się:

Stracił miłą nasz Herman Germanin, Zgubił piwa brzuchaty dzban...

(tłum. H. Olędzka.)

Lecz nie pamiętam zakończenia. Zresztą strofka ta jest nieważna, tyle że przypomina mi historię o ukochanej Hermana. Była to córka jednego z wodzów niemieckich imieniem Siegstoss, którego Rzymianie zwali Segestes. Podobnie jak Herman był on niegdyś w Rzymie i jak tamten został przyjęty do stanu rycerskiego, ale w przeciwieństwie do Hermana czuł się moralnie związany przysięgą przyjaźni, jaką złożył Augustowi. To właśnie Segestes ostrzegł Warusa przed Hermanem i Segimeruszem. Radził mu też uwięzić ich podczas bankietu, na który byli zaproszeni, jeszcze zanim Warus wyruszył na niefortunną ekspedycję.

Herman porwał niegdyś Segestesowi jego ukochaną córkę i ożenił się z

nią.

Segestes nigdy mu tego bezprawia nie darował. Nie mógł jednak otwarcie wystąpić przeciw Hermanowi po stronie Rzymian, Herman bowiem był bohaterem narodowym. Wszystko, co na razie mógł zrobić, to utrzymywać sekretne kontakty z Germanikiem, przysyłać mu doniesienia o ruchach wojsk i zapewniać go nieustannie, że nic nie może zachwiać jego lojalnością wobec Rzymu i że czeka tylko na pierwszą sposobność, aby złożyć je., dowody.

Któregoś dnia Germanik dostał list Segestesa, w którym ten pisał, że Herman oblega go w małej, otoczonej palisadą wiosce. Herman przysiągł, że będzie walczył bez pardonu, i Segestes donosił, że długo się już nie utrzyma. Germanik szybko poszedł mu na pomoc, pobił oddział oblegający wieś - oddział nieduży, pozbawiony dowództwa Hermana, który był ranny

- i oswobodził Segestesa. Wtedy okazało się, że czeka go nagroda nie do pogardzenia w postaci branki. Była nią żona Hermana, która przyjechała właśnie odwiedzić swego ojca, kiedy wybuchła między nimi kłótnia. Żona Hermana w niedługim czasie spodziewała się dziecka. Germanik potraktował Segestesa i jego ludzi bardzo łaskawie, darując im posiadłość ziemską na zachód od Renu.

Herman, rozwścieczony, że żona dostała się do niewoli, bał się, że łaskawość Germanika może skłonić innych wodzów niemieckich do pokojowych propozycji wobec Rzymu. Stworzył nową, solidarną federację plemion, włączając te, które zawsze dotychczas żyły w przyjaźni z Rzymem. Nic jednak nie mogło zastraszyć Germanika. Im więcej niemieckich plemion otwarcie występowało przeciw niemu, tym bardziej był zadowolony.

Nigdy nie traktował Niemców jak sprzymierzeńców.

W ciągu lata rozbił ich w kilku bitwach, zmusił Segimerusza do poddania się i odzyskał pierwszego z trzech utraconych orłów, orła dziewiętnastego pułku.

Odwiedził także miejsce klęski Warusa i uczcił kości dawnych

towarzyszy broni godnym pogrzebem, kładąc własną ręką pierwszy kawałek darni na ich grobie. Generał, który zachowywał się tak niemrawo w czasie buntu, teraz walczył dzielnie na czele swych oddziałów.

Podczas jednej z potyczek zamienił prawie już pewną klęskę w absolutne zwycięstwo. Przedwczesne wieści, że bitwa jest przegrana i zwycięscy Niemcy zbliżają się do Renu, wywołały taką konsternację na najbliższym moście, że kapitan będący wówczas na służbie wydał żołnierzom rozkaz przejścia przez most i zburzenia go za sobą; równałoby się to pozostawieniu na łasce losu wszystkich wojsk będących po drugiej stronie. Lecz Agryppina, która znajdowała się w obozie, nie dopuściła do wykonania tego polecenia. Oświadczyła żołnierzom, że teraz ona wydaje rozkazy i dopiero mężowi przekazuje dowództwo, gdy ten powróci. Kiedy w końcu zwycięskie oddziały wracały zza Renu, Agryppina powitała je na posterunku. Tym zdobyła sobie wśród wojska popularność równą niemal popularności Germanika. Dla rannych, których Germanik odsyłał po każdej bitwie, urządziła na własny koszt szpital; otaczała ich staranną opieką. Zwykle ranni żołnierze pozostawali przy swoich oddziałach, dopóki nie wyzdrowieli lub nie umarli.

Lecz wróćmy do legendy. Wspomina ona o śmierci Julii. Kiedy cesarzem został Tyberiusz, Julii zaczęto wydzielać na dzień cztery uncje chleba i uncję sera.

Już przedtem zapadła na suchoty, gdyż w Reggio mieszkała w bardzo niezdrowych warunkach, a teraz ta głodowa dieta całkiem ją wykończyła.

O Postumie nadal nie było żadnych wiadomości i Liwia nie mogła zaznać spokoju.

Tylko pewność, że Postum nie żyje, przyniosłaby jej ulgę.

ROZDZIAŁ XVII

Tyberiusz sprawował rządy z umiarem i przed powzięciem decyzji w każdej, nawet podrzędnego znaczenia sprawie politycznej, zasięgał rady senatu. Senat jednak tak długo przywykł uchwalać wszystko na rozkaz, że stracił już zupełnie samodzielność poglądów.

Tyberiusz nigdy, nawet kiedy mu zależało na wyniku głosowania, nie wskazywał jasno, czy życzy sobie, żeby dany wniosek przeszedł czy upadł. Chciał uniknąć wszelkich pozorów tyranii, a równocześnie ster państwa utrzymać w swych rękach. Senatorowie wkrótce się zorientowali, że jeśli nie życzy sobie uchwalenia wniosku, przemawia za nim pięknie i ozdobnie; jeżeli z równym krasomówstwem występuje przeciw wnioskowi, to pragnie, aby przeszedł; kiedy zaś wyjątkowo mówi zwięźle i bez żadnych retorycznych ozdóbek, należy go rozumieć dosłownie. Korzystając z tego, Gallus i jeszcze jeden stary kawalarz, niejaki Hateriusz, urządzili sobie doskonałą zabawę. W przemówieniach swych gorąco popierali Tyberiusza i rozwijali jego argumenty aż po granice absurdu, a następnie głosowali tak, jak rzeczywiście sobie życzył. Chcieli w ten sposób pokazać, że przejrżeli jego grę.

Podczas debaty nad przejęciem władzy przez Tyberiusza Hateriusz krzyknął: "Jak długo jeszcze, Tyberiuszu, pozwolisz, aby Rzym pozostawał bez głowy?!" Tyberiusz zrozumiał, że Hateriusz przejrzał jego intencje. Następnego dnia kpiarz posunął się dalej w swoich żartach.

Padł do stóp Tyberiuszowi i błagał go o przebaczenie za zbytnią oschłość swej wypowiedzi.

Tyberiusz odskoczył do tyłu ze wstrętem, ale Hateriusz chwycił go pod kolana;

Tyberiusz fiknął do tyłu i z hukiem uderzył głową o marmur posadzki. Gwardziści towarzyszący Tyberiuszowi, Niemcy, nie zrozumieli, co się stało, i

skoczyli, by zabić na miejscu przypuszczalnego mordercę. Tyberiusz ledwo zdążył ich powstrzymać.

Hateriusz był niezrównanym parodystą. Miał potężny głos, twarz komika i był niewyczerpaną kopalnią pomysłów. Niech tylko Tyberiusz w swym przemówieniu coś wyraźnie przesadził lub użył jakiegoś archaicznego zwrotu, Hateriusz natychmiast podchwytывał to, a następnie czynił kluczowym słowem swej odpowiedzi. (August zwykł mówić, że na koła rydwanu elokwencji Hateriusza winno się nakładać hamulec łańcuchowy nawet wtedy, gdy Hateriusz jedzie nim pod górę.) Wolno myślący Tyberiusz nie był dla tego kpiarza żadnym przeciwnikiem.

Gallus stwarzał swemu koledze okazje do kpin z Tyberiusza. Tyberiusz specjalnie zważał, aby go nikt nie posądził o to, iż pragnie oddawania mu czci boskiej, i nie pozwalał, żeby mówiono o nim jako o istocie wyższej. Zabronił nawet na prowincji wystawiać sobie świątynie. Dlatego to Gallus lubił zwracać się do niego niby przypadkiem: "Boski Tyberiuszu." Kiedy Hateriusz, który w każdej chwili gotów był podjąć kpinę, wstawał i upominał go za tę niewłaściwość, Gallus tłumaczył się gęsto i zapewniał, że prędzej by mu nie wiem co do głowy przyszło niż nieposłuszeństwo rozkazom "boskiego... och, jak to łatwo się omylić" ; stokrotnie przeproszał, chciał powiedzieć coś zupełnie innego:

„...rozkazom czcigodnego przyjaciela i kolegi-senatora Tyberiusza Nerona Cezara Augusta.”

„Nie Augusta, głupcze - scenicznym szeptem wołał Hateriusz. - Setki razy odmawiał przyjęcia tego tytułu.

Używa go tylko wtedy, kiedy pisze listy do innych monarchów.”

Zwłaszcza jeden z ich pomysłów doprowadzał cesarza do rozpacz. Kiedy z udaną skromnością wzdragał się przyjąć podziękowania senatu za położone dla ogólnego dobra zasługi, Gallus i Hateriusz występowali z przemówieniem, wysławiając uczciwość, która nie pozwalała Tyberiuszowi

przypisywać sobie zasług matki, i winszując Liwii tak przywiązanego syna. Kiedy spostrzegli, że niczym nie można Tyberiuszowi bardziej dokuczyć niż wychwalaniem Liwii, prześcigali się w pochlebstwach dla cesarzowej. Hateriusz napomknął nawet kiedyś, że tak jak Grecy używali imion po ojcach, Tyberiusz powinien nosić nazwisko po matce; to zbrodnia nazywać go inaczej niż Tyberiusz Liwiades albo poprawniej - po łacinie - Tyberiusz Liwigena. Gallus odkrył jeszcze jedno słabe miejsce Tyberiusza. Nie znosił on najmniejszej wzmianki o swoim pobycie na Rodos. Złośliwy senator odważył się kiedyś na rzecz niezwykle śmiałą. Wysławiał Tyberiusza za jego łagodność - było to tego dnia, kiedy całe miasto dowiedziało się o śmierci Julii - i opowiedział senatowi historię o nauczycielu retoryki z Akademii Rodyjskiej. Kiedy Tyberiusz zwrócił się do owego nauczyciela z uprzejmą prośbą, aby przyjął go do swej klasy retoryki, ten odmówił mu twierdząc, że nie ma właśnie żadnego wolnego miejsca, i kazał Tyberiuszowi zgłosić się za siedem dni."I jak myślicie - ciągnął opowiadanie Gallus - co zrobił boski... przepraszani, mój czcigodny przyjaciel i kolega-senator Tyberiusz Nero Cezar, kiedy został już monarchą i zjawiał się przed nim tenże sam impertynent, aby ofiarować swe usługi nowemu bóstwu?

Może kazał ściąć ten bezczelny łeb i podarował go jako piłkę do gry swoim niemieckim gwardzistom? Ale skądże! Z dowcipem, któremu dorównuje tylko jego łagodność, powiedział mu, że nie ma właśnie żadnego wolnego miejsca w szeregach swoich pochlebców, i kazał się zjawić za lat siedem."

Przypuszczam, że historia ta była czystym wymysłem, ale senat nie miał powodów nie wierzyć Hateriuszowi i nagroził go takimi oklaskami, że Tyberiusz nic już nie mógł powiedzieć i musiał pozwolić, aby uchodziła za prawdę. Tyberiusz w końcu uciszył Hateriusza. Pewnego dnia bardzo powoli, cedząc słowa, powiedział: "Wybacz mi, Hateriuszu, że będę mówił bardziej otwarcie, niż to jest w zwyczaju między senatorami, ale muszę ci wyznać, co o tobie myślę: jesteś okropną piłą i nie masz za grosz dowcipu."

Następnie zwrócił się do całego senatu: "Wybaczcie mi, czcigodni

mężowie, ale zawsze to mówiłem i teraz powtórzę, że skoro już powierzyliście mi absolutną władzę, to hańbą byłoby, gdybym jej nie użył dla ogólnego dobra. Jeśli użyję jej teraz dla uciszenia tych krzykaczy, którzy obrażają was w tym samym stopniu co mnie, wierzę, iż zyskam waszą aprobatę. Liczę na waszą zwykłą uprzejmość i cierpliwość.”

Pozbawiony partnera Gallus musiał dalej grać solo.

Chociaż Tyberiusz teraz nienawidził matki bardziej niż poprzednio, pozwalał jej dalej rządzić sobą. Wszyscy konsulowie i namiestnicy prowincji jej właściwie zawdzięczali swe nominacje. Trzeba przyznać, że w doborze ludzi kierowała się wyłącznie ich zasługami, nie biorąc pod uwagę wpływów, koligacji, pochlebstw i osobistych przysług, jakimi starano się ją pozyskać. Jeśli bowiem dotychczas tego nie uczyniłem, to teraz skorzystam ze sposobności, aby zaznaczyć, że Liwia, choć nie cofała się przed zbrodnią, aby uzyskać wpływ na rządy - najpierw przez Augusta, a później przez Tyberiusza - potrafiła jak rzadko kto rządzić mądrze i sprawiedliwie. Stworzony przez nią system rządów dopiero wtedy okazał się szkodliwy, kiedy jej zabrakło.

Wspomniałem poprzednio o Sejanie, synu komendanta gwardii. Objął on teraz stanowisko po ojcu i należał do trzech ludzi, przed którymi Tyberiusz nie ukrywał swych planów.

Drugim był Trazył, który przybył do Rzymu razem z Tyberiuszem i do końca życia miał wpływ na cesarza; trzecim senator Nerwa. Trazył nigdy nie rozprawiał z moim stryjcem o polityce i nigdy nie prosił o żaden oficjalny urząd. Wielkie sumy, jakie ofiarowywał mu Tyberiusz, przyjmował z niedbałym gestem, jakby pieniądź nie miał dla niego znaczenia. W pałacu urządzono mu duże obserwatorium kryte kopułą, w której szyby wstawiono ze szkła tak przezroczystego, że ledwie je można było zauważyć. Tyberiusz spędzał tam sporo czasu z Trazyłem, wtajemniczając się w arkana astrologii i innych nauk magicznych, a w szczególności tłumaczenia snów wedle metody chaldejskiej. Sejana i Nerwę wybrał sobie chyba ze względu na zupełną sprzeczność ich

charakterów. Nerwa nigdy nikomu się nie naraził i nigdy nie stracił przyjaciela. Miał jedną jedyną wadę, o ile to można nazwać wadą: jeśli nie mógł zaradzić złu, milczał. Był łagodny, szlachetny, odważny, prawdomówny w najwyższym stopniu i nie słyszano nigdy, żeby się poniżył do najmniejszej nieuczciwości, nawet dla osiągnięcia godziwego celu. Tak na przykład, na miejscu Germanika nigdy by nie sfalszował listu, choćby od tego zależało nie tylko jego własne życie, ale całość państwa.

Tyberiusz powierzył Nerwie nadzór nad wodociągami w stolicy i trzymał go stale przy sobie.

Miał w jego osobie coś w rodzaju podręcznego wzoru cnoty, tak jak w Sejanie znów wzór wszelkiej przewrotności. Jako młody człowiek Sejan służył w wojsku Gajusza na Wschodzie i zaliczał się do jego przyjaciół. Dość bystry, by przewidzieć powrót Tyberiusza, przyczynił się doń nawet, zapewniając Gajusza, że ojczym jego szczerze zrezygnował z ambitnych planów. Nakłonił go też, żeby sprawę wygnança poparł u Augusta. Równocześnie zawiadomił Tyberiusza o wyświadczonej mu przysłudze, a ten odpisał, że nigdy jej nie zapomni. List ten Sejan starannie przechowywał. Trzeba jeszcze dodać, że nie tylko potrafił łączyć jak z nut, ale - wedle trafnej uwagi Gallusa - niezwykle wytrawnie operował kłamstwami, których armię potrafił utrzymać w czujnym pogotowiu i dyscyplinie. Dawał tego najwymowniejszy dowód w każdej utarczce słownej z podejrzeniami czy decydującej rozprawie z prawdą.

Tyberiusz zazdrościł mu tego talentu, jak zazdrościł Nerwie uczciwości, bo wprawdzie jego związki ze złem coraz bardziej się zacieśniały, ciągle jeszcze miewał jednak nieoczekiwane porywy szlachetności.

Sejan pierwszy zasiał w duszy Tyberiusza ziarno podejrzeń przeciw Germanikowi, twierdząc, że człowiek, który fałszuje list swego ojca, bez względu na okoliczności, w jakich to się stało, nie zasługuje na zaufanie; on też podsuwał myśl, że Germanik skrycie dąży do władzy cesarskiej; czyni to tylko nadzwyczaj ostrożnie; najpierw pozyskuje sobie ludzi przekupstwem, a potem

urządza niepotrzebną wyprawę za Ren, aby wzbudzić w nich zaufanie do swych talentów militarnych i upewnić się co do ich sprawności. Jeśli chodzi o Agryppinę, Sejan zwracał uwagę Tyberiusza na jej niebezpieczne ambicje. Sama mianowała się wtedy na moście dowódcą i witała powracające pułki, jakby Bóg wie kim była.

To, że istniało niebezpieczeństwo zniszczenia mostu, sama prawdopodobnie wymyśliła.

Sejan powiedział też Tyberiuszowi, że od wyzwolenca, który był niegdyś niewolnikiem Germanika, słyszał, że Agryppina jego i Liwie obwiniła o śmierć trzech swoich braci i banicję siostry i że przysięgła ich pomścić. Poza tym Sejan odkrywał wciąż całe mnóstwo spisków przeciw Tyberiuszowi i podtrzymując w cesarzu obawę o życie, zapewniał go równocześnie, że pod jego strażą może się czuć zupełnie bezpieczny. On to zachęcał Tyberiusza pół żartem, pół serio do sprzeciwiania się Liwii, do wykazywania jej, że przecenia niewzruszalność swego stanowiska. On w kilka lat później zorganizował gwardię, czyniąc z niej część regularnej, zdyscyplinowanej armii. Dotychczas trzy stołeczne bataliony gwardii były zakwaterowane oddziałami w różnych częściach miasta, po gospodach i tym podobnych miejscach, co w razie alarmu bardzo przedłużało czas potrzebny do stawienia się oddziałów w pełnym uzbrojeniu.

Sejan zaproponował zbudowanie koszar poza obrębem miasta. Wzmocni to - twierdził

- karby dyscypliny, uchroni żołnierzy od wpływów rozpolitykowanych mieszkańców stolicy i zwiąże ściślej z osobą cesarza. Tyberiusz zgodził się chętnie. Ściągnął pozostałe sześć batalionów, rozrzuconych po różnych miejscowościach Italii, i zbudował koszary dość obszerne, aby pomieścić całą gwardię w sumie dziewięciu tysięcy piechoty i dwóch tysięcy kawalerii. Poza czterema batalionami stołecznymi, z których jeden został wysłany do Lyonu, i koloniami wysłużonych weteranów, byli to jedyni żołnierze w całej Italii. Niemców ze straży przybocznej nie można oczywiście jako niewolników

uważać za żołnierzy, chociaż są bardziej przywiązani do osoby cesarza niż najrodowitsi Rzymianie. Śpiewali wprawdzie posępne pieśni pełne tęsknoty za ojczystym krajem, ale w rzeczywistości żaden z nich nie chciał powrócić do tych mroźnych, dzikich okolic. Zbyt dobrze im się powodziło na dworze.

Tyberiusz, bojąc się ciągle spisku na swoje życie, chciał zapoznać się z kartotekami kryminalnymi, ale Liwia nadal udawała, że zginął klucz od szyfru, którym były spisane.

Tyberiusz za radą Sejana powiedział jej, że w takim razie należy je spalić jako bezużyteczne.

Jeżeli chce, może to zawsze zrobić - odrzekła Liwia - ale czy nie lepiej zachować je na wypadek, gdyby klucz się kiedy znalazł? Przypuśćmy, że nagle ona sama sobie go przypomni.

- Więc dobrze, matko - powiedział Tyberiusz - zanim sobie przypomnisz, ja się zajmę tymi dokumentami i tymczasem wieczorami będę próbował sam je rozszyfrować.

Zabrał zaszyfrowane dokumenty do swojego pokoju i zamykał je w biurku, ale chociaż się wysiłał, jak tylko mógł, szyfr okazał się dla niego za trudny. Szyfr najczęściej używany polegał na tym, że pisało się po prostu po grecku, podstawiając zamiast alfy łacińskie E, zamiast bety F, zamiast gammy G, H w miejsce delty i tak dalej.

Szyfr używany w sprawach najwyższej wagi był niemal nie do rozwiązania. Opierał się na początkowych stu wierszach pierwszej księgi Iliady i przy pisaniu tajnego listu nie można się było bez nich obejść. Każdą literę listu oznaczało się cyfrą wyrażającą sumę liter alfabetu greckiego oddzielających pierwszą literę listu od pierwszej litery Homera. Na przykład pierwszą literą pierwszego wyrazu w pierwszym wierszu pierwszej księgi Iliady jest mu.

Przypuśćmy, że pierwszą literą pierwszego wyrazu tajnego listu jest ypsilon. W alfabecie greckim pomiędzy mu a ypsilonem jest siedem liter, a więc ypsilon oznaczmy w tajnym liście siódmką.

Według tego planu cały alfabet tworzy jakoby koło, w którym omega, ostatnia litera, sąsiaduje z alfą, pierwszą literą alfabetu. W ten sposób liczba liter między ypsilonem a alfą wyniesie cztery, ale licząc od alfy do ypsilonu będzie ich osiemnaście.

Był to wynalazek Augusta. Pisanie szyfrem i odczytywanie go zabierało wiele czasu, ale myślę, że przy częstym używaniu można się było na pamięć nauczyć odległości między każdą parą liter i nie liczyć za każdym razem. W ten sposób pisanie szło dużo szybciej. A jak doszedłem do tego klucza? Otóż kiedy wiele lat później tajne dokumenty dostały się w moje ręce, sam je rozszyfrowałem. Pomiędzy innymi zwojami biblioteki znalazłem zwój z pierwszą księgą Homera spisana na owczej skórze. Widać było wyraźnie, że tylko pierwsze sto wierszy ktoś studiował, gdyż skóra była strasznie wybrudzona i poplamiona na początku, a dalej zupełnie czysta. Kiedy przyjrzałem się uważniej, spostrzegłem maleńkie cyferki:

6, 23, 12 - nieznacznie wydrapane pod literami pierwszego wiersza. Nietrudno było się domyślić, że to szyfr. Zdziwiłem się, że Tyberiusz przegapił ten klucz. Lecz nie wybiegajmy w przyszłość.

W tym czasie pracowałem nad alfabetem łacińskim, chcąc go uczynić bardziej fonetycznym. Doszedłem do przekonania, że brakuje nam trzech liter. Mianowicie: spółgłoskowego u w odróżnieniu od u samogłoskowego; litery odpowiadającej greckiemu ypsilonowi (oznaczającemu dźwięk między "u" a "i"), która by mogła być używana w łacińskich słowach pochodzących z greki, i litery dla oznaczenia podwójnej spółgłoski, którą piszemy po łacinie bs, ale wymawiamy jak greckie psi."Chodzi o to - pisałem - żeby mieszkańcy prowincji nauczyli się poprawnie pisać i mówić po łacinie. Jakże jednak mają uniknąć błędów, jeśli litery nie odpowiadają dźwiękom?" Zaproponowałem więc dla oznaczenia spółgłoskowego u odwrócone F (którego to znaku używają Etruskowie), i połówkę H zamiast greckiego ypsilon, a wreszcie odwrócone C zamiast BS. Ostatnia litera wprawdzie nie była tak ważna, ale dwie pierwsze

wydawały mi się niezbędne.

Zaproponowałem przepołowione H i odwrócone F i C, chcąc jak najmniej kłopotu przyczynić liternikom, którzy używają gotowych stampil do wyciskania liter w metalu lub glinie. Kiedy wydałem tę książkę, parę osób przyznało mi rację; proponowane przeze mnie zmiany wydały im się całkiem rozsądne. W społeczeństwie jednak nie znalazły poparcia. Zdaniem mojej matki, trzy rzeczy na świecie miały być niemożliwe: żeby baran przepłynął z Bajów do Puteoli; żebym ja podbił Brytanię i żeby któraś z tych idiotycznych trzech liter mojego pomysłu zjawiała się w napisie umieszczonym na publicznym miejscu w Rzymie.

Zapamiętałem sobie to zdanie, gdyż miało ono swoje konsekwencje.

Stosunki moje z matką były w tym czasie bardzo napięte. Miała do mnie pretensję, że odbudowa domu zajęła zbyt wiele czasu i że nowe umeblowanie nie dorównuje dawnemu, a jej dochód zmniejszył się poważnie, gdyż musiała wziąć udział w pokryciu kosztów odbudowy. Ja sam nie dałbym wszystkiemu rady. Przez dwa lata mieszkaliśmy na Palatynie, zajmując niezbyt szczególne komnaty. Przez cały ten czas matka bez przerwy dawała upust niezadowoleniu ze mnie. Wreszcie nie mogłem wytrzymać i przenieśliśmy się do swojej willi pod Kapuą. Do Rzymu przyjeżdżałem tylko wtedy, kiedy tego wymagały obowiązki wynikające z piastowanego przeze mnie urzędu kapłańskiego. Jesteście może ciekawi, co się stało z Urgulanillą? Do Kapui nie przyjeżdżała nigdy; w Rzymie mieliśmy z sobą mało do czynienia. Kiedyśmy się spotykali, poza sztywnym powitaniem nie zwracała więcej uwagi na moją osobę, chyba że chodziło o przyjęcie gości. Sypialiśmy zawsze oddzielnie.

Pozornie robiła wrażenie przywiązanej matki, ale w rzeczywistości bardzo mało zajmowała się naszym Druzylliem. Chłopca wychowywała moja matka, która zarządzała też całym domowym gospodarstwem nie prosząc nigdy Urgulanilli o pomoc. Druzylla matka traktowała tak jak swoje własne dziecko, starając się nawet nie pamiętać, kim są jego rodzice. Ja nigdy się nie nauczyłem kochać syna. Był to mrukliwy, głupi, nieznośny dzieciak, a matka tak często

łajała mnie w jego obecności, że nigdy nie nabrał szacunku dla ojca.

Jak spędzała czas Urgulanillą, nie wiem. Nie wydawała się jednak znudzona. Jadła kolosalnie dużo i, o ile mi wiadomo, nie miewała żadnych romansów. To dziwne stworzenie miało jednak swoją namiętność. Była nią Numantyna, żona mego szwagra Sylwana, drobna, eteryczna osóbką o pięknych włosach. Nie wiem, co Numantyna powiedziała czy zrobiła, ale w każdym razie przeniknęło to przez warstwę grubej skóry i tłuszczu aż do tego czegoś, co przypuszczalnie służyło Urgulanilli za serce. W sypialni mojej żony znajdował się portret Numantyny, naturalnej wielkości, i Urgulanillą, o ile nie miała sposobności wpatrywania się w żywy oryginał, spędzała przed obrazem całe godziny. Kiedy przeniosłem się do Kapui, Urgulanillą została z moją matką i Druzylllem.

Jedyną ujemną stroną mieszkania w Kapui był brak dobrej biblioteki. Na szczęście zacząłem wtedy pisać pracę, do której nie potrzeba było studiów bibliotecznych - historię etruską. Zrobiłem znaczne postępy w języku etruskim, a Aruns, w którego towarzystwie spędzałem po kilka godzin dziennie, umożliwił mi korzystanie z archiwów swojej na wpół zrujnowanej świątyni.

Aruns, jak sam opowiadał, przyszedł na świat w dniu, w którym na niebie pokazała się kometa, co było zapowiedzią dziesiątego i ostatniego cyklu rasy etruskiej. Cykl jest to okres czasu równy najdłuższemu życiu ludzkiemu. To znaczy, nie kończy się wcześniej, aż wymrą wszyscy ludzie, którzy żyli w ostatnim dniu poprzedniego cyklu. Etruskowie obliczają ten okres na sto dziesięć lat. Obecny cykl miał być ostatni i zakończyć się z chwilą, gdy przestanie istnieć żywy język etruski. Przepowiednię tę można było uważać prawie za spełnioną. Ludność okoliczna mówiła nawet w domu po łacinie, Aruns zaś nie miał nikogo, kto by po nim pozostał na straży etruskich bóstw. Tym chętniej dopomagał mi w pracy.

Historia moja, mówił, będzie mauzoleum tradycji po wielkiej ongiś rasie.

Zabrałem się do roboty w drugim roku panowania Tyberiusza, a

ukończyłem ją po dwudziestu jeden latach.

Jest to, moim zdaniem, najlepsza z mych książek. Prawdę mówiąc, napracowałem się nad nią najwięcej. O ile wiem, nie ma innego dzieła z tego zakresu, a trzeba przyznać, że Etruskowie to lud bardzo interesujący. Przyszli historycy powinni być mi wdzięczni.

Miałem z sobą Kallona i Pallasa i prowadziłem bardzo regularny tryb życia.

Gospodarowałem na gruntach należących do willi i od czasu do czasu przyjmowałem przyjaciół, którzy przyjeżdżali z Rzymu, żeby odetchnąć wiejskim powietrzem.

Mieszkała też ze mną stale niejaka Akte, z zawodu prostytutka, bardzo przyzwoita kobieta.

Przez piętnaście lat, które spędziła w moim domu, nigdy nie miałem z jej powodu żadnych kłopotów.

Nasze wzajemne stosunki były oparte na zasadach handlowych. Płaciłem dobrze i nie zawracaliśmy sobie głowy, choć istniało między nami pewnego rodzaju przywiązanie. Jednego dnia powiedziała mi, że zamierza wycofać się z interesu i żyć z kapitału, jaki sobie uzbierała. Chce wyjść za mąż za pewnego wysłużonego żołnierza, osiąść z nim w jednej z kolonii i postarać się o dzieci, póki nie będzie na nie za późno. Zawsze pragnęła mieć gospodarstwo i dzieci.

Ucałowałem ją na pożegnanie i obdarowałem sumką, która wystarczała na zapewnienie spokojnego życia. Zanim jednak odeszła, postarała się dla mnie o następczynię, której opiece, jak mówiła, mogła mnie z zaufaniem powierzyć. Znalazła niejaka Kalpurnię, tak podobną do niej, że nieraz myślałem, iż musi być jej córką. Zwłaszcza że Akte napomknęła mi kiedyś, że miała córkę, którą musiała oddać na garnuszek, gdyż trudno być równocześnie matką i prostytutką.

Teraz więc Akte wyszła za swego eksgwardzistę, który był dla niej dobrym mężem.

Miała jeszcze pięcioro dzieci. Starłem się, aby wraz z rodziną nie

zniknęła mi z oczu.

Wspominam o tym wszystkim tylko dlatego, żeby dać czytelnikom pojęcie o tym, jak wyglądało moje życie seksualne, kiedy nie mieszkałem z Urgulanillą. Moim zdaniem normalny mężczyzna nie powinien długo żyć bez kobiety, a skoro życie z Urgulanillą jako żoną było niemożliwe, myślę, że nie można potępiać mnie za związek z Akte.

Zawarliśmy oboje porozumienie, że wyklucza on związki z innymi partnerami. Ów środek ostrożności podjęliśmy nie tyle ze względów uczuciowych, ile zdrowotnych, wojny punickie bowiem pozostawiły Rzymowi fatalną spuściznę w postaci plagi chorób wenerycznych.

W tym miejscu pozwolę sobie zaznaczyć, że nigdy w życiu nie uprawiałem pederastii.

Nie dlatego, żebym jak August uważał ją za przeszkodę w płodzeniu dzieci na rzecz państwa, lecz politowaniem i wstrętem napelniał mnie zawsze widok, jak żonaty i dzieciaty, może nawet na jakimś wyższym stanowisku jegomość obłapia wyczupirzonego i uszminkowanego niedorostka albo jak sędziwy senator kryguje się niby Wenus przed gwardyjskim Adonidem, który tylko ze względu na pieniądze znosi zaloty starego bałwana.

Podczas swoich przyjazdów zatrzymywałem się w Rzymie możliwie najkrócej.

Czułem się nieswojo w atmosferze Pałatynu. Możliwe, że przyczyniało się do tego coraz większe napięcie stosunków między Tyberiuszem a Liwią. Cesarz rozpoczął budowę wielkiego pałacu w północno-zachodniej części wzgórza i zanim wykończono górne piętra, przeniósł się do komnat na parterze, pozostawiając matce dawny pałac Augusta.

Liwia, chcąc pokazać, że nowy budynek, choć trzy razy większy, nigdy nie dorówna znaczeniem dawnemu, ustawiła u siebie w portyku złotą statwę Augusta i jako jego arcykapłanka zaprosiła senatorów z żonami na inauguracyjną ucztę. Tyberiusz zwrócił jej uwagę, że ponieważ przyjęcie nie ma

charakteru prywatnego, ale oficjalny, musi wpieryw uzyskać zgodę senatu.

Następnie tak pokierował obradami, że uchwalono podzielić uczestników uczty na dwie partie. W portyku miał przyjmować senatorów Tyberiusz, a w przyległej wielkiej sali Liwia ich żony. Liwia nie dała po sobie poznać, jak dalece rozporządzenie to ubodło jej miłość własną, i oświadczyła, że niewątpliwie sam August nie postąpiłby w tym wypadku inaczej.

Równocześnie jednak wydała służbie polecenie, że ma podawać najpierw kobietom; na swój stół przeznaczyła też wykwintniejsze potrawy i wina i kosztowniejszą zastawę.

Tak więc ostatecznie ona była górą, a senatorowe ubawiły się doskonale kosztem swoich mężów i Tyberiusza.

Drugim powodem, dla którego niechętnie przybywałem do Rzymu, była niemożność uniknięcia spotkania z Sejanem. Nie chciałem mieć nic do czynienia z tym człowiekiem, choć zawsze był dla mnie bardzo ugrzeczniony i bezpośrednio nie wyrządził mi żadnej przykrości.

Byłem zdumiony, że człowiek o takiej powierzchowności i manierach, nie mogący się chlubić ani pochodzeniem, ani sławą wojenną, ani nawet bogactwem, potrafi odnosić w stolicy tak wielkie sukcesy. Był najznacniejszą figurą po Tyberiuszu i cieszył się olbrzymią popularnością wśród gwardii. Fizjonomia jego nie budziła najmniejszego zaufania; malowały się na niej chytrość i okrucieństwo. Rysy miał poza tym nieregularne; w jedną całość łączył je tylko wyraz zwierzęcej zaciętości i odwagi. Jeszcze dziwniejsze wydawało mi się, że, jak słyszałem, o względy jego rywalizuje wiele kobiet z towarzystwa. Z Kastorem nie cierpieli się serdecznie, co było zupełnie zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę pogłoski, jakie krążyły o romansie Sejana z Liwillą. Tyberiusz miał jednak do niego całkowite zaufanie.

Wspomniałem poprzednio o Bryzeidzie, starej wyzwolenicy mojej matki. Kiedy dowiedziała się, że wyjeżdżam do Kapui, zmarkotniała trochę, ale pochwaliła ten zamiar.

- Wybacz mi, panie - rzekła - ale miałam dzisiejszej nocy dziwny sen o tobie.

Śniło mi się, że jesteś jeszcze małym kulawym chłopczykiem; do domu włamali się złodzieje, którzy zamordowali ojca i całe mnóstwo krewnych i przyjaciół, ale kulawy chłopczyk wymknął się przez okno i pokuśtykał w stronę pobliskiego lasu. Tam wdrapał się na drzewo i czekał.

Złodzieje wyszli z domu i siedli pod tym samym drzewem, żeby podzielić między sobą zdobycz. Posprzeczali się jednak przy podziale i doszło do bójki. Najpierw zginął jeden, potem dwóch, a reszta zaczęła pić wino i świadczyć sobie wielkie serdeczności.

Wino jednak było zatrute przez jednego z zabitych opryszków i wszyscy skonali w strasznych męczarniach. Wtedy kulawy chłopczyk zszedł z drzewa i pozbiierał rozrzuconą zdobycz; a była tego wielka kupa złota i klejnotów zrabowanych po różnych domach. Zabrał to wszystko do domu i stał się bogaty.

- Dziwny sen, Bryzeido - uśmiechnąłem się. - Ale cóż z tego, że chłopczyk stał się bogaty, jeśli kulał w dalszym ciągu i za wszystkie skarby nie mógł przywrócić życia ojcu i rodzinie, nieprawdaż?

- Tego nie mogłem, gołąbku, ale mogłem się ożenić i mieć swą własną rodzinę.

Wybieraj więc dobre drzewo, panie, i nie schodź, póki ostatni opryszek nie wyzionie ducha.

- Nawet i wtedy nie zejdem, moja Bryzeido. Nie chcę przywłaszczać sobie cudzego dobra.

- Zawsze je można zwrócić prawym właścicielom.

W świetle późniejszych wypadków sen ten nabiera szczególnego sensu. Nie bardzo wierzyłem w sny. Atenodorowi śniło się pewnego razu, że w borsuczej norze w pobliskim lesie znajduje się skarb. Odszukał to miejsce, którego na jawie nigdy przedtem nie widział, i znalazł rzeczywiście otwór do jamy borsuczej. Wynajął kilku wieśniaków, którzy rozkopawszy jamę znaleźli w zmurszałej sakiewce sześć zaśniedziałych miedziaków i fałszywego aureusa,

co wszystko razem nie pokryło nawet zapłaty za ich pracę.

Innym razem kupcowi, który dzierżawił ode mnie sklep, przyśniło się, że stado orłów krąży koło jego głowy, a jeden z ptaków siadł mu na ramieniu. Pocziwiec wykombinował sobie, że kiedyś zostanie cesarzem, tymczasem następnego ranka zjawiał się patrol gwardii noszącej, jak wiadomo, na tarczach znak orła, a kapral dowodzący patrolem aresztował kupca pod zarzutem jakiegoś występku podpadającego pod jurysdykcję sądów wojskowych.

ROZDZIAŁ XVIII

16 r. n.e.

Było to pewnego letniego popołudnia w Kapui. Siedziałem na kamiennej ławce za stajnią przed stołem z nie heblowanych desek i grając sam z sobą w kości - lewa ręka do prawej - rozmyślałem nad pewnym problemem z historii etruskiej. Nagle jakiś człowiek w łachmanach podszedł do mnie i spytał, czy przypadkiem nie jestem Tyberiuszem Klaudiuszem Druzusem Neronem Germanikiem. Okazało się, że był już w moim domu w Rzymie i stamtąd skierowano go do Kapui.

- Przynoszę wam wiadomość, panie - rzekł. - Chociaż, dalibóg, nie wiem, czy warto było dla niej robić taki szmat drogi. Ale co tam, pomyślałem. Służyłem kiedyś pod komendą waszego ojca, a dzisiaj oto jestem weteranem-włóczęgą. Wszystkie drogi dla mnie jednakie, a zawsze przyjemniej z celem wędrować niż bez celu.

- Od kogo masz tę wiadomość?

- Od jakiegoś człowieka, którego spotkałem w lasach obok Kosy. Dziwny to człek; miarkując po ubraniu - niewolnik, a mówi jak Cezar. Chłop na schwał, jak się patrzy, tylko widać ostatnio musiał głodować.

- Jak się nazywa?

- Tego mi nie powiedział. Mówił tylko, że poznacie go, panie, właśnie po owej wiadomości. Kazał mi ją dwa razy powtórzyć, żebym sobie każde słowo wbił w głowę. A wielce macie się zdziwić, jak usłyszycie.

- Więc cóż ostatecznie kazał ci powiedzieć?

- Ano, że wciąż jeszcze łowi ryby, lecz samymi rybami trudno wyżyć, więc prosi was, żebyście to powtórzyli jego szwagrowi. Mleka, któreście mu mieli posłać, nie dostał, ale chciałby przeczytać jakąś książeczkę, przynajmniej siedmiostronicową. Prosi was też, żebyście nie czynili żadnych kroków, dopóki

nie będziecie mieli od niego wiadomości. No co? Trzyma się to kupy? Czy też po prostu biedakowi brakuje jednej klepki?

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Postum? Ależ Postum nie żył!

- Czy miał szeroką szczękę, niebieskie oczy, a zadając pytania przekrzywiał głowę?

- Jak raz ten sam.

Nalałem przybyszowi kubek wina. Ręce mi się tak trzęsły, że co najmniej drugie tyle pociekło na stół. Kazałem mu poczekać na siebie i pospieszyłem do domu. Tutaj wybrałem dwie skromne togi, trochę bielizny, sandały, parę brzytwę i kawałek mydła.

Następnie wzięwszy pierwszą lepszą książkę - była to przypadkiem kopia ostatniej mowy Tyberiusza w senacie - na siódmej stronie napisałem mlekiem: "Cieszę się strasznie! Zaraz piszę do G.

Bądź ostrożny! Jeżeli czegoś potrzebujesz, daj znać. Kiedy cię zobaczę? Ściskam cię najserdeczniej i załączam dwadzieścia sztuk złota - wszystko, co w tej chwili posiadam - ale myślę, że dwa razy daje, kto szybko daje."

Kiedy mleko wyschło, wróciłem do żołnierza oczekującego na ławce pod stajnią, a wręczając mu książkę, węzełek z ubraniami i sakiewkę, rzekłem:

- Masz tu trzydzieści sztuk złota. Dziesięć dla ciebie, dwadzieścia dla człowieka z lasu. Jeśli przyniesiesz odpowiedź, dostaniesz drugie dziesięć. Ale trzymaj język za zębami i wracaj szybko.

- Rozkaz. Ale co będzie, jeśli wzięwszy węzełek i resztę pieniędzy nie pokażę się więcej?

- Gdybyś miał rzeczywiście nieuczciwe zamiary, nie zadawałbyś takiego pytania. A teraz napijmy się jeszcze i ruszaj w drogę.

Nie rozpisując się obszernie, powiem od razu, że wrócił w kilka dni później z ustną odpowiedzią. Postum dziękował za przesyłkę i prosił, żebym go nie szukał; nazywa się obecnie Panter, a matka Krokodyla zna miejsce jego pobytu. Przypomniał, abym jak najprędzej mu doniósł o odpowiedzi jego

szwagra.

Staremu weteranowi zapłaciłem dziesięć obiecanych sztuk złota i dodałem drugie tyle za dotrzymanie słowa. Kogo miał na myśli Postum mówiąc o matce Krokodyła, domyśliłem się z łatwością. Krokodyl był to stary wyzwoleniec Agryppy, którego przeważaliśmy tak, gdyż odznaczał się ociężałością, łakomstwem i potężnym uzębieniem. Matka jego prowadziła gospodę pod Peruzją. Znałem dobrze tę miejscowość. Bezzwłocznie napisałem o wszystkim Germanikowi i pchnąłem Pallasa do Rzymu, aby stamtąd wysłał list pierwszą pocztą odchodzącą do Niemiec. W liście donosiłem tylko, że Postum żyje i się ukrywa; miejscowości jednak nie wymieniłem. Prosiłem, żeby mi odręcznie potwierdził odbiór listu.

Daremnie jednak dłuższy czas wyczekiwałem odpowiedzi. Napisałem wreszcie drugi list obszerniejszy, lecz i tym razem Germanik nie odpisał. Wtedy zawiadomiłem matkę Krokodyła, że od szwagra Pantera nie ma dotychczas żadnych wiadomości.

Postum nie odezwał się więcej. Widocznie bez koniecznej potrzeby nie chciał mnie narażać. Przesłana przeze mnie suma umożliwiła mu swobodę ruchów i mógł się nie obawiać, że go aresztują jako zbiegłego niewolnika. Gospodę musiał opuścić, gdyż ktoś z przejezdnych go poznał. Wkrótce wieść o tym, że żyje, obiegła całą Italię. W Rzymie nie mówiono o niczym innym. Z tuzin różnych osób, między innymi trzech senatorów, przyjechało do mnie ze stolicy zapytać prywatnie, czy te pogłoski uważam za prawdę. Odpowiedziałem, że jakkolwiek nie widziałem Postuma na własne oczy, rozmawiałem z kimś, kto go spotkał, i wszelka możliwość pomyłki zdaje się wykluczona. Następnie zapytałem, co mają zamiar uczynić, gdyby zjawił się w Rzymie i uzyskał poparcie ludu. Takie postawienie kwestii bez ogródek wprawiło ich w niemały kłopot i nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Krążyły wieści, że Postum zjawia się w różnych miastach w sąsiedztwie Rzymu.

Przybywa jednak dopiero po zapadnięciu zmroku, a opuszcza mury przed świtem. Dla większego bezpieczeństwa używa przebrania i omija miejsca publiczne. W gospodach, w których nocuje, zostawia kartkę z podziękowaniem podpisaną prawdziwym nazwiskiem.

Wreszcie pewnego dnia na małym, przybrzeżnym stateczku przybił do Ostii. W porcie wiedziano na kilka godzin przedtem o jego przybyciu, ledwie więc zstąpił na molo, urządzono mu burzliwą owację. Nad statkiem, którym przybył, powiewała zielona bandera.

August przyznał niegdyś Agryppie prawo żeglowania pod tą banderą na pamiątkę jego zwycięstwa morskiego pod Akcjum. Prawo to odziedziczyli po Agryppie synowie. Postum wybrał Ostię, gdyż była to letnia baza floty, której admirałem był ongiś Agryppa; czczono go tam bardziej niż samego Augusta.

Postum ryzykował życie. Wyrok banicji był ciągle ważny, toteż przyjazd do Italii czynił go człowiekiem wyjętym spod prawa.

Na molo wygłosił krótkie przemówienie. Podziękowawszy za serdeczne przyjęcie, wspomniał o fałszywych oskarżeniach, jakich padł ofiarą. Dodał, że już dziad, Boski August, byłby naprawił wyrządzoną wnukowi krzywdę, lecz niestety zbyt późno dowiedział się o bezpodstawności zarzutów. Zapewnił wreszcie zebranych, że jeśli tylko przy pomocy Fortuny odzyska względy senatu i ludu, nie zapomni o serdeczności mężów i niewiast ostyjskich; mogą liczyć na jego wdzięczność.

Liwia i Tyberiusz, którzy - nie wiem, jakim sposobem - zawczasu dowiedzieli się o planach Postuma, wysłali do Ostii kompanię gwardii. Dowodzący nią kapitan otrzymał rozkaz uwięzienia rzekomego samozwańca. Cóż jednak znaczyła gromadka żołnierzy wobec tłumu marynarzy! Oficer przezornie zrezygnował z wykonania rozkazu i polecił tylko dwom ze swoich ludzi, by przebrawszy się za majtków śledzili Postuma. Zanim jednakże ci wystarali się o odpowiedni ubiór, Postum przepadł jak kamień w wodę.

Następnego dnia cały Rzym był pełen marynarzy, którzy rozstawili warty

na wszystkich głównych ulicach. Każdego, choćby to był rycerz, senator czy urzędnik, zatrzymywali i pytali o hasło; brzmiało ono: "Neptun". Jeśli ktoś nie znał hasła, warta mu je mówiła, lecz musiał trzykrotnie głośno powtórzyć: "Neptun, Neptun, Neptun".

Opornym grożono pobiciem. Oczywiście nikt nie miał ochoty być bity. Sympatie tłumu do Augustowego wnuka zwiększały się z każdą chwilą, a równocześnie rosła niechęć do Tyberiusza i Liwii. Wystarczyłoby jedno słowo Germanika, a cała ludność wraz z gwardią i stołecznymi batalionami przeszłaby na stronę Postuma. Lecz bez pomocy mego brata każde zbrojne wystąpienie groziło wojną domową, a nikt nie wierzył w zwycięstwo Postuma, gdyby mu przyszło walczyć z Germanikiem.

W owym krytycznym momencie ten sam Kryspus, który przed dwoma laty ku wielkiemu niezadowoleniu Tyberiusza wydał rozkaz stracenia Klemensa, zaofiarował swe usługi. Mówił, że pragnie naprawić błąd i podejmuje się usunąć Postuma. Kiedy Tyberiusz dał mu wolną rękę, Kryspus dowiedziawszy się o miejscu, gdzie przebywał Postum, wybrał się doń, zabierając ze sobą znaczniejszą sumę pieniędzy. Miało to być wynagrodzenie dla marynarzy, którzy stracili dwa dni na wartowaniu. Obiecał też przekupić niemiecką straż przyboczną, a nawet, jak opowiadał, dał już na ten cel kilka olbrzymich łapówek.

Postum uwierzył mu. Umówił się z Kryspusem, że o drugiej po północy spotkają się na oznaczonym miejscu u zbiegu ulic i wraz z marynarzami, którzy mieli się tam również zebrać, wyruszą do pałacu Tyberiusza. Przekupiona straż wpuści Postuma, po czym nastąpi aresztowanie Tyberiusza, Kastora i Liwii. Sejan, jak zapewniał Kryspus, choć osobiście nie chciał się angażować w spisek, przyrzekł - jeśli zamach się powiedzie - przyprowadzić na pomoc nowemu rządowi swą gwardię; za warunek stawiał tylko pozostawienie go na dotychczasowym stanowisku.

Marynarze stawili się punktualnie, ale Postum się nie zjawił. O tej

godzinie ulice były już puste, toteż kiedy połączone siły straży niemieckiej i wybranych ludzi Sejana zaatakowały niespodziewanie marynarzy, przeważnie pijanych i nie umiejących sformować szyku

- neptunowe hasło straciło swoją moc. Część napadniętych zginęła na miejscu, część w trakcie ucieczki, a rozproszona reszta pognęła z powrotem aż do Ostii, nie zatrzymując się po drodze.

Tymczasem Kryspus z dwoma żołnierzami czatował w ciasnej uliczce, którą Postum musiał udać się na miejsce zebrania. Nadchodzącego powalono uderzeniem worka z piaskiem, zakneblowano, skrupowano, wsadzono do zakrytej lektyki i zaniesiono do pałacu.

Nazajutrz Tyberiusz złożył senatowi sprawozdanie, wedle którego wypadki przedstawiały się następująco: przyczyną zajść, które obudziły tyle niepotrzebnych obaw, był niejaki Klemens, dawny niewolnik Postuma Agryppy. Łotrzyk ten, zbiegłszy od pewnego rycerza z prowincji, który go kupił na licytacji majątku Postuma, ukrywał się w lasach toskańskich tak długo, aż zarost zakrył mu wystającą szczękę. W ten sposób upodobnił się jeszcze bardziej do swego dawnego pana, którego zawsze żywo przypominał wyglądem. Kilku awanturniczych marynarzy w Ostii rzekomo poznało w nim zmarłego Postuma, a właściwie zgodziło się poznać, aby pod tym pretekstem ruszyć na Rzym i wzniecić zamieszki. Dziś rano pod wodzą samozwańczego Postuma zebrali się na przedmieściu, mieli uderzyć na stolicę i rozpocząć rabunek. Wezwani przez oddział policji do rozejścia się, uciekli pozostawiając swego wodza, który został aresztowany i stracony. Dostojny senat nie ma więc powodu do dalszych obaw.

Tyberiusz, jak słyszałem później, kiedy przyprowadzono Postuma do pałacu, udał, że go nie poznaje, i spytał drwiąco:

- A skądże ty się wzięłeś wśród Cezarów?

- W ten sam sposób i tego samego dnia co ty! Czyś zapomniał?

Wtedy Tyberiusz kazał niewolnikowi spoliczkować więźnia. Potem wzięto Postuma na tortury, żeby zdradził swoich współników. Lecz torturowany

opowiadał tylko różne anegdoty z życia Tyberiusza, tak skandaliczne i z tak drobiazgową dokładnością, że cesarz stracił panowanie nad sobą i przyskoczywszy zaczął swymi olbrzymimi pięściami tłuc Postuma po twarzy. Żołnierze dokończyli krwawego dzieła - rozsiekali storturowanego na kawałki w podziemiach pałacu.

Czyż mogła być większa boleść od mojej? Dowiedzieć się najpierw, że najserdeczniejszy przyjaciel, którego śmierć po długim i niezasłużonym wygnaniu już się oplakało, żyje i wymknął się z rąk swych oprawców, a potem, że znów został zdradziecko schwyty, torturowany i zabity. Wiedzieć, że tym razem omyłka wszelka jest wykluczona!

 Nie zobaczyć go nawet w tym krótkim czasie, który spędził na wolności!

Pocieszałem się jedynie, że Germanik, kiedy się dowie o wypadkach, opuści front niemiecki i na czele tyłu pułków, ile tylko będzie mógł zabrać znad Renu, pociągnie na Rzym, aby pomścić śmierć Postuma. Napisałem do brata, ale nie otrzymałem odpowiedzi; napisałem po raz drugi - i znowu milczenie. Po długim czasie przyszedł wreszcie serdeczny list; w nim przelotna wzmianka o sprawie Postuma. Germanik wyrażał zdziwienie, że Klemens mógł z takim powodzeniem odgrywać rolę naszego kuzyna. Z tego jednego zdania wynikało jasno, że brat mój nie dostał żadnego z poprzednich listów; otrzymał tylko ten jeden, wysłany razem z drugim listem o Postumie, a dotyczący wyłącznie pewnych spraw finansowych, o których załatwienie mnie prosił. Z przerażeniem zrozumiałem, że korespondencję musiała przejąć Liwia albo Tyberiusz.

 Żołądek mój nigdy nie funkcjonował zbyt dobrze, a obawa, że w każdej potrawie może się kryć trucizna, nie wpływała dodatnio na trawienie. Zacząłem się znów jękać.

Przychodziły nawet sporadyczne ataki zupełnej afazji - w myśli wtedy powstawała nagle pustka i nie mogłem skończyć rozpoczętego zdania. Na słuchaczach robiło to bardzo śmieszne wrażenie. Jeszcze bardziej nie szczęściło mi się przy ofiarach, które musiałem składać jako kapłan Augusta. Dotychczas

obowiązki te spełniałem bez zarzutu.

Teraz machinalnie powtarzałem te same zdania modlitwy po dwa i trzy razy albo zabierałem się do przecięcia krzemiennym liturgicznym nożem tchawicy ofiarnego zwierzęcia nie posypawszy mu wpierw głowy mąką z solą, jak nakazywał rytuał. Wedle zaś starożytnego obyczaju przy najmniejszej pomyłce trzeba całą ceremonię powtórzyć od początku. Zdarzało się, że musiałem po trzy i cztery razy zaczynać obrzęd. Co za męka! I co za tortury dla całego zgromadzenia. Wreszcie napisałem do Tyberiusza jako do najwyższego kapłana, prosząc, aby mnie ze względu na zły stan zdrowia zwolnił na rok od wszelkich obowiązków kapłańskich.

Udzielił mi urlopu bez żadnych komentarzy.

ROZDZIAŁ XIX

16 r. n.e.

Trzeci rok wojny z Niemcami przyniósł Germanikowi więcej sukcesów niż dwa poprzednie. Opracował nowy plan kampanii, który by mu pozwolił pokonać Niemców metodą zaskoczenia, a jego wojskom oszczędził niebezpiecznych i męczących marszów.

Należało zbudować na Renie flotę blisko tysiąca statków i przewieźć nimi w dół rzeki prawie całą armię. Stąd, kanałem zbudowanym jeszcze przez naszego ojca, droga wiodła do jezior Holandii i dalej morzem do ujścia rzeki Ems. Tutaj statki miały zarzucić kotwicę, z wyjątkiem kilku potrzebnych do zbudowania mostu. Germanik chciał zaatakować plemiona niemieckie za Wezerą, którą w kilku miejscach można było przejść w bród. Rzeka ta płynie równolegle do Ems w odległości jakichś pięćdziesięciu mil.

Plan został wykonany w najdrobniejszych nawet szczegółach. Kiedy pierwsze straże rzymskie znalazły się nad Wezerą, Herman i kilku innych wodzów niemieckich czekało już na nich na przeciwległym brzegu. Herman, wołając przez całą szerokość rzeki, zapytał, czy dowodzi nimi Germanik. Kiedy dowiedział się, że tak, prosił, aby powtórzyli mu jego słowa.

Brzmiały one następująco: "Herman pozdrawia Germanika i prosi go o pozwolenie na rozmowę z bratem. Brat Hermana zwał się po niemiecku Goldkopf czy też podobnie, w każdym razie było to imię tak barbarzyńskie, że nie da się go dobrze wymówić po łacinie.

Hermana nazywaliśmy Arminiuszem, Zygmyrta - Segimeruszem; podobnie Goldkopf został Flawiuszem, to znaczy "Złotogłowym". Flawiusz od lat służył w wojsku rzymskim.

Podczas klęski Warusa znajdował się w Lyonie i pozostał lojalny wobec Rzymu, zrywając w ten sposób wszelką więź rodzinną, jaka była między nim a

Hermanem. W czasie wspólnej kampanii Tyberiusza i Germanika w następnym roku walczył dzielnie i stracił jedno oko.

Germanik zapytał Flawiusza, czy chce rozmawiać z bratem. Flawiusz nie kwapił się zbytnio, ale ponieważ przypuszczał, że może to być propozycja poddania się ze strony brata, więc wkrótce obaj zaczęli krzyczeć do siebie z jednego brzegu na drugi. Herman mówił po niemiecku, ale Flawiusz zażądał, aby rozmowa toczyła się po łacinie. Herman nie chciał się zgodzić, gdyż towarzyszący mu wodzowie nie znali tego języka i mogli go posądzić o zdradę.

Dla tych samych powodów Flawiusz się nie zgadzał, żeby mówili po niemiecku przy Rzymianach, którzy nie rozumieli tego języka. Prócz tego Herman chciał zrobić jak największe wrażenie na Rzymianach, a Flawiusz na Niemcach. Pierwszy starał się mówić tylko po niemiecku, drugi tylko po łacinie. Im dłużej jednak rozmawiali, tym bardziej zaczęli się zapalać i w końcu mówili taką mieszaniną obu tych języków, że - jak pisał Germanik - ubawił się bardziej słuchając tej rozmowy niż nieraz na najweselszej komedii.

Przytoczę tu ją tak, jak mi ją opisał.

Herman: Witaj, bracie! Cóż to ci się stało? Ta szrama zupełnie wykrzywiła ci gębę.

Gdzie twoje oko?

Flawiusz: Może ty je przypadkiem znalazłeś? Straciłem je tego dnia, kiedy ty zwiewałeś z lasu z tarczą wysmarowaną błotem, żeby cię Germanik nie poznał.

Herman: Mylisz się, bracie. To nie ja uciekałem. Znow pewno za dużo wypiliśmy.

Zawsze byłeś taki przed bitwą. Jak nie wypiliśmy galonu piwa, trząsałeś się trochę i trzeba cię było przywiązywać do siodła, kiedy zagrali do ataku.

Flawiusz: Łzesz jak zwykle. Mówisz o waszym niemieckim piwie? To trujące świństwo dobre dla barbarzyńców! Nie biorę go do ust, chociaż nieraz mamy tego, ile dusza zapragnie, jak zagarniemy którąś z waszych wiosek.

Pijemy to piwsko tylko wtedy, kiedy musimy. Zawsze to lepsze niż cuchnąca woda, w której gniją niemieckie trupy.

Herman: Ha, ja sam lubię rzymskie wino. Zostało mi jeszcze parę-set dzbanów ze zdobytych na Warusie. Tego lata postaram się o nowy zapas, jeśli Germanik nie będzie się pilnował. Ale, jak ci zapłacili za twoje oko?

Flawiusz (z godnością): Sam wódz naczelny mi dziękował. Dostałem trzy odznaczenia, Koronę i Łańcuch.

Herman: Ho, ho! Łańcuch! Czy masz go na nogach, ty rzymski niewolniku?

Flawiusz: Wolałbym zostać rzymskim niewolnikiem niż zdrajcą. Ale, ale, Trunselda z synem mają się dobrze. Kiedy przyjedziesz do Rzymu ich odwiedzić?

Herman: Na zakończenie tej kampanii.

Flawiusz: Aha! To znaczy, że cię wprowadzą za rydwanem Germanika odprawiającego triumf i tłum będzie ciskał w ciebie zgniłymi jajkami. To się uśmieję!

Herman: Lepiej już teraz naśmiej się do woli, bo jeśli za trzy dni jeszcze będziesz miał czym się śmiać, nie nazywam się Herman. Ale dość tego. Mam dla ciebie polecenie od matki.

Flawiusz (nagle poważniejąc i z głębokim westchnieniem): Ach, moja kochana matka!

Co mi przesyła matka? Czy nie odebrała mi swego świętego błogosławieństwa, bracie?

Herman: Zraniłeś naszą mądrą, szlachetną i czcigodną matkę do głębi. Matka każe ci powiedzieć, że jeśli natychmiast nie przejdiesz na naszą stronę i nie obejmiesz wraz ze mną dowództwa, jeśli pozostaniesz zdrajcą naszej rodziny i plemienia, to jej błogosławieństwo zamieni się w klątwę.

Flawiusz (wybuchając łzami wściekłości): Och, Hermanie, matka nigdy by tego nie powiedziała! Nie mogła tego powiedzieć. Łzesz, żeby mnie zgnać.

Przyznaj, że sam to wymyśliłeś!

Herman: Dała ci dwa dni do namysłu.

Flawiusz (do giermka): Hej! ty wykrzywiona świnio! Konia i zbroję! Przeprowadzam się przez rzekę, aby walczyć z bratem. Herman, ty łgarzu, zaraz tam będę!

Herman: Chodź, chodź, ty zjadaczu bobu, ty jednooki niewolniku!

Flawiusz już wskoczył na konia i zjeżdżał ku rzece, aby ją przepłynąć, kiedy jeden z rzymskich pułkowników złapał go za nogę i ściągnął z siodła. Człowiek ten znał Niemców i wiedział, do jakiego absurdu posuwają swoją cześć dla żon i matek. A nuż Flawiusz chce uciec? Uspokoił go, radząc, żeby nie słuchał Hermana i nie wierzył w jego łgarstwa. Ale Flawiusz musiał mieć ostatnie słowo. Otarł oczy i krzyknął przez rzekę: W zeszłym tygodniu widziałem twego teścia. Dobrze mu się mieszka pod Lyonem. Powiedział mi, że Trunselda dlatego wróciła do niego, że znieść dłużej nie może hańby, jaką ją okrywa małżeństwo z człowiekiem, który zerwał uroczystą przysięgę przyjaźni z Rzymem i zdradził przyjaciela, przy którego stole ucztował. Powiedziała, że zostaje ci już tylko jedna droga odzyskania jej szacunku: jeśli przestaniesz używać broni, którą ci wręczyła w dzień ślubu, przeciw przyjaciołom. Jest ci jeszcze wierna, ale długo nią nie pozostanie, jeżeli szybko nie przyjdiesz do rozumu.

Teraz znów Herman zapłakał i wściekły zarzucał kłamstwo Flawiuszowi. Germanik w tajemnicy polecił jednemu z kapitanów pilnować Flawiusza podczas bitwy i w razie najmniejszej oznaki zdrady natychmiast zabić.

Germanik rzadko pisywał, ale kiedy już napisał, listy jego były długie i - jak mówił - opisywał w nich wszystkie ciekawe i zabawne wydarzenia, które nie nadawały się do zamieszczenia w oficjalnych raportach wysyłanych Tyberiuszowi. Nie mogłem się doczekać tych listów. Nigdy nie martwiłem się o jego bezpieczeństwo, kiedy wyruszał na Niemców.

Czuł się między nimi jak doświadczony bartnik w swojej pasiece, który

śmiało wybiera miód z ula, a żadna z pszczoł jakoś go nie utnie, chociaż każdego innego na pewno by ucięła, gdyby spróbował zrobić to co on.

Drugiego dnia po przejściu Wezery stoczył Germanik decydującą bitwę z Hermanem.

Zawsze interesowałem się mowami wygłaszanymi przed bitwą; nie rzuca równie jasnego światła na charakter dowódcy. Germanik ani nie wygłosił do swych żołnierzy przemowy według zasad retoryki, ani nie żartował z nimi poufale jak Juliusz Cezar. Zawsze był bardzo poważny, dokładny i trzeźwy. Powiedział im w swej mowie, co myśli o Niemcach.

Nie są oni żołnierzami - mówił. - Biją się z pewną brawurą i walczą dobrze w tłumie, odznaczają się też swego rodzaju przebiegłością, toteż w walce z nimi mądrze jest nie zaniedbywać zwykłych środków ostrożności. Szybko się jednak męczą po pierwszym zaciekłym ataku, nie znają też dyscypliny wojskowej, kierując się jedynie duchem wzajemnej rywalizacji.

Wodzowie niemieccy nigdy nie mogą liczyć na to, że ich rozkazy zostaną wykonane.

Żołnierze zrobią albo za wiele, albo nie dość dużo. Niemcy - ciągnął Germanik - kiedy szczęście im sprzyja, to najbardziej zuchwały i chępliwy naród na świecie. Raz jednak pokonani, zamieniają się w nikczemnych tchórzów. Nigdy nie ufaj Niemcowi, kiedy się do niego choć na chwilę odwrócisz plecami, a nigdy się go nie lękaj, kiedy staniesz z nim twarzą w twarz."To wszystko, co chciałem wam powiedzieć - zakończył - z wyjątkiem jednej jeszcze rzeczy: główne starcie nastąpi jutro w lesie, gdzie siła nieprzyjaciela ściągnie podobno tak wielka, że nie będą mieli miejsca manewrować. Atakujcie śmiało, nie zważając na włócznie, i dążcie do walki wręcz. Sieczcie po twarzach, tego się najbardziej boją."

Herman starannie wybrał miejsce walki. Była to zwężająca się dolina między Wezerą a łańcuchem wzgórz pokrytych lasem. Ustawił wojska w jej węższym końcu, mając za sobą dębowy i brzoźowy las, po prawej stronie rzekę,

po lewej wzgórza. Całe swoje wojsko podzielił na trzy części. Pierwszą stanowili młodzi włócznicy z miejscowych plemion; mieli oni zaatakować na równinie pierwsze linie rzymskie i zmusić je do odwrotu.

Herman spodziewał się, że będą to pułki francuskich sprzymierzeńców. Następnie, kiedy nadejdą posiłki rzymskie, włócznicy mieli załamać szeregi i udać paniczną ucieczkę.

Kiedy Rzymianie przycisną ich do lasu, drugi oddział, składający się z współplemieńców Hermana, zaatakuje ich z boku, wypadając z zasadzki urządzonej na wzgórzu. To spowoduje wielkie zamieszanie. Wtedy pierwszy oddział znowu się zwróci przeciw Rzymianom, wspomagany teraz przez oddział trzeci, starszych, doświadczonych wojowników z miejscowych plemion, i zepchnie nieprzyjaciela ku rzece. Przez ten czas konne oddziały niemieckie wyjadą zza wzgórza i odetną odwrót wojskom rzymskim.

Plan byłby dobry, gdyby Herman dowodził zdyscyplinowanym żołnierzem. W rzeczywistości został pokrzyżowany przez głupstwo.

Germanik uszykował swoje wojsko następująco: po pierwsze, dwa pułki ciężkiej francuskiej piechoty na brzegu rzeki, a dwa pomocnicze niemieckie na zboczu pagórka; następnie piesi łucznicy, cztery pułki regularnego wojska i sam Germanik na czele dwóch batalionów gwardii i konnicy; dalej jeszcze cztery pułki regularnych, francuscy konni łucznicy i lekka piechota francuska.

Herman obserwował ruchy nieprzyjaciela z wysokiej sosny. Kiedy ujrzął posiłkowe wojska niemieckie zjeżdżające ze zbocza pagórka, podniecony krzyknął do swego siostrzeńca, który pod drzewem czekał na rozkazy: "Oto jedzie mój brat zdrajca!

Nie wyjdzie żywy z tej bitwy!" Przygłupi siostrzeniec skoczył naprzód, krzycząc: "Herman rozkazuje atakować! Do ataku!" I ruszył w dolinę, a za nim połowa całego plemienia. Herman z trudem powstrzymał resztę. Germanik od razu wysłał regularną kawalerię, aby uderzyła na tych głupców z flanki, zanim zetną się z ludźmi Flawiusza. Następnie konni łucznicy francuscy odcięli im

odwrót. Tymczasem z lasu wyjechał oddział harcowników niemieckich.

Atak rzymskiej konnicy wpędził na harcowników oddział dowodzony przez siostrzeńca Hermana, na skutek czego Niemcy wpadli w panikę i zaczęli uciekać. Wtedy wynurzył się z lasu trzeci oddział wojsk Hermana, główny trzon jego armii, aby zatrzymać w ucieczce harcowników i razem z nimi uderzyć na Rzymian, jak było ułożone. Lecz harcownicy myśleli tylko o tym, jak uciec przed konnicą, i przedarli się przez szeregi trzeciego oddziału na tyły. W tym momencie właśnie nastąpiło zdarzenie będące dla wojsk rzymskich najpomyślniejszą wróżbą.

Niemcy - wyjeżdżający z zasadki na wzgórzu spłoszyli osiem orłów, które, zatoczywszy krąg nad doliną, pofrunęły do lasu."Za orłami! - zawołał Germanik. - Za rzymskimi orłami!"

Cała armia podchwyciła ten okrzyk. Herman z resztą wojska zaatakował zniecierpliwionych łuczników, wielu kładąc trupem, ale pułk ciężkiej francuskiej piechoty z tylnej straży zawrócił na pomoc łucznikom. Wojsko Hermana, w sile piętnastu tysięcy żołnierzy, mogło jeszcze wyjść obronną ręką z tej bitwy, miażdżąc francuską piechotę i tym straszliwym klinem odcinając przednie linie rzymskie od trzonu armii. Oślepiało ich jednak słońce odbijające się od mieczy, pancerzy, tarcz i hełmów regularnej piechoty, która nacierała na nich długimi szeregami. Niemcom zabrakło odwagi i większość z nich z powrotem ruszyła ku wzgórzu. Herman zebrał tysiąc czy dwa tysiące żołnierzy, zbyt mało, a tymczasem dwa szwadrony rzymskiej konnicy wpadły na uciekających i odcięły im drogę do wzgórza. Nikt nie wie, jak mu się udało uciec, powszechnie jednak przypuszczano, że spiąwszy konia przedarł się ku lasowi i dogonił posiłkowy oddział Niemców, który właśnie szykował się do ataku."Z drogi, bydło! Jam jest Herman!" - krzyknął. Nikt nie ośmielił się go zabić, był przecież bratem Flawiusza, a ten dla honoru rodziny byłby się czuł w obowiązku pomścić jego śmierć.

Nie była to już bitwa, ale rzeź. Główne siły niemieckie zostały przyparte

do rzeki, którą wielu udało się przepłynąć. Nie mogli tego jednak zrobić wszyscy. Germanik posłał drugą linię swej regularnej piechoty do lasu w ślad za harcownikami, którzy czekali tam z prózną nadzieją, że szale bitwy przechyła się na ich korzyść. Łucznicy rzymscy mieli znakomitą zabawę strącając Niemców ukrytych wysoko na drzewach wśród listowia.

Nie było już mowy o jakimkolwiek oporze. Od dziewiątej godziny z rana do siódmej wieczorem, aż do zmroku, trwała rzeź. Na cztery mile wokół pola bitwy lasy i pola zasłane były niemieckim trupem.

Wśród jeńców znalazła się matka Hermana i Flawiusza. Prosiła, by darowano jej życie, twierdząc, że zawsze starała się odwieść Hermana od zuchwałego oporu wobec zwycięskich Rzymian. Potwierdziło to lojalność Flawiusza.

Miesiąc później stoczył Germanik drugą bitwę wśród gęstych lasów zarastających brzegi Elby. Herman przygotował zasadzkę, wydał rozkazy, które mogły mu w rezultacie przynieść zwycięstwo, gdyby nie to, że na parę godzin przed bitwą Germanik dowiedział się o nich od niemieckich dezertersów. Na skutek zdrady Herman, zamiast zepchnąć wojska rzymskie do rzeki, musiał się cofać w głąb lasu, gdzie wśród gęstwiny nie mógł zastosować swej zwykłej taktyki uderzenia i szybkiego odwrotu. Wojsko niemieckie utknęło na trzęsawisku, w którym całe tysiące znalazły powolną śmierć, zapadając się stopniowo wśród krzyków wściekłości i rozpacz. Herman osłabiony był raną od strzały, którą otrzymał w poprzedniej bitwie. W starciu wśród gęstwiny walczył jednak tak zaciekle, jak tylko mógł, i natknąwszy się przypadkiem na swego brata Flawiusza, przebił go włócznią. Uszedł przez bagno skacząc z kępy na kępę z niezwykłą zręcznością i szczęściem.

Germanik zebrał po bitwie broń zdobytą na Niemcach w wielki stos i umieścił na nim następujący napis: "Wojska Tyberiusza Cezara, podbiwszy plemiona mieszkające między Renem a Elbą, poświęcają te trofea zwycięskie Jowiszowi, Marsowi i Augustowi."

Nie wspomniał ani słowa o sobie. Ogółem jego straty po tych dwóch bitwach nie przewyższały dwóch tysięcy pięciuset zabitych i ciężko rannych. Niemcy musieli stracić co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy.

Germanik uznał, że dość już wojny na ten rok, i odesłał swe wojska za Ren, częściowo lądem, resztę zaś załadował na okręty. Ale wtedy przyszło nieszczęście. Skoro tylko flota podniosła kotwicę, zerwał się nagle sztorm z południo-zachodu i rozproszył statki na wszystkie strony. Wiele z nich poszło na dno. Do ujścia Wezery dopłynął tylko statek Germanika. Brat mój rozpacział nazywając siebie drugim Warusem, który zgubił całą armię rzymską. Przyjaciele z trudem powstrzymali go, gdy chciał skoczyć do morza, aby połączyć się ze swymi straconymi towarzyszami. Jednakże parę dni później pogoda się zmieniła i przy północnym wietrze zaginione okręty wracały jeden po drugim, bez wiosła, z żołnierskimi płaszczami rozpiętymi zamiast żagli; mniej rozbite holowały te, które ledwie mogły się utrzymać na wodzie.

Germanik pośpiesznie zajął się naprawą uszkodzonych statków i wysłał tyle, ile tylko było zdolnych do żeglugi, na poszukiwanie rozbitków ku pobliskim nie zamieszkanym wyspom. Znalezione ich tam wielu, w półzagłodzonych, utrzymujących się przy życiu jedynie małżami i wyrzuconą na brzeg przez morze końską padliną. Jeszcze więcej rozbitków wyszło z głębi kraju, gdzie z szacunkiem przyjęli ich tubylcy, którzy ostatnio musieli złożyć przysięgę wierności Rzymowi. Blisko dwadzieścia statków wróciło ni mniej, ni więcej tylko aż z Brytanii, która od siedemdziesięciu lat, to jest od czasu, kiedy została podbita przez Juliusza Cezara, płaciła trybut Rzymowi. Statki odesłali pomniejsi władcy Brytanii, królowie Kentu i Sussexu. Pod koniec brakowało już tylko jakiejś jednej czwartej wszystkich zaginionych, ale po latach odnaleziono dwustu z nich w środkowej Brytanii i wyzwolono od przymusowych robót w kopalniach ołowiu.

Zaledwie mieszkający w głębi kraju Niemcy posłyszeli o klęsce, jaka spotkała armię Germanika, pierwszą ich myślą było, że to bogowie ich pomścili.

Rozrzućli kopiec usypany przez Germanika i zaczęli nawet przemyśliwać o marszu za Ren. Nagle jednak Germanik znów uderzył. Wysłał przeciwko plemionom znad górnej Wezery ekspedycję w sile sześćdziesięciu batalionów piechoty i stu szwadronów konnicy, a sam jednocześnie wyruszył na czele osiemdziesięciu batalionów piechoty i również stu szwadronów konnych przeciwko plemionom mieszkającym pomiędzy dolnym Renem i Ems. Obydwie wyprawy zakończyły się zupełnym sukcesem i - co znaczyło więcej niż zabicie wielu tysięcy Niemców - Germanikowi żołnierze odzyskali orła osiemnastego pułku. Odnaleziono go w podziemnej świątyni wśród lasów. Pozostawało jeszcze tylko odzyskać orła pułku siedemnastego i Germanik obiecał swym żołnierzom, że następnego roku, jeśli będzie jeszcze nimi dowodził, odbiją go również. Tymczasem odprowadził wojska do obozu zimowego.

Teraz Tyberiusz wezwał Germanika do Rzymu, aby odbył triumf, który przyznał mu senat i na który rzeczywiście sobie zasłużył. Germanik odpisał, że nie spocznie, dopóki nie rozgromi Niemców zupełnie, do czego teraz nie trzeba już wielu bitew, i nie odzyska trzeciego orła. W następnym liście Tyberiusz pisał, że Rzym nie może sobie pozwolić na tak wielkie straty, choćby nawet zapłatą za nie były takie wspaniałe zwycięstwa jak ostatnie. Nie krytykuje umiejętności Germanika jako generała - pisał - gdyż wie, jak bardzo oszczędzał w boju żołnierza, ale jego straty w bitwie i przy rozbiciu floty liczone razem wynoszą tyle, co całe dwa pułki, a to już jest za wiele. Przypomniwał Germanikowi, że jego samego August dziewięć razy wysyłał na Niemców, jego argumenty nie są więc gołosłowne. Według niego zabicie nawet dziesięciu Niemców nie zrównoważy śmierci jednego Rzymianina.

Porównywał Niemców do Hydry, której im więcej się głów odetnie, tym więcej nowych wyrasta. Najlepszy sposób na ujarzmienie tych barbarzyńców to wykorzystać zawiści istniejące między plemionami i podburzać ich do bratobójczych wojen, tak aby się między sobą wybili bez pomocy z zewnątrz.

Germanik odpisał Tyberiuszowi prosząc o rok czasu, w którym mógłby

dokończyć podboju. Lecz Tyberiusz odpowiedział na to, że potrzebny jest w Rzymie jako konsul, i trafił w najślabsze miejsce Germanika dodając, że powinien pamiętać o swym bracie Kastorze.

Niemcy są obecnie jedynym krajem, gdzie toczy się poważna wojna, jeśli więc będzie należał, aby ją samemu zakończyć, pozbawi Kastora jedynej sposobności zasłużenia na triumf i miano głównodowodzącego. Germanik dłużej się nie sprzeciwiał. Odpisał, że życzenia Tyberiusza są dla niego prawem i że wraca bez zwłoki.

17 r. n.e.

Germanik powrócił wczesną wiosną i odbył triumf. Cała ludność wyszła mu naprzeciw aż dwadzieścia mil od stolicy. Na pamiątkę odzyskania orłów wzniesiono koło świątyni Saturna wielki łuk triumfalny, pod którym miał przejść pochód. Ciągnęły więc wozy naładowane zdobycznym orężem i łupem zrabowanym w świątyniach niemieckich.

Wieziono też obrazy przedstawiające bitwy albo rzeczne i górskie bóstwa niemieckie poskromione przez rzymskich żołnierzy. Osobno, zakuta w jarzmo, jechała żona Hermana, Trunselda, z małym synkiem. Za nimi nieprzejrzana ćma jeńców w okowach. Germanik jechał na rydwanie w wieńcu na głowie, a obok niego Agryppina i pięcioro dzieci: Neron, Druzus, Kaligula, Agryppinilla, Druzylla. Witano go oklaskami, jakich, od czasu kiedy August święcił swe zwycięstwo pod Akcjum, nie słyszał żaden z triumfatorów.

Niestety, nie byłem świadkiem tych uroczystości. Znajdowałem się właśnie w Kartaginie. Jakby już na całym świecie nie było odpowiedniejszego miejsca!... Na miesiąc przed przyjazdem Germanika Liwia zawiadomiła mnie, że bym się przygotował do podróży.

Ktoś musi reprezentować rodzinę cesarską przy poświęceniu nowej świątyni Augusta w Kartaginie, a tylko ja rozporządzam wolnym czasem. Dostałem obszerną instrukcję, jak mam się zachować i jak dokonać obrzędu. Na zakończenie Liwia wyraziła nadzieję, że może tym razem wobec mieszkańców

provincji nie zrobię z siebie pośmiewiska. Od razu zwąchałem pismo nosem. Świątynia mogła być ukończona w najlepszym razie za trzy miesiące.

Nie było więc powodu do pośpiechu, chyba że chodziło o usunięcie mnie ze stolicy na czas pobytu Germanika. Wiedziałem też, że wszystkie moje listy będą cenzurowane. Nie miałem więc żadnej okazji podzielenia się z bratem wiadomościami, z którymi tak długo nań czekałem.

Mimo to jednak Germanik odbył z Tyberiuszem rozmowę w cztery oczy. Powiedział mu, że ma niezbite dowody niewinności Postuma; padł on ofiarą nikczemnej intrygi uknutej przez Liwie, którą bezwzględnie należy odsunąć od steru rządów. Jej postęпки nie znajdują usprawiedliwienia w późniejszym zachowaniu się Postuma. Jest całkiem naturalne, że, uwięziony niewinnie, próbował ucieczki. Tyberiusz udał zaskoczonego; oświadczył, że chcąc uniknąć publicznego skandalu, nie może matki pozbawić od razu wszystkich zaszczytów, ale prywatnie oskarży ją o popełnioną zbrodnię i stopniowo będzie odsuwał od władzy.

Rzeczywiście udał się do Liwii, ale po to, by powtórzyć jej dokładnie rozmowę z Germanikiem, dodając, że jego adoptowany syn jest wprawdzie łatwowiernym głupcem, tym razem jednak, jak się zdaje, wziął tę sprawę poważnie do serca. Ze względu na popularność, jaką się cieszy wśród ludu i w armii, byłoby może wskazane, aby Liwia przekonała go o swej niewinności; o ile, rzecz prosta, uważa, że to nie przynosi jej ujmy. On sam, Tyberiusz, zrobi, co może: wyśle Germanika jak najprędzej na Wschód i postara się, aby w senacie pojawił się wniosek o nadanie Liwii tytułu Matki Ojczyzny - na odznaczenie to przecież rzeczywiście sobie zasłużyła.

W stosunku do Liwii była to najlepsza metoda postępowania. Wywnioskowała z zadowoleniem, że skoro Tyberiusz tak szczerze jej wszystko powtórzył, to widać w dalszym ciągu się jej obawia. Nazwała go przykładnym synem i przysięgła, że przeciw Postumowi nie dostarczała żadnych fałszywych dowodów; cała historia jest prawdopodobnie wymysłem Agryppiny, której

Germanik ślepo we wszystkim ulega, a która go podburza, żeby sięgnął po koronę. Tym razem chciała wzniecić niesnaski pomiędzy Tyberiuszem a kochającą go matką.

Tyberiusz uściskał Liwie, zapewniając, że wprawdzie mogą się zdarzyć między nimi drobne chwilowe nieporozumienia, ale nic nie jest w stanie ochłodzić jego synowskich uczuć.

Liwia z westchnieniem zauważyła, że się starzeje (niedługo zaczynała ósmy krzyżyk) i czuje się zmęczona nadmiarem pracy; może by Tyberiusz zechciał ją uwolnić przynajmniej od bardziej uciążliwych obowiązków; służyłaby mu ewentualnie swą radą tylko w najważniejszych sprawach, jak nominacje i dekrety. Nie miałyby nawet pretensji, gdyby zaprzestał umieszczać jej imię przed swoim na urzędowych dokumentach. Nie pragnie, aby mówiono o nim, że chodzi na matczynym pasku. Będzie mu natomiast bardzo wdzięczna, jeśli nakłoni senat, aby uchwalił dla niej tytuł Matki Ojczyzny; tym wdzięczniejsza, dorzuciła, im prędzej się to stanie.

Po tej rozmowie rozstali się pozornie w najlepszej zgodzie, w rzeczywistości jedno nie dowierzało drugiemu.

Tyberiusz mianował Germanika swym kolegą w konsulacie i oświadczył mu, że nakłonił Liwie, by wycofała się z życia publicznego. Dla formy jednak będzie ją w dalszym ciągu zapytywał o zdanie. To zdawało się Germanikowi wystarczać. Tyberiusz jednak w dalszym ciągu czuł się niepewnie. Agryppina prawie nie rozmawiała z nim, a ponieważ Germanik z żoną tworzyli, jak mówiono, jedną duszę w dwu ciałach, więc zachowanie jej kazało cesarzowi mieć się na baczności. Poza tym stosunki panujące w ówczesnym Rzymie musiały oburzać człowieka tego pokroju co mój brat. Szpiegostwo rozpanoszyło się na wielką skalę. Ponieważ Liwia nie chciała dać cesarzowi klucza do zaszyfrowanych akt ani nie pozwoliła mu bezpośrednio korzystać z własnej doskonale zorganizowanej służby szpiegowskiej, której agenci znajdowali się w każdym znacniejszym domu prywatnym i w każdej instytucji, Tyberiusz musiał

chwycić się innego środka. Wydał dekret, w którym ogłosił, że majątek skazanych za zbrodnie przeciw państwu lub za obrazę boskiego Augusta zostanie podzielony między oskarżycieli. Trudniej było udowodnić spiskowanie przeciw państwu niż bluźnierstwo przeciw Augustowi. Pierwszy padł ofiarą nowego prawa pewien młody, zbyt skłonny do żartów sklepikarz, który stanawszy przypadkiem na Rynku obok cesarza przyglądał się jakiemuś pogrzebowi. Kiedy kondukt był już całkiem blisko, sklepikarz podbiegł i szepnął coś zmarłemu do ucha, a na pytanie zaintrygowanego tym zachowaniem Tyberiusza odparł, że prosił nieboszczyka, by spotkawszy się w podziemnym świecie z Augustem doniósł mu, że legaty jego dla ludu jeszcze nie zostały wypłacone.

Tyberiusz kazał żartownisia uwięzić i skazać na śmierć za wyrażenie się o Auguście jak o zwykłym duchu, a nie jak o nieśmiertelnym bogu.

- Wysyłając go na tamten świat - zauważył - damy mu możliwość przekonania się o pomyłce, którą popełnił.

Niemniej jednak w miesiąc czy dwa po tym wypadku wypłacił wszystkie legaty co do grosza. Tym razem surowe postępowanie Tyberiusza można by jeszcze usprawiedliwić, ale później najniewinniejsze nadużycie imienia Augusta wystarczało do wytoczenia gardłowej sprawy.

Powstała nowa kasta zawodowych donosicieli,*[* O tej pladze społecznej opowiada Tacyt w Rocznikach, z pogardą i nienawiścią nazywając donosicieli wręcz posługaczami zbrodni (*scelerum administri*). Bujnemu rozwojowi tej kasty sprzyjały z jednej strony ochrona prawna: "Bo im kto się okazał zacieklejszym donosicielem, niby świętek był nietykalny" (ks. IV, r, 36); z drugiej - bodźce ekonomiczne, ponieważ jedna czwarta majątku skazanej ofiary przypadła donosicielowi, stąd ich nazwa: *quadruplatores* - ćwiartkarze."W ten sposób donosiciele - rodzaj ludzi na zatracenie narodu wynaleziony, a przez kary nigdy dostatecznie nie ukrócony - nagrodami byli wabieni" (ks. IV, r. 30, przełożył L.J.). na których Tyberiusz mógł zawsze liczyć, ilekroć któregoś z

niemiłych sobie obywateli chciał uwikłać w proces gardłowy. Roli pośrednika między zgrają szpiclów a cesarzem podejmował się Sejan. Tajne kartoteki Augusta z materiałami dotyczącymi faktycznych wykroczeń stały się zbyteczne.

16 r. n.e.

Na rok przed przybyciem Germanika Tyberiusz poszczuł sforę donosicieli na niejakiego Libona, prawnika Pompejusza, przez babkę Skrybonię skuzynowanego z Agryppina. Miał to być, zdaniem Sejana, człowiek niebezpieczny, który w lekceważący sposób wyrażał się o cesarzu. W tym czasie Tyberiusz unikał jeszcze wytaczania spraw o obrazę własnej osoby, trzeba więc było znaleźć inne zarzuty. Aby zatuszować swoje stosunki z Trazyłem, Tyberiusz wypędził z Rzymu wszystkich astrologów, czarnoksiężników, wróżbitów i tłumaczy snów, zakazując równocześnie odwiedzania tych, którzy by w tajemnicy przed władzami uprawiali dalej swoje wieszczbiarskie rzemiosło.

Nielicznym tylko pozwolił pozostać pod warunkiem, że będą przyjmowali klientów w obecności tajnego agenta ukrytego w tym samym pokoju. Jeden z senatorów, który zawodowo trudnił się donosicielstwem, namówił Libona, żeby udał się do "urzędowego" wróżbity i kazał sobie wywróżyć przyszłość. Młodzieniec dał się zwabić w potrzask. Pytania, jakie zadawał, zostały skrętnie zanotowane przez agenta. Były bardziej niemądre niż rewolucyjne; zapytywał, ile będzie miał pieniędzy, czy osiągnie wpływowe stanowisko i tym podobne. Podczas procesu przedstawiono sfalszowany dokument, który jeden z niewolników miał znaleźć w jego sypialni. Była to lista członków domu cesarskiego i ważniejszych senatorów sporządzona, jak się okazało, własnoręcznie przez Libona. Obok każdego nazwiska znajdowały się klątwy wypisane w chaldejskim lub egipskim alfabecie. Zasięganie porady u wróżbitów groziło wygnaniem, ale za praktyki czarnoksiężskie karano śmiercią. Libon zaprzeczył, jakoby był autorem listy, a do skazania go nie wystarczało świadectwo niewolników, nawet złożone na torturach; było ono ważne tylko w

procesie o kazirodztwo. Żaden z wyzwoleńców Libona nie chciał świadczyć przeciw swemu patronowi, a prawo nie pozwalało torturować wyzwoleńców, aby wymóc na nich zeznania. Za radą Sejana Tyberiusz przeforsował uchwałę, że jeżeli jakiś obywatel zostaje oskarżony o zdradę stanu, niewolników jego może za pełną cenę nabyć Zarząd Dóbr Państwowych, a wtedy zeznanie ich złożone na torturach staje się ważne. Libon, którego żaden adwokat nie miał odwagi bronić, widząc, że nie wydobędzie się z potrzasku, poprosił o odłożenie rozprawy do następnego dnia.

Kiedy prośbie jego stało się zadość, wrócił do domu i odebrał sobie życie. Pomimo to sprawy nie umorzono, odbyła się ona z tymi formalnościami, jakby oskarżony żył jeszcze, a w wyroku senat potwierdził słuszność wszystkich zarzutów. Tyberiusz wyraził żal, że nieroztropny młodzieniec pospieszył się z odebraniem sobie życia; miał bowiem właśnie zamiar prosić o jego ułaskawienie. Majątek Libona podzielono pomiędzy oskarżycieli, wśród których znalazło się czterech senatorów. Za czasów Augusta nie mogło być mowy o tego rodzaju ohydnej komedii, ale za Tyberiusza powtarzała się ona raz po raz z pewnymi drobnymi zmianami. Jeden tylko człowiek zaprotestował przeciw niej publicznie. Był to niejaki Kalpurniusz Pizon, który oświadczył w senacie, że takim wstrętem przejmuje go atmosfera politycznych intryg, przekupstwo sędziów i ohyda, jakiej dopuszczają się jego koledzy senatorowie występujący w roli płatnych szpiegów, że opuszcza Rzym na zawsze i osiada gdzieś na krańcach Italii. Powiedziawszy to wyszedł. Mowa wywarła w senacie potężne wrażenie. Tyberiusz posłał kogoś, aby zawrócił Kalpurniusza, a gdy ten z powrotem siadł na swoim miejscu, oświadczył, że jeśli w sądownictwie zdarzają się nadużycia, każdy senator może w wolnych wnioskach zabrać głos na ten temat. Co do intryg politycznych, nie da się ich całkiem uniknąć w stolicy największego cesarstwa, jakie świat widział. Czy Kalpurniusz chciał powiedzieć, że senatorowie nie występowałiby w roli oskarżycieli, gdyby nie nadzieja nagrody? On, Tyberiusz, podziwia powagę i niezależność myśli

Kalpurniusza i zazdrości mu jego zdolności, ale czy nie słuszniej by było, gdyby zechciał je obrócić na podniesienie poziomu obyczajów i etyki współobywateli niż zakopywać się w jakiejś zapadłej dziurze Półwyspu Apenińskiego wśród pastuchów i bandytów? Wobec tego Kalpurniusz pozostał i wkrótce dowiódł swej powagi i niezależności myśli pozrywając przed sąd starą Urgulanię.

Chodziło o pokaźną surnę, którą mu była winna za różne obrazy i rzeźby. Niedawno zmarła siostra Kalpurniusza i Urgulania zakupiła je na wyprzedaży majątku zmarłej.

Urgulania, otrzymawszy pozew wzywający ją do bezzwłocznego stawienia się przed sądem, wsiadła do lektyki i udała się do pałacu Liwii. Kalpurniusz podążył za nią i w portyku spotkał Liwie, która kazała mu iść precz. Senator przeprosił uprzejmie cesarzową, ale wyjaśnił, że tylko choroba mogłaby uwolnić Urgulanię od obowiązku stawienia się przed sądem. A ten wypadek, jak się zdaje, nie zachodzi. Nawet westalki są obowiązane respektować pozwy sądowe. Liwia odparła, że zachowanie jego obraża ją osobiście i że jej syn, cesarz, potrafi pomścić tę zniewagę. Tyberiusz, po którego posłała, usiłował załagodzić sprawę.

Zapewnił Kalpurniusza, że Urgulania stawi się niechybnie w sądzie, kiedy tylko ochłonie cokolwiek z wrażenia, jakie wywarł na niej niespodziewany pozew. Liwii zaręczył, że Kalpurniusz nie miał zamiaru jej obrażać i wszystko polega tylko na nieporozumieniu. On sam zaraz wybierze się do sądu i przypilnuje, żeby Urgulania miała dobrego adwokata i bezstronnych sędziów.

Opuścił pałac razem z Kalpurniuszem i udał się z nim do sądu gawędząc po drodze o tym i owym. Przyjaciele Kalpurniusza usiłowali go nakłonić, żeby odstąpił od sprawy, ale uparty starzec odparł, że ma staroświeckie poglądy i lubi, by zwracano mu długi. Do sprawy jednak nie doszło. Zanim Tyberiusz i Kalpurniusz przybyli do sądu, dogonił ich posłaniec Liwii, który przyniósł całą należną sumę w złocie.

Historia z Urgulania przerwała właściwy bieg mojego opowiadania.

Mówiłem o pladze donosicielstwa, przyczyniającej się do upadku moralności, i o przekupstwie sądów i miałem właśnie zaznaczyć, że przez cały czas pobytu Germanika w Rzymie nie było ani jednej sprawy o bluźnierstwo przeciw Augustowi lub zdradę stanu; szpiegom zapowiedziano, aby siedzieli cicho. Tyberiusz promieniał taką dobrotliwością, że wprost do rany przyłożył, a jego przemówienia w senacie były wzorem otwartości. Sejana prawie nie było widać. Trazyła przetransportowano do willi na Capri, a jako jedyny przyjaciel Tyberiusza występował Nerwa, którego cesarz radził się przy każdej sposobności.

Kastora nigdy nie zdołałem polubić. Był to człowiek gwałtowny i krwiożerczy, o plugawym języku i rozwiązłych obyczajach. Charakter jego najlepiej dawał się poznać podczas potyczki na miecze. Więcej zadowolenia sprawiał mu widok krwi tryskającej z rany niż jakikolwiek popis zręczności lub odwagi jego przeciwnika. Lecz przyznać muszę, że w stosunku do Germanika był uprzejmy i najwidoczniej zmieniał się zupełnie w jego towarzystwie. Polityczne ugrupowania stolicy starały się poróżnić braci usiłując obudzić w nich niskie uczucie rywalizacji o dziedzictwo władzy cesarskiej. Żaden z nich nigdy jednak niczym nie usprawiedliwił tych insynuacji; Kastor traktował Germanika z tą samą braterską serdecznością co Germanik jego.

Kastor nie był właściwie tchórzem, ale polityk górował w nim nad żołnierzem.

Kiedy Wschodnie Niemcy zwróciły się do Rzymu z prośbą o pomoc i Kastor został wysłany za Dunaj, opanował tam sytuację zręczną intrygą, wciągając do wojny plemiona czeskie i bawarskie. Cała wojna zaczęła się od tego, że skonfederowane plemiona zachodnioniemieckie pod dowództwem Hermana napadły na Wschodnie Niemcy. Kastor zastosował politykę Tyberiusza, polegającą na dopomaganiu Niemcom do wzajemnego wyniszczenia się między sobą. Maroboduus (co znaczy: "Ten, który stąpa po dnie jeziora"), król i jednocześnie najwyższy kapłan Wschodnich Niemiec,

uciekł i poszukał schronienia w obozie Kastora, który następnie zapewnił mu bezpieczne schronienie w Italii. Kiedy plemiona wschodniemieckie przysięgły wieczne posłuszeństwo Rzymowi, przez osiemnaście lat był Maroboduus zakładnikiem gwarantującym ich uległość. Wschodni Niemcy to plemiona bardziej wojownicze i potężniejsze niż ich bracia z zachodu. Szczęśliwie się więc składało, że Germanik nie miał ich także przeciw sobie w swoich kampaniach. Lecz na skutek zwycięstwa nad Warusem Herman stał się bohaterem narodowym i Maroboduus zazdrościł mu tego.

Odmówił więc Hermanowi pomocy przeciw Germanikowi, nie wszczynając nawet zamieszek na innych granicach imperium rzymskiego, a czynił to głównie dlatego, żeby Herman nie został królem wszystkich plemion niemieckich, do czego zresztą dążył.

Często myślałem o Hermanie. Był to człowiek na swój sposób ambitny i chociaż trudno mi zapomnieć jego zdradziecki podstęp wobec Warusa, muszę przyznać, że Warus sam w dużej mierze sprowokował Niemców do buntu, a Herman i jego ludzie niewątpliwie walczyli o wolność. Szczerze gardzili Rzymianami. Nie mogli zrozumieć, czym się różniła od poniżającego niewolnictwa niezwykle surowa dyscyplina obowiązująca w armii rzymskiej pod Warusem, Tyberiuszem oraz nieomal wszystkimi innymi generałami z wyjątkiem mego ojca i Germanika. Oburzały ich kary chłosty, a za najbardziej niski uważali obyczaj płacenia żołnierzowi tyle a tyle żołdu dziennie zamiast zagrzewania go do walki obietnicą sławy i łupu. Niemcy zawsze przestrzegali surowych obyczajów, podczas gdy oficerowie rzymscy całkiem jawnie dopuszczali się występków, których rzadkie przypadki wśród Niemców karano śmiercią - obu występnych wgniatało w błoto specjalnie do tego przystosowaną drewnianą kratą.

Co do tchórzostwa Niemców - to cóż, wszystkie ludy barbarzyńskie są tchórzliwe.

Osądzimy ich, czy są odważni, czy nie, wtedy, kiedy staną się narodem

cywilizowanym.

Zdaje się jednak, że to ludzie narwani i kłótniwi. Wątpię, czy istnieje realna możliwość, aby naprawdę przyjęli cywilizację. Germanik uważał, że takiej możliwości nie ma. Czy stosowana przez niego polityka wyniszczenia ich była usprawiedliwiona, czy nie (oczywiście polityki tej nie stosował wobec wszystkich pogranicznych plemion), zależy od tego, co pokaże przyszłość. Niezależnie od tego, stracone orły należało odzyskać; i Herman również nie okazał się litościwy po klęsce Warusa, kiedy to splądrował całą prowincję;

Germanik, który był najszlachetniejszym i najbardziej ludzkim dowódcą, do tego stopnia nie znosił powszechnej masakry, że kiedy już dał do niej rozkaz, musiał mieć ważkie po temu powody.

Herman nie zginął w bitwie. Kiedy Maroboduus musiał uciekać z kraju, Herman sądził już, że droga do objęcia władzy monarszej nad wszystkimi plemionami niemieckimi będzie łatwa i krótka. Lecz był w błędzie. Nie mógł się nawet uczynić królem własnego plemienia. Współplemieńcy jego byli to ludzie wolni i wódz ich nie miał prawa rozkazywać, co najwyżej kierować, radzić i przekonywać. Pewnego dnia, rok lub dwa później, spróbował wydawać rozkazy jak król. Rodzinę jego, która skądinąd była mu bardzo oddana, tak to oburzyło, że wszyscy, nawet nie porozumiawszy się przedtem między sobą, rzucili się na niego z bronią w rękę i rozsiekali na kawałki. W dniu śmierci miał trzydzieści siedem lat; urodził się na rok przed Germanikiem, swoim najzaciętszym wrogiem.

ROZDZIAŁ XX

18 r. n.e.

W Kartaginie przebywałem blisko rok. W tym właśnie czasie Liwiusz opuścił nas na zawsze; zmarł w swojej Padwie, w której całe życie przebywał sercem. Stara Kartagina została, jak wiadomo, zrównana z ziemią,*[* Przez P. Korneliusza Scypiona Młodszego w 146 r. p.n.e.] a nowa - wzniesiona przez Augusta w południowo-wschodniej stronie półwyspu - miała się stać największym miastem Afryki. Po raz pierwszy od dzieciństwa znajdowałem się poza Italią. Klimat afrykański wydał mi się zgoła niepociągający, tubylcy dzicy, zdegenerowani i nadmiernie obciążeni pracą, osiadli tam Rzymianie nudni, kłótniwi, uganiający się jedynie za zyskiem i zacofani; poza tym roiło się tam od pełzającego paskudztwa i miriad najdokuczliwszych insektów. Najbardziej odczuwałem brak zalesionych terenów. W Trypolisie uprawne pola, sady figowe i oliwne stykają się bezpośrednio z nagą, kamienistą, tu i ówdzie tylko kępami cierni porosłą pustynią. Zatrzymałem się w domu namiestnika prowincji, którym był wspomniany już Furiusz Kamillus, stryj mej ukochanej Kamilli. Przyjęty zostałem nadzwyczaj serdecznie. Zaraz na wstępie gospodarz opowiedział, jak bardzo przydał mu się w czasie wojny mój Przewodnik po krajach bałkańskich, i wyraził przekonanie, że powinienem być przez państwo nagrodzony za tak cenną kompilację.

W związku z poświęceniem świątyni zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby ceremonia wypadła jak najudatniej i aby mieszkańcy okazywali należny memu stanowisku respekt. Z równą gorliwością służył mi też za przewodnika w mieście i po okolicy. Kartagina prowadziła na wielką skalę handel z Rzymem, eksportując nie tylko znaczne ilości zboża i oliwy, lecz również niewolników, purpurę, gąbki, kość słoniową, drzewo mahoniowe, złoto i dzikie zwierzęta przeznaczone do igrzysk. Widząc, że aż nadto rozporządzam

wolnym czasem, Furiusz podsunął mi myśl, że dobrze by było, gdybym, korzystając ze sposobności, zebrał materiały do obszernej historii Kartaginy. Książki na ten temat nie można było dostać w rzymskich bibliotekach. W ręce Furiusza wpadły niedawno archiwa starokartagińskie znalezione przez tubylców poszukujących skarbów zakopanych w ruinach. Poczciwy namiestnik prowincji ofiarował mi je wspaniałomyślnie, zaznaczając, że gdybym rękopisy uznał za wartościowe, każe je przetłumaczyć dla mnie jednemu ze swoich wyzwolenców.

Pomysł napisania historii przypadł mi bardzo do serca. Miałem wrażenie, że dotychczas nie została oddana Kartaginie historyczna sprawiedliwość. Posługując się najnowszym przewodnikiem, spędzałem wolny czas na zwiedzaniu ruin starego miasta i zapoznawaniu się z topografią całego półwyspu. Zdobyłem też pewne elementarne wiadomości językowe, które pozwoliły mi rozumieć łatwiejsze napisy i nieliczne słowa punickie występujące w tekstach historyków, którzy opisywali wojny punickie z rzymskiego punktu widzenia. Kiedy wróciłem do Italii, zabrałem się do pisania nowej książki równoległe z uprzednio rozpoczętą historią etruską. Lubię w tym samym czasie pracować nad dwoma różnymi dziełami; kiedy mnie jedno znuży, zabieram się do drugiego. Ale jestem może zbyt ostrożny. Nie ograniczam się do prostego cytowania starych autorów, lecz staram się, o ile to możliwe, skonfrontować podawane przez nich wiadomości z pochodzącymi z innych źródeł, a zwłaszcza od historyków z przeciwnego obozu. Tak więc obydwie te książki, które, gdybym był mniej sumienny, mógłbym ukończyć w ciągu roku lub dwu, zajęły mi około dwudziestu pięciu lat pracy. Każde bowiem napisane przeze mnie słowo kosztowało mnie dobrych kilka setek przeczytanych. W ten jednak sposób stałem się istotnym znawcą dziejów etruskich i fenickich, a równocześnie zyskałem praktyczną znajomość wielu innych języków i dialektów, jak numidyjskiego, egipskiego, oskijskiego, falijskiego. Najpierw ukończyłem Historię Kartaginy.

Wkrótce po poświęceniu świątyni, które odbyło się bez żadnych

niemiłych incydentów, Furiusz wyruszył w pole przeciw Takfarinasowi, zabierając z sobą całą siłę zbrojną prowincji, to jest: trzeci pułk piechoty, parę batalionów wojsk posiłkowych i dwa szwadrony jazdy. Takfarinas był to jeden z szejków numidyjskich. Służył pierwotnie w rzymskim wojsku posiłkowym, zdezerterował jednak i zasłynął wkrótce z rozbójniczych napadów. Niedawno zorganizował u siebie regularną armię na wzór rzymski i zawarł przymierze z Maurami w celu zaatakowania prowincji od zachodu. Obydwa wojska przewyższały siły Furiusza co najmniej pięciokrotnie. O pięćdziesiąt mil od miasta przyszło do bitwy na otwartym polu. Furiusz miał do wyboru: albo uderzyć w centrum nieprzyjaciela, gdzie stały dwa półregularne pułki Takfarinasa, albo zaatakować na skrzydłach nieregularne siły Maurów. Kawalerii i oddziałom posiłkowym, złożonym przeważnie z łuczników, kazał trzymać w szachu Maurów, a sam na czele pułku piechoty legionowej ruszył wprost na Numidów Takfarinasa. Obserwowałem bitwę z pagórka oddalonego o jakieś pięćset kroków, a choć dosiadałem tylko zwykłego muła, nigdy w życiu nie byłem tak dumny z tego, że jestem Rzymianinem, jak wtedy. Trzeciacy rozwinęli się w szyk niby podczas parady na Polu Marsowym. Szli w trzech liniach, o pięćdziesiąt kroków od siebie; każda składała się ze stu pięćdziesięciu kolumnienek po ośmiu ludzi. Numidowie czekali gotowi na przyjęcie wroga.

Ustawieni byli w sześć linii, z których pierwsza miała tę samą formację co nasza. Trzeciacy nie zatrzymując się maszerowali wprost na nich. Dopiero na dziesięć kroków od nieprzyjaciela przednia linia wyrzuciła włócznie, które migotliwym deszczem przeleciały w powietrzu. Następnie dobywszy mieczy starli się wręcz, tarcza w tarczę. Pierwszą najeżoną dzidami linię nieprzyjaciół zepchnęli na drugą. Przełamali ją powtórny miotem włóczni, których każdy żołnierz miał po parze. Teraz druga rezerwowa linia rzymska wysunęła się naprzód, dając pierwszej możliwość uszykowania się na nowo. Wkrótce znów zobaczyłem, jak srebrzysty deszcz spada na trzecią linię numidyjską. Maurowie na skrzydłach, nękani przez naszych posiłkowych łuczników, widząc, że

Rzymianie tak głęboko werżnęli się w centrum, dali za wygraną i z krzykiem rozproszyli się na wszystkie strony. Takfarinas z wielkimi stratami wycofał się do obozu.

Jedynie z uczty, którą uczczono zwycięstwo, zachowałem przykre wspomnienie. Syn Furiusza, Skrybonian, robił ironiczne aluzje do "moralnego poparcia", jakiego udzieliłem walczącym w czasie bitwy. W ten sposób chciał zwrócić uwagę na swoją własną waleczność, o której, jak sądził, za mało wspomniano. Na drugi dzień ojciec kazał mu mnie przeprosić.

Namiestnikowi senat przyznał odznaczenia za zwycięstwo. Od czterystu lat, to znaczy od czasu kiedy praszczur rodu, Kamillus, ocalił Rzym,*[* Od najazdu Galów w 389 r. p.n.e.] pierwszy raz ten zaszczyt przypadł Furiuszom.

Kiedy mnie wreszcie z powrotem wezwano do Rzymu, Germanika już nie było.

Wyruszył na Wschód, aby na mocy uchwały senatu objąć naczelną komendę nad wszystkimi znajdującymi się tam wojskami. Wraz z nim wyjechała Agryppina i ośmioletni podówczas Kaligula. Starsze dzieci zostały w Rzymie u mojej matki. Germanik postanowił skorzystać ze sposobności i zwiedzić po drodze wszystkie miejsca uwiecznione w historii i literaturze.

Między innymi zatrzymał się w Akcjum, gdzie oglądał kaplicę Apolla, wzniesioną przez Augusta na cześć zwycięstwa, i okopy Antoniusza. Miejsce to dla Antoniuszowego wnuka musiało mieć specjalny, melancholią zaprawiony urok. Chciał wyjaśnić Kaliguli plan bitwy, która tu się rozegrała, ale nieznośny chłopak przerwał mu z urągliwym śmiechem.

- Wiem, wiem! - zawołał. - Mój dziadek Agryppa i mój pradziadek August przetrzepali w tym miejscu porządnie skórę twemu dziadkowi Antoniuszowi. Dziwią się tylko, że ci nie wstyd opowiadać tę historię.

Nie pierwszy to raz Kaligula pozwalał sobie na podobną bezczelność względem ojca.

Ostatnio zdarzało się to coraz częściej i Germanik doszedł do

przekonania, że nie można traktować Kaliguli z tą wyrozumiałą serdecznością, z jaką odnosił się do innych dzieci, lecz trzeba trzymać go krótko i karać za najmniejsze uchybienie.

W dalszej podróży Germanik zwiedził Teby, gdzie oglądał pokój, w którym urodził się Pindar, i zatrzymał się na Lesbos, aby zobaczyć grób Safony. Tutaj przyszła na świat trzecia z rzędu moja bratanica, która otrzymała nieszczęśliwe imię Julii. Myśmy ją jednak zawsze nazywali Lesbią. Następnie zwiedził Bizancjum, Troję i sławne miasta Azji Mniejszej. Z Miletu wysłał do mnie list, w którym tak zajmująco opisał swoją podróż, iż widać było, że nie żałuje już porzuconych Niemiec.

W Rzymie wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Sejan pamiętał, aby podsycać w Tyberiuszu dawne obawy w stosunku do Germanika. Tak na przykład wspomniał, że podczas prywatnego przyjęcia, w którym wziął udział jeden z jego szpiegów, Germanik zauważył, że prawdopodobnie w pułkach wschodnich trzeba będzie przeprowadzić podobną reorganizację jak w nadreńskich. Mówiąc to brat mój miał na myśli, że i tutaj żołnierze mogli być maltretowani w podobny sposób jak w Niemczech i że przy pierwszej sposobności zreorganizuje korpus oficerski. Według Sejana jednak powiedzenie to odsłaniało przyczynę, dla której Germanik tak długo zwlekał z sięgnięciem po naczelną władzę: nie był pewien nastrojów w pułkach wschodnich. Teraz pozyska sobie ich przychylność pozwalając żołnierzom wybierać oficerów, szafując podarkami i rozluźniając karby dyscypliny, tak jak to już uczynił nad Renem.

Zaniepokojony Tyberiusz uznał za wskazane zwrócić się o radę do Liwii; liczył, że pójdzie mu w tym wypadku na rękę. Liwia od razu przystąpiła do działania.

Niejaki Gnejusz Pizon otrzymał nominację na namiestnika Syrii i z racji swego stanowiska obejmował pod dowództwem Germanika komendę nad większą częścią pułków wschodnich. Równocześnie Pizon został poufnie

zawiadomiony, że w razie zatargów z Germanikiem w kwestiach dotyczących armii i polityki może liczyć na poparcie Tyberiusza i Liwii. Wybór był trafny.

Nowy namiestnik był to pychą nadęty starzec, który przed dwudziestu pięciu laty mianowany przez Augusta namiestnikiem Hiszpanii ściągnął na siebie nienawiść całego kraju jako okrutnik i łupieżca. Dawno jednak roztrwonił zebrane skarby i obecnie popadł znowu w długi.

A ponieważ dano mu do zrozumienia, że może sobie poczynać w Syrii, jak mu się żywnie podoba, byleby na każdym kroku prowokował Germanika, więc uważał, że nadarza się świetna gratka zdobycia majątku. Zresztą i osobiście nie cierpiał Germanika, w czym dużą rolę odgrywała zawiść. Z przekąsem mówił o jego stateczności i pobożności, cnotach, jak się wyrażał, godnych starej dewotki.

Germanik, chcąc okazać Ateńczykom swój kult dla ich sławnej przeszłości, zjawił się u wrót miasta bez eskorty, sam z jednym tylko wyzwolencem. Podczas uroczystości urządzonych na jego cześć wygłosił w długiej, pełnej polotu mowie pochwałę ateńskich poetów, wodzów i filozofów. Wkrótce po tym przejeżdżał przez Ateny w drodze do Syrii Pizon. Ponieważ kurtuazja nie leżała w jego charakterze i nie myślał naśladować Germanika, więc i mieszkańcy nie poczuli się do kurtuazji względem niego. Zdarzyło się właśnie, że niejaki Teofil, brat jednego z wierzycieli Pizona, został przez zgromadzenie ludowe skazany za fałszerstwo. Pizon wstawił się za skazanym, prosząc, aby darowano mu karę.

Prośbie odmówiono. Pizon, który liczył, że w razie ułaskawienia dług jego zostanie umorzony, wpadł w gniew. Wygłosił przemówienie, w którym nie panując nad sobą oświadczył, że współcześni mieszkańcy Aten nie mają prawa identyfikować się z Ateńczykami z czasów Peryklesa, Demostenesa, Ajschyła, Platona. Starożytni Ateńczycy wyginęli w nieustannych wojnach i rzeziach, a to, co pozostało, to banda bękartów i wyrodków, wywodzących się od dawnych niewolników. Rzymianie, którzy prawią im komplementy niby rzeczywistym

potomkom bohaterów, poniżają tylko godność imienia rzymskiego. Co do niego, to trudno mu zapomnieć, że w ostatniej wojnie domowej opowiedzieli się za tym tchórzem i zdrajcą, Antoniuszem, przeciw wielkiemu Augustowi.

Po czym opuścił Ateny i popłynął na Rodos, gdzie bawił właśnie mój brat, który chciał poznać tamtejszy uniwersytet. Wieść o mowie Pizona i o aluzjach, jakie zawierała, dotarła do Germanika jeszcze przed przybyciem samego namiestnika. Wreszcie ukazała się na horyzoncie jego flotylla, lecz nim zawinęła do portu, zerwał się nagły szkwał.

Dwa mniejsze statki zatonięły na oczach Germanika. Trzeci, na którym płynął Pizon, stracił maszt i gnany wichrem pędził wprost na rafy północnego wybrzeża. Ktoś inny pozostawiłby Pizona na pastwę własnego losu. Brat mój wysłał dwie galery z silną obsadą wiosłarską.

Tylko dzięki nadludzkim wysiłkom załogi udało się dopłynąć do uszkodzonego statku i przyholować go szczęśliwie do portu.

Ktoś inny zachowałby dla swego wybawcy wdzięczność do końca życia. Lecz Pizon miał jeszcze pretensje do Germanika i zarzucał mu, że umyślnie zwlekał z wysłaniem pomocy do ostatniej chwili, mając nadzieję, że przybędzie za późno. Nie przeczekawszy nawet jednego dnia, ledwie morze trochę się uspokoiło, odpłynął w dalszą drogę, aby zdążyć do Syrii przed Germanikiem.

Przybywszy do Antiochii przeprowadził w armii wiele zmian zupełnie sprzecznych z zamierzeniami Germanika. Zamiast usunąć niedołęgów i fanfaronów, zdegradował wszystkich oficerów mających za sobą nienaganną służbę, a na ich miejsce mianował protegowanych przez siebie łajdaków, pod warunkiem, że pięćdziesiąt procent zysków, jakie im przyniesie nowe stanowisko, wpłynie na jego ręce; przy czym zwolnił ich od składania oficjalnych rachunków. Dla Syryjczyków nastały ciężkie czasy. Kupcy w miastach i rolnicy po wsiach musieli się opłacać miejscowym komendantom. W przeciwnym razie zjawiał się nocą oddział zamaskowanych opryszków, domy opornych szły z dymem, a ich rodziny pod miecz. Początkowo cechy miejskie i

związki rolnicze zwracały się do Pizona z prośbą o pomoc przeciw terroryzującym je bandom. Pizon zawsze przyrzekał bezzwłocznie przeprowadzić dochodzenie, obietnicy tej jednak nigdy nie dotrzymywał, a suplikanci zazwyczaj ginęli w powrotnej drodze. Wysłano deputację do Rzymu i starano się prywatnie dowiedzieć przez Sejana, czy Tyberiusz wie o tym, co się dzieje w Syrii, a jeśli tak, czy popiera ten stan rzeczy. Sejan odpowiedział, że oficjalnie Tyberiusz nie wie o niczym, jeśli go powiadomią, niewątpliwie przyrzeknie przeprowadzić śledztwo, ale przecież tyle im obiecał i Pizon. Najlepiej więc może by było, gdyby płacili wymagany okup i trzymali język za zębami. Tymczasem rozprężenie w pułkach syryjskich posunęło się już tak daleko, że rozbójnicza armia Takfarinasa wydawała się w porównaniu z nimi wzorem sprawności i zdyscyplinowania.

Przybyła też delegacja do Germanika bawiącego jeszcze na Rodos. Ten ze zdumieniem i boleścią wysłuchał jej sprawozdania. Oświadczył, że w niedługim czasie odbędzie podróż po Azji Mniejszej i osobiście zbada przy tej sposobności słuszność skarg na złą administrację i usunie urzędników, którzy dopuszczali się bezprawia i wymuszeń. Doniósł też listownie Tyberiuszowi o postępowaniu Pizona. Pisał, że bezzwłocznie wyrusza do Syrii.

Jeżeli tylko część skarg okaże się uzasadniona, prosi, żeby mu wolno było usunąć namiestnika i mianować na jego miejsce jakiegoś uczciwego człowieka.

Tyberiusz odpisał, że i do niego doszły zażalenia, lecz wydają mu się bezpodstawne i podyktowane złą wolą. Osobiście ma zaufanie do Pizona jako zdolnego i sprawiedliwego namiestnika. Germanik wprawdzie nie podejrzewał Tyberiusza o fałsz, lecz utwierdził się w mniemaniu, że jest to człowiek ograniczony, łatwo ulegający wpływowi. Żałował teraz, że zwracał się do niego w sprawie, którą powinien był załatwić na własną odpowiedzialność.

Tymczasem nadeszły nowe, bardziej niepokojące wieści. Wonones, zdetronizowany król Armenii, który schronił się w Syrii, porozumiewał się skrycie z Pizonem i z jego pomocą gotował się odzyskać tron. Wononowi udało

się wywieźć znaczniejszą część olbrzymich skarbów armeńskich i Pizon miał nadzieję, że na tej aferze obłowi się solidnie.

Germanik bezzwłocznie wyruszył do Armenii, zwołał naradę możnych władców armeńskich i wybranego przez nich kandydata ukoronował własnoręcznie w imieniu Tyberiusza.

Następnie polecił Pizonowi, aby na czele dwóch pułków przybył do Armenii i złożył nowemu monarsze kurtuazyjną wizytę; gdyby go zatrzymały jakieś ważniejsze sprawy, miał przysłać swego syna. Ani jednego, ani drugiego Pizon nie uczynił. Germanik tymczasem odwiedził dalej leżące prowincje i złożył wizyty sprzymierzonym monarchom. Załatwiwszy przy tej sposobności pomyślnie wiele spraw, powrócił do Syrii, gdzie spotkał się z Pizonem w zimowym obozie dziesiątego pułku.

Świadcami tego spotkania było kilku oficerów, Germanik bowiem chciał zabezpieczyć się w ten sposób na wypadek, gdyby chciano słowa jego przedstawić Tyberiuszowi w fałszywym świetle. Najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mógł się zdobyć, zapytał Pizona o przyczynę zlekceważenia jego poleceń. Trzeba jej chyba szukać - zauważył - w osobistej animozji i arogancji, których dowody złożył w wygłoszonej w Atenach mowie i niewdzięcznym zachowaniu się na Rodos, i przy wielu jeszcze innych sposobnościach. O tym wszystkim cesarz otrzyma dokładny raport, jak również i o tym, że wojska, które w tej spokojnej prowincji spodziewał się zastać w dobrym stanie i w przyjaznych stosunkach z ludnością, znalazł w najwyższym stopniu niekarne i pod każdym względem zaniedbane.

- Po prostu banda drapichrustów, co? - zaśmiał się szyderczo Pizon. - Może dlatego miałem z nimi jechać do Armenii? Ślicznie reprezentowałiby tam potęgę i majestat Rzymu.

(Muszę w tym miejscu dodać, że "potęga i majestat Rzymu" było to ulubione wyrażenie mego brata.)

Germanik z trudem panując nad sobą odparł, że ten fatalny stan datuje się

dopiero od czasu przybycia do prowincji Pizona i że w ten sposób przedstawi tę sprawę cesarzowi.

Pizon usprawiedliwił się ironicznie, wygłaszając równocześnie impertynencką sentencję na temat młodości, która na tym padole musi często rezygnować ze swych szczytnych ideałów i ugiąć się przed mniej egzaltowanymi, a bardziej praktycznymi wymaganiami polityki.

- Często, ale nie zawsze! - przerwał mu Germanik z roziskrzonym wzrokiem. - Zaraz jutro zasiądę obok ciebie na trybunie i zobaczymy, czy szczytne ideały młodości uznają jakkolwiek nad sobą kontrolę i czy sześćdziesięcioletni, niedołączny, chciwy, krwiożerczy rozpustnik zdoła przeszkodzić wymiarowi sprawiedliwości, do której tak wzdychają mieszkańcy tej prowincji.

Na tym rozmowa się skończyła. Pizon nie zwlekając napisał do Tyberiusza list z raportem o tym wydarzeniu, nadając ostatniemu zdaniu o "sześćdziesięcioletnim, niedołącznym, chciwym, krwiożerczym rozpustniku" taki sens, jakby tyczyło ono cesarza.

Tyberiusz odpowiedział Pizonowi, że ma do niego pełne zaufanie i gdyby pewna wysoko postawiona osobistość postępowała w dalszym ciągu w podobny sposób, wszelkie kroki, choćby najśmielsze, przedsięwzięte przez podwładnych w celu ukrócenia tej buty spotkają się z uznaniem senatu i narodu rzymskiego. Germanik tymczasem zasiadał dzień w dzień w sadzie i wysłuchiwał skarg na niesprawiedliwe wyroki. Pizon początkowo utrudniał przewód wymyślanem najrozmaitszych prawniczych kruczków, ale kiedy Germanik z niewyczerpaną cierpliwością kontynuował urzędowanie, nie przerywając go nawet dla spożycia posiłku, zaniechał tej metody i pod pozorem złego stanu zdrowia przestał brać udział w rozprawach.

Żona Pizona, Plancyna, nie cierpiała Agryppiny. Nie mogła strawić tego, że podczas wszystkich oficjalnych wystąpień pierwsze miejsce przypada małżonce Germanika.

Nie pominęła żadnej sposobności, aby jej dokuczyć, aby ją ukłuć jakimś drobiazgiem, który można było później złożyć na karb przypadku lub nieświadomości. Agryppina, odwdzięczając się pięknym za nadobne, publicznie przy każdym uchybieniu zwracała jej uwagę, co w Plancynie budziło tylko jeszcze większą przekorę. Pewnego ranka pod nieobecność i Pizona, i Germanika Plancyna zjawiała się na przeglądzie konnicy i objęła nad nią komendę. Przed kwaterą Germanika kazała żołnierzom wykonać wiele zupełnie nonsensownych manewrów i poprowadziła ich przez pole do ataku na puste namioty, które pocięli na drobne strzępy. Następnie odegrali wszystkie możliwe sygnały, od

„gasić światła” do alarmu na pożar, po czym Plancyna kazała szwadronom potykać się między sobą.

Wreszcie szwadrony puściwszy konie w galop zataczały koła coraz to mniejsze i mniejsze, a kiedy już średnica kręgu zmniejszyła się do kilku zaledwie kroków, Plancyna wydała rozkaz:

- ”W tył zwrot!” - chcąc rzekomo zmienić kierunek ruchu. Konie padały gęsto, zrzucając jeźdźców. Takiego zamieszania nie pamięta cała historia manewrów konnicy. Co więksi łajdacy spośród żołnierzy powiększali jeszcze bałagan, kłując konie towarzyszy sztyletami, aż stawały dęba i ludzie padali wysadzeni z siodła. Wielu stratowano, jednego później podniesiono bez życia.

Agryppina wysłała pewnego młodego oficera z prośbą do Plancyny, aby przestała kompromitować siebie i armię. Odpowiedź Plancyny była parodią słów walecznej Agryppiny wypowiedzianych niegdyś na zagrożonym moście nad Renem. ”Dopóki mój mąż nie powróci, ja dowodzę konnicą. Przygotowuję ją do spodziewanej inwazji Partów.” Tymczasem, jak się okazało, posłowie partyjscy przybyli właśnie do obozu i ze zdziwieniem i pogardą przyglądali się temu widowisku.

Wonones, zanim został królem Armenii, był już królem Partii, skąd jednak szybko go wygnano. Następcą jego wyprawił posłów do Germanika z

propozycją odnowienia przyjaznych stosunków między Partami a Rzymem. Oświadczył również, że aby uczcić Germanika, wyjdzie mu na spotkanie do Eufratu (rzeka ta stanowiła granicę między Syrią a krajem Partów), tymczasem zaś prosi, aby Wononesa usunięto z Syrii, skąd łatwo mu jest nawiązywać zdradzieckie konszachty z niektórymi możnymi partyjskimi. Germanik odpowiedział, że jako przedstawiciel swego ojca, cesarza, z przyjemnością spotka się z królem i odnowi przymierze, a także przeniesie Wononesa do jakiejś innej prowincji. Tak to Wonones został przeniesiony do Cylicji i nadzieje Pizona na zdobycie fortuny spełzły na niczym. Plancyna była równie niezadowolona jak on. Wonones niemal co dzień obdarzał ją prezentami w postaci pięknych klejnotów.

19 r. n.e.

Z początkiem następnego roku Germanik otrzymał wieści o klęsce głodowej, jaka dotknęła Egipt. Ostatnie zbiory nie dopisały, a choć w spichrzach były wielkie zapasy zboża z dwu poprzednich lat, kupcy zbożowi sztucznie podbijali ceny, wypuszczając na rynek tylko niewielkie ilości. Germanik odpłynął bezzwłocznie do Aleksandrii i zmusił spekulantów do pokrycia całkowitego zapotrzebowania po umiarkowanych cenach. Skorzystał też z tej sposobności, żeby zwiedzić Egipt, który interesował go bardziej nawet niż Grecja. Jak Rzym był i jest polityczną stolicą świata, tak w Aleksandrii znów skupiało się i skupia całe życie kulturalne. Germanik, chcąc uczcić świetne tradycje miasta, wszedł doń bez straży przybocznej, w zwykłym greckim stroju i boso. Z Aleksandrii pożegłował w górę Nilu, oglądając po drodze piramidy, sfinksa, olbrzymie ruiny egipskich Teb, dawnej stolicy kraju, i wielki kamienny posąg Memnona. Posąg ten jest wewnątrz wydrążony i kiedy wkrótce po wschodzie słońca rozgrzane powietrze zaczyna się wydobywać przez gardziel niby przez piszczalną, słychać dźwięki, jakby kolos śpiewał.

Dopłynął w ten sposób aż do ruin Elefantyny, wrażenia swoje notując sumiennie w dzienniku podróży. W Memfis odwiedził ogrody wielkiego boga

Apisa, wcielonego w byka;

Apis nie dał mu żadnego zachęcającego znaku i jak tylko go ujrzał, odszedł do

„złowróznej zagrody”. Germanikowi towarzyszyła Agryppina, lecz bez Kaliguli, którego zostawiono w Antiochii pod opieką wychowawcy. Była to kara za niezmiennie krnąbrne zachowanie.

Każdy krok Germanika budził w Tyberiuszu coraz większą podejrzliwość, a wyjazd do Egiptu potwierdził najgorsze obawy cesarza. Rzym bowiem pod względem aprowizacyjnym był w zupełności uzależniony od transportów egipskiego zboża, a położenie geograficzne sprawiało, że gdyby jakiś awanturnik zdołał zawładnąć Egiptem, mógłby się w tym kraju utrzymać rozporządzając nawet całkiem niewielką armią. Z tych względów August już w początkach swego panowania przyjął zasadę, że bez jego osobistego pozwolenia żaden rycerz ani senator rzymski nie może wyjechać do Egiptu. Oczywiście zasada ta obowiązywała i za Tyberiusza. Germanik, zaniepokojony wieściami o szerzącym się głodzie, nie tracił czasu na starania o pozwolenie. Tyberiusz był już teraz pewien, że bratanek zamierza dokonać zamachu stanu, z którym tak długo zwlekał; do Egiptu wybrał się oczywiście w tym celu, żeby przeciągnąć na swoją stronę tamtejszy garnizon, turystyczna wycieczka Nilem była tylko pretekstem do odwiedzenia posterunków granicznych. Cesarz doszedł do przekonania, że popełnił wielki błąd wysyłając Germanika na Wschód. Złożył w senacie oficjalne zażalenie na tak zuchwałe przekroczenie wyraźnych zakazów Augusta.

Germanik, do żywego dotknięty wymówkami Tyberiusza, powrócił do Syrii. Tutaj stwierdził, że nie tylko żadne z jego zarządzeń w dziedzinie wojskowej nie zostało wykonane, lecz, co więcej, Pizon wydał szereg rozkazów sprzecznych z jego własnymi.

Przywrócił więc moc wszystkim swym rozporządzeniom i po raz pierwszy dał publicznie wyraz niezadowoleniu, kasując wszystkie edykty

Pizona wydane podczas swego pobytu w Egipcie.

Ogłosił też, że w przyszłości prawomocne będą tylko te, które zyskają jego aprobatę.

Zaledwie ukazało się to nowe rozporządzenie, brat mój nagle zachorował na żołądek. Po każdym jedzeniu następowały gwałtowne torsje. Nasuwało to podejrzenie otrucia i Germanik postanowił mieć się na baczności. Wszystkie pokarmy przyrządzała mu Agryppina i nikomu ze służby nie wolno było dotknąć prowiantów ani potraw. Mimo to Germanik nieprędko wracał do zdrowia i minęło sporo czasu, zanim o własnych siłach mógł z łóżka przenieść się na fotel. W czasie długotrwałej głodówki zaostrzył mu się niezwykle węch, twierdził, że w domu czuć trupem. Nikt inny jednak nie zauważył dotąd tej woni i Agryppina sądziła początkowo, że choremu mężowi po prostu coś się przywidziało. On jednak uparcie utrzymywał, że wstrętny odór wzrasta z każdym dniem. Wreszcie i Agryppina zwróciła uwagę na ten zapach, który zdawał się unosić w każdym pokoju. Daremnie próbowano palić kadzidła dla odświeżenia powietrza, trupia woń nie dawała się stłumić. Wśród zaniepokojonej służby zaczęły krążyć głuche wieści o czarach.

Germanik, jak prawie cała nasza rodzina z wyjątkiem mnie, był bardzo zabobonny.

Wierzył nie tylko w pomyślne czy niepomyślne dni i wróżebne znaki uznawane ogólnie, lecz wytworzył sobie swój własny skomplikowany system zabobonów i przesądów.

Szczególnym lękiem napełniała go cyfra siedemnaście i pianie koguta o północy. Uważał za szczególnie zły omen to, że wtedy, kiedy odzyskał już orły pułków osiemnastego i dziewiętnastego, odwołano go z wyprawy niemieckiej i nie mógł odzyskać orła pułku siedemnastego. Miał też wielki respekt przed czarownicami tesalskimi i sypiał zawsze z talizmanem chroniącym go jakoby przed urokiem. Talizmanem tym była figurka z zielonego jaspisu, która przedstawiała władczynię czarownic i widm, boginię Hekate, trzymającą w

jednym ręką pochodnię, w drugim pęk kluczy od podziemi.

Podejrzewając, że padł ofiarą guseł Plancyny, która uchodziła za czarownicę, Germanik praktykowanym w tych wypadkach zwyczajem złożył Hekacie ofiarę z dziewięciu czarnych szczeniąt. Nazajutrz przybiegł do niego jeden z niewolników. Kiedy szorował podłogę w sieni - opowiadał trzęsąc się ze strachu - zauważył, że jedna z desek odstaje.

Podniósł ją więc i znalazł pod spodem rozkładające się już zwłoki dziecka. Trup miał brzusek pomalowany na czerwono, a do głowy przywiązane rogi. Bezzwłocznie przeszukano cały dom i znaleziono pod luźnymi deskami podłogi i w niszach za obiciem jeszcze dwanaście podobnych okropności. Wśród nich zwłoki kota ze skrzydłami i głowę Murzyna, której z ust wystawała ręka dziecka. Każda z tych przeraźliwych ofiar miała przytwierdzoną ołowianą tabliczkę z imieniem Germanika. Sprofanowany dom oczyszczono zgodnie z rytuałem i Germanik odzyskał trochę humoru, choć żołądek wciąż mu jeszcze dolegał.

Wkrótce jednak zaczęło w domu straszyć. Między poduszkami znajdowano pokrwawione pióra kogucie, a nieznana ręka rysowała węglem na ścianie złowróżbne znaki.

Ukazywały się one raz wysoko, jakby ich autorem był olbrzym, to znów przy samej ziemi, niby nagryzmołone przez karła. Raz był to wisielec, to znów wyraz Roma napisany do góry nogami lub łasica. Stale powtarzała się też liczba siedemnaście, chociaż o tym indywidualnym przesądzie wiedziała tylko Agryppina. Wreszcie pojawiło się imię Germanik napisane wspak. Z napisu tego codziennie ubywało po literze. Wprawdzie podczas pobytu mojego brata w Egipcie mogła Plancyna poukrywać w domu różne przedmioty przynoszące nieszczęście, lecz jak sobie wytłumaczyć późniejsze zjawiska? Trudno było podejrzewać służbę, gdyż słowa i rysunki pojawiały się w pokojach, do których nie miała dostępu, a w jednej z komnat, zamkniętej i posiadającej okno zbyt wąskie, aby człowiek mógł się przez nie przecisnąć, ściany były od góry do dołu

pokryte magicznymi znakami. Jedyłą pociechą Germanika było dzielne zachowanie się żony i syna. Agryppina robiła, co mogła, aby wyjaśnić przyczynę tych strachów, a Kaligula oświadczył, że on nie boi się niczego. Żadne czary nie mają bowiem mocy nad prawnukiem boskiego Augusta, a gdyby tylko napotkał jakiegoś czarownika, to go swoim mieczykiem przepędzi, gdzie pieprz rośnie.

Germanik jednak czuł się tak kiepsko, że znów musiał się położyć do łóżka. Już tylko trzy litery pozostały z wypisanego imienia, gdy o północy rozległo się donośne pianie. Choć bardzo osłabiony, Germanik wyskoczył z łóżka, chwycił miecz i wpadł do przyległego pokoju, w którym sypiali Kaligula i mała Lesbia. Tam zobaczył czarnego koguta ze złotą obrączką na szyi, którego donośne kukuryku mogłoby zbudzić umarłego. Chciał go rozplatać uderzeniem miecza, ale ptaszysko wyfrunęło przez okno. Wtedy Germanik zemdlał i upadł na podłogę.

Zbudzona Agryppina dowlokła męża z powrotem do łóżka i zaczęła ratować. Wreszcie otworzył oczy i szepnął:

- No, teraz już po mnie...

Lecz dzielna kobieta nie straciła przytomności umysłu:

- Nie, drogi. Jeszcze nie po tobie, dopóki masz swoją Hekatę.

Germanik sięgnął ręką pod poduszkę, a znalazłszy talizman, nabrał otuchy.

Następnego dnia napisał list do Pizona, w którym starorzyskim zwyczajem wypowiedział mu osobistą wojnę i równocześnie rozkazał opuścić prowincję; niech jedzie precz i szykuje się do walki na śmierć i życie. Pizon tymczasem zdołał już odpłynąć z Azji i na Chios oczekiwał wiadomości o śmierci mego brata, aby natychmiast powrócić i objąć rządy. Biedny Germanik słabł z godziny na godzinę. Nazajutrz po wypadku z kogutem, kiedy leżał półdrzemiąc, a Agryppina właśnie wyszła na chwilkę z pokoju, poczuł, że ktoś sięga pod poduszkę. Odwrócił się, ale w pokoju nie było nikogo; przerażony

zaczął szukać amuletu - posążek znikł.

Nazajutrz kazał zwołać do siebie przyjaciół. Oświadczył im, że umiera, skrytobójczo zamordowany przez Pizona i Plancynę. Niech doniosą o wszystkim Tyberiuszowi i Kastorowi i poproszą ich, aby pomścili jego śmierć.

- A narodowi rzymskiemu powiedzcie, że jego opiece powierzam moją żonę i sześcioro dzieci. Powiedzcie, niech nie daje wiary Pizonowi i Plancynie, gdyby twierdzili, że zamordowali mnie w myśl otrzymanych instrukcji, w żadnym zaś razie niech ich na tej podstawie nie uniewinnią.

Zmarł dziewiątego października, w dniu, w którym na ścianie naprzeciw jego łóżka została ostatnia litera napisu - G. Choroba trwała dni siedemnaście. Wychudł przez ten czas bardzo. Ciało jego wystawiono na widok publiczny na rynku w Antiochii, tak że każdy mógł widzieć czerwone plamy na brzuchu i błękitno zabarwione paznokcie. Niewolnicy wszyscy zeznawali na torturach. Poddano też skrupulatnemu badaniu wyzwoleńców. Każdy z nich przez dwadzieścia cztery godziny musiał odpowiadać na krzyżowe pytania zmieniających się sędziów. Pod koniec tego śledztwa byli już tak wyczerpani psychicznie, że gdyby któryś rzeczywiście coś wiedział, wyznałby, żeby mu tylko dano święty spokój. Tyle udało się wydobyć zarówno od niewolników, jak i wyzwoleńców, że niejednokrotnie widywali Plancynę w towarzystwie niejkiej Martyny,*[* Głośna trucicielka spoufalcona z żoną Pizona, Plancyna, zmarła nagle i tajemniczo w Brundizjum (por. Tacyt, Roczniki, ks. II, r. 74; ks. III, r. 7).] wybitnie biegłej w swej sztuce czarownicy, i że obydwie kobiety widziano raz w domu Germanika, gdzie w tym czasie nie było nikogo z wyjątkiem Kaliguli. Stwierdzono też, że jednego popołudnia, na krótko przed powrotem mojego brata, cała służba udała się na urządzone przez Pizona walki gladiatorów, pozostawiając dom pod opieką starego i głuchego odźwiernego. W żaden zaś sposób nie udało się wytłumaczyć wypadku z kogutem, tajemniczego pisma na ścianie i zniknięcia talizmanu.

Wkrótce też odbył się zjazd dowódców pułków i wyższych urzędników z

całej Syrii, na którym to zjeździe wybrano tymczasowego namiestnika prowincji. Został nim dowódca szóstego pułku. Z jego rozkazu bezzwłocznie aresztowano Martynę i odesłano do Rzymu pod strażą. Była ona jednym z najważniejszych świadków procesu, który miano wytoczyć Pizonowi. Ten tymczasem nie skrywał swej radości na wieść o śmierci Germanika i składał po świątyniach dziękczynne ofiary. Plancyna, która niedawno straciła siostrę, zdjęła noszoną po niej żałobę i przywdziała najwspanialsze stroje. Pizon doniósł Tyberiuszowi, że - mianowany przez niego namiestnikiem - został złożony z urzędu za to, że śmiało stawiał czoło Germanikowi i usiłował pokrzyżować jego zdradzieckie plany; obecnie wraca do Syrii, aby objąć z powrotem urządowanie. I rzeczywiście zebrał nawet w tym celu trochę wojska, ale oblężony przez nowego namiestnika w jednej z fortec Cylicji, musiał wreszcie skapitulować i został odesłany do Rzymu, aby oczyścić się z ciężących na nim zarzutów.

Agryppina tymczasem z dwojgiem dzieci odpłynęła do Italii, wioząc w urnie popioły męża. W Rzymie wiadomość o śmierci Germanika wywołała tak powszechny smutek, jakby w każdej rodzinie umarł ktoś z najbliższych. Całe miasto bez dekretu senatu, bez rozporządzenia urzędników okryło się samorzutnie trzydniową żałobą: pozamykano wszystkie sklepy, opustoszały sądy, nie załatwiano żadnych interesów handlowych, wszyscy przywdziali żałobne szaty. Słyszałem, jak ktoś w tym czasie na ulicy mówił, że wydaje mu się, jakby słońce zagasło i nigdy już nie miało wzejść. Mojej własnej boleści nie oddadzą żadne słowa.

ROZDZIAŁ XXI

20 r. n.e.

Liwia i Tyberiusz zamknęli się w swoich pałacach, dając do zrozumienia, że potrzebują samotności, aby przyjść do siebie po tak okropnym ciosie. Ze względu na kończący się okres żeglugi i nadchodzącą zimę spodziewano się, że Agryppina wyruszy drogą lądową. Lecz dzielna niewiasta nie bacząc na burzę wypłynęła już z Syrii i w kilka dni później lądowała na Korfu, skąd przy pomyślnym wietrze można było w ciągu jednej doby zawinąć do portu w Brundizjum. Na Korfu zatrzymała się wysyłając na wszystkie strony gońców z zawiadomieniem, że przyjeżdża oddać się pod opiekę ludu italskiego.

Kastor, który właśnie wrócił do Rzymu, czworo pozostałych dzieci Germanika i ja wyruszyliśmy na jej spotkanie. Tyberiusz wysłał pośpiesznie do portu dwa bataliony gwardii i wydał zarządzenie, że urzędnicy w miejscowościach, przez które będzie szedł pochód żałobny, mają oddać należne honory prochom jego zmarłego syna. Kiedy Agryppina wysiadła z okrętu, powitało ją uroczyste milczenie niezliczonej rzeszy ludzkiej. Urnę z prochami ustawiono na marach, które ponieśli oficerowie gwardii. Ze znaków batalionowych zdjęto na znak publicznej żałoby odznaczenia, a liktorzy odwrócili na dół pęki różeg z wetkniętymi toporami.

Wielotysięczny pochód ruszył przez Kalabrię, Apulię, Kampanię. Po drodze napływały wciąż nowe tłumy czarno ubranych wieśniaków i purpurą przyodzianych rycerzy. Zawodzono, lamentowano, palono kadzidła ku czci zmarłego bohatera.

W Terracynie, o sześćdziesiąt mil na południowy wschód od Rzymu, przyłączyliśmy się do konduktu. Agryppina od Brundizjum szła bez jednego słowa, bez jednej łzy, skamieniała z bóleści. Teraz na widok czworga sierot wybuchnęła znowu rozpaczą.

- Przysięgnij mi! - wołała do Kastora - przysięgnij mi na miłość, którą żywiłeś do mego najdroższego męża, że będziesz życia jego dzieci bronił do ostatniego tchu, że pomścisz jego śmierć. To ostatnie jego dla ciebie posłanie!

Kastor zapłakał, może po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, i przysiągł spełnić wolę zmarłego.

Pewno jesteście ciekawi, dlaczego nie było razem z nami Liwilli ani naszej matki.

Otóż pierwsza nie mogła przybyć, gdyż powiła bliźnięta, których ojcem miał być, nawiasem mówiąc, Sejan. Matkę zatrzymali Liwia i Tyberiusz, tłumacząc, że nadmiar bólu, który nie pozwala wziąć udziału w uroczystościach pogrzebowych babce i przybranemu ojcu, tym większą przeszkodą winien się stać dla rodzonej matki. W rzeczywistości nie ból, lecz przezorność kazała pozostać im w domu. Obawiali się, że najlepiej odegrany smutek nie uchroni ich przed napaścią ludu; a gwardia, przypuszczam, nie kiwnęłaby palcem w ich obronie.

Na rozkaz Tyberiusza pominięto zwykłe uroczystości, które towarzyszyć winny pogrzebowi nawet o wiele mniej znaczących osób. W orszaku pogrzebowym nie niesiono masek przodków Germanika z rodu klaudyjskiego i julijskiego ani podobizny zmarłego na łożu, nie wygłoszono mowy pogrzebowej i nie śpiewano obrzędowych hymnów.

Tyberiusz utrzymywał, że właściwy pogrzeb odbył się już w Syrii i powtórzenie uroczystości byłoby obrazą bogów.

Nigdy jednak Rzym nie był świadkiem tak powszechnej i szczerzej żałoby jak w noc pogrzebu Germanika, Pole Marsowe jarzyło się od niezliczonych pochodni, a tłum tak się cisnął wokoło grobowca Augusta, w którym złożono urnę z prochami, że wiele osób stratowano na śmierć. Ludzie powtarzali sobie, że przychodzi koniec Rzymu, że nie ma już żadnej nadziei ratunku, kiedy został zamordowany Germanik, ostatnia zaporą tyranii.

Wysławiano Agryppinę, litowano się nad nią i zanoszono modły o

pomyślność dla jej dzieci.

W kilka dni później Tyberiusz wydał orędzie, w którym ogłosił, że choć wielu sławnych Rzymian życie swe złożyło na ołtarzu dobra ogólnego, żaden z nich przecież nie odchodził żegnany tak powszechnym i głębokim żalem. Czas jednak, pisał, aby lud ochłonął z boleści i powrócił do swoich codziennych zajęć: władcy są śmiertelni, ale dobro ogółu nieśmiertelne.*[* Principes mortales, rem publicum aeternam esse, Tacyt, Roczniki, ks. III, r.

6.] Pomimo tego wezwania uroczystości obchodzone z końcem grudnia przeszły bez zwykłych zabaw i wesołości i dopiero na święto Wielkiej Matki w kwietniu żałoba się skończyła i nastąpił powrót do normalnego trybu życia. Podejrzenia Tyberiusza zwróciły się teraz ku Agryppinie. Na drugi dzień po pogrzebie udała się ona do pałacu i wręcz oświadczyła cesarzowi, że dopóki nie udowodni swej niewinności i nie ukarze Pizona i Plancyny, będzie na nim ciążyć odpowiedzialność za śmierć Germanika. Tyberiusz zamiast odpowiedzi zacytował po grecku:

Czyż, że nie jesteś królową, ma droga, Sądzisz, że krzywda stała ci się sroga?

Pizon na razie nie śpieszył się z powrotem do Rzymu. Wysłał przodem syna, aby zabiegał w jego imieniu o względy Tyberiusza, a sam udał się do Kastora, który na czele pułków znajdował się nad Dunajem. Spodziewał się, że Kastor będzie mu wdzięczny za usunięcie rywala do tronu i chętnie uwierzy w historię o zdradzie Germanika.

Kastor jednak nie przyjął eks-namiestnika, a wysłannikowi jego oświadczył publicznie, że jeśli krążące pogłoski są istotnie prawdziwe, w takim razie na Pizona spadnie zemsta, której dokonać przysiągł ceniom swojego kochanego brata. Dopóki więc nie oczyści się z ciężących na nim podejrzeń, niech raczej trzyma się z daleka. Młodego Pizona Tyberiusz przyjął bez dowodów szczególnej łaski lub niełaski, jakby chcąc zaznaczyć swą neutralność aż do chwili, kiedy zostanie ukończone urzędowe śledztwo w sprawie śmierci

Germanika.

Nagle Pizon zjawił się w Rzymie razem z Plancyną. Przyłynęli Tybrem i wylądowali z licznym orszakiem służby przy grobowcu Augusta. Zachowywali się z tak hałaśliwą wesołością, że o mało nie doszło do awantury. Zebrany tłum zaczął w niedwuznaczny sposób dawać wyraz swemu oburzeniu. Ostatecznie jednak przybysze bez poważniejszych zajść precyzyjnie się do pojazdu, który zaprzężony w parę francuskich siwków czekał na drodze flamińskiej. Pojazd był ustrójony w kwiaty, podobnie kwietne girlandy wieńczyły dom przy Polu Marsowym, gdzie zamieszkali eks-namiestnik z żoną. Wkrótce po przybyciu Pizon zaprosił wszystkich znajomych i krewnych na ucztę powitalną, dając do zrozumienia, że niestraszny mu lud rzymski i że może liczyć na poparcie Tyberiusza i Liwii.

Pierwotnie cesarz postanowił, że Pizon będzie odpowiadał przed zwykłym sądem karnym. W roli oskarżyciela wystąpić miał pewien senator słynny ze swego niedołęstwa. Można było z góry przewidzieć, że nie potrafi zebrać dostatecznie przekonywających dowodów winy i tak się sam uwikłał w sprzecznościach, że sądowi nie pozostanie nic innego, jak wydać wyrok uniewinniający. Jednakże przyjaciele Germanika, a zwłaszcza trzech senatorzy, którzy znajdowali się w jego sztabie i powrócili z Syrii razem z Agryppiną, zaprotestowali przeciw wyborowi Tyberiusza. Ostatecznie sprawa miała się odbyć pod osobistym przewodnictwem cesarza w senacie, gdzie przyjaciele Germanika mogli liczyć na całkowite poparcie. Senat przecież powziął wiele uchwał mających na celu szczególne wyróżnienie mego brata; postanowił zbudować mu kenotafia,*[* Kenotaphion (gr.), cenotaphium (łac.) - symboliczny, pusty grobowiec.] łuki pamiątkowe, uznać go za półboga, a przeciwko żadnemu z tych zarządzeń Tyberiusz nie odważył się zgłosić sprzeciwu.

W tym czasie Kastor powrócił z Dunaju, a choć przyznano mu prawo do owacji

(czyli mniejszego triumfu), zamiast wjechać do miasta konno, w wieńcu na głowie, wszedł pieszo jak zwykły obywatel i bezpośrednio po audiencji u Tyberiusza udał się do Agryppiny, którą zapewnił, że pamięta o swej przysiędze i zrobi wszystko, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Pizon zwrócił się do czterech senatorów, prosząc, by podjęli się jego obrony.

Trzech z nich wymówiło się od tego obowiązku chorobą lub brakiem adwokackich uzdolnień; czwarty, Gallus, oświadczył, że nie podejmuje się obrony w sprawach o morderstwo, kiedy nie ma przekonania o niewinności oskarżonego; od tej zasady mógłby zrobić wyjątek tylko dla przysłużenia się rodzinie cesarskiej. Wtedy zgłosił się Kalpurniusz Pizon, który

- choć nie brał udziału w wyprawionej przez stryja uczcie - postanowił go bronić ze względu na honor rodziny, a wkrótce dołączyło się trzech innych senatorów, w nadziei że Tyberiusz nie bacząc na dowody uniewinni Pizona, a ich spotka później nagroda za rolę, jaką odegrali w procesie.

Pizon z zadowoleniem przyjął wiadomość, że sędzić go będzie sam cesarz; dowiedział się bowiem od Sejana, że cały proces już z góry został ułożony: Tyberiusz mianowicie odegra rolę surowego sędziego, ale w końcu odroczy sprawę bezterminowo dla dostarczenia nowych dowodów. Martyna, główny świadek oskarżenia, została już przez agentów Sejana usunięta i oskarżyciele mieli teraz nie lada orzech do zgryzienia.

Dano im wszystkiego dwa dni i pierwszy zabrał głos senator, który już poprzednio był upatrzony przez Tyberiusza i miał pokpić sprawę. Robił teraz, co mógł, aby zmarnować jak najwięcej czasu. Zaczął od odgrzebywania zapomnianych nadużyć Pizona z czasów jego namiestnictwa w Hiszpanii. Tyberiusz pozwolił mu pleść trzy po trzy przez kilka godzin, aż wreszcie senatorowie zaczęli szurać nogami, pokasływać i trzaskać pulpitemi.

Wtedy cesarz zorientował się, że jeśli nie dopuści do głosu głównych świadków, może dojść do awantur.

Czterej przyjaciele Germanika starannie przygotowali swe przemówienia. Mówili kolejno: o niekarności, jaka za rządów Pizona zapanowała w wojsku syryjskim; o jego ubliżającym zachowaniu się wobec Germanika i ich samych; o nieposłuszeństwie rozkazom; o intrygach z Wononesem; o uciskaniu mieszkańców. Wreszcie wszyscy czterej oskarżyli go o rzucanie czarów i otrucie Germanika, o składanie ofiar dziękczynnych po śmierci mego brata, a wreszcie o zbrojny napad na prowincję na czele nieprawnie zwerbowanych sił.

Pizon nie przeczył, że dopuścił do rozprężenia dyscypliny w wojsku, że obrażał Germanika i nie słuchał jego rozkazów, że uciskał mieszkańców. Twierdził tylko, że oskarżyciele przesadzają w ocenie doniosłości popełnionych przezeń wykroczeń. Z oburzeniem odparł zarzut trucicielstwa i rzucania uroków.

Oskarżyciele nie wspomnieli o niezwykłych zjawiskach w Antiochii w obawie, że mogą wywołać u bardziej sceptycznych senatorów śmiech. Nie mogli też oskarżać Pizona o porozumiewanie się ze służbą i niewolnikami Germanika, gdyż, jak śledztwo wykazało, nie mieli oni nic wspólnego z morderstwem. Pizon więc oskarżony był tylko o to, że siedząc obok Germanika w czasie uczyty, którą ten u siebie wyprawił, domieszał mu do jedzenia trucizny.

Pizon uważał, że zarzut jest wprost śmieszny. W jakim sposobie mógł to uczynić nie zwracając niczyjej uwagi, kiedy każdy jego ruch był obserwowany przez wszystkich współbiesiadników, nie mówiąc już o służbie? Może chwycił się czarów?

Podczas rozprawy Pizon trzymał w ręku zwój listów.*[* O tajnych listach oraz instrukcjach Tyberiusza danych Pizonowi przeciw Germanikowi wzmiankuje Tacyt, Roczniki, ks. II, r. 43; ks. III, r. 16.] Po wielkości, barwie papirusu i sposobie, w jaki były przewiązane, wszyscy poznali, że autorem ich jest Tyberiusz, Przyjaciele Germanika zażądali, aby odczytano wszystkie instrukcje, które oskarżony otrzymał z Rzymu. Pizon odmówił z tego powodu, iż listy są pieczętowane sfinksem (pieczęć, którą się posługiwał sam August), a

więc mają charakter tajnych i poufnych. Opublikowanie ich równałoby się zdradzie tajemnic państwowych. Tyberiusz sprzeciwił się wnioskowi twierdząc, że listy nie zawierają nic ważnego i odczytanie ich byłoby stratą czasu. Senatowi nie wypadało nastawać, a Pizon wręczył zwój Tyberiuszowi na dowód, że ufa mu bez zastrzeżeń.

Zgromadzony na ulicy tłum, który informowano o przebiegu procesu, zaczął głośno dawać wyraz swemu niezadowoleniu. Ktoś ochryplym głosem krzyknął przez okno: - Wam się może wyśliźnie, ale nam nie ujdzie!

Do Tyberiusza przybiegł posłaniec z wiadomością, że tłum porwał kilka posągów Pizona i wlecze je na Schody Żałości, aby tam potłuc. Schody te były to stopnie w zboczu Kapitolu, tuż u podnóża, na których wystawiano zwykle ciała zbrodniarzy, zanim je hakami zawleczono do Tybru. Tyberiusz rozkazał odebrać posągi i ustawić je z powrotem na cokołach. Oświadczył równocześnie, że w takiej atmosferze nie może dalej prowadzić rozprawy, i odroczył posiedzenie do wieczora. Pizona odprowadzono pod eskortą.

Plancyna, która dotychczas się chełpiła, że w żadnym wypadku nie opuści męża, choćby jej przyszło razem z nim umrzeć, teraz zaniepokojona myślała już tylko o tym, jak by się samej wydobyć z potrzasku. Liczyła na pomoc Liwii, z którą pozostawała z zażyłych stosunkach. O tej zdradzie sojuszniczki Pizon nic nie wiedział. Kiedy po przerwie wznowiono przewód, Tyberiusz nie okazywał już oskarżonemu poprzedniej sympatii. Zauważył tylko, że oskarżyciele powinni byli dostarczyć bardziej przekonujących dowodów trucicielstwa, lecz równocześnie oświadczył Pizonowi, że mu nigdy nie daruje zbrojnego najazdu na prowincję.

Pizon wróciwszy wieczorem do domu zamknął się w swoim pokoju, gdzie go na drugi dzień znaleziono martwego. Obok leżał miecz, którym się rzekomo przebił. Nie było to jednak samobójstwo.

Ze wszystkich listów Pizon zachował jeden, najbardziej kompromitujący, a pisany przez Liwie w imieniu Tyberiusza i własnym. List ten nie był

pieczętowany sfinksem (którą to pieczęcią posługiwał się tylko sam Tyberiusz). Pizon oddał ten list żonie z poleceniem, ażeby za jego cenę wytargowała życie dla nich obojga. Plancyna udała się do Liwii, która kazała jej zaczekać, a sama tymczasem skomunikowała się z Tyberiuszem. Po raz pierwszy między cesarzem a matką doszło do gwałtownej sceny. Tyberiusz, dowiedziawszy się o napisanym przez Liwie liście, nie szczędził jej najbardziej cierpkich wymówek;

Liwia zrzucała całą winę na syna, który jej nie pozwolił używać pieczęci ze sfinksem, a ostatnio w ogóle poczyna sobie wobec niej zbyt zuchwale. Na to Tyberiusz zapytał, kto właściwie jest cesarzem, on czy ona. Liwia oświadczyła, że jeżeli rzeczywiście on jest cesarzem, to jej tylko zawdzięcza tę godność, a traktując ją w ten sposób, postępuje jak skończony głupiec. Potrafiła go wynieść, potrafi i strącić. Z tymi słowy wyjęła z ozdobnego woreczka list i zaczęła czytać.

Był to stary list, pisany przez Augusta w tym czasie, kiedy Tyberiusz bawił na Rodos. August nazywał w nim pasierba zdrajcą, okrutnikiem, bestią w ludzkim ciele, dodając, że gdyby nie był synem Liwii, już by dawno nie żył.

- To tylko kopia - dodała. - Oryginał jest bezpiecznie schowany. A mam podobnych listów znacznie więcej. Nie chcesz chyba, żeby znalazły się w posiadaniu senatu?

Tyberiusz zdołał zapanować nad sobą i przeprosił matkę za wypowiedziane w uniesieniu słowa. Oczywiście, że mogą się nawzajem zniszczyć, ale właśnie z tego powodu kłótnie między nimi nie mają najmniejszego sensu. W jaki jednak sposób może uratować życie Pizonowi, kiedy sam zapowiedział, że w razie udowodnienia mu zbrojnego napadu na Syrię, na czele samowolnie zwerbowanych żołnierzy, czeka go niechybnie kara śmierci?

- Ale przecież Plancyna nie werbowała żołnierzy - zauważyła Liwia.

- Więc cóż z tego? Pizon nie zwróci mi listu, jeśli się zobowiązę ratować samą Plancynę.

- Jeśli przyrzekniesz oszczędzić ją, wydostanę list od Pizona. Pozostaw to mnie.

Śmierć Pizona będzie wystarczającym zadośćuczynieniem dla ogółu. Jeśli zaś boisz się odpowiedzialności za obronę Plancyny, powiedz, że ja wstawiam się za nią. Będzie to całkiem słuszne, gdyż jak przyznaję, wszystkiemu zawinił mój list.

Następnie Liwia wróciła do Plancyny i oświadczyła, że Tyberiusz nie chce o niczym słyszeć; prędzej rodzoną matkę odda na pastwę tłumu, niż narazi własną skórę występując w obronie przyjaciół. Z trudem wymusiła na nim obietnicę, że daruje życie Plancynie w zamian za ów list. Plancyna nie wahała się długo. Wróciwszy do domu zapewniła męża, że wszystko zostało pomyślnie załatwione, a oto pismo, w którym cesarz zaręcza mu bezkarność. (List ten był sfalszowany przez Liwie.) Pizon wręczył żonie w zamian kompromitujący dokument, a ona wbiła mu niespodziewanie sztylet w gardło. Kiedy padł śmiertelnie ugodzony, zmaczała w krwi jego własny miecz i wcisnęła mu go w rękę, a zabrawszy z sobą obydwie listy, pośpieszyła z powrotem do Liwii.

Następnego dnia Tyberiusz odczytał w senacie list, który Pizon miał rzekomo napisać przed odebraniem sobie życia. Przysięgał w nim, że nie jest winien zarzucanych mu zbrodni, zapewniał o swojej wierności względem Liwii i Tyberiusza i prosił ich o opiekę nad synami, którzy nie mieli nic wspólnego z wypadkami będącymi przedmiotem oskarżenia.

Następnie rozpoczął się proces przeciwko Plancynie. Udowodniono jej, że przebywała w towarzystwie Martyny, która - jak pod przysięgą zeznali świadkowie - uchodziła za trucicielkę. Okazało się też, że kiedy ubierano zwłoki Martyny przed spaleniem ich na stosie, znaleziono wpleciony we włosy flakonik z trucizną. Służący Germanika, stary Pomponiusz, opowiadał o szczątkach ludzkich poumieszczanych w domu i o wizycie Plancyny z Martyną pod nieobecność Germanika; zapytany przez Tyberiusza, dał dokładny opis dziwnych zjawisk, jakie miały miejsce w domu mego brata. Nie znalazł się nikt,

kto by bronił Plancyny. Ta płacząc przysięgała, że jest niewinna; nic nie wiedziała o tym, że Martyna uchodzi za trucicielkę, i знаła ją tylko stąd, że kupowała u niej perfumy. Kobieta, która jej towarzyszyła do domu Germanika, nie była Martyna, lecz żona jednego z pułkowników. A przecież nie ma nic złego w tym, że przyszedłszy z wizytą, nie zastanie się w domu nikogo z wyjątkiem małego chłopca. Jeżeli obraziła Agryppinę, serdecznie żałuje tego i najpokorniej błaga ją o przebaczenie; słuchała jednak w tym wypadku rozkazu męża, co jest przecież obowiązkiem żony. A słuchała tym chętniej, że Pizon powiedział jej, iż Agryppina wraz z Germanikiem spiskują przeciw państwu.

Zabrał głos Tyberiusz, streszczając dotychczasowe wyniki przewodu sądowego. Jego zdaniem, oświadczył, wina oskarżonej nie została wykazana z całą pewnością.

Udowodniono jej stosunki z Martyną i stwierdzono, że ta ostatnia uchodziła za trucicielkę.

Nic jednak nie przemawia za tym, że stosunki te musiały być natury kryminalnej. Co więcej, oskarżyciele nie przedłożyli nawet znalezionej we włosach flaszeczki ani nie udowodnili, że zawartość jej była trująca. Mógł to być równie dobrze środek nasenny lub afrodyzjak. Jego matka, Liwia, ciągnął, ma bardzo dobre mniemanie o charakterze Plancyny i życzyłaby sobie, żeby w razie braku przekonywających dowodów niejasność poszlak interpretowano na korzyść oskarżonej, we śnie bowiem ukazał się jej duch ukochanego wnuka i prosił, aby niewinni nie ponosili kary za zbrodnie męża i ojca.

Ostatecznie Plancynę uniewinniono; jednemu z synów pozwolono odziedziczyć po ojcu majątek, drugiego, który wziął udział w wyprawie na Syrię, skazano tylko na parę lat wygnania. Któryś z senatorów zaproponował, aby rodzinie zmarłego bohatera, to jest Liwii, Tyberiuszowi, mojej matce, Agryppinie i Kastorowi, oficjalnie podziękować za przyczynienie się do ukarania mordercy. Miano już przegłosować ten wniosek, kiedy pewien były konsul, mój dobry znajomy, który był przed Furiuszem namiestnikiem Afryki,

zgłosił poprawkę.

Przedmówca jego, oświadczył, pominął w swym wniosku bardzo ważne imię, a mianowicie brata zmarłego bohatera, Klaudiusza, który więcej niż ktokolwiek inny przyczynił się do wymiaru sprawiedliwości, pomagając w przygotowaniu aktu oskarżenia i zapewniając bezpieczeństwo świadkom. Tyberiusz wzruszył na to ramionami i mruknął, że ze zdziwieniem słyszy o moim współdziałaniu w tej sprawie; prawdopodobnie też - dodał - tej okoliczności należy przypisać, że zarzuty przeciw Pizonowi nie były dość przekonujące.

Rzeczywiście przewodniczyłem na zebraniu przyjaciół mego brata i rozstrzygnąłem, o jakich okolicznościach jacy świadkowie mają zeznawać. Odradzałem też oskarżenia Pizona o własnoręczne domieszanie trucizny do potraw w czasie uczty; radę moją jednak większością głosów odrzucono. Ja też ukrywałem u siebie w posiadłości pod Kapuą, opodal mojej willi, Pomponiusza, jego wnuków i trzech wyzwolenców brata aż do rozprawy. Usiłowałem też ukryć Martynę w domu znajomego kupca w Brundizjum, ale wytropił ją tam Sejan.

Tyberiusz ostatecznie zgodził się umieścić moje nazwisko na liście osób, którym senat złożył podziękowania. Zaszczyt ten jednak był niczym w porównaniu z podziękowaniami, jakimi mnie obsypała Agryppina. Powiedziała, że teraz rozumie już, co miał na myśli Germanik, mówiąc, tuż przed samą śmiercią, że nie miał lepszego przyjaciela niż jego biedny brat Klaudiusz.

Względem Liwii opinia była szczególnie wrogo nastawiona. W zdumienie wprawiała wszystkich babka uprzejmie przyjmująca u siebie morderczynię wnuka i chroniąca ją przed karzącą dłońią senatu. Zrozumieć to postępowanie można było tylko wtedy, jeśli się przyjęło, że ta babka sama do zbrodni poduszała. Do jakich zaś granic posunęła się w swej bezecności, o tym świadczył fakt, że wdowa i sieroty po zamordowanym nie o wiele go przeżyły.

Tyberiusz, korzystając z nastrojów ogółu, wytłumaczył matce, że żadną

miarą nie może teraz prosić senatu o przyznanie jej obiecanego tytułu.

ROZDZIAŁ XXII

Wprawdzie Germanik już nie żył, lecz Tyberiusz wciąż jeszcze nie czuł się bezpieczny. Sejan znosił mu codziennie obfite pokłosie plotek, jak ten i ów ze znaczniejszych obywateli wyrażał się o nim podczas procesu Pizona. Tyberiusz, który swego czasu mówił o żołnierzach: „Niech się mnie boją, byle mnie tylko słuchali”, teraz oświadczył:

- Niech mnie nienawidzą, byleby się mnie bali! [* Słynne: Oderint, dum metuant.]

Trzech rycerzy i dwóch senatorów, szczególnie krytycznie usposobionych wobec cesarza, skazano na śmierć pod pozorem, że z radością przyjęli wieść o zgonie Germanika.

Majątkiem skazanych podzielili się oskarżyciele.

W tym czasie najstarszy z synów Germanika, Neron, [* Nie należy go mylić z późniejszym cesarzem Neronem] doszedł do pełnoletności. Wprawdzie nic nie kazało przypuszczać, że odziedziczył po ojcu wybitne wojskowe lub administracyjne uzdolnienia, lecz ponieważ bardzo przypominał Germanika dobrocią charakteru i szlachetnością rysów, pokładano w nim wielkie nadzieje. Toteż z radością przyjęto wiadomość o jego ślubie z córką Kastora i Liwilli, Julią. Początkowo w rodzinie zwaliliśmy ją dla niezwyklej urody Heleną, później jednak otrzymała przezwisko Heluo, to znaczy Żarłok, gdyż skutkiem łakomstwa roztyła się tak, że śladu z dawnej piękności nie zostało.

Neron był ulubieńcem Agryppiny. Cała rodzina, należąc do Klaudiuszów, dzieliła się na złych i dobrych albo używając starej przenośni: dzikie płonki i słodkie jabłka. Płonek było więcej. Z dziewięciorga dzieci, które Agryppina urodziła Germanikowi, troje zmarło w dzieciństwie. O ile je znałem, starsza córka i chłopczyk byli najlepsi ze wszystkich dziewięciorga. Chłopiec, który zmarł w dniu swych ósmych urodzin, był ukochanym wnukiem Augusta.

Dziadek miał w swej sypialni portret chłopca w stroju Kupidyna i co rano, zaledwie wstał, zwykł go całować.

Z pozostałych przy życiu dzieci jeden Neron miał szlachetny charakter. Druzus był ponury, nerwowy i skłonny do złego. Druzylla tak samo, Kaligula, Agryppinilla i najmłodsza dziewczynka, Lesbia, byli z gruntu źli. Mała, niedawno zmarła córeczka Germanika zapowiadała się tak samo. Ale ogół sądził całe rodzeństwo według Nerona. On jeden, jak dotychczas, był na tyle dorosły, żeby pokazywać się publicznie i wywierać silniejsze wrażenie na ludziach. Kaligula wówczas miał lat zaledwie dziewięć.

Pewnego dnia, kiedy przyjechałem do Rzymu, odwiedziła mnie Agryppina. Chciała zasięgnąć mojej rady. Ilekroć - opowiadała - wyjdzie z domu, czuje, że jest śledzona i szpiegowana. Denerwuje ją to w najwyższym stopniu. Czy nie wiem przypadkiem, kto poza Sejanem ma wpływ na Tyberiusza? Jest przekonana, że cesarz postanowił ją zabić lub wygnać i gotów jest skorzystać z najbliższej okazji. Odpowiedziałem, że znam tylko dwoje ludzi, którzy mają dodatni wpływ na Tyberiusza: Nerwę i Wipsanię. Tyberiusz nie zdołał wykorzenić ze swego serca miłości do pierwszej żony. Wiadomo, że chciał się żenić z wnuczką Wipsanii, piętnastoletnią dziewczyną, dlatego tylko, że była uderzająco podobna do babki z czasów młodości. Musiał jednak zrezygnować z tego zamiaru, gdyż związek z siostrzenicą własnego syna byłby niewątpliwym kazirodztwem. Nie mogąc się przecież pogodzić z myślą, żeby dziewczę miało zostać żoną kogokolwiek innego, mianował ją przełożoną westalek na miejsce starej Okcji, która właśnie umarła. Poradziłem Agryppinie, żeby starała się pozyskać przyjaźń Nerwy i Wipsanii, która, jako matka Kastora, niewątpliwie zrobi dla niej wszystko, co w jej mocy, a będzie bezpieczna ona i jej dzieci.

Agryppina posłuchała mojej rady i rzeczywiście Wipsania i jej mąż Gallus okazali biednej kobiecie niemało serca. Prosili, aby ich dom w Rzymie i trzy wille, które posiadali na wsi, uważała za swoje. Szczerze też zajęli się

dziećmi. Tak na przykład Gallus postarał się o nowych wychowawców dla chłopców, gdyż dawniejsi, zdaniem Agryppiny, byli zausznikami Sejana.

Mniej przydał się mej bratowej Nerwa. Był to legista, największy autorytet w dziedzinie prawa handlowego, autor licznych na ten temat dzieł. Poza tym od wszystkich innych spraw tak daleki duchem, tak w niczym się nie orientujący, że czasem sprawiał wrażenie człowieka niespełna rozumu. Dla Agryppiny był bardzo uprzejmy, jak zresztą dla każdego, ale zupełnie zdawał się nie rozumieć, o co jej chodzi.

Niestety Wipsania niedługo potem umarła. Od tego czasu Tyberiusz wyraźnie zmienił się na gorsze. Nie usiłował teraz ukrywać swoich wynaturzonych instynktów, perwersji tak potwornych, że ludzie wzdragali się brać dosłownie krążące o nich pogłoski. Nie mogło się pomieścić w głowach, że tak obrzydliwym występkiem oddaje się cesarz, następca Augusta.

Żadna kobieta, żaden chłopiec, nawet żony i dzieci senatorów, nie mogli czuć się bezpiecznie w jego obecności. Jeżeli kobietom zależało na własnym życiu lub życiu ojców czy mężów, musiały ulegać woli cesarza. Jedna z kobiet, żona konsula, popełniła z tego powodu samobójstwo. Przedtem jednak wyznała całą prawdę swym przyjaciółkom. Oddała się Tyberiuszowi chcąc ocalić przed jego lubieżnością swoją młodziutką córkę. Już sam ten krok był aż nadto upokarzający... Ale ten "stary cap" (jak zwano Tyberiusza), wykorzystując jej uległość, zmusił ją do tak bezecnych praktyk, że woli raczej umrzeć niż żyć z pamięcią podobnej ohydy.

Krążyła w tym czasie popularna piosenka zaczynająca się od słów: "Dlaczego, ach, dlaczego Stary Cap?..." Wstyd nie pozwala mi przytoczyć jej dalszego ciągu. Była równie dowcipna, jak sprośna, a autorstwo jej przypisywano Liwii. Spod pióra cesarzowej wyszła wielka liczba podobnych satyrycznych wierszy wymierzonych przeciw Tyberiuszowi.

Rozpowszechniała je przy pomocy Urgulanii i wiedziała, że wcześniej czy później dotrą do cesarza, który utwory te brał bardzo do serca i uważał za

dowód niepewności swego stanowiska. Liczyła, że utrzymywanie go w ciągłej obawie najlepiej zabezpiecza ją samą.

Zaczęła więc teraz być bardzo uprzejma dla Agryppiny; powiedziała jej nawet w zaufaniu, że to sam Tyberiusz podjudzał Pizona przeciw Germanikowi. Agryppina wprawdzie nie uwierzyła, ale zrozumiała, że między cesarzem i jego matką panuje nieprzyjaźń.

Zwierzyła mi się, że gdyby miała do wyboru, wolałaby opiekę Liwii niż Tyberiusza. Byłem gotów przyznać jej rację. Zauważyłem, że dotychczas nikt z protegowanych przez cesarżową nie padł ofiarą donosicieli Tyberiusza. Co jednak będzie po śmierci Liwii?

Jakieś dziwne przeczucia, z których nie mogłem sobie zdać jasno sprawy, ogarniały mnie na widok niezwykle serdecznych stosunków między Liwią a Kaligulą. Chłopiec ten niemal wobec każdego zachowywał się krańcowo odmiennie: albo był arogancki, albo służalczo nadskakujący. Arogancko zachowywał się w stosunku do Agryppiny, mojej matki, do mnie, do swoich braci i Kastora, nadskakiwał Sejanowi, Tyberiuszowi, Liwilli.

Na stosunek jego do prababki trudno znaleźć właściwe określenie. Zachowywał się całkiem tak, jakby był jej kochankiem. Nie było to tylko przywiązanie, jakie mali chłopcy zwykle okazują pobłażliwym babkom czy prababkom. Natrudził się kiedyś niemało, układając okolicznościowe wiersze na siedemdziesiąte piąte urodziny Liwii, a ona zawsze zasypywała go prezentami. Miało się raczej wrażenie, że łączy ich jakaś zdrożna tajemnica.

Nie chcę wcale przez to powiedzieć, że istniały między nimi występne stosunki. Ależ nic podobnego.

Podobne wrażenie odnosiła Agryppina, ale też nie mogła powiedzieć na ten temat nic pewnego.

Któregoś dnia zrozumiałem, dlaczego Sejan jest taki wobec mnie uprzejmy.

Zaproponował mi zaręczenie swej córki z moim synem Druzylllem.

Osobiście nie miałem ochoty na to małżeństwo. Żał mi było, kiedy pomyślałem, że bardzo miłe wrażenie robiąca dziewczyna ma wyjść za mąż za tego drągala, który, ilekroć go widziałem, wydawał się za każdym razem bardziej odrażający. Nie mogłem jednak tego otwarcie powiedzieć.

Jeszcze mniej uśmiechała mi się myśl, że będę w jakikolwiek sposób spowinowacony z takim łajdakiem jak Sejan. Ten zauważył widać moje wahanie i spytał, czy uważam ten związek za mezalians. Jąkając się z lekka, zaprzeczyłem: skądże to przypuszczenie, należy przecież do znamienitego rodu Elianów. Więc skąd znowu? W rzeczywistości Sejan był tylko rycerzem prowincjonalnym, adoptowanym w młodości przez bogatego senatora z rodziny Elianów, konsula, który zapisał mu cały majątek. Z tą adopcją była wprowadzie jakaś skandaliczna historia, ale ostatecznie fakt pozostawał faktem - Sejan należał do Elianów.

Zaczął nalegać, abym mu wytłumaczył przyczynę mego wahania. Jeżeli mam jakieś zastrzeżenia co do tego małżeństwa, to bardzo mu przykro, że w ogóle o nim wspomniał.

Uczył to zresztą tylko na żądanie Tyberiusza. Usłyszawszy to, czym prędzej go zapewniłem, że skoro cesarz życzy sobie tego związku, będę szczęśliwy mogąc wyrazić nań swoją zgodę. Jeżeli miałem jakieś wahania, to tylko ze względu na młody wiek jego córki, która liczyła dopiero cztery lata, podczas gdy mój chłopiec kończył trzynaście.

Zanim małżeństwo będzie mogło zostać prawnie dopełnione, Druzyll ukończy dwadzieścia jeden lat, a przez ten czas kto wie, czy nie uwikła się w jakieś inne związki. Sejan ze śmiechem odparł, że pod tym względem zupełnie mi ufa, niewątpliwie zdołam uchronić syna od popełnienia fałszywego kroku.

23 r. n.e.

Wiadomość, że Sejan zamierza się spowinowacić z rodziną cesarską, wywołała w mieście zaniepokojenie. Każdy jednak pośpieszał ze złożeniem mu życzeń, a i mnie także wieszono. W kilka dni później Druzyll już nie żył.

Znajomi Urgulanilli mieszkający w Pompei zaprosili chłopca do siebie. Na drugi dzień po przyjeździe znaleziono go martwego w ogrodzie należącym do ich willi. Okazało się, że utkwiała mu w tchawicy mała gruszka.

Według przyjętej w śledztwie hipotezy miał się zabawiać w ten sposób, że podrzucał owoc w powietrze i następnie chwycił go ustami; tak więc śmierć spowodował nieszczęśliwy przypadek. Nikt jednak w tę wersję nie wierzył. Jasne było, że Liwia, której nie zapytano o zdanie w sprawie małżeństwa jednego z jej prawnuków, kazała dziecko udusić i po śmierci wsunąć mu do tchawicy owoc. Zgodnie z przyjętym zwyczajem, o morderstwo oskarżono gruszę. Została skazana na wyrwanie z korzeniami i spalenie.

Tyberiusz zwrócił się do senatu z żądaniem, aby mianowano Kastora trybunem ludowym. W ten sposób wskazywał nań całkiem wyraźnie jako na swego następcę.

Żądanie to powitano z ulgą. Widać, snuto domysły, Tyberiusz przejrzał ambitne plany Sejana i zamierza ukrócić jego butę. Kiedy odnośny dekret uchwalono, ktoś zaproponował, aby treść jego wypisać złotymi literami na ścianie budynku senatu. Nikomu nie przyszło do głowy, że pomysł wyszedł od Sejana. Zwrócił on uwagę Tyberiuszowi, że Kastor, Agryppina, Liwia i Gallus utworzyli wspólnie spisek, a odznaczenie Kastora najlepiej pozwoli poznać, kto jeszcze pozostaje z nimi w porozumieniu. Wniosek o umieszczenie złotego napisu zgłosił jeden z przyjaciół Sejana, a nazwiska senatorów, którzy za tym wnioskiem głosowali, skrupulatnie zanotowano. Kastor cieszył się teraz pewną popularnością nawet u uczciwszych obywateli. Od czasu śmierci Germanika jakoś się ustatkował. Zaprzestał pijatyk, a choć w dalszym ciągu hołdował dzikim zamiłowaniom do walk gladiatorów i przelewu krwi, chociaż ubierał się ekstrawagancko i grał namiętnie na wyścigach, był sumiennym urzędnikiem i wiernym przyjacielem. Niewiele mieliśmy z sobą do czynienia, ale ilekroć się spotkaliśmy, traktował mnie z o wiele większym szacunkiem niż za życia Germanika.

Nienawiść pomiędzy nim a Sejanem wzrastała z każdym dniem. Zdawało się, że lada moment przyjdzie do wybuchu, ale Sejan przezornie unikał wszelkiej prowokacji aż do chwili, w której wywołanie awantury mogłoby mu przynieść korzyść. Ta chwila właśnie nadeszła. Sejan zjawił się w pałacu, aby powinszować Kastorowi wyboru na trybuna. Zastał go w gabinecie razem z Liwillą. Nie było nikogo z niewolników ani z wyzwolenców, więc Sejan mógł mówić swobodnie. Liwillą była w tym czasie zakochana w nim po uszy, liczył więc, że zdradzi Kastora, tak jak ongiś zdradziła Postuma, o której to historii w jakiś sposób się dowiedział. Niedawno też w rozmowie snuli marzenia pobrania się i wstąpienia na tron: mogliby wtedy robić, co im się żywnie spodoba.

Sejan wszedłszy rzekł:

- Wszystko w porządku, Kastorze. Załatwiłem ci całą sprawę. Przyjmij powinszowania.

Kastor zmarszczył czoło. Imienia, którym go przed chwilą nazwał Sejan, używali tylko najbliżsi przyjaciele.

Nazywano go tak, wydaje mi się, że już o tym pisałem, z racji jego podobieństwa do sławnego gladiatora. Imię to jednak przyłgnęło do niego od czasu kłótni z pewnym nobilem, który zaczepił go kiedyś podczas uczy, mówiąc, że Kastor jest już pijany i nie wie, co robi.

„Nie wiem, co robię?” - zawołał Kastor, zwałókl się ze swojej sofy i tak kopnął tamtego w brzuch, aż biedak oddał wszystko, co był zjadł.

- Nikt nie ma prawa zwracać się do mnie w ten sposób - rzekł teraz z irytacją do Sejana. - Chyba ktoś z przyjaciół lub ludzi równych mi stanem. Nie należysz ani do jednych, ani do drugich. Dla ciebie jestem tylko Tyberiuszem Druzusem Cezarem. Nie rozumiem też, co znaczy ”załatwiłem dla ciebie”. A cokolwiek by to było, nie życzę sobie twoich powinszowań. Proszę opuścić pokój.

Lecz tutaj wmieszała się Liwillą.

- Jesteś tchórzem, obrażając Sejana - krzyknęła. - Słyszysz? Tchórzem!

Nie mówiąc już o tym, że jesteś niewdzięcznikiem. Traktujesz go jak psa, kiedy przychodzi ci powinszować z okazji uzyskania godności trybuna. A wiesz dobrze, że nigdy by cię ojciec nim nie uczynił, gdyby nie wstawiennictwo Sejana.

- Pleciesz trzy po trzy - odrzekł Kastor. - Ten brudny szpicel tyle miał do czynienia z moją nominacją, co mój eunuch Ligdus. Chce wywołać wrażenie, że coś znaczy. Ale dlaczego mam być tchórzem?

- Twoja żona ma rację - rzekł Sejan. - Jesteś tchórzem. Nigdy byś się nie odważył przemówić do mnie w ten sposób, zanim zrobiłem cię trybunem, a tym samym - nietykalnym.

Wiesz dobrze, że byś oberwał za to po uszach.

- I słusznie! - zawołała Liwilla.

Kastor spojrzał na Sejana, potem na żonę i rzekł powoli:

- A więc między wami obojgiem coś jest, co?

Liwilla zaśmiała się szyderczo:

- Przypuśćmy, że "coś" jest. Któż jest więcej wart jako mężczyzna?

- Doskonale! - zawołał Kastor. - Zaraz zobaczymy, moja mała. A ty - zwrócił się do Sejana - zapomnij na chwilę, że jestem trybunem, i pokaż, czyś równie silny w pięści, jak w gębie.

Sejan założył ramiona na piersi.

- No dalejże! Broń się, tchórzku!

Sejan stał milcząc. Wtedy Kastor dał mu na odlew w twarz.

- A teraz precz! - zawołał.

Sejan z ironicznym uśmiechem usłuchał rozkazu, a za nim wyszła Liwilla. Ten policzek rozstrzygnął o losie Kastora. Sejan udał się wprost do Tyberiusza i z zaczerwienionym jeszcze od uderzenia policzkiem opowiedział, że gdy chciał złożyć Kastorowi życzenia z powodu nominacji, ten - pijany jak bela - uderzył go w twarz wołając:

„Co to za przyjemność bić, wiedząc, że samemu jest się nietykalnym!

Możesz powiedzieć mojemu ojcu, że to samo spotka każdego z jego szpiclów.” Liwilla potwierdziła na drugi dzień słowa Sejana i dodała, że Kastor ją zbił. Rzucił się na nią, gdy powiedziała mu, że postępuje ohydnie, bijąc człowieka, który nie może mu oddać, i urągając swemu ojcu.

Tyberiusz uwierzył tej bajeczce. Nie powiedział wprawdzie nic Kastorowi, ale w Teatrze Pompejusza kazał ustawić brązowy posąg Sejana. Było to najwyższe odznaczenie, jakie zwykły śmiertelnik mógł za życia otrzymać. Równocześnie, ponieważ Sejan i Liwilla postarali się, aby wiadomość o awanturze przedostała się do ogółu w ułożonej przez nich wersji, zrozumiano, że Kastor pomimo otrzymanego trybunatu popadł w niełaskę i że jedynym człowiekiem, o którego względy warto się ubiegać, jest Sejan. Powstały liczne kopie jego posągu, które umieszczano w domach na honorowym miejscu, po prawej stronie posągów Tyberiusza, a rzadko gdzie można było zobaczyć rzeźby przedstawiające Kastora.

Ten, ilekroć spotkał się z ojcem, witał go z tak pochmurną twarzą, że Sejan nie musiał się zbytnio wysilać, aby pognębić przeciwnika do szczętu. Doniósł Tyberiuszowi, że Kastor wypytuje różnych senatorów, czyby byli skłonni dopomóc mu w zamachu stanu, i od kilku otrzymał już pod tym względem obietnice. Tyberiusz kazał aresztować tych, którzy wydali mu się najniebezpieczniejsi, i wytoczył im ustalonym już trybem proces o znieważenia Augusta. Jeden z nich został skazany na śmierć za to, że udał się do ustępu trzymając w ręku aureus z wizerunkiem Augusta. Drugiego oskarżono o umieszczenie posągu Augusta na liście mebli, które zamierzał sprzedać. Byłby skazany na śmierć, lecz gdy przyszło do głosowania, konsul przewodniczący rozprawie wezwał najpierw Tyberiusza do oddania głosu.

Cesarzowi wstyd było głosować za śmiercią i w ten sposób oskarżony ocalał. Wkrótce potem zresztą skazano go z innego powodu.

Kastor zaniepokoił się i prosił Liwie, żeby mu dopomogła w walce z Sejanem.

Liwia kazała mu się nie martwić: już ona przyprowadzi Tyberiusza do opamiętania. W rzeczywistości jednak nie miała zaufania do Kastora jako do sprzymierzeńca.

Udała się wszakże do Tyberiusza i powiedziała mu, że Kastor oskarża Sejana o uwiedzenie Liwilli, o wykorzystywanie swego stanowiska powiernika dla oczerniania bogatych ludzi i o dążenie do zagarnięcia najwyższej władzy; Kastor zwierzył się jej, mówiła, że jeśli Tyberiusz nie usunie tego łajdaka, on weźmie tę sprawę we własne ręce: prosił ją już o pomoc.

Przedstawiając tak sprawę, Liwia miała nadzieję, że Tyberiusz będzie nie dowierzał zarówno Sejanowi, jak Kastorowi, i popadnie w dawną od niej zależność. I rzeczywiście dopięła swego, ale nie na długo. Dzięki niespodziewanemu wypadkowi Tyberiusz przekonał się o lojalności Sejana, o której i on sam stale cesarza zapewniał i o której dotychczas świadczyły wszystkie jego czyny. Pewnego razu podczas wycieczki cesarz z Sejanem i kilku przyjaciółmi biesiadował w nadbrzeżnej grocie, gdy nagle dał się słyszeć chrzęst, łomot i część sklepienia runęła. Kilku ze służby zginęło na miejscu, inni zostali zasypani, a złom skały zawalił wyjście z groty. Sejan stanął wtedy pochylony nad Tyberiuszem, niby zasłonić go w razie ponownego zawalenia się skały. W tej pozycji znaleziono go w godzinę później, kiedy żołnierze odkopali zasypanych.

Przy tej okazji Trazyl umocnił w oczach Tyberiusza swą reputację człowieka wiernie czytającego przyszłość. Przepowiedział Tyberiuszowi, że tegoż dnia około południa nastąpi godzina ciemności. Zapewnił go też, że przeżyje Sejana o wiele lat i że nie grozi mu z jego strony żadne niebezpieczeństwo. Podejrzewam, że Sejan z Trazylem wszystko to wcześniej ułożyli, ale nie mam dowodów.

Trazyl nie był bynajmniej nieprzekupny, ale kiedy już dopasowywał wróżby do życzeń klientów, robił to tak, że nic nie można było poznać. Jak się zresztą okazało, Tyberiusz przeżył o kilka lat Sejana. Wkrótce Tyberiusz dał

synowi nowy dowód swej niełaski, karcąc go publicznie w senacie. Kastor nie zjawił się na nabożeństwie poprzedzającym otwarcie senatu po feriach letnich, przysłał tylko list, w którym tłumaczył, że sprawy państwowe nie pozwalają mu przybyć na czas do stolicy. Tyberiusz ironicznie zauważył, że można by przypuszczać, iż młody człowiek prowadzi wojnę w Niemczech lub w dyplomatycznej misji bawi w Armenii, kiedy w rzeczywistości owe "sprawy państwowe", które go zatrzymują, to kąpiele i wycieczki morskie w Terracynie. Dodał, że jemu, Tyberiuszowi można by dziś, u schyłku życia, wybaczyć przypadkową nieobecność w stolicy; długi czas służył państwu myślą i czynem, więc sterane już ma dzisiaj siły. Ale cóż mogło powstrzymać od przybycia jego syna? Chyba tylko lekceważąca wszystko buta.

Był to zarzut niesprawiedliwy. Kastor miał podczas wakacji opracować sprawozdanie ze stanu obrony nadbrzeżnej i nie mógł na czas zebrać wszystkich danych. Zamiast więc tracić czas na jazdę do Rzymu i z powrotem, wolał na mielcu kończyć pracę. Zaraz po przyjeździe do stolicy obłożnie zachorował. Wszystko wskazywało na galopujące suchoty.

Mizerniał po prostu w oczach. Chudł, stracił rumieńce i zaczął pokasływać krwią.

Napisał do cesarza prosząc o przebaczenie, jeśli go w czym obraził, i dodał, że pragnąłby zobaczyć ojca u siebie, gdyż czuje zbliżającą się śmierć. Sejan jednak był przeciwny spełnieniu tej prośby.

Choroba może być prawdziwa, mówił, ale z drugiej strony nie wiadomo, czy nie chodzi o zwabienie Tyberiusza po to, aby go zamordować. W kilka dni później Kastor umarł nie widząc się z ojcem.

Śmierć jego nie wzbudziła w stolicy wielkiego smutku. Niepohamowany charakter Kastora i pogłoski o jego okrucieństwie budziły w ludziach obawy na myśl o tym, jak by postępował objąwszy rządy po ojcu. Niewielu wierzyło w poprawę ostatnich lat.

Sądzono przeważnie, że grał komedię dla zyskania sobie popularności, a z

chwilą objęcia władzy nie okazałby się lepszy od ojca. Dorastali również trzej synowie Germanika - Druzus także był już pełnoletni i niewątpliwie on powinien być następcą Tyberiusza.

Tylko senat, chcąc zmanifestować wiernopoddańcze uczucia, demonstracyjnie obnosił się ze swą żalobą i uchwalił uczcić pamięć Kastora w ten sam sposób co poprzednio Germanika. Tyberiusz tym razem nie udawał rozpaczony i spokojnym, oficjalnym tonem wygłosił mowę pogrzebową. Kiedy zauważył, że niektórym z senatorów łzy spływają po policzkach, mruknął dość głośno do stojącego obok Sejana:

- Pfu! Śmierdzi tu cebulą!

Gallus natychmiast powstał, aby powinszować Tyberiuszowi takiego panowania nad bólem. Przypomniawszy, że nawet bóg August, kiedy jeszcze znajdował się wśród nich w swej ludzkiej postaci, tak dalece poddał się smutkowi po śmierci Marcellusa, swego przybranego syna (i to przybranego, nie rodzzonego), że kiedy składał dzięki senatowi za współudział w boleści, przerwać musiał w środku zdania, nie mogąc z bólu mówić dalej.

Tymczasem mowa, której przed chwilą słuchali, była arcydziełem opanowania. (Dodam w tym miejscu, że kiedy cztery czy pięć miesięcy później przybyli posłowie z Troi, aby złożyć kondolencje Tyberiuszowi z powodu śmierci jego jedyne syna, Tyberiusz odpowiedział im tymi słowami:

„A wy przyjmijcie ode mnie wyrazy współczucia z powodu śmierci Hektora.”)

Następnie Tyberiusz posłał po Nerona i Druzusa, a kiedy przybyli do senatu, wziął ich za ręce i zwrócił się do obecnych:

- Trzy lata temu powierzyłem te dzieci, osierocone przez ojca, ich stryjowi, ukochanemu mojemu synowi, którego dzisiaj tak gorzko oplakujemy. Chociaż miał własnych synów, pragnąłem, aby adoptował ich i wychował jako prawowitych spadkobierców rodzinnej tradycji. - (Tu Gallus wzniósł okrzyk na cześć Tyberiusza i cały senat przyłączył się do aplauzu.) - Ale teraz, kiedy

okrutny los nam go zabrał - (jęki i lamenty) - o to samo was proszę. Wobec bogów, wobec ukochanej ojczyzny błagam was, weźcie pod swoją opiekę i przewodnictwo tych szlachetnych prawników Augusta, potomków ludzi, których imiona głośne są w historii Rzymu. Spełńmy nasz obowiązek względem nich. Wnukowie, wysoki senat zastąpi wam teraz ojców, a urodzenie wasze sprawi, że cokolwiek was spotka, dobro czy zło, we wszystkim senat będzie z wami. - (Głośne oklaski, płacz, błogosławieństwa, okrzyki lojalności.)

Lecz zamiast skończyć w tym miejscu, Tyberiusz popsuł cały efekt, dodając swoim zwyczajem zwykle frazesy o wycofaniu się z rządów i przywróceniu republiki, kiedy to

„konsulowie lub kto inny zdejmie brzemie rządów” z jego ”wiekiem pochylonych ramion”.

Jeśli nie zamierzał uczynić Nerona lub Druzusa (w każdym razie jednego z nich) swoim cesarskim następcą, cóż wobec tego miał na myśli łącząc ich losy tak ściśle z losami senatu?

Pogrzeb Kastora nie wzbudził tak powszechnej żałoby jak pogrzeb Germanika, nie widać było tylu szczerych oznak bóleści, ale odbył się z większym przepychem. W procesji niesiono maski wszystkich Cezarów i Klaudiuszów, poczynając od maski Eneasza, założyciela rodu julijskiego, i Romulusa, założyciela Rzymu, a kończąc na maskach Gajusza, Lucjusza i Germanika. Niesiono maskę Juliusza Cezara, ponieważ - jak Romulus - był on jedynie półbogiem, podczas gdy maski Augusta nie było, gdyż August był bóstwem wyższego rzędu.

Sejan i Liwilla zaczęli się teraz zastanawiać, jak by przeprowadzić do końca swoje ambitne plany, których ostatecznym celem było osiągnięcie władzy cesarskiej. Na drodze stali im Neron, Druzus i Kaligula. Należało ich więc w jakiś sposób usunąć. Lecz jak usunąć wszystkich trzech nie narażając się na niebezpieczeństwo? Liwilla zauważyła, że babka, kiedy chodziło o zapewnienie władzy Tyberiuszowi, potrafiła sprzątnąć Gajusza, Lucjusza i Postuma; a Sejan

przecież znajduje się w sytuacji znacznie lepszej niż ongiś Liwia. Sejan, chcąc Liwilli dać dowód, iż rzeczywiście zamierza się z nią ożenić, rozwiódł się ze swoją żoną Apikatą, z którą miał troje dzieci. Oskarżył ją o cudzołóstwo i oświadczył, że dziecko, które wkrótce miała wydać na świat, nie jest jego dzieckiem. Publicznie wprawdzie nie wyjawiał nazwiska kochanka, ale w zaufaniu przyznał się Tyberiuszowi, że podejrzewa Nerona. Neron, twierdził, cieszy się bardzo złą reputacją. Nawiązuje romanse z żonami poważanych obywateli i zachowaniem swym daje do zrozumienia, że wszystko mu wolno jako przypuszczalnemu następcy cesarza. Liwilla tymczasem nie żałowała trudu, żeby pozbawić Agryppinę protekcji Liwii. Ostrzegła bratową, że babka chce ją tylko wykorzystać jako atut w walce z Tyberiuszem - co zresztą było prawdą. W Liwii znów przy pomocy jednej z pokojówek starała się obudzić podejrzenie, że Agryppina chce posłużyć się nią jako bronią przeciw cesarzowi - co też nie mijало się z prawdą. Ponadto w każdą z osobna wmawiała, że druga usunie ją, z chwilą kiedy osiągnie swój cel.

Kolegium Dwunastu Kapłanów włączyło imiona Nerona i Druzusa do tradycyjnej modlitwy o powodzenie i zdrowie cesarza, a inni kapłani poszli za ich przykładem. Tyberiusz jako najwyższy kapłan wysłał do nich list, w którym wyrzucał im, że nie robią żadnej różnicy między tymi chłopcami a nim, człowiekiem, który już na dwadzieścia lat przedtem, zanim się obaj urodzili, sprawował zaszczytnie najwyższe urzędy w państwie i od tamtej pory sprawuje jeszcze wiele innych. Nie postępują sprawiedliwie. Przywołał kapłanów przed swoje oblicze i spytał, czy Agryppina pochlebstwem skłoniła ich, aby dodali te dwa imiona do modlitwy, czy też może nastraszyła jakimiś pogroźkami. Oczywiście zaprzeczyli tak jednemu, jak drugiemu, ale to nie przekonało Tyberiusza. Czterech spośród tych dwunastu byli to ludzie skoligaceni z Agryppina, pięciu znajdowało się w przyjacielskich stosunkach z nią i jej synami. Udzielił im surowej nagany. Wygłaszając następną mowę w senacie, ostrzegł senatorów, aby

„nie przyznawali więcej pochopnych wyróżnień, które mogą rozzuchwalić Bóg wie co o sobie myślących młodzieńców w folgowaniu wybujałym ambicjom”.

Agryppina znalazła niespodziewanego sprzymierzeńca w osobie Kalpurniusza Pizona.

Zapewnił ją on, że stawał w obronie swego stryja, Gajusza Pizona, tylko ze względów pokrewieństwa, toteż nie powinna go uważać za nieprzyjaciela. Zrobi wszystko, co w jego mocy, aby ochronić ją i jej dzieci. Lecz Kalpurniusz nie żył długo po tym oświadczeniu.

Oskarżono go przed senatem o ”zdradę popełnioną w prywatnej rozmowie”, o przechowywanie w domu trucizny i o zjawienie się w senacie z bronią przy sobie, a mianowicie ze sztyletem. Ostatnie dwa punkty oskarżenia były tak absurdalne, że zaraz je odrzucono, ale wyznaczono dzień rozprawy, aby rozpatrzyć oskarżenie o ”zdradę popełnioną w prywatnej rozmowie”. Popęlił samobójstwo, zanim doszło do rozprawy.

Sejan doniósł Tyberiuszowi, że Agryppina utworzyła nowe tajne stowarzyszenie zwane Związkiem Zielonych. Dowodem tego jest niezwykła popularność cyrkowej fanki Zielonych. Podczas wyścigów bowiem tworzyły się fanki biorące nazwy od barw, w których stawali współzawodnicy. Istnieli więc Czerwoni, Biali, Błękitni i Zieloni. W tym czasie właśnie Zieloni cieszyli się największą popularnością, a Czerwoni byli u ludu w niełasce.

Tyberiusz uwierzył Sejanowi i zaczął pilnie uczęszczać na wyścigi, które odbywały się z okazji świąt. Należało to zresztą nawet do jego obowiązków, lecz dotychczas nie interesował się tym sportem zupełnie i nie lubił, żeby w pałacu lub podczas uczt, w jakich brał udział, poruszano tematy związane z wyścigami. Teraz po raz pierwszy w życiu zaczął zwracać baczną uwagę na sposób, w jaki widzowie witali różne barwy, i niepokoił się mocno, słysząc entuzjastyczne okrzyki na cześć Zielonych. Sejan powiedział mu też, że Zieloni nazwą Czerwonych określają zwolenników cesarza, a Tyberiusz wtedy

zauważył, że ilekroć czerwony rydwan przybywa pierwszy do mety, co zresztą zdarzało się rzadko, publiczność zaczyna gwizdać i tupać. Bajeczkę swoją Sejan ułożył bardzo chytrze, wiedział bowiem, że Germanik zawsze stawiał na Zielonych, a Agryppina, Druzus i Neron, kierowani pietyzmem, podtrzymywali tę tradycję.

Opowiem teraz o pewnym możnowładcy imieniem Syliusz, który przez wiele lat dowodził pułkami stacjonującymi nad Renem. Zdaje się, że wspomniałem już o nim jako o generale dowodzącym czterema pułkami w Górnych Niemczech, które nie przyłączyły się do ogólnego buntu. Był to jeden z najgodniejszych zaufania oficerów mego brata i za swoje zwycięstwa nad Hermanem otrzymał odznaczenia triumfalne. Ostatnio na czele zjednoczonych sił Górnej i Dolnej Prowincji zgniótł niebezpieczny bunt plemion francuskich w pobliżu Lyonu, miejsca mojego urodzenia. Nie był to człowiek specjalnie skromny, ale i nie chełpił się na próżno, więc jeśli już coś publicznie oświadczył, nie mijało się to z prawdą.

Powiedział on, jak doniesiono, że gdyby nie jego zręczna taktyka wobec tych czterech pułków podczas buntu, i one przyłączyłyby się do ogólnych zamieszek, a wtedy Tyberiusz nie miałby nad kim ani nad czym panować. Oczywiście Tyberiusz nie był tym zachwycony, chociażby zresztą i dlatego, że zbuntowały się te pułki, jak już wyjaśniałem, którymi sam najczęściej dowodził.

Żona Syliusza, Sozja, była najbliższą przyjaciółką Agryppiny.

Pewnego razu podczas wielkich igrzysk na początku września Syliusz stawiał duże sumy na Zielonych.

- Stawiam przeciw tobie każdą sumę. Jestem za Czerwonymi! - zawołał do niego Sejan.

- Wybrałeś zły kolor, przyjacielu - odpowiedział Syliusz. - Woźnica Czerwonych nie ma najmniejszego pojęcia o powożeniu. Stara się nadrobić wszystko batem. Założą się z tobą choćby o tysiąc sztuk złota, że Zieloni wygrają. Oto młody Neron powiada, że podnosi zakład do piętnastu tysięcy. To

entuzjasta Zielonych.

Sejan spojrział znacząco na Tyberiusza, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań i dziwił się śmiałości Syliusza. Poczytał to za dobry znak, kiedy woźnica Zielonych spadł z rydwanu na przedostatnim okrążeniu i Czerwoni już bezpiecznie przybyli pierwsi do mety.

Dziesięć dni później Syliusz został oskarżony przed senatem o zdradę stanu.

Zarzucono mu, że patrzył przez palce na bunt plemion francuskich, kiedy się tylko zaczynał, i wziął trzecią część łupów jako zapłatę za brak interwencji. Późniejsze jego zwycięstwo nad buntownikami miało być tylko pretekstem do splądrowania lojalnych prowincji, a następnie ściągnięcia niezwykle wysokich nadzwyczajnych podatków na pokrycie kosztów kampanii.

Sozja została oskarżona o współnictwo w tych przestępstwach. Ponieważ Syliusz nie cieszył się popularnością na Palatynie od czasu buntu we Francji, Tyberiusz pozwolił sobie na ostrą krytykę jego postępowania. Zarzucał mu, że nie chwycił w czas za broń przeciw buntownikom, że dużo bardziej interesowały go procesy o zdradę stanu prowadzone w tym czasie niż sama kampania. Powołując się na swój wiek tłumaczył się przed senatem z tego, że sam nie zdusił buntu. - Kastor również zajęty był wówczas innymi ważnymi sprawami - wtrącił. Następnie dodał, że przez cały czas utrzymywał kontakt z główną kwaterą Syliusza, udzielając mu cennych rad. Tyberiusz był bardzo wrażliwy na wszystko, co dotyczyło buntu francuskiego. Kiedy bunt został uśmierzony, na pośmiewisko naraził go bezczelny senator, naśladowca chwytów Gallusa. Zgłosił on wniosek, aby Tyberiuszowi przyznano prawo do triumfu, jako człowiekowi, któremu w rzeczywistości należy zawdzięczać zwycięstwo.

Tyberiusza tak to uraziło, że wstał i powiedział, iż w ogóle zwycięstwo niewarte jest wzmianki, a wobec tego nikt się nie ośmielił głosować za przyznaniem Syliuszowi odznak triumfalnych, na które sobie dobrze zasłużył. Syliusz więc był rozczarowany i to, co powiedział o buncie pułków nadreńskich,

powiedział pod wpływem rozgoryczenia wywołanego niewdzięcznością Tyberiusza. Z dumą powstrzymał się od odpowiedzenia jednym choćby słowem na stawiany mu zarzut zdrady. Oskarżenie o porozumiewanie się z buntownikami było niesłuszne, a jeśli jego żołnierze w kilku wypadkach nie potrafili rozróżnić, co jest własnością buntowników, a co lojalistów, to można się było tego spodziewać, wielu bowiem rzekomych lojalistów skrycie finansowało rebelię. Co do owych podatków, to sam Tyberiusz obiecał wypłacić później ze skarbu specjalne sumy na pokrycie wydatków związanych z kampanią i wynagrodzenie za zniszczone domostwa, zbiory i bydło należące do obywateli rzymskich. Na rachunek tego wynagrodzenia Syliusz obłożył podatkiem szereg plemion północnych, obiecując zwrócić pieniądze, kiedy tylko otrzyma obiecane sumy od Tyberiusza, co nigdy nie nastąpiło. Po zdławieniu buntu majątek Syliusza wynosił o dwadzieścia tysięcy sztuk złota mniej niż przed jego wybuchem, ponieważ wystawił oddział ochotniczej konnicy, którą uzbroił i opłacał z własnej kieszeni. Główny jego oskarżyciel, jeden z tegorocznych konsulów, z wielkim oburzeniem podkreślił zarzucane Syliuszowi zdzierstwo. Był to przyjaciel Sejana, syn wojskowego zarządcy Dolnej Francji, którego pragnieniem było objąć samemu główne dowództwo nad wojskiem rzymskim w kampanii francuskiej, a zmuszony był poprzednio zrzec się go na korzyść Syliusza.

Syliusz nie mógł nawet przedstawić dowodu na to, że Tyberiusz obiecał mu wypłacić specjalne sumy, gdyż list cesarza w tej sprawie pieczętowany był sfinksem. Poza tym oskarżenie o zdzierstwo nic nie miało wspólnego ze zdradą stanu, o którą przecież chodziło.

- Wysoki senacie - wybuchnął w końcu Syliusz. - Mógłbym powiedzieć wiele na swoją obronę, ale nie powiem nic, ponieważ proces nie jest prowadzony według porządku prawnie ustalonego i wyrok już dawno zapadł. Wiem, iż całą moją zbrodnią jest to, że powiedziałem, iż gdyby nie moje dowództwo, pułki w Górnych Niemczech podniosłyby bunt.

Nie będę dyskutował teraz, czy jestem winny w tej sprawie, czy nie jestem. Dodam natomiast, że gdyby nie sposób, w jaki Tyberiusz przedtem nimi dowodził, pułki w Dolnych Niemczech nie byłyby się zbuntowały. Czcigodni senatorowie, jestem ofiarą skąpego, zawistnego, żądnego krwi tyrana...

Zakończenie utonęło wśród okrzyków protestu oburzonych senatorów.

Syliusz zasalutował Tyberiuszowi i wyszedł z wysoko podniesioną głową. Po powrocie do domu uściskał Sozję i dzieci, pozostawił pełen przywiązania pożegnalny list do Agryppiny, Nerona, Gallusa i innych swych przyjaciół i udawszy się do sypialni, przebił gardło mieczem.

Ostatecznym dowodem jego winy były obelgi rzucone w twarz Tyberiuszowi. Cały majątek szlacheckiego generała uległ konfiskacie, z tym, że prowincjom obiecano zwrócić bezprawnie ściągnięte podatki z jego pieniędzy, a oskarżyciele dostać mieli czwartą część tego, co pozostanie. Pieniądze, które przeznaczył mu jeszcze August w swym zapisie jako nagrodę lojalności, z powrotem zabierał skarb państwa na tej podstawie, że dostały mu się przez nieporozumienie. Ponieważ mieszkańcy prowincji nie śmieli się upomnieć o zwrot podatków, trzy czwarte majątku zatrzymał Tyberiusz; nie było już bowiem żadnego istotnego rozgraniczenia między skarbem wojskowym, skarbem państwa i prywatną szkatułą cesarza.

Był to pierwszy wypadek, kiedy Tyberiusz wyciągnął osobistą korzyść z konfiskaty, i pierwszy też raz fakt, że ktoś obraził go osobiście, posłużył jako dowód popełnienia zdrady stanu.

Sozja miała własny majątek. Aby uratować jej życie i nie dopuścić, żeby dzieci generała poszły z torbami. Gallus przedstawił wniosek o wygnanie jej z kraju.

Proponował, aby połowę jej majątku oddać oskarżycielom, a połowę zostawić dzieciom. Lecz kuzyn Agryppiny, sprzymierzony w tej sprawie z Gallusem, zgłosił projekt, aby oskarżyciele dostali tylko jedną czwartą (było to prawem przewidziane minimum), twierdząc, że Gallus jest bardziej lojalny w

stosunku do Tyberiusza niż sprawiedliwy dla Sozji; słyszano przecież, jak Sozja napominała umierającego męża z powodu jego zdradzieckich i niewdzięcznych słów.

Sozję więc tylko skazano na banicję. Wyjechała do Marsylii. Syliusz, skoro tylko dowiedział się, iż czeka go sprawa gardłowa, potajemnie przekazał Gallusowi i innym przyjaciółom większą część swojej gotówki w depozyt, chcąc zabezpieczyć przyszłość dzieci, cała więc rodzina wyszła z oparów obronną ręką. Najstarszy jego syn w późniejszych latach przysporzył mi niemało kłopotów.

Tyberiusz, który dotychczas wytaczał procesy o zdradę stanu pod pozorami rzekomych bluźnierstw przeciwko Augustowi, od tej pory coraz częściej posługiwał się edyktem wydanym w pierwszym roku swego panowania. Edykt głosił, że każdy, kto obrazi w czymkolwiek honor i reputację cesarza, jest winny zdrady stanu. Pewnego senatora, którego podejrzewał o przynależność do partii Agryppiny, oskarżył o to, że wygłosił karczemny epigramat napisany na cesarza. W rzeczywistości sprawa wyglądała, jak następuje: żona owego senatora zauważyła pewnego ranka kartkę przypiętą wysoko na drzwiach domu.

Poprosiła męża, żeby jako wyższy z nich dwojga odczytał, co jest na niej napisane. Powoli odsylabizował:

Już nie wysusza dzbanów wina
Jak za minionych dni - Dziś się
rozgrzewa, pijaczyna,
Nektarem z ludzkiej krwi.

Nieświadoma niebezpieczeństwa kobieta spytała, co te wiersze znaczą.

- Niebezpiecznie byłoby objaśniać je publicznie, kochanie - odrzekł senator.

Zawodowy donosiciel, który kręcił się w pobliżu, czekał tylko, żeby senator odczytał epigramat (dzieło Liwii), a będzie miał coś konkretnego do zaraportowania. Udał się prosto do Sejana.

Tyberiusz sam przesłuchał senatora; spytał, co miał na myśli mówiąc o niebezpieczeństwie i w kogo według niego mierzył wspomniany paszkwil.

Nieszczęśnik, przestępując z nogi na nogę, nie chciał udzielić wyraźnych odpowiedzi. Tyberiusz oświadczył wtedy, że za czasów jego młodości krążyło wiele paszkwilów, każdy z nich nazywający go pijakiem, ale ponieważ ostatnio lekarze kazali mu wystrzegać się wina ze względu na skłonności do podagry, niedawno ukazało się kilka paszkwilów oskarżających go o krwiożerczość. Zapytał oskarżonego, czy wiedział o tym i czy myślał, że epigramat może być skierowany przeciwko komuś innemu, a nie cesarzowi. Biedny senator przyznał, że słyszał paszkwile o pijaństwie Tyberiusza, ale wiedział, że nie mają potwierdzenia w rzeczywistości, i nie widzi żadnego związku między tamtymi grubiaństwami, a tym, które znalazł na drzwiach swego domu. Tyberiusz spytał go wówczas, dlaczego nie doniósł senatowi o tamtych paszkwilach, co przecież było jego obowiązkiem. Senator odrzekł, że kiedy je słyszał, układanie i powtarzanie epigramatów, jakkolwiek niewybrednych i napisanych choćby na najnotliwszego człowieka, nie było jeszcze przestępstwem karalnym.

Nie było też zdradą układać i powtarzać wiersze, choćby skierowane przeciw Augustowi, o ile nie zostały publicznie ogłoszone. Tyberiusz zapytał, o jakim okresie oskarżony senator mówi, gdyż August pod koniec swego życia wydał edykt przeciwko paszkwilom przekazywanym również ustnie.

- Mówię o tym okresie, kiedy ty trzeci rok bawiłeś na Rodos - odrzekł oskarżony.

- Czcigodni senatorowie! - zawołał Tyberiusz. - Jak możecie pozwolić, aby ten urzędnik mnie obrażał?

Senat więc natychmiast skazał nieszczęśliwego na zrzucenie ze Skały Tarpejskiej, karę przewidzianą zwykle dla najgorszych zdrajców, generałów, którzy przekupieni przez nieprzyjaciela przegrywali bitwy, i im podobnych.

Innym razem pewien rycerz został skazany na śmierć za napisanie tragedii o Agamemnonie, w której królowa małżonka morduje go w kąpieli toporem, wołając:

Wiedz, tyranie krwawy, nie zbrodnia to Pomścić swe krzywdy ostrzem.

Tyberiusz oświadczył, że jego to miano na myśli kreśląc postać Agamemnona i że cytowana kwestia miała być hasłem do zamordowania go. W ten sposób tragedia, którą każdy wyśmiewał dla wielkich braków stylu i podłej kompozycji, zyskała sobie swego rodzaju sławę, gdyż wszystkie jej kopie skonfiskowano i spalono, autora zaś stracono.

W dwa lata po tym oskarżeniu - opowiem to wydarzenie zaraz, ponieważ przypomniała mi je historia Agamemnona - wytoczono sprawę Kremucjuszowi Kordusowi, staremu senatorowi, który niegdyś miał zatarg z Sejanem o pewne głupstwo.

Przybywszy do senatu któregoś deszczowego dnia Sejan powiesił swój płaszcz na wieszaku zwykle używanym przez Kremucjusza. Kiedy nadszedł ten ostatni, przewiesił płaszcz gdzie indziej, aby zrobić miejsce dla swego okrycia, nie wiedząc, że to płaszcz Sejana. Płaszcz spadł z wieszaka i ktoś podeptał go zabłoconymi sandałami. Sejan mścił się złośliwie, kiedy tylko nadarzyła się okazja, aż Kremucjusz do tego stopnia znienawidził sam widok jego twarzy i dźwięk jego imienia, że kiedy usłyszał, iż posąg Sejana ustawiono w teatrze Pompejusza, wykrzyknął:

- Biada temu teatrowi!

Natychmiast napomknięto o nim Tyberiuszowi jako o jednym z głównych stronników Agryppiny. Ponieważ jednak był to czcigodny, nikomu nie szkodzący staruszek, który na całym świecie nie miał jednego wroga prócz Sejana i nigdy nie wypowiedział słowa poza tym, co konieczne, trudno było znaleźć na poparcie oskarżenia taki dowód, który by senat mógł przyjąć, jakkolwiek jego członkowie byli wyzuci z wszelkiego wstydu. W końcu oskarżono Kremucjusza o napisanie dzieła sławiącego Brutusa i Kasjusza, morderców Juliusza Cezara. Jako dowód przedstawiono pracę historyczną, którą oskarżony napisał trzydzieści lat temu i którą sam August, adoptowany syn Cezara, trzymał w swej bibliotece i od czasu do czasu czytywał, o czym wszyscy wiedzieli.

Kremucjusz wygłosił w swej obronie natchnioną mowę skierowaną przeciwko absurdalnemu oskarżeniu. Przypomniwał, że Brutus i Kasjusz nie żyją już od tak dawna i pamięć ich czynów uczciło już tak wielu historyków, że nie sposób uważać tego procesu za coś innego niż kpinę. Kpinę w rodzaju tej, z jaką spotkał się niedawno w Laryssie pewien młody podróżnik. Oskarżono tego młodzieńca o zamordowanie trzech ludzi, chociaż były to tylko zawieszane przed winiarnią bukłaki, które przebił po ciemku, biorąc za złodziei. Lecz ów proces w Laryssie miał miejsce podczas dorocznego święta śmiechu, co usprawiedliwiało takie postępowanie, a młodzieniec był pijakiem, i to zbyt skorym do wyciągania miecza, więc może zasługiwał na nauczkę. On jednak, Kremucjusz Kordus, jest za stary i za poważny, aby kpić z niego w ten sposób; nie obchodzą też święta śmiechu, ale czterysta siedemdziesiątą szóstą rocznicę uroczystego ogłoszenia Praw Dwunastu Tablic, owego pomnika prawniczego geniuszu i prawości obyczajów naszych pradziadów.

Kremucjusz udał się do domu i zagłodził na śmierć. Wszystkie egzemplarze jego książki skonfiskowano i spalono z wyjątkiem dwóch lub trzech, które córka jego gdzieś ukryła i wiele lat później, kiedy Tyberiusz już nie żył, wydała powtórnie. Nie było to najlepsze dzieło, zyskało sobie większą sławę, niż na nią zasługiwało. Przez cały ten czas mówiłem sobie: "Jesteś biednym człowiekiem, Klaudiuszu, i niewielki z ciebie pożytek, wiedziesz nędzny żywot zajmując się to tym, to owym, ale przynajmniej żywot to bezpieczny." Toteż kiedy stary Kremucjusz, którego dobrze znałem, bo spotykałem się z nim często na pogawędkach w bibliotece, przypłacił życiem tego rodzaju oskarżenie, było to dla mnie wielkim wstrząsem. Czułem się jak człowiek mieszkający na zboczu wulkanu, kiedy ten wyrzuci nagle w górę ostrzegawczy deszcz popiołu i rozpalonych do czerwoności kamieni.

W swoim czasie napisałem rzeczy bardziej "zdradliwe" niż Kremucjusz. W mojej historii reform religijnych Augusta znajdowało się kilka zdań, które łatwo stać się mogły powodem do oskarżenia, a chociaż majątek mój był tak

mały, że czwarta jego część niewarta była zachodu żadnego donosiciela, dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, iż wszystkie ostatnie ofiary procesów o zbrodnie stanu należały do przyjaciół Agryppiny, którą za każdą swą wizytą w Rzymie odwiedzałem.

Skąd miałem mieć pewność, że fakt, iż Sejan jest moim szwagrem, będzie dla mnie wystarczającą osłoną? I jak długo jeszcze mogło mnie to chronić?

Tak, zostałem niedawno szwagrem Sejana i opowiem zaraz, jak do tego doszło.

ROZDZIAŁ XXIII

Pewnego dnia Sejan rozmawiając ze mną napomknął o moim niezbyt szczęśliwym małżeństwie z Urgulanillą i zaczął namawiać, żebym się ożenił po raz drugi.

Wytłumaczyłem mu, że Urgulanillę wybrała mi babka Liwia, więc bez jej pozwolenia nie mogę się rozwieść.

- Ach, naturalnie! - przytaknął. - Rozumiem to doskonale. Ale to przykra rzecz obywać się bez żony.

- Jakoś sobie daję radę - odrzekłem.

Odpowiedź tę uważał widać za dowcip, bo wybuchnął śmiechem i nazwał moje postępowanie bardzo mądrym. Po chwili jednak, już poważnie, dodał, żebym się zwrócił do niego, gdyby mi się przypadkiem udało rozwieść. Ma dla mnie pewną kobietę z dobrej rodziny, młodą, inteligentną... Podziękowałem mu uprzejmie, lecz zrobiło mi się jakoś nieswojo. Na odchodnym zatrzymał mnie jeszcze chwilę:

- Chcesz, Klaudiuszu, dobrej rady? - spytał. - Stawiaj podczas jutrzejszych wyścigów na Czerwonych, a jeżeli z początku trochę stracisz, nic się nie martw; przy końcu będziesz wygrany. Ale nie stawiaj na Zielonych. Pamiętaj! To nieszczęśliwy kolor w tych dniach. I nie mów nikomu, że ode mnie dostałeś taką wskazówkę.

Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi, ale byłem zadowolony, że Sejanowi jeszcze ciągle zależy na dobrych ze mną stosunkach. Nazajutrz, było to święto Augusta, udałem się do cyrku. Zaledwie zająłem miejsce, Tyberiusz, który tego dnia był w dobrym humorze, kazał mnie przywołać do siebie.

- Cóż porabiasz obecnie, drogi bratanku? - zapytał.

Jąkając się odpowiedziałem, że pracuję nad historią starożytnych Etrusków.

- Ach, tak! To pomysł, który dobrze świadczy o bystrości twego umysłu. Żaden ze starożytnych Etrusków nie może przeciw temu zaprotestować, a nie ma żyjących, których by to obchodziło. Możesz więc pisać, co ci się podoba. No, a co poza tym robisz?

- Ppiszę historię Kkkartagińczyków.

- Nadzwyczajne! A cóż jeszcze? Tylko pospiesz się z jąkaniem, bo nie mam wiele czasu.

- W tej chwili chcę p-p-p-p-p...

- Pisać historię o królu Romulusie, co?

- Nie, wasza dostojność, chcę pppostawić na Czerwonych.

Spojrzał na mnie przenikliwie.

- Widzę, mój drogi, że nie jesteś doszczętnie głupi. Ale dlaczego stawiasz na Czerwonych?

Zmieszałem się, gdyż nie mogłem powiedzieć, że idę za wskazówką Sejana.

- Śniło mi się - odpowiedziałem - że Zieloni zostali zdyskwalifikowani za używanie bata przeciw swym współzawodnikom i Czerwoni przyszli do mety przed Białymi i Bbbblękitnymi.

Dał mi sakiewkę i szepnął do ucha:

- Nie mów nikomu, że grasz za mnie. Postaw na Czerwonych i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Szczęście rzeczywiście sprzyjało tego dnia Czerwonym i stawiając przeciw młodemu Neronowi wygrałem równe dwa tysiące sztuk złota. Wieczorem uważałem za wskazane udać się do pałacu i oddając pieniądze Tyberiuszowi rzekłem:

- Oto szczęśliwa sakiewka, a tutaj jej potomstwo - małe sakieweczki, których się dzisiaj dochowała.

- Wszystko dla mnie? - zdziwił się. - No, ale mam szczęście! I to Czerwoni, co?

Było to bardzo charakterystyczne dla Tyberiusza. Nie powiedział jasno, komu przypadnie wygrana, i mogłem przypuszczać, że wygrywam dla siebie. Gdybym był jednak przegrał, niewątpliwie dałby mi do zrozumienia, że jestem mu winien całą sumę.

Teraz nie dostałem nawet grosza.

Kiedy następnym razem przyjechałem do Rzymu, zastałem matkę tak wzburzoną, że nie śmiałem pierwszy ust do niej otworzyć w obawie, że wybuchnie i wytarga mnie za uszy.

Domyślałem się, że irytacja jej ma jakiś związek z Kaligulą, mającym wówczas dwanaście lat, i z trzynastoletnią Druzyllą, którzy mieszkali u matki. Druzylla była zamknięta w swoim pokoju i nie dostawała jeść, a Kaligulą chodził wprawdzie swobodnie po mieszkaniu, ale wyglądał na mocno przerażonego. Wieczorem przyszedł do mnie.

- Stryju - zaczął prosić - niech stryj poprosi babcię, żeby nie mówiła nic cesarzowi.

Nie robiliśmy nic złego, przysięgam! To była tylko taka zabawa. Nie wierzysz mi?

Możesz wierzyć, naprawdę!

Kiedy mi wyjaśnił, o czym to nie ma dowiedzieć się cesarz, i przysięgł na ojca, że oboje z Druzyllą są całkiem niewinni, uważałem za swój obowiązek wstawić się za dziećmi.

- Kaligulą przysięga, że się mylisz - rzekłem do matki. - Przysięga na pamięć ojca.

Jeżeli więc istnieje jakaś możliwość omyłki z twojej strony, to należy uszanować tego rodzaju przysięgę. Jeśli chodzi o mnie, nie mogę uwierzyć, żeby dwunastoletni chłopiec...

- Kaligulą jest potworem, a Druzylla drugim - przerwała mi matka. - A ty jesteś skończony osioł. Więcej wierzę własnym oczom niż ich przysięgom i twojemu ględzeniu.

Jutro z samego rana idę do Tyberiusza.

- Ależ, matko, zastanów się! Jeżeli opowiesz wszystko cesarzowi, ucierpi na tym nie tylko tych dwoje. Ach! Mówmy z sobą raz otwarcie i... niech szlag trafi wszystkich szpiegów!

Jestem, powiadasz, skończony osioł. Zgoda. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że Tyberiusz podejrzewa Agryppinę o otrucie Kastora w celu zapewnienia następstwa tronu jej starszym synom i że żyje teraz w ciągłym strachu przed buntem. Czy nie przypuszczasz, że jeśli ty, babka, oskarżysz te dzieci o kazirodztwo, Tyberiusz postara się wplątać w tę sprawę ich starsze rodzeństwo?

- Jesteś skończony osioł, powtarzam. Nie mogę patrzeć, jak trzęsiesz głową i jak ci ta grdyka chodzi...

Widziałem jednak, że słowa moje wywarły na matce wrażenie. Jeśli więc tylko zejść jej z oczu, pomyślałem, i nie będę swoim widokiem przypominał o danej radzie, może zrezygnuje z opowiedzenia skandalicznej historii Tyberiuszowi. Zapakowałem trochę drobiazgów i powędrowałem do mego szwagra Plaucjusza, który przez ten czas awansował i za cztery lata miał być konsulem. Kiedy przyszedłem, było już po kolacji.

Plaucjusz siedział sam w gabinecie nad jakimiś aktami. Żona, jak się dowiedziałem, poszła już spać.

Spytałem o jej zdrowie, gdyż ostatnim razem, kiedy ją widziałem, wyglądała dość mizernie.

- Widać już całkiem zaśniebiałeś na prowincji, skoro o niczym nie wiesz - zaśmiał się. - Przeszło miesiąc temu rozwiodłem się z Numantyną. Kiedy mówiłem o żonie, miałem na myśli drugą moją małżonkę, Apronię, córkę tego Aproniusza, od którego niedawno Takfarinas otrzymał potężne ciągi.

Przeprosiłem za omyłkę i bąknąłem jakieś powinszowania.

- Ale dlaczego rozszedłeś się z Numantyną? - spytałem. - Miałem wrażenie, że życie z sobą zupełnie dobrze.

- Nie najgorzej. Ale, prawdę mówiąc, popadłem w ostatnich dniach w

długi. Parę lat temu, kiedy jeszcze piastowałem jeden z niższych urzędów, wypadło mi urządzić igrzyska.

Wiesz dobrze, co to kosztuje. Wydałem w ogóle więcej, niż wynosił mój cały majątek. Na domiar nieszczęścia, o ile sobie przypominasz, prześladował mnie zły los. W ceremoniale obrzędowym dwukrotnie została popełniona omyłka i za każdym razem trzeba było zaczynać od początku. Pierwszym razem ja sam byłem winien. Odmówiłem modlitwę wedle starej formuły, gdy tymczasem od dwu lat już obowiązuje nowa. Następnym razem trębacz nie wziął dość głębokiego oddechu i przerwał w połowie sygnału. Wystarczyło to, żeby uroczystość rozpocząć od nowa. Tak więc gladiatorom i woźnicom musiałem zapłacić trzykrotnie. Od tej pory nie mogłem wybrnąć z długów. Wierzycciele zaczęli stawać się natrętni i trzeba było na gwałt coś poradzić. Z posagu Numantyny nie pozostało ani grosza, ale udało mi się z jej stryjem załatwić całą sprawę polubownie. Zgodził się wziąć bratanicę do siebie z powrotem bez posagu, pod warunkiem, że pozwolę mu zaadoptować naszego młodszego syna. Chłopiec przypadł mu do serca i chce mieć w nim swego następcę.

Apronia jest bardzo bogata i ostatecznie wszystko ułożyło się jak najpomyślniej! Prawdę mówiąc, Numantyną nie miała najmniejszej ochoty rozstać się ze mną. Musiałem jej dopiero opowiedzieć, że za pośrednictwem jednego z przyjaciół pewna osobistość dała mi do zrozumienia, że o ile nie ożenię się z Apronia, która kocha się we mnie i ma wpływy na dworze, będę oskarżony o bluźnierstwo przeciw Augustowi. Zdarzyło się właśnie, że jeden z moich niewolników potknął się i upuścił na posadzkę alabastrową czaszę pełną wina. Na dźwięk pękającego naczynia przyskoczyłem i zamachnąłem się trzymanym w ręku batem.

Porwała mnie taka wściekłość, że nie zwracałem na nic uwagi. A wtem to bydlę woła:

„Zatrzymajcie się! Spójrzcie, gdzie jesteśmy.” Rzeczywiście, jedną nogą

znajdował się w świętym kręgu z białego marmuru, w którym stał posąg Augusta. Momentalnie upuściłem bat, ale z pół tuzina wyzwoleńców było świadkami tej sceny. Mam do nich tyle zaufania, że nie przypuszczam, aby któryś złożył przeciwko mnie doniesienie, ale Numantyną mocno się zaniepokoiła tym wypadkiem. Skorzystałem więc z niego, aby ją skłonić do zgody na rozwód.

Naturalnie wszystko to mówię ci w zupełnym zaufaniu i mam nadzieję, że nie powtórzysz nic Urgulanilli. Jest ona ze względu na Numantynę bardzo przejęta tą całą rozwodową historią.

- Nie widuję jej teraz zupełnie.

- W każdym razie, jeśli ją zobaczysz, nie wspomnij jej ani słowem o naszej rozmowie.

Przysięgasz?

- Na boskiego Augusta.

- Wystarczy. A co do twego noclegu tutaj, to pamiętasz ten pokój, który zajmowałeś ostatnim razem?

- Tak. Dziękuję ci. Jeżeli jesteś zajęty, nie będę przeszkadzał i zaraz idę spać.

Zwłaszcza, że sam jestem po długiej podróży, a ledwie przyjechałem, zaraz mnie spotkały w domu nieprzyjemności. Matka po prostu wyrzuciła mnie na ulicę.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc. Plaucjusz polecił jeszcze jednemu z wyzwoleńców przynieść mi lampę, co ten uczynił z dość dziwną, jak mi się zdawało, miną. Nie zastanawiając się nad jej znaczeniem wszedłem do pokoju leżącego naprzeciw sypialni gospodarza i zacząłem się rozbierać. Następnie umyłem ręce i nogi w małej umywalni w drugim końcu pokoju. Nagle posłyszałem za sobą ciężkie kroki i równocześnie ktoś zgasił lampę. "No, teraz już po tobie, Klaudiuszu - pomyślałem. - Zaraz cię tu ktoś pchnie sztyłem." Głośno zaś odezwałem się z całym spokojem:

- Nie wiem, kto jesteś, ale proszę cię, bądź łaskaw zapalić lampę. Może będziemy mogli załatwić sprawę ugodowo. A jeśli koniecznie musisz mnie zabić, wygodniej to uczynić przy świetle.

- Nie ruszaj się z miejsca - odezwał się na to jakiś niski głos.

Potem dało się słyszeć człapanie i chrząkanie, usłyszałem, że ktoś się ubiera, wreszcie trzask krzesiwa i lampa zapłonęła znowu. Przede mną stała Urgulanilla. Nie widziałem jej od pogrzebu Druzylla i zaiste nie wypiękniała w ciągu tych pięciu lat. Była jeszcze tęższa niż poprzednio - potwornie tęga, o twarzy jakby nalanej tłuszczem, i robiła wrażenie, że dałaby sobie radę z tysiącem Klaudiuszów. Jestem wprawdzie dość silny w rękach, ale wystarczyłoby, żeby się była zwała na mnie, a samym ciężarem pogruchołałyby mi wszystkie kości.

Podszedłszy odezwała się z wolna:

- Skąd się wziąłeś w mojej sypialni?

Wytłumaczyłem, że to widać Plaucjusz pozwolił sobie na kiepski żart i przeznaczył mi ten pokój nie wspominając, że zastanę w nim swą małżonkę. Następnie, zapewniając Urgulanillę o mym najgłębszym dla niej szacunku i przepraszając najgoręcej za najście, chciałem się wycofać i przenocować w łaźniach.

- Nie, mój drogi. Zostaniesz tutaj. Nieczęsto mam przyjemność oglądać pana małżonka. Nie ma mowy o tym, żebyś mi umknął. Idź do łóżka i śpij, ja położę się obok ciebie. Na razie poczytam jeszcze, dopóki nie ogarnie mnie senność. Niełatwo teraz zasypiam.

- Bardzo mi przykro, że cię zbudziłem.

- Idź spać.

- Bardzo niemile zaskoczyła mnie wiadomość o rozwodzie Numantyny. Nic o tym nie wiedziałem. Dopiero przed chwilą powiedział mi jeden z wyzwoleńców.

- Idź spać i przestań gadać.

- Dobranoc, Urganillo. Doprawdy jest mi bardzo...

- Stul pysk! - Z tymi słowy zaciągnęła kotarę nad łóżkiem. Choć byłem nieprzytomny ze znużenia i powieki mi się kleiły, czyniłem nadludzkie wysiłki, żeby nie zasnąć. Byłem przekonany, że Urganilla tylko czeka, aż zasnę, żeby mnie zadusić. Na razie czytała jakieś greckie romansidło najpodlejszego gatunku, szeleszcząc pergaminem i sylabizując z wolna półgłosem:

- "O mło-dzień-cze - rze-kła o-na - sko-szto-wa-łeś te-raz mio-du i żół-ci za-ra-zem, bacz, by sło-dycz dzi-siej-szej roz-ko-szy nie prze-mie-ni-ła się ju-tro w go-rycz ża-lu. Fi - od-po-wie-dzia-łem. - U-mi-ło-wa-na, je-śli dasz mi je-szcze je-den ta-ki po-ca-łu-nek, to po-zwo-lę u-piec się na wol-nym og-niu jak kur-czę lub kac-ka."

Zachichotała i rzekła na głos:

- Spij, mężu. Nie pójdę do łóżka, aż usłyszę twoje chrapanie.

- Jak mogę zasnąć, kiedy czytasz takie podniecające historie?

Po pewnym czasie usłyszałem, że Plaucjusz udaje się na spoczynek."O nieba! - pomyślałem. - Za parę minut zaśnie, a wtedy przez dwoje drzwi nie usłyszy nawet mojego krzyku, kiedy Urganilla będzie mnie dusić."

Dotychczas jej mruczenie i szelest pergaminu pomagały mi w walce z sennością, ale kiedy przestała czytać, poczułem, że senność bierze górę, i wkrótce zasnąłem.

Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że powinienem się obudzić. Wytężyłem wszystkie siły i wreszcie udało mi się ocknąć. Usłyszałem jakiś stuk i równocześnie szelest papieru: to książka spadła ze stołu na ziemię. Lampa zgasła. Poczułem silny przeciąg. Widać drzwi musiały być otwarte.

Słuchałem uważnie przez jakieś trzy minuty. Urganilli na pewno nie było w pokoju.

Zacząłem się zastanawiać, co powinienem zrobić, kiedy nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk - całkiem z bliska. Jakaś kobieta krzyczała: "Daruj! Daruj! Ach, to zemsta Numantyny!"

O! O!” Potem jakby jakiś ciężki metalowy przedmiot upadł na ziemię, brzęk stłuczonego szkła, znowu krzyk, daleki łomot i szybkie kroki w korytarzu. Ktoś wpadł do mego pokoju, cicho zamknął i zaryglował drzwi. Poznałem ciężki oddech Urgulanilli. Zdjęła ubranie, położyła je na krzeselku i wsunęła się do łóżka. Udawałem, że śpię. Namacała w ciemności moje gardło. Niby na wpół rozbudzony mruknąłem:

- Daj spokój. Nie łachocz. Będę jutro w Rzymie, to ci kupię perfum - a potem bardziej przytomnym głosem: - Czy to ty, Urgulanillo? Co to za hałas? Która godzina? Jak długo spaliśmy?

- Nie wiem - mruknęła. - Ja spałam chyba ze trzy godziny. Zaraz będzie dniało.

Coś się musiało stać. Chodźmy zobaczyć.

Ubraliśmy się czym prędzej i otworzyliśmy drzwi. Plaucjusz, okryty jedynie kołdrą, stał w środku wzburzonej gromady ludzi trzymających pochodnie.

- Ja tego nie zrobiłem - powtarzał nieprzytomnym głosem. - Ja spałem. Nagle poczułem, że ją ktoś wyrywa z mych ramion, unosi w powietrze. Potem usłyszałem jakiś łomot, jakiś brzęk, jakby wyleciała oknem. Było ciemno, choć oko wykol.

Krzyczała: ”Daruj!

To zemsta Numantyny!”

- Opowiesz tę bajeczkę sędziom - rzekł brat Apronii, który właśnie nadszedł. - Zobaczymy, czy ci uwierzą. Toś ty ją zabił! Ma roztrzaskaną głowę.

- To nie ja! - bronił się Plaucjusz. - Jak ja ją mogłem zabić? Przecież spałem.

To czary. Numantyna musi być czarownicą.

Z rana ojciec Apronii zaprowadził go do Tyberiusza. Cesarz zarządził drobiazgowe śledztwo. Plaucjusz zeznawał teraz, że spał w najlepsze, kiedy Apronia nagle wyrwała mu się z objęć i z krzykiem wyskoczyła przez okno na

dziedziniec. Tyberiusz kazał Plaucjuszowi zaprowadzić się na miejsce wypadku. W sypialni zwrócił jego uwagę przede wszystkim piękny świecznik ze złota i brązu, ongiś znaleziony w grobie jakiejś królowej egipskiej.

Świecznik ten - ślubny prezent Tyberiusza, zwisający poprzednio z sufitu - leżał teraz złamany na podłodze. Cesarz obejrzał go dokładnie.

- Widać morderca porwał ją na ręce i niósł - zauważył. Wtedy uczepiła się po drodze świecznika i zerwała go. Spójrzcie tylko, jak wysoko w oknie wybita jest szyba.

Apronia nie wyskoczyła sama, lecz została wyrzucona.

- To czary - upierał się Plaucjusz. - Jakaś niewidzialna siła porwała Apronię w górę.

Słyszałem, jak krzyczała i oskarżała moją poprzednią żonę, Numantynę.

Tyberiusz zaśmiał się ironicznie. Przyjaciele Plaucjusza zrozumieli, że grozi mu skazanie za morderstwo i konfiskata majątku. Urgulania przysłała wnukowi sztylet, zaznaczając równocześnie, żeby miał na względzie swoich spadkobierców; jeśli uprzedzi wyrok dobrowolnym samobójstwem, będą mogli objąć po nim spadek. Ale Plaucjusz był tchórzem i zabrakło mu odwagi, by samemu pozbawić się życia. Wreszcie polecił chirurgowi otworzyć sobie żyły w kąpielni i tak bezboleśnie umarł z upływu krwi. Śmierć jego wywarła na mnie wrażenie bardzo przygnębiające. Nie zdecydowałem się od razu oskarżyć Urgulanilli o morderstwo, gdyż zapytano by mnie, dlaczego usłyszawszy krzyk nie biegłem ratować Apronii. Postanowiłem zaczekać do rozprawy i złożyć zeznania tylko w tym razie, gdyby oskarżonemu groziło skazanie. O przysłaniu sztyletu dowiedziałem się dopiero po samobójstwie. Na pociechę mówiłem sobie, że Plaucjusz przecież nie miał żadnych względów dla Numantyny, a mnie nigdy nie okazał najmniejszej życzliwości.

Brat Plaucjusza, chcąc oczyścić z zarzutów jego pamięć, wytoczył proces Numantynie. Oskarżył ją, że czarami doprowadziła męża do obłądu. Lecz Tyberiusz oświadczył, że jest pewne, iż Plaucjusz był owego dnia przy

zdrowych zmysłach.

Numantynę uniewinniono.

Od owej nocy nie zamieniliśmy z Urgulanillą ani słowa. W miesiąc później Sejan, przejeżdżając przez Kapuę, niespodzianie złożył mi wizytę. Jak się okazało, towarzyszył Tyberiuszowi, który na Capri, wyspie położonej niedaleko Neapolu, miał dwanaście will i często spędzał tam wywczasy.

- Teraz możesz już się rozwieść z Urgulanillą - rzekł Sejan. - Szpiedzy moi donoszą, że za jakieś pięć miesięcy spodziewa się dziecka. Podziękuj mi, moja to zasługa.

Wiedziałem o jej zaślepionej miłości, a przypadkowo znalazłem niewolnika greckiego tak podobnego do Numantyny, jakby był jej bratem bliźniakiem. Zrobiłem z niego prezent Urgulanilli i zakochała się z miejsca. Nazywa się Boter.

Cóż miałem robić? Oczywiście podziękowałem.

- A któż teraz ma być moją żoną? - spytałem.

- A! Pamiętasz naszą rozmowę? Kobieta, którą wtedy miałem na myśli, to moja przyrodnia siostra Elia. Znasz ją, oczywiście?

Znałem. Nie dając poznać po sobie rozczarowania spytałem tylko, czy kobieta tak młoda, piękna i inteligentna zgodzi się wyjść za mąż za kuternege, jąkałę i starego wariata w jednej osobie.

- Ach - odrzekł z brutalną otwartością - to jest jej obojętne. Wyjdzie za mąż za siostrzeńca Tyberiusza, a stryja Nerona. O to tylko jej chodzi. Nie wyobrażaj sobie, że jest w tobie zakochana. Może się przemóc i mieć z tobą dziecko ze względu na splendor rodu, ale co do uczucia...

- Pomijając zaszczyt zostania twym szwagrem, nie widzę, co zyskałbym na rozwodzie z Urgulanillą - rzekłem.

- Ach, dasz sobie radę - zaśmiał się. - Przecież i teraz nie pędzisz samotnego życia.

Wystarczy spojrzeć po pokoju, żeby dojść do przekonania, że w tym

domu musi przebywać jakaś kobieta. Rękawiczki, lusterko, krosienka, bomboniera, pięknie ułożone kwiaty... Ale Elia nie będzie zazdrosna. Prawdopodobnie też ma swoich przyjaciół... Zresztą, nie wtrącam się w jej prywatne sprawy.

- A więc dobrze, zgadzam się.

- Nie mówisz tego zbyt wdzięcznym tonem.

- Nie jestem niewdzięczny. Przyznaję, że nie szczydziłeś dla mnie trudu, i nie wiem, jak mam ci podziękować. Jestem po prostu zakłopotany. O ile wiem, Elia jest nastrojona dość krytycznie - jeśli mnie rozumiesz?

Wybuchnął śmiechem.

- Języczek rzeczywiście ma ostry jak żądło. Ale prawdopodobnie jesteś zahartowany na docinki. Matka dała ci dobrą szkołę, co?

- Mimo wszystko mam wciąż pod pewnymi względami delikatną skórę.

- No, dobrze. Ale ja muszę już ruszać. Tyberiusz na pewno dziwi się, gdzie zniknąłem.

A więc: interes ubity, co?

- Tak, i serdeczne dzięki.

- Nie ma za co. Ale tak nawiasem mówiąc, to tę biedną Apronię zabiła Urgulanillą, nieprawdaż? Poniekąd byłem przygotowany na tę tragiczną historię. Twoja żona dostała list od Numantyny z prośbą o pomszczenie jej krzywdy. Ale w rzeczywistości Numantyna nigdy nie pisała tego listu. Rozumiesz?

- Nic o tym nie wiem. Spałem jak suseł.

- Podobnie jak Plaucjusz?

- Jeszcze mocniej.

- Rozsądny chłopiec z ciebie. No, bywaj zdrów, Klaudiuszu!

- Bywaj zdrów, Eliuszu Sejanie.

Tak więc rozwiódłem się z Urgulanillą, wpierw jednak napisałem do Liwii z prośbą o pozwolenie. Udzieliła mi go, zastrzegając się tylko, że dziecko ma być zaraz po przyjściu na świat usunięte... Było to również życzeniem

Urgulanilli.

Posłałem więc do Herkulanum zaufanego wyzwolenca, który zawiadomił Urgulanillę o zleceniu Liwii. Równocześnie ostrzegł ją, że jeśli chce uratować dziecku życie, musi je zaraz po urodzeniu wymienić na martwe niemowlę, które w myśl instrukcji zostanie porzucone gdzieś na odludziu. Tak więc dziecko - była to dziewczynka - zostało uratowane i chowało się u ludzi, którzy dostarczyli Urgulanilli zwłok swego własnego dziecka. Później Urgulanillą wzięła córkę do siebie. Kiedy dziewczynka wyrosła, miała do złudzenia przypominać Numantynę. Co się stało z Boterem, nie wiem. Urgulanillą od wielu lat już nie żyje. Kiedy umarła, musiano rozwalić ścianę domu, aby wynieść jej zwłoki. Ale nie myślcie przypadkiem, że umarła na wodną puchlinę; bynajmniej, po prostu tak się w czasie choroby roztyła. W testamencie jej znaleziono ciekawą uwagę: "Niech sobie ludzie gadają, co chcą, a Klaudiusz wcale nie jest głupi." Zapisała mi kolekcję greckich kamei, perskie hafty i portret Numantyny.

ROZDZIAŁ XXIV

25 r. n.e.

Tyberiusz przestał się zupełnie widywać z Liwią. Czuł się obrażony, gdyż ofiarowując Augustowi posąg od nich obojga, kazała swoje imię umieścić na pierwszym miejscu.

Odwdzięczył się jej za to z nawiązką: kiedy przybyli posłowie z Hiszpanii, prosząc, nie aby pozwolił wznieść świątynię ku czci swojej i matki, odmówił kategorycznie.

Wyznał, że - zapewne w chwili słabości - zezwolił na poświęcenie w Azji świątyni senatowi i jego pierwszemu członkowi (to znaczy sobie) - jako symbolom ojcowskich rządów Rzymu. Wymieniono też w dedykacji imię jego matki jako arcykapłanki kultu Augusta. Ale pozwolenie na deifikację jego i Liwii byłoby zbyt dużym pofolgowaniem własnej próżności.

- Co do mnie, czcigodni mężowie - oświadczył w senacie - zwykłego śmiertelnika związanego pętami natury ludzkiej, to, że zasiadam między wami na najpierwszym miejscu ku waszemu zadowoleniu - jeśli tak jest rzeczywiście - wystarcza mi całkowicie, o czym zapewniam was solennie. Wolałbym, aby potomność takim mnie pamiętała; jeśli osądzi mnie godnym moich przodków, wiernym waszemu dobru, nieustraszonym wobec niebezpieczeństw i w obronie interesów ogółu, nieulekłym wobec osobistych nieprzyjaciół, będę zadowolony. Wdzięczność czcigodnego senatu, ludu rzymskiego i naszych sprzymierzeńców będzie dla mnie najpiękniejszą świątynią, świątynią nie marmurową, ale trwalszą niż marmurowa, świątynią serca. Świątynie marmurowe czeka zapomnienie i wzgarda niczym grobowce, kiedy osoby, ku których czci zostały wzniesione, okryją się niesławą. Błagam bogów, aby zesłali mi dar spokojnego sumienia aż do końca moich dni i zdolność jasnego sądu przy spełnianiu obowiązków świeckich i kapłańskich.

Zwracam się również z prośbą do wszystkich obywateli rzymskich i sprzymierzeńców, aby uczcili moje życie i czyny (jeżeli będą tego warte) wdzięcznością i sławą w swych sercach, a nie zewnętrzną pompą, wznoszeniem świątyń i dorocznymi ofiarami. Szczerą miłość Rzymu do mego ojca Augusta, kiedy jeszcze przebywał wśród nas w ludzkiej swej postaci, przyćmił obecnie lęk wzbudzony jego boskim majestatem wśród bogobojnych wyznawców i zbrukały niewybredne, żerujące na jego imieniu przekleństwa uliczne. A skoro już mówimy o tym przedmiocie, proponuję, abyśmy uznali za przestępstwo kryminalne wymienianie świętego imienia Augusta przy innych niż uroczyste okazjach i przestrzegali surowo tego prawa.

Ani słowa przy tym, co Liwia myśli o tej sprawie.

Poprzedniego dnia nie mianował jednego z jej protegowanych na wakujące stanowisko sędziego, dopóki nie naświetlił tej nominacji następująco:

- Człowieka tego wybrała matka moja, Liwia Augusta, która tak mi się naprzykrzała w jego sprawie, że musiałem ustąpić wbrew mojej dobrej znajomości jego charakteru i uzdolnień.

Wkrótce potem Liwia zaprosiła do siebie wszystkie niewiasty z możliwych rodów rzymskich. Było to przyjęcie na wielką skalę, urozmaicone wieloma atrakcjami.

Żonglerzy i akrobaci popisywali się swymi sztuczkami, poeci recytowali wiersze, podawano niezwykle smakołyki, słodczyce i napoje, a każda z niewiast otrzymała piękny klejnot na pamiątkę. Na zakończenie Liwia odczytała szereg listów Augusta. Miała teraz już osiemdziesiąt trzy lata, głos jej osłabł i dźwięk "s" wymawiała z charakterystycznym poświstem, ale całe audytorium słuchało przez półtorej godziny jak urzeczone. W pierwszym z tych listów August roztrząsał różne zagadnienia polityki państwowej i słuchacze odnieśli wrażenie, jakby przestrzegał przed stosowanym teraz przez Tyberiusza systemem rządów. Szczególnie aktualne były uwagi dotyczące procesów o zbrodnię stanu:

„Chociaż uważam za swój obowiązek bronić się na drodze sądowej

przeciw różnego rodzaju kalumniom, to przyznam ci się, droga Liwio, że za wszelką cenę rad bym uniknąć tak niesmacznego widowiska, jak proces o zbrodnię stanu wytoczony jakiemuś zwariowanemu historykowi, karykaturzyście czy satyrykowi, który wziął mnie za cel swych dowcipów czy swego krasomówczego popisu. Mój ojciec Juliusz Cezar wybaczył poecie Katullowi najohydniejsze paszkwile. Napisał do niego, że jeśli chciał się przeciwstawić kolegom po piórze, zawodowo uprawiającym pochlebstwo, i dowieść niezależności swej myśli, to cel ten osiągnął już w całej pełni; może teraz śmiało powrócić do tematów poetyczniejszych niż seksualne perwersje pewnego starego męża stanu. W tym samym liście zaprosił Katulla na obiad, dodając, że miło mu będzie, jeśli się zjawi w towarzystwie któregoś ze swych przyjaciół. Poeta zaproszenie przyjął i odtąd między nim a Cezarem zapanowała serdeczna przyjaźń. Wzywać majestat prawa dla pomszczenia drobnych złościwości, jakie nam ludzie wyrządzają, to przyznawać się publicznie do słabości, tchórzostwa i małostkowości.”

Dalej był znowu ustęp o donosicielach:

„Jeżeli nie mam przeświadczenia, że osoba prywatna, donosząc o czyimś występku, działa wyłącznie z pobudek patriotycznych i nie spodziewa się ze swego oskarżenia wyciągnąć żadnych bezpośrednich czy pośrednich korzyści, nie tylko nie przywiązuję do doniesienia wagi, lecz piętnuję je jako podłość, a donosicielowi nie powierzam żadnego urzędu, jako człowiekowi nie zasługującemu na moje zaufanie...”

Liwia z okresu pięćdziesięciodwuletniego pożycia z Augustem posiadała dziesiątki tysięcy jego listów; wszystkie były starannie opracowane, a dokładne indeksy treści umożliwiały orientację w tym zbiorze. Na owo przyjęcie cesarzowa wybrała piętnaście najbardziej kompromitujących syna listów i odczytała je w porządku chronologicznym.

August narzekał na niegrzeczne zachowanie Tyberiusza jako małego chłopca; na niechęć, jaką później budził w swych kolegach szkolnych; na

skłonność do burd i pyszałkowatość lat młodzieńczych. Każdy z listów zdradzał rosnące rozdrażnienie; często powtarzało się zdanie:

„Gdyby nie wzgląd na to, że jest to twój syn, kochana Liwio...” Dalej August ostro krytykował brutalne obchodzenie się mego stryja z żołnierzami.”To jest po prostu prowokowanie ich do buntu” - stwierdzał; narzekał na przewlekanie wojny i unikanie decydującej bitwy, a przy tej sposobności porównywał Tyberiusza z mym ojcem, którego metody walki stawiał znacznie wyżej. W innym liście z odrazą odrzucał myśl oddania pasierbowi ręki córki i wyliczał całą litanię jego wad. Wiele listów dotyczyło tragicznej historii Julii: August w dobitnych słowach dawał upust swemu wstrętowi i nienawiści do zięcia. Liwia odczytała pewien ważny list napisany przed odwołaniem Tyberiusza z Rodos.

„Najdroższa Liwio!

Z okazji czterdziestej drugiej rocznicy naszego ślubu pragnę ci z całego serca podziękować za nadzwyczajne twoje usługi wyświadczone państwu od czasu, kiedy połączyliśmy nasze siły. Skoro ja zostałem mianowany Ojcem Ojczyzny, byłoby nonsensem, gdyby tobie nie przyznano tytułu Matki Ojczyzny. Przysięgnę, że twój udział w naszym wielkim dziele odbudowy państwa jest dwa razy większy niż mój, dlatego więc każesz mi czekać jeszcze lat parę, zanim będzie mi wolno zwrócić się do senatu o uchwalenie dla ciebie tego tytułu? Jedyłą, jaka mi pozostaje, sposobnością, aby ci okazać moją niezachwianą wiarę w bezinteresowną lojalność i głębię twego sądu, jest usłuchać nareszcie tylokrotnie powtarzanej przez ciebie prośby o odwołanie Tyberiusza; przyznaję, że do charakteru tego człowieka w dalszym ciągu mam największą odrazę, i proszę bogów, aby ustąpienie twej prośbie nie spowodowało długotrwałego zła na Rzeczpospolitą.”

W ostatnim liście datowanym na rok przed śmiercią pisał:

„Rozmawiałem wczoraj z Tyberiuszem na temat polityki. W pewnym momencie ogarnęły mnie żal i rozpacz, kiedy pomyślałem, że lud rzymski

będzie skazany na oglądanie tych wylupiastych oczu, będzie bity tymi kościstymi łapskami, żuty tymi ciężkimi szczękami i deptany tymi masywnymi stęporami. Zapomniałem, że przecież zostajesz jeszcze ty, najdroższa, i Germanik. Gdybym nie miał nadziei, że oboje będziecie kierować wszystkimi politycznymi poczynaniami twego syna, a jemu samemu jakieś poczucie wstydu każe choć w części brać przykład z Germanika, to przysięgam ci, jeszcze dziś wydziedziczyłbym Tyberiusza i zażądałbym od senatu odebrania mu wszystkich godności i zaszczytów.

To nie jest człowiek, ale bestia, nad którą ciągle ktoś musi stać z batem w ręku.”

Liwia, skończywszy czytać, wstała i rzekła do zebranych: - Może najlepiej będzie, moje drogie, jeżeli waszym mężom nie wspomnicie o tych dziwnych listach. Kiedy zaczynałam czytać, sama nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia są one dziwne.

Proszę was o dyskrecję nie ze względu na moją osobę, ale w interesie państwa.

Tyberiusz otwierał właśnie sesję senatu, kiedy Sejan przyniósł mu wiadomość o tym zdarzeniu. Cesarza ogarnęły równocześnie wstyd, wściekłość i niepokój. Tegoż popołudnia miała być rozpatrywana sprawa kapłana Lentula oskarżonego o zbrodnię stanu. W modłach o pomyślność dla cesarza zamieścił, zresztą za przykładem innych swych kolegów, imiona Nerona i Druzusa jako ewentualnych następców Tyberiusza. Głosował też za złagodzeniem wyroku na Sojgę. Lentul był to zacny staruszek, cieszący się ogólnym poważaniem zarówno ze względu na swe pochodzenie, jak i zwycięstwa odniesione za czasów Augusta w Afryce.

Odnaczał się niezwykłą łagodnością, dzięki której zyskał przydomek Jagnięcia.

Teraz, usłyszawszy, że oskarżają go o zbrodnię stanu, wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

Tyberiusz, zdenerwowany otrzymaną od Sejana wiadomością, stracił panowanie nad sobą i z płaczem prawie zwrócił się do senatorów:

- Jeżeli nawet Lentul mnie nie cierpi, to w ogóle nie mam już po co żyć!

Na to wstał Gallus:

- Uspokój się więc, wasza ce... Och, przepraszam! Zapomniałem, że nie lubisz tego tytułu. A więc uspokój się, Tyberiuszu Cezarze. Lentul nie z ciebie się śmieje.

On śmieje się razem z tobą. Razem z tobą się cieszy, że wreszcie słyszymy skargę o zbrodnię stanu, która jest najzupełniej bezpodstawna.

Sprawa Lentula została umorzona. Lecz Tyberiusz już przedtem stał się winny śmierci ojca Lentula. Był on bardzo bogaty i zląkszy się podejrzeń Tyberiusza, popełnił samobójstwo zapisując cały swój majątek cesarzowi w dowód lojalności. Dlatego Tyberiuszowi trudno było wierzyć, że Lentul, bardzo przez to ubogi, nie żywił do niego urazy.

Po opisanym wyżej przyjęciu u Liwii Tyberiusz przez dwa miesiące nie pokazał się w senacie. Nie mógł patrzeć w oczy senatorom, którym żony - był o tym głęboko przekonany - powtórzyły dokładnie treść listów Augusta. Sejan podsunął cesarzowi myśl opuszczenia Rzymu i zamieszkania w jednej z willi cesarskich położonych kilka mil od stolicy.

Pobył na wsi, z dala od zgiełku miasta, od tłumy suplikantów przewijających się dzień w dzień przez pałacowe pokoje, wywrze niewątpliwie - twierdził - dodatni wpływ na cesarskie zdrowie.

Tyberiusz posłuchał tej rady.

W stosunku do matki chwycił się metody ignorowania: pomijał więc imię Liwii na dokumentach urzędowych, zaprzestał obchodzić uroczyste jej urodziny i dał do zrozumienia, że łączenie jej imienia z jego albo jakiegokolwiek oficjalne wyróżnianie cesarzowej wdowy będzie uważał niemal za obrazę majestatu. Na bardziej aktywny odwet brakło mu odwagi.

Wiedział, że w posiadaniu Liwii znajduje się list, pisany przez niego

swego czasu z Rodos, w którym obiecuje matce bezwzględne posłuszeństwo do końca życia, i wiedział, że Liwia jest zdolna do opublikowania tego pisma, choćby się sama miała w ten sposób narazić na oskarżenie o zamordowanie Gajusza i Lucjusza.

Tymczasem ta przedziwna kobieta mimo podeszłego wieku wcale nie miała zamiaru dawać za wygraną. Pewnego dnia otrzymałem od niej bilecik: "Cesarzowa Liwia Augusta ma nadzieję, że kochany wnuk jej, Tyberiusz Klaudiusz, cieszy się dobrym zdrowiem i że go zobaczy u siebie na obiedzie w dniu swych urodzin." Nie mogłem się połapać, o co chodzi. Ja jej kochanym wnukiem?! I ta troskliwość o stan mego zdrowia! Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy niepokoić. Nigdy nie pozwoliła mi odwiedzić się w dniu urodzin. Nigdy nie jadłem z nią obiadu. Z wyjątkiem liturgicznych formułek w dniu święta Augusta nie zamieniłem z nią od dziesięciu lat ani jednego słowa. Jakież mogła mieć teraz zamiary? Miałem się o tym dowiedzieć za trzy dni, na razie trzeba było pomyśleć o kupieniu jakiegoś rzeczywiście wspaniałego prezentu. Wreszcie znalazłem coś, co, jak byłem przekonany, powinno spotkać się z jej strony z uznaniem. Była to brązowa, bardzo szlachetna w linii waza na wino z uchami w kształcie węzowych łbów, inkrustowana srebrnymi i złotymi blaszkami, które tworzyły skomplikowany ornament. Nie umywały się do tej roboty korynckie wazy, za które dzisiejsi zbieracze płacą tak kolosalne sumy. Waza ta pochodziła z Chin! W samym środku inkrustacji znajdował się medalion z wizerunkiem Augusta, który jakimś cudem zawędrował do tego dalekiego kraju. Waza ta, mając zaledwie stopę wysokości, kosztowała mnie pięćset sztuk złota.

Zanim jednak opowiem o wizycie u Liwii i długiej rozmowie, jaką z nią miałem, chciałbym wyjaśnić wpierw pewne ewentualne nieporozumienie. Na podstawie bowiem opisanych przeze mnie procesów o zbrodni stanu i tym podobnych dowodów okrucieństwa mógłby ktoś z czytelników dojść do przekonania, że panowanie Tyberiusza było pod każdym względem nieudolne.

Byłby to jednak wniosek niesłuszny. Wprawdzie z własnej inicjatywy nie dokonał żadnych wiekopomnych czynów, ale nie dał upaść dziełu Augusta, prowadził je w dalszym ciągu, umacniał, realizował niejedną z zapoczątkowanych przez tamtego reform.

Dbął o dobry stan armii i floty, płacił urzędnikom regularnie i wymagał od nich dokładnych raportów cztery razy do roku, popierał handel, zapewnił regularny dowóz zboża do Italii, utrzymywał w porządku gościńce i akwedukty, ukrócił rozrzutność osób prywatnych i rozrzutność w urządzaniu uroczystości państwowych, wytępił piratów i bandytów, ustalił ceny, zgromadził w skarbie państwa znaczne zapasy złota. Zarządców prowincji, jeśli okazali się uczciwi i mądrzy, nie odwoływał przez całe lata, aby nie zakłócać porządku, chociaż zawsze ich bardzo kontrolował. Kiedy raz jeden z namiestników prowincji z nadmiaru służalczej gorliwości przesłał do Rzymu większą sumę podatków, niż cesarz wyznaczył, Tyberiusz udzielił mu surowej nagany. ”Życzę sobie - oświadczył - aby moje owce były strzyżone, a nie golone.”

W rezultacie po załatwieniu kwestii niemieckiej zaproszeniem Maroboduusa do Rzymu i po śmierci Hermana niewiele zdarzyło się wojen na granicach. Takfarinas był największym wrogiem. Przez długi czas zwano go ”Rozdawcą laurów”, gdyż trzech generałowie - mój przyjaciel Furiusz, Aproniusz, ojciec Apronii, i trzeci - Blezus, wuj Sejana, jeden po drugim zadawali mu klęski i przyznawano im za to odznaki triumfalne.

Blezus, który rozproszył jego armię i wziął do niewoli brata, został wyjątkowo uhonorowany tytułem głównodowodzącego, odznaczeniem przyznawanym wyłącznie członkom rodziny cesarskiej.

Tyberiusz oświadczył senatowi, że szczęśliwy jest mogąc w ten sposób uczcić Blezusa, ponieważ jest on spowinowacony z jego wiernym przyjacielem Sejanem. A kiedy trzy lata później czwarty generał, Dolabella, zakończył definitywnie wojnę afrykańską

(która ze wzmożoną siłą znów wybuchła), nie tylko zadając klęskę

Takfarinasowi, ale zabijając jego samego, przyznano generałowi jedynie odznaki triumfalne, "...aby laury Blezusa, wuja mego wiernego przyjaciela Sejana, nie utraciły swego wyłącznego blasku".

26 r. n.e.

Lecz mówiłem właśnie o dobrych czynach Tyberiusza, a nie o jego słabych stronach.

Rzeczywiście, z punktu widzenia dobra imperium jako całości, przez ostatnie dwanaście lat był on mądrym i sprawiedliwym władcą. Tego nikt mu nie może zaprzeczyć. Wrzód wewnętrzny - jeśli można użyć tego porównania - nie był widoczny na skórze ani nie szkodził zdrowiu całego organizmu. Na pięć milionów rzymskich obywateli zaledwie niewielka liczba dwustu lub trzystu ucierpiała z powodu podejrzliwości Tyberiusza. Niezliczone miliony niewolników, mieszkańców prowincji i sprzymierzeńców, którzy we wszystkim równi byli obywatelom rzymskim oprócz imienia, ciągnęły korzyść z systemu cesarskich rządów, doprowadzonego do perfekcji przez Augusta i Liwie i kontynuowanego przez Tyberiusza. Ale ja, że się tak wyrażę, żyłem wewnątrz owego wrzodu, zatem musicie mi wybaczyć, jeżeli piszę więcej o rdzeniu wrzodu niż o nieposzlakowanej i pachnącej wonnie powierzchni.

Kiedy raz, Klaudiuszu, pozwoliłeś sobie na przenośnię, i to rzadką, to zaraz posuwasz ją za daleko. Z pewnością przypominasz sobie ostrzeżenia Atenodora przed tego rodzaju rzeczą? Nazwij Sejana czerwiem i niech to wystarczy; wróć do swego zwykłego, prostego sposobu pisania!

Sejan postanowił wykorzystać poczucie wstydu Tyberiusza i utrzymać go z dala od stolicy przez więcej niż dwa miesiące. Namówił jednego z oficerów gwardii, aby ten oskarżył sławnego z dowcipu Montana o oczernianie jego prywatnego trybu życia. Podczas gdy dotychczas oskarżycielom nie wolno było w raportach powtarzać innych niż podstawowe niskie cechy Tyberiusza - wyniosłość, okrucieństwo albo panoszenie się - ów oficer posunął się dalej i przypisał Montanowi autorstwo epitetów najbardziej szczegółowo i zasadniczo

określających wady Tyberiusza. Sejan postarał się, aby epitety były równie dosadne, jak odpowiadające istotnym wadom Tyberiusza; Montan, nie wiedząc tak dobrze jak Sejan, co odbywało się na Palatynie, nie mógł ich użyć. Świadek, najlepszy instruktor musztry w gwardii, wywrzeszczał co sił w gardle rzekome grubiaństwa Montana, nie oszczędzając słuchaczom choćby najplugawszych słów czy zdań i nie pozwalając się zakrzyczeć zgorszonym senatorom.

- Przysięgam, że powiem całą prawdę - ryczał - i dla honoru Tyberiusza Cezara nie pominę jednej sylaby z plugawej rozmowy oskarżonego podsłuchanej przeze mnie w rzeczonym dniu i okolicznościach. Oskarżony wówczas powiedział, że nasz czcigodny cesarz szybko staje się impotentem na skutek rzeczonej niewątpliwej rozpusty i rzeczonego nadużycia afrodyzjaków; a w celu zwiększenia swych zanikających możliwości seksualnych urządza co trzy dni mniej więcej prywatne przedstawienia w specjalnie przystosowanym pokoju w podziemiach pałacu. Oskarżony powiedział, że w czasie tych przedstawień aktorki wyskakują po trzech na raz, golusieńczy...

I opowiadał w tym stylu dalej przez pół godziny, a Tyberiusz nie ośmielił się go powstrzymać - może chciał się dowiedzieć po prostu, jak wiele wiadano - aż oficer powiedział o jedno słowo za dużo (mniejsza, co to było). Tyberiusz, zapominając się, podskoczył nagle, purpurowy na twarzy, i oświadczył, że natychmiast oczyści się z tych potwornych zarzutów albo zarządzi prawne dochodzenie. Sejan próbował go uspokoić, ale Tyberiusz stał dalej, gniewnie spoglądając dokoła, aż podniósł się Gallus i łagodnym głosem przypomniał mu, że to Montanus, nie on, jest oskarżonym, że jego prywatne życie jest poza wszelkimi podejrzeniami i że gdyby wieści o mającym nastąpić w tej sprawie dochodzeniu dotarły do prowincji nadgranicznych i państw sprzymierzonych, byłyby całkowicie źle zrozumiane.

Wkrótce potem Trazył ostrzegł cesarza - nie wiem, czy to też zostało zaaranżowane przez Sejana - że niebawem opuści stolicę i że powrót do niej będzie dla niego oznaczał śmierć. Tyberiusz zawiadomił Sejana, że przenosi się

na Capri i pozostawia go w Rzymie, aby tu zajął się wszystkim, czym trzeba. Uczestniczył jeszcze w jednym procesie o zdradę stanu - procesie wytoczonym swojej kuzynce Klaudii Pulchrze, wdowie po Warusie.

Była ona teraz, po wygnaniu Sozji, najlepszą przyjaciółką Agryppiny. Oskarżono ją o cudzołóstwo, kupczenie własnymi córkami i używanie czarów przeciwko Tyberiuszowi. Myślę, że była ona całkiem niewinna. Skoro tylko Agryppina usłyszała o sprawie, udała się spieszenie do pałacu i przypadkowo trafiła na moment, kiedy Tyberiusz składał ofiarę Augustowi.

Zaledwie ceremonia dobiegła końca, podeszła do niego i rzekła:

- Tyberiuszu, postępujesz nielogicznie. Składasz Augustowi w ofierze flamingi i pawie, a prześladujesz jego wnuków.

- Nie rozumiem cię - odpowiedział spokojnie - któregoż to z wnuków Augusta prześladowałem, jeśli on sam siebie nie naraził na prześladowanie?

- Nie mówię o Postumie i Julilli; siebie mam na myśli. Wygnałeś Sozję, gdyż była moją przyjaciółką. Zmusiłeś Syliusza do samobójstwa, gdyż był moim przyjacielem.

Kalpurniusza wygnałeś, ponieważ był moim przyjacielem. A teraz moją drogą Pulchrę czeka ten sam los, chociaż jedynym jej przestępstwem jest nieopatrzna przyjaźń dla mnie. Ludzie zaczynają mnie unikać mówiąc, że przynoszę nieszczęście.

Tyberiusz wziął ją za ramiona i powtórzył:

Czyż, że nie jesteś królową, ma droga, Sądzisz, że krzywda stała ci się sroga?

Wyrok śmierci na Pulchrę został wydany i wykonany. Cesarskim katem był człowiek imieniem Afer, który stanowisko swoje zawdzięczał elokwencji. Parę dni później Agryppina spotkała go przed teatrem. Wyglądał na zawstydzonego i unikał jej wzroku.

Podeszła do niego i rzekła:

- Nie masz powodu ukrywać się przede mną, Aferze.

Następnie, czyniąc odpowiednie zmiany w tekście, zacytowała z Homera wypowiedź Achillesa mającą ośmielić zmieszanych heroldów, którzy przychodzą do niego z upokarzającym posłaniem od Agamemnona.

Zawiadomiono o tym wydarzeniu Tyberiusza (choć nie zrobił tego sam Afer); imię

„Agamemnon” przyprawiło go o nowy atak lęku. Agryppina zachorowała. Myśląc, że została otruta, udała się w lektyce na Palatyn, by po raz drugi błagać Tyberiusza o łaskę. Wyglądała tak mizernie i blado, że Tyberiusz był zachwycony; może wkrótce umrze...

- Droga Agryppino - powiedział - wyglądasz na poważnie chorą. Co ci jest?

Odrzekła słabym głosem:

- Być może, niesłusznie, posądzałam cię, że prześladujesz moich przyjaciół dlatego, że są moimi przyjaciółmi. Możliwe, że nie mam szczęścia w ich wyborze albo że kieruję się zbyt często mylnym sądem. Ale przysięgam, że równie niesłusznie ty mnie posądzasz o najmniejsze uczucie niełojalności albo ambicję rządzenia pośrednio czy bezpośrednio.

Wszystko, czego pragnę, to żeby mnie pozostawiono w spokoju i żebyś mi darował wszystkie krzywdy, jakie ci nieumyślnie wyrządziłam i... i... - zakończyła łkając.

- I co więcej?

- O Tyberiuszu - ciągnęła - bądź dobry dla moich dzieci! Bądź dobry dla mnie.

Pozwól mi po raz drugi wyjść za mąż. Jestem teraz samotna. Od śmierci Germanika nie mogę na chwilę zapomnieć o kłopotach. Nie sypiam po nocach. Jeżeli pozwolisz mi raz jeszcze wyjść za mąż, usatkuje się, uspokoję i będę zupełnie innym człowiekiem, a wtedy może przestaniesz posądzać mnie o spiskowanie przeciw tobie. Jestem pewna, że tylko dlatego myślisz, że chowam do ciebie urazy, ponieważ wyglądam tak nieszczęśliwie.

- Kogo chcesz poślubić? - spytał Tyberiusz.

- Jest to dobry, szlachetny i skromny człowiek; przekroczył już średni wiek i jest jednym z twoich najzdolniejszych ministrów.

- Jak się nazywa?

- Gallus. Powiada on, że gotów mnie poślubić choćby dziś.

Tyberiusz odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju bez jednego słowa. Kilka dni później zaprosił Agryppinę na obiad. Często zwykł zapraszać na ucztę ludzi, którym szczególnie nie ufał, i podczas posiłku przypatrywał się im, jak gdyby starając się odczytać ich sekretne myśli; z wyjątkiem kilku, wszyscy tracili panowanie nad sobą pod wpływem tego spojrzenia. Jeżeli dawali poznać po sobie zaniepokojenie, rozumiał to jako dowód winy.

Jeżeli spokojnie patrzyli mu w oczy, rozumiał to jako jeszcze pewniejszy dowód winy i na dodatek bezczelność. Jeżeli chodzi o Agryppinę, która była jeszcze chora i najłżejsze potrawy przyprawiały ją o mdłości, przeżyła pożałowania godne chwile pod natarczywym spojrzeniem Tyberiusza. Z natury nie była nazbyt rozmowna, a w dodatku mówiono podczas uczt o wspólnych urokach muzyki i filozofii, co jej w najmniejszym stopniu nie interesowało, toteż absolutnie nic nie potrafiła wtrącić do rozmowy. Udawała, że je, ale Tyberiusz, który ją uważnie obserwował, spostrzegł, że odsyła talerz za talerzem, nie tknięte.

Sądził, że Agryppina podejrzewa go o usiłowanie otrucia, i aby to sprawdzić, starannie wybrał jabłko z patery stojącej przed nim i rzekł:

- Droga Agryppino, nie skorzystałaś wiele z obiadu. Spróbuj chociaż tego jabłka, patrz, jakie piękne. Przed trzema laty król Fartów podarował mi młode jabłonki i w tym roku po raz pierwszy owocowały.

Otóż prawie każdy ma swego "naturalnego nieprzyjaciela" - jeśli można to tak nazwać.

Dla niektórych miód jest gwałtowną trucizną. Innym szkodzi dotknięcie konia, wejście do stajni albo nawet położenie się na sofie wypchanej końskim

włosiem. Jeszcze inni doznają najnieprzyjemniejszych wrażeń w obecności kota i zdarza się, że wszedłszy do jakiegoś pokoju mówią: "Proszę mi wybaczyć, ale wyjdę stąd, tu był kot." Ja sam odczuwam przemożny wstręt, kiedy poczuję zapach kwitnącego głogu."Naturalnym wrogiem"

Agryppiny było jabłko. Wzięła owoc od Tyberiusza i podziękowała mu, ale uczyniła to ze źle ukrywanym dreszczem odrazy, powiedziała też, że zatrzyma jabłko, jeśli on nie ma nic przeciwko temu, i zje po powrocie do domu.

- Ugryź choć raz - powiedział Tyberiusz - spróbuj, jakie jest smaczne.

- Wybacz mi, proszę, ale naprawdę nie mogę - odrzekła i podawszy jabłko służącemu kazała zawinąć je starannie w serwetkę.

Dlaczego Tyberiusz natychmiast nie oskarżył jej o zdradę, jak usilnie doradzał Sejan?

Nie uczynił tego, gdyż Agryppina pozostawała ciągle pod protekcją Liwii.

ROZDZIAŁ XXV

Wracajmy jednak do Liwii. Przyjęła mnie bardzo uprzejmie i zdawała się być zupełnie szczerze zachwycona podarkiem. Przy obiedzie towarzyszyli nam tylko stara Urgulania i Kaligula. Był to w tym czasie szczupły czternastoletni chłopiec o bladej, nieczystej cerze i podkrążonych oczach. Liwia zdumiała mnie bystrością umysłu i świetną pamięcią.

Zapytany o moją pracę historyczną rozgadałem się na temat pierwszej wojny punickiej i przy tej sposobności wykazałem niedokładność kilku podanych przez poetę Newiusza (który brał w niej udział) szczegółów. Liwia przyznała mi rację, lecz w jednym wypadku wytknęła mi nieścisłość w zacytowanym zdaniu.

- Powinieneś być jednak wdzięczny - zauważyła nagle - że nie pozwoliłam ci dokończyć biografii twego ojca. Czy przypuszczasz, że gdybym ci była wtedy nie przeszkodziła, jadłbyś dzisiaj ten obiad?

Ilekróć usługujący niewolnik nalał mi wina, wychylałem za każdym razem kielich do dna. Po dziesięciu czy dwunastu pucharkach czułem się odważny jak lew. Odparłem więc śmiało:

- Jestem ci bardzo wdzięczny, babko, że mogę pędzić bezpieczne życie wśród Kartagińczyków i Etrusków. Lecz czy nie byłabyś łaskawa powiedzieć, dlaczego dzisiaj jem tu obiad?

Zaśmiała się.

- Przyznaję, że twoja obecność przy stole zawsze sprawia mi pewnego rodzaju...

Ale wybacz, nie ma o czym mówić. Jeżeli postąpiłam dziś wbrew jednemu z najstarszych swoich zwyczajów, to jest moja sprawa, a nie twoja. Czy mnie nie lubisz, Klaudiuszu?

Mów szczerze!

- Tak jak ty mnie, babko.

(Czyżby to był mój własny głos mówiący te słowa?!)

Kaligula zachichotał. Urgulania zarechotała, Liwia wybuchnęła śmiechem.

- To rzeczywiście dość szczerze! Ale czyś zauważył tego potwora? Podczas całego obiadu zachowywał się niezwykle spokojnie.

- O kim mówisz, babko?

- O twoim bratanku.

- Dlaczego nazywasz go potworem?

- Nie udawaj, że nie wiesz. No co, Kaligulo, jesteś potworem?

- Skoro babcia tak uważa... - odrzekł ze spuszczonej oczyma. - Otóż słuchaj, Klaudiuszu! Ten potwór, ten twój bratanek będzie następnym cesarzem.

Myślałem, że żartuje, więc odpowiedziałem z uśmiechem:

- Skoro tak mówisz, babko, to niewątpliwie tak będzie. Ale jakie ma szansę? Jest najmłodszy z rodziny i chociaż dał dowody nieprzeciętnych wrodzonych zdolności...

- To nie zrównoważą one szans Liwilli i Sejana. To chciałeś powiedzieć?

Byłem zdumiony jej otwartością.

- Nie przyszło mi to na myśl - odrzekłem. - Nie zajmuję się problemami wyższej polityki. Uważałem tylko, że Kaligula jest za młody, o wiele za młody, żeby zostać cesarzem.

Wziąłem więc twoje słowa za proroctwo na daleki dystans.

- O, bynajmniej, Tyberiusz mianuje go swym następcą. Co do tego nie ma wątpliwości. Dlaczego? Bo tego rodzaju postępek będzie całkiem zgodny z naturą Tyberiusza. Jest on, podobnie jak mój biedny mąż August, uosobieniem próżności.

Nie może ścierpieć myśli, że jego następcą cieszyłby się większą popularnością niż on sam.

Równocześnie jednak robi wszystko, co może, aby budzić do siebie

nienawiść i lęk. Kiedy więc zacznie przeczuwać nadchodzący koniec, poszuka sobie następcy chociaż odrobinę gorszego od siebie. I znajdzie Kaligulę. Kaligula już dzisiaj ma na sumieniu czyn, którego występności Tyberiusz nigdy nie prześcignie.

- Babciu... - błagalnie zaprotestował Kaligula.

- Nic się nie bój, potworku. Twoja tajemnica jest dopóty bezpieczna, dopóki dobrze się będziesz sprawować.

- Czy Urgulania o niej nie wie? - spytałem.

- Nie. To jest tajemnica między potworem a mną.

- Przyznał ci się dobrowolnie?

- Och, nie. On nie należy do tych, którzy się przyznają. Odkryłam przypadkiem.

Pewnej nocy przeprowadziłam rewizję w jego sypialni, chcąc się przekonać, czy nie szykuje mi jakiegoś głupiego figla - czy przypadkiem na przykład nie uprawia z amatorstwa czarnej magii, nie przyrządza trucizn lub czegoś w tym guście. Podczas poszukiwań wpadł mi w rękę...

- Babciu, proszę!...

- ...pewien zielony przedmiot, który mi opowiedział bardzo ciekawą historię. Ale oddałam mu go z powrotem.

- Trazył powiada, że umrę jeszcze w tym roku - zarechotała Urgulania. - Nie będę więc miała przyjemności żyć pod twym panowaniem, Kaligulo. Chyba że się pośpieszysz i zamordujesz Tyberiusza.

- On to zamierza zrobić, babko? - zwróciłem się do Liwii.

- Czy to bezpieczne dla stryja, żeby wiedział o takich sprawach? - zapytał Kaligula. - A może masz zamiar go otruć?

- Zupełnie bezpieczne i... obejdzie się bez trucizny - zapewniła Liwia. - Chciałabym, żebyście wy dwaj trochę bliżej poznali się z sobą. To jedna z przyczyn, dla których wydałam ten obiad. Słuchaj, Kaligulo, twój stryj Klaudiusz jest wyjątkowym człowiekiem.

Ma tak staroświeckie poglądy, że dlatego, iż kiedyś tam przysiągł zawsze kochać i bronić dzieci swego brata, możesz na nim polegać aż do końca swego życia. Słuchaj, Klaudiuszu.

Twój bratanek Kaligula jest wyjątkowym człowiekiem. Jest wiarołomny, tchórzliwy, rozpustny, próżny, podstępny i zanim umrze, nieraz zaleje ci sadła za skórę, ale - zapamiętaj to sobie: nigdy cię nie zabije.

- A dlaczego? - spytałem wychylając kubek. Rozmowa, którą prowadziliśmy, miała w sobie coś z gorączkowego majaczenia, a równocześnie była niesłychanie interesująca; podobne przeżywa się czasem we śnie.

- Dlatego że jesteś tym człowiekiem, który pomści jego śmierć.

- Ja to zrobię? Któż tak powiedział?

- Trazyl.

- Czyż Trazyl się nie myli?

- Nigdy. Kaligula zostanie zamordowany, a ty pomścisz jego śmierć.

W pokoju zapanowało ponure milczenie. Dopiero przy deserze przerwała je Liwia.

- O reszcie, Klaudiuszu, porozmawiamy w cztery oczy - odezwała się nagle. Na to Urgulania i Kaligula wstali od stołu i pozostawili nas samych.

- Czy nie uważasz, babko, że ta dzisiejsza rozmowa jest bardzo dziwna? Nie wiem, czy to przypadkiem nie z mojej winy. Zdaje się, za dużo wypilem. Mam wrażenie, że w dzisiejszych czasach nie wszystkie żarty są bezpieczne, a myśmy dość lekkomyślnie igrali z ogniem. Mam nadzieję, że służba...

- Nie ma obawy. To głuchoniemi. I nie miej pretensji do wina. W winie jest prawda.

Co zaś do naszej rozmowy, to na mnie zrobiła ona wrażenie zupełnie poważnej.

- Ale... ale jeśli naprawdę uważasz Kaligulę za potwora, dlaczego jeszcze bardziej rozzuchwalasz go swą opieką? Czy nie lepiej poprzeć Nerona? To bardzo przyzwoity chłopiec.

- Ale następnym cesarzem nie będzie Neron, lecz Kaligula...

- Jeżeli jednak rzeczywiście jest taki, jakim go przedstawiasz, będzie najgorszym władcą pod słońcem. Więc ty - ty, która poświęciłaś całe swoje życie dla utrwalenia potęgi Rzymu...

- Tak. Ale nie można walczyć z losem. Zresztą Rzym okazał się dla mnie niewdzięczny i do tego stopnia zaślepiiony, że pozwala, aby mój łajdacki synalek obrażał mnie i traktował jak bezużyteczny grat. Mnie, która jest jego matką, i wyobraź sobie, może największym z władców, jakich zna świat.

W miarę jak mówiła, ton jej głosu stawał się coraz ostrzejszy i donośniejszy.

Pośpiesznie zmieniłem temat.

- Uspokój się, babko, proszę. Przecież sama mówisz, że nie można walczyć z losem. A czy w związku z poprzednią rozmową chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

- Tak. O Trazylu. Często zasięgam jego rady. Tyberiusz nic o tym nie wie, ale Trazyl bywa tutaj nierzadkim gościem. Kilka lat temu przepowiedział właśnie, że Tyberiusz zbuntuje się przeciwko mnie i całą władzę weźmie we własne ręce. Wtedy nie chciałam dać wiary tej przepowiedni. Przepowiedział też, że chociaż umrę jako stara, rozczarowana kobieta, w wiele lat później zostanę wyniesiona do rzędu bóstw. A przedtem powiedział mi jeszcze, że ktoś, kto umrze w tym samym roku co ja, stanie się największym bogiem całego świata i wtedy ani w Rzymie, ani w cesarstwie nie będzie świątyni poświęconych komu innemu, nawet Augustowi, tylko owemu nowemu bóstwu.

- Kiedy masz umrzeć?

- Za trzy lata, na wiosnę. Znam dokładnie datę.

- I tak ci zależy na tym, żeby zostać boginią? Mój stryj Tyberiusz, zdaje się, wcale o tym nie myśli.

- Teraz, kiedy już odchodzę od swego dzieła, ta jedna tylko myśl jeszcze mnie zaprzęta. I dlaczegoż bym nie miała zostać boginią? Jest nonsensem, żeby

August był bogiem, a ja tylko jego kapłanką. Potęga Rzymu to przecież moje dzieło. August sam przez się nie miał więcej danych na władcę niż Tyberiusz.

- Niewątpliwie. Lecz czy ci nie wystarcza, babko, świadomość tego, co zdziałałaś?

Konieczniesz pragniesz być czczona przez ciemne pospólstwo?

- Zaraz ci to wytłumaczę. Oczywiście, że jeśli chodzi o "ciemne pospólstwo", zgadzam się z tobą zupełnie. Ale nie tyle zależy mi na ziemskiej sławie, ile na stanowisku, jakie mi przypadnie na tamtym świecie. Niejeden grzech mam na sumieniu. Nie ma wielkiego władcy, który by ich nie popełniał. Dobro państwa stawiałam zawsze wyżej ponad wszystkie ludzkie względy. Aby ocalić Rzym przed podziałem na stronnictwa, musiałam popełnić wiele zbrodni. August omal nie zaprzepścił cesarstwa przez swoje śmieszne sympatie.

Marcellus przeciw Agryppie, Gajusz przeciw Tyberiuszowi. Któż uratował państwo od nowej wojny domowej? Ja. Na mnie spadł niemiły i niełatwy obowiązek usunięcia Marcellusa i Gajusza.

Tak. Nie udawaj, proszę, żeś mnie nie podejrzewał o ich otrucie. A jakaż jest właściwa nagroda dla władcy, który w imię dobra swoich poddanych popełnia podobne zbrodnie?

Właściwą nagrodą jest oczywiście deifikacja. Czy wierzysz w to, że dusze zbrodniarzy cierpią wieczyste męki?

- Tego mnie zawsze uczono.

- Ale nieśmiertelni bogowie, choćby nie wiem jakie zbrodnie popełnili, mogą się nie obawiać kary, nieprawdaż?

- No cóż? Jowisz złożył z tronu swego ojca, zabił jednego ze swych wnuków, zawarł kazirodczy związek z siostrą i... tak. Oczywiście... Żaden z niebian nie cieszy się zbyt dobrą pod względem moralności opinią, jednak niewątpliwie nie podpadają oni pod jurysdykcję Trybunału Zmarłych Śmiertelników.

- O, właśnie! Rozumiesz więc teraz, że sprawa zostania boginią ma dla

mnie niesłychaną wagę. I to jest powód, dla którego toleruję Kaligulę. Przysiągł mi bowiem, że jeżeli nie zdradzę jego tajemnicy, uczyni mnie boginią, gdy tylko sam zostanie cesarzem.

Chcę, żebyś i ty przysiągł mi, że uczynisz wszystko, co będzie w twojej mocy, abym jak najprędzej została deifikowana. Rozumiesz chyba przecież, że dopóki Kaligula tego nie uczyni, będę cierpiała po śmierci najpotworniejsze męki, najbardziej wymyślne tortury, przed którymi nie ma ucieczki.

Jej wyniosły, opanowany, władczy głos przeszedł nagle w ton takiego przerażenia, tak błagalnej prośby, że zmianą tą zdumiałem się więcej niż wszystkim, co mi dotychczas powiedziała.

- Ale nie wydaje mi się prawdopodobne - odezwałem się wreszcie, chcąc cokolwiek powiedzieć - żebym ja, biedny stryj Klaudiusz, miał kiedykolwiek taki wpływ na cesarza lub senat.

- Nie chodzi o to, czy ci się wydaje, czy nie wydaje, idioto! Pytam się, czy przysięgniesz. No co? Przysięgniesz mi na własną głowę?

- Dobrze, babko. Przysięgnę na własną głowę - cokolwiek ona jest w tej chwili warta - ale pod jednym warunkiem.

- Ty śmiesz mnie stawiać warunki?

- Po dwudziestu kubkach dlaczegóż by nie? Warunek jest bardzo prosty. Zresztą, chyba sama nie przypuszczasz, że po trzydziestu sześciu latach, w czasie których okazywałaś mi jedynie wstręt i lekceważenie, zrobię dla ciebie cokolwiek bezinteresownie.

Roześmiała się.

- Jak wygląda ten prosty warunek?

- Chciałbym się dowiedzieć kilku rzeczy. A mianowicie: kto zabił mojego ojca; kto zabił Agryppę; kto zabił mojego brata Germanika i kto zabił mego syna Druzylla...

- I po cóż ci ta wiadomość? Masz jakąś idiotyczną nadzieję pomszczenia się na mnie za nich?

- Nie. Nawet gdybyś ty była ich morderczynią. Nie mszczę się nigdy, chyba zmuszony przysięgą albo w obronie własnej. Moim zdaniem, zło jest samo w sobie karą. Chcę tylko poznać prawdę. Jestem z zawodu historykiem i jedyna moja istotna namiętność to wykrywanie faktycznego przebiegu zdarzeń i ich przyczyn. Jeżeli piszę książki, to bardziej dla wzbogacenia własnej wiedzy niż przekazywania jej czytelnikom.

- Jak widzę, stary Atenodor miał niemały na ciebie wpływ.

- Był dla mnie dobry, a ja mu byłem wdzięczny; w ten sposób stałem się stoikiem.

Nigdy nie wymądrzałem się w filozoficznych spekulacjach - nie czułem do tego najmniejszego pociągu - lecz przyjąłem stoicki sposób patrzenia na świat. Możesz mi wierzyć, że nie powtórzę ani słowa z tego, co mi opowiesz.

Udało mi się wreszcie przekonać babkę o szczerości mych słów i przez cztery z górą godziny zadawałem jej wiele niedyskretnych pytań. Na wszystkie odpowiadała bez wahania, z takim spokojem jak rządcą, który oprowadzając przybyłego na folwark właściciela, zdaje mu sprawę z najdrobniejszych szczegółów gospodarstwa.

A więc rzeczywiście - otruła mego dziadka. Nie otruła jednak mego ojca: mimo podejrzeń Tyberiusza gangrena była całkiem naturalna. Otruła natomiast Augusta, smarując trucizną figi wiszące na drzewie. Opowiedziała mi też całą historię Julii, tak jak ją tu przedstawiłem, i historię Postuma, której pewnych szczegółów sam się domyślałem.

Otruła też Agryppę, Lucjusza, Marcellusa i Gajusza. Przejmowała też moje listy do Germanika. Ale nie, nie otruła go. Zrobiła to Plancyna z własnej inicjatywy. Ona tylko przeznaczyła go na śmierć z tej samej przyczyny, co mego ojca.

- Z jakiej?

- Chciał wskrzesić Rzeczpospolitą. Nie - widzę, że mnie źle rozumiesz. Nie zamierzał łamać złożonej Tyberiuszowi przysięgi na wierność. Chciał tylko

go skłonić, żeby dobrowolnie przywrócił ustrój republikański, i sam trzymając się na uboczu gotów był mu ustąpić wszelkiej płynącej stąd chwały. Niewiele już brakowało, a byłby postawił na swoim.

Wiesz przecie, jaki tchórz z Tyberiusza. Niemało fałszerstw i kłamstw kosztowała mnie ta sprawa. Musiałam nawet w tym celu porozumieć się z Sejanem. Ten republikanizm to nieuleczalna choroba w naszej rodzinie. Twój dziadek na nią cierpiał.

- I ja cierpię.

- Jeszcze! To rozbijające. Zauważyłam, że i Neron jest chory. Nie przyniesie mu to wiele szczęścia. Nie ma co z wami dyskutować, wy republikanie. Nie widzicie tego, że z równym powodzeniem można myśleć dzisiaj o przywróceniu rządów republikańskich, co o narzuceniu nowoczesnym małżeństwom zwykłego poczucia skromności. To tak, jakby ktoś próbował cofnąć cię na zegarze słonecznym. Czysty nonsens.

Z rozkazu Liwii został również uduszony mój syn Druzyll, a ja sam byłem bliski śmierci, kiedy przejęła mój pierwszy list do Germanika donoszący o pojawieniu się Postuma.

Oszczędziła mnie tylko dlatego że liczyła, iż z dalszej korespondencji dowie się o miejscu pobytu Postuma.

Najbardziej interesujące wyznanie, jakie mi uczyniła, dotyczyło jej trucicielskich praktyk. Powtórzyłem pytanie Postuma: czy woli pomału działające trucizny, czy też te o natychmiastowym skutku - a Liwia odpowiedziała bez najmniejszego zmieszania, że jest zwolenniczką dozowania powoli działających i pozbawionych smaku trutek, które wywołują symptomy suchot. Spytałem, w jaki sposób udawało się jej tak dobrze zacierać ślady swych przestępstw i dosięgać swe ofiary nieraz z tak wielkich odległości; Gajusz na przykład umarł w Azji Mniejszej, a Lucjusz w Marsylii.

Przypomniała mi też, że nigdy nie popełniła morderstwa, które by jej miało przynieść natychmiastową i bezpośrednią korzyść. Mego dziadka na

przykład otruła dopiero w jakiś czas po rozwodzie. Nie otruła też żadnej ze swych rywalek: Oktawii, Julii czy Skrybonii.

Ofiarami jej byli w większości wypadków ludzie, których usunięcie przybliżało jej synów i wnuków do sukcesji po Augustie. Miała jedyną powiernicę, a mianowicie Urgulanię, kobietę tak dyskretną, zręczną i tak jej oddaną, że nie tylko najzupełniej niemożliwym było, aby kiedykolwiek zbrodnie razem przez nie ukartowane wyszły na jaw, ale nawet gdyby to się stało, nigdy śledztwo nie wpadłoby na jej ślad. Zwyczaj dorocznej spowiedzi przed Urgulanią, wprowadzony jako przygotowanie do święta Dobrej Bogini, okazał się wielce użyteczny przy usuwaniu niektórych osób stojących na drodze jej planom.

Wyjaśniła mi to wyczerpująco. Zdarzało się czasami, że wyznanie którejs z penitentek dotyczyło nie zwykłego cudzołóstwa, ale stosunków kazirodczych z bratem lub synem. Urgulanią oświadczała wówczas, że jedynym zadośćuczynieniem za grzech może być śmierć partnera.

Penitentka błagała o jakąkolwiek inną pokutę i Urgulanią odpowiadała na to, że, być może, pozostaje jeszcze jeden sposób przebłagania bogini: grzesznica może odkupić swą winę wraz z partnerem, wykonując któryś z innych wyroków bogini. Ponieważ - powiadała Urgulanią - niedawno inna kobieta wyznała jej podobnie ohydny występki, ale wzdragała się zabić swego kochanka i ten łajdak żyje do tej pory, podczas gdy biedna grzesznica popełniła samobójstwo.

Owym "łajdakiem" byli kolejno: Agryppa, Lucjusz i Gajusz. Agryppa miał się dopuścić kazirodztwa ze swą córką Marcelliną, której tajemnicze samobójstwo tym prawdopodobniejszą czyniło tę historię. Gajusz i Lucjusz żyli z matką przed jej wygnaniem - reputacja Julii znów nadawała temu cechy prawdopodobieństwa. Za każdym razem pragnąca odpuszczenia winy kobieta czuła się tym szczęśliwsza, jeżeli mogła obmyślić morderstwo, a mężczyzna, jeżeli mógł go dokonać. Urgulanią służyła radą i odpowiednimi truciznami. To, że za każdym razem bezpośredni morderca był obcym jej człowiekiem,

gwarantowało Liwii bezpieczeństwo, jeśli bowiem padło na niego podejrzenie albo nawet schwymano go na gorącym uczynku, nie mógł zdradzić powodu morderstwa nie przyznając się również do swego występku.

Zapytałem, czy nie miała nigdy wyrzutów sumienia z powodu zamordowania Augusta i tylu członków jego rodziny.

- Nie zapomniałam nigdy, czyją jestem córką - odparła.

To jedno zdanie wyjaśniło mi od razu bardzo wiele. Ojciec Liwii, Klaudian, zastał po bitwie pod Filippi skazany przez Augusta na banicję i wkrótce potem popełnił samobójstwo, aby nie wpaść w ręce przeciwnika.

Krótko mówiąc, opowiedziała mi wszystko, o czym chciałem wiedzieć. Nie potrafiła tylko wyjaśnić tajemniczych zjawisk w domu Germanika w Antiochii. Nie miała z nimi nic wspólnego. Plancyna i Pizon też nie potrafili jej nic na ten temat powiedzieć.

Wobec czego mam taki - same szansę odkrycia tej tajemnicy co i ona. Widząc, że dalsze nastawanie jest bezcelowe, podziękowałem za tak cierpliwe zaspokajanie mej ciekawości i wreszcie przysięgłem na swoją głowę, że zrobię wszystko, aby została boginią.

Kiedy odchodziłem, dała mi niewielką książeczkę, którą miałem przeczytać dopiero po powrocie do Kapui. Był to zbiór wierszy sybillińskich usuniętych z oficjalnego tekstu, o których pisałem na początku tej książki. Kiedy przeczytałem proroctwo o

„czuprynych” zacząłem się domyślać, dlaczego Liwia zaprosiła mnie na obiad i kazała złożyć ową przysięgę. Czy rzeczywiście przysięgłem? Wszystko wydawało mu się teraz jakby jakimś snem.

ROZDZIAŁ XXVI

Sejan wystosował do Tyberiusza rodzaj podania, w którym prosił, aby na wypadek gdyby zostało zadecydowane powtórne zameęcie Liwilli, kandydatura jego była wzięta pod uwagę. Zdaje sobie wprawdzie sprawę z tego - pisał - że jest zaledwie zwykłym rycerzem, ale przecież August kiedyś oświadczył, że jedynaczkę swą wyda tylko za rycerza. W każdym razie w całym państwie Tyberiusz nie znajdzie bardziej oddanego sobie człowieka.

Nie ubiegał się przecież o stopień senatorski; zadowolony był ze stanowiska, jakie przypadło mu w udziale, na którym może dzień i noc czuwać niestrudzenie nad bezpieczeństwem cesarza.

Dodał też, że tego rodzaju małżeństwo byłoby ciężkim ciosem dla stronnictwa Agryppiny, która w nim, Sejanie, widzi swego najgroźniejszego przeciwnika.

Tyberiusz odpowiedział bardzo uprzejmie, ale, jak pisał, mimo że wielce jest obowiązany Sejanowi, nic sam przyrzec nie może. Wyraził wątpliwość, czy Liwilla, której obydwaj poprzedni mężowie pochodzili z rodziny panującej, zechciałaby zostać żoną rycerza.

Gdyby zaś otrzymał wyższe stanowisko i równocześnie spowinowacił się z domem cesarskim, wywołałoby to u wielu ludzi zawiść i przyczyniło się w ten sposób do wzmocnienia stronnictwa Agryppiny. Właśnie chcąc uniknąć budzenia zawiści August wydał córkę za rycerza, człowieka, który wycofał się już z życia politycznego.

List kończyło wielce obiecujące zdanie:

„Nie mogę ci na razie wyjawić planów mających na celu zacieśnienie łączy między mną a tobą więzów - pisał Tyberiusz. - Tyle tylko powiem, że nie istnieje nagroda tak wielka, żeby na nią nie zasługiwało twoje przywiązanie, i kiedy tylko nadejdzie odpowiedni moment, z wielką radością przystąpię do

wykonania planu, o którym wspomniałem.”

Sejan, który napisał głównie pod naciskiem Liwilli, zbyt dobrze znał Tyberiusza, żeby się nie zorientować, że prośba była przedwczesna i wywołała żywe niezadowolenie cesarza.

Postanowił więc, że należy za wszelką cenę nakłonić Tyberiusza, aby bezzwłocznie opuścił Rzym, a jego mianował prefektem miasta. Był to urząd, od którego decyzji można było apelować jedynie do samego cesarza. Jako komendant gwardii Sejan miał pod swoją władzą pocztę cesarską. Cała korespondencja przechodziła przez jego ręce. Od niego też zależałoby, kogo dopuścić do Tyberiusza. A cesarz na pewno będzie tym bardziej zadowolony, im mniej osób będzie mu się nawijać przed oczy. Tak to powoli cała istotna władza przeszłaby w ręce prefekta miasta, który by mógł działać bez obawy kontroli. W końcu Tyberiusz, pod pretekstem poświęcenia w Kapui świątyni Jowiszowi, a w Noli Augustowi, opuścił Rzym, nie mając już zamiaru powracać. Wiadomo było, że decyzję tę powziął na skutek przestrogi udzielonej mu przez Trazyła. A proroctwa Trazyła były przyjmowane bez najmniejszych zastrzeżeń. Tyberiusz wyglądał w tym czasie bardzo kiepsko: wychudły, zgarbiony, łysy; sztywniejące stawy nadawały kanciastość jego ruchom; owrzodziła twarz pokrywały plastry.

A że miał już sześćdziesiąt siedem lat, więc liczone, iż niedługo pociągnie.

Nikomu nie przyszło do głowy, że miał żyć jeszcze jedenaście lat. Przeżył je jednak, być może dlatego, że nie wracał już nigdy do stolicy i co najwyżej odwiedzał przedmieścia.

Tyberiusz zabrał z sobą na Capri pewną liczbę uczonych greckich, doborowy oddział żołnierzy, w tym przyboczną straż niemiecką, Trazyła, gromadę wymalowanych cudaków niewiadomej płci i - co najdziwniejsze - Kokcejusza Nerwę. Capri jest to wyspa w Zatoce Neapolitańskiej, oddalona o jakieś trzy mile od wybrzeża. Zimy są na niej łagodne, lata chłodne. Lądować

można tylko w jednym miejscu, zresztą przystępu bronią strome skały lub nieprzebyte zarośla. Jak Tyberiusz spędzał tam czas, gdy nie dyskutował na temat poezji i mitologii z Grekami lub prawa i polityki z Nerwą, o tym nawet historykowi trudno mówić bez oburzenia. Powiem tylko tyle, że zabrał z sobą cały komplet osławionych ksiąg Elefantysa, najobszerniejszą encyklopedię pornografii, jaka kiedykolwiek istniała na świecie. Na Capri mógł wyprawiać to, na co trudno było pozwolić sobie w Rzymie; mógł urządzać orgie na świeżym powietrzu, wśród drzew i kwiatów lub na plaży, nie dbając, że hałas zwróci czyjąkolwiek uwagę. Wiele z tych zabaw pod gołym niebem łączyło się z wybrykami okrucieństwa i polegało w znacznej mierze na znęcaniu się nad współtowarzyszami.

Pod tym względem odludne ustronie, jakim było Capri, przedstawiało niemałe korzyści.

Zresztą cesarz nie spędzał tam całego czasu. Robił wycieczki do Kapui, Bajów, Ancjum.

28 r. n.e.

Po pewnym czasie upoważnił Sejana do usunięcia przywódców stronnictwa Agryppiny za pomocą środków, jakie uzna za najbardziej wskazane. Z Sejanem komunikował się codziennie i wszystkie jego rozporządzenia zatwierdzał w listach do senatu.

Podczas święta Nowego Roku, kiedy jako najwyższy kapłan odmawiał rytualne modły o błogosławieństwo, zwrócił się nagle do pewnego rycerza imieniem Sabinus, który stał obok, i oskarżył go o namawianie do zdrady swego wyzwolenca. Któryś z ludzi Sejana natychmiast omotał biedakowi głowę własną jego togą i zarzuciwszy pętlę na szyję wywłócił ze świątyni.

- Na pomoc, przyjaciele, na pomoc! - wołał zduszonym głosem Sabinus. Ale nikt się nie ruszył i Sabinus, którego jedyną zbrodnią była przyjaźń z Germanikiem i którego jeden z zauszników Sejana sprowokował do wyrażenia w prywatnej rozmowie sympatii dla Agryppiny, został bez ceregieli stracony.

Następnego dnia odczytano w senacie list cesarza donoszący o śmierci Sabinusa i o wykryciu przez Sejana niebezpiecznego spisku.

„Czcigodni senatorowie - pisał Tyberiusz - uzalście się nad nieszczęśliwym starcem żyjącym w ustawicznej obawie, gdy członkowie jego własnej rodziny zbrodniczo czyhają na jego życie.”

Jasne było, że miał na myśli Agryppinę i Nerona. Powstał na to Gallus i zgłosił wniosek, aby zażądać od cesarza, żeby wytłumaczył senatowi przyczyny swych obaw, które wreszcie należy rozwiązać, co bez wątpienia łatwo da się uczynić. Tyberiusz nie czuł się jednak dość silny, aby wyrzucić na Gallusie swą zemstę.

W lecie tegoż roku niesiona w lektyce główną ulicą Neapolu Liwia natknęła się przypadkiem na Tyberiusza, który przejeżdżał konno, dopiero co przybywszy z Capri. Liwia powracała z Herkulanum. Cesarz chciał ją wyminąć nie pozdrawiając nawet, ale siła przyzwyczajenia kazała mu się zatrzymać i przywitać matkę grzecznościowym zapytaniem o zdrowie.

- Dziękuję ci, mój chłopcze - rzekła Liwia - czuję się jak najlepiej. Ale jako matka radzę ci, strzeż się barwen, które jesz na swojej wyspie; niektóre z tych ryb łowionych na Capri są silnie trujące.

- Wdzięczny ci jestem, matko, za to ostrzeżenie - odparł. - A ponieważ wyszło od ciebie, będę się od tej pory trzymał skrupulatnie tuńczyków i sumów.

Liwia parsknęła wzgardliwie i zwracając się do towarzyszącego jej Kaliguli poczęła głośno opowiadać:

- A więc, jak ci mówiłam, mój mąż (twój pradziad, moje dziecko) i ja pewnej ciemnej nocy, zdaje się, że równo sześćdziesiąt pięć lat temu, spieszyliśmy tą ulicą do portu, gdzie w tajemnicy czekał na nas statek. W każdej chwili oczekiwaliśmy, że ludzie Augusta pojną nas i zabiją - jakież to teraz wydaje się dziwne! Starszego mego syna - mieliśmy wówczas dopiero jednego - ojciec niósł na plecach. I cóż zrobił ten mały łobuz? Podniósł straszliwy wrzask: „Tatusiu, ja chcę wracać do Peru-u-u-zji!” To nas zdradziło. Z jakiegoś szynku

wypadło dwóch żołnierzy i zaczęło za nami nawoływać. Przyczailiśmy się gdzieś w bramie, aby nas minęli, ale Tyberiusz znów podniósł wrzask: "Ja chcę do Peru-u-u-zji!"

Powiedziałam wtedy mężowi: "Zabij go! Zabij tego smarkacza. To jedyny ratunek." Ale mój poczciwy mąż miał zbyt miękkie serce i nie posłuchał. Jakimś cudem jednak udało nam się uciec.

Tyberiusz, który zatrzymał się, aby wysłuchać opowiadania do końca, spał teraz swego konia i pogalopował z furią. Nigdy więcej już się nie spotkali.

Liwia tylko dlatego ostrzegła syna przed barwenami, że chciała obudzić w nim podejrzenie, jakoby jego rybacy albo kucharze to ludzie przez nią opłacani.

Wiedziała, że barweny są ulubioną potrawą Tyberiusza i że teraz nie będzie mógł zaspokoić swego apetytu nie obawiając się jednocześnie otrucia.

Ostrzeżenie to spowodowało przykry wypadek. Pewnego dnia Tyberiusz siedząc pod drzewem na wschodnim wybrzeżu Capri rozkoszował się leciutkim morskim wiatrem i układał po grecku wierszowany dialog pomiędzy zajęcem a bażantem, w którym każde ze zwierząt po kolei dowodziło swej wyższości jako potrawy. Nie był to oryginalny pomysł; niedawno Tyberiusz zapłacił tysiąc sztuk złota pewnemu nadwornemu poecie w nagrodę za podobny poemat, w którym rywalami były: grzyb, ostryga i drozd. We wstępie do pisanego właśnie dialogu Tyberiusz rozprawiał się ze wszystkimi pretensjami tych trzech potraw do pierwszeństwa, jako zupełnie bezpodstawnymi, i twierdził, że jedynie zajęc i bażant mają prawo ubiegać się o wieniec z pietruszki; tylko ich mięso posiada szlachetność bez nadmiernego tłuszczu i delikatność nie związaną z chudością. Szukał właśnie dosadnego przymiotnika dla określenia ostrygi, kiedy nagle posłyszał gwałtowny szelest wśród kolczastych krzaków nad brzegiem i ujrzał rozczochraną głowę jakiegoś dziko wyglądającego człowieka.

Mokra odzież poszarpana była na nim w strzępy, twarz zakrwawiona. Trzymał w ręku otwarty nóż i przedzierał się przez krzaki wołając:

- Popatrz, cesarzu, czy nie okaz?!

Z przerzuconego przez ramię worka wyciągnął olbrzymią barwenę i jeszcze szamocącą się cisnął na murawę u stóp cesarza. Był to zwykły rybak, któremu właśnie zdarzył się nadzwyczajny połów; ujrawszy z morza Tyberiusza siedzącego na skalistym cyplu postanowił zrobić mu prezent z niezwykle dużej ryby. Przybił łodzią do skały, podpłynął do cypla, wdrapał się urwistą ścieżką aż po pas krzaków i nożem wyciął sobie przez nie przejście. Ale Tyberiusz omal nie stracił zmysłów ze strachu.

Zagwizdał i wrzasnął po niemiecku:

- Ratunku! Ratunku! Szybko! Wolfgang! Siegfried! Adelstan! Morderca! Schnell!

- Na rozkaz, najszlachetniejszy i najmiłościwszy wodzu! - odkrzyknęli natychmiast Niemcy. Trzymali straż z lewej i prawej strony cesarza oraz z tyłu, ale oczywiście nikogo nie było przed Tyberiuszem. Przyskoczyli do niego wymachując włóczniami. Rybak nie rozumiał po niemiecku i chowając swój nóż rzekł pogodnie:

- Złapałem ją obok groty. Jak myślisz, cesarzu, ile waży? Istny wieloryb, co?

Mało mnie nie wyciągnęła z łódki.

Tyberiusz, cokolwiek spokojniejszy, ale pamiętający trujące barweny, rozkazał Niemcom:

- Nie przebijajcie go. Rozetnijcie rybę na pół i wetrzyjcie mu ją w głowę.

Potężny Wolfgang chwycił z tyłu rybaka w pół, tak że ten nie mógł poruszyć rękami, a dwóch pozostałych Niemców wcierało mu w twarz surową rybę. Nieszczęśnik wołał:

- Zatrzymajcie się! To nie żarty! Całe szczęście, że nie podarowałem cesarzowi w pierw tego, co jeszcze mam w worku.

- Zobaczcie, co to - rozkazał Tyberiusz.

Adelstan rozwiązał worek i znalazł w nim olbrzymiego morskiego kraba.

- Natrzeć mu twarz tym potworem - rzekł Tyberiusz. - Trzeć dobrze!

Nieszczęśliwy rybak stracił oczy. Wtedy Tyberiusz powiedział: - Teraz dosyć.

Możecie go puścić.

Rybak zataczał się odchodząc od zmysłów z bólu i krzyząc, nie pozostawało więc nic innego, jak zepchnąć go do morza z najbliższego urwiska.

Ku swojemu wielkiemu zadowoleniu nigdy nie byłem zaproszony na Capri i po dziś dzień jeszcze unikam odwiedzania tej wyspy, choć dawno już nie ma śladu po urządzanych tam orgiach, a tylko opowiadają cuda o pięknie dwunastu will.

Poprosiłem Liwie o pozwolenie na ślub z Elią. Udzieliła mi go nie bez ironicznych życzeń szczęścia. Wzięła nawet udział w uroczystościach weselnych, które odbyły się z niebywałym przepychem; o to postarał się już Sejan. Wskutek tego małżeństwa wyraźnie ochłodziły moje stosunki z Agryppiną i Neronem. Podejrzewali oni, że nie potrafię niczego utrzymać w tajemnicy przed Elią, która znów ze swej strony donosi o wszystkim Sejanowi.

Początkowo gryzłem się bardzo tak krzywdzącym podejrzeniem, ale widząc, że wszystkie wysiłki mające na celu odzyskanie zaufania Agryppiny pozostają daremne, dałem za wygraną i przestałem bywać w domu bratowej. Nasze małżeństwo z Elią było tylko nominalne. Kiedy w noc poślubną znaleźliśmy się w sypialni, oświadczyła mi:

- Nie życzę sobie z tobą żadnych bliższych stosunków. Jeżeli nam się jeszcze kiedykolwiek zdarzy, jak dzisiejszej nocy, spać w jednym łóżku, będzie nas jak dzisiaj rozdzielać kołdra. A za najmniejszym z twojej strony ruchem - fora ze dwora.

Poza tym: każde sobie rzepkę skrobie. Rozumiesz?

- Jestem ci bardzo obowiązany - odrzekłem - zdjęłaś mi kamień z serca.

Było to ohydne babsko. Krzykliwością i gadatliwością przypominała licytatora niewolników. W krótkim czasie w ogóle przestałem reagować na jej gadanie.

Zresztą mieszkalem w dalszym ciagu w Kapui, dokad Elią nigdy nie przyjezdzała. Tylko kiedy przybywałem do Rzymu, Sejan nastawał, żeby widziano mnie razem z żoną możliwie często.

Neron w walce z Sejanem i Liwillą nie miał żadnych widoków powodzenia.

Agryppiną wciąż upominała syna, żeby zastanawiał się dokładnie nad każdym słowem, zanim je wypowie. Neron był zbyt otwarty, aby skrywać swoje myśli. Wśród młodych ludzi, których uważał za przyjaciół, było sporo szpiegów Sejana i ci skrzętnie notowali każde jego zdanie wypowiedziane na tematy polityczne. Co gorzej, żona Nerona, Helena (nasza Heluo), córka Liwilli, donosiła matce o wszystkim, z czymkolwiek się jej zwierzył. Najgorsze jednak było to, że jego własny brat Druzus, do którego miał więcej zaufania niż do żony, zazdrościł Neronowi starszeństwa i względów matki. Tak więc pewnego dnia przybył do Sejana i opowiedział, że Neron zaproponował mu, aby najbliższej pochmurnej nocy odpłynęli potajemnie do Niemiec, gdzie jako synowie Germanika oddadzą się pod opiekę tamtejszych pułków i na ich czele wyruszą na Rzym; jednak on, Druzus, propozycję tę z oburzeniem odrzucił. Sejan kazał mu na razie zaczekać; w odpowiednim momencie - powiedział

- zostanie wezwany do Tyberiusza i powtórzy mu całą historię.

Tymczasem Sejan rozpuścił pogłoskę, że Tyberiusz zamierza oskarżyć Nerona o zdradę stanu. Na tę wieść przyjaciele zaczęli opuszczać Germanikowego syna.

Najpierw dwu czy trzech wymówiło się od zaproszenia na obiad i przy spotkaniu okazywało wyraźną rezerwę. Wkrótce reszta poszła za ich przykładem. Po paru miesiącach pozostało Neronowi tylko kilku oddanych ludzi, między innymi Gallus. Ten ostatni, od czasu jak Tyberiusz przestał pojawiać się w senacie, zaczął dogryzać i dokuczać Sejanowi. Obrął sobie teraz metodę ciągłego zgłaszania wniosków o uchwalenie dla Sejana w dowód wdzięczności niezwykłych odznaczeń, jak wzniesienie ku jego czci posągów,

łuków triumfalnych, nadanie mu tytułów i odprawianie w dzień jego urodzin uroczystego nabożeństwa. Senat nie śmiał się sprzeciwić tym wnioskom, a Sejan, który nie był senatorem, nie mógł w tej sprawie zabierać głosu; Tyberiusz znów nie chciał sprzeciwić się senatowi i protestować przeciw powziętym uchwałom, gdyż obawiał się, że zrazi sobie Sejana lub wywoła wrażenie, że stracił doń zaufanie. Sytuacja była następująca: jeśli senat miał do załatwienia jakąś sprawę, wysyłano delegację do Sejana z prośbą, aby pozwolił zwrócić się z nią do Tyberiusza.

Jeżeli Sejan miał jakieś zastrzeżenia, sprawa upadała. Pewnego dnia Gallus zaproponował, że tak jak potomkom Torkwata senat przyznał prawo do złotego łańcucha, a potomkom Cyncynata do noszenia zakarbowanego loku włosów na pamiątkę czynów ich przodków, tak Sejanowi należy nadać dziedziczną odznakę złotego klucza dla uczczenia zasług, które położył jako odźwierny cesarskiego domu. Senat jednomyślnie wniosek uchwalił; Sejan zaniepokojony napisał do Tyberiusza, żaląc się, że ten zaszczyt, jak i wszystkie poprzednie, Gallus zaproponował podstępnie, chcąc obudzić wśród senatorów zawiść i zaniepokoić cesarza nieumiarkowaną ambicją prefekta. Ostatni wniosek miał oprócz tego wywołać wrażenie, że dostęp do cesarza zależy jest od człowieka, który chce się na tej drodze wzbogacić. Prosił, żeby Tyberiusz znalazł jakąś formalną podstawę do cofnięcia uchwały i żeby zmusił Gallusa do zaprzestania walki podjazdowej. Tyberiusz odpisał, że nie może potępić uchwały nie podkopując tym samym autorytetu Sejana, lecz w najbliższym czasie podejmie środki mające na celu poskromienie Gallusa. "Nie przejmuj się tą sprawą, Sejanie - pisał cesarz - gdyż twój list dowiódł twej lojalności i wielkiej subtelności sądu." Strzał jednak nie chybił celu.

Tyberiusz zrozumiał, że Sejan, dokładnie powiadomiony o wszystkich osobach przybywających na Capri, może rozciągać nad tymi wizytami daleko idącą kontrolę, tak więc on sam wie tylko tyle, ile mu Sejan wiedzieć pozwala.

Teraz przechodzę do zwrotnego momentu tej historii - śmierci mojej

babki Liwii.

Skończyła już osiemdziesiąt sześć lat, ale mogła śmiało pożyć jeszcze kawałek czasu.

Cieszyła się bowiem doskonałym zdrowiem: słuch i wzrok dopisywały jej wciąż bez zarzutu, nie mówiąc już o bystrości umysłu i pamięci. Nagle po jakimś zakatarzeniu zaczęła raz po raz się zaziębiać. Po jednym z tych zaziębień stan zapalny przerzucił się na płuca.

Zostałem wezwany do pałacu. Szczęśliwym trafem bawiłem właśnie w Rzymie i udałem się bezzwłocznie do babki, która leżała w łóżku. Na pierwszy rzut oka poznałem, że dogorywa.

Przypomniała mi o przysiędze.

- Nie zaznam spokoju, dopóki jej nie spełnię, babciu - rzekłem. Taką umierającą staruszkę, a do tego babkę, trzeba przecież zawsze jakoś pocieszyć. - Lecz przypuszczam, że załatwi to już Kaligula.

Przez chwilę milczała, a potem z irytacją, na jaką jej jeszcze pozwalały gasnące siły, odrzekła:

- Był tu przed dziesięcioma minutami. Stał i śmiał się ze mnie. Powiedział, że go to nic nie obchodzi, jeśli pójdę do piekła i będę się tam smażyć przez całą wieczność. Teraz, kiedy umieram, może się już ze mną nie liczyć, a przysięga do niczego go nie zobowiązuje, gdyż była wymuszona. On tu zostanie, twierdził, tym wszechwładnym bóstwem, o którym głosi przepowiednia, nie ja. Powiedział...

- Uspokój się, babciu. Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni. Podczas kiedy ty będziesz królową niebios, Kaligula będzie przez całą wieczność łamany kołem z rozkazu Minosa.

- I że ja cię mogłam nazywać kiedyś głupcem - westchnęła. - Odchodzę już, Klaudiuszu. Zamknij mi powieki i wsuń w usta monetę,*[* Dla opłacenia Charona, przewoźnika dusz zmarłych do krainy cieni.] którą znajdziesz pod poduszką.

Podziemny przewoźnik rozpozna ją i przyjmie z należyтым szacunkiem.

To były jej ostatnie słowa. Przymknąłem zmarłej powieki i włożyłem w usta monetę.

Był to aureus, jakiego nigdy przedtem nie oglądałem. Na jednej stronie widniały profilem zwrócone do siebie głowy Augusta i Liwii, na drugiej rydwan triumfalny.

O Tyberiuszu nie wspomniała w czasie tej ostatniej rozmowy ani jednym słowem.

Wkrótce dowiedziałem się, że wiadomość o niebezpiecznym stanie matki otrzymał dość wcześnie, żeby przyjechać i oddać jej ostatnią posługę. Dopiero po śmierci Liwii napisał do senatu, tłumacząc się, że nawał zajęć nie pozwolił mu przybyć, ale że w każdym razie weźmie udział w pogrzebie. Senat tymczasem uchwalił kilka dekretów mających na celu uczczenie pamięci Liwii; między innymi przyznał jej tytuł Matki Ojczyzny i zaproponował wyniesienie do rzędu półbogiń. Tyberiusz zniósł prawie wszystkie te uchwały, tłumacząc listownie, że matka jego była kobietą niezwykle skromną, że miała niechęć do oficjalnego wysławiania jej zasług, a w szczególności do pośmiertnej czci boskiej. List kończył się uwagą o niewłaściwości mieszania się kobiet do polityki: "Nie są one bowiem zupełnie stworzone do tej działalności, która rozbudza w nich wrodzone przywary niewieście - pychę i przewrotność."

Pomimo zapowiedzi nie zjawił się jednak na pogrzebie, chociaż przebieg jego szczegółowo ułożył; wszystkie rozporządzenia miały na celu ograniczenie przepychu uroczystości żałobnych. Z wydaniem ostatecznych decyzji marudził tak długo, że wreszcie ciało, choć stare i zeschłe, zaczęło się rozkładać, zanim je spalono na stosie.

Ku ogólnemu zdziwieniu mowę pogrzebową wygłosił nie Tyberiusz ani nie Neron, jako jego następca, lecz Kaligula. Senat uchwalił wzniesć ku czci Liwii łuk triumfalny. Po raz pierwszy w dziejach Rzymu podobny zaszczyt miał spotkać kobietę. Tyberiusz nie sprzeciwił się tej uchwale, lecz przyrzekł

zbudować łuk własnym kosztem, a następnie z tego przyrzeczenia nie myślał się wcale wywiązać. Jako spadkobierca w prostej linii odziedziczył większą część majątku Liwii, która zresztą tylko tyle, ile jej nakazywało prawo, zapisała członkom swego domu i różnym zaufanym dostojnikom. Między innymi i ja miałem otrzymać dwadzieścia tysięcy. Z legatów tych Tyberiusz nie wypłacił ani jednego.

ROZDZIAŁ XXVII

Nigdy nie myślałem, że tak głęboko odczuję śmierć Liwii. Kiedy byłem małym chłopcem, modliłem się skrycie co wieczór, aby bogowie podziemni zabrali babkę do siebie.

Teraz składałbym najwspanialsze ofiary: śnieżnobiałe byki, pustynne antylopy, tuziny ibisów i flamingów, wszystko, wszystko, aby mieć ją z powrotem na ziemi. Stało się bowiem jasne, że tylko obawa przed matką trzymała Tyberiusza w jakich takich ryzach. W kilka dni po śmierci Liwii zaatakował Agryppinę i Nerona. Nie oskarżył ich jednak o zdradę stanu.

Napisał do senatu list, w którym uzalał się na rozpuszczenie Nerona, na wyniosłe zachowanie się Agryppiny i jej skory do kalumnii "język". Dawał do zrozumienia, że należałoby przedsięwziąć kroki, które by oboje przyprowadziły do porządku.

Kiedy odczytano list w senacie, nikt przez długi czas nie zabrał głosu. Każdy był ciekaw, na jak wielkie poparcie ze strony ludu może liczyć rodzina Germanika, zagrożona przez Tyberiusza; senatorowie zastanawiali się, czy przypadkiem nie bezpieczniej opowiedzieć się z ludem przeciw Tyberiuszowi niż narazić pospólstwu. Wreszcie wstał jeden z przyjaciół Sejana i zauważył, że należy przecież uwzględnić życzenie cesarza i uchwalić taki czy inny dekret przeciw wspomnianym osobom. Wtedy zabrał głos jeden z senatorów, który prowadził ewidencję wszystkich rozporządzeń i w razie potrzeby przypominał odnośne uchwały. Cieszył się wśród kolegów wielkim poważaniem. Dotychczas głosował on za każdym wnioskiem Tyberiusza i Sejan w raportach do cesarza wskazywał na niego jako na człowieka, na którego w każdej sprawie można liczyć. Teraz właśnie on był odmiennego zdania. Oświadczył, że jest przeciwny natychmiastowemu rozpatrzeniu zarzutów przeciw moralności Nerona i postępowaniu Agryppiny. Przypuszcza, że cesarz napisał list zbyt pośpiesznie,

pod wpływem mylnych informacji, że zarówno w interesie Tyberiusza, jak Agryppiny i Nerona należy wstrzymać się z wydaniem uchwał i dać cesarzowi więcej czasu do rozważenia skargi przeciw jego tak bliskim krewnym. Tymczasem, choć zarządzenie senatu mogło być podawane do publicznej wiadomości dopiero za zgodą cesarza, wieść o liście rozeszła się po mieście i wokoło budynku posiedzeń zebrał się wielki tłum ludzi demonstrujący na korzyść Agryppiny i Nerona.

- Niech żyje Tyberiusz! - krzyczano. - List jest sfalszowany! Niech żyje Tyberiusz! To sprawa Sejana!

Tyberiusz, który obawiał się rozruchów, zamieszkał na ten czas w willi położonej o kilka mil od stolicy. Sejan wysłał do niego co rychlej gońca z wiadomością o tym, co zaszło.

Pisał, że na wniosek senatora-archiwisty postanowiono przejść nad listem cesarskim do porządku dziennego; że wśród pospólstwa panuje wrzenie; że obwołują Agryppinę Matką Ojczyzny, a Nerona zbawcą; że jeśli Tyberiusz nie wystąpi stanowczo i zdecydowanie, przed świtem jeszcze krew się poleje na ulicach.

Tyberiusz się przeraził, lecz usłuchał rady Sejana. Napisał do senatu list, w którym żądał, aby skoro senatorowie serca mają podszyte tchórzem, pozwolili jemu samemu załatwić całą tę sprawę. Senator-archiwista bezprzykładnie obraził jego majestat. Senat ustąpił. Wtedy Tyberiusz kazał przemaszerować przez miasto pułkom gwardii z obnażonymi mieczami i ogłosić przy dźwięku trąb, że racja zboża, którą rozdawano na koszt rządu, zostanie do połowy zmniejszona, jeśli obywatele natychmiast nie przestaną demonstrować.

Następnie wygnał Agryppinę na Pandatarię, wyspę, na której była więziona jej matka Julia, Nerona na Ponzę, podobną skalistą wysepkę w połowie drogi między Capri a Rzymem, ale daleko od wybrzeża. Następnie zawiadomił senat, że oboje zostali aresztowani w chwili, kiedy chcieli umknąć ze stolicy do Niemiec, aby zbuntować stojące tam pułki.

Zanim odwieziono Agryppinę na wyspę, kazał ją stawić przed sobą i wypytywał szyderczo, w jaki sposób zamierza rządzić swym potężnym królestwem, które odziedziczyła po matce (a jego czcigodnej żonie); czy wyśle ambasadora do nowego państwa swego syna Nerona, czy zawrze z nim sojusz wojskowy? Agryppina nie odezwała się ani słowem.

Wtedy wpadł we wściekłość i zaczął krzyczeć na nią, a gdy milczała w dalszym ciągu, rozkazał kapitanowi gwardii, aby jej kijem rozwiązał język. - Wiesz, kto jesteś? - odezwała się wreszcie Agryppina. Krwawy Gnojek! Tak cię podobno nazwał Teodor z Gadary, kiedy chodziłeś na jego wykłady retoryki na Rodos.

Tyberiusz wyrwał kapitanowi pręt i zaczął okładać nim Agryppinę, gdzie popadło, tak długo, aż zemdląła. Wskutek tego okrutnego pobicia straciła jedno oko.

Druzus także został wkrótce oskarżony o spiskowanie z nadreńskimi pułkami. Na dowód tego Sejan przedstawił listy, rzekomo przejęte, w rzeczywistości sfałszowane, i pisemne zeznanie Lepidy, żony Druzusa (z którą potajemnie romansował). W zeznaniu tym Lepida stwierdzała, że Druzus kazał jej wejść w kontakt z marynarzami w Ostii, spodziewał się bowiem, że przypomną sobie wnuka Agryppy. Senat wydał Druzusa Tyberiuszowi, a ten kazał go zamknąć w izdebce na poddaszu pałacu.

Następną ofiarą Tyberiusza był Gallus. Tyberiusz napisał do senatu, że Gallus, zazdrosny o Sejana, starał się go poróżnić z cesarzem rozmaitymi sposobami.

Senat, przerażony wiadomością o samobójstwie, które właśnie tego dnia popełnił biedny archiwista, wysłał od razu urzędnika z poleceniem aresztowania Gallusa. Okazało się jednak, że Gallus opuścił Rzym i udał się do Bajów. W Bajach skierowano urzędnika do willi Tyberiusza.

Kiedy tam przybył, zastał Gallusa przy obiedzie w towarzystwie cesarza.

Tyberiusz właśnie trącał się kubkiem wina z Gallusem, który

serdecznością odpowiadał na serdeczność. W jadalni panowała atmosfera beztroski i wesołości, tak że zakłopotany urzędnik przystanął, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Dopiero Tyberiusz, zobaczywszy go, zapytał, z czym przychodzi.

- Aresztować jednego z twych gości, Cezarze, na mocy zlecenia senatu.

- Kogóż?

Azyniusza Gallusa - odparł urzędnik. - Ale zdaje mi się, że zaszło nieporozumienie.

Tyberiusz zrobił poważną minę.

- Jest mi doprawdy strasznie przykro, Gallusie, ale jeżeli senat ma do ciebie jakieś pretensje i każe cię aresztować urzędnikowi, którego specjalnie w tym celu przysłał, to niestety nic z naszego tak mile zapowiadającego się wieczoru. Wiesz dobrze, że nie mogę przeciwstawiać się senatowi. Ale skoro doszło już między nami do przyjacielskiego porozumienia, to powiem ci, co zrobię. Napiszę do senatu, prosząc jako o osobistą łaskę, żeby nie przedsiębrali przeciwko tobie żadnych kroków nie otrzymawszy uprzednio ode mnie wskazówek. W ten sposób będziesz tylko oddany pod opiekę konsula zwykły areszt - a nie zamknięty w więzieniu, gdzie człowieka spotykają tego rodzaju upokorzenia, jak kajdany i tym podobne. Następnie postaram się, żeby cię jak najprędzej uwolnili.

Gallus czuł się zobowiązany podziękować cesarzowi za jego wielkoduszność, ale był pewny, że ten gotuje jakiś podstęp i odpłaca mu ironią za ironię. Miał rację.

Zaledwie przybył do Rzymu, został wtrącony do lochów senackiego budynku. Nie dopuszczono do niego nawet nikogo ze służby, nie pozwolono zawiadomić rodziny i przyjaciół. Jedzenie podawano codziennie przez kratę. Izba, w której się znajdował, była zupełnie ciemna, jedynie przez zakratowane okienko wpadało nieco światła; całe umeblowanie stanowił siennik.

Rzekomo miał przebywać w lochu tylko do czasu, aż Tyberiusz załatwi

jego sprawę, co wedle zapewnień miało nastąpić lada dzień: Ale dni zamieniały się w miesiące, miesiące w lata, a Gallus wciąż przebywał w więzieniu. Pożywienia wydzielano mu bardzo skąpo - Tyberiusz tak obliczył porcje, żeby Gallus był nieustannie głodny, a przecież nie umarł z głodu.

Więźniowi nie wolno było mieć noża ani żadnego ostrego narzędzia, żeby przypadkiem nie odebrał sobie życia; nie dano mu też ani książki, ani materiałów do pisania, ani kości do gry.

Wody do picia otrzymywał porcję bardzo szczupłą, do mycia wcale mu już jej nie wystarczało. Jeśli kiedy wspomniano o nim przy Tyberiuszu, mściwy starzec powtarzał: "Nie pogodziłem się jeszcze z Gallusem."

Kiedy dowiedziałem się o aresztowaniu Gallusa, zrobiło mi się przykro, że właśnie niedawno z nim się posprzeczałem. Była to tylko sprzeczka literacka. Napisał on niemądrą książczynę pod tytułem Ojciec mój Azyniusz Pollion i przyjaciel jego Marek Tulliusz Cyncero jako mówcy. Jakkolwiek byśmy nie porównywali Polliona z Cynceronem, czy to pod względem moralności, czy zdolności politycznych, czy głębokości wiedzy, Pollion zawsze będzie pierwszy. Lecz Gallus starał się dowieść, że ojciec jego był wykwintniejszym mówcą.

To już graniczyło z absurdem i w odpowiedzi napisałem małą rozprawkę. Oburzyła ona Gallusa tym bardziej, że wyszła wkrótce po tym, jak skrytykowałem uwagi Polliona o Cynceronie. Teraz, gdyby to choć w najmniejszym stopniu mogło złagodzić dolę Gallusa przebywającego w więzieniu, chętnie bym cofnął publikację swojej książeczki. Nie było to zbyt mądre z mojej strony.

Wreszcie Sejan mógł donieść Tyberiuszowi, że stronnictwo Zielonych zostało rozgromione i że nie ma już powodu do obaw. Tyberiusz w dowód uznania zakomunikował mu, że zamierza go ożenić ze swoją wnuczką Heleną, której małżeństwo z Neronem zostało unieważnione, i dał do zrozumienia, że może spodziewać się większych jeszcze zaszczytów.

Tym matrymonialnym planom przeszkodziła interwencja mojej matki,

która - jak pamiętacie - była też matką Liwilli. Od czasu śmierci Kastora Liwilla mieszkała u niej. Teraz Liwilla nieopatrznie zdradziła się, że tajemnie koresponduje z Sejanem. Matka moja była całe życie bardzo oszczędna, a na starość przeszło to u niej w zupełną manię. Zbierała ogarki świec i wytapiała z nich nowe; sprzedawała obierki hodowcom świń; z popiołu zmieszanego z jakimiś dodatkami wygniatała kostki, które paliły się równie dobrze jak węgiel drzewny. W przeciwieństwie do matki Liwilla była bardzo rozrzutna, stąd dochodziło nieraz między obiema do ostrzejszej wymiany zdań. Pewnego dnia matka zauważyła, że z pokoju Liwilli wychodzi niewolnik niosąc kosz na śmiecie pełny papierów.

- Dokąd to niesiesz? - spytała.

- Pani Liwilla kazała spalić, proszę pani.

- Ale to przecież rozrzutność palić w piecu papierem! Czy ty masz pojęcie, ile kosztuje papier? Trzy razy tyle co pergamin. A do tego, jak widzę, tu są kartki prawie nie zapisane.

- Pani Liwilla kazała całkiem wyraźnie...

- Pani Liwilla musiała być bardzo roztargniona, kiedy kazała ci zniszczyć tyle kosztownego papieru. Daj mi ten kosz. Czyste kawałki będzie jeszcze można użyć na notatki. Kto oszczędza, nie czeka go nędza.

Zabrała wszystkie papiery do swojego pokoju i zaczęła odcinać czyste kawałki.

Przy tym przyszło jej na myśl, że i z zapisanych można by wywabić atrament. Dotąd dyskretnie starała się nie czytać, ale wyskrobując litery mimo woli odczytywała pismo.

Nagle zorientowała się, że wszystkie te kartki to bruliony jednego i tego samego listu do Sejana.

Liwilla była najwyraźniej zirytowana, że Sejan decydował się poślubić kogoś innego, i to do tego jej własną córkę! Usiłowała jednak ukryć irytację - stąd kilka wersji listu w coraz spokojniejszym tonie. Pisała, żeby działał szybko,

póki Tyberiusz się nie spostrzeże, że nie ma w rzeczywistości zamiaru poślubić Heleny; a jeśli nie jest w tej chwili przygotowany do zabicia Tyberiusza i zawładnięcia państwem, to czy nie będzie lepiej, jeśli ona sama otruje Helenę?

Matka posłała po Pallasa, który siedział w bibliotece, zajęty zbieraniem materiału do mojej historii Etrusków. Kiedy się zjawił, kazała mu udać się do Sejana i w moim imieniu poprosić o pozwolenie przesłania Tyberiuszowi Historii Kartaginy. (Dzieło to właśnie ukończyłem i przed oddaniem czytelnikowi posłałem jedną z kopii swojej matce.)

Na Capri Pallas miał również w moim imieniu poprosić cesarza o łaskawe przyjęcie podarku.

Sejan chętnie udzielił pozwolenia; znał Pallasa jako niewolnika naszej rodziny i nie podejrzewał nic złego. Tymczasem w dwunastym tomie historii matka wkleiła listy Liwilli i odpowiedni komentarz od siebie. Pallas dostał wyraźny rozkaz doręczenia książek (które znajdowały się w zapieczętowanej paczce) tylko samemu Tyberiuszowi. Miał prosić o łaskawe przyjęcie dedykowanego egzemplarza i równocześnie oświadczyć, że pani Antonia załącza najserdeczniejsze pozdrowienia, sądzę jednak, że książki jej syna nie przedstawiają dla cesarza nic interesującego z wyjątkiem tomu dwunastego, który zawiei a istotnie ciekawą dygresję; ta jedna niewątpliwie zajmie go bardzo żywo.

Pallas po drodze zatrzymał się w Kapui i wstąpił do mnie. Powiedział, że wprawdzie postępuje wbrew wyraźnemu zakazowi mojej matki, lecz uważa mnie, nie ją, za swego pana, nie chce więc uczynić nic takiego, co by mnie mogło narazić, a był pewien, że osobiście nie miałem najmniejszego zamiaru przesyłania cesarzowi egzemplarza z dedykacją. Nie mogłem w pierwszej chwili zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć, a w szczególności zaintrygował mnie ów dwunasty tom. Podczas kiedy Pallas brał kąpiel i przebierał się, otworzyłem paczkę.

Na widok załączonych listów ogarnął mnie paniczny strach i przez chwilę

chciałem wszystko spalić. Zorientowałem się jednak, że jest to równie niebezpieczne jak dojście przesyłki do rąk adresata; zapieczętowałem więc paczkę z powrotem. Ponieważ matka używała duplikatu mojej własnej pieczęci, który jej dałem dla załatwienia spraw pieniężnych, więc nikt, nawet Pallas, nie mógł się domyślić, że paczka została otworzona. Wracając z Capri Pallas wstąpił znów do mnie i opowiedział, że Tyberiusz ot rzy ma wszy książki wybrał dwunasty tom i poszedł z nim do lasu. Po powrocie kazał mi przez Pallasa powiedzieć, że jeśli mam ochotę, to mogę mu dedykować książki, ale zastrzega się na przyszłość przed tak przesadnym stylem dedykacji. Wiadomość ta trochę mnie uspokoiła, lecz wiedziałem, że żadnym przyjacielskim słowem Tyberiusza nigdy nie można ufać.

Z obawą oczekiwałem dalszego rozwoju wypadków i miałem gorzki żal do matki, że wciągając mnie w walkę między Tyberiuszem a Sejanem, naraża moje życie na poważne niebezpieczeństwo. Myślałem o ucieczce, ale nie było dokąd uciekać.

Tymczasem zachorowała Helena. Teraz wiadomo, że nic jej właściwie nie było, tylko Liwilla dała jej do wyboru: albo położy się do łóżka i będzie udawać chorą, albo zachoruje naprawdę. Helena wybrała to pierwsze i przeniosła się z Rzymu do Neapolu, rzekomo dla odpowiedniejszego klimatu. Tyberiusz zgodził się odłożyć małżeństwo na czas nieokreślony, ale tytułował Sejana zięciem, jakby nim był w rzeczywistości. Podniósł go do stanu senatorskiego i mianował współ-konsulem i arcykapłanem. Następnie jednak uczynił krok, który wszystkie te zaszczyty obracał niemal wniwecz. Zaprosił mianowicie na Capri Kaligulę, który po kilkudniowym pobycie powrócił przywożąc do senatu list ogromnej wagi. W liście tym cesarz donosił, że mianuje Kaligulę swoim następcą. Zbadał bowiem dokładnie młodzieńca i doszedł do przekonania, że charakterem i usposobieniem różni się on zasadniczo od swoich braci. Z góry więc oświadcza, że nie jest skłonny dać wiary zarzutom, jakie by mógł kto wysunąć przeciw moralności i lojalności Kaliguli. Równocześnie Kaligula

został mianowany kapłanem i ofiarnikiem Augusta, a cesarz zwracał się z prośbą do konsula Eliana Sejana, aby wziął młodzieńca pod swoją opiekę i strzegł go od wszelkich niebezpieczeństw.

Kiedy w stolicy rozeszła się wieść o liście, zapanowała wielka radość.

Uczynienie Sejana odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Kaliguli pojęto jako przestrogą.

Cesarz, tłumaczono sobie, chce w ten sposób dać do zrozumienia komendantowi gwardii, że czas położyć kres walce prowadzonej z rodziną Germanika. W mianowaniu Sejana konsulem lud dopatrywał się złej wróżby. Pięć razy Tyberiusz piastował ten urząd i żaden z jego pięciu poprzednich kolegów nie umarł naturalną śmiercią (Warus, Gnejusz, Pizo, Germanik, Kastor).

Cieszono się nadzieją na lepsze czasy, jakie miały nastąpić pod rządami Germanikowego syna.

Tyberiusz wprawdzie zabił Nerona i Druzusa, mówiono, lecz najwyraźniej postanowił oszczędzić Kaligulę. W każdym razie następnym cesarzem nie będzie Sejan. Wszyscy z niewiadomych przyczyn byli przekonani, że Kaligula odziedziczył zalety swego ojca.

Tyberiusz, który doskonale przejrzał charakter mego bratanka, oświadczył mu bez ogródek, że uważa go za jadowitą zmiję. Jeśli go aż do tego czasu oszczędzał, to tylko dlatego, że serdecznie bawił się powszechnym *qui pro quo*, a rosnącą popularność Kaliguli postanowił wykorzystać dla zaszachowania Sejana i Liwilli.

Od czasu wizyty Kaliguli na Capri cesarz zaczął darzyć młodzieńca pewnym zaufaniem i wtajemniczać go w niektóre swe plany. Między innymi polecił mu, aby w rozmowach z gwardzistami wybadał, który z oficerów poza Sejanem ma największy wpływ na żołnierzy i czy jest równie śmiały i skłonny do nieprzebiegania w środkach jak dotychczasowy komendant. Kaligula w peruce z warkoczem, przebrany za kobietę., zaczął w towarzystwie młodych

prostytek włóczyć się wieczorami po szynkach odwiedzanych przez żołnierzy. Grubo uszminkowany, z wypchanym biustem, mógł uchodzić za dziewczynę, choć zbyt wysoką, a niezbyt ponętą. Opowiadał, że jest utrzymanką bogatego kupca, który daje jej pieniędzy, ile dusza zapagnie, na dowód czego stawiał wszystkim obecnym. Ta hojność uczyniła go bardzo popularnym i wkrótce zapoznał się ze wszystkimi garnizonowymi plotkami.

Powtarzało się w nich stale nazwisko kapitana Makrona. Był to syn jednego z Tyberiuszowych wyzwoleńców i jak z opowiadań można było wnioskować, najbardziej morowy chłop w całym Rzymie. Żołnierze jednogłośnie wysławiali jego pijackie popisy, wyczyny z prostytutkami i przytomność umysłu w trudnych sytuacjach, dzięki którym cieszył się miem u reszty oficerów. Nawet Sejan czuł przed nim respekt. Żołnierze powtarzali, że Makron to jedyny człowiek, który go dorósł. Pewnego wieczoru Kaligula zaczepił Makrona, wyjawiał mu skrycie, kim jest, po czym obydwaj spacerowali razem i odbyli podczas tego spaceru dłuższą rozmowę.

Tyberiusz zaczął teraz pisywać do senatu dziwne listy. Raz skarżył się na kiepski stan zdrowia; był prawie umierający, to znów donosił, że nagle wyzdrowiał i lada dzień przybędzie do Rzymu. Dziwne były też ustępy dotyczące Sejana; równocześnie wynosił go pod niebiosa i robił złośliwe przytyki. Sprawiało to wrażenie, że cesarz na starość zaczyna mieć nie wszystkie klepki w porządku. Sejan był zupełnie zdezorientowany i nie mógł się zdecydować, czy rozpocząć bunt, czy pozostać na swym stanowisku, które dotychczas było bardzo mocne, i czekać, aż Tyberiusz umrze lub aż go jako całkiem zniedołężniałego będzie można odsunąć od władzy. Miał ochotę pojechać na Capri i osobiście się przekonać, jak rzeczy stoją. Zwrócił się więc z prośbą do Tyberiusza, aby wolno mu było odwiedzić go w dzień urodzin. Tyberiusz jednak odpisał, że jako konsul powinien pozostać w Rzymie; już i tak zasada ta została mocno naruszona przez to, że on sam bawi stale poza stolicą. Wtedy Sejan napisał, że otrzymał wiadomość od Heleny: jest bardzo chora i

prosi, żeby ją odwiedzić w Neapolu; czy cesarz pozwoliłby mu wyjechać tylko na jeden dzień? Z Neapolu przecież jest zaledwie godzina drogi na Capri. Tyberiusz odpowiedział, że Helena, która zresztą ma przy sobie najlepszych lekarzy, musi w tym wypadku trochę poczekać, gdyż on sam wybiera się do Rzymu i życzy sobie, aby Sejan powitał go w stolicy. W tym samym czasie umorzył sprawę przeciwko byłemu namiestnikowi Hiszpanii, którego Sejan oskarżył o zdrzierstwa i wymuszenia. Zdaniem Tyberiusza, przedstawione dowody winy były pełne sprzeczności.

Ponieważ dotychczas w podobnych wypadkach nigdy nie omieszkał poprzeć swego zausznika, Sejan był nie na żarty zaniepokojony, tym bardziej że okres konsulatu miał się ku końcowi. W dniu, w którym Tyberiusz zapowiedział swój przyjazd, Sejan czekał go z batalionem gwardii przy świątyni Apollina, gdzie ostatnio zbierał się senat podczas remontu swojej stałej siedziby. Nagle nadjechał Makron. Zapytany, dlaczego opuścił koszary, wyjaśnił, że zawozi do senatu list Tyberiusza.

- Dlaczego ty? - spytał podejrzliwie Sejan.

- A dlaczego niby nie ja?

- Lecz dlaczego nie ja?

- Ponieważ w liście jest mowa o tobie - i zniżając głos Makron szepnął: - Najserdeczniejsze gratulacje, generale. Czeka cię niespodzianka. Masz zostać trybunem ludowym. To znaczy tyle, że będziesz cesarzem.

Sejan nie spodziewał się w rzeczywistości przybycia Tyberiusza, lecz był bardzo zaniepokojony jego milczeniem w ostatnich czasach. Teraz, uradowany, pobiął czym prędzej do senatu.

Kiedy Sejana nie było już widać, Makron zwrócił się do żołnierzy:

- Chłopcy! - zawołał. - Cesarz mianował mnie waszym dowódcą na miejsce Sejana.

Oto nominacja! Wracajcie do koszar i powiedzcie towarzyszom, że Makron objął komendę i że każdego z żołnierzy, który się będzie dobrze

sprawował, czeka trzydzieści sztuk złota. Kto z oficerów jest tutaj najstarszy rangą? Ty? Dobrze. Odprowadź batalion do koszar. Ale spokojnie!

Kiedy batalion odmaszerował, Makron wezwał komendanta gwardii, który już przedtem został uprzedzony, i polecił mu obstawić świątynię swymi ludźmi.

Następnie wszedł do środka i oddał list Tyberiusza konsulom, i wyszedł, zanim zaczęto czytać pismo cesarskie. Stwierdził z zadowoleniem, że gwardziści są już na swoich miejscach, i pośpieszył do koszar, żeby zapobiec tam jakimś ewentualnym rozruchom.

Tymczasem wiadomość o nominacji Sejana rozeszła się już wśród senatorów i każdy spieszył złożyć życzenia nowemu trybunowi. Wreszcie starszy konsul przeprosił i zaczął odczytywać list Tyberiusza. Cesarz tłumaczył się, jak zwykle, z niemożności wzięcia udziału w obradach - nawał pracy i zły stan zdrowia - następnie przeszedł do spraw ogólnych, a wreszcie z lekkim niezadowoleniem wspomniał o sprawie byłego namiestnika; Sejan, jego zdaniem, nie powinien był, nie mając dostatecznych dowodów, śpieszyć się z oskarżeniem.

Sejan z uśmiechem słuchał tych wymówek; Tyberiusz stale poprzedzał nimi nadanie komuś nowych zaszczytów. Lecz tym razem ton listu z każdym ustępem stawał się coraz surowszy i uśmiech zniknął z twarzy prefekta. Nadskakujący mu przed chwilą senatorowie słuchali lektury w grobowym milczeniu; kilku siedzących obok, mruknąwszy pod nosem jakieś przeproszenie, przeniosło się na drugą stronę. List kończył się zarzuceniem Sejanowi poważnych wykroczeń. Zdaniem cesarza, wuj Sejana, Juniusz Blezus, który odniósł zwycięstwo nad Takfarinasem, i jeszcze jeden przyjaciel Sejana powinni być ukarani, a on sam winien zostać natychmiast uwięziony. Konsul, któremu Makron już uprzednio zakomunikował życzenie Tyberiusza, zawołał:

- Sejanie, zbliż się!

Sejan nie dawał wiary własnym uszom. Wciąż oczekiwał, że koniec listu

przyniesie mu nominację na trybuna. Konsul musiał dwukrotnie powtórzyć wezwanie, zanim je Sejan zrozumiał.

- Mnie wołasz? Mnie masz na myśli? - pytał jeszcze.

Gdy tylko stało się jasne, że Sejan jest nieodwołalnie zgubiony, przeciwnicy jego podnieśli niehumanitarną wrzawę, a przyjaciele i krewni, drżąc o własną skórę, dzielnie sekundowali okrzykom i gwizdom. Sejan znalazł się sam. Wreszcie hałas ucichł i konsul zapytał, czy senat podziela zdanie cesarza.

- Tak! Tak! - krzyczano ze wszystkich stron.

Przywołanemu komendantowi gwardii konsul wydał odpowiednie zlecenia. Kiedy Sejan zamiast gwardii, która odeszła, zobaczył stojących przed świątynią innych gwardzistów, zrozumiał, że wpadł w potrzask. Tymczasem pospólstwo, zasłyszawszy o wypadkach w senacie, zaczęło się gromadzić na ulicach. Prowadzonego do więzienia powitał nieprzyjazny pomruk tłumu, a wraz z nim posypały się grudy błota. Kiedy Sejan zasłonił twarz płaszczem, zaczęto krzyżeć, że jeśli jej nie odkryje, zabiją go na miejscu. Uczynił więc zadość żądaniu i bryły ziemi zaczęły lecieć tym gęściej. Po południu, gdy gwardia nie pokazała się na mieście, a tłum groził wdarciem się do więzienia i zabiciem Sejana, senat nie chcąc, aby go pospólstwo wyprzedziło w gotowości spełnienia życzeń cesarza, skazał prefekta na śmierć.

Kaligula bezzwłocznie za pomocą sygnałów świetlnych przesłał wiadomość Tyberiuszowi, który poprzednio kazał przygotować statki, aby na wypadek pokrzyżowania się planów uciec do Egiptu. Sejan został ścięty, a zwłoki jego wystawiono na widok publiczny na Schodach Żałości. Przez całe trzy dni tłuszcza znęcała się nad trupem. Kiedy wreszcie miano go zawlec do Tybru, pospólstwo zabrało głowę i zaniósł do łaźni publicznej, gdzie bawiono się nią jak piłką. Ocalała zaledwie połowa tułowia. Ulice Rzymu były dosłownie zasłane szczątkami niezliczonych posągów Sejana potłuczonych przez tłum.

Dzieci, które miał z małżeństwa z Apikatą, zostały skazane na śmierć. Ponieważ z dwóch chłopców młodszy był jeszcze niepełnoletni i prawnie nie

podlegał karze śmierci, korzystając z precedensu, jaki zaistniał w czasie Wojny Domowej, kazano mu na egzekucję przywdziać męską togę. Trudniejsza była sprawa z córką, czternastoletnią dziewczynką, ongiś narzeczoną mego syna Druzylla. Nie zdarzyło się dotąd, by stracono dziewicę, zwłaszcza jeśli jedyną jej winą było, że urodziła się córką swego-ojca. Kiedy ją aresztowano, nie zdawała sobie sprawy z tego, co zaszło, i prosiła z płaczem: "Nie bierzcie mnie do więzienia. Dajcie mi lepiej w skórę. Już więcej tego nie zrobię." Najwidoczniej miała na sumieniu jakieś dziecinne grzechy i myślała, że za nie ją karzą. Ponieważ stracenie dziewicy mogło przynieść nieszczęście, Makron wydał polecenie, aby oprawca ją przedtem zgwałcił.*[* O wstrząsającej tej zbrodni wzmiankuje Tacyt, Roczniki, ks. V, r. 9.] Kiedy usłyszałem o tym rozkazie, szepnąłem ze zgrozą: "Rzymie, Rzymie, oto nadchodzi twój kres; tak potwornej zbrodni niczym się nie da odpokutować." Wezwałem też co rychlej bogów na świadków, że chociaż jestem krewnym cesarza, nie mam żadnego udziału w rządach i nie mogąc pomścić zbrodni przeklinam ją wraz z niebianami.

Kiedy Apikata dowiedziała się o losie swych dzieci i zobaczyła, jak pospólstwo pastwi się nad ich zwłokami, odebrała sobie życie. Przedtem jednak napisała do Tyberiusza list, donosząc mu, że Kastor został otruty przez Liwillę, która wraz z Sejanem zamierzała opanować tron. Przy czym całym ciężarem winy obarczyła moją siostrę. Kiedy matka, która dotychczas nie wiedziała nic o zamordowaniu Kastora, wezwana na Capri, stanęła przed Tyberiuszem, ten, podziękowawszy jej za oddane usługi, pokazał list Apikaty.

Nadmienił równocześnie, że w nagrodę za to, co dla niego uczyniła, gotów jest spełnić każde jej życzenie. Matka odparła, że prosi jedynie o to, aby skandal nie splamił naszego nazwiska:

Liwilla nie może być stracona publicznie ani zwłoki jej wystawione na Schodach Żałości.

- Więc jak ją mam ukarać? - zapytał ostro Tyberiusz.

- Daj ją mnie. Ja ją ukarzę.

W stosunku do Liwilli nie wszczęto więc żadnych dochodzeń. Matka moja zamknęła ją w pokoju obok swego i zagłodziła na śmierć. Dzień po dniu i noc po nocy słyszała rozpaczliwe krzyki i klątwy, coraz słabsze, coraz cichsze. Mogła wprawdzie zamknąć córkę w podziemiu, skąd by żaden głos nie doleciał. Jeśli tego nie uczyniła, to nie dlatego, żeby lubowała się w jękach torturowanej ofiary; przeciwnie - słuchanie ich sprawiało jej niewymowną boleść. Chciała jednak ukarać samą siebie za to, że wychowała podobnego potwora.

Po straceniu Sejana sypnął się grad wyroków śmierci.*[* O rozszalałym terrorze i krwawych masowych represjach po upadku wszechwładnego prefekta pretorianów, zbrodniczego Sejana, opowiada Tacyt: "Leżały wszędzie różnego stanu, różnej płci martwe ciała, jedne w stosach, drugie tam i ówdzie rozmiotane. Żadnemu z przyjaciół, z powinowatych nie tylko płakać, ale się zbliżyć i patrzeć nie godziło, bo rozstawione żołnierstwo szpiegowało wszędy, póki na pół zropiałych trupów w Tyber nie wrzucono.

Żaden się nawet nie ważył pływających lub wyrzuconych na brzeg pogrzebem uczcić.

Okropna bojaźń - samej natury ludzkiej obowiązków przerwała wzajemność, a im się bardziej siliło okrucieństwo, tym srożej tłumiono litość" - Roczniki, ks. VI, r. 19

(przekład Adama Naruszewicza). - "Stracona została staruszka Witia, że opłakiwała śmierć syna", tamże, r. 10.]

Skazano wszystkich jego przyjaciół, którzy nie dość szybko zmienili taktykę, i znaczną część tych, którzy to pośpiesznie uczynili. O ile nie pospieszili się z odebraniem sobie życia własną ręką, strącano ich z Tarpejskiej Skały Kapitelu. Majątek ich ulegał konfiskacie.

Oskarżyciele jednak nie bardzo się przy tej sposobności obłowili; Tyberiusz stał się ostatnio oszczędny. Za radą Kaliguli wytaczał procesy oskarżycielom, którym przypadały w udziale poważniejsze sumy, i w ten sposób

konfiskował ich majątki. Około sześćdziesięciu senatorów, dwustu rycerzy i ponad tysiąc pospólstwa zginęło w tym czasie.

Swoje spowinowacenie z rodziną Sejana mógłbym przypłacić głową, gdybym nie był synem Antonii. Pozwolono mi rozwieść się z Elią i zatrzymać ósmą część jej posagu.

Zwróciłem cały. Niewątpliwie doszła do przekonania, że zwariowałem. Chciałem ją jednak w ten sposób poniekąd wynagrodzić za to, że zabrałem naszą córkę.

Antonię, jak tylko przyszła na świat. Kiedy bowiem Elia wyczuła, że stanowisko jej brata zaczyna być niepewne, zaproponowała mi sama stosunki małżeńskie i zaszła w ciążę.

Chciała w ten sposób się zabezpieczyć, na wypadek gdyby Sejan popadł w niełaskę; wydawało się mało prawdopodobne, aby Tyberiusz skazał na śmierć kobietę dźwigającą w swym łonie dziecko jego bratanka. Rozwód z Elią napełnił mnie radością. Nie byłbym jednak pozbawiał jej dziecka, gdyby nie nastawała na to moja matka, która koniecznie chciała chować Antonię. Znane pragnienie babek.

Z całej rodziny Sejana uratował się jedynie jego brat, a ocalenie swoje zawdzięczał najdziwniejszej okoliczności, mianowicie temu, że publicznie wykpił łysinę Tyberiusza. W ubiegłym roku wypadło mu przewodniczyć podczas uroczystości w dniu święta Flory.

Wybrał samych łysych do odprawiania ceremonii; uroczystości przeciągnęły się do wieczora i wychodzącym z teatru widzom przyświecało pochodniami pięć tysięcy dzieci z ogolonymi głowami. Tyberiuszowi doniesiono o tym w obecności Nerwy i cesarz, aby zrobić dobre wrażenie na przyjacielu, rzekł:

- Daruję mu to. Jeżeli Juliusz Cezar nie obrażał się o żarty ze swojej łsiny, mnie nie wypada o moją bardziej dbać.

Przypuszczam, że i po upadku Sejana Tyberiusz dla tego samego kaprysu

postanowił być nadal wspaniałomyślny.

Tymczasem Helenę za zwykłe udawanie choroby spotkała kara. Tyberiusz wydał ją za mąż za Blandusa, nieokrzesanego prostaka, którego ojciec, rycerz z prowincji, przybył do Rzymu jako nauczyciel retoryki. Stryj mój dopuścił się podłości, gdyż Helena była jego wnuczką i ten związek przynosił ujmę całej naszej rodzinie. Mówiono, że nie trzeba sięgać daleko w genealogię Blandusa, aby trafić na niewolnika.

Tyberiusz zrozumiał, że jedyną jego obroną przeciw ludowi i senatowi jest gwardia.

Toteż kazał służącym w niej żołnierzom wypłacić nie po trzydzieści aureusów na głowę, jak przyrzekł Makron, lecz po pięćdziesiąt. Miał powiedzieć do Kaliguli: "Nie ma w Rzymie człowieka, który by z radością nie rzucił się na mnie z zębami." Gwardziści, chcąc zmanifestować swoje uczucia względem Tyberiusza, wystąpili ze skargą, że nie im, ale innej gwardii oddano straż nad Sejanem, i na znak protestu opuścili koszary i poszli plądrować przedmieścia. Makron pozwolił im hulać całą noc, ale tych, którzy się nie stawili do rannego raportu, kazał prawie na śmierć zaćwiczyć różgami.

32 r. n.e.

Po pewnym czasie Tyberiusz ogłosił amnestię. Nikogo nie wolno było pociągać do odpowiedzialności za to, że był politycznym stronnikiem Sejana, a jeśli kto chciał po nim nosić żałobę, mógł to czynić zupełnie swobodnie. Sejan bowiem poniósł karę za swoje winy i można było przypomnieć sobie o jego zasługach. Wielu ludzi skorzystało z tego pozwolenia, przypuszczając, że postępują w myśl Tyberiuszowych życzeń. Przypuszczenie okazało się fałszywe. Wkrótce wytoczono im procesy na podstawie najzupełniej nieuzasadnionych oskarżeń, przeważnie o kazirodztwo. Wszyscy zostali skazani na śmierć.

Może czytelnikom mym wyda się dziwne, że po tej rzezi w ogóle pozostali jeszcze jacyś senatorowie i rycerze. Odpowiedź jest prosta: Tyberiusz

uzupełniał przerzedzone wyrokami śmierci szeregi stanów. Pochodzenie z wolnych rodziców, nieskazitelna przeszłość i odpowiednia liczba tysięcy sztuk złota wystarczały w zupełności, aby stać się członkiem znakomitego stanu możnowładców. Nie brakło też chętnych, chociaż suma wkupu była wcale pokaźna. Tyberiusz z wiekiem stawał się coraz chciwszy. Uważał, że bogaci ludzie powinni pozostawiać mu w spadku przynajmniej połowę swojego majątku. Jeżeli zaś który zawiódł jego nadzieję, unieważniał na podstawie jakiejś formalnej niedokładności testament i przywłaszczał sobie cały majątek, nie zostawiając spadkobiercom ani grosza. Na budowle publiczne nie miał nigdy pieniędzy, nawet świątynia Augusta pozostawała nie dokończona; ograniczył rację zboża rozdawanego za darmo i przydział bezpłatnych miejsc na widowiska.

Regularnie wypłacał tylko żołd. O prowincje przestał się troszczyć zupełnie, byleby tylko daniny i podatki wpływały jak należy; nie fatygował się nawet mianować nowego namiestnika, jeśli poprzedni umarł. Pewnego razu przed cesarzem stanęła deputacja Hiszpanów ze skargą, że już od czterech lat nie mają namiestnika, a urzędnicy pozbawieni zwierzchnika grabią na wszystkie strony, co tylko się da. - Proście o nowego namiestnika? - zdziwił się Tyberiusz. Po cóż wam to? - Przywiezie ze sobą tylko nowych urzędników i będzie wam jeszcze gorzej niż teraz. Posłuchajcie lepiej, opowiem wam następującą historię:

Pewnego razu ciężko ranny żołnierz leżał na poboju i czekał, aż się zjawi cyrulik i opatrzy mu rany, na których roiło się od much. Lżej ranny towarzysz, zobaczywszy to, zaczął odpędzać owady. "Nie rób tego! - krzyknął pierwszy. - Muchy opiły się już moją krwią i nie są tak natrętne jak z początku. Jeżeli je odpędzisz, ich miejsce zajmą inne, wygłodzone, a wtedy będzie po mnie."

Pozwolił Fartom napaść na Armenię, zadunajskim plemionom najechać Półwysep Bałkański i Niemcom zapuszczać zagony poza Ren, do Francji. Pod

najbliższym pretekstem zabierał państewka sprzymierzonym naczelnikom plemion i książątkom we Francji, Hiszpanii, Syrii i Grecji. Zagarnął także skarb Wononesa. Czytelnik przypomina sobie, że Wonones był niegdyś królem Armenii i jedną z przyczyn zatargu mego brata Germanika z Pizonem. Otóż teraz Tyberiusz wysłał swoich zauszników, aby pomogli Wononesowi uciec z Cylicji, gdzie Germanik umieścił go pod strażą. Następnie Wononesa zamordowano.

Szpiedzy zaczęli teraz oskarżać bogatych ludzi o pożyczanie pieniędzy na lichwiarski procent. Prawnie stopa procentowa nie powinna była przekraczać półtora od stu.

Ale o ustawie tej od dawna zapomniano i nie było prawie senatora, który by nie miał na sumieniu wykroczenia przeciwko niej. Kiedy Tyberiusz przywrócił do życia ustawę o lichwie, przybyła do niego deputacja z prośbą, aby udzielił półtorarocznej zwłoki dla uporządkowania spraw majątkowych i przystosowania ich do litery prawa. W dowód wielkiej łaski zgodził się spełnić prośbę. W rezultacie zaczęto wycofywać wszystkie wierzytelności, co pociągnęło za sobą brak monety obiegowej. Do podniesienia stopy procentowej przyczynił się głównie, choć pośrednio, sam Tyberiusz, gromadząc w skarbcu olbrzymie zapasy złota i srebra. Teraz, kiedy wybuchła panika i majątki ziemskie zaczęły gwałtownie spadać w cenie, musiał, chcąc ratować sytuację, udzielić bankom bezprocentowej pożyczki w wysokości miliona aureusów, która poszła na spłacenie wierzytelności zabezpieczonych na hipotekach gruntowych.

Nigdy by tego nie był uczynił, gdyby nie Nerwa, którego rady od czasu do czasu jeszcze zasięgał. Nerwa przebywał stale na Capri. Ponieważ cesarz starannie ukrywał przed jego okiem swoją rozpustę, a wiadomości z Rzymu były pilnie cenzurowane, Nerwa był bodaj jedynym człowiekiem, który wciąż wierzył w szlachetność Tyberiusza. Jak w kilka lat później dowiedziałem się od Kaliguli, Tyberiusz wytłumaczył przyjacielowi, że jego uszminkowani faworyci

to biedne sieroty, którymi się zaopiekował z litości: przeważnie takie, którym brak piątej klepki, stąd ten ich dziwaczny strój i zachowanie. Lecz czyż Nerwa był naprawdę tak krótkowzroczny i tak naiwny, by temu uwierzyć?

ROZDZIAŁ XXVIII

O ostatnim pięcioleciu Tyberiuszowych rządów opowiem możliwie pobieżnie. Tak będzie najlepiej. Nie mam sił rozpisywać się o zagłodzonym na śmierć Neronie ani o Agryppinie, która widząc, że pomimo upadku Sejana sytuacja jej się nie poprawia, po krótkotrwałym okresie nadziei popadła w zupełne zwątpienie i odmówiła przyjmowania pokarmów; przez pewien czas odżywiano ją siłą, wreszcie znękaną do cna pozwolono umrzeć. Nie chcę też pisać o Gallusie, który umarł na suchoty, ani o Druzusie, który ze swojej izby na poddaszu przeniesiony został do ciemnego lochu; po pewnym czasie znaleziono go nieżywego; w ustach miał pełno strzępów siennika, który pogryzł w głodowej męce.*[*

Autentyczność tego faktu potwierdzają: Tacyt, Roczniki, ks. VI, r. 23, oraz Swetoniusz, Tyberiusz, r. 54.] Wypada mi jednak wspomnieć o radosnych listach, jakie Tyberiusz wystosował do senatu w związku ze śmiercią Nerona i Agryppiny. Oskarżał ją teraz o zdradę i romans z Gallusem; żałował też, że ”nawał spraw państwowych zmusił go do odwleczenia sprawy tego ostatniego, skutkiem czego nie zdołano mu przed śmiercią udowodnić winy”.

Druzusa nazwał największym rozpustnikiem, zdrajcą i łajdakiem, jakiego kiedykolwiek widział w życiu. Na poparcie tej opinii kazał odczytać w senacie raport oficera gwardii, pod którego strażą znajdował się więzień; w raporcie był przytoczony cały szereg

„buntowniczych” zdań Druzusa.

Nigdy jeszcze senat nie słuchał tak bolesnego sprawozdania. Ze słów Druzusa wynikało całkiem jasno, że był bity i torturowany, że go znieważał oficer, żołnierze, a nawet niewolnicy; że z wymyślnym okrucieństwem z dnia na dzień, okruszyna po okruszynie i kropla po kropli zmniejszano mu porcje jedzenia i wody. Na zakończenie kapitan odczytał klątwę konającego więźnia.

Była to dzika, ale nie pozbawiona ładu i składu modlitwa, w której Druzus, błagając bogów o pomstę, zarzucił Tyberiuszowi sknerstwo, wiarołomstwo, porubstwo, lubowanie się w okrucieństwach, zamordowanie Germanika i Postuma i wiele innych zbrodni, z których większą część cesarz rzeczywiście popełnił, ale o których nigdy dotąd publicznie nie wspomiano; ten bezmiar cierpień i nieszczęść, których Tyberiusz stał się przyczyną, niech spadnie na jego głowę - błagał bogów nieszczęśliwy Druzus - na jawie czy we śnie, w nocy czy w dzień niech go przytłacza coraz większym brzemieniem; niech mu zatruje ostatnią godzinę życia; niech go przed trybunałem podziemnych sędziów skaze na wieczne męczarnie. Dalsze czytanie raportu przerwały okrzyki senatorów, rzekomo oburzonych buntowniczymi obelgami, w rzeczywistości usiłujących "ochami" i „achami" pokryć zdumienie. Nie mieściło im się w głowie, żeby Tyberiusz dobrowolnie odsłaniał im aż tyle własnej nikczemności. Słyszałem później od Kaliguli, że Tyberiusz czuł się w tym czasie bardzo kiepsko; dręczyła go bezsenność, zabobonne lęki i liczył, że wzbudzi w senacie współczucie dla siebie. Ze łzami w oczach zapewniał Kaligulę, że konieczność mordowania własnych krewnych napełniała go najwyższą odrazą. Zmuszały go do tego ich wygórowane ambicje i augustowska racja stanu (wyraźnie mówił o Augustie, nie o Liwii), która dobro państwa kazała stawiać wyżej od osobistych uczuć. Kaligula, któremu postępowanie Tyberiusza z jego matką i braćmi nie wycisnęło ani jednej łzy, nie wyrwało ani jednego słowa oburzenia, znalazł teraz dla starego tyrana wyrazy współczucia i pociechy, a następnie czym prędzej zmienił temat i zaczął opowiadać o nowym rodzaju rozpusty, z którym go zapoznał pewien Syryjczyk. Był to jedyny sposób rozweselenia Tyberiusza, kiedy przychodziły nań chwile wyrzutów sumienia. Druzusa zdradziła Lepida, ale niewiele go przeżyła.

Oskarżono ją bowiem o popełnienie cudzołóstwa z niewolnikiem, czemu nie mogła zaprzeczyć, gdyż przyłapano ją z nim w łóżku. Odebrała sobie życie.

Kaligula większą część czasu spędzał na Capri, lecz nierzadko zaglądał

do Rzymu, żeby zgodnie z wolą Tyberiusza mieć oko na Makrona. Makron spełniał teraz wszystkie te obowiązki, co poprzednio Sejan. Był jednak na tyle rozsądny, iż dał do zrozumienia senatowi, że nie życzy sobie żadnych zaszczytów i że senator, który by postawił wniosek o takie czy inne uczczenie go, znajdzie się w najbliższym czasie przed sądem, oskarżony o zdradę stanu, kazirodztwo lub fałszerstwo. Tyberiusz z różnych przyczyn mianował Kaligulę swym następcą. Po pierwsze, Kaligula, jako syn Germanika, cieszył się dużą popularnością i obawa, aby w razie jakich zamieszek nie został ukarany śmiercią, utrzymywała lud w karbach posłuszeństwa. Po drugie, Kaligula można było się świetnie w różnych sprawach posługiwać, a był tak do szpiku kości zepsuty, że Tyberiusz wydawał się przy nim chodzącą cnotą. Po trzecie wreszcie, cesarz nie wierzył, żeby Kaligula miał istotnie objąć kiedykolwiek rządu.

Trazył, którego przepowiedniom wierzył ślepo, gdyż żadna z nich dotąd go nie zawiodła, zapewniał, że Kaligula prędeż galopem przebędzie konno zatokę z Bajów do Puteoli, niż zostanie cesarzem. Innym zaś razem oświadczył:

- Jeszcze za dziesięć lat Tyberiusz Cezar będzie cesarzem.

Przepowiednia ta rzeczywiście się spełniła, tylko, jak się okazało, tyczyła innego Tyberiusza Cezara.

Tyberiusz wiedział dużo, ale niektóre rzeczy Trazył ukrywał przed nim. Tyberiusz znał na przykład przyszłość Gemella, swego wnuka. (W rzeczywistości Gemellus nie był jego wnukiem, gdyż ojcem jego nie był Kastor, lecz Sejan.) Pewnego dnia powiedział Kaliguli:

- Uczynię cię moim głównym spadkobiercą. Na wypadek gdybyś umarł, drugim spadkobiercą zrobię Gemella, ale to tylko formalność. Wiem, że go zabijesz.

Później jednak inni zabiją ciebie.

Mówiąc to miał nadzieję przeżyć i Gemella, i Kaligulę. Zakończył cytatem z jakiejś greckiej tragedii:

- "Kiedy umrę, niech Ogień pochłonie Ziemię."

Na razie jednak żył jeszcze.

Szpiedzy uwijali się co sił i każdy rok przynosił coraz więcej wyroków śmierci.

Trudno już było znaleźć senatora, który by swoją godność piastował od czasów Augusta.

Makron był bardziej łąsy na krew niż Sejan i mniej miał skrupułów w jej przelewaniu. Sejan był przynajmniej synem rycerza, a ojciec Makrona urodził się w niewoli. Wśród ofiar znalazła się teraz i Plancyna, której po śmierci Liwii nie miał kto ochraniać. Oskarżono ją ponownie o otrucie Germanika - należała przecież do zamożnych osób. Tyberiusz nie pozwolił wytoczyć jej procesu za życia Agryppiny; nie chciał, aby ofiara jego ucieszyła się wieścią o pomszczeniu śmierci męża. Choć Plancyna nie czekając na wyrok popełniła samobójstwo, zwłoki jej wystawiono na Schodach Żalości. Wyznam otwarcie, że ta wiadomość nie zasmuciła mnie zgoła.

Przy obiedzie Tyberiuszowi towarzyszył zwykle Nerwa. Pewnego dnia senator, tłumacząc się brakiem apetytu, nie chciał wziąć do ust ani kęsa. Ponieważ dotychczas cieszył się doskonałym zdrowiem i pozornie przynajmniej okazywał zadowolenie z zacisznego życia, jakie pędził na Capri, cesarz nie nalegał, przypuszczając, że staruszek wziął poprzedniego wieczoru na przeczyszczenie i chce zachować dietę. Gdy jednak ta sarna historia powtórzyła się drugiego i trzeciego dnia, zaczął podejrzewać, że Nerwa postanowił w ten sposób popełnić samobójstwo. Przysiadł się doń i prosił, by mu wyjawiał przyczyny tego postu, Nerwa, przepraszając, powtórzył tylko swoje poprzednie wyjaśnienie. Po prostu nie był głodny.

Tyberiusz gubił się w domysłach: może Nerwa się obraził, że nie usłuchał wcześniej jego rady mającej na celu zapobieżenie kryzysowi finansowemu?

- A czy nabrałbyś apetytu, gdybym odwołał wszystkie ustawy, w których - twoim zdaniem - zbyt silnie obniżyłem stopę procentową? - zapytał.

- To zupełnie nie wpływa na mój apetyt - zaprzeczył Nerwa - Po prostu nie jestem głodny.

Następnego dnia Tyberiusz zaczął z innej beczki.

- Napisałem do senatu - rzekł. - Poinformowano mnie bowiem, że jakichś dwóch czy trzech ludzi zrobiło sobie z donosicielstwa zawód, i to wcale intratny. Nie przyszło mi nigdy do głowy, żeby ustanowienie nagrody za lojalność względem państwa miało zachęcić ludzi do tak niecnego postępowania. Prowokują swych znajomych, a następnie ich oskarżają.

I zdaje się, że niejeden tego rodzaju wypadek miał miejsce. Poleciałem więc bezzwłocznie senatowi, żeby karał śmiercią każdego, komu tylko udowodnią utrzymywanie się z tak haniebnego procederu. No, może teraz przekąsisz cokolwiek?

Nerwa podziękował cesarzowi, pochwalił jego postępek, ale w dalszym ciągu nie miał apetytu. Tyberiusz był zrozpaczony.

- Jeśli nie będziesz jadł, to umrzesz przecież! - zawołał. - A cóż ja wtedy zrobię?

Wiesz, jak bardzo cenię sobie twoją przyjaźń i twoje rady. No, zjedz cokolwiek, błagam cię!

Jeżeli umrzesz, ludzie pomyślą, że to ja cię wyprawiałem na tamten świat, a przynajmniej, że popełniłeś samobójstwo z nienawiści do mnie. Nie umieraj, Nerwo! Tyś jeden z przyjaciół pozostał mi na świecie.

- Nie prosź mnie, Cezarze - odparł Nerwa. - Choćbym nawet spróbował coś przełknąć, żołądek odda wszystko z powrotem. Jestem jednak pewien, że nikt nie będzie z powodu mojej śmierci wygadywał takich okropności, jak przypuszczasz. Ludzie wiedzą doskonale, że jesteś mądrym i pełnym dobroci władcą; nie mają też najmniejszego powodu podejrzewać mnie o niewdzięczność. Nieprawdaż? Jeżeli muszę umrzeć, no to muszę. Rzecz bardzo prosta.

Wszystkich nas czeka śmierć, a przynajmniej tyle mam pociechy, że nie

przeżyję ciebie.

Tyberiusz nie dał się przekonać, lecz Nerwa już był zbyt osłabiony, żeby odpowiadać na pytania. Umarł po dziewięciu dniach postu.

Umarł też Trajyl. Śmierć jego została zapowiedziana przez jaszczurkę. Gdy pewnego dnia jadł z Tyberiuszem śniadanie na świeżym powietrzu, nagle przez stół przebiegła mała jaszczureczka.

- Przyszłaś po mnie, siostrzyczko? - zapytał Trajyl zwierzątko, które przystanęło przed jego ręką. - Właśnie cię oczekiwałem. - A potem zwracając się do Tyberiusza: - Nadchodzi moja godzina, Cezarze. Bywaj zdrów. Nie okłamałem cię nigdy. Ty mnie - nie raz.

Strzeż się, kiedy twoja jaszczurka da ci znak.

Z tymi słowy przymknął oczy i w kilka chwil później nie żył.

Tyberiusz hodował u siebie najdziwniejsze zwierzę, jakie kiedykolwiek oglądano w Rzymie. Był to jaszczur długości dziewięciu stóp, cały pokryty łuską, o odrażającym łbie i spiczastym języku. Pochodził z wyspy leżącej na południe od Indii, zwanej Jawą.

Wielki podziw wzbudziły w Rzymie żyrafy, kiedy pojawiły się po raz pierwszy, i nosorożec, ale ten potwór, choć mniejszy, przewyższał je swym niewiarygodnym wyglądem. Kiedy ujrzał go Tyberiusz, zawołał, że od tej chwili nie wątpi dłużej o istnieniu bestii, które zabijali Herkules czy Tezeusz. Jaszczur, który otrzymał nazwę Bezskrzydłego Smoka, wydawał wstrętą woń, był z natury złośliwy, a obyczajnie miał zgoła plugawe. Tyberiusz karmił go co dzień własnoręcznie karaluchami, zdechłymi myszami i tym podobnym paskudztwem. Pan i zwierzę rozumieli się wzajem doskonale. Kiedy Trajyl wspomniał o jaszczurce, cesarz myśląc, że wróżbita przestrzega go przed ukąszeniem smoka, kazał zwierzę zamknąć w klatce zbudowanej z tak gęsto obok siebie stojących prętów, by nie mogło przez nie wystawić swego wstrętnego łba.

Tyberiusz miał teraz siedemdziesiąt osiem lat, a ciągle używanie mirry i

tym podobnych afrodyzjaków podkopało jego siły. Ubierał się jednak w dalszym ciągu z wytworną elegancją, a zachowywał się jak mężczyzna w średnim wieku. Po śmierci Nerwy i Trazyła dość miał pobytu na Capri: w marcu następnego roku postanowił wyzwąć los i udać się do Rzymu. Podróżując wolno zatrzymał się na ostatni popas w willi przy Drodze Appijskiej, skąd było już widać mury miasta. Następnego dnia po przybyciu przyszedł ostrzegawczy znak. Kiedy w południe Tyberiusz chciał nakarmić smoka, zastał zwierzę nieżywe. W klatce uwijała się gromada wielkich czarnych mrówek usiłujących dostać się do pokrytego łuskami mięsa. Tyberiusz dopatrzył się w tym wypadku ostrzeżenia, że jeśli ruszy do Rzymu, umrze jak jaszczur, a lud rozszarpie jego zwłoki. Kazał więc co rychlej zawrócić.

Wiał silny wiatr wschodni i Tyberiusz zaziębił się w drodze. Nie zwracając na to uwagi wziął udział w igrzyskach, jakie na jego cześć urządził garnizon jednego z prowincjonalnych miast, przez które przejeżdżał. Na arenę wypuszczono niedźwiedzia i poproszono cesarza, aby ze swej łoży pierwszy rzucił w zwierzę włócznią. Tyberiusz uczynił zadość prośbie, lecz chybił.

Kazał więc sobie podać drugą włócznię. Chełpił się zawsze celnością swych rzutów i nie chciał, by żołnierze myśleli, że z wiekiem siły go zawodzą. Podniecony, z wypiekami na twarzy ciskał włócznię za włócznią nie bacząc, że odległość jest zbyt wielka, aby pocisk mógł ugodzić zwierzę. Wreszcie, zupełnie wyczerpany, dał za wygraną i kazał wypuścić niedźwiedzia na wolność w nagrodę za zręczne unikanie ciosów.

Wskutek tego wypadku stan zdrowia cesarza uległ pogorszeniu; zaczęła mu się teraz dawać we znaki wątroba. Mimo to nie przerwał podróży. Wreszcie stanął w Mizenum nad Zatoką Neapolitańską, gdzie była główna kwatera floty zachodniej. Ku irytacji cesarza morze było zbyt wzburzone, aby można było myśleć o przepłynięciu się na Capri. Na szczęście na samym cyplu przylądka miał piękną willę, ongiś własność sławnego epikurejczyka Lukulla.

Tam stanął teraz z całą swoją świtą. Towarzyszyli mu Kaligula i Makron.

Tyberiusz, chcąc zdementować wieści o jakiejś poważniejszej chorobie, wydał wielką ucztę, na którą zaprosił miejscowych dygnitarzy. W czasie biesiady przyboczny lekarz poprosił, aby mu wolno było opuścić zebranie, gdyż czekają nań jeszcze pewne zajęcia. Jak wiecie, niektóre zioła posiadają większą moc, gdy są zerwane o północy lub przy takiej czy innej kwadrze księżyca, toteż Tyberiusz przywykł już do tych nagłych wycieczek swego lekarza w czasie uczy.

Lecz kiedy ten, całując na pożegnanie cesarską rękę, zatrzymał ją nieco dłużej w swej dłoni, Tyberiusz domyślił się, że lekarz chce ukradkiem zbadać puls. Kazał mu więc za karę usiąść z powrotem i na dowód tego, że jest całkiem zdrowy, przeciągnął ucztę do białego rana.

Następnego dnia jednak czuł się tak kiepsko, że po całym Mizenum, a stamtąd aż do Rzymu pobiegła wieść:

„Cesarz jest konający.”

Tymczasem Tyberiusz polecił Makronowi, aby postarał się o dowody zdrady stanu popełnionej rzekomo przez kilku znaczniejszych senatorów, których nie cierpiał, i dał mu wolną rękę co do środków wydobycia obciążających zeznań. Makron zrobił ich wszystkich współwinowajcami w sprawie przygotowywanej przeciwko żonie dawnego zausznika Sejana, której nienawidził, bo kiedyś odrzuciła jego zaloty. Oskarżył ich wszystkich o cudzołóżne z nią stosunki i o wzywanie nadaremnie imienia Tyberiusza. Od wyzwoleńców przez wymuszenie, od niewolników na torturach wydobył Makron potrzebne zeznania, jako że ani jedni, ani drudzy nie tak jak dawniej wierni byli swym panom. Proces się rozpoczął, ale przyjaciele oskarżonych zauważyli, że chociaż Makron sam przeprowadził badanie świadków i torturowanie niewolników, zwykłego w takich razach listu Tyberiusza nadającego moc prawną jego poczynaniom nie ma na stole, co wskazywało, że być może Makron dodał paru swych prywatnych wrogów do listy sporządzonej przez cesarza. Główną ofiarą tego najzupełniej absurdalnego oskarżenia był

Arruncjusz, najstarszy i najczcigodniejszy z członków senatu. Na rok przed śmiercią August miał się wyrazić, że jest on jedynym możliwym kandydatem na cesarza, w wypadku gdyby Tyberiusz nim nie został.

Tyberiusz próbował już raz dowieść mu zdrady, ale bezskutecznie. Sędziwy Arruncjusz był ostatnim ogniwem łączącym teraźniejszość z wiekiem augustowskim. Podczas pierwszego procesu opinia była tak bardzo przeciwna oskarżycielom, chociaż wiadano, że działali z rozkazu Tyberiusza, iż sami zostali osądzeni, dowiedziono i im krzywoprzysięstwa i skazano na śmierć. Teraz wszyscy wiedzieli, że Makron miał ostatnio jakiś zatarg pieniężny z Arruncjuszem, toteż sprawa została odroczone do czasu, aż Tyberiusz poprze wystąpienie Makrona. Cesarz zwlekał z odpowiedzią na zapytanie senatu. Arruncjusz więc i reszta oskarżonych przez jakiś czas przebywali w więzieniu. Wreszcie przyszedł list Tyberiusza i ustalono dzień rozprawy. Arruncjusz zdecydowany był popełnić samobójstwo przed procesem, aby uratować majątek od konfiskaty i wnuków od zubożenia. Właśnie żegnał się ze swymi przyjaciółmi, kiedy nadeszły wieści o poważnej chorobie Tyberiusza.

Przyjaciele błagali go, aby jak najdłużej zwlekał z samobójstwem, gdyż, jeśli wieści są prawdziwe, ma jeszcze świetną sposobność przeżyć Tyberiusza i zostać ułaskawionym przez jego następcę.

- Nie - powiedział Arruncjusz. - Żyłem i tak za długo. Moje życie już wtedy było zbyt trudne, kiedy Tyberiusz dzielił władzę z Liwią. Stało się prawie niemożliwe, kiedy podzielił ją z Sejanem. A chociaż Makron jest łajdakiem większym nawet niż Sejan, to - zważcie moje słowa - Kaligula ze swoim wykształceniem odebrany na Capri okaże się jeszcze gorszym cesarzem niż Tyberiusz. W moim wieku nie przystoi mi zostać niewolnikiem takiego nowego pana.

Wyjął nóż i otworzył sobie żyły na przegubie ręki. Wszyscy byli niezwykle poruszeni, gdyż Kaligula cieszył się wielką popularnością i sądzono, że będzie drugim i lepszym Augustem. Nikomu nie przychodziło do głowy

czynić mu zarzutów z powodu udawanej lojalności względem Tyberiusza. Przeciwnie, podziwiano wielce jego zręczność, dzięki której przeżył swoich braci, i sądzono tylko, że tak dobrze potrafi ukrywać swe prawdziwe uczucia.

Tymczasem tętno Tyberiusza słabło z każdą godziną i wreszcie cesarz popadł w stan przedśmiertnej śpiączki.

- Ma w najlepszym razie dwa dni życia przed sobą - oświadczył lekarz Makronowi.

W pałacu zawrzało jak w ulu. Między Makronem a Kaligulą panowała idealna zgoda.

Kaligula cenił popularność, jaką się cieszył Makron u gwardii, a Makron znów tę, którą Kaligula posiadał u całego narodu; jeden liczył na poparcie drugiego. Ponadto Makron zawdzięczał Kaliguli swoje wyniesienie, a Kaligula miał romans z żoną Makrona, na co ten przymykał oczy. Już raz Tyberiusz robiąc aluzję do gorliwości, jaką Makron okazywał Kaliguli, powiedział z cierpką ironią:

- Słusznie postępujesz porzucając zachodzące słońce dla wschodzącego.

Makron i Kaligula porozysłali teraz kurierów do komendantów poszczególnych pułków z wieścią, że cesarz kona i wręczył swój pierścień Kaliguli jako temu, który ma objąć po nim rządy. Rzeczywiście, Tyberiusz, odzyskawszy na chwilę przytomność, wezwał Kaligulę i zdjął sygnet z palca, ale następnie, jakby rozmyśliwszy się, włożył go na powrót i splótł mocno dłoń, niby chcąc przeszkodzić podstępnemu ściągnięciu pierścienia. Kiedy jednak znowu popadł w omdlenie i nie dawał znaku życia, Kaligula spokojnie zdjął pierścień z palca i świecąc nim w oczy każdemu, kogo napotkał, przyjmował ze wszystkich stron hołdy i gratulacje.

Lecz Tyberiusz żył jeszcze. Zamruczał coś nagle, otworzył oczy, usiadł na łóżku i zawołał na dworzan. Długi post go osłabił, ale poza tym czuł się zupełnie dobrze. Już raz zrobił ten kawał, że udał umierającego, a potem nagle powrócił do życia.

Ponieważ nikt się nie zjawiał, zawołał jeszcze raz. Wszyscy dworzanie popijali za zdrowie Kaliguli. Wreszcie jakiś bardziej przedsiębiorczy niewolnik wśliznął się do pokoju rzekomego nieboszczyka, by zobaczyć, czy się nie da czegoś ukraść. W pokoju było ciemno, toteż złodziejasek o mało nie stracił zmysłów, kiedy Tyberiusz nagle zagrzmiał:

- Gdzież się podziali dworzanie, do kroćset?! Czy nie ma tam żadnego? Chcę jeść.

Przynieść mi kawał chleba, sera, omlet i dwa kotlety. Słyszysz? I dzbanek chijskiego. Tylko już. Do stu tysięcy furyj! Kto skradł mój pierścień?

Niewolnik jednym susem znalazł się na korytarzu i omal nie przewrócił Makrona, który właśnie przechodził.

- Cesarz żyje i chce jeść! - krzyknął mu prosto w twarz, pyta się też o pierścień.

Wieść o wyzdrowieniu cesarza lotem błyskawicy obiegła pałac, wywołując nie pozbawiony komizmu efekt. Oto stłoczona wkoło Kaliguli gromada dworzan rozpierzchła się nagle na wszystkie strony, a wkrótce pałac rozbrzmiał okrzykami.

- Niech żyje Tyberiusz! - wołano. - Bogom dzięki! Wiadomość o śmierci nieprawdziwa!

Położenie Kaliguli było rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Ze strachu i wstydu nie wiedział, co począć. Ściągnął pierścień z palca i rozglądał się wokół, gdzie by go schować.

Jeden tylko Makron nie stracił głowy.

- To kłamstwo! - zawołał. - Kłamstwo, w którym nie ma krzty sensu! Niewolnik najwidoczniej stracił zmysły. Każ go ukrzyżować, Cezarze! Kiedyśmy przed godziną wychodzili od cesarza, już nie żył.

Tu szepnął coś do ucha Kaliguli, który z widoczną ulgą skwapliwie mu przytaknął, a następnie pobiegł do Tyberiusza. Cesarz już wstał i mruczając pod nosem przekleństwa chwiejnym krokiem skierował się w stronę drzwi. Makron

pochwycił go wpół, zawlókł z powrotem na łożę i zadusił poduszką. Kaligula, stojąc obok, przypatrywał się tej scenie.

Tak to współtowarzysze więzienni Arruncjusza zostali uwolnieni, chociaż prawie wszyscy żalowali potem, że nie poszli za jego przykładem.

Oprócz oskarżonych w tym procesie w więzieniu znajdowało się jeszcze pod zarzutem zdrady około pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet. Byli to przeważnie właściciele sklepów, którzy odmówili płacenia "podatku od bezpieczeństwa", nałożonego przez kapitanów gwardii Makrona na wszystkie dzielnice miasta, i nie mieli wpływów w senacie. Osądzono ich i skazano na śmierć, a egzekucja została wyznaczona na szesnastego marca. Tego dnia właśnie przyszła wiadomość o śmierci Tyberiusza, więc i sami oskarżeni, i ich przyjaciele szaleli z radości na myśl o ocaleniu. Lecz Kaligula był w Mizenum, za mało pozostawało czasu, by się do niego odwołać, a komendant więzienia nie chciał na własną odpowiedzialność odkładać egzekucji, bojąc się o swe stanowisko, więc wszyscy zostali straceni i zwykłym trybem rzeczy wyrzucono ich ciała na Schody Żałości. Stało się to sygnałem do wybuchu ogólnej nienawiści wobec Tyberiusza.

- On jeszcze tnie niby zdechła osa! - krzyczano.

Tłumy zbierały się na rogach ulic i odprawiono ponure modły do Matki Ziemi i Trybunału Zmarłych, aby ciało i duch tego potwora nie zaznały spokoju ani wypoczynku aż do dnia sądu.

Zwłoki Tyberiusza przewieziono do Rzymu pod silną eskortą gwardii. Kaligula w żałobnych szatach szedł za marami. Ludność gromadnie wybiegała naprzeciw orszaku, lecz wszyscy byli odziani w odświętne szaty i ze łzami dziękowali niebu, że ocalały syn Germanika będzie nimi rządził. Stare wieśniaczki na widok Kaliguli wzdychały i wołały:

- O, widzicie! Idzie nasz gołąbeczek najśłodszy! Ptaszyna nasza! Dzieciątko najdroższe! Słoneczko nasze!

Na kilka mil przed Rzymem Kaligula ruszył przodem, aby poczynić w

stolicy przygotowania na przyjęcie zwłok. Tłum, przepuściwszy swego ulubieńca, zaraz po jego przejeździe zamknął Drogę Appijską, wznosząc naprędce barykady z desek i bloków kamienia. Kiedy ukazał się wysłany przodem patrol gwardii, przyjęto go wyciem i okrzykami: "Do Tybru z Tyberiuszem! Precz! Na schody z umrzykiem!" Jeden z przywódców tej manifestacji zawołał:

- Żołnierze! Rzymianie nie życzą sobie w swym mieście tych przeklętych zwłok.

Przyniosłyby nam nieszczęście. Wieźcie je z powrotem do Atelli na półpalenie w tamtejszym amfiteatrze.

W tym miejscu muszę wyjaśnić, że ze względów oszczędnościowych ciała biedaków nie były całkowicie spalane; nazywano to "półpaleniem". Co się tyczy Atelli, jest to miasto słynne z ludowych przedstawień komediowych, które od najdawniejszych czasów urządzano tam corocznie podczas święta dożynek. Tyberiusz miał w Atelli willę i rzadko kiedy opuścił sposobność wzięcia udziału w święcie. Zreformował też same przedstawienia. Z obfitującej w tłuste żarty, ale w gruncie rzeczy niewinnej farsy ludowej zrobił śliską pornografię i mieszkańcom Atelli kazał zbudować teatr, w którym wystawiał ułożone przez siebie na nową modłę sztuki.

Makron, widząc drogę zamkniętą, kazał swym ludziom zdobyć barykady szturmem.

Zaatakowani odpowiedzieli gradem kamieni używanych do brukowania drogi. Trzech czy czterech żołnierzy, celnie ugodzonych, zważyło się bez przytomności, spora liczba manifestantów zginęła na miejscu lub odniosła rany. Kaliguli udało się zapobiec dalszym rozruchom i ciało Tyberiusza zostało z zachowaniem wszelkich obrzędów spalone na Polu Marsowym. Mowę pogrzebową wygłosił sam Kaligula. Utrzymana była w stylu równocześnie oficjalnym i ironicznym. Wysłuchano jej z zadowoleniem, gdyż wiele w niej było o Auguście i Germaniku, a bardzo mało o Tyberiuszu.

Wieczorem podczas stypy Kaligula opowiedział historię, która całemu zebranemu towarzystwu wycisnęła łzy z oczu, a opowiadającemu zyskała wielkie uznanie.

Najpierw Kaligula odmalował przed słuchaczami wzruszający obraz tych bezsennych nocy, jakie spędził na opłakiwaniu śmierci swej matki i braci. Niedawno w Mizenum po jednej z takich nocy powziął rankiem decyzję pomszczenia się na mordercy. Nie bacząc na żadne niebezpieczeństwa wziął sztylet, który należał ongiś do jego ojca, i śmiało wszedł do sypialni Tyberiusza. Cesarz spał, lecz widać dręczyły go jakieś koszmary, gdyż przez sen rzucał się i jęczał. Kaligula z wolna podniósł ramię do ciosu. Wtem w uszach zadźwięczał mu głos boski:

„Zatrzymaj swą rękę, prawnuku! Zabijając go, popełniłbyś ciężki grzech.”
„O boski Auguście” - odparł na to Kaligula. - On zabił moją matkę i moich braci, którzy byli twymi potomkami.

Czy nie powinienem pomścić ich śmierci, nawet gdyby ludzie mieli mnie napiętnować mianem ojcobójcy?” A na to August: ”O wielkoduszny synu, który wkrótce zostaniesz cesarzem, zemsta twa jest zbyteczna. Pomstę za twych najdroższych biorą furie, które go co noc dręczą z mego rozkazu.” Wobec tego Kaligula położył sztylet na stole i opuścił pokój. Co się stało, kiedy cesarz po przebudzeniu zobaczył sztylet, o tym słuchacze się nie dowiedzieli.

Należy przypuszczać, że Tyberiusz bał się wspomnieć komuś o tym wypadku.

ROZDZIAŁ XXIX

Kaligula miał dwadzieścia pięć lat, kiedy został cesarzem. Wątpię, czy istniał kiedykolwiek władca, którego wstąpienie na tron byłoby witane z większym entuzjazmem i któremu łatwiej przyszłoby spełnić życzenia swego ludu. Naród rzymski pragnął jedynie pokoju i gwarancji bezpiecznego życia. Kaligula miał do dyspozycji olbrzymie zapasy złota, doskonale wyćwiczoną armię, świetnie zorganizowaną administrację, która przy jakim takim dozorcze funkcjonowałaby bez zarzutu, gdyż pomimo niedbalstwa Tyberiusza maszyna państwowa szła jeszcze wcale znośnie mocą rozpędu nadanego jej przez Liwie; do tego wszystkiego dołączały się przejęte w spadku miłość i zaufanie, jakimi lud darzył syna Germanika, i uczucie niezmiernej ulgi, z jakim powitano zgon Tyberiusza. Co za wspaniała sposobność, aby przejść do historii pod imieniem Kaliguli Dobrego, Kaliguli Mądrego lub Kaliguli Wybawcy! Po co jednak przelewać z pustego w próżne? Gdyby Kaligula był taki, za jakiego go uważano, nie przeżyłby swych braci ani nie zostałby przez Tyberiusza wybrany na następcę. Czy nie pamiętasz, Klaudiuszu, jak starego Atenodora irytowały zawsze takie

„żeby” i „gdyby”? Miał zwyczaj wtedy mówić: „Gdyby trojańska drewniana kobyła się ożrebiła, o wieleż mniej kosztowałoby dziś utrzymanie konia!”

Kaligula znajdował początkowo przyjemność w podtrzymywaniu tej opinii, jaką mieli o nim wszyscy obywatele z wyjątkiem mnie, mojej matki, Makrona i może jeszcze paru osób.

Toteż pierwsze jego poczynania odpowiadały ogólnym nadziejom. Chciał też w ten sposób umocnić swoje stanowisko. Istniały bowiem dwie przeszkody uniemożliwiające mu zupełną swobodę działania. Jedną z nich był Makron, dość potężny, aby być niebezpiecznym. Drugą Gemellus. Kiedy odczytano testament

Tyberiusza, poświadczony dla większej tajemnicy przez paru wyzwolenców i analfabetów rybaków, okazało się, że złośliwy starzec jeszcze po swojej śmierci potrafił posiać niezgodę. Zamiast bowiem mianować swoim następcą przede wszystkim Kaligulę, a dopiero potem - na wypadek jakiegoś nieszczęśliwego zdarzenia - wnuka po Kastorze, Gemella, uczynił ich współnastępcami, z których każdy miał kolejno przez rok sprawować rządy. Na razie jednak Gemellus był niepełnoletni i nie miał nawet prawa wstępu do senatu, podczas gdy Kaligula na kilka lat przed przepisowym wiekiem piastował urząd drugiego stopnia i był kapłanem. Senat więc skłonny był się zgodzić, że Tyberiusz pisząc testament nie znajdował się już w pełni władz umysłowych, i bez trudności oddał całą władzę Kaliguli. Unieważniono też prawo Gemella do prywatnej szkatuły cesarskiej, gdyż, zdaniem Kaliguli, związane ono było ściśle z osobą panującego.

Poza tym wola Tyberiusza została ściśle we wszystkich punktach wypełniona i wszystkie jego zapisy skrupulatnie wypłacone.

I tak gwardia otrzymała po pięćdziesiąt sztuk złota na głowę, a Kaligula, chcąc zapewnić sobie wierność żołnierzy na wypadek usunięcia Makrona, zapis ten podwoił.

Ludowi rzymskiemu wypłacił czterysta pięćdziesiąt tysięcy i dodał po trzy sztuki złota na głowę, oświadczając, że zamierzał to uczynić już w dzień swojej pełnoletności, lecz nie pozwolił mu zmarły cesarz. Armii zapisał Tyberiusz tę samą sumę co August, lecz tym razem została ona w krótkim czasie wypłacona. Co więcej, Kaligula wypłacił wszystkie sumy wymienione w testamencie Liwii, które my, spadkobiercy, uważaliśmy już od dawna za stracone. Mnie Tyberiusz zostawił w spadku księgozbiór, zapisany swego czasu przez Polliona, wraz z wieloma innymi cennymi dziełami, i dwadzieścia tysięcy.

Przełożonej westalek, którą była wnuczka Wipsanii, zapisał sto tysięcy, zaznaczając, że może je użyć dla siebie lub na cele kolegium. Przełożona, pamiętając o śmierci swego dziadka Gallusa, kazała przetopić te pieniądze i

odlać z nich wielką złotą urnę na jego prochy.

Spadek otrzymany po Liwii i po Tyberiuszu uczynił mnie zamożnym człowiekiem.

Ku memu wielkiemu zdumieniu Kaligula zwrócił mi jeszcze owych sto tysięcy, które pożyczyłem Germanikowi w czasie buntu wojsk nadreńskich. Dowiedział się o tej pożyczce od swej matki. Kiedy wzdragałem się przyjąć, powiedział, że jeśli będę się opierał, zwróci mi sumę z procentami. Jest to bowiem dług, który przez pamięć swego ojca musi spłacić.

Kiedy opowiedziałem Kalpurnii o swoim majątku, wydawała się bardziej zmartwiona niż uradowana.

- Majątek nie przyniesie ci szczęścia - rzekła. - Lepiej żyć skromnie jak dotychczas niż ryzykować, że pewnego pięknego dnia donosiciele pod pozorem zdrady stanu zabiorą wszystko.

Kalpurnia była to, jak pewnie pamiętacie, następczyni Akte. Pomimo swych siedemnastu lat odznaczała się niezwykłym sprytem.

- Co też ty opowiadasz, Kalpurnio? - zawołałem. - Donosiciele?! Procesy o zdradę?

Alboż istnieje jeszcze w Rzymie coś podobnego?

- Nie słyszałam, żeby donosicielei odprawiono razem z pederastami - rzekła.

(Była to aluzja do uszminkowanych "sierot" Tyberiusza. Dla zamanifestowania swej moralności Kaligula wyekspediował całą tę bandę na Sycylię, wyspę o wybitnie niezdrowym klimacie, gdzie kazał im zarabiać na życie przy budowie dróg. Część, zaledwie dostała kilofy i łopaty do ręki, pochorowała się i zmarła, resztę, nawet najsłabszych, zapędzono batami do roboty. Szczęście im jednak sprzyjało. Do wybrzeża, gdzie pracowali, zawiązał nagle okręt piracki. Minionów porwano, a następnie sprzedano w Tyrze bogatym wschodnim rozpustnikom.)

- Czy sądzisz, że odważą się w dalszym ciągu uprawiać swój proceder?

Kalpurnia odłożyła rozpoczęty haft.

- Nie jestem politykiem ani uczoną, tylko zwykłą prostytutką. Starczy mi jednak na tyle rozumu, żeby dodać kilka liczb. Powiedz mi najpierw, ile pieniędzy zostawił zmarły cesarz?

- Około dwudziestu siedmiu milionów. Niezła fortunka.

- A ile wypłacił nowy cesarz tytułem zapisów?

- Około trzech i pół miliona, jeśli nie więcej.

- A ile kosztowały pantery, niedźwiedzie, lwy i tygrysy, które sprowadził od czasu objęcia władzy, aby uświetnić igrzyska łowami cyrkowymi na dzikiego zwierza?

- Około dwudziestu tysięcy. Może więcej.

- A ile kosztowały zwierzęta złożone na ofiarę po świątyniach?

- Nie wiem. Przypuszczam, że od stu do dwustu tysięcy.

- Te flamingi, antylopy pustynne, zebry, brytyjskie niedźwiedzie musiały go kosztować kupę pieniędzy. A teraz, ile go kosztowały razem: zwierzęta, zapaśnicy, gladiatorzy - nawiasem mówiąc, płacił im podobno cztery razy więcej niż August - wszystkie uczty, korsa, widowiska - słyszałam, że wezwał z powrotem aktorów wygnanych przez starego cesarza i zapłacił im gażę za wszystkie ubiegłe lata wstecz... A dodać do tego pieniądze, które stracił na wyścigach... Myślę, że nie pozostało mu więcej niż jakieś dwadzieścia milionów, co?

- Prawdopodobnie tak.

- A więc w ciągu trzech miesięcy wydał siedem milionów! Jeżeli pójdzie dalej w tym tempie, to niedługo zbraknie pieniędzy, choćby mu wszyscy bogacze zapisywali w testamencie swe majątki. Dochody państwowe zmniejszyły się i wynoszą mniej niż za czasów twej babki, która sama gospodarowała i sprawdzała rachunki.

- Może z biegiem czasu, kiedy przeminie pierwsze uniesienie, w jakie go wprowadziła możliwość rzucania pieniędzmi na lewo i prawo, Kaligula stanie się

oszczędniejszy.

Dla swojej obecnej rozrzutności znajduje zresztą bardzo rozsądną wymówkę; twierdzi, że za Tyberiusza unieruchomienie zapasów złota w skarbie państwa zrujnowało handel, chce więc umyślnie puścić w obieg parę milionów.

- Wszystko możliwe. Lepiej go przecież znasz ode mnie. Może potrafi zatrzymać się we właściwym momencie. Jeżeli jednak będzie w dalszym ciągu wydawać w tym tempie, to za dwa lata z całego majątku nie zostanie mu ani szeląga. Kto wtedy będzie płacił? Dlatego to wspomniałam o donosicielach i procesach o zdradę stanu.

- Jesteś równie przezorna, jak piękna, Kalpurnio - rzekłam. - A mam nadzieję, że nie mniej dyskretna. Skorzystam z tego, że mam jeszcze pieniądze, i kupię ci naszyjnik z pereł.

- Jeżeli ci to nie robi różnicy, wołałabym gotówkę.

Na drugi dzień dałem jej pięćset sztuk złota. Ciekawa rzecz, że Kalpurnia, córka prostytutki i sama prostytutka, okazywała więcej inteligencji, lojalności serdeczności i uczciwości niż którakolwiek z moich wysoko urodzonych czterech żon. Toteż dość szybko zacząłem wtajemniczać ją w moje prywatne sprawy i mogę stwierdzić, że nigdy tego nie pożałowałem.

Zaraz po pogrzebie Tyberiusza Kaligula mimo burzliwej pogody wsiadł na okręt i odpłynął najpierw na Pandatarię, gdzie był grób Agryppiny, a potem na wysepkę, gdzie znajdował się grób Nerona. Zabrawszy na pół spalone szczątki matki i brata przywiózł je do Rzymu. Tutaj dokonał przepisowego całopalenia i popioły umieścił w grobowcu Augusta.

Ustanowił nowe doroczne święto dla uczczenia pamięci matki i braci. Miesiąc wrzesień nazwał "germanikiem", tak jak poprzedni już wcześniej wziął nazwę od Augusta.

Jednym pociągnięciem pióra obsypał moją matkę tyłu zaszczytami, ile ich Liwia miała przez całe swoje życie; mianował ją też arcykapłanką Augusta.

Niedługo później ogłosił ogólną amnestię; wszyscy wygnańcy obojga płci

zostali z powrotem przywołani do kraju, a wszyscy więźniowie polityczni wypuszczeni na wolność.

Spalił też publicznie na Rynku obszerne akta śledztwa prowadzonego przeciw jego matce i braciom. Przysiągł równocześnie, że nie czytał ani jednego z tych dokumentów; ci więc, którzy występowali jako donosiciele lub w inny sposób przyczynili się do zguby najdroższych mu osób, mogą żyć bez obaw - w płomieniach ginie wszelki ślad owych koszmarnych dni. W rzeczywistości jednak spalił tylko kopie. Za przykładem Augusta poddał dokładnej rewizji listy obu stanów i skreślił z nich nazwiska tych, którzy okazali się niegodni miana senatora czy rycerza. Za przykładem Tyberiusza zaś odmówił przyjęcia zaszczytnych tytułów z wyjątkiem imperatora i trybuna ludowego; zakazał też stawiania swoich posągów.

Byłem bardzo ciekaw, jak długo potrwa ten nastrój i jak długo bratanek mój będzie wierny obietnicy danej senatowi, gdy ten uchwalił oddanie mu władzy cesarskiej. Oświadczył wtedy, że będzie ją sprawował wspólnie z senatem, za którego lojalnego sługę siebie uważa.

Po sześciu miesiącach panowania, kiedy we wrześniu upłynął okres urzędowania konsulów, Kaligula objął czasowo konsulat i... zgadnijcie, kogo mianował swym współpracownikiem? Mnie. A gdy przed dwudziestu trzema laty prosiłem Tyberiusza, żeby mi powierzył jakiś faktyczny, nie nominalny tylko urząd, tak teraz chętnie zrezygnowałbym z tego zaszczytu na rzecz pierwszego lepszego kandydata. I to bynajmniej nie ze względów na pracę naukową, gdyż właśnie ukończyłem i skorygowałem ostatecznie swoją Historię etruską, a nie zabrałem się jeszcze do żadnego nowego dzieła. Zdołałem już jednak zapomnieć wszystkie przepisy procedury, formuły prawne i orzeczenia, które ongiś z takim trudem sobie przyswoiłem, ponadto czułem się bardzo nieswojo w senacie.

Przebywając tyle czasu poza Rzymem, nie orientowałem się teraz zupełnie, jakie sprężyny należy przycisnąć, aby sprawom nadać bieg możliwie

szybki, ani które osobistości posiadają istotne znaczenie.

Od razu też naraziłem się Kaliguli. Poleciał mi ustawienie na Rynku posągów Druzusa i Nerona. Grecka pracownia rzeźbiarska, której powierzyłem wykonanie wszystkich związanych z tą sprawą robót, zobowiązała się solennie ukończyć je na termin.

Odsłonięcie pomników musiało się odbyć w grudniu i dzień uroczystości już został wyznaczony.

Na jakieś trzy dni przedtem wybrałem się obejrzyć posągi. Okazało się, że te greckie łotry wcale ich jeszcze nie zaczęły. Tłumaczyli się, że dopiero teraz otrzymali marmur w żądanym kolorze. Wpadłem we wściekłość i urządziłem niesłychaną awanturę. Niechaj trzymają ludzi dzień i noc przy robocie, byleby posągi wykończyli na czas. W przeciwnym razie całą firmę: właściciela, kierowników i kamieniarzy, wyleję na zbity łeb ze stolicy. Możliwe, że niepotrzebnie napędziłem im takiego strachu i wskutek tego pracowali zbyt nerwowo. Po południu bowiem w przeddzień uroczystości Neron był już gotowy - nawiasem mówiąc, podobieństwo uchwycił rzeźbiarz znakomicie - ale jakiś nieuważny robotnik utracił Druzusowi napięstek u ręki. Wprawdzie tego rodzaju uszkodzenie można naprawić, zawsze jednak pozostaje ślad i nie mogłem, zwłaszcza w tak uroczystym momencie, przedstawić Kaliguli podobnej partaniny. Nie pozostało mi nic innego, jak przyznać się cesarzowi, że Druzus nie będzie gotowy na oznaczony dzień. Bogowie, w jaką wpadł wściekłość usłyszawszy tę nowinę! Nie chciał słuchać żadnych tłumaczeń i zagroził, że pozbawi mnie konsulatu. Na szczęście sam postanowił zrzec się go nazajutrz i zażądał, żebym poszedł za jego przykładem; mieliśmy złożyć ten urząd na rzecz kandydatów obranych w głosowaniu.

Skończyło się więc tylko na pogrózkach i ostatecznie zostałem nawet wraz z nim powtórnie wybrany konsulem na cztery lata.

Wypadało mi zająć apartamenty w pałacu cesarskim, a ponieważ Kaligula, naśladując Augusta, ciskał teraz w różnych przemówieniach gromy na

wszelkiego rodzaju niemoralność, nie mogłem więc, choć nieżonaty, zabrać z sobą Kalpurnii. Ku wielkiemu memu żalowi musiała zostać w Kapui, gdzie ją tylko od czasu do czasu przy sposobności odwiedzałem.

Oczywiście, głoszone zasady nie obowiązywały samego Kaliguli. Miał się żenić z Enią, żoną Makrona, któremu z tego powodu polecił się rozwieść, ale zanim doszło do ślubu, Enia mu się znudziła. W poszukiwaniu miłosnych przygód urządzał teraz nocne wyprawy, w których kompanii dotrzymywała mu gromadka lekkoduchów, tak zwanych "wywiadowców".

Należeli do nich zwykle trzej młodzi oficerowie gwardii, dwaj słynni zapaśnicy, aktor Apelles i najlepszy woźnica Rzymu, Eutyclus, który brał prawie zawsze pierwsze miejsce we wszystkich wyścigach. Kaligula występował jako zdecydowany zwolennik Zielonych i kazał po całym świecie szukać najlepszych koni wyścigowych. Wynałazł religijne motywy pozwalające na urządzenie dwudziestu biegów dziennie, od wschodu do zachodu słońca.

Zarabiał mnóstwo pieniędzy nakłaniając różnych bogaczy, aby stawiali na inne niż on barwy.

Przez grzeczność życzeniu temu czyniono zadość. Dochody jednak płynące z tego źródła były kroplą w porównaniu z oceanem wydatków.

Kaligula uparł się, żeby trzy jego zamężne już siostry, Agryppinilla, Lesbia i Druzylla, sprowadziły się do pałacu, przy czym dwie pierwsze miały zamieszkać razem z mężami, Druzylla natomiast sama. Mąż jej, Kasjusz Longinus, został wysłany jako namiestnik prowincji do Azji Mniejszej. Wszystkim trzem Kaligula kazał oddawać honory cesarskie i obdarzył je przywilejami, jakie dotychczas przysługiwały tylko westalkom. Imiona ich polecił dołączyć do swego w publicznych modłach zanoszonych do bogów o zdrowie dla cesarza, a nawet w przysiędze składanej przez urzędników i kapłanów przy obejmowaniu urzędu znalazły się słowa: "...a również ani własnego życia, ani życia moich dzieci nie będę stawiał wyżej nad życie jego i jego sióstr". Najwięcej jednak zdumiewał wszystkich sposób, w jaki się do nich

odnosił - zachowaniem swym bowiem przypominał bardziej męża niż brata.

Szczególnie wyróżniał Druzyllę. Rozejście się z mężem najwyraźniej nie było po jej myśli, a im bardziej robiła wrażenie nieszczęśliwej, tym większą troskliwość okazywał jej Kaligula. Dla pozorów wydał ją powtórnie za męża za swego kuzyna Emiliusza Lepida. Był to młodszy brat Emilii, córki Julilli, z którą miałem się jako młody chłopiec ożenić. Ze względu na kobiecy wygląd i nadszkiepczanie Kaliguli przezwano go Ganimedem; był on cenionym członkiem zastępu "wywiadowców". Kaligula, choć młodszy o siedem lat, traktował go jak trzynastoletniego chłopca; stosunek ten, jak się zdawało, zupełnie dogadzał Emiliuszowi.

Druzylla drugiego męża po prostu nie cierpiała. Za to Agryppinilla i Lesbia raz po raz wpadały do sypialni szwagra i barsztkowały z nim wśród śmiechów i żartów.

Mężowie zdawali się nie mieć o to najmniejszej pretensji. W ogóle w pałacu panował zupełny bałagan.

Oczywiście, mieszkało się bardzo wygodnie, służba była świetnie wytresowana, gości traktowano z wyszukaną kurtuazją, ale nigdy nie mogłem się zorientować, kogo z kim jakie łączą stosunki; i tak na przykład miałem wrażenie, że na pewien czas Agryppinilla i Lesbia zamieniły między sobą mężów; to znów wydawało mi się, że Apelles nawiązał jakieś intymniejsze stosunki z Lesbia, a woźnica z Agryppinilla. Co się tyczy Kaliguli i Ganimeda... ale dość chyba już powiedziałem, żeby czytelnicy zrozumieli, w jakim znaczeniu użyłem słowa "bałagan". Z tego całego towarzystwa ja jeden przekroczyłem już średni wiek i nie mogłem zrozumieć stosunków panujących wśród młodszej generacji. W pałacu mieszkał też Gemellus. Był to bojaźliwy, delikatny chłopczyk, który miał zwyczaj nerwowego obgryzania paznokci aż do krwi. Zasywał się przeważnie w jakiś kąt i tam całymi godzinami rysował nimfy, satyrów i różne ornamenty ceramiczne. Niewiele mogę o nim powiedzieć.

Żał mi było chłopca, który jeszcze bardziej obco czuł się w pałacu niż ja, więc raz i drugi próbowałem wdać się z nim w rozmowę; zawsze odpowiadał mi tylko pojedynczymi wyrazami. Może bał się, że chcę podstępnie wyciągnąć z niego jakieś zdanie przeciw Kaliguli. Kiedy Gemellus przywdział togę męską, Kaligula adoptował go, mianował swym spadkobiercą i nadał tytuł Przywódcy Młodzieży; nie było jednak mowy, żeby miał się podzielić z nim władzą.

Kaligula zachorował i przez cały miesiąc życie jego wisiało na włosku. Lekarze stwierdzili zapalenie mózgu. W stolicy zapanowało wielkie zaniepokojenie. Pałac był stale oblężony przez co najmniej dziesięcioletni tłum, który czekał na jakąś pomyślniejszą wiadomość o zdrowiu cesarza. Chociaż ludzie ci rozmawiali z sobą tylko półgłosem, a nawet szeptem, w sumie powstawała wrzawa, która dolatywała do moich okien niby szum toczącego się po kamieniach strumienia. Niepokój o zdrowie cesarza przejawiał się w wielu niezwykłych manifestacjach. Kilku obywateli umieściło na bramach ogłoszenia, że podpisani ślubują oddać Śmierci swoje własne życie, jeśli ta oszczędzi cesarza. Na mocy ogólnej milczącej zgody w promieniu przeszło pół mili od pałacu ustał wszelki ruch uliczny, wszelkie hałasy i popisy muzyczne. Nic podobnego nie zdarzyło się dotychczas nawet podczas owej choroby Augusta, z której rzekomo wyleczył go Muza.

Tymczasem komunikaty zawierały jedno tylko zdanie: "Bez zmiany."

Pewnego wieczoru zapukała do mnie Druzylla.

- Stryju - rzekła wszedłszy. - Cesarz chce cię zobaczyć, i to bezzwłocznie. Chodź więc czym prędzej: tak jak stoisz!

- Czego chce ode mnie?

- Nie mam pojęcia. Ale, na Jowisza! Udobruchaj go jakoś. Uzbroił się w miecz.

Jeśli mu się w czymkolwiek sprzeciwisz, zabije cię. Dzisiaj rano przyłożył mi miecz do szyi i zaczął robić wymówki, że go nie kocham. Musiałam mu z dziesięć razy przysięgać miłość.

„Jeśli mi nie wierzysz, zabij mnie” - powiedziałam. Bodajbym się była lepiej nigdy nie urodziła. On jest szalony. Zawsze był taki, ale teraz, to gorzej niż szaleństwo

- to opętanie.

Pospieszyłem do sypialni Kaliguli. Podłoga była tu wysłana grubymi dywanami, okna szczelnie pozasłaniane. Na nocnym stoliku migotała lampka oliwna. Panujący zaduch świadczył, że pokoju dawno nie przewietrzano.

- Znowu się spóźniasz - powitał mnie gderliwy głos cesarza. - Kazałem ci przecież powiedzieć, żebyś się pospieszył.

Kaligula wyglądał kiepsko, ale nie robił wrażenia chorego. Po obu stronach łóżka pełniło straż dwóch głuchoniemych olbrzymów uzbrojonych w topory.

- Spieszyłem się, jak mogłem. Gdyby nie moja noga, przybyłbym o wiele wcześniej.

Jakże się cieszę, Cezarze, że oglądam cię żywym i słyszę twój głos. Czy wolno mi mieć nadzieję, że czujesz się lepiej?

- Nigdy nie byłem naprawdę chory. Wypoczywałem tylko i przez ten czas uległem przeobrażeniu. Jest to najszczególniejsze ze zjawisk nadprzyrodzonych, jakie kiedykolwiek miały miejsce. Nic dziwnego, że w stolicy panuje taka cisza.

Wyczułem, że chce, aby okazać zainteresowanie jego stanem.

- Czy przeobrażenie to było bardzo bolesne? - spytałem. - Mam nadzieję, że nie.

- Tak, bolesne, jakbym sam siebie urodził. Rozwiązanie było bardzo ciężkie. Na szczęście zapomniałem o tym przejściu doszczętnie. A raczej prawie doszczętnie.

Przyszedłem bowiem na świat jako bardzo rozwinięte dziecko i przypominam sobie dokładnie zdumione twarze położnych, które mnie po urodzeniu kąpały, i smak wina, które mi wlano w usta, aby pokrzepić wyczerpanego bólami porodu.

- Zaiste, zdumiewająca pamięć! Lecz czy mogę najpokorniej zapytać waszą cesarską mość, na czym polega owo chwalebne przeobrażenie?

- Czyż tego nie widać na pierwszy rzut oka? - spytał gniewnie.

Przypomniałem sobie użyte przez Druzyllę słowo "opętanie" i to, co mi na łożu śmierci mówiła babka Liwia. "Więc to tak!" - pomyślałem i upadłszy na twarz, oddałem Kaliguli cześć boską.

Po jakiejś minucie czy dwóch, wciąż leżąc na posadzce, zapytałem, czy mnie pierwszemu przypadł w udziale zaszczyt powitania go bogiem. Kiedy się okazało, że byłem właśnie tym szczęśliwcem, rozpląnąłem się w podziękowaniach. Kaligula tymczasem w skupieniu dźgał mnie mieczem po karku. Myślałem, że przyszła już moja ostatnia godzina.

- Jestem jeszcze widać w dalszym ciągu w przybranej na siebie śmiertelnej powłoce - odezwał się. - Nic więc dziwnego, że nie dostrzegłeś we mnie od razu bóstwa.

- Nie wiem, doprawdy, jak mogłem być tak ślepy. Twarz twoja w tym mroku jaśniej niż lampa.

- Naprawdę? - zapytał z ożywieniem. - Wstań i podaj mi lustro.

Podąłem mu lustro z polerowanego metalu. Kaligula, przejrząwszy się, przyznał, że istotnie jaśniej niż zwykłym światłem. Odkrycie to wprawiło go w doskonały humor i zaczął mi obszernie opowiadać o całym cudownym zdarzeniu.

- Od dawna wiedziałem, że to musi nastąpić - mówił. - Zawsze czułem się bóstwem.

Pomyśl tylko, mając zaledwie dwa lata stłumiłem bunt w wojsku mego ojca i ocaliłem Rzym.

To przecież jest cudowny wypadek, przypominający całkiem historie, jakie opowiadają o dzieciństwie Merkurego lub Herkulesa, który w kołysce zadusił węża.

- A Merkury - wtrąciłem - skradł tylko kilka sztuk bydła i wybrzdąkał

parę dźwięków na lirze. Co to znaczy w porównaniu z twymi czynami?!

- Co więcej, mając osiem lat zabiłem własnego ojca. Tego nie dokonał nawet Jowisz.

Zadowolili się tylko wygnaniem starego.

Wziąłem wprawdzie to wyznanie, jak poprzednie, za urojenie szaleńca, ale spytałem całkiem poważnie:

- Ale dlaczego to uczyniłeś?

- Przeszkadzał mi. Chciał mnie utrzymać w jakimś rygorze. Mnie, młodego boga!

Wyobraź sobie! Więc go tak długo straszylem, aż umarł ze strachu. Kiedy mieszkaliśmy w Antiochii, poprzynosiłem ukradkiem do domu szczątki różnej padliny i pochowałem pod odstającymi deskami podłogi; potem wypisywałem na ścianach zaklęcia i ukryłem w swojej sypialni koguta, żeby mu zapiał do wymarszu na drugi świat. Ukradłem mu też Hekatę. Patrz, oto ona; mam ją zawsze pod poduszką - iż tymi słowy wyciągnął amulet z zielonego jaspisu.

Poczułem w sercu lodowate zimno.

- Więc to ty byłeś? - rzekłem ze zgrozą. - I to ty dostałeś się przez owo wąskie okienko do zamkniętego pokoju, aby wypisać tam zaklęcia?

Potwierdził z dumą i ciągnął dalej:

- Zabiłem nie tylko mojego rzeczywistego ojca, ale i przybrane - Tyberiusza. A kiedy Jowisz sypiał tylko z jedną siostrą, z Jundną, ja sypiałem z wszystkimi trzema.

Martyna powiedziała mi, że to przede wszystkim powinienem zrobić, jeśli chcę być jak Jowisz.

- A więc znałeś Martynę?

- Oczywiście. Kiedy rodzice moi bawili w Egipcie, odwiedzałem ją każdej nocy.

Mądra to była kobieta. A wiesz, że Druzylla też jest bóstwem? Ogłoszę jej boskość równocześnie ze swą własną. Och, jak ja kocham Druzyllę! A ona

mnie nie mniej.

- Czy wolno zapytać, jakie są twe najświętsze zamiary? Ta metamorfoza wywoła w Rzymie wielkie wrażenie.

- Niewątpliwie. Po pierwsze, zażądam, aby cały świat złożył mi należną cześć.

Nie mogę pozwolić, żeby rządziła mną gromada starych gadułów. Pokażę, że... ale czy przypominasz sobie babkę Liwie? To był doskonały kawał! Wyobraź sobie, dowiedziała się skądś, że to ona jest tym bóstwem mającym przetrwać wszystkie inne, o którym od tysiąca lat krążyły na Wschodzie liczne przepowiednie. Przypuszczam, że to Trazył wprowadził ją w błąd. Trazył wprawdzie nigdy nie kłamał, ale lubił kogoś otumanić. Liwia nie знаła dokładnie brzmienia proroctwa. Bóstwo to bowiem ma być rodzaju męskiego, nie żeńskiego: będzie wprawdzie panować w Rzymie, ale urodzić się ma gdzie indziej (ja przyszedłem na świat w Ancjum) w okresie zupełnego pokoju (jak ja właśnie), a po śmierci stanie się przyczyną niezliczonych wojen i lud będzie je początkowo uwielbiał, a potem znienawidzi.

Umrze w młodym wieku nikczemną śmiercią, pozbawiony wszystkiego.”A słudzy jego będą pić krew jego.” Po śmierci będzie rządził wszystkimi bogami całego świata, i w tych krajach, których jeszcze nie znamy. To może być mowa tylko o mnie. Martyna opowiadała mi, że w ostatnich latach ukazywały się na Bliskim Wschodzie liczne znaki potwierdzające przyjście na świat tego bóstwa. Żydzi okazywali szczególne podniecenie. To zdarzenie miało ich w jakiś specjalny sposób dotyczyć. Przypuszczam, że chodziło o moją bytność w ich świętym mieście Jerozolimie, którą zwiedzałem razem z ojcem. Tam po raz pierwszy objawiłem swoją boską naturę.

- W jaki sposób, jeśli można wiedzieć? To musiało być niezmiernie interesujące.

- Ach, nic nadzwyczajnego. Po prostu dla żartu wszedłem do pewnego domu, w którym kilku kapłanów i mędrców żydowskich wiodło jakąś

teologiczną dysputę, i nagle zawołałem: „Jesteście wszyscy razem głupcy i oszuści! Gadacie o rzeczach, o których nie macie najmniejszego pojęcia.” Słowa te wywołały olbrzymie wrażenie. Wreszcie jakiś siwobrody starzec odezwał się: „Któż ty jesteś, dziecko? Czy tym, o którym mówią proroctwa?” „Tak” - odparłem śmiało. A temu łyzy zaczęły kapać i zawołał w uniesieniu:

„Naucz nas tedy!” „Ani mi w głowie - odpowiedziałem. - To byłoby poniżej mojej godności.”

I wybiegłem na ulicę. Żebyś widział ich miny! A co do Liwii... Nie, to była na swój sposób mądra i zdolna kobieta. Ulisses w spódnicy, jak jej raz powiedziałem. I może kiedyś zaliczę ją w poczet bóstw. Przyrzekłem to nawet. Ale nie ma się co spieszyć z jej deifikacją. Nigdy nie będzie z niej poważniejszego bóstwa. Może zrobimy ją patronką pisarzy i rachmistrzów, bo miała dobrą głowę do rachunków. Tak, możemy dodać jej jeszcze... trucielei.

Podobnie Merkury ma pod swoją opieką prócz kupców i podróżnych także złodziei.

- Bardzo słusznie - potwierdziłem. - Ale w tej chwili myślę o ważniejszej sprawie. Jak mam cię tytułować? Czy nie popełnię przypadkiem nieścisłości, jeśli nadam ci miano Jowisza? Jesteś chyba potężniejszy od niego?

- Niewątpliwie. Ale dotychczas występuję jeszcze anonimowo. Na razie może będę się zwał Jowiszem. Latyńskim Jowiszem w odróżnieniu od tego greckiego jegomościa.

Muszę się z nim w tych dniach załatwić. Dość jego panowania.

- Lecz jak to się mogło stać, że twój ojciec nie był bogiem? Nigdy jeszcze nie słyszałem o bogu, który by nie miał boskiego ojca?

- Bardzo prosta historia. Moim ojcem był August.

- Ale przecież nigdy cię nie adoptował, tak jak twoich starszych braci. Ty miałeś kontynuować ród swojego ojca.

- Nie powiedziałem, że August stał się moim ojcem na skutek adopcji. Jestem synem z jego kazirodczego związku z Julią. Tak to się stało. To jedyne

rozwiązanie. W żadnym wypadku matką moją nie jest Agryppina. Przecież jej ojca uważano za zero. To byłoby śmieszne.

W takim razie Germanik przestał być jego ojcem, a siostry zostały tylko siostrzenicami. Zachowałem jednak dość rozsądku, żeby na tę niedokładność nie zwracać mu uwagi. Postanowiłem pójść za radą Druzylli i nie sprzeciwiać mu się w niczym.

- To najszczęśliwsza godzina w moim życiu. Pozwól mi odejść i złożyć na twą cześć ofiarę, dopóki całkiem nie osłabnę. Bogka woń, jaką wydajesz, jest zbyt silna dla mych śmiertelnych nozdrzy. Obawiam się, że lada chwila zemdleję.

Rzeczywiście w pokoju panował zaduch nie do zniesienia, gdyż Kaligula przez cały czas swej choroby nie pozwolił otwierać okna.

- Idź w pokoju - zgodził się. - Zamierzałem początkowo cię zabić, ale zmieniłem teraz decyzję. Powiedz "wywiadowcom", że zostałem bogiem i że twarz moja jaśnieje nieziemskim światłem. Ale ani słowa więcej. Co się tyczy innych rzeczy, które ci objawiłem, obowiązuje cię święta tajemnica.

Wycofałem się z pokoju tyłem, na czworakach. W korytarzu spotkałem Ganimeda.

Czekał na nowiny.

- Został bogiem - szepnąłem - i to, jak twierdzi, bardzo potężnym. Twarz jego jaśnieje nieziemskim światłem.

- Kiepskie wiadomości dla nas, śmiertelnych - westchnął Ganimed. - Ale przeczuwałem, że się na tym skończy. Dziękuję za wskazówkę. Muszę zaraz powiadomić resztę kompanii. A czy Druzylla wie o tym? Nie? Zaraz biegnę jej powiedzieć.

- Powiedz jej przy sposobności, że także została bóstwem. O ile przypadkiem sama tego nie spostrzegła.

Wróciwszy do siebie zacząłem się zastanawiać nad tym, co zaszło. "Wszystko układa się jak najlepiej", myślałem. Teraz nikt nie będzie

wątpił, że to szaleniec, i wreszcie go zamknął. A ponieważ z wyjątkiem Gemella, który ani nie cieszy się popularnością, ani nie posiada dostatecznej energii, nie ma już pełnoletnich potomków Augusta, więc zostanie przywrócona Rzeczpospolita. Teść Kaliguli jest człowiekiem, który potrafi ten plan przeprowadzić. Ma przecież niezmiernie poważanie i wpływy w całym senacie, a ja przyjdę mu w sukurs. Gdybyśmy tylko mogli pozbyć się Makrona i znaleźć na jego miejsce jakiegoś uczciwego człowieka, wszystko by poszło jak z płatka. Największa trudność z gwardzistami.

Zdają oni sobie doskonale sprawę, że żaden republikański senat nie zapisze im po pięćdziesiąt czy sto aureusów na głowę. Tak, to był pomysł Sejana, żeby zamienić gwardię w rodzaj prywatnej armii mego stryja Tyberiusza, a to uczyniło z państwa absolutną monarchię na wzór wschodnich. Powinniśmy po dojściu do władzy zburzyć koszary i rozkwaterować ludzi po prywatnych domach, jak poprzednio.

Czy dacie jednak wiarę?! Boskość Kaliguli została przyjęta bez żadnych zastrzeżeń.

Na razie fakt swego przeobrażenia podał do wiadomości prywatnie, oficjalnie zaś uchodził za śmiertelnika. Dzięki temu mógł w dalszym ciągu żyć na swobodnej i poufalej stopie ze swymi

„wywiadowcami” i nie był narażony na to, że gdziekolwiek by się pojawił, ludzie padaliby przed nim plackiem: tego rodzaju dosłowna czołobitność uniemożliwiłaby niejedną z jego rozrywek. Powrót cesarza do zdrowia powitano z niesłychanym uniesieniem, a w ciągu najbliższych dziesięciu dni obdarzył Kaligula siebie większą liczbą zaszczytów, niż ich dostąpił August przez całe życie. Otrzymał więc tytuły: Cezara Boga, Cezara Ojca Armii, Najlaskawszego i Najpotężniejszego Cezara i Ojca Ojczyzny, przed którym to ostatnim tytułem Tyberiusz tak wytrwale zawsze się bronił.

Gemellus pierwszy padł ofiarą nowego despotyzmu. Kaligula wezwał do siebie pułkownika gwardii i wydał mu rozkaz zamordowania chłopca.

- Zabij mi tego zdrajcę, mego syna, i to natychmiast! - zawołał.

Pułkownik udał się bezzwłocznie do Gemella i ściał go. Następną ofiarą był teść Kaliguli, Syllan. Córkę jego, a swoją żonę, Junię, pochował Kaligula na rok przed objęciem rządów. Zmarła w czasie porodu. Syllan mógł się pochlubić tym, że był jedynym senatorem, którego Tyberiusz nie podejrzewał nigdy o knucie jakichś spisków przeciw swej osobie i nigdy nie przyjmował apelacji od jego wyroków sądowych. Kaligula posłał teściowi krótki bilecik: "Do jutra rana masz nie żyć." Nieszczęśliwy człowiek pożegnał się z rodziną i podciął sobie gardło brzytwą. W liście do senatu Kaligula wyjaśnił, że Gemellus został zabity jako zdrajca; podczas niebezpiecznej choroby cesarza nie zanosił modłów o jego wyzdrowienie, usiłował natomiast zyskać sobie przychylność oficerów gwardii. Ponadto ilekroć zjawiał się przy cesarskim stole, czuć go było apteką, połykał bowiem całe mnóstwo różnych odtrutek.

„Lecz czy jest jakaś odtrutka przeciw Cezarowi?”

Teść jego, pisał Kaligula, był również zdrajcą. Nie chciał towarzyszyć cesarzowi podczas podróży, którą podjął w burzliwy czas do Pandatarii i Ponzy, aby zabrać stamtąd szczątki matki i brata; pozostał, spodziewając się, że burza zatopi okręt, a wtedy będzie mógł sam objąć władzę cesarską.

Senat przyjął te wyjaśnienia. W rzeczywistości Syllan nawet podczas przejażdżki łódką w piękny dzień dostawał tak gwałtownej choroby morskiej, że zdawało się, iż wyzionie ducha. Mimo to zaofiarował Kaliguli swe towarzystwo na czas owej podróży, lecz cesarz sam uprzejmie z niego zrezygnował. Co do Gemella, to chłopiec cierpiał na uporczywy kaszel i apteczny zapach pochodził od lekarstwa, jakiego zażywał, nie chcąc ciągłym krztuszeniem się przeszkadzać współbiesiadnikom.

ROZDZIAŁ XXX

Wiadomość o zamordowaniu Gemella była dla mojej matki ciosem bardzo bolesnym.

Udała się do pałacu i zażądała rozmowy z Kaligula. Cesarz przyjął ją chmurny, przeczuwał bowiem wymówki.

- Chcę mówić z tobą w cztery oczy - rzekła. - Chodzi o śmierć Gemella.

- Och, tylko nie w cztery oczy - zaprotestował Kaligula. - Jeśli masz mi coś do powiedzenia, zrób to w obecności Makrona. A skoro to jest tak ważna sprawa, jak mówisz, tym bardziej muszę mieć świadka naszej rozmowy.

- W takim razie wolę nic nie powiedzieć. Jest to sprawa rodzinna i nie mam ochoty wtajemniczać w nią synów niewolników. Jego dziadek służył u mnie w winnicy; sprzedałam go później szwagrowi za czterdzieści pięć sztuk złota.

- Bądź łaskawa powiedzieć mi natychmiast, o co ci chodzi, nie obrażając przy tym moich ministrów. Czy nie wiesz, że posiadam władzę, mocą której mogę każdego uczynić tym, czym mi się podoba?

- Nie mam ci nic przyjemnego do zakomunikowania.

- Mów!

- Jak sobie życzysz. Chciałam ci powiedzieć, że zabicie biednego Gemella było ohydny morderstwem i że pragnę zrezygnować ze wszystkich zaszczytów, które otrzymałam z rąk takiego nikczemnika jak ty.

Kaligula ze śmiechem zwrócił się do Makrona:

- Mam wrażenie, że najlepszą rzeczą, jaką ta staruszka może uczynić, będzie wrócić do domu, pożyczyć od jednego ze swych winiarzy nóż ogrodniczy i przeciąć nim sobie gardziółko.

- Tę samą radę dawałem zawsze mojej babce - odparł Makron. Ale ta czarownica nie chciała mnie posłuchać.

Matka udała się do mnie.

- Mam zamiar popełnić samobójstwo, Klaudiuszu - rzekła. - Wszystkie moje sprawy są uporządkowane. Jest jeszcze kilka drobnych długów, które spłacisz w terminie.

Bądź dobry dla mojej służby, uczciwie bowiem spełniała swe obowiązki. Przykro mi, że nie będzie miał kto się zająć twoją córką. Myślę, że najlepiej by się stało, gdybyś się ożenił i w ten sposób zapewnił małej opiekę. To dobre dziecko.

- Co słyszę? Chcesz popełnić samobójstwo? Ależ, na litość boską, mamo, nie róbże tego!

Uśmiechnęła się cierpko.

- Mam wrażenie, że moje życie należy do mnie, nieprawdaż? Dlaczegoż więc zabraniasz mi rozporządzać nim? Nie będzie ci mnie chyba brakować, co?

- Jesteś moją matką, a człowiek ma tylko jedną matkę.

- Jestem zaskoczona tym synowskim przywiązaniem. Nie byłam dla ciebie nigdy kochającą matką. Czyż mogło być inaczej? Chorowite, słabe, bojaźliwe, niedorozwinięte stworzenie, sprawiałeś mi tylko wciąż bolesny zawód. Za brak zainteresowania, jaki ci okazywałam, bogowie ciężko mnie ukarali. Moja chluba, mój syn Germanik zamordowany; moi biedni wnukowie: Neron, Druzus, Gemellus, zamordowani; moja córka Liwilla za swe ohydne, potwornie ohydne postępowanie poniosła karę z mej własnej ręki. To była najboleśniejsza tragedia mojego życia; żadna matka nie cierpiała więcej. Moje cztery wnuczki wszystkie zeszyły na bezdroża, a ten bezbożny rozpustnik Kaligula... Ale ty go przeżyjesz. Ty przeżyjesz nawet drugi potop. Jestem o tym głęboko przekonana - i spokojny początkowo jej głos zabrzmiał znowu tą nutą rozdrażnienia, z którym zawsze do mnie się odnosiła.

- Matko, czyż nawet w tym momencie nie znajdziesz dla mnie serdeczniejszych słów?

Czyż rzeczywiście kiedykolwiek rozmyślnie sprawiłem ci przykrość lub

okazałem się nieposłusznym synem?

Zdawała się nie słyszeć.

- Dobrze mi tak. Dobrze mi tak - powtarzała. A potem: - Chciałabym, żebyś przyszedł do mnie o piątej. Do tego czasu wszystko powinno być już gotowe. Liczę, że nie zapomnisz o żadnym z przepisanych obrzędów. Nie chcę jednak, abyś przyjął moje ostatnie technienie.

Jeżeli będę jeszcze żyć, zaczekaj w przyległym pokoju; Bryzeida da ci znać. Nie urządź żadnych scen pożegnalnych, jak to jest w twoim zwyczaju. Co się tyczy pogrzebu, znajdziesz dokładne wskazówki na piśmie. Będiesz szedł za marami jako główny żałobnik. Nie życzę sobie żadnych mów pogrzebowych. Pamiętaj, że popełniam samobójstwo, trzeba więc będzie odciąć mi rękę i spalić ją oddzielnie. Na stos nie lej żadnych wonności. Ten zwyczaj wprawdzie zaczyna się przyjmować, ale jest niezgodny z prawem i uważałam go zawsze za karygodne marnotrawstwo. Pallasa mam zamiar wyzwolić, będzie więc szedł na pogrzebie w czapce; nie zapomnij o tym. I chociaż raz w życiu doprowadź całą ceremonię do końca bez pomyłki.

Krótkie "bądź zdrów" zakończyło rozmowę. Nie było łez, uścisków, błogosławieństw.

Jako posłuszny syn wypełniłem sumiennie ostatnią wolę matki. Nawiasem mówiąc, wyzwolenie Pallasa wydało mi się osobliwe, był on bowiem moim niewolnikiem.

Bryzeida też uzyskała wolność.

W parę dni później Kaligula, przypatrując się z okna sali jadalnej stosowi, na którym płonęły zwłoki mej matki, odezwał się do Makrona:

- Dzielnie broniłeś mnie przed tą starucha. Zasłużyłeś sobie na nagrodę.

Otrzymasz najzaszczytniejsze stanowisko w całym cesarstwie. Stanowisko, które według wprowadzonej przez Augusta zasady nie może się dostać w ręce niepewnego awanturnika. Zrobię cię namiestnikiem Egiptu.

Makron przyjął tę wiadomość z niezmierną radością. Nie był ostatnio

pewny, jak Kaligula jest w głębi duszy doń usposobiony, a wyjazd do Egiptu dawał rękojmię zupełnego bezpieczeństwa. Kaligula nie przesadzał mówiąc o najważniejszym stanowisku.

Namiestnik Egiptu mógł, powstrzymawszy dowóz żywności, wygłodzić Rzym, a miejscowy garnizon można było wzmocnić powołaniem pod broń tubylców i stworzyć w ten sposób armię wystarczającą do obrony prowincji przed wszelką inwazją.

Makron został zwolniony ze stanowiska komendanta gwardii. Na jego miejsce Kaligula nie mianował na razie nikogo; komendę miało sprawować kolejno dziewięciu dowódców batalionów, każdy po miesiącu. Po upływie tego czasu ten, który okaże się najpewniejszy i najenergiczniejszy, miał otrzymać nominację na komendanta. W rzeczywistości jednak cesarz przyrzekł ją po cichu pułkownikowi dowodzącemu batalionem pałacowym. Pułkownikiem tym był nie kto inny, jak nasz stary znajomy Kasjusz Cherea, ten sam, który swego czasu zabił w amfiteatrze Niemen; który z pogromu Warusowej armii wyprowadził cało swoją kompanię i utrzymał przyczółek mostowy; który w obozie w Bonn przedarł się przez zbuntowany tłum i niósł na plecach Kaligulę w ów ranek, kiedy to Agryppina i żony oficerów musiały uchodzić z obozu. Kasjusz, choć jeszcze nie przekroczył szóstego krzyżyka, miał już siwe jak mleko włosy, pochylił się też nieco ku ziemi, a ręce mu z lekka drżały. Zjadła go bowiem bardzo ciężka febra, na którą zapadł w Niemczech, i cudem tylko powrócił do zdrowia. Był jednak z niego wciąż tęgi zapaśnik i według opinii ogółu najodważniejszy człowiek w Rzymie. Pewnego dnia jakiś żołnierz gwardii dostał ataku szału i z włócznią w ręku przebiegał pałacowe korytarze. Wyobrażał sobie, że walczy z francuskimi buntownikami. Ludzie uciekali na prawo i lewo, tylko jeden Kasjusz nie ruszył się z miejsca, a kiedy szaleniec runął na niego, zakomenderował spokojnie niby na placu ćwiczeń:

„Kompania, stój! Złożyć broń!” Szaleniec, w którym długie lata wojskowej tresury wyrobiły instynktowny posłuch dla komendy, zatrzymał się i

położył włócznię na posadzce.

„Kompania, w tył zwrot! Biegiem marsz!” zakomenderował wtedy Kasjusz. Tak udało się rozbroić szaleńca. Kasjusz po ustąpieniu Makrona pierwszy objął dowództwo gwardii i potrafił ją utrzymać w korbach przez cały czas procesu, jaki wytoczono poprzedniemu komendantowi.

Nominacja na stanowisko namiestnika Egiptu była bowiem tylko podstępem Kaliguli, podobnym do tego, którego chwycił się Tyberiusz, kiedy chciał usunąć Sejana.

Makron został aresztowany w Ostii, w chwili kiedy wsiadał na statek, i w kajdanach przewieziony do Rzymu. Oskarżono go o śmierć wielu niewinnych osób, a Kaligula ponadto zarzucił mu rajfurzenie własną żoną, Enią; Makron - twierdził - starał się uwikłać go w romans i niewiele brakowało, aby przy swym młodzieńczym niedoświadczeniu wpadł w tę pułapkę.

Makron i Enia, nie widząc innej drogi ratunku, popełnili samobójstwo. Byłem zdumiony, jak łatwo Kaligula pozbył się tak niebezpiecznego człowieka.

Pewnego dnia cesarz jako arcykapłan dokonał uroczystej ceremonii zaślubin jednego z Pizonów z niejaką Orestyllą. Panna młoda przypadła mu szczególnie do gustu, więc kiedy obrzęd, w którym uczestniczyła prawie cała elita rzymska, został zakończony, Kaligula zawołał nagle do oblubieńca:

- Hej! Przestań całować tę kobietę. To jest moja żona.

Wśród ogólnego osłupienia, jakie wywołały te słowa, wstał i dał gwardii rozkaz chwycenia Orestylli i zaprowadzenia do pałacu. Nikt nie śmiał zaprotestować.

Następnego dnia Kaligula zaślubił porwaną. Prawowity małżonek musiał się zrzec swych praw i uczestniczyć w ceremonii ślubnej. Do senatu cesarz wysłał list, w którym zawiadamiał, że zawarł związek w stylu Romulusa i Augusta. Prawdopodobnie miał na myśli porwanie Sabineek i małżeństwo Augusta z moją babką, której pierwszy mąż był obecny na ślubie. Po dwóch miesiącach Kaligula rozwiódł się i wygnał Orestyllę wraz z pierwszym mężem,

pod pozorem, że oboje go potajemnie zdradzają. Ona została wysłana do Hiszpanii, a on na Rodos. Pozwolono mu zabrać z sobą tylko dziesięciu niewolników. Kiedy prosił, aby wolno mu było podwoić tę liczbę, Kaligula odparł:

- Możesz zabrać z sobą, ilu ci się podoba. Ale za każdego niewolnika ponad dziesięciu dostaniesz jednego żołnierza eskorty więcej.

Druzylla umarła. Osobiście jestem przekonany, że zamordował ją Kaligula, ale nie mam na to żadnych dowodów. Opowiadano mi, że kiedy całował jakąś kobietę, miał zwyczaj mówić:

- Jakże biała i piękna ta szyjka. Pomyśleć tylko, że wystarczy jedno moje słowo, żeby ją gładziutko przeciąć na dwoje.

Jeżeli szyja była szczególnie biała i piękna, nie mógł się czasem powstrzymać od wypowiedzenia tego jednego słowa i urzeczywistnienia swych przechwałek. Jeżeli chodzi o Druzyllę, to przypuszczam, że ścinał ją własnoręcznie. W każdym razie nikt nie oglądał ciała.

Kaligula oświadczył, że umarła na suchoty, i sprawił jej pogrzeb z niebywałym przepychem.

Została zaliczona do rzędu bóstw pod nazwą Pantei. Kaligula wznosił jej wiele świątyń, mianował kapłanów i kapłanki spośród elity rzymskiej i ustanowił doroczne święto przewyższające okazałością wszystkie inne. Jakiś człowiek, który widział, jak August przyjmuje ducha Druzylli do nieba, otrzymał dziesięć tysięcy sztuk złota.

Ktokolwiek by podczas żałoby, którą Kaligula ogłosił po śmierci siostry, śmiał się, śpiewał, golił, poszedł do łaźni lub chociaż zjadł obiad w towarzystwie rodziny, zostawał oskarżony o zbrodnię stanu.

Sądy zamknięto, nie udzielano ślubów, w wojsku zaprzestano ćwiczeń. Cesarz skazał na śmierć ulicznego przekupnia za to, że w tym czasie sprzedawał gorącą wodę, a drugiego, że wystawił w sklepie brzytwy. Nastrój przygnębienia był tak wielki i tak powszechny, że Kaligula wreszcie sam nie mógł wytrzymać

(a może dogryzły mu wyrzuty sumienia) i pewnej nocy opuścił miasto, udając się w towarzystwie tylko jednego liktora do Syrakuz.

Dojechał jednak zaledwie do Mesyny, gdyż właśnie zdarzył się niewielki wybuch Etny. Widok ten tak przeraził Kaligulę, że momentalnie zawrócił. Po przybyciu do Rzymu kazał powrócić wszystkim do normalnego trybu życia i znów rozpoczęła się cała seria walk gladiatorów, wyścigów, hec cyrkowych. Przypomnił sobie nagle, że żyją jeszcze ludzie, którzy swego czasu ofiarowali na intencję jego wyzdrowienia własne życie. Zmusił ich tedy do wypełnienia ślubu. I to nie tylko dlatego, jak mówił, żeby ich uchronić od krzywoprzysięstwa, lecz aby Śmierć nie zechciała się przypadkiem wycofać z umowy, którą z nią zawarto.

W kilka dni później przy wieczerzy, mając już trochę w czubie, sformułowałem prawo dziedziczności kobiecej urody. Powołując się na wiele przykładów dowodziłem, że uroda przeskakuje jedną generację i przechodzi zazwyczaj z babki na wnuczkę. W zapale dyskusji miałem nieszczęście oświadczyć:

- Najpiękniejsza kobieta, jaką pamiętam w Rzymie ze swych chłopięcych czasów, ma teraz swego zupełnego sobowtóra w postaci wnuczki tego samego imienia, Lolia, żony obecnego namiestnika Grecji. Pomijając pewną niewiastę, której nie chcę nazwać po imieniu, gdyż znajduje się między nami, uważam Lolię za najpiękniejszą kobietę naszych czasów.

Jeżeli uczyniłem pewne zastrzeżenie, to tylko ze względów towarzyskiej kurtuazji, gdyż Lolia była w istocie bez porównania piękniejsza niż moje bratanice, Agryppinilla i Lesbia, czy którakolwiek z kobiet znajdujących się w naszym towarzystwie.

Zresztą, nie byłem w niej zakochany. Po prostu pewnego dnia zwróciłem uwagę na jej doskonałą piękność i przypomniałem sobie, że to samo spostrzeżenie uczyniłem swego czasu widząc jej babkę.

Kaligula, zaintrygowany, zaczął mnie wypytywać. Nie zdając sobie

sprawy, że już za dużo powiedziałem, rozgadałem się jeszcze bardziej. Tego samego wieczoru Kaligula napisał do męża Lolii, każąc mu powrócić do Rzymu, gdzie go oczekuje zaszczytne odznaczenie.

Okazało się, że odznaczenie polega na tym, iż ma się rozwieść z Lolii i wydać ją za mąż za cesarza.

Tego samego wieczoru rzuciłem jeszcze inną uwagę, która wywołała niespodziewany skutek. Ktoś wspomniał mianowicie o epilepsji. Zauważyłem wtedy, że wedle kronik kartagińskich epileptykiem miał być Hannibal; również Aleksander i Juliusz Cezar cierpieli na tę tajemniczą chorobę, która zdawała się nieodłącznie towarzyszyć genialnym wodzom.

Kaligula z zainteresowaniem przysłuchiwał się moim wywodom, a w kilka dni później w senacie zaprodukował nam wcale udatnie atak epilepsji; upadł na posadzkę krzycząc wniebogłosy, a z ust pociekła mu biała piana - prawdopodobnie były to mydliny.

Lud rzymski czuł się jeszcze wciąż nie najgorzej. Kaligula w dalszym ciągu urządzał dlań przedstawienia teatralne, walki gladiatorów, łowy na dzikie zwierzęta, wyścigi i z mównicy lub z pałacowych okien hojną dłonią rozrzucał w tłum pieniądze.

Małżeństwa czy rozwody cesarza, morderstwa, których ofiarą padali dworzanie - wszystko to mało obchodziło ogół. Kaliguli nie cieszyło widowisko, jeżeli teatr czy cyrk nie był wypełniony do ostatniego miejsca i ludzie nie tłoczyli się w przejściach. Dlatego też na czas widowisk zawieszał procesy i ogłaszał dyspensę od żałoby, żeby nikt nie miał wymówki, że nie może wziąć udziału w zabawie. Wprowadził też cały szereg nowych zwyczajów. Pozwolił więc pospółstwu przynosić z sobą poduszki, w czasie upału używać słomianych kapeluszy i przychodzić boso. Tyczyło to również senatorów, którzy przecież mieli świecić przykładem dostojnej powagi.

Kiedy wreszcie blisko po roku udało mi się wpaść na kilka dni do Kapui, Kalpurnia zapytała mnie na wstępie:

- Ileż zostało w prywatnej szkatule z tych dwudziestu milionów?

- Przypuszczam, że mniej niż pięć. Lecz wybudował za to luksusowe galery z cedrowego drewna, wykładane złotem i klejnotami, posiadające baseny i klomby kwiatów; następnie rozpoczął roboty koło sześćdziesięciu nowych świątyń i mówi o przekopaniu Przesmyku Korynckiego. Kąpie się w olejkach z lawendy i fiołków. Dwa dni temu Eutychowi, woźnicy Zielonych, który zwyciężył w wyścigach, dał prezent wartości dwudziestu tysięcy sztuk złota.

- Zieloni jeszcze wciąż wygrywają?

- Zawsze. Albo prawie zawsze. Przedwczoraj właśnie udało się Czerwonym pierwszym przybyć do mety. Lud powitał ich zwycięstwo z radością. Już ich znudzili Zieloni.

Cesarz wpadł we wściekłość. Na drugi dzień woźnica Czerwonych i cały zaprzęg nie żyli.

Otruci. Już raz się to zdarzyło poprzednio.

- W takich warunkach przyszły rok nie zapowiada się dla ciebie dobrze, mój biedny Klaudiuszu. Ale, ale! Może zechcesz przejrzeć rachunki. Jak już ci pisałam, kiepski rok mamy. Szlachetne sztuki bydła zdychają, niewolnicy kradną na prawo i lewo; stogi spłonęły.

Straciłeś co najmniej dwa tysiące. I nie myśl, że to wina rządu. Robi, co może, a w każdym razie jest uczciwy. Wszystko wynika z tego, że nie ma cię tutaj i że sam nie doglądasz swych interesów.

- Trudna rada - westchnąłem. - A zresztą, powiem ci szczerze, że ostatnio bardziej boję się o życie niż o pieniądze.

- Źle się z tobą obchodzą?

- Robią ze mnie głupca na każdym kroku. Nie lubię tego. Najwięcej dokucza mi sam cesarz.

- Cóż ci takiego robią?

- Och, zwykłe kawały. Kubełki z wodą zawieszane nad drzwiami; żaby w łóżku albo wstrętne pederasty pachnący mirrą. Wiesz, jak nie cierpię żab i

pederastów.

Kiedy chcę po obiedzie uciąć sobie małą drzemkę, ciskają we mnie pestkami z daktyli albo przywiązują mi trzewiki do rąk, albo dzwonią nad samym uchem. O pracy nie ma mowy. Jeśli nawet spróbuję się do czegoś zabrać, przewracają mi kałamarz i zalewają wszystko atramentem.

Niczego, co powiem, nie bierze się serio.

- Czy jesteś ich jedynym błaznem?

- Ulubionym i oficjalnym.

- A więc masz więcej szczęścia, niż przypuszczasz. Strzeż zazdrośnie swego stanowiska. Nie daj go sobie nikomu odebrać.

- Nie rozumiem cię.

- Bardzo proste. Ludzie nie zabijają swoich błaznów. Mogą obchodzić się z nimi okrutnie, mogą utrzymywać ich w ciągłym strachu, mogą ich obrabować, ale nie zabić.

- Jesteś doprawdy bardzo mądra, Kalpurnio. A teraz posłuchaj mnie. Mam jeszcze dość pieniędzy. Kupię ci piękną jedwabną suknię, złotą skrzyneczkę na kosmetyki, małą paczkę cynamonowych laseczek.

Roześmiała się.

- Prawdę mówiąc, wolałabym gotówkę. Ile zamierzasz na mnie wydać?

- Około siedmiu setek.

- Doskonale. Właśnie mi się przydadzą. Dziękuję ci, Klaudiuszku. Po powrocie do Rzymu dowiedziałem się o zajściach, które miały miejsce w związku z wyścigami.

Jeszcze przed świtem zebrał się u bram amfiteatru wielki tłum. Ludziska tłoczyli się i popychali, każdy bowiem chciał być jak najbliżej wejścia, aby zająć najlepsze miejsce.

Robili przy tym tyle wrzawy, że mimo dużej odległości krzyki obudziły Kaligulę, który dla przywrócenia porządku wysłał kompanię gwardzistów uzbrojoną w pałki. Gwardziści ściągnięci o tak wczesnej porze z łóżek byli,

rzecz jasna, w nie najlepszych humorach, toteż tłukli, gdzie popadło; sporo osób zostało podczas tej masakry zabitych, między innymi kilku zamożnych obywateli. Wrzawa, oczywiście, powstała jeszcze większa i Kaligula nie zmrużył oka. Chcąc okazać ludowi swe niezadowolenie, zjawił się w amfiteatrze dopiero po południu, kiedy już wszyscy byli zmęczeni oczekiwaniem i głodni. Porażkę Zielonych przyjęto gwizdami i tupaniem. Kaligula, do żywego dotknięty tą manifestacją, zerwał się z miejsca i zawołał:

- Och, czemuż ten motłoch nie ma jednej głowy, żebyśmy mógł mu ją odrąbać jednym ciosem!

Nazajutrz miały się odbyć walki gladiatorów i szczwanie dzikiego zwierza.

Kaligula zmienił poczynione już przygotowania i kazał wypuścić na arenę najmniejsze zwierzęta, jakie tylko można było dostać na targu: wyleniałe lwy i pantery, chore niedźwiedzie, niedołężne ze starości byki; jednym słowem, marny towar, jaki wysyła się do małych miasteczek garnizonowych na zabitej deskami prowincji, gdzie widownia nie jest wybredna, a szczwacze-amatorzy wcale nie życzą sobie zwierząt wysokiej klasy. Szczwacze, którymi Kaligula zastąpił pierwotnie zamówionych, mieli wygląd odpowiedni do zwierząt - grubasy, niezdary w wieku, w którym zadyszka zjawia się przy byle sposobności. Kilku z nich miało nawet swoje piękne dni na arenie, ale było to jeszcze w złotym wieku augustowskim. Lud przyjął tę grupę żartami i tupaniem. Na to tylko czekał Kaligula. Wysłał w tłum kilku oficerów z rozkazem aresztowania co większych krzykaczy i zaprowadzenia ich na arenę.

Niech pokażą, czy potrafią lepiej. Wyleniałe lwy i pantery, chore niedźwiedzie i zestarzałe byki uwinęły się z nimi szybko.

Cesarz zaczynał tracić popularność. Wiadomo, że każdy rad świętuje, ale kiedy świętowanie przeciąga się na cały rok i nikt nie ma czasu zająć się swymi sprawami, a rozrywka staje się przymusowa, ludzie zaczynają jej mieć dość. Wyścigi znudziły się do cna.

Bawić mogły tylko jeszcze samego Kaligulę, który osobiście interesował się zaprzęgami i woźnicami i sam niejednokrotnie powoził. Trzeba przyznać, że miał niezgorszą rękę do lejc i bicza, a reszta woźniców wystrzegала się wyprzedzić cesarza. Jeszcze nudniejsze były przedstawienia teatralne. Dla przeciętnego widza, nie dla znawcy, wszystkie sztuki są do siebie podobne. Przynajmniej ja odnoszę tego rodzaju wrażenie. Kaligula uroił sobie, że jest niepoślednim znawcą teatru, a ponadto łączyły go czułe związki z filistyńskim aktorem Apellesem, który często grywał w sztukach pisanych przez samego siebie. Jedną z tych sztuk Kaligula szczególnie podziwiał, gdyż kilka z jego uwag Apelles włączył do swojej roli. Grano tę sztukę tyle razy bez przerwy, że obrzydła ludziom do cna. Jeszcze większą sympatią cesarza cieszył się Mnester, będący wówczas w modzie solista mitologicznego baletu. Jeżeli jakiś układ wykonał szczególnie dobrze, Kaligula całował go na oczach całej widowni.

Pewnego razu jeden z rycerzy dostał w czasie przedstawienia ataku gwałtownego kaszlu i nie mogąc się uspokoić chciał opuścić widownię. Hałas, jaki powstał, kiedy nieszczęśnik krztusząc się i przeprasając przeciskał się przez zatłoczony teatr, zirytował Mnestera tak, że przerwał taniec wykonywany przy akompaniamencie cichej muzyki fletów i czekał, aż na widownię powróci spokój. Kaligula wpadł we wściekłość; kazał przyprowadzić rycerza do siebie i stłukł go własnoręcznie na kwaśne jabłko. Następnie wysłał ekstrapocztą do Tangeru, gdzie miał wręczyć królowi marokańskiemu zapieczętowany list. Króla - mówiąc nawiasem, mojego kuzyna, gdyż matką jego była moja ciotka Selena, córka Antoniusza i Kleopatry - zaskoczyła treść listu. Pismo cesarskie brzmiało: "Proszę uprzejmie o odesłanie kuriera z powrotem do Rzymu." Wszyscy nobilowie czuli się dotknięci tym wypadkiem; Mnester był tylko wyzwolencem, a zachowywał się jak triumfujący wódz. Kaligula brał u Apellesa lekcje dykcji, a u Mnestera tańca i po pewnym czasie zaczął występować w ich rolach.

Czasami, kiedy wygłosił jakiś tragiczny monolog, zwracał się do

stojącego za kulisami Apellesa:

- To było dobrze zrobione, co? Ty sam nie potrafiłbyś lepiej.

Kiedy zaś udało mu się z wdziękiem wykonać jakiś podskok czy piruet, polecał orkiestrze przerwać, podniesieniem ręki nakazywał widowni bezwzględną ciszę, a następnie wykonywał tę samą figurę raz jeszcze, już bez akompaniamentu.

Jak Tyberiusz swego smoka, tak Kaligula miał ulubionego ogiera. Pierwotnie ogier ten nosił imię Porcellus, co znaczy Prosiaczek, lecz cesarz, uważając tę nazwę za nie dość wspaniałą, nazwał go Incitatus, czyli Chyży. Incitatus nigdy nie przegrał biegu, a Kaligula tak absurdalnie był przywiązany do konia, że zrobił go najpierw obywatelem, następnie senatorem, a wreszcie umieścił go na liście mianowanych przez siebie konsulów na lat cztery.

Incitatus otrzymał dom i służbę. Miał marmurową sypialnię i codziennie dostawał do spania świeży siennik. Jadał przy żłobie z kości słoniowej, pijał ze złotego cebra, a sławni malarze przyozdobili ściany jego domu obrazami. Po zwycięskich wyścigach był zapraszany razem z nami na obiad, ale wołał miskę jęczmienia i rybę, które to smakołyki zawsze dostawał. Za jego zdrowie musieliśmy wtedy wypijać po dwadzieścia pucharów.

Tymczasem z pieniędzmi było coraz skąpiej i Kaligula postanowił zaprowadzić oszczędności. Pewnego dnia oświadczył nam:

- Jakież jest pożytek z ludzi trzymany w więzieniu za fałszerstwo, kradzież czy gwałt publiczny? Dla nich przyjemność zgoła wątpliwa, a ja muszę ponosić koszty utrzymania i opłacać strażników. Jeżeli jednak uwolnię więźniów, powrócą znowu na drogę występku.

Zwiedzę dziś więzienia i zbadam sprawę na miejscu.

Jak powiedział, tak uczynił. Tych z więźniów, którzy wydawali mu się najbardziej zatwardziały zbrodniarzami, kazał stracić, następnie ciała ich poćwiartować i żywić tym mięsem ludzkim zwierzęta zakupione na igrzyska. W ten sposób oszczędność była podwójna.

Takie inspekcje więzień odbywały się co miesiąc i liczba zbrodni zaczęła z wolna spadać.

Pewnego dnia podskarbi Kallist złożył raport, z którego wynikało, że w skarbie państwa pozostało zaledwie milion, a w prywatnej szkatule tylko pół miliona. Cesarz zorientował się, że sama oszczędność nie wystarczy, trzeba zwiększyć dochody. Zaczął więc sprzedawać godności kapłańskie, urzędy, monopole. Przynosiło to pokaźny, ale wciąż jeszcze zbyt mały dochód. Wtedy, jak przewidziała Kalpurnia, Kaligula zaczął znów korzystać z usług donosicieli i wytaczać bogatym ludziom procesy o rzeczywiste czy urojone zbrodnie.

Wprawdzie po objęciu władzy zniósł ustawę o obrazie majestatu, ale istniało wiele innych zbrodni, za które również groziła kara śmierci.

Pierwszą serię wyroków uświetnił wspaniałą hecą cyrkową. Nie przejednało to jednak tłumy. Widownia tupiała i hałasowała nie zwracając uwagi na arenę. Nagle z drugiego końca amfiteatru, naprzeciw łoży, w której prezydował Kaligula, ktoś krzyknął:

- Wydać donosicieli!

Cesarz zerwał się z miejsca i chciał nakazać milczenie, ale tłum go zakrzyczał.

Posłał więc w tę stronę, skąd dochodziły najgłośniejsze okrzyki, oddział gwardzistów uzbrojonych w pałki. Paru krzykaczy oberwało po łbie, ale tumult zrobił się jeszcze większy w innych miejscach. Cesarza ogarnął niepokój. Opuścił pośpiesznie amfiteatr, polecając mi przewodniczyć igrzyskom. Nie byłem wcale zachwycony tym dowodem łaski i odetchnąłem z ulgą, widząc, że tłum gotów jest mnie wysłuchać, a nawet tu i ówdzie rozlegają się zachęcające okrzyki: "Feliciter!"*[* Pomyślności!] Głos mam słaby, nie tak jak Kaligula, którego z jednego końca Pola Marsowego słychać w drugim. Rozejrzałem się zatem wokół, czy nie znajdę kogoś, kto by powtarzał moje słowa. Mnester pospieszył ofiarować mi swe usługi. Trzeba przyznać, że przemówienie zyskało na tym ogromnie.

Zawiadomiłem widzów, że nie cierpiące zwłoki sprawy państwowe zmusiły cesarza do opuszczenia amfiteatru. Przyjęto te słowa wybuchem śmiechu, choć Mnester pięknym gestem podkreślił wagę i nagłość spraw. Oświadczyłem następnie, że obowiązki przewodniczącego spadły na moje słabe i niegodne barki. W tym miejscu Mnester bezradnie wzruszył ramionami i zatrzepotał rękoma koło skroni.

- A więc, przyjaciele, kontynuujmy igrzyska - zakończyłem.

Na to znów powstała wrzawa.

- Wydać donosicieli!

- A jeśli cesarz zgodzi się na wasze żądanie, cóż wtedy? Czy jest ktoś, kto zechce zrobić przeciwko nim doniesienie? - spytałem, a Mnester ujmującym głosem powtórzył.

Szmer niezdecydowania przebiegł widownię. Wykorzystując ten moment, zadałem inne pytanie: Jak sądzą, czy większym zbrodniarzem jest donosiciel, czy donoszący na donosiciela, a może donoszący na donoszącego na donosiciela? Widać z tego, ciągnąłem, że im bardziej ścigamy ten występki, tym wstrętniejszy on się staje i tym szersze zatacza kręgi.

Najlepszą metodą walki z donosicielstwem - to postępować tak, żeby nie dawać donosicielom żadnej sposobności do doniesień. Gdyby każdy żył cnotliwie, nikczemny ród donosicieli wymarłby z głodu jak myszy w kuchni skąpca.

Nie dacie wiary, jaką burzę śmiechu wywołał ten paradoks. Im prymitywniejszy i głupszy dowcip, tym bardziej przypada tłumowi do smaku. (Największe oklaski zyskałem kiedyś w cyrku, również w zastępstwie Kaliguli przewodnicząc przedstawieniu.

Widownia wywoływała gladiatora imieniem Gołąb, który miał wystąpić, ale zawiódł.

Zawołałem wtedy:

„Chcecie oskubać gołębia, to go przedtem złapcie!” Natomiast na

najdowcipniejszych moich żartach nikt się nie poznał.)

- A więc kontynuujmy igrzyska! - powtórzyłem.

Tym razem wezwanie pomogło. Wrzawa ucichła. Igrzyska, jak się okazało, stały na wcale wysokim poziomie. Dwóch zapaśników zginęło równocześnie, zadając sobie wzajemnie ciosy w brzuch; wypadek tego rodzaju należy do wyjątkowych. Kazałem przynieść broń zabitych i poleciłem, aby zrobiono zeń małe nożyki, które, jak wiadomo, są jednym z najskuteczniejszych amuletów przeciw epilepsji. Miałem nadzieję, że Kaligula doceni ten pomysł i daruje mi, że zdołałem uspokoić tłum, gdy jemu to się nie udało. A był tak przerażony, że uciekł co koń wyskoczy do Ancjum i nie pokazał się w Rzymie przez kilka dni.

Wszystko jednak dobrze się skończyło. Kaligula z nożyków był bardzo zadowolony i nie omieszkał przy tej sposobności wygłosić dłuższych wywodów na temat czcigodności swej choroby. Spytał mnie następnie o przebieg zająć w amfiteatrze. Odpowiedziałem, że przestrzegłem widzów przed konsekwencjami gniewu cesarskiego, na wypadek jeśli natychmiast nie okażą żalu za swą nielojalność i niewdzięczność. Buntownicze okrzyki, opowiadałem, zmieniły się wtedy od razu w okrzyki przerażenia i błagania o przebaczenie.

- Tak - wtrącił Kaligula. - Byłem dla nich za pobłażliwy. Postanowiłem nie ustępować na włos."Nieugięta surowość" jest od dzisiaj moją dewizą.

Ażeby lepiej utrwalić sobie w pamięci to postanowienie, stroił co rana przed lustrem przeraźliwe miny, a w łazience, gdzie było doskonałe echo, wydawał dzikie okrzyki.

- Dlaczego nie obwieścisz publicznie swej boskości? - spytałem. - To najlepiej przyczyniłoby się do wzbudzenia szacunku dla ciebie.

- Istnieje parę spraw, które muszę załatwić jeszcze w ludzkiej powłoce - odparł.

Jakoż wkrótce przystąpił do ich załatwiania. Komendanci portów w całej Italii i Sycylii otrzymali pewnego dnia rozkaz, żeby wszystkie statki powyżej

pewnego tonażu zatrzymali, wylądowali i opróżnione wysłali pod konwojem okrętów wojennych do Zatoki Neapolitańskiej. Nikt nie mógł zrozumieć intencji tego rozkazu. Przypuszczano, że cesarz planuje wyprawę do Brytanii i chce na zarekwirowanej flocie przeprowadzić wojska.

Domysły okazały się z gruntu fałszywe. Chodziło tylko o wypełnienie wróżby Trazyła, który przepowiedział swego czasu, że Kaligula ma tyleż szans zostania cesarzem, co przejechania konno Zatoki Bajskiej. Zebrawszy około czterech tysięcy statków, z czego tysiąc specjalnie w tym celu zbudowanych, zakotwiczył je w dwa rzędy jeden koło drugiego, burtą do burty w poprzek całej zatoki, od stoczni puteolskiej do willi cesarskiej w Bauli. Okręty były dziobami zwrócone na zewnątrz, a rufami do siebie. Ponieważ jednak rufy dla tego celu okazały się zbyt wysokie, kazał je odpiłować wraz z rzeźbami, które się tam znajdowały.

Wywołało to wielką żalność wśród marynarzy, gdyż rzeźby te przedstawiały bóstwa opiekujące się statkami.

Na utworzony w ten sposób ze statków most zwieziono ziemię, którą następnie twardo ubito, tak że powstał szeroki, solidny gościniec długości około sześciu tysięcy kroków.

Zatrzymawszy większą liczbę okrętów, które powracały właśnie ze Wschodu, Kaligula zrobił z nich pięć wysp w odległości tysiąca kroków jedna od drugiej i połączył je pomostami z głównym gościńcem. Wzdłuż niego zbudował kilka sklepów, które rozkazał edyłom zaopatrzyć w ciągu dziesięciu dni w towary i obsługę. Następnie zaprowadził wodociągi i założył trawniki, a na wyspach zbudował wioski.

Na szczęście przez cały czas robót pogoda dopisywała i morze było gładkie jak tafla szkła. Kiedy już wszystko przygotowano, Kaligula przywdział pancerz Aleksandra, zarzucił purpurowy płaszcz sztywny od złota i klejnotów, na głowę włożył wieniec z liści dębowych, przypasał miecz Juliusza Cezara, wziął święty topór Romulusa i świętą tarczę Eneasza, przechowywane z czcią na

Kapitelu (jedno i drugie - moim zdaniem - falsyfikaty, ale z tak wczesnej epoki, że miały istotną wartość zabytkową). Następnie chcąc sobie zjednać Neptuna złożył na ofiarę fokę jako zwierzę ziemnowodne, a Zawiści ofiarował pawia, na wypadek gdyby któryś z bogów okazał się zazdrosny. Wreszcie wsiadł na Incitata i ruszył z Bauli śródmorskim gościńcem. Za nim posuwała się cała konna gwardia, oprócz niej duży oddział konnicy z Francji i dwadzieścia tysięcy piechoty. Kiedy znalazł się już na ostatniej z wysp przed Puteoli, nakazał zagrać do ataku i wpadł do miasta w bojowym szyku, jakby gonił pobitego nieprzyjaciela.

Noc i większą część następnego dnia spędził w Puteoli, wypoczywając niby po bitwie.

Wieczorem powrócił na triumfalnym rydwanie, którego koła i pudło były obite złotą blachą.

W zaprzęgu szedł Incitatus i Penelopa - klacz, z którą Kaligula zaślubił rytualnie swego ulubieńca. Cesarz jechał w tym stroju co poprzednio, z tą różnicą, że teraz miał na głowie wieniec z liści laurowych. Za rydwanem ciągnął długi wąż wozów naładowanych rzekomą zdobyczą - meblami i posągami zabranymi z domów bogatych kupców puteolskich.

Rolę jeńców odegrali zakładnicy, których różni królikowie wschodni musieli przysyłać jako rękojmię swoich przyjaznych uczuć dla Rzymu, i niewolnicy obcokrajowcy, jacy mu się tylko nawinęli pod rękę. Każdego z tych rzekomych jeńców przyodziano w jego strój narodowy i zakuto w kajdany. Następnie na ukwieconych wozach, ubrani w haftowane tuniki, jechali zausznicy cesarscy śpiewając pieśni na cześć Kaliguli. Za nimi maszerowała armia, a na końcu około dwustutysięczny tłum w odświętnych szatach. Na pagórkach wokół całej zatoki płonęły niezliczone stosy; żołnierze i obywatele - wszyscy nieśli pochodnie.

Chyba świat nie oglądał dotąd widowiska równie okazałego i równie - jestem tego pewny - niemądrego. Ale uciecha w tłumie była wielka. W

południowo-zachodniej stronie przylądka Mizenum zapalił się las sosnowy i gorzał jak olbrzymi stos. Widok był wspaniały. Kiedy Kaligula znalazł się znów w Bauli, kazał sobie podać złoty trójząb i purpurową togę haftowaną w srebrne ryby i delfiny. Następnie wsiadł na największą ze swych pięciu cedrowych galer, które czekały u wybrzeża, i popłynął do środkowej, największej z pięciu wysp; za nim ruszyły okręty wojenne, wioząc większą część armii.

Wysiadłszy, Kaligula wstąpił na okrytą jedwabiem trybunę, skąd wygłosił przemówienie do tłumu posuwającego się w dalszym ciągu przez most. Straż pilnowała, żeby pochód się nie zatrzymywał; tak więc każdy usłyszał tylko kilka zdań. Wyjątek stanowili zgromadzeni wokół trybuny przyjaciele cesarscy - wśród których i ja się znajdowałem - i żołnierze z najbliższego okrętu wojennego, którym nie pozwolono zejść na ląd.

Kaligula mówił o tym i o owym, a między innymi nazwał Neptuna tchórzem, gdyż, jak twierdził, dał się bez walki ujarzmić. Przyrzekł też, że następnym razem da bogu jeszcze lepszą nauczkię.

Zapomniał widać, że składał mu niedawno ofiarę. Wyśmiał następnie króla Kserksesa, który podczas swej nieszczęśliwej wyprawy przeciw Grecji zbudował most na Hellesponcie. Most ten przecież był o połowę krótszy niż obecny, a jeśli chodzi o solidność budowy, nie wytrzymuje żadnego porównania. Oświadczył wreszcie, że zamierza każdemu z żołnierzy wypłacić dwie sztuki złota - niech je przepije za cesarskie zdrowie - a każdemu z uczestników pochodu pięć sztuk srebra.

W odpowiedzi na ostatnie słowa powstała radosna wrzawa. Kaligula przez jakieś pół godziny z zadowoleniem przysłuchiwał się wiwatom. Wreszcie nakazał milczenie i przystąpił do rozdawania pieniędzy. Cały tłum musiał z powrotem przedelfilować przez most, a w miarę jak się posuwał, przynoszono coraz to nowe worki z pieniędzmi. Po dwóch godzinach zabrakło monet; zawiedzionym maruderom Kaligula oświadczył, żeby się pocieszyli na koszt obdarowanych. Doszło oczywiście do bijatyki.

Zapadła wreszcie noc, jedna z najpamiętniejszych nocy, pełna śpiewu, pijaństwa, dzikich wybryków i rozpasania. Pod wpływem trunku budziły się zwykle w Kaliguli niszczycielskie instynkty. Na czele "wywiadowców" i straży niemieckiej urządził szarżę naokoło wyspy i wzdłuż sklepów, strącając ludzi do wody. Morze było tak spokojne, że tylko całkiem pijani, słabi, podeszli wiekiem i małe dzieci nie zdołali się uratować.

Utonęło nie więcej niż dwieście do trzystu osób. Około północy cesarz przypuścił atak do jednej z mniejszych wysp. Po zerwaniu mostu niszczył jeden za drugim jej okręty, aż wreszcie odcięty od morza mieszkańcom pozostał pod nogami niewielki skrawek gruntu w samym środku. Ostatni cios miał zadać admirałski okręt Kaliguli. Cesarz, stojąc na dziobie i wymachując swym trójzębem, najechał w pełnym pędzie na przerażonych niedobitków i posłał ich na dno. Wśród ofiar tej bitwy morskiej znajdował się niejaki Eleazar, zakładnik partyjski, największa osobliwość triumfalnego orszaku Kaliguli. Był to najwyższy człowiek na świecie, mierzył bowiem przeszło jedenaście stóp. W stosunku do swego wzrostu robił wrażenie szczupłego; głos jego przypominał beczenie wielbłąda, poza tym był bardzo słaby w krzyżu i uchodził za umysłowo niedorozwiniętego; wywodził się z rodziny żydowskiej.

Kaligula kazał zwłoki Eleazara wypchać i ubrane w zbroję ustawił u drzwi swej sypialni, aby odstraszały ewentualnych skrytobójców.

ROZDZIAŁ XXXI

Koszta tej dwudniowej zabawy opróżniły skarb do cna. Lekkomyślność Kaliguli pogorszyła jeszcze sytuację. Zamiast zwrócić statki właścicielom, rozkazał naprawić wyrwę w moście, a sam, wróciwszy do Rzymu, zajął się innymi sprawami. Neptun, nie chcąc się okazać tchórzem, zesłał gwałtowną burzę od zachodu, która uderzywszy w most zatopiła około tysiąca statków. Pozostałe podniósłszy kotwice popłynęły ku wybrzeżu. W ten sposób około dwóch tysięcy wymknęło się burzy lub znalazło schronienie na mieliźnie; reszta jednak poszła na dno. Strata statków odbiła się na transporcie egipskiego zboża, co pociągnęło znów za sobą niedostatek żywności w stolicy. Kaligula przysiągł pomścić się na Neptunie. Aby wy dostać pieniądze, wpadał teraz na genialne wprost pomysły, zabawne dla wszystkich z wyjątkiem poszkodowanych i ich najbliższych. Tak na przykład młodych ludzi, którzy nie mogąc uiścić grzywien stawali się niewolnikami cesarskimi, oddawał do szkoły gladiatorskiej. Po jej ukończeniu musieli występować na arenie. Ponieważ jako niewolnicy nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia, Kaligulę kosztowało tylko ich utrzymanie.

Jeżeli któryś zginął, cesarz nic na tej śmierci nie tracił. Zwycięzcy zostawali drogą licytacji sprzedawani urzędnikom, do których obowiązków należało urządzenie igrzysk, lub osobom postronnym mającym ochotę nabyć gladiatora. Ceny wyśrubowywał Kaligula do absurdalnej wysokości, uważając każde potrząśnięcie głową lub podrapanie się po nosie któregoś z uczestników licytacji za podbicie ceny. W tych warunkach moje nerwowe podrzuty głową nabawiły mnie niemałego kłopotu: z ich powodu wpakowano mi trzech gladiatorów, po dwa tysiące aureusów sztuka. Miałem przecież i tak więcej szczęścia niż pewien urzędnik nazwiskiem Aponiusz, który zdrzemnął się podczas licytacji. Korzystając z tego Kaligula sprzedał mu gladiatorów, których

nikomu nie przyszłoby do głowy nabyć. Ilekroć bowiem drzemiącemu Aponiuszowi głowa opadła na piersi, tylekroć cesarz podnosił cenę.

Kiedy wreszcie biedak się ocknął, stwierdził, że nabył trzynastu gladiatorów za cenę dziewięćdziesięciu tysięcy sztuk złota. Dodajmy - gladiatorów, na których nie miał najmniejszej ochoty. Jeden z kupionych przeze mnie zapaśników okazał się wcale niezłym nabytkiem. Kaligula zaproponował mi zakład przeciw niemu o grubą sumę.

Przyjąłem. Kiedy nadszedł dzień walki, gladiator mój ledwie trzymał się na nogach i w krótkim czasie uległ przeciwnikowi. Okazało się później, że Kaligula kazał mu dosypać do jedzenia jakiegoś narkotyku. Wielu bogatych ludzi dobrowolnie zjawiało się na licytacjach, nie dlatego, że potrzebowali gladiatorów, lecz w nadziei, że jeśli dobrowolnie rozwiążą sakiewkę, cesarz będzie mniej skłonny do wytaczania im później procesów i zabierania życia wraz z całym majątkiem.

Tego samego dnia, kiedy przegrałem zakład o mego gladiatora, zdarzył się komiczny wypadek. Kaligula założył się ze mną powtórnie, stawiając na pięciu zapaśników uzbrojonych w miecz i tarczę, mających walczyć z taką liczbą sieciarzy. Zaraz na początku walki zorientowałem się, że sieciarze zostali przekupieni, i byłem z góry przygotowany na stratę tysiąca sztuk złota postawionych przeciw pięciu tysiącom cesarskim.

- Prawdopodobnie wygrasz - zwróciłem się do siedzącego obok Kaliguli - ale muszę ci powiedzieć, że sieciarze nie są bez zarzutu.

Tymczasem szczwacze jeden za drugim kładli poddających się przeciwników.

Wreszcie cała piątka sieciarzy leżała brzuchem na piasku, a przy każdym stał szczwacz z mieczem gotowym do ciosu. Widzowie skierowali kciuki w dół, domagając się śmierci pokonanych. Rozstrzygnąć miał Kaligula jako przewodniczący, przy czym nie musiał stosować się do woli widowni. Tym razem uległ powszechnej opinii.

- Zabijcie ich! - krzyknął. - Wcale nie starali się zwyciężyć!

To była bardzo niemiła niespodzianka dla sieciarzy, którym potajemnie przyrzekł życie, jeśli dadzą się pokonać. (Nawiasem mówiąc dodam, że nie byłem jedynym, którego zmuszono do przyjęcia zakładu.) W razie porażki sieciarzy cesarz zyskiwał osiemdziesiąt tysięcy. Tymczasem jeden z pokonanych, wściekły, że go wywiedziono w pole, powalił po krótkiej walce swego przeciwnika, pochwyił za trójzab i sieć, leżące opodal, i wymknął się śmierci. Nie uwierzcie mi chyba, ale wygrałem pięć tysięcy. Ten porywczy sieciarz zabił najpierw dwóch szchwaczy, którzy stali odwróceny doń tyłem i po wyprawieniu na tamten świat swych przeciwników byli zajęci przyjmowaniem oklasków. Dwaj pozostali, biegnąc jeden od drugiego w odstępach zaledwie kilku kroków, rzucili się na śmiałka. Ale sieciarz rozprawił się kolejno z obydwojma. Kaligula płacząc ze złości zawołał:

- Co za potwór! Spójrz tylko, zabił mi tym swoim szpikulcem pięciu młodych, rokujących najlepsze nadzieje gladiatorów!

Jeśli mówiłem, że wygrałem pięć tysięcy, to oczywiście w tym znaczeniu, że mogłem je wygrać; okazałem się jednak na tyle taktowny, że odwołałem zakład.

- To nie jest przepisowa walka, jeśli jeden zabija pięciu - oświadczyłem.

Dotychczas Kaligula mówił o Tyberiuszu jako o skończonym łajdaku, co zachęcało wszystkich do wygłaszania podobnych opinii. Pewnego jednak dnia zjawił się w senacie i wygłosił długą mowę pochwalną na cześć stryjecznego dziadka. Był to - oświadczył

- człowiek, którego mało kto potrafił zrozumieć, aczkolwiek nikomu nie wolno źle się o nim wyrażać.

- Jako cesarz mam prawo krytykować go, gdy taka moja wola - mówił. - Ale wam wara! I tak już jesteście winni obrazy majestatu. Wczoraj jeden z senatorów powiedział w swoim przemówieniu, że moi bracia Neron i Druzus zostali aresztowani z rozkazu Tyberiusza na podstawie fałszywego oskarżenia, a

następnie zamordowani. Bardzo dziwnie brzmią dla mnie te słowa.

Następnie wydobyl owe akta, które swego czasu rzekomo spalił, i przeczytał z nich kilka dłuższych wyjątków. Okazało się, że senat nie badał dowodów winy dostarczonych przeciw jego braciom przez Tyberiusza, ale jednomyślnie uchwalił, aby powierzyć ich ukaranie cesarzowi. Znalazło się nawet kilku senatorów, którzy zgłosili gotowość wystąpienia w roli świadków.

- Jeśli wiedzieliście - mówił Kaligula - że dowody, które wam w najlepszej wierze przedłożył Tyberiusz, są sfalszowane, to wy jesteście mordercami, nie on. Ale dopiero kiedy umarł, odważacie się zarzucać mu okrucieństwo i podstępność. Jeżeli uważaliście swego czasu dowody winy moich braci za prawdziwe, to znaczy, że Tyberiusz nie był mordercą, a wy teraz nikczemnie spotwarzacie jego pamięć. Jeżeli zaś wiedzieliście, że oskarżenie jest fałszywe, i on o tym wiedział, to jesteście nie tylko na równi z nim mordercami, lecz i tchórzami.

Tu przerwał, przybrał ponurą minę Tyberiusza, stryjowskim gestem strzepnął niecierpliwie ręką, aż dreszcz przeszedł po zebranych na wspomnienie dawnych sądów o zbrodni stanu, i chrapliwym Tyberiuszowym głosem ciągnął:

- Dobrześ powiedział, mój synu. To są psy, które dopóty się łaszą, dopóki czują nad sobą bat. Żadnemu z nich nie możesz zaufać. Przypomnij sobie, co zrobili z Sejanem.

Najpierw płaszczyli się przed nim, a potem rozszarpali go na kawałki. Tak samo postąpią z tobą, jeśli tylko dasz im do tego sposobność. Wszyscy oni nienawidzą cię i modlą się o twoją śmierć. Dlatego ci radzę: troszcz się przede wszystkim o siebie i własną przyjemność stawiaj ponad wszystko inne. Nikt nie lubi być rządzonym i jeśli utrzymałem się na swoim stanowisku, to tylko dlatego, że wzbudziłem w tej hołocie strach. Idź za moim przykładem.

Im gorzej będziesz się z nimi obchodził, tym bardziej będą cię czcić.

Następnie Kaligula przywrócił sądy o zbrodni stanu i rozkazał, aby w senacie ponad krzesłami konsulów umieszczono brązową tablicę z tekstem jego

przemówienia.

Wreszcie opuścił zebranie, pozostawiając nas tak przybitych, że tego dnia nie mogło być już mowy o dalszych obradach. Nazajutrz, rozplywając się w pochwałach nad szczerością i synowskimi uczuciami Kaliguli, uchwaliliśmy, że będzie się składać jego łaskawości doroczne ofiary. Cóż innego mogliśmy zrobić? Mając za sobą armię, był panem naszego życia i nie pozostawało nam nic innego, jak ustępować wszystkim jego kaprysom i pocieszać się nadzieją lepszych czasów, przynajmniej do chwili, aż znajdzie się ktoś na tyle śmiały i przebiegły, żeby zorganizować przeciw cesarzowi spisek mający widoki powodzenia.

W kilka dni później podczas uczyty Kaligula zaczął się nagle zanosić od śmiechu.

Nikt nie wiedział, o co chodzi. Dwaj konsulowie siedzący najbliżej cesarza poprosili, aby im najmiłościwiej pozwolił podzielić swoją wesołość. Na to Kaligula zaczął, się śmiać jeszcze bardziej, aż łzy pociekły mu z oczu.

- Nie - wykrztusił wreszcie. - To niemożliwe. Ten dowcip nigdy się nie wyda wam śmieszny. Ogarnął mnie śmiech na myśl, że wystarczyłoby jednego mego skinienia, a obydwie wasze głowy potoczyłyby się na posadzkę.

Dwudziestu obywatelom cieszącym się opinią najbogatszych ludzi w Rzymie wytoczono procesy o zbrodnię stanu. Nie pozwolono im popełnić samobójstwa przed ukończeniem sprawy i skazano wszystkich na karę śmierci. Okazało się, że jeden z nich, pewien wyższy urzędnik, był całkiem niezamożny.

- Co za bałwan! - zawołał Kaligula. - Dlaczegoż udawał, że ma pieniądze? Dałem się na to nabrać. Tymczasem wcale nie musiał umierać.

O ile pamiętam, tylko jednemu człowiekowi udało się wyjść cało z procesu o zbrodnię stanu. Był to niejaki Afer, słynny z wymowy prawnik. Za podstawę oskarżenia posłużył napis pod posągiem Kaliguli znajdującym się w domu Afra. Napis ten podkreślał, że cesarz w dwudziestym siódmym roku życia był już drugi raz konsulem. Kaligula dopatrzył się aluzji do swego zbyt młodego

wieku i piastowania urzędów przed legalnym terminem. W procesie przeciw Afrowi wystąpił osobiście jako oskarżyciel, wygłaszając starannie przygotowaną mowę, która miała być popisem krasomówczych zdolności. Każdy gest, każdy ton tego przemówienia został uprzednio wystudiowany i utrwalony podczas wielokrotnych prób.

Kaligula chełpił się, że jest najlepszym adwokatem i mówcą na świecie, i bardziej szło mu o zaćmienie sławy Afra niż o wyrok skazujący i konfiskatę majątku. Afer, orientując się w sytuacji, udawał zaskoczonego i zachowywał się tak, jakby został wbrew chęci zmuszony do uznania wyższości prokuratorskiego geniuszu Kaliguli. Powtarzał poszczególne punkty oskarżenia i analizując je fachowo, mrucał z podziwem: "Rzeczywiście, tego się nie da odparować!" „Z tego dowodu wydostał cały sens.” „Co za wspaniały dylemat!” Albo:

„Co za cudowne władztwo słowa!” Kiedy Kaligula skończył i z triumfującym uśmiechem usiadł, sędzia spytał Afra, co ma do powiedzenia na swoją obronę.

- Nic - odrzekł prawnik. - Chyba tylko to, że czuję się pobity na głowę.

Myślałem, że będę mógł choć do pewnego stopnia przeciwstawić swój oratorski talent gniewowi, jaki wywołał w cesarzu ten rzeczywiście niewybaczalnie bezmyślny, przeklęty napis. W tej grze los zbyt silnie wyważył kości na moją niekorzyść. Cesarz ma absolutną władzę, prowadzi sprawę całkiem jasno i rozporządza talentem oratorskim, który przewyższa moje najśmielsze ambicje. Nawet gdybym, uniewinniony, mógł studiować do setnego roku życia, w jednej tysięcznej nie dorównałbym cesarzowi.

Afer został skazany na śmierć, lecz nazajutrz Kaligula go ułaskawił.

Przenośnia o celowo wyważonych kościach przypomina mi, że bogatych prowincjuszów przybywających do Rzymu zapraszano zawsze do pałacu na obiad, po którym następowała towarzyska partyjka kości. Przybysze w bezradnym osłupieniu podziwiali szczęście cesarza, który raz w raz wyrzucał "Wenerę" i grywał ich do cna. O tak, Kaligula zawsze używał fałszywych

kości. Obecnie na przykład zawiesił w urzędowaniu konsulów i skazał ich na olbrzymią grzywnę za to, że jak za poprzednich lat urządzili święto na pamiątkę zwycięstwa Augusta nad Antoniuszem pod Akcjum. Oświadczył, że uważa to za zniewagę w stosunku do swego dziadka Antoniusza. (Nawiasem mówiąc, obdarzył Afra wakującym urzędem konsula.) Na kilka dni przed świętem uprzedził nas podczas” obiadu, że tak czy owak konsulowie nie unikną kary, jakkolwiek by postąpili. Jeśli bowiem nie urządzą święta, obrażą jego dziadka Augusta. Właśnie przy tej sposobności Ganimed popełnił fatalną niezręczność.

- Ale spryciarz z ciebie! - wykrzyknął. - W ten sposób zawsze ich nakryjesz.

Choć z drugiej strony, jeśli ci głupcy mają szczyptę oleju w głowie, powinni właśnie urządzić święto.

Bitwa pod Akcjum to w większej części dzieło Agryppy, który też był twoim przodkiem. W ten sposób z trzech przodków uczci się pamięć dwóch.

- Zdaje mi się, Ganimedzie, że kwita z naszej przyjaźni - zauważył Kaligula.

- Och, nie mów tego, błagam! Przecież nie powiedziałem nic, czym bym mógł cię obrazić. Przyznaj sam...

- Wstań od stołu i wyjdź! - rozkazał Kaligula.

Od razu się domyśliłem, o co chodzi. Ganimed popełnił podwójny błąd. Jako kuzyn Kaliguli ze strony matki, pochodził od Augusta i Agryppy, ale nie od Antoniusza.

Wszyscy jego przodkowie byli stronnikami Augusta. Nie powinien był więc zabierać głosu w tak drażliwej kwestii. Poza tym Kaligula nie lubił, żeby mu przypomniano pochodzenie od Agryppy, człowieka nieznacznego rodem. Na razie jednak nie przedsięwziął żadnych kroków przeciw Ganimedowi.

Rozwiódł się z Lolią, podając za powód jej bezpłodność, i wziął za żonę niejaką Cezonię. Była to córka kapitana gwardii, kobieta ani młoda, ani ponętna, która wyszła za mąż za jakiegoś piekarza czy kogoś w tym rodzaju i miała z nim

już troje dzieci. Co pociągało do niej Kaligulę, tego nikt nie wiedział, a najmniej on sam. Nieraz mawiał, że choćby na torturach, musi jej wydrzeć tajemnicę tego czaru, który nań wywiera. Opowiadano, że Cezonia pozyskała uczucie Kaliguli za pomocą napoju miłosnego i że to właśnie było przyczyną jego szaleństwa. Jest to jednak tylko przypuszczenie, a szaleństwo Kaliguli wystąpiło znacznie wcześniej. Pewne jest natomiast, że gdy skutkiem tego romansu okazała się matka, cesarz, którego myśl o ojcostwie wprawiła wprost w zachwycenie, wziął z Cezonia ślub. Wkrótce potem ogłosił publicznie swą boskość. Pewnego dnia, będąc w świątyni Jowisza Kapitolijnego, zwrócił się do towarzyszącego mu Apellesa i spytał:

- Kto jest większym bogiem, Jowisz czy ja?

Apelles się zawahał. Nie wiedział, czy przypadkiem Kaligula nie żartuje, i nie chciał bluźnić Jowiszowi w jego własnej świątyni. Kaligula gwizdnął na swoich Niemców, kazał Apellesa związać i oćwiczyć przed posągiem Jowisza.

- Tylko się nie spieszcie - pouczał. - Bijcie powoli, żeby więcej bolało.

Kiedy Apelles pod razami zemdłał, otrzeźwiono go świętą wodą i bito dalej, aż wyzionął ducha. Kaligula wysłał do senatu pismo, w którym zawiadamiał o swej boskości, i rozkazał bezzwłocznie zbudować dla siebie przybytek obok wejścia do świątyni Jowisza.

„Życzę sobie bowiem - oświadczył - mieszkać obok mego brata Jowisza.” Umieścił tam następnie swój posąg ze szczerego złota, o rozmiarach trzykrotnie przewyższających naturalne. Posąg ten codziennie ubierano w nowe szaty.

Wkrótce jednak pokłócił się z Jowiszem i słyszano, jak mu w gniewie groził.

- Jeżeli nie potrafisz pojąć, kto tu jest panem - mówił - to fora ze dwora, zabieraj się do swojej Grecji.

Jowisz widać musiał przeproszać, gdyż Kaligula odpowiedział:

- A więc zatrzymaj sobie ten twój przeklęty Kapitol. Ja pójdę w takim razie na Palatyn. O wiele ładniejsze położenie. Zbuduję tam sobie świątynię

godną mojej osoby, ty stary gałganie, ty gromopierdny oszuście!

Warto przy tej sposobności wspomnieć o zachowaniu się Kaliguli w świątyni Diany, którą zwiedzał w towarzystwie mojego dobrego znajomego Witeliusza. Witeliusz odznaczył się chlubnie w czasach, kiedy był namiestnikiem Syrii. Udało mu się bowiem zaskoczyć w dogodnym dla siebie, a fatalnym dla przeciwnika terenie króla Partów, który sforsowawszy Eufkrat ciągnął zbrojnie na prowincję. Rad nierad król musiał przyjąć upokarzające warunki pokoju i dać swoich synów jako zakładników. Najstarszy z nich - o czym zapomniałem w odpowiednim miejscu nadmienić - znajdował się jako jeniec na rydwanie Kaliguli podczas owego triumfalnego przejazdu przez most. Kaligula, zazdroszcząc Witeliuszowi powodzenia, postanowił go zgładzić. Namiestnik jednak (mój osobisty przyjaciel), uprzedzony przeze mnie, zdołał uniknąć śmierci. W Brundizjum już czekał nań mój list. Kiedy po przybyciu do Rzymu został dopuszczony przed oblicze cesarskie, padł na twarz i oddał Kaliguli cześć boską. Ponieważ wiadomość o boskości cesarza jeszcze nie była oficjalnie ogłoszona, Kaligula przyjął to jako spontaniczny hołd. Witeliusz stał się przyjacielem cesarskim i na różne sposoby usiłował okazać mi swą wdzięczność. Otóż, jak wspomniałem, Kaligula udał się do świątyni Diany i tam rozpoczął rozmowę z boginią - to znaczy, nie z kamiennym posągami, ale z niewidzialną istotą. W pewnej chwili spytał Witeliusza, czy też widzi boginię, czy tylko światło księżyca. Na to Witeliusz, spuszczać oczy i dygocąc niby z wielkiego wzruszenia, odparł:

- Tylko bogowie, o panie, mają przywilej obcować z sobą.

Kaliguli podobało się to pochlebstwo.

- Ona jest bardzo piękna, Witeliuszu - zauważył. - I nieraz przychodzi do pałacu dzielić ze mną łóżko.

W tym czasie przeżyłem bardzo krytyczną chwilę. Początkowo myślałem, że to intryga Kaliguli, który w ten sposób chce się mnie pozbyć. Zresztą po dziś dzień nie mam pewności, czy podejrzenie nie było słuszne. Jeden z moich

znajomych, z którym często - a prawie zawsze ze szczęśliwym wynikiem - grywałem w kości, sfalszował testament.

Przy tej sposobności podrobił na dokumencie moją pieczęć, jako rzekomego świadka aktu. Na szczęście nie zauważył, że agat mojego sygnetu jest wyszczerbiony na krawędzi, co zostawia na wosku delikatny wprawdzie, ale zawsze wystarczająco wyraźny znak. Nagle aresztowany i stawiony przed sąd, zdołałem, przekupiwszy jednego z żołnierzy, przesłać potajemnie kartkę do Witeliusza. Ocaliłem mu swego czasu życie i błagałem, aby przez pamięć na ową przysługę ratował teraz moje. Rozprawie miał przewodniczyć sam Kaligula, prosiłem więc Witeliusza, aby zwrócił uwagę cesarza na ową szczerbę i przedłożył mu autentyczną pieczęć dla porównania jej z falsyfikatem. Trzeba to jednak było uczynić tak zręcznie, żeby Kaligula miał wrażenie, iż sam odkrył różnicę, i mógł całą zasługę przypisać swojej bystrości.

Witeliusz wywiązał się z zadania doskonale. Kaligula zauważył rysę, pochwalił się bystrością swego oka i uwolnił mnie od winy, ograniczając się do surowego napomnienia, abym na przyszłość był ostrożniejszy w doborze znajomych. Fałszerzowi odcięto obie ręce i zawieszono mu je na szyi jako przestrożę dla innych. Gdyby stwierdzono moją winę, musiałbym dać głowę. Tak mnie przynajmniej zapewnił Kaligula tegoż wieczoru przy kolacji.

- O najmiłosierniejszy boże - odparłem - doprawdy, moje życie nie jest warte, ażebyś tak się o nie troszczył.

Pochlebstwo z ust stryja jest szczególnie miłe bratankom. Kaligula napuszył się trochę i wymownym spojrzeniem obrzuciwszy resztę zebranych, zwrócił się znów do mnie:

- A na ileż, jeśli wolno zapytać, oceniasz swoje życie dzisiejszego wieczoru?

- Wylczyłem dokładnie: wartość jego wynosi jedną czterdziestą denara.

- W jaki sposób doszedłeś do tak skromnego oszacowania?

- Życie każdego człowieka można otaksować. Okup, jaki rodzina Juliusza

Cezara zapłaciła piratom, wynosił ostatecznie - bo początkowo żądali znacznie więcej - dwadzieścia tysięcy sztuk złota. W danym momencie więc życie Juliusza Cezara nie było warte więcej niż dwadzieścia tysięcy. Moja żona Elia, napadnięta pewnego razu przez rozbójników, okupiła swe życie ametystową broszką wartości pięciu sztuk złota. Tyleż więc warte było i życie Elii.

Życie moje uratował dzisiaj okrucieństwo agatu mogący ważyć, jak przypuszczam, najwyżej jedną czwartą skrupuła. Agat tego gatunku kosztuje po jakieś sześć sztuk srebra karat.

Ukruszony kawałek, gdyby go można odnaleźć, co jest dość trudne, i znaleźć nań nabywcę, co jest jeszcze trudniejsze, można by sprzedać za jedną czterdziestą sztuki srebra. Tak więc życie moje przedstawia tę właśnie wartość.

- O ile byś znalazł na nie nabywcę - dorzucił Kaligula zaśmiewając się z własnego dowcipu. Wtórowaliśmy mu wszyscy, nie wyłączając i mnie. Przez długi czas zwano mnie w pałacu nie Tyberiuszem, lecz Teruncjuszem Klaudiuszem. Teruncjusz bowiem jest to łacińska nazwa jednej czterdziestej denara.

Jako bóg, Kaligula musiał mieć swoje kolegium kapłańskie. Sam był swym własnym arcykapłanem. Urzędy kapłańskie sprawowali: ja, Cezonia, Witeliusz, Ganimed, czternastu byłych konsulów i szlachetny przyjaciel cesarza, koń Incitatus. Każdy z nas musiał za ten zaszczyt zapłacić osiemdziesiąt tysięcy aureusów. Aby i Incitatus mógł uiścić tę sumę, wszystkie konie w Italii zostały w jego imieniu obłożone rocznym podatkiem.

Uchylające się od zapłacenia szły pod nóż. Cezonii znowu w tym samym celu pozwolił cesarz obłożyć wszystkich małżonków opłatą za prawo sypania z żonami. Ganimed, Witeliusz i inni byli zamożnymi ludźmi, więc chociaż musieli za bezcen sprzedać pewną część posiadłości, aby otrzymać sto tysięcy gotówką, pozostało im jeszcze dosyć na wygodne życie.

Gorzej przedstawiała się sprawa z biednym Klaudiuszem. Dzięki budżetowym pomysłom Kaliguli, który wymusił na mnie kupno gladiatorów i

kazał słono płacić za przywilej sypania i stołowania się w pałacu, pozostało mi zaledwie trzydzieści tysięcy gotówką, a z nieruchomości ocalały tylko dom matki i posiadłość pod Kapuą. Wpłaciłem Kaliguli trzydzieści tysięcy i tego samego dnia przy wieczerzy przyrzekłem dopłacić resztę, jak tylko znajdę nabywcę na dom i folwark, które wystawiłem już na sprzedaż.

- Poza tym nie mam już nic do sprzedania - dodałem.

Kaligula uważał to za dowcip.

- Jak to nic? - zawołał. - A ubrania, które masz na sobie?

W tym czasie doszedłem do przekonania, że najlepszą metodą jest robienie z siebie półgłówka.

- O nieba! - zawołałem. - Istotnie, zapomniałem o ubraniu. Czy będziesz tak dobry i sprzedasz je naszym współbiesiadnikom? Potrafisz licytować jak nikt w świecie.

Z tymi słowy zacząłem ściągać z siebie ubranie. Wreszcie zostałem nagi, w jednej przepasce na biodrach zrobionej naprędce z serwetki. Kaligula sprzedał komuś moje sandały po sto aureusów sztuka, komu innemu znów togę za tysiąc; za każdym razem wyrażałem głośno swój zachwyt. Wreszcie chciał przystąpić do licytacji serwety, którą się przepasałem.

- Gdyby pieniądze uzyskane w ten sposób dopełniły sumy wkupu - odezwałem się - to pomimo wrodzonej wstydlivosti nie zawahałbym się poświęcić i tego ostatniego strzępka okrywającego moją nagość. Ale w danym wypadku uczucie potężniejsze niż wstydlivość nie pozwala mi sprzedać serwetki.

Kaligula zmarszczył brwi.

- Cóż to za uczucie silniejsze od wstydu? - spytał.

- Cześć, jaką mam dla ciebie, Cezarze. Serwetka ta, z której miłościwie pozwoliłeś mi korzystać podczas tej wyśmienitej uczy, jest twoją własnością.

Ten wybieg zmniejszył wprawdzie dług zaledwie o trzy tysiące, lecz przekonał Kaligulę o moim ubóstwie.

Musiałem zrezygnować z apartamentów w pałacu i zasiadania do stołu cesarskiego.

Na jakiś czas ulokowałem się u dawnej służebnej matki, Bryzeidy, pod której opieką znajdował się mój dom aż do chwili, kiedy znalazł się nań kupiec. Kalpurnia przyjechała z Kapui i zamieszkała wraz ze mną. Czy uwierzycie, że ta kochana dziewczyna wciąż jeszcze miała pieniądze, które dawałem jej zamiast naszyjników, małpek i jedwabnych sukien?

Zaproponowała mi też od razu pożyczkę. Co więcej, okazało się, że moje bydło wcale nie wyzdychało ani brogi nie spłonęły, lecz Bryzeida sprzedała potajemnie trzodę i zboże za dobrą cenę, a pieniądze schowała na czarną godzinę. Wręczyła mi je teraz wraz z dokładnymi rachunkami podpisanymi przez mojego zarządcę. Wynosiło to dwa tysiące sztuk złota. Więc można było nie najgorzej się urządzić. W dalszym ciągu jednak udawałem, że żyję w nędzy, co wieczór sam wychodziłem z dzbankiem po wodę, zamiast lektyki używałem po prostu kuł, a wino kupowałem w nędznych oberżach.

Stara Bryzeida zwykła mówić: "Szlachetny Klaudiuszu, ludzie myślą, że jestem wyzwolenicą waszej matki, ale to nieprawda. Odkąd dorośliście, stałam się waszą niewolnicą, i to wy, panie, daliście mi wolność, nie ona. Prawda?" Odpowiadałem na to:

„Oczywiście, Bryzeido, kiedyś publicznie to sprostuję.” Ta zacna staruszka była mi całkowicie oddana.

Mieszkaliśmy wszyscy w czterech pokojach. Miałem jeszcze jednego niewolnika, który pełnił obowiązki odźwiernego. W gruncie rzeczy był to bardzo szczęśliwy okres.

W miesiąc po ślubie Cezonia urodziła córkę. Kaligula uznał to za cud. Położył dziecko na kolanach posągu Jowisza - było to jeszcze przed kłótnią z bogiem - jakby czyniąc go swym honorowym współnikiem w ojcostwie. Następnie umieścił niemowlę w ramionach Minerwy i pozwolił mu przez chwilę possać marmurową pierś bogini. Dziewczynka otrzymała imię Druzylli, to

samo, które nosiła siostra Kaliguli, zanim stała się boginią Panteją, została też mianowana kapłanką. Cesarz zwrócił się z patetyczną odezwą do ludności, prosząc, aby ze względu na jego ubóstwo i ciężkie obowiązki ojcostwa dopomogła mu w zapłaceniu w kupu.

Stworzył w tym celu Fundusz Druzylli i kazał umieścić na ulicach puszkę z napisami: "Na papu dla Druzylli", "Na kroplę mleka dla Druzylli", "Na posąg dla Druzylli". Na straży przy puszkach stali gwardziści i nikt nie śmiał przejść nie wrzuciwszy paru groszy.

Kaligula był serdecznie przywiązany do córki, która wyrastała na równie niesforne dziecko, jakim on sam był ongiś. Szczególną uciechę znajdował w uczeniu małej owej

„nieugiętej surowości”, którą sam się chlubił. Nauka ta rozpoczęła się, ledwie dziecko zaczęło stawiać pierwsze kroki i składać pierwsze wyrazy. Kaligula zachęcał Druzyllę do torturowania małych kociąt i szczeniąt, do rzucania się z paznokciami do oczu towarzyszących zabaw. Ilekroć złożyła dowód wyjątkowego okrucieństwa, mówił z uciechą:

- Co do twojego legalnego pochodzenia nie może być najmniejszej wątpliwości, kochanie.

Pewnego razu, kiedy znajdowaliśmy się razem, schylił się do ucha małej i szepnął:

- Jak tylko naprawdę zamordujesz człowieka, choćby to miał być jedynie twój stryjeczny dziadzio Klodzio, zrobię cię boginią.

- A jeśli zabiję mamę, to też mnie zrobisz boginią? - zaszcebiotało to półdiabłą. - Nie cierpię mamy!

Chcąc pokryć koszty związane z wystawieniem w swojej świątyni złotego posągu, Kaligula ogłosił, że w Nowy Rok będzie przyjmował dary u głównych wrót pałacowych.

Kiedy nadszedł oznaczony dzień, wysłał na miasto oddziały gwardii. Żołnierze z obnażonymi mieczami w ręku zapędzali przechodniów na Palatyn i

tam wytrząsali z nich ostatni grosz do wielkich balii ustawionych specjalnie w tym celu. Opornym lub usiłującym ukryć choćby najdrobniejszą monetę groziła kara śmierci. Wieczorem dwa tysiące olbrzymich balii było napęcznionych po brzegi.

Pewnego dnia Kaligula zaczął robić wymówki Ganimedowi, Agryppinilli i Lesbii:

- Czyż nie wstyd wam, darmozjady? Czy które z was zarabia na życie? Nie! Żyjecie jak pasożyty. Czy nie wiecie, że każdy mężczyzna i każda kobieta w Rzymie ciężko pracują, żeby mi pomóc? Najmarniejszy tragarz, najędzniejsza prostytutka są radzi, że mogą mi oddać jedną ósmą swych zarobków.

- Czy nie obdarłeś nas już pod tym czy innym pozorem ze wszystkich pieniędzy, jakie posiadaliśmy? - zauważyła Agryppinilla. - Czy to nie wystarczy?

- To ma wystarczyć? Nic podobnego. Co innego pieniądze, które dostało się w spadku, co innego uczciwy zarobek. Będziecie zarabiać, czym potraficie.

Jakoż wkrótce z rozkazu cesarza pojawiły się w senacie ulotki zapowiadające, że takiego to a takiego dnia wieczorem nastąpi w pałacu uroczyste otwarcie wytwornego i tylko dla wybranych przeznaczonego burdelu, którego obsługa, złożona z osób najdostojniejszego domu, postara się zadowolić wszystkie gusty gości. Wstęp tylko tysiąc sztuk złota. Trunki bezpłatnie.

Z przykrością muszę stwierdzić, że Agryppinilla i Lesbia nie zaprotestowały zbyt gorąco przeciw haniebnemu planowi brata, a nawet potraktowały pomysł jako wyśmienity kawał. Zastrzegły się tylko, że będzie im przysługiwał wybór klientów i że Kaligula nie będzie pobierał zbyt wysokiego procentu od zarobionych przez nie pieniędzy. Ja również zostałem wciągnięty w tę imprezę mimo obrzydzenia, jakim mnie ona napawała.

Przebrany w groteskowy strój, pełniłem funkcję odźwiernego. Kaligula w masce i zmieniając głos odgrywał rolę zarządzającego burdelem i posługiwał się

wszystkimi sztuczkami tego fachu, żeby oskubać gości z pieniędzy i wykpić. Jeśli protestowali, wołał mnie na pomoc. Chociaż z nóg niewielką mam pociechę, to przecież w ramionach jestem dość silny, silniejszy niż większość ludzi. Co to była za uciecha, gdy klient, zwiedziony moim niedołęznym kuśtykaniem, ani się spostrzegł, jak dostawszy po karku wylatywał za drzwi.

Pewnej nocy, kiedy powaliwszy męża Lesbii na ziemię okładałem go pięściami, ile wlezie (nieczęsto mi się zdarzała taka sposobność do uregulowania dawnych porachunków), Kaligula z teatralnym patosem zadeklamował wersety z Homera:

Patrząc na Hefajstowe niezdarne krzątanie
Niepowstrzymanym śmiechem gruchnęli niebianie.
W odpowiedzi zacytowałem inny dwuwiersz:
Wtedy się od kowadła ruszył bóg-kulawiec
O nogach wykrzywionych, zgiętych w pałąk prawie.

Z tymi słowy, wstawszy, pokuśtykałem do zastawionego stołu. Kaligula wpadł w doskonały humor i dorzucił wersety poprzedzające ów "niepowstrzymany" śmiech:

Lecz ty mu słodkie słówko chciej szepnąć do ucha,
A wnet się Olimpijczyk srogi udobrucha.

Od tej pory przylgnął do mnie przydomek Wulkana. Rad byłem, gdyż chronił mnie on w pewnej mierze od kaprysów Kaliguli.

Następnie cesarz niepostrzeżenie nas opuścił, przebrał się w zwykły strój i powrócił drzwiami prowadzącymi do pałacu. Wszedłszy, udał zdziwionego i zgorzonego tym, co zobaczył. Przystanął w drzwiach i począł deklamować wiersze, którymi Homer maluje wstyd i oburzenie Odyseusza patrzącego na swawolę służebnic.

Odys w podniesieniu do snu słał sobie posłanie:
Na spód skóry wolowe, a na wierzch baranie

Z tych skopów, które gachy pojadły łakome;

Chłonę mu do przykrycia dała Eurynome.

I legł witeź, lecz nie spał, zamyślony o tym,

Jak by gachy wygubił...

Wtem z nieba Pallada Zbiegła doń, kształt przybrawszy panny, i powiada
Stanąwszy u głów jego (tak mówiło dziewczę):

- "Czemu czuwasz, a nie śpisz, ty mój nieszczęśliwce?

Przecież jesteś w swym zamku, z żoną pod tym dachem

I z najlepszym, jaki jest, synem Telemachem!"

Na to jej odpowiedział Odys, mądra głowa:

- "Bogini! to, co mówisz, prawda, ani słowa!

Lecz ja z myślami mymi mam niemałą mękę,

Jak się wziąć do tych gachów, jak wyzwać na rękę

Sam jeden, a ich taka schodzi się gromada?"

- Na to mu sowyooka Atenę odpowie:

- "Dziwnyś! wszak druhom zwykle ufają druhowie,

Choć śmiertelni i pomoc niezdolni w potrzebie.

Jam przecież nieśmiertelna, jam bronila ciebie."

[Odyseja, XXI, 20, przeł. L. Siemieński.]

Wreszcie klasnął w ręce i do komnaty wbiegł oddział gwardii.

- Zawołaj mi natychmiast Kasjusza Chereę - rozkazał Kaligula. Jeden z
żołnierzy pobiegł do starego pułkownika, który wnet stawił się przed cesarzem.

- Witaj, bohaterze! - zawołał Kaligula na jego widok. - Witaj, Kasjuszu,
który ongiś służyłeś mi za bojowego rumaka! Witaj, najstarszy i najwierniejszy
przyjacielu!

Powiedz, czyś widział kiedy podobnie smutny i ponizający obraz?
Rodzone siostry w moim własnym pałacu sprzedają się senatorom, a stryj
Klaudiusz stoi u wejścia i sprzedaje bilety. Och! Co by powiedziała moja biedna

matka, co by powiedział mój biedny ojciec, gdyby dożyli dzisiejszego dnia?!

- Czy mam je aresztować, Cezarze? - spytał Kasjusz.

Kaligula westchnął z rezygnacją:

- Miej dla ich grzesznych chuci pobłażliwość, Szlachetne serce srom swój w sobie stawi!

Powtórzył deklamowane przed chwilą wersety, warknął parę razy i dał znak Kasjuszowi, aby odprowadził żołnierzy.

Nie była to jednak ostatnia orgia w pałacu. Wkrótce potem Kaligula kazał senatorom, którzy brali udział w tych zabawach, przyprowadzić swe żony i córki, aby pomagały Agryppinilli i Lesbii w pełnieniu obowiązków.

Konieczność zdobycia pieniędzy stała się znowu palącą i Kaligula postanowił wyruszyć do Francji, aby zobaczyć, czy stamtąd nie da się wycisnąć jakiejś sumki. Najpierw przystąpił do utworzenia wielkiej armii. Zarządził pobór rekruta, utworzył kilka nowych pułków, a ze wszystkich dotychczasowych kazał sobie przysłać do Rzymu oddziały.

Wyruszył na czele stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, a we Francji liczba ta wzrosła do ćwierć miliona. Koszta utrzymania i wyekwipowania tej olbrzymiej armii ponosiły miasta, przez które cesarz maszerował. Od czasu do czasu Kaligula wypuszczał się galopem naprzód i żołnierze musieli gnać przez czterdzieści osiem i więcej godzin bez wytchnienia, zanim połączyli się z wodzem. Czasem znów posuwał się milę, dwie dziennie, podziwiał okolice siedząc w lektyce niesionej przez ośmiu ludzi, a nawet się zatrzymywał, by narwać kwiatów.

Wszyscy urzędnicy we Francji i prowincjach nadreńskich, od rangi kapitana wzwyż, otrzymali rozkaz stawienia się w Lyonie, gdzie cesarz zamierzał przeprowadzić koncentrację sił. Między innymi przybył i Getulik, jeden z najbardziej przez Germanika cenionych oficerów, od paru lat komendant czterech pułków stacjonujących w Górnych Niemczech.

Cieszył się on niezmierną popularnością wśród żołnierzy, gdyż był

zwolennikiem dyscypliny opartej bardziej na miłości do wodza niż na strachu i unikał srogich kar.

Lubiany był również i w armii Dolnych Niemiec, gdzie komendantem był jego teść Aproniusz, ojciec owej Apronii, która wyszła za mąż za mego szwagra Plaucjusza i rzekomo została zamordowana przez męża. Ponieważ swego czasu inna z córek była zaręczona z synem Sejana, po upadku prefekta Tyberiusz nosił się z myślą skazania Aproniusza na śmierć. Śmiały list ocalił generałowi życie. Napisał do cesarza, że dopóty można liczyć na wierność jego i podwładnych mu pułków, dopóki piastuje swoje stanowisko. Tyberiusz przezornie pozostawił Aproniusza w spokoju. Kaligula jednak, który zazdrościł mu popularności, aresztował go bezzwłocznie po swoim przybyciu.

Ponieważ nie zostałem zaproszony do wzięcia udziału w wyprawie, nie mogę opisać szczegółowo tego, co podczas niej zaszło. Wiem tylko, że Ganimeda i Getulika oskarżono o zdradę stanu - Ganimed miał dążyć do zagarnięcia władzy cesarskiej, a Getulik rzekomo zachęcał go do tego. Obu bez sądu skazano na śmierć. Na Lesbię i Agryppinillę

(mąż tej ostatniej umarł niedawno z przepicia) padło podejrzenie, że brały udział w spisku. Wygnano je na wyspę u wybrzeży afrykańskich, niedaleko Kartaginy. Jest to pustynna, o szczególnie upalnym klimacie wyspa, której mieszkańcy trudnią się jedynie połowem gąbek.

Kaligula kazał siostrom nauczyć się tego fachu, gdyż, jak mówił, nie może ich dłużej utrzymywać.

Zanim jednak odstawiono je na miejsce wygnania, musiały pieszo pod eskortą wojskową odbyć drogę z Lyonu do Rzymu, niosąc na zmianę urnę z prochami Ganimeda. Miała to być, jak w patetycznym liście do senatu wyjaśnił Kaligula, kara za ich cudzołożne stosunki z Ganimedem. Przy tej okazji rozpisal się obszernie o własnej łaskawości. Powinien je być przecież skazać na śmierć. Czyż nie prowadziły się gorzej od najgorszej zdziry?

Żadna uczciwa prostytutka nie miałaby czelności za swą rozpustę żądać

takiego wynagrodzenia, jakiego żądały i jakie otrzymywały jego siostry.

Nie miałem powodu rozpaczać nad losem bratanic. Były na swój sposób nie lepsze od Kaliguli i traktowały mnie z wyraźną pogardą. Kiedy trzy lata przed tymi wypadkami Agryppinilla urodziła syna i zapytała cesarza, jakie mu ma nadać imię, Kaligula odparł:

„Nazwij go Klaudiuszem, a na pewno wyrośnie na skończoną piękność.” Agryppinilla wpadła w taką wściekłość, że omal nie wytłukła brata, a chcąc wylądować w jakiś sposób swoją pasję, obróciła się szybko i splunęła w moją stronę, a następnie wybuchnęła łzami. Dziecko otrzymało imiona Lucjusz Domicjusz.*[* Późniejszy cesarz Neron] Lesbia była zbyt dumna, aby zwracać na mnie uwagę albo w ogóle przyjąć do wiadomości fakt mego istnienia. Jeżeli przypadkiem spotkaliśmy się w ciasnym przejściu, szła prosto środkiem, nie zwalniając kroku, tak że musiałem przyciskać się do ściany. Z trudem przychodziło mi pamiętać, że to dzieci mojego kochanego brata i że obiecałem Agryppinie ochraniać je ze wszystkich sił.

Przypadł mi kłopotliwy obowiązek wyruszenia do Francji na czele delegacji złożonej z czterech byłych konsulów, żeby powinszować Kaliguli zgniecenia spisku. Myśl podróży do Francji, której nie widziałem od czasów dzieciństwa, wcale mi się nie uśmiechała. Na pokrycie kosztów drogi musiałem wziąć pieniądze od Kalpurni, gdyż dotąd ani dom, ani folwark nie znalazły nabywcy; poza tym nie spodziewałem się, żeby Kaligula powitał mnie z radością. Wsiadłem na statek w Ostii i wylądowałem w Marsylii. Tu dowiedziałem się, że Kaligula po wygnaniu siostr wystawił na licytację ich biżuterię i stroje, które ze sobą przywiozły. Zachęcony wysokimi sumami, jakie w ten sposób uzyskał, sprzedał też ich niewolników, a nawet wyzwoleńców, pod pozorem, że byli jeszcze niewolnikami.

Prowincjonalni bogacze podbijali ceny do zawrotnej wysokości. Każdy chciał się później pochwalić: ”Widzicie, to i to należało do sióstr cesarza; nabyłem tę rzecz bezpośrednio od niego.” Wtedy Kaligula wpadł na nowy

pomysł. Stary pałac, w którym mieszkała Liwia, stał zamknięty od czasu jej śmierci. Pełno w nim było kosztownych mebli, obrazów, pamiątek po Auguście. Kaligula kazał to wszystko sprowadzić do Lyonu, a mnie uczynił odpowiedzialnym za całość i szybkie przybycie transportu.”Tylko wyślij bagaż lądem, nie morzem

- ostrzegł na zakończenie - gdyż pokłóciłem się z Neptunem.” List przybył na dzień przed moim wyjazdem, więc wypełnieniem poleceń cesarskich obarczyłem Pallasa. Największą trudność stanowiło wystaranie się o wozy, gdyż cały kontyngent koni i furgonów zabrała armia cesarska. Ale rozkaz Kaliguli był wyraźny i wozy musiały się znaleźć. Pallas udał się z listem do konsulów. Ci, nie widząc innego sposobu, zarekwirowali wszystkie wozy pocztowe, platformy do rozwożenia pieczywa i konie od młyńskich kieratów. Stało się to oczywiście z niemałą szkodą dla obywateli.

40 r. n.e.

Tak więc pewnego majowego wieczoru tuż przed zachodem słońca Kaligula, siedząc na moście lyońskim i prowadząc imaginacyjny dyskurs z bogiem rzeki, był świadkiem mojego przybycia. Z daleka poznał lektykę po stoliku do gry w kości, który kazałem do niej przytwierdzić; miałem bowiem zwyczaj podczas dłuższych podróży skracać sobie czas grając z samym sobą.

- Hejże, mój drogi - zaczął wołać z gniewem, zanim jeszcze dotarłem do mostu - a gdzie są wozy? Dlaczego nie prowadzisz ich z sobą?

- Niech nieba błogosławią waszą cesarską mość - odkrzyknąłem. - Wozy będą za kilka dni. Ciągną lądem przez Genuę. Ja i moi koledzy przy płynęliśmy morzem.

- No, to popłyniesz sobie z powrotem! A teraz chodź tutaj!

Kiedy znalazłem się na moście, dwóch Niemców ze straży przybocznej wywlokło mnie z lektyki i usadowiło na balustradzie mostu nad środkowym przęsłem, tyłem do rzeki.

Kaligula podbiegł i pchnął mnie. Wywinąłem w powietrzu dwa kozły i

spadłem z tysiąca, jak mi się zdawało, stóp do wody. Pamiętam, że przemknęło mi przez myśl: "Urodzony w Lyonie, ginę w Lyonie." Rodan jest w tym miejscu całkiem głęboki, płynie nurtem bardzo szybkim, a woda w nim zimna jak lód. Ciężka toga owinęła się wokół nóg i ramion, ale udało mi się mimo to utrzymać na powierzchni i przepłynąwszy jakieś pół mili w dół rzeki, wygramoliłem się na brzeg pomiędzy kilkoma łódkami. Muszę tu zaznaczyć, że dużo lepiej pływam, niż chodzę, jestem bowiem silny w ramionach, a tusza, będąca wynikiem braku ruchu i dogadzania podniebieniu, utrzymuje mnie na powierzchni niby korek.

Kaligula, który - mówiąc nawiasem - nie przepłynąłby jednej stopy, ze zdumieniem zobaczył mnie w kilka minut później kuśtykającego ku niemu. Na widok skorupy śmierdzącego mułu, jaki mnie całego oblepił, cesarz wybuchnął śmiechem.

- Gdzieżeś to bywał, drogi Wulkanie? - spytał.

Bez namysłu odpowiedziałem wierszem Homera:

Trudno wytrzymać siłę Zeusowej ręki, Porwał za nogę, rzucił z niebieskiego gmachu, Zaledwie ze mnie dusza nie wyszła z przestachu;

Leciałem przez dzień, w wieczór upadłem na Lemnie, Tam Syntyjowie ducha obudzili we mnie.

Przy czym "Lemnos" zmieniłem na "Lyon", a "Syntyjów" na "lyończyków". Kaligula siedział na balustradzie mostu, a przed nim leżało na brzuchach trzech moich towarzyszy. Na karkach dwu z nich Kaligula oparł nogi, a trzeciemu wymachiwał mieczem nad plecami. Tym najbardziej zagrożonym był mąż Lesbii, który skamlał o litość.

- Klaudiuszu - jęknął usłyszawszy mój głos - wstaw się za nami; przecież przybyliśmy, żeby mu złożyć nasze najpokorniejsze życzenia.

- Chcę wozów, nie życzeń - odburknął Kaligula.

Zwracając się do męża Lesbii, odpowiedziałem słowami Homera, jakby w przeczuciu tej sytuacji napisanymi:

Znoś to, matko, lubo ci niemiło, Żebyć się co gorszego jeszcze nie zdarzyło;

Gniewy jego złagodzi twa powolność wczesna.

Kaligula roześmiał się zachwycony.

- Na ile oceniacie swoje życie, wy trzej? - zapytał. - Po pięćdziesiąt tysięcy sztuka, co?

- Twoja wola, Cezarze - wyszeptali zdławionym głosem.

- No, to po powrocie do Rzymu zapłaćcie tę sumę Klodziowi. Obrotności jego języka zawdzięczacie życie.

Pozwolił im następnie wstać i dopilnował, żeby mi wystawili zobowiązanie na sto pięćdziesiąt tysięcy, płatne w terminie trzymiesięcznym.

- O najmiłościwszy z Cezarów - odezwałem się. - Znajdujesz się w większej potrzebie niż ja. Czy zechcesz przyjąć sto tysięcy z sumy, którą mi wypłacą moi trzej towarzysze?

Jeżeli wyświadczysz mi tę łaskę, pozostanie i tak jeszcze pięćdziesiąt tysięcy.

Będę mógł wtedy zapłacić w całości wkup do Kolegium Kapłańskiego. Bardzo mi ten dług leży na sercu.

- Wszystko, co w mojej mocy, zrobię, aby uspokoić twoje sumienie - odparł Kaligula i nazwał mnie swym złotym aureusikiem.

Tak to Homerowi zawdzięczałem ratunek. Lecz w kilka dni później cesarz przestrzegł mnie, bym nie cytował więcej tego poety.

- To mocno przereklamowany pisarz - oświadczył. - Postanowiłem skonfiskować jego utwory i spalić. Dlaczego bym nie miał wprowadzić w życie rady Platona? Znasz przecież Rzeczpospolitą? Świetna rozprawa! Platon żąda usunięcia ze swego idealnego państwa wszystkich poetów, wszyscy bowiem wedle., niego są kłamcami. I ma świętą rację.

- Czy wasza dostojność zamierza obok Homera spalić także innych poetów?

- Naturalnie. Wszystkich przereklamowanych. Na pierwszy ogień pójdzie Wergiliusz.

To ci nudziarz dopiero. Chce być drugim Homerem, a nie może.

- A historycy też pójdą na stos?

- Tak, Liwiusz. Jeszcze nudniejszy. Chce być Wergiliuszem, a nie potrafi.

ROZDZIAŁ XXXII

Kaligula kazał przedstawić sobie ostatnią listę szacunkową i wybrał z niej nazwiska najbogatszych ludzi całej Francji. Wszyscy dostali wezwanie na dzień licytacji; w ten sposób cesarz mógł być pewien, że nadesłane z Rzymu umeblowanie pałacu sprzeda po dobrej cenie.

Przed rozpoczęciem licytacji wygłosił do zebranych przemówienie. Oświadczył, że wprawdzie jest biednym bankrutem, posiadającym kolosalne długi, ale ma nadzieję, że jego kochani przyjaciele i wdzięczni sprzymierzeńcy z prowincji, mając na uwadze dobro państwa, nie wykorzystają jego kłopotliwego położenia finansowego. Prosił, aby nie ofiarowywano cen poniżej istotnej wartości, jaką posiadają te rodzinne pamiątki, które teraz z głębokim smutkiem jest zmuszony wystawić na sprzedaż.

Żaden ze zwykłych licytatorskich chwytów nie był Kaliguli obcy, poza tym wynalazł kilkanaście nowych, na jakie nie zdobyłaby się umysłowość targowych przekupni, od których zresztą nauczył się sposobu zachwalania towaru. Kaligula potrafił jeden i ten sam przedmiot sprzedać różnym nabywcom, opowiadając za każdym razem inną historię o jego pochodzeniu, zaletach i użyteczności. Przez "istotną wartość" rozumiał "wartość uczuciową", która zawsze przerastała stokrotnie rzeczywistą. O każdym przedmiocie umiał powiedzieć coś w rodzaju:

„To było ulubione krzesło mojego pradiada Antoniusza”, albo: ”Bóg August pił z tego kielicha na swym weselu”, lub: ”W tej sukni zjawiała się moja siostra, bogini Panteja, na przyjęciu wydanym z okazji uwolnienia króla Heroda”, i tym podobne. Sprzedawał też tak zwane ”pakiety niespodzianek” - różne drobiazgi zaszyte w płótno. Miał niezmierną uciechę, gdy mu się udało w ten sposób wkręcić komuś za dwa tysiące sztuk złota stary sandał lub kawałek sera.

Licytacja zaczynała się zawsze od pozornego zaofiarowania. Kaligula zwracał się do któregoś z bogatych Francuzów:

- Powiadasz czterdzieści tysięcy za to alabastrowe puzderko? Dziękuję ci, ale zobaczymy, czy ktoś nie zechce ofiarować czterdziestu pięciu.

Nietrudno się domyślić, że strach przyspieszał tempo licytacji. Kaligula, obłupiwszy zebranych niemal ze skóry, urządził następnie dziesięciodniowy festyn.

Po festynie wyruszył do prowincji nadreńskich. Przysiągł, że nie pierwiej spocznie, aż w wojnie, którą zamierzał wydać Niemcom, zgładzi to plemię z powierzchni ziemi.

W ten sposób, mówił, dokończy dzieła rozpoczętego przez dziada i ojca. Dwa pułki wysłał na drugą stronę rzeki, aby wybadały, gdzie znajdują się najbliższe siły nieprzyjacielskie. Oddział powrócił wiodąc z sobą około tysiąca jeńców. Kaligula wybrał z nich trzystu chwackich chłopców do swojej straży przybocznej, a reszcie kazał ustawić się rzędem pod skałą. Na każdym końcu znajdował się jeden łysy Niemiec.

- Od łyska do łyska wytłucz ich wszystkich za śmierć Warusa - rozkazał Kasjuszowi.

Na wieść o tej masakrze Niemcy zaszyli się w najnieдоступniejsze ostępy swych puszczy. Kaligula przekroczył rzekę na czele armii i znalazł się w kraju zupełnie pustym.

Pierwszego dnia marszu, chcąc uczynić wyprawę bardziej emocjonującą, kazał oddziałowi swojej straży niemieckiej ukryć się w pobliskim lesie i zameldować sobie podczas obiadu o pojawieniu się nieprzyjaciela. Otrzymawszy ten meldunek, Kaligula na czele

„wywiadowców” i gwardii konnej ruszył do ataku. Przeprowadziwszy następnie rzekomych jeńców, zakuty w kajdany, oświadczył, że odniósł walne zwycięstwo nad przeważającymi siłami nieprzyjaciół. Swych współtowarzyszy broni odznaczył nowym orderem wojskowym, „koroną wywiadowczą”. Był to

złoty wieniec ozdobiony emblematami w kształcie słońca, księżyca i gwiazd - wszystko wysadzone drogimi kamieniami.

Trzeciego dnia marszu dotarto do wąskiego wąwozu. Armia, maszerująca dotychczas w szyku bojowym, musiała uformować kolumnę.

- W podobnym do tego miejscu Warus wpadł w zasadzkę - powiedział Kasjusz do Kaliguli. - Do końca życia nie zapomnę tego dnia. Maszerowałem na czele swojej kompanii i właśnie doszliśmy do takiego zakrętu, jaki za chwilę minimy, gdy nagle, jakby zza tej kępy jodeł, którą tam widać, podniósł się ogłuszający krzyk wojenny i jakieś trzysta czy czterysta dziryków zagwizdało nam koło uszu...

- Konia! - zawołał Kaligula zdjęty panicznym strachem. - Konia, czym prędzej! Z drogi!

Wyskoczywszy z lektyki dosiadł Penelopy (Incitatus wygrywał w Rzymie wyścigi) i galopem zawrócił. W cztery godziny dotarł z powrotem do rzeki. Tu okazało się, że most jest zapchany wozami i nie ma mowy o przejechaniu konno. Kaligula, nie chcąc tracić czasu, zsiadł z konia i kazał się przenieść żołnierzom, którzy go podawali z wozu na wóz. W ten sposób przedostał się na drugą stronę. Znalazłszy się wreszcie w bezpiecznym miejscu, bezzwłocznie wydał rozkaz odwrotu całej armii. Nieprzyjaciel, oświadczył, jest zbyt tchórzliwy, żeby stawić opór w otwartej bitwie, więc lepiej poszukać sobie gdzie indziej nowych zwycięstw. Kiedy już cała armia ściągnęła z powrotem do Kolonii, ruszył w dół Renu, a następnie skręcił do Boulogne, najbliższego portu, skąd odpływają statki do Brytanii.

W tym właśnie czasie syn króla brytyjskiego Cymbelina poróżnił się z ojcem; słysząc o przybyciu Kaliguli przepłynął skrycie z kilkoma towarzyszami kanał i oddał się pod opiekę Rzymian. Kaligula, który poprzednio zawiadomił senat o podboju całych Niemiec, obecnie doniósł, że król Cymbelin wysłał doń swego syna, aby poddać pod zwierzchnictwo Rzymu cały archipelag brytyjski od Wysp Scilly po Orkady.

Brałem udział w tej wyprawie i niemało mnie trudu kosztowało zabawianie cesarza.

Skarżył się na bezsenność i opowiadał, że bez przerwy słyszy szum morza. Miała to być zemsta jego nieprzyjaciela Neptuna, który poza tym przychodził w nocy i groził cesarzowi swym trójzębem.

- Neptun? - zdziwiłem się. - Na twoim miejscu nie pozwoliłbym nigdy, żeby taki zuchwały topielec próbował mnie straszyć. Dlaczego nie ukarzesz go tak jak Niemców?

Przecież, pamiętam, już mu raz zagroziłeś karą. Nie godzi się okazywać nadmiernej pobłażliwości, skoro ośmiela się w dalszym ciągu stroić z ciebie żarty.

Spojrzał na mnie podejrzliwie spod zmrużonych powiek.

- Czy uważasz mnie za szalonego? - spytał po chwili. Zaśmiałem się nerwowo.

- Za szalonego? Pytasz mnie, Cezarze, czy uważam cię za szalonego? Jesteś wprost ucieleśnieniem zdrowia.

- To bardzo trudno, mój Klaudiuszu, być bogiem w ludzkiej powłoce - rzekł konfidencko. - Nieraz myślałem, że wpadam w szaleństwo. Opowiadają, że kuracja ciemierzycą w Ancyrze jest bardzo skuteczna. Co myślisz o tym?

- Jeden z największych filozofów greckich, nie pamiętam dokładnie który, odbył kurację ciemierzycą, chcąc, żeby jego jasny umysł stał się jeszcze jaśniejszy.

Jeżeli jednak pytasz mnie o radę, to ci powiem: nie próbuj tego środka. Twój umysł jest tak jasny jak woda górskiego jeziora.

- Tak - przyznał. - Ale chciałbym sypiać więcej niż trzy godziny na dobę...

- Jeżeli sypiasz trzy godziny, to tylko z racji twojej ludzkiej powłoki. Bogowie we właściwej swojej postaci w ogóle nie sypiają.

Te słowa uspokoiły nieco Kaligulę i następnego dnia rozwinął armię w szyku bojowym nad brzegiem morza. W pierwszej linii ustawił łuczników i procarzy, następnie posiłkowe oddziały Niemców zbrojnych w dziryty, wreszcie główne siły rzymskie, w rezerwie zaś Francuzów. Skrzydła zajęła konnica, a na piaszczystych wydmach ustawiono katapulty i balisty. Nikt się nie domyślał, co nastąpi. Kaligula wjechał w morze, a kiedy woda sięgnęła Penelopie po kolana, zatrzymał klacz i zawołał:

- Broń się, Neptunie, mój długoletni wrogu! Wyzywam cię na śmiertelny bój.

Podstępnie zniszczyłeś ongiś flotę mego ojca. Spróbuj teraz na mnie swej siły, jeśli masz odwagę.

Następnie zacytował Homera, wiersze o zapasach Ajaksa z Odyseuszem:

Albo ty mnie położysz lub ja ciebie, książę - Popróbujmy sił naszych...

Nadbiegła niewielka fala. Kaligula ciął ją mieczem i roześmiał się wzgardliwie.

Wreszcie zawrócił z obojętną miną i kazał zatrąbić do boju. Łucznicy wypuścili chmurę strzał, procarze bluznęli gradem kamieni, zamigotały w locie dziryty, regularna piechota, wszedłszy do wody aż po ramiona, rąbała niewielkie fale; konnica szarżowała z flank, tnąc wodę szablami, z balist poleciały głązy, a z katapult dziryty i żelazem okute belki. Kaligula wsiadł na okręt wojenny i kazawszy zarzucić kotwicę poza zasięgiem pocisków, wygadywał bzdury przeciw Neptunowi i pluł w morze przez burtę okrętu. Pomijając to, że jednego z żołnierzy chwycił rekin, a drugiego sparzyła meduza, Neptun nie próbował się bronić ani odpowiadać na wymysły.

Wreszcie cesarz dał sygnał do odwrotu, a zebrawszy żołnierzy, kazał im otrzeć miecze z krwi i przystąpił do gromadzenia łupów. Łupami były muszle morskie wyrzucone na brzeg.

Każdy żołnierz miał nabrać ich pełen hełm. Wysypywano je następnie na jeden stos, sortowano, pakowano w skrzynie i wysyłano do Rzymu jako dowód

tego niesłychanego zwycięstwa. Wojsko bawiło się doskonale, a kiedy Kaligula wypłacił każdemu żołnierzowi nagrodę w wysokości czterech sztuk złota, radość armii nie miała granic. Na pamiątkę zwycięstwa cesarz kazał wybudować latarnię morską na wzór sławnej aleksandryjskiej.

Okazała się ona później prawdziwym błogosławieństwem dla wszystkich, którym wypadło żeglować po tych niebezpiecznych wodach.

Pomaszerowaliśmy następnie w górę Renu. W Bonn Kaligula wziął mnie na stronę i szepnął do ucha:

- Właściwie pułki dotychczas nie zostały ukarane za zniewagę, jaką mi kiedyś wyrządziły buntując się przeciw memu ojcu, kiedy opuściłem obóz w Bonn. Jak sobie przypominasz, musiałem wrócić i zaprowadzić porządek.

- Pamiętam doskonale. Ale to już kawał czasu temu. Po dwudziestu sześciu latach niewielu z tych, którzy się ongiś zbuntowali, może służyć jeszcze w szeregach.

Niewykluczone, że ty i Kasjusz Cherea jesteście jedynymi weteranami, którzy pozostali z tamtych strasznych dni.

- W takim razie może każę ich tylko zdziesiątkować - ustąpił Kaligula.

W pułkach pierwszym i dwudziestym ogłoszono, że żołnierze mają stawić się na specjalną odprawę, przy czym ze względu na upał mogą zostawić w namiotach broń.

Gwardia konna miała też przybyć, ale polecono jej stawić się z mieczami. Natknąłem się na starego sierżanta, którego twarz była tak pokryta bliznami i zmarszczkami, że musiał chyba pamiętać jeszcze bitwę pod Filippi.

- Znasz mnie, sierżancie? - spytałem.

- Nie, wasza miłość. Nie mogę powiedzieć żebym znał, ale wyglądacie na jakiegoś ekskonsula.

- Jestem bratem Germanika.

- Doprawdy? Nie wiedzieliśmy, że istnieje ktoś taki.

- Nic dziwnego, nie jestem żołnierzem ani nie zajmuję żadnego ważnego

stanowiska.

Ale nie o to chodzi. Mam twoim chłopcom coś do powiedzenia. Idąc dziś na tę odprawę nie zostawiajcie mieczów daleko od siebie.

- Dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Bo może będziecie ich potrzebowali. Może Niemcy was zaatakują. Może co innego się zdarzy.

Spojrzał na mnie twardym wzrokiem i zrozumiał, że nie żartuję.

- Dziękuję, wasza miłość - odrzekł. - Powtórzę chłopcom wasze słowa.

Piechotę skupiono przed mównicą, na którą z chmurną twarzą wstąpił Kaligula.

Przemawiał gniewny, tupiąc od czasu do czasu nogą i wymachując groźnie rękami:

Rozpoczął od pewnej nocy jesiennej sprzed wielu lat, kiedy pod bezgwiezdnym i zachmurzonym niebem... W tym miejscu niektórzy z żołnierzy zaczęli się chyłkiem wymykać pomiędzy szeregami konnicy. Szli po miecze. Inni śmiało wydobywali je spod tunik. Kaligula musiał dostrzec, co się stało, gdyż nagle w połowie zdania zmienił ton. Tym dawnym, ponurym dniom, szczęśliwie zapomnianym, przeciwstawił obecne czasy pełne chwały, dobrobytu, zwycięstwa.

- Wasz mały towarzysz, z którym ongi się bawiliście - mówił - wyrósł na męża i stał się największym władcą, jakiego zna świat. Żaden przeciwnik, choćby najbutniejszy, nie śmie zmierzyć się z jego niezwyciężonym orężem.

W tym momencie wysunął się mój stary sierżant.

- Wszystko stracone, Cezarze! - zawołał. - Nieprzyjaciel w liczbie trzystu tysięcy przekroczył rzekę pod Kolonią. Złupi po drodze Lyon, a potem przekroczy Alpy i z Rzymu kamienia na kamieniu nie zostawi!

Nikt z wyjątkiem Kaliguli nie uwierzył w te bzdury. Cesarz jednak zzieleniał ze strachu, dał nurka z mównicy w tłum, pochwycił jakiegoś konia, wgramolił się na siodło i ruszył z kopyta. Za cesarzem pogalopował jeden ze

ślug. W pewnym momencie Kaligula krzyknął do niego:

- Chwała Bogu! Mam jeszcze Egipt. Tam wreszcie będę bezpieczny. Niemcy nie mają okrętów.

Wszyscy pokładali się ze śmiechu. Wreszcie jakiś pułkownik dosiadł dobrego konia i dogonił cesarza. Zapewnił go, że wiadomość była mocno przesadzona. Tylko niewielka garść Niemców przekroczyła rzekę i została zmuszona do odwrotu. Brzeg rzymski jest zupełnie wolny od nieprzyjaciela. Kaligula zatrzymał się w najbliższym mieście i wysłał stamtąd pismo do senatu. Zawiadamiał, że ukończył pomyślnie wszystkie wojny i wraca do Rzymu na czele swych laurem uwiecznionych wojsk. Surowo przyganiał tchórzom, którzy, zostawszy w domu, prowadzą, jak słyszał, całkiem normalne życie; uczęszczają do teatrów, do łaźni, uczują wtedy, kiedy on jest narażony na największe niewygodę obozowego życia, jada, pija i śpi nie lepiej od szeregowca.

Senat, któremu zabronione zostało uchwalanie z własnej inicjatywy jakichkolwiek zaszczytów dla cesarza, głowił się teraz, w jaki sposób przebłagać rozgniewanego. W każdym razie wysłano doń delegację, która miała złożyć Kaliguli życzenia z powodu tak znakomitych zwycięstw i prosić, aby nie ociągając się dłużej powracał do Rzymu, gdzie tak boleśnie daje się odczuć brak jego osoby. Kaligula wpadł we wściekłość, że pomimo jego zakazów nie uchwalono mu prawa do triumfu i że w liście senatu tytułowano go nie Jowiszem, ale tylko cesarzem Gajuszem Cezarem. Uderzył o rękojeść miecza i zawołał:

- Mam wracać? Dobrze, powrócę, ale z mieczem w ręku!

Tymczasem kazał poczynić przygotowania do potrójnego triumfu: nad Niemcami, nad Brytyjczykami i nad Neptunem. Jako jeńcy brytyjscy mieli wystąpić syn Cymbelina i jego towarzysze, a ponadto załoga kilku kupieckich statków brytyjskich, które zatrzymał w Boulogne. Jeńców niemieckich, autentycznych, miał trzystu, dodał do nich co wyższych ludzi, jakich znalazł we Francji; wszyscy nosili płowe warkoczyki, odzież na wzór niemieckiej i

rozmawiali między sobą gwarą, która miała uchodzić za niemczyznę.

Ponieważ, jak wspomniałem, senat bał się uchwalić formalny triumf, Kaligula musiał się zadowolić nieformalnym. Urządził wjazd do miasta w tym samym stylu co ongiś przebycie Zatoki Bajskiej. Tylko dzięki wstawiennictwu Cezonii, która była rozsądną niewiastą, zrezygnował z pierwotnego zamiaru wycięcia senatu. Ludowi za jego składki odwdzieczył się szczodrze, sypiąc złoto i srebro z dachu pałacu. Wśród monet jednak leciały tej samej wielkości krążki żelaza rozpalone do czerwoności. W ten sposób chciał cesarz przypomnieć ludowi, że nie przebaczył mu jeszcze zachowania się w amfiteatrze. Żołnierzom ogłoszono, że mogą hulać, ile wlezie, i pić na koszt skarbu, ile dusza zapragnie. Skorzystali z tego pozwolenia skrupulatnie, grabiąc na niektórych ulicach wszystkie sklepy. Z dymem też poszła dzielnica prostytutek. Dopiero po dziesięciu dniach porządek został przywrócony.

Wypadki te miały miejsce we wrześniu. Podczas nieobecności cesarza robotnicy pracowali pilnie nad wzniesieniem nowej świątyni na Palatynie. Zniwelowano teren aż po plac rynkowy, a z przybytku Kastora i Polluksa uczynił Kaligula przedsiónek nowej świątyni, do której wejście prowadziło teraz między posągami obu bogów.

- Bliźniacze bóstwa są mymi odźwiernymi - chełpił się.

Następnie wysłał rozkaz do namiestnika Grecji, polecając mu przysłać wszystkie sławne posągi bóstw do Rzymu. Tutaj zamierzał na miejsce dotychczasowych głów przyprawić nowe, będące podobiznami jego własnej. Najwięcej zależało mu na olbrzymim posągu Jowisza Olimpijskiego. Aby przetransportować tego kolosa do Rzymu, kazał zbudować specjalny statek. Zanim jednak statek spuszczone na wodę, uderzył weń piorun.

Tak przynajmniej wieścił oficjalny raport. Osobiście przypuszczam, że statek spaliła przesądna załoga. Co do Jowisza Kapitońskiego, to, jak opowiadał nam Kaligula, poczuł on skruchę z powodu swej dawnej kłótni z cesarzem i prosił go, żeby po dawnemu zechciał razem z nim zamieszkać.

Kaligula odpowiedział, że nowa świątynia jest już gotowa, ale skoro Jowisz tak uniżenie go przeprosza, gotów jest pójść na kompromis i połączy mostem obydwie wzgórza. Jakoż dotrzymał tej obietnicy i zbudował most ponad dachem świątyni Augusta.

Kaligula był już teraz oficjalnie Jowiszem. I to nie tylko łatyńskim, ale i olimpijskim.

Mało tego, zajmował miejsce wszystkich innych bogów i bogiń, którym przyprawiał nowe głowy. Czasem więc był Apollem, czasem Merkurym, niekiedy Plutonem. Zależnie od tego nosił odpowiednie szaty i wymagał odpowiednich ofiar. Widziałem go też jako Wenus, w długiej przejrzystej jedwabnej sukni, z wymalowaną twarzą, rudym warkoczem, wypchanym biustem, w sandałach na wysokich obcasach. W święcie grudniowym wziął udział jako Dobra Bogini. To był dopiero skandal! Lubił też występować w charakterze Marsa.

Najczęściej jednak był Jowiszem. Nosił wtedy wieniec oliwny, brodę ze złotych nici, błękitną jedwabną suknię, a w ręku trzymał kawał bursztynu wycięty w zygzaki; miało to imitować piorun.

Pewnego dnia wygłosił w tym kostiumie mowę na Rynku.

- W krótkim czasie - mówił - zamierzam wybudować dla siebie miasto na szczytach Alp. My, bogowie, wolimy szczyty górskie od niezdrowych rzecznych dolin. Z Alp otwiera się rozległy widok na moje cesarstwo: Francję, Italię, Szwajcarię, Tyrol, Niemcy. Jeżeli ujrzę, że tam w dole gotuje się zdrada, ostrzegę grzmotem. Ot tak - tu głucho zabulgotało mu w krtani. - Jeżeli ostrzeżenie zostanie zlekceważone, spalę zdrajcę piorunem - tu cisnął w tłum kawałek bursztynu, który, ugodziwszy w jakiś posąg, odskoczył nie robiąc nikomu szkody.

Przypadkiem znajdował się w tłumie pewien szewc z Marsylii, który przyjechał zwiedzić Rzym. Na widok "piorunu" Kaliguli wybuchnął śmiechem. Cesarz kazał go aresztować i stawić przed mównicą.

- Za kogo mnie masz? - spytał pochylając się do stojącego pod trybuną.

- Za wielkiego błazna - odparł szewc. Kaligula zdębiał.

- Mnie za błazna?

- Ano pewnie. Jestem wprawdzie tylko biednym szewcem francuskim, który po raz pierwszy znajduje się w Rzymie i niewiele świata widział, ale gdyby ktoś tam u nas wyprawiał takie sztuki jak ty, mielibyśmy go za wielkiego błazna.

- Och, ty półgłówku! - zaczął się śmiać Kaligula. - Rzeczywiście byłby błaznem.

I na tym polega różnica.

Cały tłum ryczał ze śmiechu, jakby nagle wszyscy stracili zmysły. Nie wiadomo tylko, czy śmiano się z Kaliguli, czy z szewca. Wkrótce potem cesarz kazał wykonać maszynę do wytwarzania grzmotów. Zapalało się lont, a maszyna z hukiem i ogniem wyrzucała niby katapulta kamienie w pożądanym kierunku. Mam jednak z dobrego źródła wiadomość, że kiedy w nocy zdarzyła się prawdziwa burza, Kaligula ze strachu włąził pod łóżko.

Przy tej sposobności warto opowiedzieć pewne autentyczne zdarzenie: jednego razu rozpętała się burza, gdy Kaligula paradował ubrany jako Wenus. Przerażony zaczął wołać:

„Ojcze, ojczy, zlituj się nad twą piękną córką!”

Sumy przywiezione z Francji szybko się rozeszły i cesarz wymyślał nowe sposoby wydostania pieniędzy. Do ulubionych metod należało kwestionowanie mocy prawnej testamentów tych ludzi, którzy umierając nie pozostawili dlań żadnego zapisu.

Przedstawiał wtedy listę dobrodziejstw, jakie wyświadczył testatorom, i stwierdzał, że albo musi ich uznać za niewdzięczników, albo przypuścić, że pisząc testament nie byli w pełni władz umysłowych, co zresztą uważa za bardziej prawdopodobne. Na tej podstawie unieważniał testamenty i ogłaszał się jedynym spadkobiercą. Zazwyczaj wczesnym rankiem zjawiał się w sądzie i

wypisywał na tablicy sumę, jaką miał zamiar tego dnia uzyskać - przeciętnie około dwustu tysięcy. Kiedy kwotę tę osiągał, zamykał posiedzenie. Pewnego dnia wcześniej rano wydał nowy edykt regulujący godziny handlu w różnych rodzajach sklepów. Edykt ten, napisany drobnym pismem na niewielkiej kartce, kazał umieścić wysoko na kolumnie w Rynku. Nikt więc nie zadał sobie trudu przeczytania obwieszczenia, nie przypuszczając, żeby taki świstek mógł zawierać coś ważnego. Po południu gwardia dostarczyła cesarzowi kilkaset nazwisk kupców, którzy nie zastosowali się do nowego rozporządzenia. Kiedy stawiono ich przed sądem, pozwolił jako okoliczność łagodzącą uznać zapisanie mu w testamencie działu takiego samego jak dzieciom. Niewielu mogło powołać się na ten motyw. Od tej chwili bogaci ludzie coraz częściej zawiadamiali skarbnika cesarskiego, że mianują Kaligulę swoim głównym spadkobiercą. Krok ten jednak w wielu wypadkach okazał się nierozsądny.

Kaligula zaczął korzystać z apteczki odziedziczonej po babce Liwii. Pewnego dnia kilku testatorom rozesłał owoce smażone w miodzie. Wszyscy umarli tego samego dnia. Wezwał też do Rzymu swojego kuzyna, króla mauretańskiego, i skazał go na śmierć oświadczając po prostu:

- Ptolemeuszu, potrzebuję twoich pieniędzy.

Podczas pobytu cesarza we Francji niewiele stosunkowo zapadało wyroków skazujących i więzienia były prawie puste; zachodziła obawa, że zabraknie ofiar do rzucania na pastwę dzikich zwierząt. Kaligula znalazł radę: zamiast przestępców użył widzów z cyrku, wpierw jednak kazał im wyrwać języki, żeby nie mogli wzywać pomocy przyjaciół.

Pomysły miewał coraz dziksze. Pewnego dnia miano mu, jako Apollowi, złożyć ofiarę z młodego byka. Wedle rytuału asysta ogłuszała pierw zwierzę ciosem kamiennej siekiery, a następnie kapłan przerynał mu gardło. Kaligula zjawił się w roli asysty kapłana i zadał przewidziane rytuałem pytanie:

- Zaliż już?

- Czyń swą powinność - odparł kapłan i w tym momencie kamienna

siekiera strzaskała mu głowę.

W dalszym ciągu żyłem bardzo skromnie razem z Bryzeidą i Kalpurnią. Pozbyłem się już wprawdzie długów, lecz i nie miałem pieniędzy, z wyjątkiem niewielkiego dochodu, jaki dawał majątek. Przezornie postarałem się poinformować Kaligulę o swoim stanie finansowym; pozwolił mi łaskawie pozostać senatorem, choć od dawna nie posiadałem wymaganych kwalifikacji majątkowych. Czulem jednak, że z każdym dniem położenie moje staje się coraz bardziej niepewne. W początkach października o północy zbudziło mnie głośnie dobijanie się do bramy.

- Kto tam? - spytałem wychylając głowę przez okno.

- Masz się udać bezzwłocznie do pałacu.

- Ach, to ty, Kasjuszu Chereo. Czy prowadzisz mnie na śmierć?

- Mam rozkaz przyprowadzenia cię bezzwłocznie do pałacu.

Szlochała Kalpurnia, szlochała Bryzeida i obydwie ucałowały mnie serdecznie na pożegnanie. Podczas kiedy pomagały mi się ubierać, wydawałem ostatnie dyspozycje dotyczące resztek mojego majątku, małej Antonii, pogrzebu i tak dalej. Wszyscy troje byliśmy bardzo wzruszeni. Nie śmiałem przedłużyć tej chwili i wkrótce potem kuśtykałem już obok Kasjusza w stronę pałacu.

- Oprócz ciebie dwóch innych eks-konsulów otrzymało wezwanie do pałacu - mruknął niechętnie Kasjusz.

Kiedy wymienił ich nazwiska, niepokój mój wzrósł. Byli to obaj bogaci ludzie; takich właśnie Kaligula zwykł oskarżać o knowanie spisku. Ale dlaczego ja? Przybyłem pierwszy.

Prawie tuż za mną wpadli tamci dwaj, zadyszani z pośpiechu i trwogi. Wprowadzono nas do sali sądowej i wskazano krzesła na podwyższeniu naprzeciw trybunału.

Podwyższenie to przypominało rusztowanie do egzekucji skazańców. Za nami stanęli gwardziści niemieccy, szwargocąc coś po swojemu. Sala tonęła w ciemnościach, tylko u stołu trybunalskiego migotały dwie małe lampki oliwne.

Okno z tyłu za trybunałem było, jak zauważyliśmy, zasłonięte czarną kotarą haftowaną w srebrne gwiazdy. Uścisnęliśmy sobie w milczeniu ręce na pożegnanie. Wprawdzie moi obecni towarzysze nie raz mnie obrazili, ale w obliczu śmierci nie pamięta się o takich drobiazgach. W oczekiwaniu tego, co miało nastąpić, siedzieliśmy aż do świtu.

Nagle dobiegły naszych uszu dźwięki cymbałów i wesołe tony obojów i kitar. Do sali wkroczyli w dwuszeregu niewolnicy, każdy niósł dwie lampy, które ustawiał na stole trybunału. Jakiś eunuch silnym głosem zaczął śpiewać znaną pieśń: "Dłużą się chwile nocnej straży" Niewolnicy zniknęli, usłyszeliśmy mamroczący głos i do sali tanecznym krokiem wbiegła jakaś nieproporcjonalnie wysoka kobieta w różowej sukni i wieńcu ze sztucznych róż na głowic. Był to Kaligula.

Różanopalca wtedy bogini Spędzi gwieździstą z niebios noc...

W tym miejscu cesarz podbiegł do okna i ściągnął zasłonę, wpuszczając do sali pierwsze blaski świtu. A kiedy eunuch zbliżał się już do końca strofy o różanopalce bogini zdmuchującej lampy, Kaligula wykonał tę czynność, tańcząc naokoło trybunalskiego stołu.

Puf, puf, puf - zdmuchiwał kaganki.

A gdzie kochanków potajemnych para Leży w miłosnym uścisku spleciona...

Z łóżka, którego dotychczas nie spostrzegliśmy, gdyż było ukryte w alkowie, „Jutrzenka” wypędziła całkiem nagą parę, mężczyznę i kobietę, i na migi pokazała im, że czas się już rozstać. Dziewczyna była niezwykle piękna. Partnerem jej okazał się eunuch, który śpiewał pieśń. Oboje z udanym zmieszaniem rozpierzchli się w przeciwnych kierunkach.

Kiedy zabrzmiały ostatnie słowa:

Jutrzenko ty! O najcudniejsza z bogiń, Na niebios jasnych z wdziękiem wkraczasz toń, Odpędzasz troski, spokój niesiesz błogi...

Zorientowałem się, że wypada upaść na ziemię. Moi towarzysze czym

prędzej poszli za moim przykładem. Kaligula wybiegł w podskokach i wkrótce zostaliśmy wezwani, żeby wspólnie z cesarzem zjeść śniadanie.

- O boże bogów - odezwałem się - żaden z tańców, jakie widziałem dotychczas, nie sprawił mi tyle rozkoszy, co oglądany przed chwilą. Słów braknie na wyrażenie zachwyty.

Obaj eks-konsulowie gorąco mi zawtórowali ubolewając, że tak piękny występ miał tak szczupłą liczbę widzów. Kaligula, uradowany, zapewnił nas, że to była tylko próba.

Zamierza niedługo wystąpić w amfiteatrze wobec całego miasta. Ciekawy byłem, jak na otwartym powietrzu, w budynku mającym kilkaset metrów długości, będzie wyglądała scena ze ściągnięciem kotary, ale uważałem za wskazane nie prosić o wyjaśnienie.

Śniadanie było bardzo smaczne, starszy z dwu eks-konsulów siedział na ziemi i zajadając się drożdżami, za każdym kąsem całował Kaligulę w nogę. Właśnie myślałem, jak ucieszą się z mego powrotu Kalpurnia i Bryzeida, gdy Kaligula, który był w doskonałym humorze, zapytał nagle:

- Ale dziewczyna, palce lizać, co, stary rozpustniku?

- Rzeczywiście bardzo piękna - przytaknąłem.

- I o ile wiem, dotychczas dziewica. Masz ochotę się z nią ożenić? Proszę cię bardzo.

Miałem na nią przez chwilę apetyt, ale czy warto? Niedojrzałe dziewczyny przestały mi już smakować. A i dojrzałe też... wyjąwszy Cezonię. Czy wiesz, kto to był?

- Nie, panie. Prawdę mówiąc, cała moja uwaga była zwrócona tylko na ciebie.

- To twoja kuzynka, Messalina, córka Barbata. Ten stary rajfur nie zaprotestował ani jednym słowem, kiedy kazałem mu ją przysłać do siebie. Co z nich wszystkich za tchórze!

- Tak, boski Cezarze.

- No, to wszystko w porządku. Jutro weźmiecie ślub. A teraz czas pójść do łóżka, co?

- Najpokorniejsze dzięki, panie.

Podał mi swą drugą nogę do pocałowania.

Nazajutrz, tak jak przyrzekł, dał nam ślub. Zabrał dziesiątą część posagu Messaliny, ale poza tym zachował się dość łaskawie. Kalpurnia ucieszyła się widząc mnie żywym i udawała, że ją moje małżeństwo nic nie obchodzi.

- Doskonale się stało - powiedziała rzeczowo. - Wrócę do majątku i będę pilnowała twojego gospodarstwa. Mając taką piękną żonę nie odczujesz mojej nieobecności.

Masz zresztą teraz dość pieniędzy, żeby z powrotem mieszkać w pałacu.

Starałem się jej wytłumaczyć, że zmuszono mnie do małżeństwa i że bardzo mi będzie jej brakowało. Ale nie chciała słuchać. Messalina, mówiła, jest dwa razy piękniejsza, a trzy razy mądrzejsza od niej. A posag, a koligacje... Już jestem w niej zakochany, twierdziła.

Czułem się nieswojo. Kalpurnia była przez cztery lata niedoli moim jedynym przyjacielem. Czegóż jej nie zawdzięczałem? Ale miała rację. Byłem zakochany w Messalinie i Messalina miała zostać moją żoną. Dla Kalpurni zabrakło miejsca.

Kiedy przyszło do pożegnania, biedaczka miała łzy w oczach. Ja też. Nie kochałem jej, ale była moim najlepszym przyjacielem i wiedziałem, że ilekroć będę w potrzebie, mogę na nią liczyć. Nie potrzebuję dodawać, że jak tylko dostałem posag, nie zapomniałem o niej.

ROZDZIAŁ XXXIII

Zwinna, smukła, o czarnych jak lawa oczach i wspaniałym przepychu kruczyczych kędziorów, Messalina była nieprzeciętnie piękną dziewczyną. Mówiła niewiele, ale tajemniczy uśmiech, jaki błąkał się po jej twarzy, sprawił, że oszalałem z miłości. Była szczęśliwa, że udało jej się wymknąć Kaliguli, i szybko zorientowała się w korzyściach, jakie dawało małżeństwo ze mną. Toteż postępowaniem swoim wywoływała wrażenie, że jej miłość jest nie mniejsza od mojej. Po raz pierwszy w życiu od czasów chłopięcych byłem zakochany. A kiepskie ma szansę niezbyt sprytny i niezbyt ponętny mężczyzna, pięćdziesięciolatek, kiedy zakocha się w młodej, bardzo sprytniej i bardzo ponętnej dziewczynie.

Ślub nasz odbył się w październiku, a już w grudniu Messalina była w ciąży.

Okazywała wiele serdeczności mojej małej, wówczas dziesięcioletniej Antonii i z ulgą myślałem, że znalazł się wreszcie ktoś, kogo dziecko będzie mogło nazywać matką.

Ze względu na niewielką różnicę wieku Messalina mogła też stać się prawdziwą przyjaciółką swej pasierbicy, a równocześnie wprowadzić ją w towarzystwo, czego nie była w stanie zrobić Kalpurnia.

Na zaproszenie cesarza mieliśmy z Messalina zamieszkać znowu w pałacu.

Sprowadziliśmy się tam w nieszczęśliwej chwili.

Niejaki Bassus, z zawodu kupiec, wypytywał jednego z kapitanów gwardii pałacowej o zwyczaje Kaliguli. Czy to prawda - dowiadywał się - że cesarz, cierpiąc na bezsenność, opuszcza nocą mury pałacu? A o której godzinie zwykł to czynić? Którym wyjściem udaje się na miasto? Jaką ma straż przy sobie? Kapitan zawiadomił o tym wypadku Kasjusza, a Kasjusz Kaligulę.

Bassus został aresztowany i poddany badaniu. Zmuszono go do przyznania się, że zamierzał zabić cesarza, ale nawet na torturach zaprzeczał, jakoby miał jakichś współników.

Kaligula zaweźwał ojca Bassusa, aby był świadkiem stracenia syna. Starzec, który nic nie wiedział o skrytobójczych planach syna ani nawet o jego aresztowaniu, przeraził się, kiedy wszedłszy do jednej z komnat pałacowych zobaczył na podłodze Bassusa z pogruchotanymi na torturach członkami, jęczącego z bólu. Opanował się jednak i podziękował Kaliguli, że go wezwał, aby mógł synowi przynajmniej zamknąć oczy.

- Zamknąć oczy? - zaśmiał się Kaligula. - On w ogóle nie będzie miał oczu, ten skrytobójca. Każę mu je zaraz wylupić, a tobie też.

- Daruj nam życie - błagał starzec. - Jesteśmy tylko narzędziami w rękach potężniejszych. Jeśli nas oszczędzisz, wyjawię ci ich nazwiska.

Słowa te wywarły na Kaliguli niemałe wrażenie, a kiedy starzec wymienił komendanta gwardii, komendanta straży niemieckiej, podskarbiego Kallista, Cezonię, Mnesterę i trzech czy czterech innych jeszcze, cesarz aż zbladł z przerażenia.

- A kogo mieliście zamiar uczynić cesarzem na moje miejsce? - zapytał.

- Twojego stryja Klaudiusza.

- On też należał do spisku?

- Nie, ale miano go wysunąć jako nominalnego przywódcę.

Kaligula wybiegł z komnaty i kazał wezwać do swego gabinetu komendanta gwardii, komendanta straży niemieckiej, podskarbiego i mnie. Następnie wskazując na mnie zapytał:

- Więc ten stwór ma być cesarzem?

- Jeżeli tak rozkażesz, Jowiszu... - odparli zdumieni.

Kaligula wtedy zawołał z patetycznym śmiechem:

- Was jest trzech, ja jeden. Dwóch z was ma broń, ja jestem bezbronny. Jeżeli nienawidzicie mnie i chcecie zabić, to uczynicie to zaraz i posadźcie na

tronie cesarskim tego biednego idiotę.

Padliśmy wszyscy na twarz, przy czym obaj oficerowie leżąc na podłodze podali mu swe miecze.

- Jesteśmy niewinni! - zawołaliśmy jednogłośnie. - Nigdy podobna myśl zdradziecka nie powstała w naszych głowach. Jeśli nam nie wierzysz, panie, zabij nas!

Czy wiecie, że rzeczywiście chciał nas zabić? Na szczęście, korzystając z chwilowego wahania, odezwałem się:

- O wszechmocny boże, pułkownik, który mnie tutaj wezwał, opowiedział mi po drodze o oskarżeniu, jakie rzucił na tych lojalnych poddanych ojciec Bassusa.

Fałszywość jego oskarżenia jest oczywista. Gdyby Bassus rzeczywiście działał był z ich zlecenia, czyby wypytywał kapitana o twoje zwyczaje? Czyż wszystkich potrzebnych informacji nie mógłby dostać od tych generałów? Nie. Ojciec Bassusa chciał po prostu niezręcznym kłamstwem ratować życie swoje i syna.

Argument ten widać przekonał Kaligulę. Podał mi rękę do pocałowania, kazał nam wstać i zwrócił wojskowym ich miecze. Bassus wraz z ojcem zostali rozsiekani przez Niemców. Lecz Kaligula już nie mógł się pozbyć nękającej go myśli o skrytobójstwie, a bojaźń jego potęgowały liczne złowrózbnne znaki. Najpierw w izbę odźwiernego pałacowego uderzył piorun. Następnie Incitatus, przyprowadzony na wieczerzę, wierzgnął tak gwałtownie, że odrzucona podkowa stłukła alabastrową krużę należącą ongiś do Juliusza Cezara i wino pociekło po posadzce. Najbardziej jednak złowrózbnny wypadek miał miejsce w Olimpii, kiedy stosownie do zleceń Kaliguli robotnicy, zaczęli rozbierać statwę Jowisza, która miała być wysłana do Rzymu. Najpierw przystąpiono do zdjęcia głowy, dokładnie bowiem wedle jej wymiarów miała być wykonana nowa, będąca podobizną Kaliguli. Umieszczono blok na dachu świątyni, założono sznury na szyję posągu i już zabierano się do samego dzieła, gdy nagle cały

budynek zahuczał potężnym śmiechem. Robotnicy uciekli zdjęci panicznym strachem i nie można było znaleźć śmiałków, którzy by ich zastąpili.

Okrutna surowość, z jaką rządził Kaligula, doprowadziła do tego, że ludzie drżeli na sam dźwięk cesarskiego imienia. Widząc to Cezonia zaczęła doradzać mężowi, żeby rządził łagodniej i starał się, by lud kochał go zamiast panicznie się bać. Zdawała sobie bowiem sprawę z niebezpiecznej sytuacji, w jakiej znajdował się Kaligula, i wiedziała dobrze, że jego zguba przesądzi o jej losie. Ochronić ją mogło tylko powszechne przekonanie, że starała się za wszelką cenę odwieść męża od okrucieństw.

Kaligula uczynił bardzo nierozsądny krok. Przywołał do siebie kolejno komendanta gwardii, podskarbiego i komendanta straży niemieckiej i udając, że każdego z nich obdarza szczególnym zaufaniem, mówił:

- Tobie wierzę, ale tamci dwaj spiskują przeciw mnie, uważaj ich za moich śmiertelnych nieprzyjaciół.

Lecz wszyscy trzej szybko się zorientowali w podstępie i dlatego, kiedy zawiązał się prawdziwy spisek, przymknęli nań oczy. Kaligula tymczasem oświadczył Cezonii, że podziela jej zdanie i jak tylko zrobi porządek ze swymi nieprzyjaciółmi, nie omieszka się zastosować do jej rady. Zwołał następnie senat i przemówił do niego w ten sposób:

- Wkrótce ogłoszę, moi wrogowie, amnestię i będę w miłości i pokoju rządził tysiąc lat. Tak brzmi przepowiednia. Ale zanim nastanie ten złoty wiek, głowy muszą się potoczyć po posadzce tego budynku, a krew popłynie strumieniami. Będzie to kwadrans grozy.

Prawdę mówiąc, wolelibyśmy, żeby tysiąc lat pokoju poprzedziło ten kwadrans grozy.

Spisek zawiązał Kasjusz Cherea. Był to stary żołnierz nawykły do ślepego posłuszeństwa. Trzeba było w jakiś niesłychany sposób dogryźć tego rodzaju człowiekowi, żeby pomyślał o spiskowaniu przeciw naczelnemu wodzowi, któremu złożył najuroczystszą przysięgę na wierność. Kaligula traktował

Kasjusza w niesłychanie złośliwy sposób.

Przyrzekł mu solennie oddać dowództwo gwardii i bez jednego słowa wyjaśnienia, nie przeprosiwszy nawet, mianował komendantem młodego kapitana, którego jedyną zasługą było wychylenie duszkiem czterogarncowego dzbana wina. Zarobił w ten sposób nie tylko komendę gwardii i na dodatek cztery garnce wina, ale ponadto Kaligula uczynił go senatorem.

Kasjusza natomiast używał do najprzykrzejszych zadań, jak zbieranie bezprawnie nałożonych podatków, konfiskowanie majątków za winy nigdy nie popełnione i tracenie niewinnych ludzi. Ostatnio kazał mu wziąć na tortury piękną i dobrze urodzoną dziewczynę, niejaką Kwintylię, o której rękę starało się wielu młodych ludzi. Opiekun Kwintylii nastawał, żeby wyszła za mąż za jednego z "wywiadowców". Dziewczyna, która czuła wstręt do proponowanego kandydata, prosiła, żeby jej wolno było wybrać innego. Opiekun zgodził się wreszcie i wyznaczono już dzień ślubu. Odrzucony konkurent udał się jednak do Kaliguli i oskarżył szczęśliwego rywala o bluźnierstwo przeciw miłościwie panującemu cesarzowi; miał go nazwać "łysą damą". Jako świadka podał Kwintylię. Stawieni przed Kaligulą, oboje zaprzeczyli oskarżeniu. Wobec tego zostali wzięci na tortury. Nie podobało się to Kasjuszowi, gdyż wedle prawa torturowani mogli być tylko niewolnicy. Kaligula, widząc niezadowoloną minę Kasjusza, kazał mu osobiście dopilnować torturowania Kwintylii i przykręcać śruby własnymi rękami. Dziewczyna przez cały czas mąk nie wydała ani jednego jęku, a kiedy zdjęto ją z łoża tortur, rzekła do Kasjusza, który ze wzruszenia nie mógł powstrzymać łez:

- Biedny pułkowniku, nie mam do ciebie żalu. Czasami ciężko jest słuchać rozkazów.

- Lepiej mi było zginąć z Warusem w Teutoburskim Lesie - wybuchnął stary żołnierz.

Kwintylię postawiono powtórnie przed Kaligulą. Kasjusz oznajmił, że oskarżona do winy się nie przyznała i podczas torturowania nie wydała nawet

jednego jęku.

- Widać rzeczywiście kocha swego narzeczonego - szepnęła Cezonia do męża. - Miłość dokonywa cudów. Żebyś ją nawet pociął na kawałki, nie będzie świadczyć przeciw ukochanemu.

- A czy ty potrafiłabyś się okazać równie dzielna, gdyby chodziło o mnie?

- Wiesz dobrze, że tak - zapewniła.

Kaligula w przyływie nagłego roztkliwienia zrezygnował z wzięcia na tortury narzeczonego, a Kwintylii ofiarował w posagu osiem tysięcy sztuk złota. Sumę tę wypłacono z majątku "wywiadowcy", który został stracony za krzywoprzysięstwo. Kiedy doniesiono cesarzowi, że Kasjusz podczas torturowania Kwintylii nie mógł powstrzymać łez, Kaligula zaczął kpić ze starego żołnierza i nazwał go beksą. Stwierdził, że z Kasjusza stara baba, i wobec innych oficerów gwardii czynił na ten temat różne sprośne aluzje, z których słuchacze byli obowiązani serdecznie się śmiać. Wedle ustalonego zwyczaju Kasjusz codziennie o dziewiątej rano zgłaszał się do Kaliguli po hasło na dany dzień. Poprzednio brzmiało ono zazwyczaj: "Roma", "August", "Jowisz", "Wiktoria" i tym podobne. Obecnie Kaligula, chcąc dokuczyć Kasjuszowi, zaczął wymyślać hasła ni w pięć, ni w dziewięć, jak: "Fura miłości", „Karbówki" albo "Daj buzi, sierżancie". Narażało to Kasjusza na kpiny reszty oficerów, którym musiał zakomunikować hasło. Postanowił zabić swego dręczyciela.

Obłąkanie Kaliguli wzrastało. Pewnego dnia przyszedł do mojego pokoju i ni stąd, ni zowąd oświadczył:

- Muszę mieć trzy stolice. Ale Rzym nie będzie żadną z nich. Jedna stanie na szczycie Alp. Drugą, dokładną kopię Rzymu, wzniosę w Ancjum. Jest to bowiem po pierwsze miejsce mego urodzenia i jako takie zasługuje na wyróżnienie, a po drugie - leży nad morzem. Trzecią stolicą będzie Aleksandria, na wypadek gdyby dwie pierwsze zajęli Niemcy.

Aleksandria to bardzo kulturalne miasto.

- Tak, boski Cezarze - rzekłem pokornie.

Nagle przypomniał sobie, że ze względu na przerzedzające się na ciemieniu włosy przezywano go "łysą damą", wybuchnął gniewem:

- Jak śmiesz pokazywać się w mojej obecności z takim czubem na głowie! To jest bluźnierstwo! - A zwracając się do swej niemieckiej straży krzyknął: - Ściąć mu głowę!

Po raz drugi w życiu myślałem, że już po mnie. Miałem jednak tyle przytomności umysłu, że do żołnierza, który nadbiegł już z mieczem, krzyknąłem ostro:

- Co robisz, idioto?! Bóg nie powiedział "głowę", tylko "włosy". Ruszaj zaraz poszukać nożyczek.

Nie wiem, czy Kaligula rzeczywiście uwierzył, że mówił o włosach, czy też po prostu zaskoczony moim postępkami zapomniał języka, dość że nie zaprotestował, kiedy przyniesiono nożyczki i ostrzyżono mi głowę przy samej skórze. Po dokonaniu tych postrzyżyn poprosiłem, aby wolno mi było obcięte włosy złożyć w ofierze jego boskości, na co otrzymałem łaskawe zezwolenie. Tego samego jeszcze dnia wszystkim mieszkańcom pałacu z wyjątkiem Niemców kazano się ostrzyć. Kiedy przyszła kolej na Kasjusza, Kaligula powiedział z udanym współczuciem:

- O, biedny sierżant będzie musiał się rozstać ze swoimi loczkami, które tak lubi.

Pod wieczór Kasjusz spotkał się z Markiem Winicjuszem, mężem Lesbii. Był to najbliższy przyjaciel Ganimeda, a z pewnych słów, które wypowiedział tego rana Kaligula, należało wnioskować, że życie jego wisi na włosku.

- Dobry wieczór, kochany przyjacielu. Jakie jest hasło na dzisiaj?

Kasjusz, po raz pierwszy nazwany przez Winicjusza kochanym przyjacielem, spojrzał pytająco.

- Wspólna łączy nas dola - ciągnął Winicjusz - więc mogę cię szczerze nazwać przyjacielem. Jakie jest hasło na dzisiaj?

- Hasło brzmi "Kędziorki". Ale jeśli rzeczywiście jesteś moim przyjacielem, Marku Winicjuszu, daj mi hasło "Wolność", a miecz mój będzie na twe usługi.

Winicjusz uściskał go.

- Nie tylko my dwaj gotowiśmy walczyć o wolność - rzekł - jest jeszcze z nami Tygrys - (Tygrys, czyli, jak się w rzeczywistości zwał, Korneliusz Sabinus, był jednym z pułkowników gwardii, pełniącym służbę na przemian z Kasjuszem).

41 r. n.e.

Nazajutrz wypadło wielkie święto pałatyńskie ku czci Augusta, ustanowione przez Liwie w początkach panowania Tyberiusza. Obchodzono je corocznie na południowym dziedzińcu starego pałacu, zaczynając od złożenia ofiar i symbolicznej procesji.

Uroczystości trwały przez trzy dni, podczas których odbywały się przedstawienia teatralne, wokalne i taneczne. Na prowizorycznych trybunach znajdowało pomieszczenie sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Po zakończeniu święta trybuny rozbierano i chowano do następnego roku.

Tym razem Kaligula przedłużył czas trwania świąt do ośmiu dni i dodał do poprzednich widowisk wyścigi rydwanów i naumachię. Chciał się bawić bez przerwy aż do dnia wyjazdu do Aleksandrii, który wyznaczono na dwudziestego piątego stycznia. W Egipcie miał wziąć udział w igrzyskach, wydobyć pieniądze za pomocą tych samych drakońskich środków czy szalbierstw, które wypróbował we Francji, dokonać planów przebudowy Aleksandrii i wreszcie, jak się chełpił, przyprawić nową głowę Sfinksowi.

Obchody rozpoczęto. Kaligula złożył ofiary Augustowi, ale uczynił to w pobieżny, lekceważący sposób, niby pan, który w zastępstwie niewolnika musi spełnić jakąś ponizającą czynność. Następnie wezwał obecnych do przedstawienia mu swych potrzeb. Jeśli to tylko będzie w jego mocy, spełni każdą prośbę. Ostatnio, rozgniewany demonstracjami urządzanymi podczas

igrzysk, powstrzymał na dziesięć dni rozdawnictwo zboża, lecz widać już gniew przeminał, bo zaczął z dachu pałacowego rozrzucać w tłum pieniądze.

Powstał radosny szmer i odezwały się okrzyki: "Więcej chleba, mniej podatków, Cezarze!"

Kaligula znów się zirytował. Wysłał pluton Niemców, którzy przechodząc między rzędami ławek porozbijali około setki głów. Zajście to zaniepokoiło spiskowców, przypomniało im bowiem o barbarzyństwie Niemców i ich niepojętym uwielbieniu dla cesarza. O ile bowiem w całym Rzymie nie było chyba ani jednego obywatela, który by od dawna nie życzył Kaliguli śmierci i nie utopiłby go z rozkoszą w przysłowiowej łyżce wody, o tyle dla Niemców był on wciąż największym bohaterem, jakiego znał świat. Kiedy chciał, występował w kobiecych sukniach; potrafił w marszu niespodzianie opuścić armię; potrafił im pokazać Cezonię rozebraną do naga i przechwalać się jej pięknnością; potrafił spalić najpiękniejszą swą willę w Herkulanum tylko z tego powodu, że więziono tam Agryppinę w czasie transportu na miejsce wygnania - wszystkie te wybryki czyniły go w oczach Niemców jeszcze godniejszym czci boskiej, jaką mu oddawali. Kiwali głowami i mówili jeden do drugiego:

- To całkiem podobne do boga. Człowiek nigdy nie może przewidzieć, co takiemu bogu przyjdzie do głowy. Tuisko i Mann w naszej kochanej ojczyźnie są kubek w kubek tacy sami.

Kasjuszowi chodziło przede wszystkim o zamordowanie Kaliguli. O to, co się stanie później z nim samym, nie dbał zupełnie. Inni jednak spiskowcy, nie zaślepieni do tego stopnia nienawiścią, zadawali sobie pytanie, jaką pomstę wezmą Niemcy na mordercach swego ubóstwianego bohatera. Zaczęli wysuwać różne zastrzeżenia i nie można ich było nakłonić do przyjęcia planu bezpośredniego działania. Uważali, że należy zostawić rzecz przypadkowi.

Pułkownik zawrzał gniewem. Nazwał swych współników tchórzami i zarzucił im grę na zwłokę. Wreszcie wyraził podejrzenie, że w głębi duszy pragną, aby Kaligula żyw i zdrów wyjechał do Egiptu. Dopiero ostatniego dnia

świąt z niemałym trudem nakłonił spiskowców do przyjęcia realnego planu. Tymczasem Kaligula oznajmił, że przedłuży święta o dalsze trzy dni, zamierza bowiem wystąpić na scenie w kostiumie, który obmyślił wprowadzić na igrzyska aleksandryjskie, ale uważa, że najpierw wypada pokazać się w nim współrodakom.

Ta zmiana planów dała bojaźliwszym spiskowcom nową sposobność do odwołania zamachu.

- Czyż nie widzisz, Kasjuszu, że to zasadniczo zmienia sytuację? - mówili. - Teraz wykonanie zamachu staje się o wiele łatwiejsze. Możemy go zabić ostatniego dnia, kiedy będzie schodził ze sceny. To znacznie lepszy pomysł. Albo kiedy będzie wchodził.

Jak wolisz?

Lecz Kasjusz nie dał się przekonać.

- Ułożyliśmy plan - twierdził z uporem - i przysięgliśmy go wypełnić. Musimy dotrzymać przysięgi. Zresztą, plan jest zupełnie dobry. Plan czysty jak łąza.

- Ale rozporządzamy teraz czasem. Dlaczegoż nie poczekać jeszcze trzech dni?

- Jeśli nie chcecie wykonać planu dzisiaj, jak przysięgaliście, muszę wykonać go sam.

Wprowadził, że względu na Niemców, niewielkie mam szansę powodzenia, ale zrobię, co będę mógł. A jeśli nie sprostam ich sile, zawołam: "Winicjuszu, Asprenasie, Bubonie, Akwilonie, Tygrysie! Gdzieżecie, przyjaciele, przecież przyrzekliście być razem ze mną?"

Wobec tego zgodzono się wykonać pierwotny plan. Winicjusz i Asprenas mieli nakłonić Kaligulę, aby opuścił w południe teatr, wziął kąpiel i spożył śniadanie. Bezpośrednio przedtem Kasjusz, Tygrys i inni dowódcy, którzy należeli do spisku, mieli niepostrzeżenie wymknąć się drzwiami prowadzącymi za kulisy i poczekać u wejścia do kryptoportyku.

Tamtędy prowadziła krótsza droga z teatru do pałacu i Asprenas z Winicjuszem mieli namówić Kaligulę, aby nią wrócił.

W teatrze dawano tego dnia Ulissesa i Circe. Po przedstawieniu Kaligula miał rozrzucić między widzów owoce, ciastka i pieniądze. Nic dziwnego, że ludzie na długo przed przedstawieniem zaczęli się gromadzić, każdy bowiem chciał zająć miejsce od strony wejścia, gdzie znajdowała się łoża cesarska. Kiedy otworzono bramę, tłum runął do wnętrza, zajmując na wyścigi co najbliższe miejsca. Zazwyczaj jedna strona była przeznaczona dla kobiet, specjalne też rzędy były zarezerwowane dla senatorów, rycerzy i znamienitszych cudzoziemców. Ale tego dnia każdy siadał, gdzie popadło. Sam widziałem senatora, który spóźniwszy się musiał zająć miejsce między niewolnikiem Murzynem a kobietą o włosach ufarbowanych na jasny blond, w ciemnej sukni, przepisowym stroju zwykłych prostytutek.

- Im większy bałagan, tym lepiej dla nas - szepnął Kasjusz do Tygrysa.

Z wyjątkiem Niemców i samego Kaliguli jedynym w pałacu człowiekiem, który dotychczas nie słyszał nic o spisku, był biedny Klaudiusz. Biedny Klaudiusz bowiem, jako stryj Kaliguli, miał być również zamordowany. Cała rodzina cesarska miała zginąć.

Spiskowcy, jak przypuszczam, bali się, że zechcą zostać cesarzem i pomścić śmierć bratanka.

Gdyby ci idioci przypuścili mnie do tajemnicy, niniejsza historia miałaby całkiem odmienny koniec. Spiskowcy postanowili wskrzesić republikę, a nie wiedzieli, że jestem większym republikaninem od nich wszystkich razem. Nie dowierzali mi i z zimną krwią skazali mnie na śmierć. Pod pewnym względem nawet Kaligula wiedział o spisku więcej ode mnie. Ze świątyni Fortuny w Ancjum przysłano mu ostrzegawczą wróżbę: "Strzeż się Kasjusza!"

Dlatego Kaligula przyzwał do stolicy pierwszego męża Druzylli, Kasjusza Longina, który był namiestnikiem Azji. Przypuszczał, że Longin nie może mu darować zamordowania Druzylli, i przypomniał sobie, że jest potomkiem owego

Kasjusza, który brał udział w zamordowaniu Juliusza Cezara.

Przyszedłem do teatru koło ósmej rano. Stróże dopilnowali, żeby nikt nie zajął zarezerwowanego dla mnie miejsca. Siedziałem między komendantem gwardii a komendantem Niemców. Komendant gwardii, przechylając się do swego towarzysza, spytał:

- Słyszałeś ostatnie nowiny?
- Co za nowiny?
- Dają dziś nową sztukę. - Co takiego?
- Śmierć tyrana.

Komendant straży niemieckiej spojrzał bystro na kolegę i zmarszczywszy brwi zacytował:

Dzielny mój druhu, ciszej, ciszej!

Bo któryś z Greków cię usłyszy.

- Tak - wtrąciłem. - Nastąpiła zmiana programu. Mnester daje nam dziś Śmierć tyrana.

Od lat już nie grano tej sztuki. Bohaterem jej jest król Cinyras, który nie chciał wyruszyć pod Troję i został za swoje tchórzostwo zabity.

Przedstawienie rozpoczęło się niebawem. Mnester przeszedł dziś samego siebie.

Ukrył w ustach mały pęcherzyk z krwią i konając na rękach Apolla, obryzgał nią obficie suknie.

Kaligula zawezwał aktora do siebie i ucałował serdecznie w oba policzki. Gdy Mnester wracał za kulisy, Kasjusz i Tygrys odprowadzili go do garderoby, niby chcąc uchronić przed natręctwem wielbicieli. Następnie wyszli drzwiami dla aktorów. Za nimi pospieszyli inni kapitanowie, korzystając z zamieszania, jakie powstało przy rozrzucaniu darów.

- To było cudowne - odezwał się Asprenas. - Ale czy nie przydałoby się teraz wskoczyć na moment do basenu, a potem cokolwiek przekąsić?

Kaligula jednak nie dał się namówić.

- Chcę zobaczyć akrobatki - oświadczył. - Podobno mają być całkiem niezłe. Chyba już wysiedzę do końca. To przecież ostatni dzień.

Winicjusz wstał chcąc zawiadomić Tygrysa i Kasjusza, by nie czekali nadaremnie.

Kaligula pociągnął go za togę.

- Nie uciekaj, Marku. Musisz zobaczyć te dziewczęta. Jedna z nich tańczy taniec ryby.

Masz wrażenie, jakbyś się znajdował dziesięć sążni pod wodą.

Winicjusz usiadł z powrotem i przyglądał się tańcowi ryby. Najpierw jednak musiał obejrzeć krótkie melodramatyczne intermezzo zatytułowane Laureolus, czyli herszt zbójców.

Była to straszliwa mordownia, a aktorzy, jakiś drugorzędny zespół, wystarali się wszyscy za przykładem Mnestera o pęcherze z krwią. Nigdy w życiu nie widziałem na scenie podobnie ponurej rzezi. Po tańcu ryby Winicjusz znów wstał.

- Prawdę mówiąc, panie, chętnie bym pozostał, ale wzywa mnie Kloacina. Widać zjadłem coś, przeciw czemu mój żołądek protestuje.

Łagodnie, lecz bez przerwy darów fala spływa, Ani nadmiernie wartka, ani zbyt leniwa.

Kaligula się roześmiał.

- Nie weź mi tego za złe, mój drogi. Jesteś jednym z mych najlepszych przyjaciół. Nie chciałbym jednak obdarzać wszystkich twym posiłkiem.

Winicjusz wyszedł tylnymi drzwiami. Na dworze spotkał Kasjusza i Tygrysa.

- Lepiej zróbcie wracając - rzekł do nich. - Będzie siedział do końca.

- Dobrze - zgodził się Kasjusz. - Wracajmy. Zabiję go w łoży. Mam nadzieję, że mi pomożecie.

W tej chwili podszedł do Kasjusza gwardzista i zameldował, że chłopcy już przybyli.

Miał na myśli zakładników, których Kaligula kazał przysłać Grekom z Azji Mniejszej. Z każdego miasta miało przybyć po dziesięciu chłopców z najznakomitszych rodów, aby podczas uroczystości świątecznych odtańczyć taniec miecza i odśpiewać hymn na cześć cesarza. Był to oczywiście tylko pozór. W rzeczywistości Kaligula chciał mieć w swym ręku cennych zakładników, na wypadek gdyby gniew jego obrócił się przeciw Azji Mniejszej.

Chłopcy mieli przybyć już przed kilkoma dniami, lecz niepogoda zatrzymała ich na Korfu.

- Zawiadom natychmiast cesarza! - rozkazał Tygrys i gwardzista czym prędzej pośpieszył do teatru. Tymczasem zacząłem być już nie na żarty głodny.

- Jak by to dobrze było, gdyby cesarz chciał się udać teraz na drugie śniadanie - szepnąłem do siedzącego obok Witeliusza. - Moglibyśmy pójść za jego przykładem.

Nagle zjawił się gwardzista, a Kaligula, usłyszawszy o przybyciu chłopców, zwrócił się do Asprenasa.

- Świetnie się składa - zawołał. - Będą mogli wystąpić jeszcze dzisiaj po południu.

Muszę ich zaraz zobaczyć i zrobić jeszcze małą próbę chóru. Chodźcie, przyjaciele. Najpierw próba, potem kąpiel, śniadanie i powrót do teatru.

Wyszliśmy. Kaligula zatrzymał się przy wyjściu, żeby wydać jeszcze wskazówki dotyczące popołudniowego przedstawienia. Szedłem przodem z Witeliuszem, senatorem Septimiuszem i oboma generałami. U wejścia do portyku zauważyłem Kasjusza i Tygrysa.

Żaden z nich nie pozdrowił mnie, co było o tyle dziwniejsze, że pozdrowili innych.

Doszliśmy do pałacu.

- Jestem porządnie głodny - odezwałem się. - Czujecie? Z kuchni pachnie dziczyzną.

Mam nadzieję, że próba nie przeciągnie się zbyt długo.

Zwróciło moją uwagę, że w hallu przed salą bankietową nie ma żadnego z kapitanów, tylko sami sierżanci. Chciałem spytać o to moich towarzyszy, lecz ze zdziwieniem stwierdziłem, że gdzieś się ulotnili. Nagle z daleka dobiegł mnie jakiś hałas, potem pojedyncze krzyki i znów jeszcze większa wrzawa. ”Cóż, u licha, mogło się stać?” - pomyślałem. Ktoś przebiegł i krzyknął w otwarte okno:

- Już po wszystkim! Nie żyje!

W dwie minuty później doleciał mnie z teatru potężny ryk tłumu, jakby wyrzynano całą widownię. Powtórzyło się to raz i drugi. Potem nastąpiła chwila ciszy, a po niej wybuchł znów zgiewk, tym razem radosny. Pokuśtykałem na górę do swej małej biblioteki i drżąc jak w febrze upadłem na fotel.

Przed sobą widziałem na postumentach popiersia Herodota, Polibiusza, Tukidydesa, Azyniusza Polliona. Ich kamienne oblicza zdały się mówić: ”Prawdziwy historyk stoi zawsze ponad politycznymi zamieszkami swej epoki.” Postanowiłem zachować się, jak przystoi prawdziwemu historykowi.

ROZDZIAŁ XXXIV

Oto jaki był przebieg wypadków. Kaligula opuścił teatr. U wyjścia czekała na niego lektyka. Wedle wydanych poprzednio zarządzeń cesarz miał się udać do nowego pałacu dłuższą, okólną drogą, obstawioną podwójnym szpalerem gwardii. Nagle Winicjusz zaproponował, żeby ruszyć krótszą drogą.

- Zdaje mi się, że chłopcy greccy czekają u wejścia - dorzucił.

- A więc dobrze, ruszajmy - zgodził się Kaligula.

Tłum chciał podążyć za cesarzem, ale Asprenas przeciął drogę i zmusił ciżbę do cofnięcia się.

- Cesarz nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano! - zawołał. - Cofnijcie się!

Równocześnie wydał odźwiernym rozkaz, żeby zamknęli bramy z powrotem.

Kiedy Kaligula skierował się w stronę kryptoportyku, wysunął się Kasjusz i zasalutowawszy spytał:

- Jakie hasło na dzisiaj, Cezarze?

- Ach, hasło. Prawda - przypomniał sobie Kaligula. - Dobrze, dam ci ładne hasło na dzisiaj, Kasjuszu. Będzie brzmieć: "Stary niedołęga."

- Czy już? - zabrzmiał zza pleców Kaliguli głos Tygrysa. (Był to umówiony sygnał.)

- Już! - huknął Kasjusz i dobywszy miecza, z całej siły ciął Kaligulę.

Mierzył w głowę i byłby jednym ciosem rozłupał mu ją po brodę, ale zaślepiony wściekłością chybił. Miecz padł na ramię i ześliznął się po obojczyku.

Niespodziewany atak i ból na moment oszołomiły Kaligulę. Spojrzał wokoło nieprzytomnym wzrokiem i rzucił się do ucieczki. Równocześnie Kasjusz zadał drugi cios, raniąc tym razem cesarza w szczękę.

Dopadł uciekającego Tygrys i niepewną ręką uderzył z boku w głowę. Kaligula osunął się na ziemię.

- Jeszcze go raz! - ryknął Kasjusz.

Kaligula podniósł ku niebu zachodzące bielmem oczy.

- O Jowiszu... - wyszeptał.

- Masz Jowisza! - zaśmiał się Tygrys i odrąbał konającemu rękę. Dobił go kapitan Akwila głębokim pchnięciem w pachwinę i wnet dziesięć innych mieczów dla pewności zanurzyło się w piersiach i brzuchu leżącego. Kapitan Bubo, włożywszy rękę w rozchlastany bok trupa, zawołał oblizując ociekające krwią palce:

- Przysiągłem, że skosztuję jego krwi!

Wśród tłumu, który zwabiony hałasem zebrał się przed bramami, rozległ się nagle okrzyk:

- Niemcy idą!

O stawieniu oporu całemu batalionowi spiskowcy nie mogli marzyć. Szukając schronienia wpadli do najbliższego budynku. Był to przypadkiem mój stary dom.

Wypożyczyłem go niedawno Kaliguli, ponieważ chciał w nim urządzić apartamenty dla posłów, których nie życzył sobie gościć w pałacu. Spiskowcy wbiegli drzwiami frontowymi i uszli tylnymi. Zostali tylko Tygrys i Asprenas. Tygrys miał udawać, że nie ma nic wspólnego z zabójcami, i nie mniej głośno od Niemców krzychał: "Śmierć mordercom!"

Asprenas wbiegł z powrotem do kryptoportyku, gdzie natknął się na Niemców i zginął. Żołnierze zabili następnie dwóch senatorów, którzy im się nawinęli pod rękę. Była to jednak niewielka tylko gromadka Niemców. Reszta batalionu pomaszerowała wprost do teatru i zamknęła za sobą bramy. Postanowili pomścić śmierć swego bohatera masakrą wielotysięcznego tłumu.

W teatrze powstała panika i właśnie wtedy krzyki dobiegły aż do mnie. Wprawdzie nikt z widzów nie wiedział o zamordowaniu Kaliguli ani o tym

nawet, że dokonano jakiegokolwiek zamachu, jednak zachowanie się Niemców nie pozostawiało żadnej wątpliwości co do intencji. Odprawiali bowiem przedziwne nabożeństwo nad oszczepami poklepując je, głaszcząc i przemawiając do nich, jakby do żywych istot, co czynili zawsze, zanim zboczyli krwią tę straszliwą broń. O ucieczce nie mogło być mowy. Nagle ze sceny zagrała trąbka wzywająca do przyjęcia pozycji na baczność, a potem sześciotaktowa fanfara cesarska.

Ukazał się Mnester i na znak milczenia podniósł rękę w górę. Przerażliwy zgiełk naraz zamarł i tylko gdzieś wyrwał się stłumiony szloch czy przekleństwo. Obowiązywało bowiem prawo, że z chwilą wyjścia na scenę Mnestera nikt pod karą śmierci nie śmie się odezwać.

Zmilkły pieśni niemieckie i szcęk broni. Cesarska trąbka zamieniła żołnierzy w posągi.

- Obywatele! - zawołał Mnester. - On nie umarł! Przenigdy! Mordercy rzucili się nań i zwalili go z nóg. Tak. Ale nagle powstał znowu. Miecz się nie ima naszego boskiego Cezara.

Ranny, skrwawiony powstał. Tak! Podniósł dostojną głowę i przeszedł boskim krokiem przez środek ogłupiałych z przerażenia morderców. Rany jego cudownie się zagoiły.

Teraz na Rynku wygłasza wspaniałą mowę do swych poddanych.

Szmer radości przebiegł przez widownię, a Niemcy wsunąwszy miecze do pochew opuścili teatr. Kłamstwo Mnestera uratowało życie co najmniej sześćdziesięciu tysiącom ludzi. Dla ścisłości trzeba dodać, że właściwie pomysł ten poddał Mnesterowi król żydowski Herod Agryppa, jedyny człowiek, który tego popołudnia nie stracił głowy.

Tymczasem wiadomość o morderstwie dotarła do pałacu, gdzie wywołała wielkie zamieszanie. Kilku starszych żołnierzy pojęło, że takiej okazji do obłowienia się nie sposób pominąć. Pod pozorem poszukiwania morderców rozbiegli się po pałacu, gdzie każda kłamka była ze szczerego złota i

przedstawiała wartość półrocznego żołdu. Wystarczyło tylko dobrze rąbnąć mieczem.

Słyszając szczęk broni i okrzyki: "Śmierć mordercom Cezara!", schroniłem się za kotarę. Do komnaty wbiegło dwóch żołnierzy. Zobaczywszy wystające spod kotary stopy zawołał któryś:

- Wyłaź, morderco! Nie ukryjesz się przed nami!

Wyszedłem tedy i padłszy na kolana zacząłem ich błagać:

- Nnnie zabijajcie mmmnie, ppanowie. Nnic nnnnie mam wspólnego z mmmordercami.

- A cóż to za staruszek? - spytał jeden z żołnierzy, który od niedawna dopiero pełnił służbę w pałacu. - Nie wygląda zbyt groźnie.

- Jak to? Nie znasz go? - zdziwił się drugi, imieniem Gratus. - To ułomny brat Germanika. Przyzwoity chłop. Nie skrzywdzi muchy. Powstań, wasza dostojność - zwrócił się do mnie. - Nic ci złego nie zrobimy.

Zaprowadzili mnie z sobą znowu na dół do sali biesiadnej, gdzie sierżanci i kaprale zebrali się na radę wojenna. Młody jakiś sierżant, stojąc na stole i wymachując rękoma, wołał:

- Do d... z republiką! Tylko nowy cesarz może nas ocalić! Pierwszy lepszy cesarz, którego by uznali Niemcy.

- Może Incitatus - zaproponował ktoś drwiąco.

- A choćby! Lepiej niech będzie ta stara szkapa, niżby nie miało być cesarza.

Potrzebny nam jest ktoś, i to zaraz, żeby uspokoić Niemców. W przeciwnym razie nikt nie powstrzyma tych krwiożerczych bestii.

Dwaj żołnierze, wlokąc mnie za sobą, przecisnęli się wreszcie przez tłum.

- Ho, ho, sierżancie! - zawołał Gratus. - Spójrzcie, kogo tu taszczymy. Mieliliśmy szczęście, co? To stary Klaudiusz. Może nie dobry cesarz będzie z niego?

Drugiego takiego w całym Rzymie nie znajdziecie. Choć trochę utyka i

się jaka, w sam raz będzie na tę posadę.

Odpowiedziały mu wesole śmiechy i okrzyki: "Niech żyje cesarz Klaudiusz!"

- Wybacz, panie - tłumaczył się sierżant - ale nie myśleliśmy, że żyjesz jeszcze.

Oczywiście, że takiego nam było potrzeba. Podnieście, chłopcy, pana, żebyśmy wszyscy mogli go obejrzeć.

Dwóch kaprali, chłopów na schwał, chwyciło mnie za nogi i posadziło sobie na ramiona.

- Niech żyje cesarz Klaudiusz! - zahuczało. - Niech żyje!

- Puśćcie mnie! - krzychałem wściekły. - Puśćcie mnie! Nie chcę być cesarzem.

Nie godzę się! Niech żyje republika!

Mój protest obudził tylko śmiechy.

- Byczy chłop! - wołano. - Nie chce być cesarzem. To ci skromny dopiero!

- Dajcie mi miecz! - wołałem. - Wolę się własną ręką zabić!

Zdyszana od biegu przecisnęła się przez tłum Messalina.

- Klaudiuszu - błagała. - Zgódź się. Zaklinam cię! Na miłość do mnie, na miłość do naszego dziecka! Zgódź się! Wymordują nas wszystkich, jeśli odmówisz. Zabili już Cezonię.

A jej córeczkę chwycono za nogi i rozbito o ścianę.

- Będziesz doskonałym cesarzem, panie - zachęcał mnie z uśmiechem Gratus. - Tylko się trochę przyzwyczaisz. Takiemu cesarzowi nieźle się żyje.

Nie protestowałem dłużej. Na cóż się zda walczyć z przeznaczeniem? Wyniesiono mnie triumfalnie na główny dziedziniec, śpiewając hymn nadziei ułożony, kiedy cesarzem został Kaligula: "Oto Germanik znów u wrót, on nam od klęsk ustrzeże gród", a który mógł się równie dobrze stosować do mnie, gdyż tak samo nosiłem przydomek Germanik.

Jeden z plądrujących po pałacu żołnierzy znalazł złoty wieniec z liści dębowych, który nosił Kaligula.

Zmuszono mnie, żebym sobie włożył tę odznakę na głowę. W wieńcu, który zsunął mi się na jedno ucho, kurczowo uczepony szyj niosących mnie kaprali, musiałem wyglądać dość idiotycznie, a w każdym razie - jak mnie zapewniono - miałem minę rzezimieszka wleczonego na miejsce kaźni. Gromada trębaczy dęła, co tchu w piersiach, cesarską fanfarę.

Naprzeciw nas walili ławą Niemcy. O śmierci Kaliguli upewnił ich jakiś senator, którego spotkali przybranego w głęboką żałobę. Wściekli, że ich wywiedziono w pole, wrócili do teatru, ale teatr był już pusty; nie wiedzieli więc, co począć. Nie mieli się na kim zemścić, chyba tylko na gwardii. Lecz gwardziści byli uzbrojeni. Zdecydowała fanfara. Na jej dźwięk ruszyli w naszą stronę wołając: "Hoch! Hoch! Niech żyje cesarz Klaudiusz!!" I oddając swe oszczepy na moje usługi, usiłowali przedostać się przez tłum gwardzistów, aby ucałować mi nogi. Kazałem się im zatrzymać. Spełnili rozkaz i upadłszy plackiem na twarz, oddali mi cześć. A mnie tymczasem obnoszono i obnoszono wokół dziedzińca.

Ciekawym, czy zgadniecie, jakie przez ten czas myśli i wspomnienia przesunęły mi się przez głowę. Sądziecie może, że myślałem o prorocztwie Sybilli, o wróżebnym zdarzeniu z wilczęciem, o radzie Polliona, o śnie Bryzeidy? Albo może o dziadku i wolności?

O ojcu i o wolności? O moich trzech poprzednikach na tronie - Auguście, Tyberiuszu, Kaliguli - o ich życiu i śmierci? O niebezpieczeństwie, jakie mi wciąż jeszcze groziło ze strony spiskowców, senatu i batalionów gwardii przebywających w koszarach? O Messalinie i naszym nie narodzonym jeszcze dziecku? O babce Liwii i przyrzeczeniu, jakie jej dałem? O

Postumie i Germaniku? O Agryppinie i Neronie? O Kamilli? Nie. Nie zgadniecie nigdy.

Wprawdzie wstyd mnie ogarnia, lecz wyznam prawdę.

„A więc jestem cesarzem - myślałem. - Co za idiotyzm! Ale przynajmniej mogę wpłynąć na to, że ludzie będą czytali moje książki. Będą ich słuchać gromadnie na publicznych recytacjach. A nie najgorsze to książczyny! Trzydzieści pięć lat solidnej pracy mnie kosztowały. Nie popełnię nieuczciwości. Pollion zyskiwał sobie audytorium wystawnymi obiadami. A był to zdrowo myślący historyk i ”Ostatni Rzymianin”!

Moja Historia Kartaginy jest pełna zabawnych anegdot, jestem pewien, że się spodoba.”

Takie to myśli przebiegały mi przez głowę. Pomyślałem też, jakie możliwości otwierają się przede mną, gdyż jako cesarz będę miał dostęp do tajnych archiwów i będę mógł wreszcie się dowiedzieć, jaki był rzeczywisty przebieg wypadków. Ileż to zawikłanych intryg pozostaje do wyjaśnienia. Jakaż cudowna okazja dla historyka! Wykorzystałem też ją, jak zobaczycie, sumiennie. I prawie nigdy nie musiałem - odwrotnie niż inni wytrawni historycy - rekonstruować rozmów znanych pozostałym tylko w zasadniczych punktach.